PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY. — TOM CXX.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1913.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1913.

Kongres w Metzu.

Dzięki Bogu kongresy katolickie już dzisiaj nie należą do nadzwyczajności. Zrozumiano — nietylko zrozumiano, ale i odczuto ich potrzebę i zewsząd dochodzą głosy o nich: z Hiszpanii, Francyi, Anglii, Ameryki. W Austryi Słoweńcy, Niemcy, Czesi zakrzątnęli się także około ich urządzenia. Słowem ruch pod tym względem jest widoczny i charakterystyczny.

Do dawnych oficyalnych instytucyi kościelnych, jakiemi były zebrania duchowieństwa, czyto na soborach powszechnych czy na synodach prowincyalnych lub dyecezyalnych, dołączają się zebrania, w których biorą udział także i świeccy wierni obojga płci, aby porozumieć się i zachęcić do wspólnej akcyi dla dobra religii, kościoła i społeczeństw samych. Kongresy takie z włączeniem wszelkich mas wiernych stają się zjawiskiem zwyczajnem, gdzieniegdzie przybrały już, gdzieindziej przybierają formę stałych instytucyi, peryodycznie się powtarzających.

Taką stałą instytucyą są już one wśród katolików w państwie niemieckiem. Rok po roku powtarzają się one stale. Kongres poprzedni już myśli o następnym i oznacza miejsce na jego urządzenie. Komitet centralny zajmuje się nim i czuwa, aby rzeczywiście przyszedł do skutku. Komitet lokalny już bezpośrednio przygotowuje wszystko do niego. W tym roku już po raz 60, jak zbiera się ten kongres.

Urządzono go w Metzu, w jednem z najbardziej na zachód wystawionych miast wchodzących w skład cesarstwa,

w kraju o kulturze francuskiej, gdzie język francuski jest językiem potocznym, a usiłowania germanizacyjne rządu wywołują rozgoryczenie. Kierowano się w tem myślą uczciwą, katolicką, żeby i tego kraju, który jest z gruntu katolicki nie pozbawiać dobroczynnego wpływu, związanego z takim kongresem. Chciano podnieść katolików tamtejszych na duchu i widokiem pięknych uroczystości czysto katolickich i powagą obrad, mów, dyskusyi w obronie wiary i kościoła zagrzać do intenzywniejszej pracy w tym kierunku, oraz pouczyć, jak systematycznie ją podjąć i zorganizować, mimo niesprzyjających nawet okoliczności, w jakich się znaleźli.

Ale nie były wykluczone obawy o powodzenie kongresu.

Przedewszystkiem obawiano się, aby na tym wspólnym zjeździe, na którym znajdą się przedstawiciele różnych organizacyi katolickich, nie przyszło do jakiegoś namiętnego wybuchu walki wśród samego obozu katolików narodowości niemieckiej. Waśń taka ujawniła się już od szeregu lat między przedstawicielami dwóch kierunków pracy społecznej katolickiej, znanych pod nazwą kolońskiego i berlińskiego. Odnosiła się ona do metody działania i organizowania stowarzyszeń, czy one muszą mieć podstawę wyznaniową katolicką, czy też można je zakładać na podstawie ekonomicznej tak, żeby mogli do nich należeć także chrześcijanie niekatolicy. Różnica zapatrywań objawiana najpierw w prasie obydwu kierunków, a potem także i w działalności, rozdrażniała umysły i doprowadzała do takiego zaniepokojenia, że zawisło niebezpieczeństwo rozdwojenia i rozbicia sił i zgodnej dotychczasowej akcyi katolickiej. Sprawa tego rozdwojenia musiała być poruszona na kongresie, ale też wywoływała obawę, że walka gotowa wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Następnie istniała niepewność, jakie stanowisko do kongresu zajmie ludność francuska, drażniona ustawicznie germanizacyjnemi tendencyami rządu. Obawiano się mianowicie, czy ten kongres, na który zjechać się miało wielu, przeważająca ilość Niemców, nie będzie uważany przez francuską ludność Lotaryngii za jakiś najazd na ich ziemię, za nowy atak już nie-

tylko rządu, ale i społeczeństwa niemieckiego i do tego katolickiego, na ich narodowość. Choć katolicy niemieccy pokazali do tyla poczucia sprawiedliwości, że dla francuskich uczestników zjazdu urządzili osobne sesye z językiem obrad francuskim, jednak wzbudzona polityką ostrożność, podrażnione uczucia mogły podejrzanemi uczynić nawet zarządzenia w dobrej wierze poczynione — tem bardziej, że katolicy niemieccy nie kryją się ze swemi uczuciami nacyonalistycznemi. Uczucia nieufności za lada okazyą wybuchnąć mogły i doprowadzć do niepożądanych awantur, albo przynajmniej spowodować demonstracyjne usunięcie się ludności francuskiej od uroczystości kongresowych — co również nie leżało w interesie katolickim i oznaczałoby klęskę katolickiej akcyi. Obawy te musiały wzrastać i potęgować się wobec nieuczciwej postawy prasy liberalnej i nacyonalistycznej, która wyrabiała opinię i nastrój dla kongresu ogromnie nieprzychylny, zamieszczała przewidywania i przepowiednie mających wybuchnąć przeciwieństw i walk na kongresie, oraz kłuła i drażniła szowinizm narodowościowy u katolików zarzucając im brak patryotyzmu w przypuszczeniu, że zdoła ich popchnąć do jakiegoś niewłaściwego kroku względem ludności francuskiej.

Na szczęście wszystko skończyło się na obawach. Wszystkie przewidywania i złowróżebne proroctwa prasy wrogiej kościołowi okazały się fałszywemi i ich podstępne usiłowania doznały zawodu. Kongres odbyty w Metzu zapewnie należeć będzie do liczby najbardziej udałych wieców katolickich. Zmysł i poczucie katolickie odniosło tryumf nad uczuciami naturalnemi uprzedzenia i zrozumiałej podejrzliwości, nie dało się podejść podstępnym zamachom wrogów, zbliżyło do siebie powaśnione partye i narodowości.

Uznać w tem wypada subordynacyę u katolików niemieckich, ale też równo, a może i więcej jeszcze postawę ludności francuskiej, która okazała się wszędzie więcej aniżeli poprawną. Niemcy, którzy w swej dumie narodowej ze światowego stanowiska tak skłonni są do akcentowania swych praw czyto prawdziwych czy urojonych, tym razem nie dali się porwać

szowinistycznym podburzaniom, okazali dobrą wolę uwzględnienia narodowości, na której terenie zjazd urządzili. Okazał ją przedewszystkiem prezes zjazdu, młody książę Alojzy Löwenstein, który nawet delikatnym komplementem i serdecznym tonem umiał sobie pozyskać sympatye Francuzów i ich przychylność. Zapewne nie przyszło im łatwo zdecydować się na udział w kongresie. Trzeba było złożyć wielką ofiarę z dumy narodowej na ołtarzu sprawy katolickiej, aby się przyłączyć do tych tysiącznych zastępów niemieckich, które jakąś setką osobnych pociągów przybywały, by zalać miasto i nadać mu na kilka dni charakter niemiecki — jednak zdusili uczucia, wzięli udział w kongresie, nie brakło ich nigdzie; nawet w pochodzie ich szeregi zlały się z szeregami niemieckimi, ich chorągwie z napisami francuskimi mieszały się z chorągwiami i tablicami o napisach niemieckich. Więc też jakby ciężar spadł im z serca, gdy ks. Löwenstein na pierwszem posiedzeniu oddziału francuskiego zabrał głos jako prezes całego zjazdu i w języku francuskim wypowiedział do nich mowę powitalną, a gdy jeszcze do tego, wspominając krwawe dni Metzu, wezwał wszystkich do złożenia rycerskiego hołdu wszystkim bohaterom poległym na ziemi lotaryńskiej i do objęcia ich wszystkich we wspólnej modlitwie za spokój ich dusz, to tym rycerskim komplementem rozbroił ich do reszty. Znikła nieufność, otwarły się serca, ręce podniosły się do niemilknących oklasków, — powodzenie kongresu z tej strony było zapewnione.

Nic chyba lepiej nie mówi, gdzie wina nieznośnych stosunków narodowościowych w Niemczech, jak ten charakterystyczny epizod.

Jak zawiodły rachuby liberalne co do wzniecenia waśni narodowościowych na kongresie, tak też nie dopisały ich przewidywania co do zaostrzenia się stosunków między oboma kierunkami kolońskim i berlińskim. Oczywiście sprawa ta weszła na posiedzenie kongresu. I nie mogło być inaczej. Zanadto zaciężyła nad całem społeczeństwem katolickiem, zanadto zaniepokoiła umysły, aby ją było można zbyć taktycznem milczeniem. Głos w tej sprawie zabrał znów sam przewodniczący

zjazdu ks. Löwenstein i trzeba przyznać, odrazu znalazł się na właściwej drodze. Zajął stanowisko podyktowane przez Ojca św. pismem z dnia 12 grudnia 1912 r. Przypomniał on treść tego listu, podniósł wybitne momenty, każąc je odczytać dosłownie. Ojciec św. zasadniczo jest za stowarzyszeniami robotników, założonemi na podstawie otwarcie katolickiej, ale nie chce z drugiej strony odmawiać robotnikom prawa poprawienia stosunków ekonomicznych swego stanu, choćby nawet wyjątkowo wypadło im się łączyć w tym celu z niekatolikami. Wolałby, żeby to współdziałanie z innowiercami odbywało się we formie kartelu, jednak na prośby biskupów i ze względu na wytworzone stosunki niemieckie daje zezwolenie, żeby robotnicy katoliccy należeć mogli do stowarzyszeń, założonych na podstawie ekonomicznej razem z innowiercami, byleby zachowane były należyte środki ostrożności dla zabezpieczenia ich wiary. Przypomniawszy to, ks. Löwenstein wyciąga wniosek praktyczny: wobec rozporządzeń papieża wszelka dalsza dyskusya staje się bezcelową i powinna ustać. Kongres nie chce być tłumaczem encykliki, ani sędzią w tej sprawie, ale do niego należy przyjąć z wdzięcznością list Ojca św. i podnieść głos w imieniu dobra sprawy katolickiej, aby wola Ojca św. była spełniona, aby zaprzestano jałowych a szkodliwych walk, zaprzestano wzajemnych podejrzeń, które nic dobrego nie przynoszą, a zagrażają najfatalniejszemi następstwami. Stanowczym słowom mówcy towarzyszyły gromkie oklaski wiecujących, dając znać, że cały ich ogół solidaryzuje się z wywodami i życzy sobie, aby kongres całą powagą położył skutecznie koniec niepokojącym waśniom. W ten sposób kongres w Metzu, który według przewidywań miał stać się widownią gorszących starć, rzeczywiście stał się miejscem pojednania i pokoju. Zaprzestanie walk i pokój narzucony został obu stronom z góry przez autorytet kongresu, a spodziewać się należy, że duch karności właściwy katolikom niemieckim zastosuje się do tego żądania. Odtąd „pokój w Metzu“, słowa, których użył ks. Löwenstein rozeszły się po zgromadzonych. Powtarzano je często — słyszało się je wymawiane z dumą i z tym akcentem radosnej nadziei, że pokój tak solennie ogło-

szony i podpisany oklaskami całego zgromadzenia, rzeczywiście wejdzie w życie i będzie dotrzymany sumiennie.

I byłoby to główne zwycięstwo, najważniejsze dzieło, jakie zdołał przeprowadzić kongres w Metzu,— ta sanacya stosunków wewnętrznych. Ale kongres nie ograniczył się na tem. Jak w innych latach, tak i tego roku zrobił on przegląd rozmaitych spraw, na różnych polach życia katolickiego. Zajmował się szkołą i opieką religijną nad wychodzącymi ze szkół, omawiano na sekcyach różne kwestye społeczne; silnie poruszano sprawę misyi katolickich w rozmaitych krajach, a w szczególności w Chinach, które teraz przechodzą przełomową chwilę. Poruszano i dawniejsze tematy a takim była sprawa Jezuitów.

Rok temu na kongresie w Akwisgranie podniesiona sprawa Jezuitów doprowadziła do olbrzymich manifestacyi na ich korzyść. Z różnych stron Niemiec podnosiły się żywiołowe żądania, domagające się zniesienia niegodziwego prawa z czasów kulturkampfu i przywrócenia Jezuitów. Na te żądania Rada Związkowa odpowiedziała prowokacyjną deklaracyą prawa, nadając mu znaczenie o wiele ostrzejsze i bezwzględniejsze nad to, jakie dotychczasowa praktyka wykazywała. Ten policzek, wymierzony przez Radę Związkową odczuli katolicy żywo — i teraz na kongresie, gdy ks. Löwenstein doniósł o przebiegu sprawy nie było końca oburzeniu. „Pfuj, pfuj“ wołano bez przestanku pod adresem rządu państwa „bojaźni Bożej“, przy odgłosie złowrogich tupań, które groziły zawaleniem prowizorycznej hali kongresowej. „Musimy więc na całej linii stwierdzić niepowodzenie naszej akcyi — mówił książę — niepowodzenie, któregoby rok temu nikt nie przypuszczał... Mimo wszystko nie wolno tracić nadziei... Prawo przeciw Jezuitom musi zniknąć. Lud katolicki nie żąda łaski, tylko sprawiedliwości. Oby prezes przyszłego kongresu mógł sam oznajmić, że rok jubileuszowy Konstantyna przecież i w rządach naszego państwa zdołał wykrzesać iskierkę mądrości „konstantyńskiej“. Czy życzenia się ziszczą, czy iskra mądrości konstantyńskiej się zjawi — o tem można powątpiewać. Należy powątpiewać zwłaszcza,

gdy się słuchało tego, o czem mówił biskup ze Spiry ks. dr. Faulhaber.

Kongres w Metzu obchodzono pod znakiem uroczystości jubileuszowych edyktu Medyolańskiego. Ten akt sprawiedliwości ze strony Konstantyna, który odwalił kamień grobowy z mogił żywcem zakopanych w ziemię, restytuował im zabrane dobra, udzielał wolności, otaczał opieką jako obywateli równorzędnych z innymi, — radosnem uczuciem ulgi, swobody i wolności powinienby się unosić nad całem zebraniem kongresowem. Powinienby — ale tego uczucia nie mógł on wywołać na kongresie katolickim w państwie niemieckiem. Owszem jego wspomnienie przeciwne wywołało uczucie — jakby żalem i goryczą zalewało i przygniatało wszystkich, że oni dziś jeszcze nie mają wolności, jaką przed 16 wiekami dawał chrześcijanom edykt medyolański. Wyrazem tych uczuć była mowa ks. dra Faulhabera, pełna rozlanego smutku, żalu jakiegoś gorzkiego wyrzutu i bolesnej skargi. Porównał on zawartość edyktu medyolańskiego z tem, co mają katolicy w państwie niemieckiem, zastrzegając się, że mu tylko o historyę Kościoła chodzi a polityki uprawiać nie myśli. Porównanie to musiało doprowadzić do przykrego wniosku, że edykt w 313 wydany jeszcze w 1913 r. nie doszedł do niektórych państw Rzeszy, bo go jeszcze nie publikowano. Katolicy niemieccy w tym roku obchodzą jubileusz konstantyński, ale też muszą święcić i nietolerancyę berlińską — patrzą z jednej strony na rydwan Konstantyna i na majestatyczny łuk tryumfalny wolności, a obok niego ujrzeć muszą „smutną ruinę kulturkampfu, kaudyjskie jarzmo, wystawione dla ich prawodawstwa kościelnego".

I ten stan nie prędko chyba się zmieni na lepsze. Sam mowca, choć przyznaje, że lepiej katolicyzmowi w Niemczech, aniżeli w dzisiejszej Francyi i życzyłby sobie, aby kościół i państwo nigdy się nie rozłączały na wzór francuski, jednak nie śmie wyrazić konkretniejszych nadziei, aby się miał wnet ziścić ideał, który on nazywa — darujmy mu to wyrażenie — wzorem niemieckim, a który polega na współdziałaniu Kościoła i państwa. Co do jego urzeczywistnienia mógł tylko wyrazić życzenie ka-

tolików, ale żądań formułować nie mógł, czy nie chciał, chyba, że gdzieś pod osłoną alluzyi przemycił żądanie wyraźniejsze jak to: „Konstantyn nietylko dlatego nazywa się wielkim, że założył podwaliny pod nowy ustrój państwa i społeczeństwa, ale dlatego, że pierwszy z cesarzów zdołał pojąć tę nową a wielką myśl, że małostkowemi zarządzeniami policyjnemi nie da się zdusić religia, zawierająca w sobie prawdę bożą". Znaczenie tych słów rozumiało się lepiej, kiedy się widziało niedaleko trybuny mowcy błyszczącą pikelhaubę pruskiego policyanta, przysłuchującego się jego wywodom. Nie wiadomo, jakie ten policyant otrzymał instrukcye, ale w każdym razie w tych okolicznościach ryły się głębiej w duszę słowa biskupie: „Jest to dla nas rzeczą wprost nieznośną ta myśl, że z dnia na dzień zależni jesteśmy od łaski jakiejś tam władzy administracyjnej, która sobie może wykładać prawo dowolnie, dziś tak, jutro owak, raz dla nas litościwie, to znów dokuczliwie i przez policyanta informuje się, czy odczyt jakiegoś Jezuity dotyczy religii, czy też raczej wkracza w zakres religijno-naukowy!".

O tym nadzorze pruskim dałoby się jeszcze niejedno powiedzieć, jak to n. p., że dzięki tym stróżom ładu i porządku o mało nie przyszło do awantur w czasie kongresowego pochodu. Bezwzględne zachowanie się wobec publiczności, ciągłe najeżdżanie na nią końmi, jak tylko nieco się skrzywiła linia szpaleru wskutek nacisku z tyłu — oburzało stojących. Podnosił się ogólny pomruk i tylko ciągle nasuwającym się nowym wrażeniom z pochodu zawdzięczać należy, że uwaga nie zatrzymywała się dłużej na policyi i nie przyszło do awantur. Ta ciągła opieka policyi, jaką państwo niemieckie otacza obywateli — udziela się też i Kościołowi. Katolicy ją bardzo odczuwają i woleliby, żeby ich trochę z tej troskliwej opieki zwolniono — zresztą chcą sami o sobie radzić. I rzeczywiście radzą dobrze, jasno, systematycznie. Na kongresach, w mowach, obradach nigdzie nie odczuwać dorywczości. Kiedy posiedzenia francuskie jeszcze mieściły w sobie dużo ogólników o potrzebie wspólnej pracy na różnych polach życia religijnego — to posiedzenia i obrady niemieckie już tego rzucania ogólnych haseł, bezpłodnego poru-

szania coraz to nowych kwestyi, nie wykazywały. Oni już nie szukają oryentacyi. Znaleźli drogę i idą nią, a chodzi im tylko o wydoskonalenie szczegółów, o zdobycie jakiegoś nowego terenu pracy, dotychczas niewyzyskanego. Toteż obrady te odrazu chwytają rzecz konkretnie, praktycznie. Jeżeli jakąś myśl poruszono, jeżeli uznano potrzebę zajęcia się nią, w tej chwili odzywają się głosy, domagające się organizacyi. Nie opuszczać jej, ale odrazu ująć w system, nadać jej realne kształty, wlać w jakieś ciało, zdolne do życia, któreby mógło róść, przybierać sobie członków i działalność rozwijać. Wtedy myśl rzucona nie zginie. Toteż organizacyom zawdzięczają katolickie Niemcy swą siłę i znaczenie.

Jedną z ciekawszych poruszonych spraw była praca duszpasterska po miastach. Dyskutowano o niej na posiedzeniu sekcyi socyalnej, bo rozwiązanie jej nie jest tylko dziełem duszpasterza, ale wymaga współdziałania czynników świeckich. Praca duszpasterska po miastach jest utrudniona przedewszystkiem dlatego, że wielka część katolików w kościele się nie zjawia. Doświadczenie uczy, że nie zjawiają się przedewszystkiem przybysze do miast, ludzie, którzy za zarobkiem wyszli ze wsi i albo się osiedlają w mieście, albo też ciągną z jednego miasta do drugiego. Tacy zwykle w mieście się gubią, a w kościele się nie pokazują. Ich położenie trudne wpływa na ich psychikę, że stają się apatyczni, opieszali, że obowiązki religijne opuszczają. Kapłan-duszpasterz o nich nie wie, a oni nie doznając podniety znikąd stają, się religijnie zupełnie obojętnymi i podatnymi na wpływy radykalne. Aby temu smutnemu położeniu zapobiedz, musi kapłan szukać nowych sposobów. I trzeba wyrazić uznanie dla troskliwej pracy duszpasterskiej gorliwych księży niemieckich, którzy zdają sobie sprawę z trudności i przemyśliwują nad sposobami zaradzenia złemu. Przedewszystkiem zrozumieli, że w tych okolicznościach, musi praca duszpasterska przybrać formę indywidualną — kapłan nie może ograniczyć się do pracy dla mas zebranych ale musi wyszukiwać poszczególne osoby i rodziny i im indywidualnie iść z pomocą. Aby tego dokazać musi duszpasterz

wiedzieć o tych nowoprzybyłych do swej parafii, oraz musi mieć jeszcze pomoc ludzi świeckich — ludzi zaufania. Dokładnych wiadomości dostarczają mu katalogi kartkowe, tak zwane kartoteki. Kartki te z wypełnionemi stosownie rubrykami, dają wyjaśnienie o każdym z osobna parafianie (imię i nazwisko, rok i miejsce urodzenia, stan — jeżeli żonaty — jakie małżeństwo? czy mieszane? nazwa żony, jakie dzieci? do jakich stowarzyszeń należy? jakie gazety czyta, gdzie mieszka? i uwagi). Układa się je w skrzynkach alfabetycznie. Dla łatwiejszej oryentacyi, kartki są w różnych kolorach n. p. dla małżeństw katolickich w innym kolorze, dla mieszanych w innym, dla niezamężnych w jeszcze innym. W ten sposób duszpasterz ma krótko zebrane najważniejsze potrzebne mu wiadomości, które zbiera bądźto z zapisków magistratu, bądź skądinąd, a potem sam dopełnia i zachowuje je dla wyłącznego swego duszpasterskiego użytku. W miastach większych urządza się jedną kartotekę centralną, z którą rokrocznie trzeba dla ewidencyi kollacyonować kartoteki parafialne, aby braki w niej poprawić i uzupełnić. Kartoteki w ten sposób urządzone już we wielu miejscach istnieją i oddają nieocenione usługi duszpasterzowi. One pozwalają mu wyszukać taką familię, która do miasta przyciągnęła i otoczyć ją opieką, jaką uzna za odpowiednią. Gdy jakaś rodzina przeniesie się do innej parafii albo wyjedzie, katalog kartkowy pozwala łatwo dać potrzebne informacye nowemu duszpasterzowi. Wystarczy wyjąć odpowiednią kartkę i wysłać do niego. Gdy następuje zmiana na stanowisku proboszcza, przybywający kapłan odrazu znajduje się w posiadaniu potrzebnych mu informacyi. Słowem kartoteka taka oddaje nieocenioną pomoc w pracy duszpasterskiej, którąby bez niej bardzo utykać musiała. Kartoteka daje wiadomości, ale pracę indiwilną na podstawie tych wiadomości może kapłan rozwinąć tylko przy pomocy osób świeckich. Sam nie podoła wszystkiemu, ale musi sobie wyszukać i wyrobić pomocników zaufanych, przez których mógłby wywierać zbawienny wpływ nawet na osoby i rodziny, do jakich sam nie mógłby dotrzeć. I znów taka pomoc we wielu miejscach już się rozwija z wielkim pożytkiem. Nie chodzi

w niej bowiem o wprowadzanie elementu świeckiego w urzędy i w czynności czysto duchowne, które są tylko właściwe księżom, ale o poparcie podrzędne, o pewien jakby rodzaj służenia do mszy. I w tym duchu wzywa kongres do dalszych usiłowań. Dodać wypada, że w celach duszpasterskich we wielkich miastach zakłada się też gazetki parafialne, których celem jest dostarczać informacyi o życiu religijnem i kościelnem parafii, a wystawa pracy duszpasterskiej urządzona na kongresie, zgromadziła już gotowe wzory zarówno do kartotek jak i do gazetek parafialnych.

Tak więc i praca duszpasterska, tak bardzo utrudniona we wielkich miastach o napływającej ludności, zaczyna wchodzić na coraz lepsze tory, dzięki przemyślnej gorliwości, która się nie zraża trudnościami, ale szuka sposobów ich opanowania, a znalezione zaraz ujmuje w system, organizacyę.

I tak na wszystkich polach. Nigdzie nie widać bezładnego rzucania się i borykania na wszystkie strony, ale stopniowe posuwanie się naprzód. Doświadczenia poczynione przez jednego, małą grupę, na kongresach dostają się do wiadomości wszystkich, stają się własnością wszystkich — mały, ale dobrze prowadzony warstat rozszerza się i zmienia we wielkie przedsiębiorstwo — w akcyjne towarzystwo, którego działalność odrazu rozszerza się wydatnie i przynosi wysoki procent korzyści dla sprawy katolickiej.

Zrzeszenie się, systematyczność, organizacya, oto czego nietylko od niemieckich katolików uczyć się można — ale i nam zwłaszcza, potrzeba.

X. L. Rudnicki.

Z okazyi kursu katechetycznego w Krakowie.

Cel i metoda nauki religii w wyższych klasach szkoły średniej.

Powszechnie przyjęła się w nowszej pedagogice zasada, że szkoła nie powinna ograniczać się do kształcenia rozumu, lecz pełnić z powołania rolę wychowawczą, kształcić wolę i charakter młodzieży. Żyjemy w epoce, w której istnieje wielka obfitość zdolności obok wielkiego ubóstwa charakterów. Charakterów zaś potrzeba coraz więcej, skoro postęp cywilizacyjny wymaga coraz więcej jednostek samodzielnych, ludzi z inicyatywą i energią. Świeży jakiś powiew zapału wieje z rozlicznych dzieł, broszur, artykułów pedagogicznych, a zapał ten jest pocieszającym objawem wobec szeroko rozlanej rzeki samolubstwa, chciwości i zgnilizny moralnej. Za ideał wychowawcy dzisiejsi nie stawiają złotego cielca, ani rozkoszy życia, ani dumy mędrca, — bo doświadczenie pokazało, że nad wszystkie dobra trzeba cenić charakter. Kształcenia charakteru domagają się dziś wszyscy od szkoły, ale charakter różni różnie pojmują, z wyjątkiem chyba cechy stateczności, bez której trudno o nim mówić. Ludzie o polocie idealistycznym tworzą sobie pojęcie o charakterze, złożone z najszczytniejszych ideałów prawdy, dobra i piękna, ale tworzą je sobie z góry, *a priori*, na kształt poetów i artystów, bez uwzględnienia rzeczywistych warunków życia. Tacy mimo najlepszych chęci, paczą często dzieło wychowania, bo nawoływaniem do szukania ideałów bez odpowiednich sił i dróg, wiodących rzeczywiście do ich osiągnięcia, nudzą tylko młodzież

i podkopują jej ochotę do wysiłków, zawsze równie od celu dalekich. Inni o kierunku realistycznym nie gubią się w sferach marzeń i poezyi, lecz domagają się czynów, czynów drobnych, ale wytrwale i sumiennie wykonywanych, czynów coraz większych i wznioślejszych w miarę wzmagania się sił i wprawy. Są to przeważnie ludzie, którym dobro ekonomiczne narodu przyświeca jako niezbędna podstawa zachowania jego bytu i zwycięstwa we walce o przyszłość. Nie lekceważą oni sił moralnych, nie upatrują charakteru w sile mięśni i nerwów, dla nich probierzem wartości charakteru jest jego sprężystość i zdolność do spełnienia rzeczywistych zadań społecznych i narodowych. Wszyscy w teoryi przyznają, że realizm i idealizm muszą się wzajemnie łączyć, jak się łączą drobne kamyczki w pięknej mozaice dla wyrażenia idei, ale w życiu praktycznem wielu popada z jednej ostateczności w drugą.

Że i religia ma w tej sprawie doniosły głos, mało kto znający się na rzeczy, zechce zaprzeczyć.

W listopadzie b. r. ma się w Krakowie odbyć pierwszy kurs katechetyczny, celem ożywienia i ulepszenia metod wychowawczych w nauce religii. Może z okazyi tego żywotnego objawu pedagogiki religijnej u nas, nie będzie od rzeczy, rzucić kilka myśli o reformie nauki religii w szkołach średnich. Pokażą one dobitnie doniosłość, ale i trudność nauki religii w wyższych klasach gimnazyalnych.

I.

Pedagogika katolicka nigdy nie hołdowała intellektualistycznemu tylko kierunkowi szkolnictwa, który umiał wychowywać olbrzymów wiedzy, a karłów woli. Szkoła nietylko powinna kształcić rozumy, lecz przedewszystkiem ludzi, i to ludzi na wzór Chrystusa, — bezinteresownych, statecznych i ofiarnych — oto hasło, które nie przebrzmiało nigdy w wiekowej pracy wychowawczej Kościoła. Inaczej nieraz bywało i bywa w życiu praktycznem. Nauczanie religii w szkole przybierało mniej lub więcej cechy intellektualistyczne i zbliżało się tu i ówdzie do metod

szkolnictwa danej epoki. Taka już jest nasza słabość ludzka, że nie możemy się zupełnie wydobyć z pod wpływów otoczenia i że na wielkie prawdy wiary patrzymy także jak dzieci swego czasu. Postęp w pedagogice wogóle nie jest zatem obojętny dla postępu pedagogiki katolickiej. „Kto starej prawdzie bacznie patrzy w oczy, zawsze w niej nową wyczyta", powiada trafnie Felicyan Faleński. Żeby zaś zgłębić starą prawdę, trzeba nam wielkich wysiłków i nowożytnych metod. Nowe prądy pedagogiczne nie zastąpią nam mądrości Ewangelii, ale pomogą do jej zrozumienia i lepszego urzeczywistnienia w dzisiejszych warunkach życia.

Dzisiaj stało się w pedagogice katolickiej pewnikiem, że katecheta ma być duszpasterzem uczniów, że celem nauki religii nie może być znajomość tylko prawd wiary i obyczajów, lecz samo życie religijne uczniów.

Religia, nie jest tylko zbiorem prawd, określających nasz stosunek do Boga, i obowiązków z tego stosunku płynących, to tylko jedna jej strona choć zasadnicza i niezbędna, — lecz religia jest samym żywotnym stosunkiem, który zachodzi między człowiekiem a Bogiem na mocy stosunku Boga do człowieka. Stosunek Boga jako Stwórcy do człowieka, pociąga za sobą istotną zależność człowieka od Boga, obejmującą wszystkie jego siły ciała i duszy i cały zakres jego obowiązków na ziemi, tak dalece, że niema czynu ludzkiego, któryby nie miał związku z religią. Na mocy Objawienia wiemy, że stosunek Boga do człowieka sięga poza sferę przyrody, że Bóg Stwórca stał się w prawdziwem tego słowa znaczeniu Ojcem, skoro przez łaskę upodobnił duszę człowieka do Syna swego Przedwiecznego i łączy ją z sobą w miłości Ducha Św. Stosunek człowieka do Boga, udzielającego się mu w ten tajemniczy sposób, przewyższający wszelkie wymogi stworzenia, musi być odpowiedzią na czyny Boga, a zatem oparty na wierze w nadprzyrodzone objawienie i na miłości nadprzyrodzonej. Fałszywie pojmuje ten nadprzyrodzony stosunek człowieka do Boga każdy, kto uważa go za dodatek do stosunku naturalnego, za obowiązek leżący poza sferą obowiązków naturalnych. Chrześcijanin ma jeden cel życia, cel nadprzyrodzony,

który naturalnych obowiązków nietylko nie zaprzecza, lecz na nich się opiera, by podnieść człowieka do wyżyn, do których go Bóg powołał czyniąc go uczestnikiem swego Boskiego życia. Niedostateczną jest zatem nauka religii, która wzbogaca rozum „zbiorem prawd i obowiązków", będących przedmiotem pamięci, a nie prowadzi do spotkania się duszy z żywym Bogiem. Celem nauki religi nie może być sama znajomość prawd wiary i obowiązków stąd płynących, lecz życie religijne, łączenie umysłów i serc z Bogiem jako Odwiecznem źródłem prawdy, dobra i piękna.

Nauka religii w wyższych klasach szkoły średniej powinna dążyć do wyrobienia katolickiego poglądu na świat i do życia normującego się na podstawie zasad katolickich. Ma zatem nauka religii pogłębiać stopniowo wiarę, ma uczyć patrzenia się na wszystko ze stanowiska wiary, mierzenia wszystkiego miarą wieczności. Podstawą przekonań i życia na tle wiary jest przekonanie o prawdziwości i Boskiem pochodzeniu Kościoła katolickiego. Dowody, na których opiera się świadoma i szczera uległość dla autorytetu Kościoła, muszą się stać duchową własnością uczniów; ale nie dość na tem, muszą one oprócz przekonania budzić także cześć i miłość synowską dla Kościoła-Matki. Całe wychowanie w szkole ma w katolickim poglądzie na świat i życie znaleść swą ostateczną koncentracyę. Nie doczekamy się charakterów, jeśli n. p. odłączymy życie narodowe od życia religijnego, bo charakter musi być jednolity, nie hołdujący rozmaitym systemom etycznym, nie zespolonym organicznie z sobą. Na tle bezwyznaniowem brak koncentracyi etycznej różnorodnych gałęzi wiedzy; a podział na rozmaite przedmioty wiedzy, powoduje podział człowieka. W następstwie tego mamy ludzi o odmiennem sumieniu prywatnem a publicznem, ludzi nie jednolitych, lecz oportunistycznie hołdujących równocześnie rozmaitym prądom z rozmaitych punktów widzenia. Uczeń, który wyrobi sobie silne przekonanie, że na wszystko ma patrzeć ze stanowiska wiary, oraz w wierze pokocha swą przewodniczkę i nieodstępną towarzyszkę życia, w miarę swego rozwoju duchowego, będzie z popędu niejako samozachowawczego szukał pogłębienia i rozszerzenia swych wiadomości religijnych. Lekkość i płochość, z jaką

dziś wielu młodych porzuca wiarę, jest tylko możliwa tam, gdzie wiara nie zrosła się z życiem, gdzie się o religii i Bogu słuchało bez prawdziwego spotkania się z żywym Bogiem przez wiarę i miłość.

Ponieważ największą trudność stawiają żywej wierze rozmaite mniej lub więcej samolubne popędy, pokusy i upadki moralne, zwłaszcza w latach przejściowych, musi być zadaniem nauki religii torować drogę do wolności etycznej. Samodzielne, świadome i dobrowolne postępowanie według zasad wiary ma być owocem nauki religii. Musi ona człowieka wyzwolić z egoizmu i nauczyć go bezwzględnego pełnienia wszystkich obowiązków, bez oglądania się na pobudki ludzkie i pożytki płynące z ich spełnienia. Dopiero gdy na religii opiera się obowiązki człowieka, zabezpiecza się je przed wykrętami, którymi słabość woli lubi się zasłaniać. Bez religii niema sumienia, a bez sumienia niema etycznego człowieka.

Wychowanie do etycznej wolności wobec licznych popędów, pokus, przeszkód w wieku dojrzewania musi jeszcze uwzględnić przyszłość młodzieńca. Z nauki religii musi on wynieść przekonanie, że wybór stanu i zawodu należy uczynić ze stanowiska wiary, zgodnie z jej ideałami i przepisami. Nauka religii powinna mu w szkole średniej dać głębokie przeświadczenie o istnieniu rozmaitych dróg, wiodących do celu, z których żadna nie jest mu zabroniona, o ile nie sprzeciwia się jego prawdziwemu dobru i prawu do wieczności.

Niech nauka religii nie będzie tylko udzielaniem wiadomości religijnych, które może sobie przyswoić także żyd i poganin, ale wprowadzeniem w życie religijne, oparte na niewzruszonej podstawie zasadniczych cnót, wiary, nadziei i miłości.

II.

Jeżeli nauka religii stawia sobie za cel wychowanie ucznia do życia katolickiego, to metoda nauczania nie może wyłącznie prawie zwracać się do umysłu, lecz równocześnie musi kształcić uczucia i przedewszystkiem wolę. Obecna pedagogika reli-

gijna wybitnie to zaznacza, — owszem można się tu i ówdzie spotkać z przesadną przewagą oddziaływania na uczucia i wolę, częściej w zakresie katechetyki, mniej w nauce religii dla wyższych klas szkoły średniej. W niższych klasach brak jeszcze odpowiedniego podkładu dla samodzielnego kształcenia uczuć, ale w wyższych klasach, młodzież objawia już tyle samodzielności umysłowej i moralnej, że uczucia na komendę wywołane za pomocą metodycznych środków stają się wprost niemożliwemi. Szkoła nie jest domem modlitwy, kościołem, ale szkoła nie może być także wyłącznie salą wykładową nauki religii. Metoda nauki religii ma właśnie to zadanie, aby w szkole uczeń tak kształcił się w religii, jak tego wymagają obowiązki życia religijnego poza szkołą. Wpływ więc nauki religii na uczucia i wolę uczniów będzie przeważnie pośrednim, polegającym na praktycznem, na zasadach rozumu i wiary opartem pouczeniu o konieczności i zaletach wewnętrznego życia. Zadaniem katechety będzie takie podawać prawdy i pobudki religijne, któreby stosownie do rozwoju i indywidualności uczniów wywołały samorodnie w ich duszy religijne uczucia i postanowienia woli. Trzeba dążyć do tego, aby uczeń szczerze zainteresował się swym własnym rozwojem, a zatem trzeba go natchnąć miłością religii, która daje mu jedynie pewne i niewzruszone zasady dla wychowania siebie samego. Żeby się tu strzedz sentymentalizmu i moralizowania i budzić w duszy twórcze siły moralne samorodnie, katecheta powinien uczyć się wiele z nowoczesnych prac z zakresu pedagogiki eksperymentalnej i socyalnej, pedagogicznej psychologii i etyki, tudzież psychologii religijnej i innych specyalnych działów pedagogiki.

Nie może być zamiarem moim, by na kilku stronach dać choćby najogólniejszy zarys metodyki religijnej, — chcę tylko kilka podnieść haseł, których metodyka nie może przeoczyć w dążeniu do reformy nauczania religii.

1. Zasadniczem prawem w nauce religii musi być zupełna szczerość i sumienna ścisłość w podawaniu materyału. Nic nie przemawia tak potężnie do duszy, jak czysta, niesfałszowana, ale w sposób przystępny wyłożona prawda. Ponieważ pra-

wdy wiary opierają się na objawieniu, którego nieomylnym stróżem i tłumaczem jest Kościół, pierwszorzędnem zadaniem metodyki religijnej musi być ustalenie w umyśle i sercu ucznia autorytetu Kościoła jako autorytetu samego Boga. Sposobności do tego nie brak na żadnym stopniu nauki religii; w dogmatyce, w etyce, w historyi Kościoła można znaleźć najwspanialsze dokumenty, które w rękach katechety mogą stać się nieustającem narzędziem wychowania w pietyzmie, uległości i miłości dla Kościoła. Mam tu na myśli zwłaszcza boskie pochodzenie Kościoła, jego przywileje i cechy, jego wpływ na cywilizacyę, cudowne jego rozszerzenie, niespożytą jego siłę wobec licznych i srogich prześladowań, nie blednącą jego młodzieńczą świeżość w przeciwstawieniu do wciąż zmieniających się systemów filozoficznych, niewyczerpaną jego zdolność do oświetlenia i rozwiązania wszystkich na nowo wyłaniających się zagadnień etycznych, jego mistrzowską pedagogikę w wychowaniu zastępów męczenników i wyznawców, jego społeczną działalność w zakresie dzieł miłosierdzia i miłości.

Młodzież wyższych klas szkoły średniej objawia już silną skłonność do samodzielności, a w związku z nią do wyłamania się z pod autorytetu. Dlatego koniecznie należy uzasadnionemu autorytetowi zapewnić stanowcze poszanowanie i bezwzględne posłuszeństwo, ale wystrzegać się przytem nadużycia autorytetu przez niesprawiedliwe ograniczenie słusznych i godziwych pragnień i potrzeb młodzieży. Chęć krytykowania autorytetu jest naturalnym objawem u dorastającego młodzieńca, i wielkiej potrzeba roztropności, by w tym okresie przesadnemi wymaganiami nie podkopać niezbędnej zasady życia katolickiego, jaką jest zasada autorytetu Kościoła.

Szczerość i sumienność w nauce religii wymagają, aby odróżniano dokładnie dogmaty od przyjętych powszechnie w kościele nauk, nie będących dogmatami, następnie prawdy pewne od teologicznych mniemań, hipotez, objaśnień, porównań. Wielu ludzi inteligentnych odwróciło się od wiary dlatego, że miel wątpliwości i trudności do wierzenia w rzeczach, które do wiary się nie odnoszą. Inni znowu zaczynają wątpić o wierze, gdy spo

tykają się z jakiemś tłumaczeniem lub wyjaśnieniem teologicznem, o którem przedtem nie słyszeli.

Odróżnienie dokładne prawd wiary od teologicznych wyjaśnień i dowodzeń ułatwi także zrozumienie stosunku wiedzy do wiary. Tajemnice ścisłe leżą zupełnie poza zakresem wiedzy — rozum nie może ich pojąć, nie może sam z siebie oświadczyć się ani za, ani przeciw tym prawdom. Uczeń powinien mieć jasną świadomość tej niedostateczności naszego rozumu w sprawach wiary. Niech przy każdej tajemnicy uczy się oddać Bogu posłuszeństwo rozumu, skoro P. Bóg tego żąda o nas, niech się uczy nie mędrkować w sprawach wiary św. Tu zdaje mi się, nauka religii pozostawia jeszcze wiele do życzenia, zwłaszcza nauka dogmatyki. Podręczniki nasze jeszcze nie dość odpowiadają celom nauki religii w szkole średniej. Podręcznik dla gimnazyum nie powinien być wyciągiem z dogmatyki dla seminaryów kapłańskich, a zatem systematycznym zbiorem dogmatów z ich dowodami teologicznymi, zaczerpniętymi z Pisma św., z Ojców Kościoła, z soborów powszechnych, z powszechnego przekonania teologów i innych dokumentów Tradycyi kościelnej. Sądzę jednak, że przystępny zarys dogmatyki, któryby prawie wyłącznie uwzględniał „*rationem theologicam*“, z opuszczeniem niemal wszystkich dowodów i bez ścisłego odróżnienia przedmiotu wiary od zdań teologów, także jest nieodpowiednim dla uczniów szkoły średniej. Dążenie do popularnego i przystępnego wykładu dogmatyki może łatwo prowadzić na manowce. Objaśnienia, porównania, analogie, podobieństwa, za pomocą których usiłuje się zbliżać treść dogmatów do poziomu uczniów, uważane bywają przez młodzieńcze umysły, nie przyzwyczajone do ścisłego myślenia, za usiłowanie dowodzenia wiary. A ponieważ w tych popularnych wyjaśnieniach niema i nie może być rzetelnych dowodów, gdyż samego dogmatu się nie udowadnia z rozumu, — więc łatwo budzą się w duszy młodzieńca wątpliwości. Nieostrożna symbolika dogmatów może dać powód do karykaturowania prawd wiary, czego dowodem są n. p. objaśnienia katechizmu przez Niemojewskiego. Porównania i podobieństwa w dogmatyce wydają się dzisiejszemu młodzieńcowi naiwnemi, bo odwracają uwagę od właściwego

przedmiotu wiary i zajmują ją symboliką prawd wiary ze stratą czasu dla nauki i stratą poszanowania dla wielkich prawd religijnych. Bez korzystania z analogii, zachodzącej między dziełami Boga w porządku natury a porządkiem łaski, nie można uczyć dogmatyki, ale trzeba ciągle starać się o to, aby uczeń zdawał sobie sprawę z tego, w czem ta analogia tkwi i gdzie są jej granice. Tego wymaga miłość prawdy, szczerość i ścisłość w nauczaniu religii. Jasny wykład prawd wiary bez swobodnego upraszczania i fałszowania za pomocą nieostrożnego obrazowania musi być pierwszym postulatem metody w dogmatyce szkół średnich. Nie jest to tak łatwą sprawą, jak się na pozór zdawać może: łatwiej odtwarza się pędzlem róże stylizowane niż pełne i bogate w liście kwiaty z natury. Najbardziej może tu ułatwić naukę religii ustawiczne uwzględnienie związku, który zachodzi między poszczególnymi dogmatami, tak by jednolitość i harmonia prawd nadprzyrodzonych chroniła przed powątpiewaniami o szczegółach. Dogmatyka szczegółowa musi uczniowi dać zwarty pogląd na świat i wieczność ze stanowiska wiary, pogląd tak konsekwentny, by uczeń jasno zrozumiał, że odrzucając choćby jeden dogmat musiałby porzucić odrazu całą wiarę katolicką. Student, któryby wyniósł z nauki religii taki pogląd katolicki na świat i życie, nie mógłby się odwrócić od wiary i Kościoła lekko i bez żalu, jak to coraz częściej dziś widzieć można. Dopiero, gdyby zepsucie moralne zmieniło już całą fizyognomię człowieka, mogłoby się sprawdzić słowo Pisma: „Człowiek cielesny nie pojmuje, co jest Ducha Bożego". Uczciwie szukającemu prawdy dopomoże Bóg w trudnościach, z jakiemi łączy się dziś wiara wśród niewierzącego otoczenia, albowiem Bóg nie opuszcza nikogo, od którego przedtem nie został opuszczonym. Niełatwo przychodzi nawet zepsutemu już i lekkomyślnemu młodzieńcowi, który nie uczęszcza już do kościoła i Sakramentów św., porzucić zupełnie i otwarcie wiarę katolicką. Natomiast chętnie zadowalają się tacy jakimś połowicznym katolicyzmem, przykrojonym wedle własnego gustu, a więc w duchu protestantyzmu i modernizmu. Wierzą w te prawdy katolickie, które uznają i aprobują od siebie, nie przyjmują zaś tych, które nie przemawiają do ich rozumu,

lub raczej przemawiają do nich przykrym tonem wyrzutów sumienia i gróźb Bożych. Tak stwarzają sobie karykaturę katolicyzmu, która nie może już dla nich być mądrością życia i moralną ostoją w burzach namiętności.

Dzisiaj domagają się wszyscy niemal katecheci większego uwzględnienia apologetyki i bez wątpienia mają w tem słuszność. W trzeciej części tego artykułu podam plan dla korzystnego wprowadzenia apologetyki do klasy VIII., na razie zaznaczam tylko, że w piątej klasie apologetyka nie może spełnić swego zadania, choćby z powodu niewyrobionej jeszcze umysłowości ucznia. Nie podobna, aby uczeń V lub VI klasy bez systematycznego wykształcenia w najprostszych zasadach zdrowej filozofii i bez wiadomości teologicznych mógł gruntowne dawać odpowiedzi na zarzuty przeciw wierze, oparte na zupełnie odmiennych założeniach, na systemach filozoficznych, w których brak mu wszelkiej oryentacyi.

Apologetyka może w szkole uwzględnić tylko najpospolitsze zarzuty, podnoszone przeciw wierze, oraz wyjaśnić trudności, które się uczniom nasuwają bez osobnego pouczenia ich o wrogich wierze prądach. Byłoby to błędem nie do przebaczenia, gdyby katecheta nie chciał odpowiadać na pytania, które stawia mu uczeń nie z zuchwalstwa, ale ze szczerej chęci poznania prawdy, nie uchybiając przeciw należnej skromności i czci dla Kościoła św. Bardziej jeszcze niepedagogicznie postąpiłby, gdyby zbywał inteligentnego ucznia niczem, lub nawet ofukał go, jako głupca, który się na takich rzeczach nie rozumie. Na mocy słów św. Piotra o wierze, będącej „*obsequium rationabile*“ uczeń ma do tego prawo. Natomiast wynajdywanie i umyślne uzasadnianie trudności przeciw wierze, zdaje się mi być szkodliwem dla ucznia szkoły średniej. Wyszukiwanie zarzutów i ich zbijanie zapomocą rozmaitych dowodów budzi u uczniów podejrzenie, że katecheta chce wymusić niejako wiarę przez nagromadzenie racyi i faktów, że zatem są poważne racye ze strony niedowiarków, z którymi się boryka. Zwyczajnie bywa tak, że tylko zdolni uczniowie zdają sobie sprawę z dowodów, a ogół zostaje obojętny lub nawet wynosi pewną nieufność narazie do niezrozumianych wyjaśnień,

później do samych prawd wiary. Apologetyka, która się nie liczy z psychologią wieku młodocianego nie może być zdrową w szkole średniej.

2. Nauka religii musi prawdę katolicką przedstawić nie w sposób suchy i abstrakcyjny, zwracający się bezpośrednio do rozumu i dopiero pośrednio do uczuć i woli, lecz w sposób barwny i wzniosły, przemawiający do wyobraźni i serca ucznia za pomocą swego nadprzyrodzonego piękna. Prawdy religijne mają duszę młodzieńczą oczyszczać i uszlachetniać, wskazywać jej wspaniałe cele i ideały, przepełniać ją radością i uzdalniać także do odczucia najwznioślejszych i najczystszych arcydzieł chrześcijańskiej poezyi i sztuki. Nie brak do tego sposobności na wszystkich stopniach nauki religii. Nie mam tu na myśli upiększenia lekcyi za pomocą przykładów lub illustracyi i opowiadań, lecz myślę o wewnętrznej piękności chrystyanizmu, t. j. o wspaniałym ładzie i związku dogmatów, o ich „estetyce", jak też o ich zlaniu się w cudny obraz nadprzyrodzonego świata, będącego uwieńczeniem ładu, porządku i piękna w przyrodzie. Nie tu miejsce do rozwinięcia tej myśli, wystarczy wskazać na „Tajemnice chrześcijaństwa" Scheebena, lub „Wewnętrzną piękność chrystyanizmu" Lingensa, lub „Estetykę dogmatu" Souben'a i podobne prace, które katecheta powinien uwzględniać przy nauce religii, oczywiście stosownie do poziomu umysłowego uczniów.

Podobnie trzeba w etyce ciągle podkreślać piękność cnót moralnych, jak szlachectwo prawości i szczerości, czar niewinności, męskość niewzruszonych zasad, nieustraszoność i stateczność woli, łagodny i ujmujący powab cierpliwości i cichości, blask tryumfującej nad wszystkiem miłości.

Historya Kościoła wciąż nastręcza sposobność do ukazywania nadprzyrodzonej piękności religii katolickiej w jej wpływie na najszlachetniejsze serca i na całą cywilizacyę ludzkości.

W tem wszystkiem nie potrzeba sztucznego wywoływania uczuć, lecz tylko odpowiedniego przedstawienia „blasku prawdy", czyli istotnego piękna religijnego.

3. Na estetyce dogmatów i cnót nie można poprzestać, bo celem nauki religii ma być czyn, t. j. życie religijne ucz-

nia według zasad wiary i obyczajności katolickiej. Religia nie jest poezyą wieczności, w której człowiek znajduje schronienie i pociechę, ilekroć doczesne życie staje się dla niego pustem i beznadziejnem, religia jest rzeczywistą potęgą moralną, która z łączności z Bogiem spływa na słabe siły człowieka, aby je umacniać i przemieniać dla zwycięskiego potykania się z zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami duszy. Dogmatyka powinna wyjaśnić uczniowi genezę pożądliwości i pokus, racye, dla których P. Bóg dopuścił do wewnętrznej rozterki między wyższą a niższą częścią naszego jestestwa, oraz wskazać na zwycięską moc łaski, płynącej z zasług krzyża, i dostępnej nam zawsze przez uczęszczanie do Sakramentów świętych. Etyka z innego znowu stanowiska ma uczniowi pomagać do współdziałania z łaską, uwydatniając dobitnie, że życie obyczajne, zacność i stałość charakteru, nie mogą być osiągnięte w praktyce bez korzystania z nadprzyrodzonych środków łaski, bez nadprzyrodzonych cnót i bez modlitwy! Krótko mówiąc, nauka religii musi w wysokim stopniu uwzględnić zdrową ascezę i uczyć wychowanka sztuki wychowania siebie samego, zwalczania pokus i opanowania żądz, zwłaszcza, że w okresie dojrzewania młodzieniec widzi się nagle wobec nowych, dotąd nieznanych trudności, w których bez pomocy kierownika nie umie sobie radzić.

Indywidualne duszpasterstwo w konfesyonale lub z okazyi prywatnych rozmów, oraz egzorty szkolne uzupełnią naukę szkolną w praktycznym kierunku, ale nie mogą zastąpić systematycznego uwzględnienia ascetyki przy nauce religii. W spowiedzi może kierownik duszy tylko o tyle kierować życiem wewnętrznem ucznia, o ile ten mu odsłoni swą duszę. Ale aby uczeń mógł zdawać sobie sprawę z namiętności i popędów swoich, z rozmaitych poruszeń duszy i pokus musi mieć ascetyczne wykształcenie. Bardzo mądrze określa przepis ministeryalny egzortę za część integralną nauki religii, obowiązkową dla ucznia nie mniej niż każda godzina szkolna. Egzorty stanowią jako ascetyczne instrukcye i praktyczna szkoła uczuć i postanowień woli konieczne uzupełnienie nauki w szkole, dlatego też należą do katechety i powinny być z reguły udzielane przez niego samego.

Nie mniej ważnym czynnikiem religijnego wychowania jest lektura odpowiednich książek religijnych z zakresu ascetyki, hagiografii, etyki, apologetyki i innych działów literatury religijnej. Do tej lektury powinien katecheta zachęcać słowem, a częściej praktycznym przykładem przez odczytywanie, w związku z przedmiotem lekcyi, krótkich, a wyborowych ustępów z Ewangelii lub innych ksiąg Pisma św., z literatury Ojców Kościoła, z pism wybitnych pisarzy kościelnych i Świętych, z celniejszych dzieł ascetycznych, z wyznań konwertytów, z historyi miłosierdzia chrześcijańskiego, z historyi misyjnej i t. p. dzieł. W ten sposób obudzi się zainteresowanie ucznia dla lektury religijnej i przez nią chęć do szlachetnego życia w duchu wiary katolickiej. Uczeń, który w gimnazyum nie znajdzie pobudki do samodzielnego kształcenia się w religii przez odpowiednią lekturę, w poźniejszem życiu — z małymi chyba wyjątkami przejdzie też obojętnie nad literaturą katolicką do spraw czysto świeckich i zostawi ją księżom i klerykom do „fachowego“ studyowania. Nadto trzeba uczyć czytania, którego owocem ma być wychowanie siebie samego t. j. praca nad wykorzenieniem grzechów i nieuporządkowanych żądz, i kształcenie charakteru na tle oświeconej wiary i mądrości Ewangelii. Czytanie takie styka się blizko z rozmyślaniem, trudno zaś żądać, aby młodzież sama wpadła na ten środek wyrobienia siebie, który wymaga wytrwałego wysiłku i dlatego częstej zachęty.

Dla osiągnienia duszpasterskiego swego zadania względem uczniów powinien katecheta ze szczególniejszą starannością dbać o jak najkorzystniejsze warunki dla rekolekcyi, odbywających się corocznie w zakładach szkoły średniej. W angielskiem sprawozdaniu z obecnego międzynarodowego stanu nauki moralności w szkołach, pisze ks. Maher, dyrektor zakładu w Stonyhurst: „Przyznaję szczerze, że oglądając się na swoje doświadczenia jako ucznia, profesora i kierownika „Ćwiczeń duchownych“, chciałbym stwierdzić, że takie szczególne ćwiczenia są najskuteczniejszym ze wszystkich środków wychowawczych, którymi w szkołach naszych rozporządzamy. Do tego, co jest najlepszem w chłopcu, przemawia się w najodpowiedniejszym czasie,

t. j. na początku roku szkolnego. Znałem wielu chłopców, odnoszących zupełną zmianę życia i początek nowego kierunku w życiu do tych lub owych rekolekcyi, podczas gdy przeważna część uczniów odbiera tu przynajmniej żywszą pobudkę do wyższych ideałów i poważniejszego pojmowania życia".

(M. E. Sadler, „Moral Instruction and Training in Schools. Report of an international inquiry. II. volumes, London 1909. vol. I. p. 169. Cytowane w „Pharus", Monatsschrift für Pädagogik, Donauwörth 1910. t. I. S. 11.).

4. W naszych wreszcie czasach nauka religii musi mieć na oku socyalne i narodowe potrzeby wychowania. Religia jest jedyną niewzruszoną podstawą wszystkich obowiązków, gdyż je uzasadnia i uświęca odniesieniem ich do Boga i wieczności. Nauka religii powinna zatem uczyć cnót socyalnych, jak prawdomowności, sprawiedliwości względem wszystkich, miłosierdzia dla ubogich i cierpiących, oszczędności, pracowitości, wstrzemięźliwości i poświęcenia dla bliźnich. Nauka religii powinna nacisk położyć na obowiązek miłości ojczyzny i czynnej ofiarności dla sprawy narodowej, i to tem bardziej, że w warunkach podległościowej Polski ojczyzna nie może zmusić przemocą fizyczną do publicznego podatku narodowego i do pracy dla dobra narodu, lecz musi się odezwać do sumienia każdej jednostki. Praca nad ekonomicznem i moralnem odrodzeniem Polski w warunkach, w których to zadanie jest zwykle połączonem z osobistemi stratami i aż zbyt często spotyka się z niewdzięcznością ziomków, tylko na podstawie obowiązku, płynącego z religii, urzeczywistnioną być może.

Religia jest podwaliną społeczeństw, a w szczególności religia katolicka jest religią społeczną, jak to pokazują rozmaite objawy publicznej czci i solidarności w wierze i życiu katolickiem. Katecheta powinien tę solidarność, opartą na wspólności wiary i wzajemnej miłości w Chrystusie, pielęgnować w sercach uczniów przez wspólne praktyki religijne, komunie generalne, wspólne adoracye i tym podobne nabożeństwa. Niech w szczególniejszy sposób wyzyska tu naukę o Przenajśw. Sakramencie, który jest węzłem jedności i miłości chrześcijańskiej. Niech też

katecheta zaprawia uczniów do uczestniczenia w stowarzyszeniach katolickich, do których uczeń należeć może w obrębie przepisów szkolnych. Dziś pedagogowie coraz powszechniej rozumieją, jak potężny wpływ na wyrobienie samodzielności uczniów wywiera ich organizacya w rozmaitych kierunkach młodzieńczych dążności. Gminy szkolne, drużyny skautowe, rozmaite kółka samokształcenia się, choć brak im często jeszcze ustalonych i zdrowych norm, zdradzają w każdym razie twórczą i zdrową myśl, której mądry katecheta nie może sobie lekceważyć. Kościół zna od wieków autonomiczne zrzeszenia się młodzieży pod kierunkiem doświadczonych kierowników celem kształcenia charakteru katolickiego i przygotowania młodzieży do publicznego życia religijnego. Są niemi kongregacye maryańskie dla młodzieży, skupiającej się dla osiągnięcia tych celów pod sztandarem ideału Przeczystej i Niepokalanej Dziewicy Maryi. Kongregacya Maryańska była zrazu pomyślaną dla uczącej się młodzieży, dopiero później rozszerzoną została do rozmaitych warstw i klas społeczeństwa katolickiego. Niestety wielu jeszcze katechetów nie docenia znaczenia kongregacyi Maryańskiej dla młodzieży i wogóle stowarzyszania się dla idei religijnej i dlatego potępia wszystkie bractwa i związki młodzieży, jedni pod pozorem, że są duszpasterzami wszystkich uczniów, nie jakichś grup tylko z nich, inni pod pozorem, że przepisy szkolne się temu sprzeciwiają, co jednak nie jest wcale prawdą wobec stowarzyszeń czysto religijnych (Por. reskrypt c. k. krajowej Rady szkolnej Dolnej Austryi z 4 czerwca 1907. L. 2014/4 — I. do c. k. gimnazyum państwowego w Wiedniu XVII).

Myśl solidarności katolickiej mogą także obudzić wspólne pogadanki uczniów z katechetą, kółka etyczne i społeczne, ligi eucharystyczne i podobne socyalne zrzeszenia się uczniów. Wobec zastraszającego napływu izraelickiego żywiołu do naszych szkół średnich, poczucie katolickiej łączności i solidarności jest tem bardziej dziś aktualne.

Ile wykształcenia i pedagogicznego taktu, ile pracy i modlitwy potrzeba katechecie, aby mógł sprostać wymaganiom, jakie

stawia mu wychowanie religijne uczniów tak pojęte, to nietrudne do zrozumienia.

„Jest jeden zawód kapłański, pisze pedagog Schrörs, któremuby się chciało życzyć szczególniejszego wykształcenia naukowego i to takiego, by znacznie przewyższyło ogólny poziom wiedzy: jest nim zawód katechety szkoły średniej. Wszak od niego zależy głównie, czy młodzież katolicka na uniwersytecie i w życiu zachowa wiarę i pozostanie wierną Kościołowi. Bez wątpienia trzeba tu wielki położyć nacisk na osobistość katechety, t. j. na religijną i moralną wartość i wielkość jego charakteru, ale i natłoczona miara wielostronnego wykształcenia jest niezbędną".[1]

---

[1] Schrörs, Gedanken über zeitgemässe Erziehung und Bildung der Geistlichen. Paderborn, Schöningh 1910. S. 194.

Ks. E. Matzel.

O Skardze „największym wichrzycielu Rzeczypospolitej".

III.

Poglądy Skargi na tolerancyę religijną.

Skarga był „fanatykiem" jeszcze przed wstąpieniem do zakonu. Sam miał „zelum o chwałę bożą" i chciał, żeby go inni mieli. Nie podobali mu się „owi phlegmatycy", co to „jako barszczykowie rzeczy dobrych, świętych, Boskich, sprawiedliwych, popierać y gorąco ich odprawować nie mogą. Ani ciepli ani zimni, ale rozmokli, iako zmokła kokosz, tak się ruszaią, nic nie sprawią, y wyrzucenia godni są wedle Pisma". (Kazania na niedziele i święta r. 1595. str. 313).

Zżymał się na „oziębłość, nikczemność y ziewanie flegmatyckie katholików niektórych: którzy nie patrzą na koniec, do którego wszytkie herezye zmierzaią", bojąc się gniewu heretyków, chociaż to tylko „straszydła około prosa, (nie na „prosię", jak p. Sobieski w „Nienawiści" str. 94. pisze) które się z mieysca nie ruszaią". (421) Z fanatyzmu „puścił probostwo rohatyńskie a gorące serce swe obrócił do kaznodzieystwa". Już jako ksiądz świecki „heretyki nawracał", do więzień chodził, aby złoczyńcy „na duszach nie ginęli"; skazanych „prowadził na plac", krucyfiks przed nimi trzymając.

Na wyjezdnem do Rzymu wstąpił do Gródka, żeby wojewodę M. Mieleckiego i jego żonę do katolickiej wiary pozyskać, za co narazie omal do fosy z mostu zamkowego nie został zrzucony; ale później za ową „nietolerancyę" odniósł pociechę, bo Mieleccy stali się „fanatykami" katolickimi.

W Rzymie „stał się cały energią twórczą, która wzrosła niepospolicie po wstąpieniu do zakonu". W zakonie, „nie mógł nie rozpalić się religijnie do fanatyzmu", który to fanatyzm, „stanowił obok miłości ojczyzny najpotężniejsze natchnienie polemik, kazań, traktatów teologicznych".[1]

Jako członek Kościoła wojującego, żyjący w czasach, kiedy Kościół po soborze trydenckim zaczął walkę o odzyskanie utraconych w zamęcie reformacyi placówek, poczuwał się do obowiązku walki z różnowierstwem.

Pojmując Kościół „iako woysko na woynie pięknie uszykowane y na trzy części rozdzielone" (księża jako urzędnicy, laicy jako żołnierze, a trzecia zakonnicy i mniszy) — rozumiał dobrze, jaka rola w tej walce zakonom przypadła. „Iedni iako na zamkach y wieżach rozsadzeni y w nocy y we dnie straż trzymaią; drudzy przed ufami biegaią i nieprzyiacielskie woysko trwożą y trapią; drudzy na harcach poiedynkowych żołnierze zaprawuią y sami mężnie wygrawaią i dobrą myśl a serce mężne drugim czynią". — (O poświęceniu księżey kazanie wtóre).

Własny zakon porównywał do zamku na Syonie i jako rektor wileński zachęcał w jednej z egzort swych współbraci do naprawiania murów tego zamku przez odnowienie ślubów zakonnych, do pilnowania zapór i zamków u jego bram przez przestrzeganie zakonnych reguł. (Ossol. Rkp. 1117. str. 276).

Sam na defenzywie nie poprzestawał, ale jako „turbatorum antesignanus" przed ufami biegał, w wojsku nieprzyjacielskiem turby czynił, i mężnie wygrawał a bojaźliwszym serca dodawał.

„Ognistym kazaniém swym wypalał z nich kacerstwa.., których potym do Kościoła katholickiego prowadził: między któremi wiele było woiewodów, kasztellanów, samych ministrów

[1] *T. Grabowski*: Piotr Skarga 277. i Pamiętnik literacki XI. 537.

kila,[1] białychgłów znaczney familiey wiele, szlachty inney nad zamiar...

Nie wspominam dworzan J. K. M., komorników, pacholąt, żołnierzów, odźwiernych, z których wiele z trądu heretyckiego oczyścił". (Birkowski).

Ten „zelus" czy „fanatyzm" Skargi nie przeszkadzał mu okazywać tyle tolerancyi dla różnowierców, ile rzadko który ze współczesnych mu ludzi okazywał; tyle, ile chyba żaden z dysydentów nie okazywał jej katolikom; w każdym razie znacznie więcej, aniżeli w dzisiejszych czasach „wolności sumień i przekonań" doznają jej katolicy w niektórych krajach, gdzie albo „wolna myśl" rządzi albo gdzie schizma czy protestantyzm panuje.

Skarga zwalczał herezye, bo uważał je za złe, ale miał wyrozumienie dla ludzi: „złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy — mawiał — złe odszczepieństwo, ale krew miła; złe grzechy, ale krewkość użalenia godna". (405).

Jego tolerancya dla ludzi płynęła nie tylko z pobudek czysto ludzkich, ale opierała się także na słowach Pisma św.: „Sinite eos crescere usque ad messem", których to słów często używał za dowód, że katolicy na wojnę domową nie trąbią; a stosował je także do dysydentów i wytykał im, że wszędzie, gdzie górę wzięli, nie stosowali tego przepisu do katolików, ale ich u siebie nie cierpieli: „Czemużeście nie mówili wtenczas, mili Ewangielicy: Sinite crescere... Czemużeście na exkomunikacyey nie stanęli?" (446).

Była to jakby praktyczna dla Skargi racya tolerancyi, bo „wszystkie zaraz heretyctwa wypleć: to niepodobieństwo, zwłaszcza gdzie się zaspało y omieszkało, a gdzie się ich tak namnożyło, iż bez szkody pszenice plewidło być nie może". (445).

Należało więc wedle Skargi cierpieć herezye, zwłaszcza, że „niemądry zelum Pan w czeladzce swey gani".

„Kąkolu wedle Pańskiej nauki nie wypelać, gdy się iego korzeń z korzeniem pszenice zroście y uplecie, to rozum y gospodarswo: ale kąkol podsiewać między pszenice, to dyabelskie, jako

[1] Między nimi był „Adamus Copichus, triginta annos repurgatae.. religionis magister" (*Rostwski* l. c. 133).

Pan sam mówi, dzieło : którego czynić abo go dopuszczać nigdy się nie godzi". (460).

Otóż przeciw takiemu podsiewaniu kąkolu zawsze występował i był przekonany, że to także powinien czynić katolicki rząd, skoro jednym z celów królestw i rzeczypospolitych jest : „żeby do dóbr wiecznych y zbawienia a ostatniego nawyższego szczęścia pomagały". (432).

Herezyom należało kłaść tamę głównie dlatego, że dusze gubią, a także i z pobudek doczesnych, skoro waśń i nienawiść między ludzi wznoszą, przez rozłam religijny do wojen mogą doprowadzić, a i bez tego państwo podkopują.[1]

Dlatego też nawoływał biskupów do wojny duchowej z herezyą przez nadzór plebanów, wizytacye dyecezyi, fundowanie seminaryów i szkół kapłańskich „a nie długo heretyki pokonamy prawdą, pismem, kazaniem, dysputacyą, przykłady, miłością ku nim, y ludzkością, y modlitwą za nie, y gęstymi u świętych ołtarzów ofiarami". (413).

Taką wojnę uważał za wskazaną i skuteczną, powołując się na fakt, że dysydentów, „znacznieć z łaski Boskiey ubywa, dzieci wasze rozumu was nauczają, rzadki syn, któryby z herezyey oyca swego nie wychodził, dziwuiąc się, co się panu oycu śniło, iż tak... wielkim y powszechnym kościołem Bożym wzgardził, a do takich nowinek i niestatku przystał". (412).

Na inną wojnę nie trąbił, chociaż mu to nieraz heretycy zarzucali, podnosząc jego walkę przeciw konfederacyi warszawskiej, ale i przestrzegał też przed wojną dysydentów :

„Nie radzę do woyny, bo katholicy iako wołowie, y duże konie, nie czuią się w mocy swey, ażby ie wielki przymus ściskał". (413).

[1] Niektóre z racyi, dla jakich Skarga zwalczał hererezye, uznaje i prof. Chrzanowski za słuszne np. że różnowierstwo w czasach Skargi było w Polsce kością niezgody państwowej i sąsiedzkiej (Kaz. sejm. 1912. str. 69), że zgoda religijna może istnieć tylko w kościele katolickim a próby połączenia sekt polskich były nieudane, „bo nie było jednego sędziego" (str. 68); że niektóre sekty były niebezpieczne dla państwa, zwłaszcza aryańska: „Skarga miał słuszność, atakując ze stanowiska państwowego naukę aryańską" (74); uznaje także za słuszny, ale jednostronny (?) zarzut niesprawiedliwości, jakiej się dopuszczali różnowiercy przez „łupiestwa kościołów" (70).

„Nam nie potrzeba woyny domowey odradzać. Byście nam tyle stokroć krzywdy czynili, katholicy cicho y przy prawie pospolitym stać będą. Nie są tak źli y głupi". (453).

„Wiedzą, iż Confederacya zła, ale sąsiedzka woyna gorsza, w którey zła wygrana, zła przegrana, za którą zwątlenie wszytkiey siły... y upadek królestwa następuią". Dlatego też katolicy „heretykom wiele ustępuią y iako chorey braciey, y w głowę zaszłey folguią, y nie szukaią nowego prawa na tak ciężkie y wielkie krzywdy swoie y kościoła swego". (455).

Czynią to w przekonaniu, że „barziey ie do pokoiu wiąże y zniewala miłość ku braciey, y cierpliwość a cichość Chrystusowa, y rozumienie chorym głowom, które na czas od siebie odchodzą y oczekiwanie a dobra nadzieia upamiętania ich". (417).

Katolicy pokrzywdzeni „w swoich kościołach y w zamieszkach y turbacyach Rzeczypospolitej z cierpliwością to znosili y znoszą nie rok ani dwa" a „maiąc moc na heretyki, y na ich słabość y drobność patrząc... wiele im ustąpili, czego im sama sprawiedliwość nie dopuściła. Bo naprzód nie cisnęli ich ani przymuszali, aby się do wiary katholickiey wrócili... y do tego czasu przyciśnienia tego nie maią, któreby wedle sprawiedliwości być miało. Y to im pozwolono, czego im prawo broni : iż urzędy maią, iż w radzie pańskiey siedzą, iż żadnego dignitarstwa nie masz, od któregoby ie odsadzono... Wszak y w swoich imionach ministry chowaią. Coby nie miało być, by się katholicy za iurisdycyą duchownych swoich... wziąć chcieli". (453).

Katolicy ustępują dysydentom „y pokoiu dotrzymawaią, więcej niżli zatrzymanie wiary y pomnożenie ich nabożeństwa potrzebuie". ...„Acz nie wszytkiego nam duchowni naszy chwalą : iednak wiele przebaczaią, ugadzaiąc wrzodom y niemocy waszey, póki się nie zleczy" (413).

Do takich rzeczy, które Skarga w teoryi uważał za uzasadnione, w praktyce jednakże za niełatwe do przeprowadzenia, zaliczał między innemi zniewolenie heretyków ku powrotowi do Kościoła katolickiego. Na ogół takiego zniewalania nie uważał za wskazane. Katolicy „wiedzą, iż zniewolenie trwałości nie ma, a co się z niechęci poczyna, prędko ustaie, acz też bywa, iż co się

z musu pocznie, miłością się kończy" i dlatego utrzymywał „barzo sobie dobrze tuszymy, iż... bez domowych rozruchów was bystre ptaki unosim, y tam skądeście wyszli za pomocą ręki Boskiey posadzim". (412).

Na pytanie „godzili się takich przymuszać, aby się wrócili do domu, z którego wyszli" — odpowiada w teoryi twierdząco, powołując się na teksty Pisma św. i na wywody św. Augustyna, rozbierającego tekst: „Przymuś, aby weszli" (Łuk. XIV. 23) i powołującego się na Chrystusa Pana, który Szawła do uznania prawdy przycisnął.

Wyróżnia przytem niewiernych (Poganie, Turcy, Żydowie, Tatarzy) od tych, którzy chrzest przyjęli „y śluby na chrzcie abo na professyey P. Bogu uczyniwszy, odstąpili". Pierwszych „przymuszać się nie godzi do wiary Chrystusowey, która dobrowolnych sług Bogu potrzebuie. Ale do słuchania y kazania Ewangieliey, przymuszać się mogą bez gwałtu do wiary, żeby się przywabiali, namawiali, a nie przymuszali". (Kazania 1595. str. 289).

Na odstępców od Kościoła katolickiego ludzie i urzędy „prawo maią, aby ie karaniem do kościoła św. y do przywrócenia ślubów swoich przywodzili. Bo rzecz iest barzo sprawiedliwa, aby każdy oddawał to P. Bogu, co obiecał", aby innych „złą nauką swoią nie zarażał", „aby sam nie ginął, a do siebie przyszedł".

Trapienia i pogróżki pomagają heretykom do upamiętania — „bo rozmaici są ludzie y głowy tych, co w herezyą upadaią. Iedni ludziom k'woli, panom, abo powinnym, abo rodzicom do błędów idą, nie z rozmysłu, ani z baczenia, ani z wywodów Pisma, którego drudzy nie rozumieią y czytać nie umieią".

„Takim, co tylo na ludzie inne patrzą, abo się ich obrazić boią (a jest ich podobno nawiecey) łacno pogrożeniem pomoc".

Bardzo wiele jest i takich, „co się w herezyey sobie wtęsknili, y widzą błędy, ale się ludzi wstydzą... Ci tylo przyczyny iakiey czekaią, za którąby udatnie bez przymówki o niestatek, wrócić się do kościoła mogli. A pewnieby ią mieli radzi, gdyby im urząd kazał y pogroził".

„Trzeci są zwiedzeni od ministrów, iż tak rozumieią, że to szczera prawda, na którey się zasadzili: y tak się na to spuścili,

iż się iuż daley o prawdzie pytać nie chcą. Tymby też wielce pomogła pogróżka. Boby się o prawdzie pytali, a obaczywszy, w iakim błędzie zostaią, wróciliby się do dobrego".

Podobnie i ci, co „oyce y dziady takie mieli, y na nie ukazuią, y ich się przykładem szczycą: nie wiedząc, na czym oni się potknęli... w oycowskie drogi by weyrzeli, iako y iako dawno, y z iaką omyłką w dół on wpadli".

Skarga przypuszcza, że i tacy, co „mnimaią, iż każda wiara dobra, y zbawion w niey każdy być może, byle dobrym był, a grzechów się ustrzegł, ...to szkodliwe mnimanie łacnoby zrzucili, by im kto pogroził a ukazał, iż bez wiary, która iedna iest, żaden... zbawion być nie może". Przypuszcza nawet, że i „uporni a biegli w pismie, y wielce swarliwi, ale barzo świetcy, którzy więcey miłuią maiętność, rozkoszy y zdrowie"... naciśnięci przez urząd, upamiętaliby się. — „Acz na przodku nie z chuci, ale przypatruiąc się potym rzeczom y prawdzie, y woląby swoię dobrą skłonili, y dziękowaliby onym, co ich przymusili".

Wątpił tylko w nawrócenie takich, „którzy przeciw św. Duchowi bluźnią... iacy są drudzy nowochrzczeńscy ministrowie... Takim rzadko co pomoc może". (Kazanie na 2-gą Niedzielę po Świątkach).

Do uproszenia łaski nawrócenia opornym, Skarga nieraz katolików wzywał, a nie ma racyi wątpić, że sam się często za takich modlił. Radby był przywieść wszystkich do jednej owczarni, a nawet użyć do tego zniewolenia, ale że to było w praktyce niemożliwe, zostawiał wszystko czasowi, „aby młode rozumy postanowiły się, a k sobie przychodziły, a nauką y wywody prawdy Bożey światłość brały". Takich się „y nie karze y przegląda nierozumy ich, y maią pokoy, iakiego w Conf. chcą; maią wolność, w którey zginąć mogą, kiedy chcą; nie masz na nie inquisicyey, nie masz sądów onych w prawie na nie opisanych... nie konfiszkuią ich bona, nie sadzaią ich do więzienia, ani z ziemie wywoływaią... siedzą w wielkim pokoiu, żaden się im urząd nie przykrzy". (457).

Z tego, co Skarga na różnych miejscach o różnowierstwie pisze, widać nawet, że nie byłby przeciwny państwowemu poko-

jowi z dysydentami, byleby ten pokój nie otwierał wrót wilkom do owczarni i byleby dawał gwarancyę, że się krzywdy wyrządzone kościołowi nagrodzi, byleby wreszcie stanęła „kompozycya", do jakiej się zobowiązali dysydenci w konfederacyi warszawskiej. Na pokój religijny, któryby przypominał przynajmniej edykt nantejski, albo pokój augsburski, byłby Skarga się godził, ale dysydenci polscy domagali się ustępstw o wiele większych, ustępstw takich, jakich różnowiercom nigdzie w Europie nie przyznawano i to nie tylko w czasach Skargi, ale i w czasach o wiele późniejszych.

Dysydentom polskim nie wystarczała wolność sumienia, której im Skarga nie przeczył. „Darmo się (ten obrońca) na to żałuie, iż ich sumnienia ściskamy y przyniewalamy... Któż ci nad szyią stoi, abyś z musu wierzył, iako każą: Iuż nie mówim: musisz wierzyć iako kościół naucza: ale tylo mówim: wróć, coś wydarł, day Bogu, co jest Boże, a ostatka mi wżdy nie wydzieray: a on Confederacyą wszytkiego zbyć chce" (453).

Dysydenci domagali się nietylko utrzymania konfederacyi warszawskiej, której stan duchowny i znaczna część katolików za prawo nie uważali, alę próbowali nawet na sejmach przeprowadzić „proces na konfederacyę", któryby im jeszcze więcej dawał, aniżeli dawała konfederacya.

Przeciw temu walczył stan duchowny, zwalczał to i Skarga, bo to już nie tolerancya dla sumień, ale zapewnienie rozwoju herezyom ze szkodą Kościoła.

Na tolerancyę Skarga się godził, — przeciw protegowaniu herezyi zawsze występował.

„Ina rzecz cierpieć y znosić herezye, gdy się ukarać bez tumultów y szkody katholickiey nie mogą. Ina rzecz wolność im dawać, y one w pszenicy podsiewać. Ina rzecz prawem pospolitym obronę im gotować, y nieiako ie pochwalać". (446).

Skarga, jako kapłan katolicki, nie mógł za „obroną herezyi" przemawiać, bo tego nie pozwalało katolikom sumienie i to nie tylko w czasach Zygmunta III. — Za to też nazywa go „myśl niepodległa" nietolerantem i fanatykiem, mimo, że sama zwalcza

fanatycznie wszelkie myśli „wyznaniowe“ a przedewszystkiem ideę katolicką.

Za zwalczanie konfederacyi warszawskiej uważa Skargę i prof. Chrzanowski za nietoleranta, chociaż nie tak „fanatycznego“ jak n. p. Hozyusza (Kazania sejmowe. 75). Jego nietolerancya była „uczciwsza, lepsza, mniej fanatyczna“ (84). Był nietolerantem „dlatego, że być nim musiał... ci zaś, którzy tego nie rozumieją, bądź też rozumieć nie chcą, którzy go odsądzają od czci i wiary, i bez żadnych zastrzeżeń piętnują jego fanatyzm religijny... wystawiają sobie bądź wymowne świadectwo ciasnoty umysłu, niezdolnego do pojmowania ducha przeszłości, bądź też nie mniej wymowne świadectwo — złej woli“. (76).

Według prof. Chrzanowskiego, Skarga prawdziwym tolerantem być nie mógł, skoro obcym mu był „powszechno-religijny teizm czyli panenteizm, ten najpiękniejszy kwiat umysłowości odrodzenia“ (78), „Przy miękkiem, czułem, szlachetnem sercu, przy zdrowym rozsądku ..nie posiadał jednak w zakresie rozmyślań o religii i wierze, śmiałego, ufnego we własne siły rozumu!“ (87).

Istotnie. Skarga tak wypolerowanego intellektu nie posiadał. Zdrowy rozsądek mówił mu, że konfederacya, która wszystkie możliwe sekty każe ochraniać „ze wszytkich wiar y rzeczy wszytkich Boskich y wiecznych się śmieie“. Pojmował także, że „takiey Conf: nie może nikt strzymać, iedno Atheus“ (441). „Bo gdy wszytkie sekty w obronę biorą a żadnego przebrakowania nie czynią, o prawdziwym Bogu wiedzieć i pytać się nie chcą“, stąd „w czym się podobno nie baczą... tego chcą: aby Atheism górę brał“ (455). Sam Skarga ani panteizmu ani ateizmu za szczyt intellektu nie uważał i dlatego nie próbował wdrapywać się na takie zawrotne wyżyny umysłowe. Wolał pouczać dysydentów, że „ieśli wszytkie sekty dobre: czemuż iedna drugą gani, i od siebie ią wypycha y z nią woynę podnosi: Luter na Kalwina, Kalwin na Lutra, oba na nowochrzczeńce i Aryany, na Puritany, a oni też na nie powstaią: iako to wszytkie dobre, gdyż iedna drugiey złość y nieprawdę zadaie: A ieśli

wszytkie złe : cóż po nich : precz z nimi. Złego się rozum strzeże : od fałszu y zarazy duszney y piekła każdy ucieka". (461).

Skarga w ateizmie szczytu rozumu nie mógł się dopatrzyć i dlatego zwalczając konfederacyę, chwalił nawet gorliwych dysydentów, „bo szczerzy y cnotliwi heretycy mają zelum non secundum scientiam, gniewaią się o Boga swego, to iest o sektę swoię y inney nie przepuszczaią... y daleko lepiey w swym błędzie y rozumniey czynią... niźli ci, co o Boga y chwałę iego nie dbaią". (442).

Zwalczał konfederacyę tak, jak ją „cnotliwi" katolicy zwalczali — „bo y podsiewać kąkol dyabelski dopuszcza, y obronę mu prawną daie, aby rósł, a szkodę pszenicy, to iest duszom ludzkim, czynił". (446). Zwalczał ją pod względem prawnym, posługując się tymi samymi argumentami, jakimi ją katolicy, a zwłaszcza biskupi zwalczali, i na synodzie piotrkowskim 1577. r. a potem ponownie 1589. r. potępili.

Za prawo obowiązujące jej nie uważał : „bo y wedla Statutu żadne się prawo stanowić nie może przez przyzwolenia wszytkich stanów", a ze stanu duchownego „ieden tylo zawiedziony y ustraszony podpisał" ją, „co wszytkiego stanu nie wiąże, bo ieden głos żaden głos, iako iedna piszczałka między wielą trąb wojennych".

„Y rycerstwo nie wszytko na tę Conf. nową zezwoliło, bo wiele katholików y panów świeckich przeciw niey stało i dziś stoią: a kilaś województw, nemine excepto, to jest wszytko Płockie y Mazowieckie przeciw niey się protestowali y protestuią po dziś dzień", (438).

Dysydentom, którzy mimo to chcieli później konfederacyę ponowić, wytykał Skarga niekonsekwencyę i zarzucał, że domagają się od katolików tego, czego sami nie chcą uczynić. „Doznana też rzecz iest, iż między temi Konfederaty, którzy są do nabożeństwa skłonnieyszy, sami prawa tego nie strzymaią. Ale kogo mogą do wiary penują pieniądzmi, karaniem, wyrzuceniem abo wyklinaniem... chcąc, aby tey wiary byli, co y oni (442).

„A nawiętsza krzywda ubogim poddanym, którym panowie ich... kapłany im y pasterze wyganiaią : a co gorzey, poniewolnie

do ministrów ie pędzą, y srodze o wiarę penuią". (409). „A z poddanymi swemi katholiki co czynią : płaczem się zalewać, na ich zniewolenie dó zborów słysząc y patrząc. Drudzy gdy kila mil kościoła y kapłana szukaią, za to karanie odnoszą". (456).

Przypomina nieraz dysydentom, że bracia ich „Genewczycy za radą Kalwina, Serweta spalili. Bernenses Gentylissa, przeciwko sekcie swoiey heretyka, ściąć kazali". (441).

Przypomina prześladowanie nietylko katolików, ale i różnych sekciarzy w krajach Rzeszy niemieckiej, w Anglii, w państwach skandynawskich. Przytacza często, ku oburzeniu polskich dysydentów, potępienie warszawskiej konfederacyi przez głównego reformatora kalwińskiego, Teodora Bezę. „Wolnego sumnienia ludziom dopuścić, y zaniechać każdego, aby zginał, ieśli sam chce, iest to nauka dyabelska, y tać iest ona dyabelska wolność, która dziś Polskę y Siedmigród, takimi zarazami napełniła, którychby żadna religia pod słońcem nie ścierpiała". (442).

Skarga takiej nietolerancyi nie pochwalał, a chociaż nad choremi głowami ubolewał, zgodziłby się ostatecznie na państwową tolerancyę jednej sekty (jak np. w Niemczech wówczas wyznanie augsburskie tolerowano), ale ochronę prawną dla wszystkich sekt uważał za absurd i za wielkie niebezpieczeństwo dla Rzeczypospolitej. „By wżdy iednę sektę mianowali, na którą obrony prawney szukaią, byłoby znośniey, ale gdy ze wszytkiego świata heretykom do tego królestwa y oyczyzny swey na zgubę dusz ludzkich, y zgody sąsiedzkiey psowanie wrota otwarzaią : co to, dla Boga, za rozum... co za miłość ku oyczyźnie". (461).

Wyrzucał dysydentom niekonsekwencyę i pod tym względem, że domagają się od katolików dotrzymania konfederacyi, której warunków sami nie dotrzymują, nie chcąc dopuścić do „kompozycyi" i nie szanując prawa patronatu królewskiego, co jako warunek zgody z dysydentami uważali ci, którzy na konfederacyę przyzwalali.

„Jeśli niektórzy katholicy na on czas przyzwolili, tedy conditionaliter to uczynili : ieśli kompozycya, to jest nagroda y dosyć uczynienie duchownym o krzywdy kościelne stanie się. Którey iż wy sobie nie ważycie, a obietnice tey pod czcią i wiarą

daney nie chowacie : nie macie się czego upominać, sami tę Conf. tym samym psuiecie, gdy przedniey y pierwszey w niey położoney kondycyey katholikom nie trzymacie'. (438).

Złupili i pobrali w Polsce kościołów mnóstwo „do kilanaście set, abo około 2000"... „Pobraliście skarby kościelne, opanowaliście imiona y dziedzictwo Chrystusowe, odięliście żywność kapłańską, wdów y sierót, y szpitalów, z świętokradztwa uczyniliście sobie niektórzy dziedzictwo..." (408).

Wyrządzili srogą krzywdę i umarłym fundatorom, „którzy o kalwińskich ministrach nie myślili, a nie na nie nadania czynili : którzy się na testamentach swoich, y w pomocy dusz swoich, przez złe syny i sukcessory omylają". (409).

Ani do zabrania fundacyi kościelnych ani do przeznaczenia ich na inny cel prawa nie mieli, bo jeżeli syn nie może odebrać sąsiadowi majątku, sprzedanego przez ojca, a to iako P. Bogu odebrać może? Nie można także zmienić celu zapisów dlatego, że ktoś wiarę zmienił. „Rzekę po ludzku : twoia niewiernosć tobie szkodę czyni, a drugiemu czynić iey nie ma.

Ieslić ministra potrzeba, z swego mu day, nie z cudzego opatrzenie. Nowąś sobie wiarę uczynił, nowyż kościół zbuduy, nowe nadanie uczyń, a cudzemu y Boskiemu y katholickiemu day pokoy. To się mówi po ludzku, ugądzaiąc ślepocie waszey", a nie chwaląc rozumu tych, co jedność apostolską opuścili. (410).

Dysydenci nie zachowali i drugiego warunku konfederacyi : „Wasza ta wielebna Conf. zostawuie Iura patronatus królewskie w kościołach y miastach królewskich całe : aby się żaden praetextu religionis na nie nie targał". (447). A miasta pruskie, „którym nas prawem z naszych katolickich, biskupich, plebańskich y królewskiego podawania kościołów y klasztorów wygnali : na oczach królestwa wszytkiego na seymie krakowskim iedney odrobiny prawa nie pokazali ani pokazać mogą". (428).

„Wy Ewangelicy pokazaliście szerokość y prawdę swoią, iako tę Conf. trzymacie i trzymać chcecie. Wy rosiadłszy się, iż wam seymowy dekret nie służył : puściliście się do swoich ziazdów pokrytych"'... (447).

Konfederacya, odrzucona przez stan duchowny, nieuznawana

przez niektóre województwa, a nadto nie dotrzymywana przez dysydentów w głównych swych warunkach, nie obowiązuje także królów „bo ią podrzucono, gdy im szło o królestwo, gdy się zawiedli, gdy się roztyrków y utracenia swego królowania bali. Y nie masz... tego w przysiędze ich, aby tę Conf. Warszawską trzymać i wykonywać mieli: ale żeby tylo pacem inter dissidentes in religione zachowali... A ieśli co w tey mierze obiecali, zaraz też i kompozycyą włożyli..., czego iż oni nie czynią, a z kompozycyey sromotnie się śmieią: królowie od ich przysięgi wolni zostaią".

Królowie przysięgają naprzód zachować w całości wiarę katolicką, a jeśli „przysięgaią kościołów bronić y praw ich dochowywać: iako herezyey dopuścić maią, które wszytkie prawa kościelne psuią?" (438).

Bardzo ważną pobudką dla Skargi do zwalczania konfederacyi była także obawa o przyszłość, mianowicie, żeby nie nastąpiło przedawnienie co do zabranych kościołów i dóbr kościelnych, i nie stało się to, co było w Niemczech, gdzie mimo „reservatum ecclesiasticum" na pokojowym sejmie augsburskim, wielkie straty katolicy ponieśli. Poucza więc Skarga, że konfederacyę należy zwalczać: „Abyśmy sobie i potomkom nie zagradzali na potym, ieśliby teraz być nie mogło, drogi do czynienia o te krzywdy kościelne y do restytucyey dóbr pobranych. Bo Conf. z takich się krzywd śmieie y wieczność im daie"...

„Aby ta wolność kościołów odbierania y pustoszenia na potomki nie szła, a synowie heretyccy ostatka nam nie wydarli. Bo Conf. y na przyszłe czasy taką wolność daie" (452).

Dla dysydentów polskich sprawa kompozycyi była rzeczą najdrażliwszą, bo mając wolność sumienia i wolność polityczną, nie chcieli się zgodzić na zwrot zabranych kościołowi dóbr i dlatego do kompozycyi nie dopuszczali — a duchownych, którzy o kompozycyę napierali, pomawiali, że „na woynę sąsiedzką trąbią" „Ia mówię wróć moie, a on odpowiada: oto na woynę trąbisz. Ia go o kościoły y o dziesięciny y o łupiestwa dochodów Bożych pozywam: a on mówi: oto krew sąsiedzką rozlewać chcesz". (452). Obawa o przyszłość kazała Skardze zwalczać także „proces na konfederacyę" a to tem bardziej, że ten proces nie tylko

gwarantować miał dysydentom to, co posiadali nieprawnie, ale nadać im nowe przywileje z ujmą królewskich i kościelnych praw.

„Nowe niesłychane y niebezpieczne prawa w tym Procesie kuią, y stawić a pisać chcą, w których będzie się godziło y Biskupa, y kapłany, y kaznodzieie spotwarzyć, y bez scrutinium sądzić, y na gardle y maiętności karać ; które katholickie urzędniki, w takież niebezpieczeństwa zaciągaią, y nowe przysięgi na niezbożność czynić im każą".

Nie idzie dysydentom „o pokoy, który maią więtszy niźli zasłużyli : nie o wolność wiary, aby wierzyli, jako chcą, bo to maią : nie o ministry, bo ie chowaią, y na seymy wodzą... Ale o to im idzie, aby zawżdy im ona wolność zostawała na odmianę kościołów... Aby miasta królewskie, których im nie dostaie (bo w swoich czynią, co chcą) zarazili, y swoimi ministrami osadzili". (455).

„Toć iest nawiętsza przyczyna, iako mniemam, domagania się procesu na tę Conf. Bo iż ich żadna rzecz barziey nie boli, iako to, iż im budować synagog w królewskich miastach bronią, chcieliby pod tym procesem Conf. lada dom w królewskim mieście kupiwszy, synagogi swoie zakładać, y nowe urzędy pod cudzą iurisdicyą wprowadzać : a ktoby się im sprzeciwił, tumultem to in religionem nazwać, y własne Boże y królewskie urzędy y katholiki penować, y pozywać, y na maiętności y gardle karać, y spotwarzywszy na koniec samego Biskupa, y iego kaznodzieie, y kapłany, swoie rzeczy przewodzić, a pany się miast czynić y na urzędy królewskie nic nie dać". (450).

Takim zamysłom Skarga się opierał i podobnie jak w sprawie żądania ochrony wszystkich sekt, wytykał dysydentom niekonsekwencyę, wskazując nie tylko na przykłady traktowania katolików w innych krajach dysydenckich, ale i na przykłady w Polsce. „Wszędzie, gdzie iedno moc wzięli, tam nie tylo katholikom iednego kącika, nie mówię kościoła, nie zostawuią, ale i męczyć y przymuszać do swey niezbożności nie zaniechaią". (422).

Nieraz wskazuje na Rzeskie kraje i miasta, na Flandryę, Szwajcaryę, Szwecyę, na Anglię, gdzie „angielska Iezabel Conf. z katholiki tak chowa : nie tylo kościoła, y ołtarza, y kapłana ka-

tholikom nie dopuści, ale y o ieden krzyżyk, ktoby go śmiał nosić, więzieniem y utratą maiętności karze y wyroki wydaie". (454).

Z przykładów bliższych powołuje się na Inflanty, na miasta w Prusiech królewskich i na Prusy książęce :

„Patrzcie w Pruskich a to podległych, choć pod Xiążęciem miastach, ieśli katholikom kościoły mieć dozwolą. Y owszem y szlachcicowi w iego własnym imieniu tego bronią". (458).

Nie inaczej postępują u siebie. „Ukażcie mi y w Polszcze heretyckie miasteczko, abo imienie iakie, gdzieby pan abo szlachcic kościół katholicki y iego dochody zostawił, abo ubogim katholikom poddanym zbudować sobie inny dopuścił : Same własne dziedzice z ich dóbr y kościelnych domów wypędziwszy, y tego im nie dopuszczą, aby z swego własnego kościół budowali, a sobie kapłana chowali". (442).

„Osądźcie się sami, a ieśli dobrey wiary nie macie, mieycie w niey sąsiedzką sprawiedliwość". Jeśli szlachcic we własnej wsi abo miasteczku nie pozwala, aby „obcy kto budował sobie dom iaki, do któregoby zwoływał poddane iego y namawiał ich na to, co mu się zda... proszę ieśli to sobie za wielką krzywdę y pogardę nie weźmie : ieśli takiego swawolnika nie wyrzuci, y psy go, iako mówią, nie wyszczuie...

A wy ten ciężar na króla kładziecie, y tak nie wiem, z iakim wstydem mówicie : Kapłana twey religiey w imieniu moim ia nie ścierpię : a w twoich miastach królewskich osadzę ministry y kościoły, iakie chcę. A iakaż może być niesprawiedliwość grubsza, a które zuchwalstwo bespiecznieysze, a iakaż rebellia y despekt obraźliwszy pokazać się może?" (407).

Przypomina dysydentom nieraz, że nawet „łaźni pospolitey y iatek bez urzędowego przyzwolenia nie dopuszczaią", a chcieliby wbrew woli króla, czy biskupów, budować w ich miastach swe zbory i własną iurysdykcyę ze szkodą kościoła do cudzych miast wprowadzać. „Czego mieszczanin y szlachcic biskupom y katholikom w swoim imieniu nie dopuści : to Król w swoim mieście pozwalać ma : o iakie to baczenie tego się domagać : z iakim wstydem o to prosić mogą : iaka to sprawiedliwość". (458).

Z podobnem zapytaniem możnaby się i dziś zwrócić do tych,

co udają zgorszonych argumentami „fanatycznego“ Skargi, przemawiającego „po ludzku“ do równości szlacheckiej, — boć i w dzisiejszych konstytucyjnych czasach nie wszystkie związki religijne bywają wszędzie prawnie uznane, a nieuznanym nie pozwala się na kult publiczny. I dziś potrzeba zezwolenia urzędowego na budowle; a są kraje, w których katolikom nie łatwo się pozwala nie tylko na wznoszenie kościołów, ale nawet utrudnia się restauracye kościołów starych. Masoński rząd francuski bardzo niedawno jeszcze dopuścił się „łupiestwa kościoła Bożego“ i w imię „wolności i równości“ obywatelskiej pozabierał kościoły i dobra katolikom, powypędzał zakony i proboszczów, którzy chyba nie byli tak niebezpiecznymi dla państwa, jak rozmaici ministrowie dysydenccy w czasach Skargi, powypędzani nieraz za pospolite zbrodnie z krajów sąsiedzkich, a szukający szczęścia w Polsce pod ochroną konfederacyi!

To, co dzisiejsza „wolna myśl“ pochwala w rządach masońskich Francyi, Portugalii, czy we Włoszech — to gorszy ją w czasach Skargi, który bronił prawa własności i prywatnej i wielkiego zrzeszenia religijnego, które się kościołem katolickim nazywa, a w Polsce był religią panującą i nawet w czasach wojen religijnych więcej dawał swobody dysydentom, niż jej mieli tam, gdzie ją po wojnach wywalczyli. A przecież i tam nawet były ograniczenia co do kultu religijnego, bo hugenotom n. p. nie w całej Francyi na budowę zborów edykty tolerancyjne zezwalały, bo w Niemczech nawet w stosowaniu zasady „cuius regio eius religio“, nie mieli katolicy równouprawnienia z dysydentami, a czeski List Majestatu, chociaż wymuszony, także ograniczenia co do budowy zborów zawierał.

Kogo nie stać na zrozumienie faktu, że Skarga widział w herezyach „zarazę duszną“ i dlatego o ile mógł, przeszkadzał propagandzie dysydenckiej, chcąc przynajmniej królewskie miasta przed nią ochronić, powinien przynajmniej zrozumieć, że Skarga nie popełnił nic na ówczas nie właściwego, broniąc miast królewskich i biskupich przed otwieraniem zborów. Kto to zrozumie, ten nie będzie się dziwił, że Skarga n. p. szat nie rozdzierał nad zburzonym Brogiem w Krakowie przez ludzi „nieznacznych, głu-

pszych y niecierpliwszych", boby tem samem wystawił sobie „wymowne świadectwo ciasnoty umysłu, niezdolnego do pojmowania ducha przeszłości, bądź też niemniej wymowne świadectwo — złej woli".

Będzie się raczej dziwił, że Skarga z okazyi zburzenia zboru — co było następstwem poranienia około 200 ludzi — prosił jeszcze dysydentów o darowanie „słusznemu żalu katholickiemu za tę krew i morderstwa".

„Co się krzywdy y niesprawiedliwości dotyczy: tey wam nie życzym, y z wami wespół żałować byśmy iey winni, gdyby się wam co nad prawo y sprawiedliwość dziać miało. Lecz w tym zburzeniu zboru obyczay tylo ganić się może, iż przygodny y od urzędu zabroniony, ale rzecz sama nie ma w sobie żadney niesprawiedliwości, bo to, co z krzywdą stanęło, bez krzywdy się znieść mogło". (406).

Ci co się dziwią, że w owych czasach Skarga „ganił tylo obyczay przygodny y od urzędu zabroniony" a ganił w przekonaniu, że prywatne „gospodarstwo y mieszkanie nieprawnie obróciło się na kościół obcey i nowey wiary" — ci, co nawet łzy nad „nietolerancyą" Skargi leją, nie tylko niezdolni są do pojmowania ducha przeszłości, ale zamykają umyślnie oczy na teraźniejszość i nie chcą wiedzieć, iż n. p. tak bardzo „postępowy" rząd francuski w czasach bardzo niedawnych, rozsadzał dynamitem kościoły katolickie i niszczył barbarzyńsko zabytki nawet bardzo cenne architektury średniowiecznej — mimo, że zupełnie prawnie wzniesiono je przed wiekami dla kultu katolickiego.

Takiego obyczaju Skarga nie chwaliłby ani usprawiedliwiał. On w swoim „fanatyźmie" takich możliwości nawet nie przypuszczał, ale widząc, co się dzieje w państwach dysydenckich, liczył się z możliwością, że i w Polsce nie byłoby lepiej, gdyby różnowierstwo górę wzięło.

„Tożby nas pewnie w Polszcze potkało, by heretycy zwierzchność (czego Panie Boże uchoway) nad nami mieli. Upominalibyśmy się im Conf. ukazaliby ią nam na grzbieciech y podobno na krwi naszey". (442).

Dlatego też chociaż przyznawał, że kąkol z konieczności musi

się w pszenicy zostawić do czasu żniwa, powstawał przeciw konfederacyi i przeciw procesowi na konfederacyę, która ten kąkol podsiewała i chronić go kazała. A powstawał konsekwentnie w czasie całej swojej kaznodziejskiej działalności, zaraz od chwili, gdy heretycy podczas pierwszego bezkrólewia pierwsze osobne zjazdy czynili i gotowali się do elekcyi heretyka na króla. Już wtedy na wiadomość, że połączył się z nimi biskup katolicki i że zjazd wystąpił przeciw prymasowi, obawiał się, że idzie o wybór heretyka (sine dubio illa congregatio haereticorum regem haereticum molitur) a donosząc o tem Wikaryuszowi generalnemu prosił współbraci zakonnych o modlitwy za Polskę. („Orent, orent, rogamus, pro Polonia". Listy 42).

Gdy to niebezpieczeństwo szczęśliwie minęło, a tylko konfederacya po niem pozostała, zwalczał tę konfederacyę słowem i pismem, otwierając oczy także „politykom" na jej niebezpieczeństwo i wzywając katolików do jej zwalczania.[1]

Zwalczał ją także jako kaznodzieja sejmowy, a chociaż przesadne jest zdanie Wielewickiego, że dzięki Skardze sprawa konfederacyi na sejmach przepadała („P. Scarga non solum concionibus, verum etiam variis editis libellis fortiter conatibus hisce restitit" XIV. 79) zaprzeczyć nie można, że i skargowskie zabiegi do tego się przyczyniały.

Tem to zwalczaniem konfederacyi narażał się Skarga może najbardziej na nienawiść dysydentów i zyskiwał u nich opinię wichrzyciela Rzeczypospolitej, bo ich zasadą było „iż ci, którzy się Conf. sprzeciwiają na woynę sąsiedzką trąbią, krew braterską rozlewać chcą" — a nie mieli ochoty zastosować się do jego nawoływań „Wróć moie, wróć Boże, nie turbuy Kościoła świętego y Rzeczyposp: a o woynie nie myśląc siedź sobie w pokoiu" (452).

Sam pokojowi nie był przeciwny, owszem do niego nawoływał przez naleganie na kompozycyę, ale przeciwny był kondycyom „iakie na głowę porażonym y na sile wszytkiey upadłym daią"

---

[1] Na wywody Skargi powołuje się w tej kwestyi Cichocki w „Anatomii" str. 53 „Si plura hoc in genere desideras lege Scargam, Povodovium et alios plures".

(418). — „taki daią tym, którzy siły żadney na odpór już nie maią... taki daią zdechłym, co sobą nie władną, szkapom“ (458).

Takich warunków przyjąć nie mógł, bo na „podsiewanie kąkolu“ nie pozwalało mu sumienie i dlatego też gdy otrzymał do przejrzenia onej słynnej Nocy Jezuitów skrypt wyznaniowy, nie przeciw pokojowi się oświadczył „pax quaedam et concordia generalis“, — ale przeciw chęci przemycenia nieznacznie procesu na konfederacyę, którą zawsze zwalczał.

(C. d. n.).

Ks. Józef Sas.

Biblia i nieomylność Sykstusa 5-go

w świetle źródeł najnowszych.

(Dokończenie).

Czytelnik już ze świadectw weneckiego ambasadora wie, że Sykstus kilka razy wykładał, jak bulla jeszcze nie ogłoszona i nie wykonywana, (aby nie szkodziła księgarzom,) wyraża dopiero zamysł papieski, rozesłany już do dworów ale jeszcze nie przejrzany ostatecznie.

Nie to jedno świadectwo wskazuje prawdziwą odpowiedź. Zawodowo dochodził rzeczy Adam Tanner (1571—1632) i oparł swój opis na całym zastępie świadków.[1] Opisuje, że w Rzymie odbywała się publiczna dysputa teologiczna w tychże miesiącach przed śmiercią Sykstusa, kiedy już od maja 1590 r. rozchodziła się Biblia z bullą. Ks. Jan Azor (1559—1603) miał bronić między innymi dogmatami także nieomylności papieskiej.[2] Ktoś z obecnych skorzystał z bulli i podniósł zarzut, że papież może błądzić, kiedy przemawia jako Głowa Kościoła, bo uroczyście ogłosił w bulli tę Biblię jako poprawną, w której, jak się

[1] Études t. 51, str. 59—60. — Civiltà a. 63, vol. 3, p. 172—173. — Die Vulg. Sixt. str. 117—119.

[2] Wykładał dogmatykę na wszechnicy Gregoryańskiej w r. 1590, (Hoepfl str. 189.) W dyspucie brał udział jako *defendens*, więc podobno jeszcze nie jako profesor, ale jako teolog dopiero ukończony, bo takiego zwyczaju trzyma się owa wszechnica. Szczegół ten potwierdza słowa Albera, że dysputa się odbywała śród naocznych świadków przygód z bullą.

zdaje, widać mnóstwo pomyłek. Ks. Azor odparł zarzut odpowiedzią publiczną, że papież nie ogłosił bulli uroczyście, a choć się w druku czyta podpis kursora, wydrukowało się to uprzednio na rozkaz papieski, aby nie zwlekać póty z drukiem dzieła, ażby się wpierw pozałatwiało porządki wszystkie przestrzegane, kiedy się bullę ogłasza. Przy tej odpowiedzi, na publicznej dyspucie wobec dostojników rzymskich danej, obecnym był ks. Jędrzej Eudaemon-Joannes i o niej świadczył przed ks. Alberem, asystentem niemieckim, a ten o słowach naocznego świadka uwiadomił ks. Tannera w liście z 4 września 1610 r. Oczywiście *oppugnans* nie puściłby z rąk podniesionego zarzutu, gdyby śród obecnych mógł przywołać dziesiątki świadków, że bulla ogłoszoną została. W innym liście do ks. Tannera tenże asystent przytacza więcej jeszcze świadectw. Mianowicie z rozkazu jenerała zakonu, Aquavivy, zbadał sprawę w kołach z nią urzędowo zetkniętych i donosi 28 sierpnia 1610 r., że pewnie Sykstus nie ogłosił bulli, a nawet ten asystent nie nazywa owej bulli bullą, tylko *dictum seu decretum*, umieszczonem przed Biblią; a które nigdy nie było całkowicie ogłoszonem, a nadto w czas odwołanem — i dodaje, że znak tego oczywisty zostaje w regestrach kancelaryi apostolskiej, gdzie zapisują się wszystkie bulle ogłaszane, a tej niema. Świadczy też Bellarmin, że wypytywał się wielu kardynałów, czy w czasie jego odjazdu do Francyi Sykstus nie ogłosił bulli: odpowiedzieli wszyscy jak najpewniej, że nikt jej nie ogłaszał. Dotarł nakoniec ks. Alber do samego Pawła papieża V i z jego ust znowu tego samego dowiedział się stanowczo.

Jak w regestrach kancelaryi niema śladu owej bulli pomiędzy ogłoszonemi, tak o niej milczy Bullarium, ani nie donoszą o jej ogłoszeniu *Avisi di Roma*, które o najmniejszych sprawach za rządów Sykstusa uwiadamiały świat, jakby o wypadku dziejowym.[1] To też i o samej bulli opowiadają raz po raz, co się z nią dzieje, również jak o biblii i każdej z nią przygodzie: tygodnik ów donosi 2 maja i 5 maja 1590 r., że biblia wyszła z druku i już leży na składach księgarskich; spieszy do-

[1] Civiltà a. 63, vol. 3, pag. 174. — Hoepfl str. 191—192.

nieść 26 maja, że papież posłowi cesarskiemu doręczył egzemplarz; wylicza dnia 2 czerwca i 3 czerwca, któremu z 25 władców wysłano breve o biblii; zapowiada 8 sierpnia, że bulla w osobnej ma wyjść odbitce; donosi nowinę 22 sierpnia, jako pożądaną i oczekiwaną, że nakoniec bulla wyszła z druku; opowiada to znowu 25 sierpnia.[1] Przytem ogłasza w krótkim wyciągu treść bulli: cóżby to za ciekawa nowina dla Rzymian, którzyby już czytali tę bullę uroczyście wywieszoną w kwietniu? A tak drobiazgowo uwiadamia o każdym kroku papieskim, że n. p. 25 lipca 1590 r. ogłasza o sprowadzonem do miasta mydle miękkiem, na którego sprzedaż Sykstus zezwolił przez dziesięć lat wyłącznie Cezaremu Vita. Otóż bulla nosi datę 1 marca 1590 r., z którą poszła do drukarni; do tej daty Sykstus nie przywiązywał wagi, bo jej w korrekcie nie zmienił, choć nie odpowiada dacie czystodruku jej w biblii ani w odbitce; Avvisi też nie wspominają o tej dacie. Ale pergamin oryginalny bulli nosi na sobie zapiskę kursora, jakoby miał ją wywiesić 10 kwietnia 1590 r. Znowu Avvisi milczą o wypadku jednym z ważniejszych w rządach Sykstusa i w dziejach bulli, choć opowiadają światu o codziennych przygodach Sykstusa w numerach z dni 11, 13, 14, 18, 22, 23, 25 i 28 kwietnia, a na dzieje druku bulli mają miejsce i czas trzy razy w sierpniu. Przecie o uroczystym występie Sykstusa z bullą donosiłyby wymownie, gdyby Sykstus nakoniec ogłosił bullę o Biblii zapowiadanej tak wspaniale. Wszak bardzo dokładnie donoszą: „Nakoniec wyszła w druku bulla o Biblii, którą poprawił i ustalił Jego Świątobliwość Sykst V, a chce, żeby ta bulla była OGŁOSZONĄ przed Alpami w ciągu 4-ech miesięcy, a poza Alpami w ciągu 8 miesięcy, aby zaprowadzić Biblię poprawną". Nadto Avvisi stanowczo wyrażają, że ze strony papieża jeszcze sprawa nie dobiegła kresu, bo do-

[1] Civiltà a. 63, t. 3, pag. 166, 174. — Die Vulg. Sixt. str. 70, 116, 117. Dziwna rzecz, że za Baumgartenem Amann skraca tę nowinę z Avvisi, przez co zaciemnia jej myśl, a nie zaznacza, że opuścił słowo doniosłe. Avvisi pisze dwa razy: „é uscita in stampa la bolla". Amann milczkiem pomija in stampa, więc zamiast wyrazić, że bulla wyszła z druku, daje rozumieć o niej, że okazała się *ad valvas*.

dają, że „jeszcze wyjdą z druku osobne wykazy szczegółów, które Jego Świątobliwość dodał, albo usunął z Biblii".[1]

Otóż nawet w osobnych odbitkach bulli, już po 22 sierpnia, papież parę razy zmienił i zalepił słowo, a w pergaminie oryginalnym kazał je wyskrobać i poprawić.[2] Tak przecie z piórem w ręku nikt nie przegląda i nie poprawia pergaminu, już pramowocnie ogłoszonego czynem urzędowym: obrabiał oczywiście Sykstus bullę nie ogłoszoną, jak też w lipcu mówił Wenecyaninowi, że przejrzy na nowo bullę. Mimo to Amann nie czuje się pewnym wniosku, że Sykstus tak przerabiał pergamin bulli nie ogłoszonej jeszcze urzędowo. Owszem podnosi, że Sykstus sam uważał bullę za ogłoszoną przez jej rozsyłkę po dworach, że i sam i kardynałowie Wenecyaninowi przedstawiają, jak trudno zaraz odwołać bullę rozesłaną, a nie nadmieniają, że nie można odwoływać już przybitej na drzwiach bazyliki. Przecie Amann kończy wnioskiem, że nie zna kanonicznych przepisów, więc nie ocenia siły własnych dowodów.

Również z lipca mamy świadectwo biskupa z Anvers, który nuncyuszowi Frangipaniemu pisze, że widział ową bullę, a nazywa ją po prostu dyplomem — i czytał, jak wedle niej będą miały być poprawiane stare biblie, ale sądzi, że sprawa to zbyt ciężka i ważna, więc się nieprędko i niełatwo da przeprowadzić.[3] Tak sądzić, jako o dyplomie jeszcze nie ubezpieczonym przed przyszłemi przeszkodami, może biskup przy nuncyuszu, kiedy mówi nie o bulli stanowczo ogłoszonej, ale jeszcze przeglądanej, jak ją Sykstus właśnie opracowywał aż do śmierci.

Nie mniej znaczą listy hiszpańskiego posła. Był to wielki człowiek do dziwnych przygód, których opisem bawił Filipa 2-go, a opisem jego przygód z Sykstusem Leti zabawiał Rzymian.[4] Hiszpan nie spoglądał dobrem okiem na ściślejsze stosunki zawiązywane między Rzymem a Francyą: gdzie mógł, tam siał burzę przeciw Sykstusowi; chętnym i niechę-

[1] Hoepfl str. 151.
[2] Die Vulg. Sixt. str. 70, 120, 153.
[3] Die Vulg. Sixt. str. 107.
[4] Études t. 51, str. 55—57.

tnym słuchaczom wykładał, że trzeba zwołać Sobór Powszechny na obronę Kościoła przed samowolą Sykstusa. Węszył też wszędzie, czy też wytropi potrzebę nagłą Soboru, aż 7-go maja 1590 r. wynalazł dwa powody, o których donosi Filipowi: Papież przygotowuje bullę, w której nad miarę przesadza swoją powagę nadziemską, i skończył przeglądać przed drukiem Biblię, w której dużo każe drukować wbrew rzeczoznawcom, więc niema rady; nawet Tolet mniema(?), że tego dość, aby zwołać sobór.[1] Następnie poseł wyprawia dnia 21 maja 1590 r. bullę do Filipa, nietylko bez słowa, że ją Sykstus ogłosił, ale przeciwnie, z odpisem słów Audytora Penny, że trzebaby jeszcze raz poprawić Biblię; widocznie Audytor uważał Sykstusa za omylnego wydawcę, a czyż wynurzałby się przed ambasadorem po ogłoszonej uroczyście bulli?[2] Dalej też w listach z 28 czerwca i 30 lipca, wyśmiewa Hiszpan papieża z ciągłemi jego poprawkam Biblii i bulli, rzekomo uroczyście już 10 kwietnia ogłoszonej. Nakoniec dostał drukowaną odbitkę bulli dla swojego króla a urzędnik kurji wstawił duplikat odbitki do zbioru bull rozsyłanych na dwory.

W tym to zbiorze niedawno prałat Baumgarten znalazł ów duplikat egzemplarza hiszpańskiego i wywnioskował stąd, że oczywiście bulla musiała być ogłoszona; bo przypuszczał, że umieścić egzemplarz w owym zbiorze znaczy tyle, co wciągnąć w rejestr urzędowy. Wniosek ten rozśmieszył w Rzymie i skłonił księdza Bachelet, żeby oglądnął znaleziony egzemplarz. Zdziwił się najprzód, jak Baumgarten na bulli wyczytał własno-

---

[1] Études t. 51, str. 55. W tym to liście ów gaduła opowiada przygodę Sykstusa z Caraffą; przygodę Amann powtarza pięć razy, a milczy o świadectwie, że papież przygotowywał w maju bullę, którą w kwietniu ogłosił według Amanna! — Hoepfl str. 191 wytyka też Amannowi, że wie, jak ów Hiszpan śledził okiem argusowem wszelkie nowiny o Biblii i bulli, wie też, jak ów Hiszpan pospieszyć musiałby z nowiną w kwietniu, że bulla już wisi *ad valvas*, a nie donosi o tem: czemuż Amann nie wyciąga wniosku?

[2] Civiltà a. 63, t. 3, p. 174—175. Znowu o tem Amann milczy — naśladuje w tem Baumgartena, któremu Civiltà parę razy wytyka, iż opuszcza zarzuty przeciw jego poglądom najsilniejsze; również Hoepfl str. 191 wręcz pisze: Baumgarten uebergeht verschiedene Schwierigheiten, die ernste Beruecksichtigung verdienen, ganz mit Stillschweigen.

ręczne podpisy kardynała prodataryusza i notaryusza Barbiano, skoro są tam zapisane wprawdzie dwa nazwiska, ale oba napisane znaną jedną ręką notaryusza Barbiano, zatem nie mogą to być własnoręczne dwu osób podpisy.[1] Zdziwił się następnie, jak Baumgarten nie spostrzegł różnicy między ową bullą a dwiema przed nią i dwiema też po niej; poprzednie i następne mają po podpisach jasno dodane słowa: „Zarejestrowana u Marcella sekretarza" — a owa tych słów nie ma. Toteż zarejestrować urzędowo znaczy wciągnąć do rejestru sekretarza, a nie wystarcza wstawić do zbioru pism wyprawianych po dworach, — zatem brak registratury na owej bulli potwierdza o niej, że nie została ogłoszona. Dlatego też wywiadowcy ks. Tannera z całym naciskiem stwierdzają, że bulla nie została zarejestrowaną, więc nie była wywieszoną *ad valvas*.[2] Znalazł też ks. Bachelet inny jeszcze egzemplarz w archiwum Borgezów również bez podpisów. Zatem co prałat wykrył jako dowód ogłoszenia bulli, to potwierdziło tylko prawdę wprost przeciwną.

Ponadto prałat dostrzegł i dokładnie opisał kilka odmianek nowych w odbitce wydanej 22-go sierpnia, nie poprawionych w pergaminie, choć dość przeskrobywanym.[3]

Bulla tedy, chociażby jaknajuroczyściej ogłosiła światu Biblię poprawioną jak można najlepiej, — pomimo tego nie potrzebowałaby figowego liścia bajki, aby zakryć wstyd, że papież-wydawca tę biblię poprawną poprawiał ciągle, póki żył, a po nim następca wedle swoich znów zasad poprawił całe wydawnictwo. Tem bardziej obeszła się bez figowej zasłony wstydliwa bulla, skoro pozostała tylko pergaminem przygotowanym, aby ogłosić Biblię poprawną, zaopatrzonym już w nazwisko kursora i datę kwietniową, ale jeszcze w czerwcu przeskrobywanym, w lipcu przedstawionym jako wyraz zamysłów papieskich nie przejrzany ostatecznie, w sierpniu zmieniany przy druku odbitek, do śmierci papieża nie pewien dalszych o sobie wyroków.

Jeszcze z dwu dni przed śmiercią papieża poseł wenecki

---

[1] Hoepfl str. 191.
[2] Hoepfl str. 191.
[3] Die Vulg. Sixt. str. 70.

zapisał o tej bulli świadectwa kardynałów przybocznych Sykstusa. Pisze do Doży: „Byłem u kardynała, synowca papieża w sprawie księgarzy; przytoczyłem wiele dowodów, że trzeba bullę dla nich zgubną cofnąć; wszak to samo był Pius V zarządził co do mszałów i brewiarzy, a na sprzeciw dworów odwołał. Teraz ważniejsze przeszkody uniemożliwiają bullę. Na to kardynał synowiec odpowiedział, że odrazu uważał owe przepisy za niewykonalne i wyglądał stosownej pory, aby pomówić z papieżem, ale przeczeka jeszcze parę dni, bo Jego Świątobliwość podobno nie zaraz odrobić zechce własne dzieło, aż na widok zamętu sam się pośpieszy.

„Poszedłem stąd do kard. Colonny młodszego. Zapewnił mię usilnie jako o rzeczy niewątpliwej, że papież będzie musiał inaczej urządzić sprawę bulli wobec treści jej niewykonalnej i nacisku wszystkich władców; że papież sam to rozważa, ale na razie poprzestaje na tem, że mowy niema o mocy wykonawczej dla bulli, a przy swoich zamiarach trwa bardzo stanowczo.

„Odwiedziłem kardynała Roverę; powiedział, że już pisał inkwizytorowi weneckiemu i innym, że nie czas jeszcze wykonywać bulli, bo dotąd papież chce, żeby księgarze mieli czas puścić w obieg swoje książki i że ostatecznie okazała się bulla niewykonalną; tedy radził mi przeczekać parę dni, a nie rozmawiać z papieżem, aż się cała sprawa pilnie rozpatrzy".[1]

A cóż się rozpatrywało? Czy tylko zarzuty przeciw bulli niewykonalnej? W odpowiedzi znajdujemy zapiskę sekretarza Caraffy. „Tymczasem, kiedy Sykstus zaczął rozpoznawać pomyłki druku i rzymskie odmianki i poglądy różnych ludzi, aby następnie z dojrzalszym namysłem przystąpić do dzieła i Wulgatę, jak zamierzał, wydać poważnie, śmiercią zaskoczony, czego się podjął, wykonać nie mógł".[2] Tak świadczy Rocca, sekretarz Caraffy przy pracy przygotowawczej a przy Sykstusie nieustannie zajęty w pracy wydawniczej.[3] Również po Teatynie Agellim, spółpracowniku Caraffy, zakon jego przechował pamiątki

[1] Die Vulg. Sixt. str. 92—95, 149—151.
[2] Civiltà a. 63, vol. 3, str. 177.
[3] Études t. 51, str. 54.

i ustne świadectwa, na których oparty dziejopisarz zakonny Vezzosi twierdzi, że śmierć przerwała Sykstusowi druk nowego wydania poprawnej biblii.[1]

Te wskazówki nie zadawalniają Amanna, bo według niego: „zmiana zamysłów u Sykstusa trudno(?) zrozumiała nie ma za sobą żadnego dokumentu; mowa o niej przecie o tyle ma za sobą podstawę, iż domownicy papiescy z całą stanowczością na to liczyli, że Sykstus sam wobec przeszkód spiętrzonych zewsząd wycofa swoje dzieło i każe innem zastąpić. Zatem słowa z przedmowy klementyńskiej nie są całkowicie z powietrza uchwycone ale wyrażają, czego z otuchą wyczekiwali domownicy papieża krótko przed jego śmiercią".[2]

Przynajmniej to Amann bez trudu zrozumiał, że słowa przedmowy klementyńskiej nie wiszą w powietrzu, bo oddają niewątpliwą myśl kół przybocznych Sykstusa. I przytoczony list do Doży jest dokumentem, że istotnie kardynałowie tak myśleli: dla nich zmiana zamysłów u Sykstusa nie „trudno" była „zrozumiała", ale na nią „z całą stanowczością liczyli" wobec ciężkich na różne strony przepraw. Co tedy było dla najbliższych Sykstusowi w jego umyśle zrozumiałem i pewnie oczekiwanem, to choćby komu po trzech stuleciach „trudno zrozumiałe", przecie dostatecznie potwierdza przedmowę klementyńską a nie tylko uspokaja, że nie zupełnie to z powietrza wzięta zasłona dla zawstydzonych papieży.

Z tym szczegółem Amann kończy obronę nieomylnego papiestwa. Czytelnik przeciera oczy: pocóż Amann pisał tę książkę po pracach poprzedników nierównie jaśniejszych? Chciał ogłosić, że wykrył listy Doży? Zatopił ten szczegół w mnóstwie drobiazgów, i całą sprawę zostawił mniej nierównie wyraźną, niż ją zastał. Otóż Amann należy do grona pisarzy wiernych stanowisku dostępnemu dla umysłów chyba wyjątkowo urobionych. Przeważny zastęp myślicieli dąży do prawdy za jej śladami; gdzie już je widać, tam tropią dalsze wskazówki i im więcej spotykają, tem raźniej spieszą do kresu. Niektórzy myśliciele przeciwnie na takich

[1] Civiltà a. 63, vol. 3, str. 177 (przypisek).
[2] Die Vulg. Sixt. str 132.

wyglądają, którzy myślą po to, aby doznawać rozkoszy, że myślą; wpadają już na trop prawdy, ale, zamiast spieszyć za śladem w drogę, myślą, co ta wskazówka może jeszcze innego znaczyć, jakby można napis na drogowskazie jeszcze inaczej przeczytać. Dochodzą nakoniec do kresu drogą najtrudniejszą, ale tak nią wymęczeni, że trudno poznać, czy zdobyli prawdę zwycięzko, czy zbłąkani udają tylko, że doszli, dokąd chcieli. Otóż w ostatnich latach odżył spór o Wulgatę sykstyńską. Kilku ścisłych badaczy ruszyło na wyprawę po różnych księgozbiorach, aby więcej mieć danych do wniosku ostatecznego, niż wieki poprzednie dostarczyły, skoro dopuściły jeszcze raz do sporu. Więc Le Bachelet odkrył listy ambasadora hiszpańskiego, Amann weneckiego, Baumgarten oryginał bulli i t. d. I ci odkrywcy nowych źródeł, i inni przy nich znawcy sporu dawnego zabrali głos przed społeczeństwem, aby starej satyrze oxfordczyka dać jeszcze dokładniejszą odprawę, niż wiele poprzednich. Przemówił Prat bardzo jasno, — kilka razy le Bachelet rozwijał prawdę jak najprzejrzyściej, Nisius w insbruckiej *Zeitschrift für kath. Theologie* i w *Koeln. Volkszeitung*, Heer w moguńckiem *Katholik*, Włosi w *Civiltà* i niesłychanie ściśle a jasno, oględnie a dobitnie Hoepfl wyświetlili rzecz dokładnym opisem wypadków powyżej tu streszczonych. Ale im na pomoc przyciągnęły pióra owych myślicieli ze stanowisk niedostępnych dla jasnego wykładu rzeczy: Lagrange w *Revue biblique*, Gramatica w *La Scuola Catholica*, Baumgarten i Amann we własnych książkach: wszyscy dochodzą do wniosku ostatecznego, że Sykstus nie służy za dowód omylności papieskiej, ale taką każdy obiera grzęską drogę, jakby lubował się w samem rozumowaniu dla rozumowania, jakby wierzył tylko w dowody najzawilsze a wątpił o wynikach dowodów jasnych dlatego już samego, iż jasne, — jakby na takie dowody bez namysłu odpowiadał: gdyby można tak po prostu rozwikłać zagadkę, skądżeby nad nią tylu myślicieli pracowało? widocznie sprawa to ciemna. Więc wyszukują na każdym drogowskazie sposobu, jakby inaczej napis odczytać. Tak n. p. Baumgarten rozmyśla, czemu podczas owej dysputy ks. Azor tylko zaprzeczył, jakoby Sykstus ogłosił

bullę, a czemu nadto nie zawezwał na salę samego kursora, pana Pompejusza Guerrę, aby go badać, skąd się wzięło jego nazwisko na bulli? Nie pomyślał tylko Baumgarten, że choćby pan Guerra wobec dostojnych gości zawstydzony wyszeptał, że nic nie wie ani o podpisie ani o bulli, jeszcze po trzystu latach ktoś nad temby rozmyślał, czemu go jezuici sprowadzili na dysputę? Czy nie przepłacili? zdradzili oszustwo przez zbytek dowodów!

Otóż Baumgarten tak żyłuje prawdę w jej obronie; chce od niej, żeby się sama broniła a dziejopis zachował się jako jej badacz, a nie obrońca. Za to Civiltà jemu i podobnym bez ogródki mówi, że rozum ich na zarzuty wysilony, aby je najcierpliwiej wyszukiwać, już ustaje, kiedy ma je odpierać.[1]

W tymże nastroju Amann obmyśla sam sobie, jak między szprychy wsadzić kij w koło, aby nie bez przygód w drodze dojechać. O tym nastroju pisarskim znowu uważa *Civiltà:* „jeżeli w sprawie pozostaje coś dotąd nie dość zbadanego czy nie dowodnie odpartego, to nie usprawiedliwia ani nie uniewinnia niektórych krytyków, iż lekkomyślnie zdają sprawę albo snują wnioski z wypadku i dzieł o nim wydanych: aby nie uchodzić za obrońców, występują jako oskarżyciele, zjadliwi, ale powierzchowni. Pewno łatwiej to i wygodniej wobec sprawy, którą drugi zawikłał, ani się silić o klucz do zagadki i tylko ramionami ruszać: to przyczyni powagi, to zjedna sławy wolnego krytyka, który z nauki dziejów nie tworzy apologii: ale to nie poważne, nie naukowe i dodajmy: to nie ludzkie".[2] Im więcej niedowiarek ubiega się o pojęcia mętne, im zręczniej przedstawia różnicę w poglądach wydawniczych jako zmianę w nauce wiary i obyczajów, tem pilniej Lagrange albo Amann wytykają Nisiusowi albo le Bacheletowi obronę Kościoła jakoby niezdarną, iż nie wchodzi w labirynt wszystkich szczegółów drobiazgowych, które wikłają tok myśli, ale wysuwa przewodnią nić rozprawy na pożytek czytelnika.[3] Sami na swoje niedostępne stanowisko drogę zasypują czytelnikowi dowodami wiedzy istotnie zbyte-

[1] Anno 63, vol. 3, str. 175.
[2] A. 63, vol. 3, str. 179.
[3] Civiltà a. 63, vol. 3, str. 162, 171, 173.

cznymi, nieprzebranem bogactwem cytat i dat bez wątku, spisem dzieł rzekomo przeczytanych ale oczywiście nie wykorzystanych w ustępie nieraz doniosłym, i ostatecznie wygrzebią prawdę jakąś taką mroczną, jakby się bała światła dziennego. Tak właśnie sprawa Wulgaty sykstyńskiej, dawno już wyświetlona dostatecznie, przecie zawdzięcza jeszcze więcej światła listom do Doży. Wykrył je Amann i przez to zdobyłby zasługę w przybytku nauki, gdyby do niego wniósł swoje światło odkryte a nie schowane w ciemnej latarni; na domiar i na poprzednie promienie światła ponakładał zadymione szkła: więc mimo wniesionego światła pozostawił w swojej książce prawdę mniej jasną, niż ją zastał. Szczęściem inni inaczej postępują; któryś z nich, może Nisius albo Heer jasnym swojem piórem wykorzystają zdobycz Amanna i dopiero dadzą ocenić jego zasługę.

Zasługę swoją sam Amann chyba tylko ciemno przeczuwa, bo tak zawile wyraża swój wniosek, że trzeba jego pracę kilka razy pilnie prześledzić i jednym ustępem drugi wyświetlić, aby spostrzedz wynik właściwy. Nie zajęła się tak badawczo Amannem *Civiltà* ani nawet pracowity Hoepfl: i ten i tamta spoglądają na Amanna, jakby na przeszkodę do sądu o sprawie. Otóż właśnie Amannowi zawdzięczamy odkrytą w listach weneckich odpowiedź, kiedy się pytamy, jaką wagę sam Sykstus przyznawał rozsyłce bulli po dworach i jej rozsprzedaży po księgarniach: od Amanna dowiadujemy się, że Sykstus tę rozsyłkę i rozsprzedaż poczytywał za przeszkodę dla siebie do natychmiastowych zmian w bulli, ale nie za *intimazione* i w jej następstwie nakazaną *essecuzione*, bo wyraźnie zaprzeczył, jakoby w tym stopniu bulla została ogłoszona zupełnie; a wywieszona ad *valvas* tem samem już ma całkowitą *intimazione* a w następstwie *essecuzione*, już nie uchodzi w niczyich oczach za *dictum seu decretum*, ani za dyplom, ani jak sam Sykstus się wyraził, za projekt, nad którym jeszcze się zastanowi ostatecznie a tymczasem poprawia bez końca. Tej prawdy nie streścił Amann. Nie wyzyskany stąd wniosek uszedł uwagi Hoepfla, który główną zwrócił uwagę na prawdę ważniejszą, mianowicie, że bulla nie tyczyłaby, choćby naj-

uroczyściej ogłoszona, nieomyślności, bo nie ogłaszałaby dogmatu, tylko przepis karny: dogmat przecie obowiązuje od chwili wyroku a nie po czterech dopiero miesiącach przed Alpami a poza niemi po ośmiu miesiącach.

Ten to wzgląd na niedogmatyczność bulli zajął Hoeplfla przedewszystkiem i naprowadził na źródła ciekawe o zasadach Soboru Trydenckiego co do powagi Wulgaty. A ze względu na wypadek ogłoszenia czy nieogłoszenia Hoepfl wiąże się obawą Amanna, iż jeszcze nam brak dotąd właściwie urzędowych świadectw o powodach, które wpłynęły na Sykstusa, żeby nie wywieszał bulli, do tego niewątpliwie przygotowanej. Dopiero te świadectwa ustalą niewątpliwie wypadek dziejowy wobec przeciwników, bo ci nie obejmują szerokim rzutem oka wszystkich razem wskazówek, przecie wymownych na dowód nieprawdopodobieństwa, żeby bulla wisiała *ad valvas*: przeciwnicy każdą z osobna wskazówkę nicują, aby wykazać naukowo, co każdy odrazu widzi, że żadna wskazówka sama przez się nie znaczy tyle, jak urzędowy dowód, gdyby się znalazł.

Z tej troski o pismo koniecznie urzędowe Hoepfl nie dostrzega w Amannie danej mimo jego wiedzy odpowiedzi na uwagę, że bezsprzecznie coś się zdarzyło, co uchodzić musiało u wielu za uroczyste ogłoszenie bulli. Gdyby nie zaszło nic, skądby niepokój rósł aż do czasów Tannera i dopiero w 1610 roku ustał po śledztwie przeprowadzonem ze świadkami wypadków? Jeszcze w r. 1608 ks. Gretser pisze do ks. Bellarmina, że „nie można utrzymywać, jakoby bulla nie została ogłoszoną ani jawnie wystawioną, bo została wydrukowana wraz z Biblią, wystawiona na sprzedaż i rozchwytana, ani nie można wątpić, że zachowano uroczyste przepisy, wedle których Rzym ogłasza bulle papieskie, zwłaszcza, iż od daty bulli dnia 1 marca 1589 Sykstus żył jeszcze półtora roku do 29 sierpnia 1590. Przez tyle czasu któż uwierzy, że nie kazano bulli wedle zwyczaju wywiesić na bramach laterańskich i w Watykanie, skoro już wyszła z druku wraz z Biblią? Również w Wenecyi inkwizytor groźnie nastroszył wąsa na drukarzy i księgarzy, aby wykonywali zaraz prze-

pisy zawarte w bulli, widocznie sam przekonany, że zyskały moc prawną przez bullę ogłoszoną należycie".[1]

Listy Wenecyanina odpowiadają, jak mylnie Gretser domyślał się o wywieszeniu bulli, oparty na jej druku i rozsprzedaży księgarskiej, zwłaszcza że opiera się na datach bulli błędnych, bo Sykstus podpisał ją do druku nie dnia 1 marca 1589, ale dopiero o rok później, 1 marca 1590, a drukarnia wydała ją dopiero w maju, więc do śmierci Sykstusa w sierpniu tegoż roku upływał ledwo miesiąc czwarty a nie już półtora roku. Również Wenecyanin uwiadamia nas słowami Sykstusa, że inkwizytor mylnie o *intimazione* i nakazaną *essecuzione* wnosił z otrzymanej już bulli przy Biblii.

Ale Amann w swój sposób osobliwy tak wyciąga i zestawia ustępy z listów weneckich, że ani powyższej odpowiedzi nie da wyczytać ze swoich wyciągów, — trzeba same listy poznać całkowicie, — ani nie unika pozorów, jakby tymi listami godził w prawdomowstwo klementyńskiej przedmowy. Zestawia z niej ustęp, że Klemens ziścił zamiar Sykstusa, żeby Wulgatę na nowo opracować, z tym ustępem zestawia inny w świadectwie Wenecyanina, że Sykstus wolałby na śmierć pójść, niż odwołać bullę świeżo rozesłaną. Zestawione razem słowa tych ustępów wyglądają u Amanna na dowód, że uparty przy swojej bulli Sykstus nie pomyślałby zmienić swojej Wulgaty, zatem przedmową pobożnie skłamała. Na ten wniosek Hoepfl, choć bardzo zawsze dla Amanna grzeczny, przecież już stanowczo powstaje i odpowiada, że przecież nie na zmianę Biblii ale na zmianę w bulli przepisu o księgarzach nalegał Doża, a Sykstus trwał przy odpowiedzi, że bulli nie zmieni natychmiast: stąd nic nie wynika, żeby Sykstus nie zamyślał o nowem wydawnictwie Wulgaty, której drukarskie omyłki tak go do śmierci trapiły.[2]

W jednym jednak a dość ważnym szczególe sam Hoepfl uległ wpływowi Amanna czy też pisarzy, którzy wpływali na wątpicielskie Amanna stanowisko. Z Amannem nie widzi na list Gretsera odpowiedzi w listach weneckich, owszem upatrzył w sło-

[1] Str. 196—198.
[2] Hoepfl str. 207.

wach Gretsera powód do obawy, czy też bulla nie wisiała na bramach. Mianowicie rozumuje, że na list Gretsera z r. 1608-go Bellarmin dałby najprostszą odpowiedź, gdyby podstawę do wszelkich zarzutów usunął przez dowód, że Sykstus bulli nie dał wywiesić. Ale nie dowiadujemy się, czy Bellarmin tak odpowiedział i przez to rozprawę dalszą przeciął, bo nie znajdujemy samej odpowiedzi Bellarmina, tylko czyjąś ocenę owej odpowiedzi, a ocena rozpatruje jedynie wywód Bellarmina, że Sykstus przeciw wierze nie zbłądził, bo w tem zmieniał słowa biblijne, co nie dotyczy dogmatu; można poczytać błąd Syktusa za wynik pośpiechu i nieuctwa, ale trzeba przyznać, że to nie przechodzi poza zakres trosk każdego wydawcy. Otóż wedle Tannera Bellarmin w r. 1610 stanowczo zaprzeczał, że bulla wisiała na bramach: zatem Hoepfl dziwi się, czemu Bellarmin w r. 1608 nie zaspokoił Gretsera tąż odpowiedzią zamiast wywodów o niedogmatyczności pomyłek wydawniczych.[1]

Dziwi się Hoepfl oparty na czyjejś ocenie, a nie na samej odpowiedzi Bellarmina, ale przestałby się dziwić, gdyby spostrzegł że tak samo ów pisarz oceny i tak samo Bellarmin mógł postąpić, jak właśnie Hoepfl postąpił najświadomiej i słusznie: z naciskiem mówi o niedogmatyczności bulli a mniej przywiązuje wagi do dziejowego sporu o ogłoszeniu. Czy Bellarmin pominął ów spór w odpowiedzi Gretserowi — tego nie wiemy, bo tylko widzimy ocenę odpowiedzi bez wzmianki o sporze co do dziejowego wypadku. Mógł pisarz oceny tylko sprawę zasadniczą dogmatyczności rozstrząsać, jako najistotniejszą z jego stanowiska naukowego. Mógł Bellarmin również postąpić. Właśnie sam Hoepfl najcenniejszą zaletę swojej książce nadał przez umiejętny nacisk na dogmatyczną stronę sprawy a nie na dziejową: na tę mógł mimo woli już obojętniej spoglądać, bo w tamtą jakby serce włożył, tak ją pracowicie obrobił i w nowem świetle poodkrywanych źródeł przejrzyście wyjaśnił. Wyszedł ze zasady, że sprawa biblii i nieomylności Sykstusa wymaga jasnego pojęcia o wyroku, którym Ojcowie trydenccy określili powagę Wulgaty. Zdobył

[1] Str. 196—198.

źródło pierwszorzędnej wagi, dotąd światu nieznane: zbiór licznych rękopisów kardynała Sirleta, który już od roku 1546 przysługiwał się Soborowi pracą po rzymskich księgozbiorach, aby dostarczyć danych ściśle potrzebnych do obrad nad wydawnictwem Wulgaty. Przez wymianę listów z uczestnikami Soboru przekazał nam o zasadach wyroku trydenckiego świadectwa z pierwszej ręki i wiedział najpoważniej, czego się trzymać, kiedy zaraz wśród przerwy w Soborze na podstawie jego wyroku zabrał się do pracy długich lat, aby przygotować wydawnictwo już uchwalone. Po Soborze Pius IV-ty wyznaczył do tej pracy kardynałów, którzy zaraz do pomocy wezwali Sirleta; również postąpili następcy ich za Piusa V. I za Grzegorza XIII nie przerywał kardynał Sirlet pracy przygotowawczej, która największą przysługę oddała kardynałom za Sykstusa V a ułatwiła najbardziej wydawnictwo Klemensa VIII.

Śledził oczywiście Sirlet wszelkie objawy rozbieżnych poglądów na moc uchwały trydenckiej o powadze Wulgaty. Z takiego tedy źródła Hoepfl dostał promienne światło na inne świadectwa spółczesne o całej sprawie, zwłaszcza o wspomnianym już wyroku co do powagi kresek i przecinków w Wulgacie. Na tej podstawie Hoepfl głównie roztrząsa stronę zasadniczą sporu i dochodzi do wniosku, za którym znalazł świadectwo odstępcy Leandra van Ess, wcale nie podejrzanego o przychylne dla papiestwa stanowisko,[1] ten twierdzi mianowicie, że „odmianki Wulgat nie przedstawiają nic istotnego w związku z wiarą i obyczajami, więc można równie dobrze Sykstyńską jak i Klementyńską Wulgatę poczytywać za Wulgatę autentyczną na zasadzie trydenckiego wyroku".

K. Czaykowski.

[1] Str. 203, 204.

Ozanam jako teoretyk i działacz społeczny.

W setną rocznicę urodzin.

(Dokończenie.)

Ozanam, zanim został doktorem *ès Lettres* w r. 1839 po przedstawieniu rozprawy o Dantem, przedtem, 1836 r., otrzymał doktorat z prawa, spełniając życzenie ojca, który go kierował na prawnika. Po otrzymaniu doktoratu, Ozanam wrócił do Lyonu na praktykę adwokacką. Jednocześnie utworzono tam dla niego katedrę prawa handlowego, które wykładał w roku szkolnym 1839—40, zanim w następnym nie zasiadł na katedrze w Sorbonie.

Z wykładu prawa handlowego posiadamy tylko skróty i noty. 24 lekcya poświęcona jest w dwóch redakcyach, różniących się tylko rozmiarami, zagadnieniu pracy i zapłaty.[1]

Robotnik ma jeden obowiązek wobec fabrykanta — pracę dawać i jedno prawo — otrzymywać zapłatę. „Praca jest to dobrowolne użycie swoich władz w celu zaspokojenia swoich potrzeb".[2] Celem więc pracy nie jest powiększenie wytwórczości, wzbogacenie kogokolwiek, lecz — zaspokojenie swoich potrzeb. Z drugiej strony, „zapłata jest ceną pracy".[3] Stąd wypływa wniosek bardzo ważny co do wysokości zapłaty. Ozanam uznaje zapłatę naturalną i odróżnia w niej dwie strony: absolutną i względną. Absolutne składniki zapłaty naturalnej, którą dzisiaj nazy-

[1] Notes d'un cours de droit commercial. Mélanges, II: 384—595.
[2] Tamże str. 506.
[3] Tamże str. 511.

wamy sprawiedliwą, tak zostały wyrażone: „Zapłata powinna zapłacić robotnika, t. j. to wszystko, co on daje na usługi przemysłu. W robotniku zaś należy odróżnić trzy rzeczy: wolę, wychowanie, siłę. Zatem w zapłacie będą trzy składniki: 1) dla mogącej zasługiwać woli, najmniejszą nagrodą jest to, aby nie umarła z głodu. Koszta utrzymania, to, co konieczne; 2) w dziedzinie wychowania — zysk i amortyzacya; wychowanie dzieci robotnika; 3) co do siły życiowej, która się wyczerpuje, emerytura, której gdyby nie było, robotnikby sprzedawał swoje życie a nie wypożyczał, lokowałby je *à fonds perdu*".[1] Strona zaś względna zapłaty pozostaje w stosunku z trzema momentami: 1) z ciężarem, nieprzyjemnością i niebezpieczeństwem pracy, z rzeczywistością wyrzeczeń się, co ma wpływać na podniesienie wartości elementu koniecznego; 2) z tem, czy praca jest przerywana, czy też nie, od czego zależy podwyższenie emerytury; 3) z wymaganiem biegłości, sprawności, badań — wskutek czego należy zwiększyć zysk.[2] Należy dawać taką zapłatę, albowiem nie można widzieć w robotniku jedynie narzędzia, które powinno dać najwięcej korzyści a najmniej kosztować,[3] lecz „stowarzyszonego" dla wspólnego dzieła, „pomocnika".[4] Nadto „zapłata powinna być proporcyonalna do zysków".[5] Dla różnych przyczyn — Ozanam między nimi nie wylicza złej woli — zapłata rzeczywista nie odpowiada naturalnej, wskutek czego powstaje nienawiść między robotnikami a fabrykantami, wzrasta znaczenie bogactw i siła liczby oraz dochodzi do gwałtów i nadużyć.

Jak złu zaradzić? Najpierw przez dobroczynność. „Miłosierdzie to Samarytanin, który olejem goi rany napadniętego podróżnika. Uprzedzić napaści jest dziełem sprawiedliwości".[6] Potem przez oświecenie i umoralnienie, przez rozszerzenie wiedzy zawodowej, aby lepiej znano elementy spożycia, środki wytwarzania i podziału.[7] Wreszcie przez interwencyę rządu. Ozanam odrzuca dyktatorskie rządy władz publicznych w dziedzinie wytwarzania, jak również i całkowitą wolność współza-

[1] Tamże str. 511—512.
[2] Tamże, str. 512. [3] Str. 515, 509. [4] Str. 515. [5] Str. 509.
[6] Str 513. [7] Tamże.

wodnictwa. Pierwsze sprzeciwia się rozwojowi produkcyi i zabija to, co stanowi życie przemysłu i handlu — wolność; drugie całkowicie oddaje robotnika na łaskę i niełaskę przedsiębiorcy, ponieważ robotnik ma mniej oszczędności, przez co jest bardziej czuły na zwłokę, ma mniej światła, stąd łatwo ulega gorączce, ma mniej wolności, jako przywiązany do maszyny, niż fabrykant, który stojąc wyżej, obejmuje okiem cały przemysł.[1] Właściwe rozwiązanie powinno zawierać: pogodzenie władzy z wolnością; opiekuńczą interwencyę rządu w wypadkach nadzwyczajnych i stowarzyszenia pracowników.[2]

O znaczeniu stowarzyszeń robotniczych Ozanam nabrał pojęcia przez studyum ekonomii wieków średnich.[3] Chrześcijaństwo rozszerzało pod wszelkiemi formami ducha stowarzyszeń, od kościołów narodowych, prowincyonalnych, do zakonów i bractw, nie tak jak państwo nowożytne, które wobec siebie ma tylko bezsilne jednostki. Ale, szerząc ideę stowarzyszeń, chrześcijaństwo pochwalało tylko stowarzyszenia wolne, bez przymusu zawarte, stąd n. p. taki długi i trudny nowicyat przed ślubami. „Chrześcijaństwo nigdy nie uznało tych wspólnot przymusowych, które, biorąc w posiadanie osobę ludzką od urodzenia, przesuwając ją ze szkoły narodowej do warsztatów narodowych, uczyniłyby z niej bezwolną stupajkę w armii przemysłowej, kółko bezrozumne w maszyneryi państwowej".[4]

Ozanam całą siłą swej wymowy i barwnego stylu wychwalał jałmużnę, wskazywał jej potrzebę i piękno, jej ducha, wskutek czego nie upokarza, lecz podnosi,[5] jak o tem niżej. Tutaj przejdę do wskazania, jak Ozanam rozumiał znaczenie miłości. Ustęp, do którego się tutaj odwołuję, odnosi się bezpośrednio do spraw politycznych, ale całkowicie może być zastosowany do zagadnień społeczno-ekonomicznych.[6] Ozanam dowodzi, że warunkiem

[1] Str. 513. [2] Str. 513.

[3] Les origines du socialisme. Mélanges, t. II. str. 215.

[4] Str. 216.

[5] Por. Aux gens du bien. Mélanges, I, 231; Les causes de la misère, ib. 245; De l'assistance qui humilie et de celle qui honore, ib. 256; De l'aumône, 260.

[6] Du Progrès par le christianisme, rok 1835. Mélanges, I: 117.

postępu jest pogodzenie we wspólnym związku wolności i autorytetu, aby przez to zapanowała sprawiedliwość. Otóż zasadą, na mocy której można dokonać tego połączenia, jest miłość. „Miłość zwracając wolne wole do jednego celu, do Boga, wobec którego każda osobistość gaśnie, uczy ludzi, jak się mają łączyć we wspólnem zaparciu; nadto, wskazując każdemu człowiekowi obraz Boży w duszach jego braci, uczy go, jak się ma wobec nich korzyć bez upodlenia. Jednocześnie miłość przypomina autorytetowi, że on tutaj na ziemi zastępuje miejsce Opatrzności, która używa swej najwyższej mocy jedynie dla dobra stworzeń — przez to zaś władza staje się ofiarą, jako posłuszeństwo: autorytet i wolność spotykają się na drodze poświęcenia się. Wtedy niewiele znaczą ustanowienia polityczne, że jeden lub mała liczba rządzi, albo że władza została oddana w ręce wszystkich. Co znaczy kształt ołtarza, jeśli się na nim kładzie tylko ogień święty i pali czyste kadzidło?".[1]

Co się zaś tyczy specyalnie pracy, to miłość sprawia, że człowiek nie czuje ciężaru tego powszechnego i ciężkiego prawa, albowiem wskazuje ona jego cel. „Miłość sprawia, że człowiek przyjmuje pracę z radością, albowiem ona w pracy ukazuje brzemię, nałożone rękami ukochanego Pana i przeznaczone dla wspomagania swoich braci. Ona każe człowiekowi podejmować część ciężarnego potu dla tych, którzy mają tylko łzy, którzy są biedni i słabi; ona rozciąga zapasy pracownika nietylko poza granice chwili i potrzeb obecnych, ale aż za grób".[2]

Jak już wiemy, Ozanam uznaje reformy ekonomiczne, ale w nie wlewa ducha.[3] Dawna szkoła ekonomistów przyczynę niedomagań widziała jedynie w niedostateczności wytwarzania a naprawę — w nieograniczonej wolności i w interesie osobistym. Nowa szkoła socyalistyczna przyczynę złego utożsamia z wadliwością podziału, przeto chce zupełnie usunąć współzawodnictwo, zamieniając społeczeństwo na więzienie, które żywi swoich więźni, ucząc ludzi, jak zamienić wolność na chleb i obietnicę przyjemno-

[1] Tamże, str. 117.

[2] Tamże, str. 121.

[3] Les causes de la misère, rok 1848. Mélanges I: 245 i nast.

ści. Atoli „oba te systemy, z których pierwszy ogranicza zadanie człowieka do wytwarzania a drugi do zabawy, różnemi drogami prowadzą do materyalizmu. I nie wiemy, czy nam się więcej obawiać tych, którzy upokarzają ubogich, robotników, czyniąc z nich narzędzia zbogacania się bogatych, czy też tych, którzy ich psują, udzielając im namiętności złych bogaczy!"[1] Oba systemy, ponieważ odwołują się tylko do materyi, niewiele dokonają. Trzeba wejść głębiej: do duszy ludzkiej, która jest chora, aby ją zleczyć. „Bóg nie uczynił biednych; nie zsyła on na koleje tego świata ludzi, którzyby nie posiadali dwóch bogactw pierwiastkowych: rozumu i woli".[2] Ubogim człowieka czyni zazwyczaj wolna wola. Ona to pozostawia umysł w niewiadomości a charakter w zaniedbaniu.[3] Ozanam się zastrzega, że nie pomiata ubogimi, że nie pogardza fabrykantami, ale oskarża „niedostateczność instytucyi", które nie mają dość siły, aby uczyć nieumiejętnych, umoralniać opuszczonych.[4] Bowiem „oświadczamy, że się nic nie uczyniło, dopóki się nie poszło szukać wewnątrz, a nie z zewnątrz, przyczyn szczęśliwości człowieka i wrogich pokojowi zasad, dopóki się nie poniosło światła i reformy do tego nierządu wewnętrznego, którego czas nie naprawi, który bardziej jest nieuleczalny, niż choroby, trwalszy, niż bezpraca, i który mnożyć będzie biednych wtedy jeszcze, gdy już trawa cmentarna pokryje ostatnie ślady walki cywilnej".[5]

---

[1] Tamże, str. 246. [2] Str. 247. [3] Str. 249.

[4] Tamże, str. 250.

[5] Str. 247. Dodać należy dla objaśnienia ostatnich wyrazów, że Ozanam pisał pod wrażeniem walk rewolucyjnych czerwcowych. Tego samego odnowienia ludzi na duchu i poszanowania dla pierwiastka moralnego Ozanam domaga się w dziedzinie politycznej: „Toute l'Europe tend à la démocratie. Or la démocratie ne peut vivre que de dévouement, de sacrifice, d'inspiration chrétiénne; c'est au Vatican que réside ce principe inspirateur... Nos pères, nos frères et nous travaillons à la statue de la liberté... il faut faire vivre la statue, il faut aller chercher la vie où Prométhée la chercha, c'est-à-dire au ciel. C'est le christianisme qui sera l'ame de la liberté. Il est temps de reprendre notre bien, je veux dire ces vieilles et populaires idées de justice, de charité, de fraternité. Il est temps de montrer qu'on peut plaider la cause des prolétaires, se vouer au soulangement des classes souffrantes, pour suivre l'abolition du pauperisme, sans se rendre solidaires des prédications qui ont déchaîné la tempête de Juin". Przyt. przez Peyreux, p. 85—86.

III.

Ozanam był nietylko teoretykiem, ale też i praktykiem, działaczem. Biografowie opowiadają o jego apostolstwie i różnorodnej działalności.[1] Tutaj krótko przedstawię dobroczynną działalność Ozanama. Ujawniła się ona przedewszystkiem w założeniu Konferencyi św. Wincentego à Paulo.[2] Ideę takiego stowarzyszenia, ale jeszcze bardzo nieokreśloną i niewyraźną, powziął był kolega Ozanama Le Taillandier, a zebranie pierwszej konferencyi było dziełem zbiorowem Ozanama, Le Taillandiera, Lalliera, Lamache'a, Devaux, Clavé i paru innych. Wszelako sam duch, który doprowadził do zebrania, kierunek i rozwój działalności jest przedewszystkiem dziełem Ozanama. Świadczą o tem w swoich wspomnieniach uczestnicy pierwszej Konferencyi.[3]

Ducha ofiarności dla ubogich Ozanam zaczerpnął z domu rodzicielskiego. Porzuciwszy służbę wojskową, Ozanam ojciec osiadł w Lyonie a potem w Paryżu. Stąd wyjechał do Medyolanu, gdzie utrzymywał się z lekcyi i uczył się medycyny. Przyczyną wyjazdu były częściowo stosunki polityczne, częściowo strata majątku wskutek powodowanego dobrem sercem wspomożenia pewnego biednego człowieka. W Medyolanie w r. 1813, 24 kwietnia urodził się Fryderyk. Gdy syn miał około trzech lat, ojciec po zajęciu Medyolanu przez Austryaków wrócił do Lyonu. Już w Medyolanie a przedewszystkiem w Lyonie Ozanam ojciec okazywał wielką pomoc i ofiarność ubogim, z którymi jako lekarz miał ustawiczną styczność. Nietylko ich leczył, ale i w domu odwiedzał. Nawiedzanie takie ubogich i cierpiących w domach było stałem zajęciem Ozanamowej, która nawet w tym celu przygotowywała i wyrabiała osoby. Młody Fryderyk od samej młodo-

---

[1] Por. np. studya: *G. Goyau*: Ozanam collegien, Ozanam étudiant, son apostolat intellectuel i *A. Baudrillart*: Ozanam apologiste oba w „Ozanam. Livre du centenaire".

[2] Powstanie tej instytucyi i rolę w tem Ozanama obszernie opisał *De Lanzac de Laborie*: Le Fondateur de la société de St.-Vincent de Paulo w „Ozanam. Livre du centenaire", 97—150.

[3] Świadectwa te przytacza *De Lanzac de Laborie*, p. 109—110.

ści przygotowywał się w ten sposób do dzieła, które później miał spełnić. Na pewien czas nauka szkolna niższa i wyższa, potem zajęcia literackie usunęły na plan dalszy opiekę nad ubogimi, a wysunęły pomysł założenia towarzystwa młodzieży, któreby wspólnemi siłami pisało obronę Kościoła przez wykazywanie starożytności, jego wierzeń, znajdujących się w zarodku nawet w religiach pogańskich, i dobroczynnych wpływów jego na stosunki społeczne. Z biegiem czasu, drogą stopniowej ewolucyi pod wpływem wypadków życiowych, którymi niezawodnie kierowała Opatrzność, plan pierwotny zamienił się na plan założenia stowarzyszenia dla akcyi katolickiej. Z pośród tych czynników, którymi posługiwała się Opatrzność, wspomnę o jednym. Mówił o niem Ozanam w mowie we Florencyi. Było to jeszcze za szkolnych czasów. Ozanam i jego koledzy starali się współtowarzyszy przekonać o prawdzie chrześcijaństwa. Wtedy otrzymali odpowiedź: Macie racyę, gdy mówicie o przeszłości chrześcijaństwa, które ma ogromne zasługi. Ale dzisiaj co robicie? Dzisiaj chrześcijaństwo jest martwe![1] Gdy się zebrała pierwsza grupa pod przewodnictwem głośnego działacza ks. Bailly, zadecydowano zająć się ubogimi i udano się do znanej powszechnie z uczynków miłosiernych siostry Rozalii Rendu, szarytki. Ona wskazała tej pobożnej młodzieży rodziny, które potrzebują opieki i pomocy, tudzież dostarczyła trochę środków materyalnych. Było to w maju 1833 r. Ozanam był wtedy studentem prawa, jak studentami byli jego współtowarzysze. „Stowarzyszenie“ działało, nie przyjmując wielu członków do swego grona. Po dwóch latach nastąpiła zmiana: przyjęto znaczną liczbę osób. Wskutek czego utworzono dwie sekcye, z których jednej wiceprzewodnictwo objął Ozanam. 8 grudnia 1835 r. ogłoszono regulamin, ułożony przez Lalliera, utworzono zarząd złożony z ks. Bailly, jako przewodniczącego, Le Prévosta, jako jego zastępcy, Brac de la Perrière, jako sekretarza, Devaux jako skarbnika. Ozanam pozostał na poprzedniem stanowisku. W r. 1836 Ozanam wrócił do Lyonu, wszelako nie przestawał się interesować stowarzyszeniem i służył mu ciągłemi radami, w ten sposób przez sekretarza wpływa-

[1] Mélanges. II: 39.

jąc na kierunek i bieg instytucyi, która zresztą potrzebowała takiej opieki: patrzano na nią niechętnie podejrzywając o złą wolę i podstępne zamiary.[1] Ta praca w towarzystwie i w nawiedzaniu ubogich była jeszcze gorliwszą od chwili, gdy Ozanam w r. 1841 objął katedrę na Sorbonie. Zasadą jego miłosierdzia było wspomagać ubogich, dlatego, że są ubogimi bez względu na ich wyznanie i osobistą winę, wspomagać raczej w naturze, niż w pieniądzach, ale zawsze osobiście idąc do domu biedaka, rozmawiając z nim, podnosząc go na duchu, nakłaniając do cnoty i poprawy, by ten sposób jałmużna materyalna została połączona z jałmużną duchową. „Naszym celem głównym — mówił Ozanam na Konferencyi św. Wincentego florenckiej w r. 1853 — nie było danie pomocy bliźniemu — to było tylko środkiem. Naszym celem było to, abyśmy się utrzymali w wierze katolickiej i tę wiarę szerzyli wśród innych przez praktykę miłosierdzia".[2]

W gorącym roku 1848, w grudniu, Ozanam wystąpił z apologią jałmużny przeciw tym, którzy nią pogardzali na rzecz sprawiedliwości.[3] Jest to jedna z najpiękniejszych kart Ozanamowych.

Odwieczny duch pychy ludzkiej chce wyzwolić człowieka od zobowiązania, ponieważ każde zobowiązanie jest połączone

---

[2] W r. 1838 pisał Ozanam: „Gros bonnets de l'orthodoxie, pères de conciles en frac et en pantalons à sous-pieds; docteurs qui prononcent entre la lecture du journal et les discussions du comptoir, entre la poire et le fromage; gens pour qui les nouveaux venus sont toujours les mal venus, pour qui tout ce qui arrive à Paris est présumé pervers, qui font de leur opinion politique un treizième article du symbole, qui s'approprient les oeuvres de charité comme leur chose et disent, en se mettant modestement à la place de Notre-Seigneur: Quiconque n'est pas avec nous est contre nous! Vous ne saurier croire les mesquineries, les vilenies, les arguties, les minuties, les aranies dont ces gens-là, avec la meilleure foi du monde, ont usé contre nous... Au reste, nous n'avons pas à nous plaindre quand nous avons affaire à un monde où M. Lacordaire est anathématisé, M. de Ravignan déclaré inintelligible et l'abbé Coeur suspect". Przyt. w „Ozanam", p. 128—129. Ozanam mówi tu o stosunkach lyońskich. Już wcześniej L'ami de la religion oskarżało Ozanama o herezyę i lamenezyzm (por. *Goyau* w „Ozanam" str. 53 i nast.) a później *L'Univers* — o odstępstwo od Kościoła (por. *Peyroux*, str. 90 i nast.).

[2] Mélanges. II: 43.

[3] De l'aumône. Mélanges. I: 260—264.

z zależnością. Niema człowieka najbardziej niezależnego, któryby nie był wobec kogoś zobowiązany do czegoś. Żaden syn nie odpłaci się nigdy matce, ani ojciec miłości swej żony i młodości swych dzieci, ani obywatel nawet umierający za swą ojczyznę. Opatrzność powiązała ludzi zobowiązaniami i powinnościami. Pewne zobowiązania można zapłacić. Atoli wielkie usługi, oddane społeczeństwu, nie są płatne ceną pieniądza. Czyż pensya, którą ksiądz otrzymuje, jest zapłatą za to, że jest on ojcem, nauczycielem, pocieszycielem ludu? Czyż żołd dzienny jest zapłatą za służbę żołnierską i krew przelaną! Chrześcijanin nie pomiata biednym, gdy go traktuje jak kapłana, który udziela błogosławieństwa, i jak żołnierza, który życie w ofierze składa za obywateli. „Jałmużna jest wynagrodzeniem usług, których zapłacić nie można. Albowiem w naszych oczach ubogi którego wspomagamy, to nie jest człowiek bezużyteczny. Według naszych wierzeń człowiek cierpiący służy Bogu a tem samem służy społeczeństwu, gdyż się modli. On spełnia, według naszego przekonania, urząd wynagradzania, ofiarę, której zasługi na nas spadają. Przeto mniej ufamy przewodnikowi, mającemu chronić nasze życie przed piorunem, niż modlitwie tej kobiety i tych małych dzieci, śpiących na wiązce siana na czwartem piętrze . . . Ci, którzy znają drogę do mieszkań biedaka, którzy zmiatali kurz z jego schodów, ci nie zbliżają się do jego progów bez uczucia uszanowania. Albowiem wiedzą, że ubogi, przyjmując z ich ręki chleb, jak od Boga otrzymuje światło, czci ich; wiedzą, że można kupić wejście do teatru i na zabawy publiczne, lecz niczem niepodobna zapłacić łzy radości w oczach matki ani uściśnienia ręki, danego przez uczciwego człowieka, któremu się dostarczyło możności oczekiwania na pracę".[1]

Taka jałmużna nie poniża, lecz przeciwnie podnosi obie strony i zbliża je do Boga.

* * *

W podręcznikach historyi katolicyzmu społecznego Ozanam

[1] Str. 262—263.

zajmuje na ogół nieznaczne miejsce. M. Eblé,[1] H. Joly,[2] V. de Clercq[3] poświęcają mu kilkunastowierszową wzmiankę. Nitti,[4] ks. T. Veggiani,[5] G. Traub[6] nie wspominają o nim wcale. Jedynie Ch. Calippe[7] i H. Romanowski[8] zajęli się nim obszerniej — i zupełnie słusznie.

Ozanamowi bowiem należy się poczytniejsze miejsce wśród społeczników katolickich. Najpierw dlatego, że w życiu swojem zachował wspaniałą jedność myśli i czynu. Wiedział, że myśl bez czynu umniejsza człowieka, przeto w dziele o Dantem chwalił filozofię scholastyczną za jej dążności teoretyczno-życiowe, za zasilanie oderwanego rozumowania praktyką i za wkładanie ideału w sprawy codziennego życia. Ozanam nie był wcale podobny do tych uczonych, o których dowcipnie mówi Taine, że na progu swej pracowni składają wraz z parasolem i kapeluszem swe wierzenia i uczucia. Ozanam jest jednolity: jest apologetą Kościoła w księgach uczonych, gdzie opisuje dobroczynną tej Boskiej instytucyi działalność, jest też apologetą w życiu, w którem chce ową działalność dziejową chrześcijaństwa kontynuować. Dzieło dokonane przez Ozanama przy współudziale towarzyszy młodości stanowi chlubę Kościoła naszego. Bo naprawdę jest coś boskiego w tem zbliżaniu się z modlitwą na ustach do biedy i nędzy poddaszy! Ozanam nie cierpiał oficyalnej dobroczynności — porównywał ją dosadnie do jałmużny dawanej przez bogatego pana ubogiemu za pośrednictwem lokaja, a zwalczał ją najskuteczniej: przeciwstawieniem dobrego złemu.

---

[1] Les écoles catholiques d'economie politique et sociale en France. Paris 1905, str. 48, 50.

[2] Le socialisme chrétien. Paris 1892, str. 194, 219.

[3] Les doctrines sociales catholiques en France depuis la Revolution jusqu'à nos jours. Paris 1905[3], II: 55, 57.

[4] Le socialisme catholique. Paris 1894.

[5] Il movi mento sociale cristiano nella seconda meta del 19 s. Vincenza 1902.

[6] Materialien zum Verständnis u. zur Kritik des kathol. Sozialismus. München 1902.

[7] Les tendances sociales des catholiques libéraux. Paris 1912.

[8] Wstęp do ekonomii społecznej chrześcijańskiej. Warszawa 1910.

Drugą wielką zasługą Ozanama jest, że wyczuł ducha czasu i zadania, które miało do spełnienia sumienie katolickie. Duch ciemności walczy z duchem światłości nietylko w jednostkach, ale i w narodach. Od czasów wprowadzenia w dzieje kwasu ewangelicznego rzeczy tak stoją, że gdy się sumienie katolickiego świata zaćmi, duch ciemności zwycięża. W ostatnich czasach rozgrywa się ta walka na tle społecznem — a katolicy oszołomieni niepowodzeniami politycznemi, sprawiali wrażenie, jakgdyby stracili drogę. Otóż Ozanam dał inicyatywę, wywołał ruch, wstrząsnął sumieniem katolickiem, rozerwał skorupę polityczną i wskazał pod nią istotną treść ducha czasu — walkę w dziedzinie społecznej. Wprawdzie nie był on ani pierwszym ani jedynym — wspominałem o innych w samej Francyi — ale był jednym z najpierwszych i najpotężniejszych twórców. De Mun w swem *Powołaniu społecznem* odwołuje się do Ozanama, jako do źródła i twórcy całego ruchu społecznego.

Oczywiście trzeba tu mieć na uwadze przedewszystkiem konferencye św. Wincentego à Paulo. Ozanam bowiem nie zostawił wykończonego „systematu" społecznego, ani nawet żadnego dzieła specyalnie poświęconego zagadnieniom społecznym. Jednakowoż to, co zostawił, świadczy o głębokim umyśle, zdolnym do uchwycenia istoty rzeczy. Jego poglądy na zapłatę naturalną, jałmużnę, demokratyzacyę społeczeństwa, własność w dziejach Kościoła, pójście do barbarzyńców, znaczenie moralnego pierwiastku w kwestyi społecznej — stanowią zdobycz i ojcowiznę społecznego katolicyzmu. Przedewszystkiem zaś zasługuje na uwydatnienie to, że Ozanam tak świetnie zrozumiał znaczenie miłości w budowaniu społecznem. Gdy się myśli o Ozanamie mimowoli przychodzi na myśl Pius X papież, który tak dostojnie przypomina prawa miłości w dziele cywilizacyi chrześcijańskiej. Podobieństwo między działaczem paryskim i profesorem na Sorbonie a Ojcem chrześcijaństwa w tej dziedzinie zachodzi nawet w niektórych charakterystycznych szczegółach. Ozanam nabrał zrozumienia ducha katolickiego niezawodnie przez poważne studyum cywilizacyi chrześcijańskiej, czego typowym przykładem jest hasło: *Passons*

aux barbares! Pius X w encyklice o *Sillonie* poleca biskupom, aby działacze społeczni nietylko posiedli znajomość nauk społecznych obok teologicznych i filozoficznych, ale też dobrze poznali dzieje i prawa cywilizacyi katolickiej, której nie trzeba na nowo stwarzać, bo istnieje od dwudziestu wieków, lecz wystarczy tylko ją odnowić. Albo to drugie podobieństwo. Cytowałem wyżej[1] ustęp z listów Ozanama o tem, ile to miłosnej i ofiarnej pracy Świętych potrzebowały pewne wieki. Czyż Czytelnik nie przypomniał sobie od razu słów z encykliki *Notre charge apostolique*, które tak dosadnie ujmują umysłowość i ducha Piusowego: „Jak się wspomni, ile to było potrzeba sił, nauki, cnót nadprzyrodzonych, aby zbudować społeczność chrześcijańską, cierpień tysięcy męczenników, i tyle światła pochodzącego od Ojców i Doktorów Kościoła, i ofiarności tylu bohaterów miłosierdzia, i potężnej, w niebie mającej początek hierarchii, i potoków łaski Boskiej, i zbudowania wszystkiego, związania oraz przeniknięcia przez życie i ducha Chrystusowego, Mądrości Bożej, Słowa Wcielonego — jak się o tem wspomni, to się nadziwić nie można że są nowi apostołowie, co chcą lepiej zrobić, oparłszy się na niewyraźnym idealiźmie i cnotach obywatelskich".[2]

Wspomnę o jednem jeszcze podobieństwie, a zarazem o zasłudze Ozanama, mianowicie o tem, że w czasach rewolucyi, gdzie wszystko uzależniano od zmiany form politycznych i administracyjnych, on zrozumiał, wczytując się w dzieje, że istotna reforma zaczyna się od zmiany wnętrza człowieka, że dopóki pozostanie stary człowiek, podległy starym nawyknieniom, przyzwyczajony do starych niesprawiedliwości, dopóty zmiany zewnętrzne niewiele dokażą: stare zło zmieni tylko postać. Dla przeprowadzenia skutecznej reformy trzeba sięgnąć do wnętrza, do pragnień i dążeń duszy ludzkiej, trzeba, jak w niespełna sto lat powie Głowa chrześcijaństwa, *instaurare in Christo!*

Ks. Antoni Szymański.

---

[1] Str. 199, zeszyt sierpień-wrzesień Przegl. pow.

[2] Notre charge apostolique, S. Qui hélas.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Wyrok Heroda.

Podniósł się z łoża, gorączką płonące oczy utkwił w postaci stojącego w progu kapłana.

— Więc nie powrócili ?

Białe, smukłe ręce, przeciążone złotem pierścieni, rozłożyły się bezradnie wielomownym ruchem.

— Nie powrócili.

Ku Herodowi zwróciła się spokojna, jakby w kamieniu kuta maska twarzy, o wązkich ustach i oczach szarych, tających pod spuszczonemi powiekami wyraz właściwy, a głos łagodny, zciszony mówił zwolna.

— Pomimo tego jednak, panie, do wiadomości naszej doszło, gdzie się Magowie owi udali, bezszelestne stopy jednego z naszych sług szły ich śladem.

— I...?

Herod uniósł się z łoża, głodne oczy pustynnego lwa rozbłysły nadzieją łupu, po wydatnych zmysłowych ustach przesunął się uśmiech zadowolenia i zgasł... Kapłan bowiem znowu zastygł w bezruchu.

— Dlaczego milczysz? mów !

— Panie... człowiek powinien łączyć z przebiegłością węża, jego ostrożność — snuł się od progu łagodny, zniżony głos. Jeżeli wysłannik mój szedł śladem mędrców owych i wieść uzyskał... to chciałbym wiedzieć...

— Ile wieść ta ma wartości dla mnie?

— I co z nią uczynić zamierzasz?

Zmarszczka między brwiami Heroda pogłębiła się, drgnęły nozdrza, a palce wpiły się w miękki jedwab poduszek. Potem na rozgorzałe gorączką oczy zasunęły się ciężkie powieki, zakrywając je do połowy...

— Zamordować pragnę Mesyasza owego... Jeżeli jednak myślisz, że mi cośkolwiek zależy na twej wieści... to zachowaj ją dla siebie.

— Zależeć ci na niej musi... Mesyasz to władzca, ziemski władzca... wątpię, by dzielić chciał potęgę swoją chociażby z takim mocarzem jak ty wielki Herodzie.

— Sprzedaj wiadomość twoją świątyni i jej bowiem zależeć musi na tem, by Mesyasz ten zginął... Czyż nie? Pomyśl tylko, gdyby tak naprawdę zjawił się ów Syn Boży i zażądał naraz rachunku z ofiar i darów, z tego, jaką religią była i coście z niej zrobili... zginęłoby wam to obfite źródło dochodów... co? — drwił Herod.

— Świątynia... jakąkolwiek jest... nie kupuje wieści...

— I ja ich nie kupuję... Zgubę przysiągłem owemu dziecięciu... korzystną ona, zarówno dla mnie jak i dla was. Bez wieści twojej obejdę się jednak... — krwawy błysk rozświecił nagle głąb oczu Heroda. — Gdy postanowię coś, nie cofam się nigdy... zawady z drogi mojej usuwałem zawsze silną, bezwzględną dłonią i dziś ręka moja nie osłabła jeszcze, potrafi się wyciągnąć i... zdławić! Precz odrzucić przeszkodę!

Jakiś straszny uśmiech rozchylił nagle usta władzcy, ukazując silne, białe kły, wpiły się źrenice w twarz kapłana.

— Wszak masz syna Saulu ben Are...?

Pierwszy raz uniosły się spuszczone dotąd powieki i para szarych, bystrych oczu spojrzała w okrutną twarz przeciwnika.

— Ty wiesz panie.

— Niedawno powiła ci go żona?

— Przed rokiem.

— Kochasz go bardzo?

Kapłan milczał, źrenice jego usiłowały przeniknąć twarz Heroda, te drapieżnie uśmiechniętą maskę.

— Dla niego zapewne pragnąłeś zdobyć fortunkę, zdradzając mi miejsce pobytu domniemanego Mesyasza... co? Zaiste, przezorność chwalebna... Ja jednak płacić nie potrzebuję... jest przecie dużo prostszy i pewniejszy sposób.

Klasnął w dłonie, a gdy na ciemnej purpurze kotary, błysnęło białe, pyszne ciało niewolnika, rzucił:

— Podaj rylec i tabliczkę woskową — a potem zwracając twarz do kapłana, mówił z akcentem uprzejmości serdecznej: Chory jestem i rylec utrzymać mi trudno... wyręcz mnie Saulu i napisz rozkaz do pretorium, by w całej Judei, nie wyłączając Jeruzalem..., wymordowano wszystkie dzieci do lat dwóch.

Cisza straszna grozy zapanowała w komnacie, jakby śmierć po niej bezszelestną wionęła stopą.

Nagle przerwał ją łoskot, to z ręki kapłana wysunął się złoty rylec na marmurową posadzkę komnaty.

— Pisz — spokojnie nakazywał głos Heroda. — Dlaczego nie piszesz...?

— Panie! — rwało się ochryple z piersi kapłana — czy pomyślałeś, ilu to rodzicom wydrze dzieci... ilu matkom... Czy pomyślałeś, że skatowany lud pomstę wziąć może za ten rozkaz...?

— Lud izraelski tchórzliwy jest i nigdy ręki nie podnosi na władze... kopnięty — powraca, katowany, liże bat dzierżącą dłoń.

Cisza... a potem pół-jęk...

— Mesyasz... urodził się w Betleem, Panie, i tam podążyli owi trzej magowie... W Betleem, Panie!

— Ach tak... mówiłem ci, że to obojętne w zasadzie... dla pewności napisz w Judei, nie wyłączając Jeruzalem.

— Panie!

Twarz kapłana z bladej stała się szarą, spokojną do niedawna linią ust, ból mienił, szalony ból błaganiem się wpił w źrenice Heroda.

— Panie... przysięgam ci na Boga mojego...

— Pisz...

— Na głowę dziecka mego... w Betleem... w Betleem.

Zduszonej lękiem krtani słów brakło...

— Pisz...

I znowu cisza...

Twarz kapłana przeszła w siny ton, na czoło pot zimny wystąpił.

Jego dziecko... jego jedyny syn !...

Zdawało mu się, że już widzi brutalne ręce żołnierzy, wyciągające się po to ciałko ciepłe, różowe, które do niego tyle razy lgnęło w pieszczocie... po jego dziecko... jedyne.

Zdawało mu się, że widzi, jak mała czaszka pęka pod uderzeniem miecza... prężą się członki..., że widzi obłąkane oczy żony, kołyszącej strasznym jednostajnym ruchem trupka w ramionach.

Spojrzał w oczy Heroda, chłodne, złośliwie uśmiechnięte źrenice poiły się jego męką, białe palce obojętnie pieściły pukle brody.

Gdybyś zabił !... przemknęło przez myśl kapłana i krew zawrzała mu w żyłach, czerwoną mgłą przesłaniając oczy, a ręka zwolna posuwać się zaczęła, jak wielki biały pająk po ciemnym marmurze kolumny, ku ciężkiemu, złotemu świecznikowi, stojącemu na niej.

Jeden cios...

W skroń....

— A zatem... napisz... by wymordowano dzieci do lat dwóch.

Ręka kapłana dotknęła świecznika, oplotła się do koła podstawy, z wściekłą, miażdżącą siłą. Tysiące rozwirowanych kręgów widział w przestrzeni, tysiące dzwonów huczało mu w skroni...

Zabić.... zabić !...

— W Betleem i okolicy — dokończył Herod. Głuche, ochrypłe

— A...! — wydarło się z piersi kapłana... ręka opadła, złoty rylec zaczął kreślić i nagle zatrzymał się znowu.

— Panie.

— Czy jeszcze masz co do nadmienienia, kapłanie?

— Tylko to panie, że w Betleem matki tak samo płakać będą, jakby płakały w Jerozolimie... a krew dzieci... niewinnych dzieci, sławy ci nie przyczyni Herodzie.

Przez chwilę spojrzenia wżarły się w siebie i zmagały z siłą.

— Śmiały jesteś.

— Przeszedłem przed chwilą przez piekło i litość mam w duszy.

— Zdław ją kapłanie... litość to rzecz niewiast i niewolników... mieć jej nie mogą królowie i... nie będą. A strzeż się próśb, bo mogą mieć skutek wręcz przeciwny...

Herod, po tabliczkę upierścieniowaną ręką wyciągnął i podpisał. Jego rozgorączkowane oczy miały teraz wyraz zimnego okrucieństwa, usta uśmiechały się.

Czuł się tak wielkim, tak silnym... podpisywał wyrok na Syna Bożego.

Bo cóż mu Bóg!

Kapłan patrzył, w szarych oczach tlił się błysk nienawiści głębokiej, nagle jednak myśl jakaś przebiegła go dreszczem i zbladłym wargom powróciła uśmiech swobodny.

Pospiesznie opuszczał Saul, syn Arego, pałac Heroda, długą kapłańską szatę uniósł nieco, by nie krępowała mu chodu... Spieszył... do domu wracał.

Zdaleka dojrzał w progu, małą, jasną główkę syna. Bawił się, wyciągając do rozśmianej matki drobne rączęta, żywy rozbłysk słońca igrał na białej szacie matki, nagim, różowym ciałku dziecięcia i ciemnej zieleni oliwnego drzewa.

— Moi... moi! — szeptał kapłan i jakieś olbrzymie roztkliwienie wstało mu w duszy a potem... litość ogromna. Wiedział, że teraz pretoryanin niesie już kohortom tabliczkę z rozkazem Heroda.

— Widzisz tata... tata... — dobiegał go jasny, radosny głos kobiety — tata.

Szarpnęło mu się coś w duszy, ku stajni się rzucił.

— Najlepszego konia kulbaczyć — do domu pędem wbiegł. — Saro... szaty mi daj podróżne, gdyby ze świątyni przysłano, powiesz, że chory leżę i widzieć nie mogę nikogo... Pamiętaj, chory leżę.

Dobrze.... — nie pytała o nic, chociaż jej dziecinną twarzyczkę mrok troski zasunął, tylko nieskończenie pieszczotliwym ruchem, dłoń jej skroni męża dotknęła, jakgdyby smutek z niej usunąć pragnęła.

A Saul dziecko na ręce porwał i do piersi tulił namiętnie, szare, chłodne oczy zwilgotniały nagle a usta drgnęły szeptem:

— Za to, że mi ciebie uratował... za to, że mi ciebie...

Niedługo potem, drogą ku Betleem samotny jeździec pędził, z pod kaptura wyglądały płonące szare oczy i usta spokojne a silne w wyrazie.

Litość Saula ben Are pragnęła ubiedz zbrodnie Heroda.

* * *

Józef się zerwał, oczy przetarł, i pełen lęku rozglądnął się w około... Taki dziwny miał sen, dotąd brzmiał mu w uszach nakazujący głos:

— Wstań... weź dziecko i matkę jego i uciekaj do Egiptu... i pozostań tam, aż ci powiem. Ponieważ Herod szuka dziecięcia, aby je zabić...

Uciekać... rzucić wszystko... ziemię, kraj, rzemiosło i iść w nieznane stosunki, do obcych ludzi... jedynie na rozkaz głosu słyszanego we śnie.

Spokojny i trzeźwy umysł Józefa, przed rokiem jeszcze byłby bez chwili wahania przeszedł nad sennem marzeniem do porządku dziennego, ale w ostatnim roku tyle cudownych spotkało go wydarzeń, dziecię powierzone jego opiece Synem Bożym było... Więc pochylił głowę, rozważając czy owego głosu posłuchać... jakiś nieokreślony niepokój mówił mu, że rozkaz spełnić należy, lękiem go jednak przejmowała droga daleka, nieznany kraj...

Jak tę tułaczkę zniesie Marya i jej malutki syn?...

Czy wystarczą te dwie silne, pracowite dłonie, by im na obczyźnie chleb zapewnić codzienny?...

Nagle w ciszy nocnej rozległ się łoskot końskich kopyt, dusza Józefa zamarła w lęku... Jednym skokiem, zasłonił wejście do izby, gdzie spała Marya z Dziecięciem i oczekujące, na wszystko zdecydowane oczy utkwił w przestrzeni.

Zcichł kopyt tentent.

Rozległ się kroków pospiesznych, cichych szelest i pukanie.

— Kto?!...

— W imię Jehowy, który jest Bogiem moim i twoim, otwórz... nowiny przywożę ważne z Jeruzalem... — urywany za drzwiami szeptał głos.

Józef kaganek oliwny zapalił... posypał się w cieniu izby złotych skier gąszcz i rozedrganym blaskiem rozświecił drewniane bierwiona, do drzwi podszedł, zasuwę odsunął... Na progu stała wysoka, szarym płaszczem okryta postać, blada szczupła twarz rysowała się ostremi liniami na tle kaptura.

— Dziecko i matkę jego weź i uciekaj, gdziekolwiek byle daleko, tam gdzie władza Heroda nie sięga... uprzedziłem kohortę mającą rozkaz wymordowania wszystkich dzieci poniżej lat dwóch w Betleemie... Spiesz się.

Józef spojrzał w szare oczy gościa uważnie i w milczeniu dłoń doń wyciągnął, szczupłe palce Saula ben Arego oddały uścisk.

— Spiesz się — kapłan u wejścia stanął i rękę na głowni miecza przepasanego pod płaszczem położył — kto ma za sobą nienawiść Heroda... pospieszać musi.

— Spiesze.

Dotąd sercem Saula ben Arego poruszało jedynie współczucie, Mesyasz był dla niego dzieckiem jak inne, niewinnem dzieckiem, którego bronić pragnął, teraz wobec spokojnej, myślącej twarzy Józefa, wobec jego szczerego głosu, kapłan po raz pierwszy myślał... że jednak ten cieśla nie potrafiłby kłamać... ani życiowej komedyi grać... więc i to dziecko...

Może i naprawdę Syn Boży.

Drzwi od izdebki otwarły się cicho i wysmukła postać Maryi zarysowała się w mroku, wiewnym cieniem, złotawo-czarne oczy objęły spojrzeniem twarze obu mężczyzn.

— Uciekamy?...

Serce matki odgadło grożące dziecku niebezpieczeństwo bez słów.

Saul ben Are ogarnął ją zdumionem spojrzeniem i w milczącym, głębokim schylił się pokłonie.

* * *

— Rozkaz twój został wypełniony panie, ni jedno dziecię poniżej lat dwóch nie żyje w Betleem.

Spiżowy głos młodego żołnierza, dziwnie ponurem echem rozległ się w komnacie i odtąd co dnia gdy Herod do snu zamykał powieki, gdzieś z przestrzeni, płynął ten twardy, bezlitosny głos i dzikie, krwią od bezsenności nabiegłe oczy Heroda, rozwierały się, by nową noc nieskończoną przebyć.

By patrzeć w przestrzeń ciemną, słabo rozświetloną blaskiem oliwnej lampy, w przestrzeni w której co noc jedna powstawała zjawa... Gorączkowa wizya, która z dziwnym powracała uporem, a której bał się Herod... Herod, który nigdy przed nikim lęku nie czuł na świecie.

Gdy cienie nocy zaległy komnatę, straszny lęk chwytał w swoje zakrzywione szpony duszę króla, ogromny, z szałem graniczący lęk.

Potężny król dzieckiem się czuł bezbronnem, bo przez szeregi służby, przez nieruchome postacie rzymskich żołnierzy przesuwała się bezszelestną stopą nowa zjawa i dręczyła władzcę.

Widział wtedy zawsze ten sam obraz...

Z ciemności komnaty wstawała nagle wizya... w srebrnej księżycowej poświacie tonącego miasteczka, tulącego się do wzgórz uprawnych. Szeroko rozwarte oczy Heroda widziały szereg jeźdźców, stalowe hełmy z czerwonemi kitami, silne, smukłe jak w marmurze kowane postacie, błysk mieczów nagich...

Przy pierwszym domu żołnierzy zatrzymało skinienie setnika... zsunięto się z koni, echo powtórzyło kołatanie...

Otwarto... jakiś senny niewolnik na zbrojnych oczy wytrzeszczył zdumione... odsunięto go na bok. W głąb domu wpadły te postacie, straszne, ciche jak przeznaczenie, silne dłonie wycią-

gnęły z kolebki dziecię... uśmiechnięte, rozespane... Pochwyciły za nóżki drobne, różowe... rozkołysały w powietrzu...

— W imieniu Heroda! — powtórzył spokojny, spiżowy głos i dziecko uderza o ścianę, krew i mózg rozpryskują się do koła, obryzgują pancerze żołnierzy... szmat ciała, drgającego konwulsyjnie odrzucił zbrodzień na kamień posadzki...

Co to?...

Jakiś straszny, nic ludzkiego w sobie nie mający krzyk... Herod widzi oczy straszne, obłąkane, jakieś usta tulące się do ciepłego jeszcze ciałka, ramiona wijące się do koła trupka z bezkształtną bryłą zamiast twarzy i straszny, ochrypły bolem głos, wwierca się świdrem w duszę chorego króla i rwie ją... rwie.

— Bodajeś nigdy spokoju nie zaznał Herodzie... nigdy! nigdy!

Czoło chorego pokrywa zimny pot, dłonie rwą poduszki, chwytają ramię czuwającego niewolnika i Herod błaga, szaleje wyje...

— Zabij mnie — zabij!

A wizya powtarza się dalej, co raz inne wnętrza, co raz inne bolem obłąkane twarze i zawsze ten spiżowy, spokojny głos.

— W imieniu Heroda!...

A potem krew... tyle krwi,.. Zdawało się Herodowi, że ta krew płynie aż ku niemu, czepia się jego rąk ślizkiemi, krzepnącemi kroplami, zalewa oczy bezsenne, dławi w gardle... Ta krew!...

Ta krew!...

Purpurowa, tryskająca z dziecięcych czaszek, które otaczają rozwirowanym kręgiem jego łoże. Ta krew przelewana w jego imieniu, za jego rozkazem.

Krew... ta krew... zalewa mnie, dusi... ratujcie — błagał król a drżące wychudłe ręce wyciągały się do niewolników żebraczym gestem, czepiały się ich tunik barwnych. — Ratujcie... zabijcie zjawę... nagrodzę was po królewsku... Zabijcie... bo,.. was wymordować każę... Albo... zabijcie mnie... litość miejcie — dodawał słabym, konającym głosem, bo zdawało mu się, że fala krwi zalewa go, że ginie.

Nadaremnie co dnia uroczyste w świątyni składano ofiary,

nadaremnie Herod chaldejskich przyzywał uczonych, by uspokajali mu dusze cudotwórczem dotknięciem dłoni, co dnia wizya wracała i do szału doprowadzała króla... A ciało... to niegdyś potężne ciało wielkiego władzcy, gniło, rozkładało się, strasznym odorem grobu wypełniało powietrze komnaty.

— To trupy pomordowanych dzieci czuć! — krzyczał Herod — weźcie je odemnie!

Nadaremnie jednak najdroższemi wonnościami zlewano pościel i bieliznę pana, przez słodką woń ambry, przez odurzającą perskich róż mgławicę przedzierała się straszna woń grobu i męczyła go więcej niżeli fizyczny ból.

Herod wychudł tak, że skóra na policzkach do kości przywarła a przez powłokę rąk widać było spojenia kości, muskułów wiązadła... Potężne dłonie, które każdą zaporę z życia odrzucały bez litości, zesłabły tak, że nie mogły pasa w węzeł splątać by mękę życia skrócić, nie mogły krótkiego podźwignąć miecza, leżały na purpurowem jak krew nakryciu łoża, bezwolne, bezwładne.. zwiędłe kwiaty dwa.

Oprócz płatnych lekarzy i niewolników, nikt niemal chorego nie odwiedzał władzcy. Czasem na sekund kilka zjawiały się postacie trzech synów Heroda: Archelausa, Heroda Antypa i Heroda Filipa... rzucali spojrzenie ciekawe na postać chorego, zdawkową monetę współczucia i odchodzili spiesznie, jedwabiem szat zatykając wrażliwe nosy.

Jednego dnia, gdy Herod w największej leżał męce, zjawiła się w komnacie wysoka postać Saula ben Arego. Do łoża podszedł, pochylił się nad żyjącym trupem, a jego łagodny głos przenikał w głąb duszy Heroda.

— Słyszałem... że bardzo cierpisz panie...

Słyszałem... że noce twoje bezsennemi są... i przyszedłem ulgę przynieść twojemu cierpieniu. Pomiędzy dziećmi, które kazałeś zabić w Betleemie... nie było Mesyasza.

— Nie było?! — wyrwało się ochryple z piersi króla.

— Nie było... bo... znalazł się ktoś, kto ubiegł zbrodniczą rękę twoich żołnierzy.

— Ty Saulu?

— Ja... panie.

Chwilę dzikie, obłąkane oczy Heroda wpijały się spojrzeniem w szare źrenice kapłana, a potem z piersi wpół jęk, wpół skowyt cichy wypadł.

— Więc jednak... napróżno !...

Jeszcze jeden skurcz... podniosła się klatka piersiowa jakby pęknąć miała, wpiły się palce w jedwab poduszek... charczenie wydarło z gardła... i cisza... Herod nie żył...

Z dreszczem wstrętu Saul ben Are cofnął się od trupa.

Marya Czeska.

Prądy słowianofilskie
wśród Emigracyi Wielkiej 1830—1863.

(Dokończenie).

Jedną z głównych podniet rozkwitu idei słowiańskiej było niewątpliwie powodzenie wielkie nauki Towiańskiego,[1] przypadające właśnie na te lata. Jego *Biesiada* pojawiła się w rękach pielgrzymów w r. 1841 i odrazu przypadła do ich serc skołatanych. Głosił w niej bowiem mistrz zbawienie ludów, ich duchowe udoskonalenie i odrodzenie zapomocą propagandy słowem i zapowiadał kres cierpień ludzkości na ziemi, oraz rychłe urzeczywistnienie pragnień i dążeń patryotycznych. Chcąc zaś niebiańskie teorye, podobne do snów tęczowych, wprowadzić na padół życia realnego, pragnął powołać pod swój sztandar wszystkie ludy, wyznania i trony i w tym celu nauczał, że Francya i Słowiańszczyzna — to główne filary królestwa Bożego. Objawiał też trzem pierwszym wyznawcom swej nauki (w pierwszej notatce[2] urzędowej z sierpnia r. 1841), że Bóg szczególnie umi-

[1] Zob. rozprawę Zdziechowskiego w zbiorze „Messyaniści i słowianofile. Kraków 1888.

Artykuł w czasopiśmie emigracyjnem „Prawda“ 1860/61, także w „Tygodniku powszechnym“ 1878.

[2] Współudział Ad. Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Wyd. Wł. Mickiewicz. Paryż 1877, tom I, str. 2.

łował ludy słowiańskie i niebawem wywiedzie je z domu niewoli, wolę zaś swą objawia najpierw tułaczom-pielgrzymom, którzy najwięcej ucierpieli.

Towianizm docierał z początku w szerokich kołach do dusz polskich i zdobywał je dla swej teoryi, mgławicą mistyki owianej, a zarazem i dla idei słowiańskiej. Ciesząc się największą względnie popularnością w ciągu r. 1842 i 1843, zgotował i jej powodzenie niezwykłe. Jednakże dobrym horążym nie był, bo pod jego sternictwem omal nie zeszła z gościńca polskiego. Sam bowiem Towiański zmieszał swą dotkrynę z mesyanizmem i utopią panslawistyczną Hoene-Wrońskiego i w porozumieniu z uczniami wystosował do cara Mikołaja I. pismo wiernopoddańcze, wzywające go, w tonie jak najpokorniejszym do przyjęcia Sprawy Bożej i wprowadzenia jej w życie wśród ludów słowiańskich.[1] Krok ten oburzył i otrzeźwił wielu zwolenników reformatora, bo rozgoryczenie i nienawiść do Rosyi wśród wychodźców była bardzo wielka i wzrastała ciągle w miarę tego, jak z krainy Kaina dochodziły hiobowe wieści o strasznych represyach na ziemiach polskich. Bez skutku jednakże nie minął, albowiem wprowadził do życia emigracyjnego myśl o możliwości ugody z Rosyą i nadał jej niejako prawo obywatelstwa, co bezpośrednio po pogromie powstania, które przypomniało, że Rosya a Polska — to Aryman i Ormuzd, rozdzieleni całą przeszłością pełną walk, krwi i łez — było zgoła niemożliwe.

Teraz przez wyłom zrobiony przez Towiańskiego przedostał się na emigracyę panslawizm rosyjski i wywołał pewien oddźwięk w obozie monarchicznym[2] Czartoryskiego w r. 1843 Podjął się wtedy propagandy ruchu rosyjsko-słowiańskiego

[1] Tamże, str. 175—177.

[2] Było to jednakże wystąpienie tylko pojedynczej jednostki, z którem cały obóz nie solidaryzował się. *Trzeci Maj* bowiem, organ zwolenników Czartoryskiego, potępił krok Jabłonowskiego i wyłączył go z grona swych współpracowników, zaznaczając, że większość myśli, rozwiniętych przez Jabłonowskiego w broszurze „La France et la Pologne“ i t. d., obraża jego najmilsze uczucia i jest sprzeczna z jego przekonaniami (1843, str. 529). Dopiero w parę miesięcy później otworzył mu napowrót szpalty gościnne, jako „marnotrawnemu synowi“ (str. 669).

Wacław Jabłonowski, piszący po polsku i po francusku, jeden z redaktorów *Trzeciego Maja*. Obiegała wówczas pogłoska o mającej nastąpić zmianie polityki rządu petersburskiego względem Polaków i tem tłumaczyć należy nowo-objawiające się sympatye. Wprawdzie zawsze przeprowadzano u nas rozdział stanowczy pomiędzy nienawiścią do rządu, a sympatyą słowiańską do narodu rosyjskiego, ale powszechnie imię rosyjskie, jako symbol despotyzmu, było tak znienawidzone, że każda myśl otwarta o sojuszu Polski z Rosyą, nawet z zachowaniem cech polskich, była okrzyczana za zdradę narodową. Ten zarzut spotkał i Jabłonowskiego.

Już w broszurze: *La France et la Pologne — Le slavianisme et la dynastie polonaise* (r. 1843) Jabłonowski wypowiedział swoje credo, że jeżeli byt nasz uzyskać mamy w związku i współdziałaniu z innymi ludami słowiańskimi, to przedewszystkiem powinniśmy starać się o zgodę z Rosyą. Odniesie z tego korzyść i Rosya, ożywiona duchem społeczeństwa polskiego. Albowiem „kiedy car ogłosi się w Polsce cesarzem Sławian, egzaltacya wojska i narodu polskiego będzie bez granic i nowy cesarz wyruszy podbijać cały zachód".[1]

Dla propagandy tej myśli, oraz roztrząsania środków i warunków zjednoczenia Słowian, postanowił wydawać pismo *Sławianin*.

Prospekt jego ogłoszony w języku francuskim w r. 1843 brzmiał jak następuje:[2] „Mamyż my zostawić wielką myśl Słowiaństwa w niegodziwych rękach ludzi, składających ciało biurokracyi rosyjskiej i austryackiej? Mamyż dozwolić, żeby ci ludzie wyciągali korzyść z dążności i ruchu stowarzyszeń tajemnych, zawiązywanych przez liberalnych i patryotycznych Słowian? Mamyż dać wolne pole ideom anormalnym, kłamliwym, zbrodniczym, które się kryją pod płaszczem mistycyzmu fanatycznego, a które korzystając z uczuć religijnych ludu, pragną zaprowadzić obskurantyzm i tyranię kasty?[3] Zechcemyż

[1] Str. 266.

[2] Dziennik narodowy 1842—1843. Paryż, t. II, str. 405.

[3] Zapewne mowa o towiańszczyźnie.

dać wolne pole ideom liberalizmu fałszywego, antysocyalnego i burzącego porządek? Nie, trzeba położyć na kwestyi słowiańskiej piętno interesów sprawiedliwych, szlachetnych, wielkich, prawdziwie liberalnych; trzeba, żeby wszystkie ludy poznały swoje obowiązki względem siebie samych i względem wielkiej rodziny słowiańskiej. Trzeba, żeby okoliczności zastały je przygotowane przez rozumowanie dojrzałe. Trzeba, żeby one wiedziały, co powinny i mogą żądać i zrobić. Trzeba, żeby były zabezpieczone od bałamuctw, bo inaczej ta wina spadłaby na nie i na ich pokolenia przyszłe jak kamień grobu, któryby pochłonął cywilizacyę, wolność, szczęście rodu ludzkiego. Dlatego to czuję konieczność wyrwania kwestyi słowiańskiej usiłowaniom nieczystym, zajmującym się jej propagandą. Uczułem potrzebę założenia dziennika, któryby rozprawiał o środkach i warunkach politycznego zjednoczenia wszystkich ludów słowiańskich. Wzywam tedy pomocy, wsparcia i opieki wszystkich Słowian zacnych i patryotów, wszystkich Polaków, Rosyan, Czechów, Morawców, Serbów, Bułgarów, Węgrów,[1] Dalmatów, Illirów i wszelkich innych; proszę ich o współdziałanie. Niebezpieczeństwo niewoli jest na jednej — zjednoczenie ludów sławiańskich, wolność rozsądna i słuszna na drugiej szali. Wybierajcie. Ja zaś mam zaszczyt oznajmić, że w ostatnich dniach pierwszego miesiąca r. 1843 pocznie wychodzić dziennik p. t. *Sławianin*. Dziennik ten będzie w czterech językach sławiańskich: w polskim, rosyjskim, czeskim i bułgarskim albo serbskim. Zajmie się on roztrząsaniem środków i warunków zjednoczenia ludów sławiańskich na zasadach następujących:

Rękojmię narodowości każdego ludu sławiańskiego poszczególnie. Przez to mają się rozumieć: Religia, język, ubiór, zwyczaje domowe i polityczne, któreby nie nastawały na interesa rodziny sławiańskiej.

Instytucye liberalne, oparte na podstawach naturalnych i podobnych do wykonania, oparte na sprawiedliwości i obowiązkach prawa przyrodzonego.

[1] Ciekawe, a nie jedyne u nas użycie wyrażenia „Węgier“ na oznaczenie dzisiejszego „Słowak“.

Centralizacya rządowa, uosobiona w jedynej familii dynastycznej, uznanej w Sławiańszczyźnie — dynastyi Romanowych, wyrwanej z pośród niemczyzny, która ją otacza i z pośród awanturników zagranicznych ją otaczających, których intrygi nie pozwoliły dotąd żadnemu z carów Rosyi umrzeć śmiercią naturalną.

Jako warunek zupełności wpływu narodów sławiańskich na pochód interesów narodowych — założenie stolicy państwa sławiańskiego w środku kraju, w Kijowie".

Przytoczony prospekt najlepiej określa cel i zakres wydawnictwa. Opierał się Jabłonowski w zasadzie na sile moralnej narodowości, ale wyrzekał się bytu niepodległego i dlatego oburzył na siebie nietylko stronnictwa rewolucyjne ale i obóz monarchiczny. Zamiary zaś jego, nie poparte przez nikogo, skończyły się tylko na projekcie.[1] Podłożem przekonań Jabłonowskiego była niewiara w ideę niepodległości i skłonność do kapitulacyi. Jego program polityczny odzierał z blasku ideowego słowianofilstwo emigracyjne i obniżał jego polot górny. Wprawdzie w imię sprawy narodowej domagał się zachowania odrębności historyczno-politycznej, ale w wymarzonem państwie plemiennem wyznaczał Polsce rolę podrzędną. Pozostawał więc w sprzeczności jaskrawej z ideologią większości emigracyi, która — godząc patryotyzm polski z sympatyą dla Słowiańszczyzny, nawet z idealizacyą plemion słowiańskich (czego wzorem najpiękniejszym był Mickiewicz) — umiała zająć stanowisko, odpowiadające świetności narodowej przeszłości.

Podobnie jak u Jabłonowskiego strzępiły i gięły się dusze w niejednej piersi i łamały się duchy słabe, przygnębione i wyczerpane pasmem nieszczęść i zawodów; jeśli zaś i sumienie

[1] Estreicher w Bibliografii podaje, że wyszedł numer pierwszy, jednakże wiadomość ta musi być mylna wobec tego, że w żadnej krajowej, ani w rapperswylskiej i paryskiej bibliotece nie dochował się ani jeden egzemplarz. Także w pismach emigracyjnych z tego czasu trudno doszukać się wzmianki o wyjściu pierwszego numeru. Według Estreichera wydał Jabłonowski także w r. 1848 pismo „Le Slave, revue périodique, politique, economique et littéraire; organe de intérêts, de l'unité et de l'affranchissement des toutes les natios de la race slave" — jednakże i tego wspomniane biblioteki zupełnie nie znają, a także i ówczesne pisma nic o niem nie mówią.

się zachwiało, następowała apostazya narodowa. Panslawizm rosyjski służył zaś tylko do jej upozorowania. Około r. 1840 wiele umysłów na wychodźtwie, zeszedłszy na bezdroża, radziło zlać się w jedną całość słowiańską pod egidą najmocniejszego z plemienia, narodu rosyjskiego. Najgłośniejszym z pośród renegatów był Adam Gurowski[1] i Światopełk Mirski, który wyrzekł się Polski i katolicyzmu i wrócił — jak sam ogłosił w liście francuskim do syna — „do naturalnej religii Słowian“[2] t. j. przyjął prawosławie. Były to jednakże sępy nieliczne, żądne żeru, w gromadzie orłów, jednostki odosobnione, bezduszne, odarte z polotu i piękna, w których sercu na ruinach marzeń o wolności wyrastały zielska i chwasty. Większość gotowa była wytrwać na stanowisku słowianofilstwa niepodległościowego, choćby z poświęceniem życia i rwała się do czynu.

Rozchodzili się teraz tułacze, jakby uczniowie Pańscy, głosić słowo wolności między Słowian i stawali się ofiarami idei. Zginął na apostolstwie słowiańskiem w Zagrzebiu Józef Słowicki, autor wielu artykułów o Słowianach, skonał na rusztowaniu we Lwowie kilkakrotny wysłannik do Czech i Moraw, również pisarz o Słowiańszczyźnie, Teofil Wiśniowski;[3] zmarł w więzieniu emisaryusz do Pragi, Lesław Łukaszewicz; dwadzieścia lat spędził w lochach schwytany w Galicyi około r. 1840 Robert Chmielewski, który poprzednio z różnemi instrukcyami przebiegł Czechy, Morawy, Słowaczyznę zakarpacką.[4] Praca emigracyi nie była bezpłodną, bo siew myśli polskiej wkrótce zaczął wschodzić na ziemiach pobratymców w postaci poczucia narodowego, przywiązania do mowy własnej, dążenia do niepodległości i wiary w przyszłość. Najliczniej zaś i najchętniej zapuszczali się emisaryusze w głąb Słowiańszczyzny południo-

---

[1] Tygodnik emigracyi polskiej 1834, z dnia 9 paźdz. — K. Ostaszewski-Barański: Panslawista polski, Adam hr. Gurowski. Lwów 1909, str. 30, odbitka z „Dziennika Polskiego“. Recenzya w Bibliotece warsz.

[2] *Trzeci Maj* 1843, z 2 kwietnia.

[3] *Edmund Kołodziejczyk*: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce. Świat słowiański 1911, I. 448.

[4] *Leon Zienkowicz*: Wizerunki polityczne literatury polskiej, w tomie II, na str. 127.

wej, z którą starali się dzięki inicyatywie ks. Adama Czartoryskiego nawiązać sojusz dla sprawy polskiej. Działalność ich, zmierzająca zarazem do zniweczenia wpływu rosyjskiego na ludy bałkańskie, przybrała charakter prawie gorączkowy od roku 1841 z chwilą wysłania do Carogrodu jako agenta stałego Michała Czajkowskiego i zaznaczyła się później wybitnie w wojnie wschodniej.

Pozostali we Francyi wychodźcy nie kostnieli w szarzyźnie codzienności, lecz słali za emisaryuszami spojrzenia na Wschód, wyczekując z utęsknieniem powiewu wichrów rewolucyjnych, któreby zaniosły ich z bronią w ręku do ujarzmionej Polski. Żądza czynu przenikała wówczas ich szeregi, bo zbliżał się rok 1848. Kiedy wreszcie ozwała się surma „złotego rogu", a hasło powszechnej wolności ożywiło świeżością i bujnością wszystkie narody, ruszone tchem nadzwyczajnej „wiosny ludów", rewolucya europejska, budząca nadzieję ziszczenia aspiracyi polskich, pochłonęła uwagę emigracyi. Oczekiwania wszystkich spragnionych wolności zwracały się ku Włochom, gdzie żagiew rewolucyi rzucona przez Piusa IX płonęła blaskiem tryumfalnym. Zdawało się, że zjawił się w osobie papieża archanioł czynu, który powoła i poprowadzi ludzkość do odrodzenia się w miłości i braterstwie.

Wykładnikiem duszy narodu w tej chwili burzliwej jest Adam Mickiewicz. Porwany prądem ogólnym podążył do Rzymu, by utworzyć legion polski, któryby stał się cząstką wielkiego „zastępu ludów" o wolność walczących. Pragnął wieszcz tak w sprawie własnego narodu, jak w interesie ludów słowiańskich i wolności powszechnej przyjść w pomoc wyzwalającemu się narodowi, przeciągnąć na swoją stronę z wojska austryackiego pułki słowiańskie, a po oswobodzeniu Włoch przejść na ziemie słowiańskie,[1] by powiewającą w błękity chorągwią zwiastować uciskanym chwilę świtu. Niezwykłą potęgą ducha wzbijał się ponad miarę ludzką i zdolny był kłaść wszystkich do swych stóp. Przyszli do niego i Rosyanie przebywający wtenczas

[1] *Bolesław Limanowski*: Historya demokracyi polskiej 1901, str. 360. — *Śliwiński*: Mickiewicz jako polityk, str. 121.

w Rzymie z zapytaniem, co im należy czynić w tem ogólnem poruszeniu się narodów europejskich. Zbiór zasad, w których imię formował poeta „pierwszy zastęp polski", był idealnym sztandarem, sięgającym aż ku najdalszym, ledwo widnym kresom ideału. Obwieszczał on, że „Polska w osobie wolnej i niepodległej staje i Słowiańszczyźnie dłoń podaje". Legion doznał wprawdzie losu wszystkich idealnych porywów, mierzących siły na ogrom zamiarów, lecz pozostał wyrazem żywych i powszechnych pragnień.[1]

Wiosna ludów smutnie się skończyła, bo nie zaprowadziła w ziemiach słowiańskich królestwa Bożego. Legion padł zmrożony chłodem rzeczywistości, nic nie wskórał kongres słowiański w Pradze, do którego tyle nadziei przywiązywano, a zmartwychwstanie, wydające się tak blizkiem urzeczywistnienia, usunęło się „na wieków późnych falę". Po okresie rozbudzonych pragnień rychło nastąpiło rozczarowanie i bolesne otrzeźwienie. Zwątpienie wżarło się w dusze tułaczów i pchnęło je w chwilową apatyę bezczynu. Puls życia literackiego i duchowego zwolniał, słabo też odbijał się prąd słowianofilski w prasie, bo ruch czasopiśmienniczy podupadł. Nie tracono wiary w żywotność idei słowiańskiej, ale nie wkładano w nią tyle ognia i zapału, jak w początkach tułactwa. Katedra literatur słowiańskich, zajmowana przez Cypryana Roberta, obojętna była teraz dla ogółu, bo nie padały z niej żadne nowe myśli. W rzucaniu inicyatywy zaczęli emigrantów uprzedzać Francuzi. Jeszcze w r. 1848 powstało

[1] Z tą chwilą datuje się odzew słowianofilski we Włoszech. Lorenzo Valerio, redaktor dziennika „Concordia", zawiązał w r. 1848 w Turynie towarzystwo „Societa per l' alleanza Italo-Slava" w celu nawiązania stosunków ze Słowianami dla dopięcia wspólnych celów: ochrony narodowości i zdobycia niezawisłości. Między członkami był także i Polak, Dubiński. Pierwszym czynem publicznym towarzystwa była odezwa do narodów słowiańskich, wzywająca do zerwania z Niemcami i Rosyanami i łączenia się z Włochami. Zamierzało ono wydawać czasopismo, któreby pracowało nad wzajemnem zbliżeniem i szerzyło znajomość Słowiańszczyzny, oraz starało się rozszerzyć filialne towarzystwa po większych miastach Włoch i wejść w stosunki z najznakomitszemi stowarzyszeniami miast słowiańskich.

(Wiadomość tę podał „Czas" r. 1849, nr. 42).

w Paryżu Towarzystwo Słowiańskie, założone przez Roberta[1] i pod jego redakcyą wydawało od sierpnia r. 1848 czasopismo: *La Pologne, journal des Sclaves confédéres Polonais, Bohêmes, Illyriens, Bulgaro-Serbes et Rutheniens.*[2] Początkowo, kiedy Polacy dokładali wszelkich starań, by pismo opierało się na ideałach polskich, wzywała *La Pologne* Słowian do walki o niepodległość przeciw dwu siłom nienawistnym, potędze germańskiej i despotyzmowi Rosyi, oraz starała się ich skupić w orszak wokół Polski, oparty na zasadach równości i braterstwa. Później jednakże po r. 1848, gdy czujni przedtem strażnicy polscy przy sterze ruchu słowiańskiego chwilowo się zaniedbali, zeszło pismo z obranej drogi i zaczęło podnosić i uwielbiać Rosyę, jako potęgę słowiańską.[3]

Emigranci pozostali wierni pomimo zawodów idei przedtem głoszonej i gwałtownie uderzyli na objawiające się dążenia panslawizmu. Przypominali w odezwach, że „pierwszem dziełem wspólnem Słowian powinno być zdobycie wolności dla Polski, bo tylko niepodległa Polska będzie dla Słowian tą latarnią morską, która im wskaże przystań nowego życia, bo grupując się tylko około niepodległej Polski, Słowianie skruszyć potrafią ciążące na nich jarzmo i wejść w nowy świat wolności".[4]

Sterani jednakże życiem ciernistem, ociężeli na duchu i stracili entuzyazm młodzieńczy, a w takiem usposobieniu byli już niezdolni do stworzenia organu, któryby czystością niepokalaną zasad przeciwdziałał potędze północy i pracował nad moralnem zbliżeniem Słowian. Wyręczyli ich inni rodacy, prze-

[1] Początko sympatyzował z ideałami emigracyi; w artykule o insurekcyi polskiej ogłoszonym z początku r. 1846 w Revue de deux mondes wykazywał, że powstanie polskie, chociaż zwyciężone, zasiało w ludach słowiańskich, pałających wspólną myślą niepodległości ziarno, z którego zejdzie odrodzenie Słowiańszczyzny i mówił, że byt niepodległy Polski jest niezbędny dla swobody i szczęścia wszystkich Słowian. Później jednakże, olśniony rozległością granic politycznych potęgi rosyjskiej, przeszedł do obozu moskalofilskiego.

[2] Istniało do r. 1851, wyszło tomów cztery.

[3] W roku 1857 miała według Estreichera wychodzić w Paryżu „Revue Franco-Slave", jednakże brak bliższych wiadomości.

[4] Odezwa Gentralizacyi Towarzystwa Demok. z 20 grudnia 1848, ogłoszona w „Demokracie Polskim" 1849, z 13 stycznia.

bywający na tułactwie zdala od gorączkowego, głównego terenu, w pobratymczej ziemi łużyckiej.

W r. 1849 zaczęło wychodzić w Budziszynie *Stadło*, tygodnik rzeczom polskim i słowiańskim poświęcony.[1] Godło jego brzmiało: Bogiem a prawdą, zgodą a pracą. Jako wydawca podpisywał się Jan Ernest Smoler, Łużyczanin, ale redaktorem właściwym był Roman Zmorski.[2]

Należał on do szeregu tych, którzy zaciągając się w służby idei słowiańskiej, pragnęli wywalczyć przyszłość słoneczną dla własnej ojczyzny. Zmuszony opuścić ziemię rodzinną z powodu czynnego udziału w polityce, agitacyi wśród ludu i propagandy w swych poezyach haseł skrajnie demokratycznych, postanowił oddać się apostolstwu wolności i poświęcić żywot tułaczy idei braterstwa słowiańskiego. Trafnym instynktem wiedziony, czy też dobrze zrozumiałym celem, osiadł na Łużycach, gdzie spodziewał się znaleźć sposobność służenia własnej i wspólnej sprawie, zdobyć „przewagę dla Polski" i pozyskać duchowy wpływ nad ludnością słowiańską, o który nad Francuzami i Anglikami darmo kusiła się emigracya osiadła na Zachodzie. Szerzył więc Zmorski wśród Słowian znajomość Polski, głosił o jej zasługach dziejowych dla oświaty i wolności, o jej męczeńskim trudzie, oraz zapasach ciągłych z despotyzmem i niewolą i wszczepiał w nich wiarę niezłomną w przyszłość świetlaną, jaka czeka łącznie z Polską wszystkich Słowian, naodwrót zaś zapoznawał swoich rodaków z życiem i kulturą pobratymców, których poznał zblizka. Sądził bowiem, że zbliżenie się ludów słowiańskich musi poprzedzić wzajemne wszechstronne poznanie i wiedzę uważał za fundament słowianofilstwa politycznego.

Wypowiedział tę myśl w artykule programowym numeru pierwszego *Stadła*: „W chwili, kiedy żywioły słowiańskie na politycznem, równie jak i na umysłowem polu coraz głośniej i silniej występować poczynają, kiedy od ich gruntownego

---

[1] W r. 1849 wyszło 12 numerów, a jeden w 1850, formatu dużej 4°, razem str. 96.

[2] *Karol Libelt*: Roman Zmorski. Stanowisko jego w literaturze polskiej. „Kraj" 1872, nr. 2—3.

poznania i ocenienia może przeważnie zależeć będzie prędsze lub późniejsze naszych życzeń spełnienie, użytecznem wielce i pożądanem przez znaczną część narodu byłoby zapoznanie się bliższe z tą wielką, dotąd nam prawie całkiem obcą rodziną, z jej dziejami, charakterem, wykształceniem, obyczajami i płodami jej ducha".

W przekonaniu o niezmiernej ważności tej sprawy postanowił Zmorski zrobić ze swego pisma organ, służący „do wzajemnego między Słowiańszczyzną a narodem polskim na moralnej drodze zbliżenia", któryby wszechstronnie „polską publiczność zapoznawał z życiem innych jednoplemiennych z nami ludów".

Treścią miało *Stadło* obejmować: 1) rozprawy dotyczące stosunków społecznych, dziejów, umnictwa i literatury polskiej lub słowiańskiej; 2) życiorysy pamięci godnych osób, opisy podróży, okolic, miejsc, obyczajów, mniemań i podań narodowych polskich lub słowiańskich; 3) poezye, powieści i t. p. oryginalne lub z słowiańskich języków przełożone; 4) krytykę i przeglądy ważniejszych dzieł polskich i słowiańskich; 5) rozmaitości, sprawozdania i nowości z literatury naszej i innych słowiańskich; 6) przekłady artykułów lub rozbiory dzieł w niesłowiańskich językach wydawanych, o ile one rzeczy ojczystych i słowiańskich dotyczyć będą.

Stojąc poza stronnictwami, tej jednej zasady Zmorski postanowił się wiernie trzymać: „Ze wszystkich sił naszych podnosić ojczystej rzeczy uczucie i upowszechniać zdrowe jej pojęcie, a walczyć przeciw wszystkiemu, coby jej na wstręcie stawać mogło; walczyć za idee wolności, braterstwa i sprawiedliwości, ale walczyć samą prawdą tylko i godnością, miłością i spokojem".

Pięknemu temu programowi, uwzględniającemu i kwestye polityczne, w zasadzie nic nie możnaby zarzucić i gdyby w zupełności został wykonany, *Stadło* niewątpliwie stałoby się „zwierciadłem, w któremby wewnętrzne stosunki, potrzeby, wyobrażenia i namiętności różnych Słowian wiernie oglądać można". Jednakże zadaniu temu Zmorski nie sprostał i małą tylko zaledwie część myśli poruszonych w programie urzeczywistnił.

Pomieścił w *Stadle* przekłady kilku piosnek ludowych serbskich, wierszy Preradovića, Kollara, Hurbana, Wocela, rozprawki nieznaczne o dziennikarstwie czeskiem i łużyckiem, o narodowości w Dalmacyi, o rozwoju języka czeskiego, krótki przegląd literatur słowiańskich, a poza tem zapełnił stronice byle czem. Kwestyj politycznych, obchodzących wszystkich Słowian, zgoła nie poruszył. Usprawiedliwić go można jedynie tą okolicznością, że praca redakcyjna na nim wyłącznie spoczywała. Z tego to powodu oraz z braku funduszów wydawał pismo bardzo nieregularnie, a w końcu zmuszony był je zwinąć.

Wynikło to z przyczyn całkiem naturalnych. Społeczeństwo w kraju nie mogło go poprzeć, bo posiadało u siebie pisma lepsze, a bezpośrednio sąsiadująca z siedzibą wydawnictwa prowincya wielkopolska, na którą Zmorski przedewszystkiem liczył, przywykła do poważniejszej strawy duchowej, emigracya zaś zajęta była teraz niemal wyłącznie Wschodem i pragnęła nie teoryą i słowem, lecz życiem i czynem przeciwdziałać panslawizmowi. W przekonaniu, że w kwestyi wschodniej leży w wielkiej części i przyszłość sprawy polskiej, śledziła już oddawna bieg wypadków na półwyspie bałkańskim. Przewidywała bowiem tam ostre starcie z Rosyą, zdążającą do rozbioru Turcyi i starała się wyrwać z pod wpływu rosyjskiego ludy słowiańskie i pociągnąć za sobą do walki przeciw tym, którzy w jednej ręce nieśli im obietnice wolności, a drugą wznosili szubienice dla Polaków walczących o wolność. Piętnowała więc dwulicowość Rosyi, ukrywającej pod ideą słowiańską zapędy zaborcze, ostrzegała Słowian tureckich przed łączeniem się z nią, wykazując na przykładzie Polski, czem stać się może dla nich po obaleniu Turcyi panowanie Moskwy, a natomiast usiłowała wzniecić wśród nich dążenia do wolności w ramach Turcyi, którą nakłaniała do słusznych ustępstw na rzecz praw narodowościowych. Równocześnie starała się uzyskać skuteczne poparcie w swych dążeniach od gabinetów zachodnich „w interesie cywilizacyi i bezpieczeństwa świata".[1] Duszą całej tej

[1] Tak przed wojną, jak i w czasie niej, usiłowali emigranci wpłynąć na rządy europejskie za pomocą pism, broszur, rozpraw. Treścią były do siebie

działalności był książę Adam Czartoryski, wódz obozu monarchicznego, zwanego także arystokratyçznym. Jeszcze w początkach Królestwa kongresowego snuł on plany federacyi słowiańskiej pod egidą cara, ale po ciężkich rozczarowaniach z czasów swego ministerstwa i po krwawej katastrofie r. 1831 zmodyfikował i na tym punkcie poglądy. Nie porzucił wprawdzie myśli o Słowiańszczyźnie, ale starał się ostrze idei słowiańskiej, która w ręku Rosyan stała się bronią polityczną, zwrócić właśnie na samą potęgę moskiewską i w zbrątaniu rzeszy ludów słowiańskich szukał oparcia przeciwko niej. Zmierzał do tego celu przez zwalczanie agitacyi rosyjskiej na Bałkanie za pośrednictwem emisaryuszy i licznych agentów, utrzymywanych swoim kosztem.[1] Stosunkami licznymi sięgał w głąb Słowiańszczyzny południowej i odwodził ją od Rosyi, a w celu rozwinięcia roboty na szerszą skalę zorganizował w r. 1841 stałą agenturę polityczną w Carogrodzie i powierzył ją znanemu powieściopisarzowi, Michałowi Czajkowskiemu.[2] Ten prowadził energiczną działalność i przy współdziałaniu zdolnych pomocników (takim był n. p. w Belgradzie Ludwik Zwierkowski z przybranem nazwiskiem Lenoir)[3] rozsnuł szeroko sieci agitacyi polskiej,[4] po-

dość podobne. Przeważnie dowodziły, że Rosya mimo klęski w wojnie wschodniej pozostanie groźną potęgą, bo nie przestanie wpływać na Słowian tureckich odpowiednio do swych celów i przyciągać ich, dlatego zachodnie mocarstwa powinny zabezpieczyć tym narodowościom wewnętrzną niezawisłość i swobody narodowe. Aby zaś je tem pewniej od wpływu Rosyi ubezpieczyć, doradzały odbudować niepodległą Polskę, którąby natychmiast chorągiew słowiańskiego przewodnictwa z rąk cara wyjęła. Zob. La Pologne parmi les Slaves ses rapports arec la question d'Orient par Joseph Reitzenheim. Paryż 1854, s. 111.

[1] O zakresie politycznej działalności księcia daje dobre wyobrażenie jeden z jego agentów, Budżyński w książce: Wspomnienia z mojego życia. Poznań 1880, t. 2.

[2] *Rawita-Gawroński*: Działalność emigracyi z r. 1831 na terenie Turcyi. Przewodnik nauk. liter. 1908; w odbitce, Lwów 1911.

Tenże. Sadyk Pasza (Michał Czajkowski). Zarys biograficzno-literacki. Petersburg 1899.

Tadeusz Szpotański: Michał Czajkowski w Turcyi. Biblioteka warsz. 1911. IV. 465—478.

[3] Nekrolog jego pomieściły „Wiadomości Polskie" 1860, s. 148.

[4] Czajkowski miał zarazem polecenie przeprowadzenia badań historyczno-etnograficznych w prowincyach słowiańskich państwa otomańskiego, jako członek korespondent Instytutu historycznego w Paryżu.

zyskał zaufanie ludności słowiańskiej, wszedł w porozumienie z Kozakami, którzy przed uciskiem rosyjskim schronili się na Dobrudżę, słowem — przygotował wszystko, co mogło sprowadzić wyzwolenie na jawie lub czynie i działał z wielką czujnością ducha, by chwila wybawienia nie zaskoczyła wygnańców niespodziewanie.

Gdy po r. 1851 sprawa wschodnia wysunęła się na czoło polityki i była prawie kwestyą dnia powszedniego, a wojna z Rosyą stawała się wprost nieunikniona, poruszyła się żywo emigracya. Skołatanym tułaczom raz jeszcze błysło słońce i uśmiechnęła się nadzieja powrotu do ojczyzny z bronią w ręku. Na pierwszy odgłos wojny r. 1853 porzucali Francyę i udawali się do Turcyi, gdzie Sadyk Pasza (Czajkowski) organizował pułk z Polaków i Słowian tureckich, który miał poświęcić się na obronę państwa otomańskiego, a w razie sprzyjających okoliczności wkroczyć do kraju i wzniecić powstanie. W Serbii i Bułgaryi niecił teraz zarzewie wojenne Zygmunt Miłkowski, emisaryusz londyńskiego „Komitetu centralnego demokracyi europejskiej", pozostającego w ścisłych stosunkach z „Centralizacyą" Towarzystwa Demokratycznego, które się wtedy z Paryża przeniosło do Londynu, a przebywali tu czasowo lub stale również inni pisarze i poeci, jak: Henryk Jabłoński, Ryszard Berwiński, Roman Zmorski, Karol Brzozowski.

Czynny udział w tym ruchu politycznym brał także Adam Mickiewicz. Całą duszą ukochał ideę słowiańską wolnościową, a na drodze posłannictwa narodu polskiego świecił zawsze gwiazdą przewodnią. On pierwszy potężnem słowem apostołował tę ideę w całej czystości i wielkości wobec Zachodu i swego narodu, teraz zaś czynem świadczył o prawdzie uczucia swojego, poświęcając wszystkie siły sprawie połączenia narodów słowiańskich do walki z Rosyą. We wrześniu r. 1855 porzucił rodzinę i pojechał nad brzegi modrego Bosforu, „aby siłą życia rozegrzać mgłę śmierci", gdzie w służbach ojczyzny położył życie w ofierze.[1]

Po jego utracie nie zdołali już emigranci duchem buntu

[1] *Rawita-Gawroński*: A. Mickiewicz na Wschodzie, w zbiorze: Studya i prace historyczne. Serya I. Lwów 1903.

przeciw niewoli unieść Słowiańszczyzny za sobą na nowe szlaki, bo twarde życie odzierało nieustannie ich porywy idealne z piękna. Nie zwinęli jednakże skrzydeł, chociaż lot musieli obniżyć. Wojna wschodnia (1853—1856) nie spełniła ani części ich nadziei i pragnień, ale mimo to nie wycofali się z Bałkanu, aby powoli kształtować losy przyszłe. Dopatrując się w sprawie bułgarskiej swojej misyi odwiecznej, pierwsi rzucili hasło unii kościelnej Bułgaryi z Rzymem i nie pierwej spoczęli, aż strudzoną ręką zbudowali most, po którym „Słowiańszczyzna cała przejść mogła do cywilizacyi zachodniej".[1] Wytężając wszystkie siły na propagandę idei słowiańskiej w czynie, mniej poświęcali jej miejsca w prasie.

Z pośród wydawnictw peryodycznych zajmowała się nią wybitnie jedynie *Prawda*[2] Henryka Kamieńskiego,[3] autora kilku dzieł wpływowych.[4]

Pismo to, wznoszące się dodatnio nad poziom ówczesnych opinii na emigracyi, za główny cel obrało sobie „rozbiór nie wedle chwilowych uniesień, lecz wedle zimnego rozumu ważnych narodowych pytań", w których rzędzie postawiło ideę słowiańską. W programie[5] zapowiedziało, że będzie obok innych spraw poświęcone „wyjaśnieniu zasad i możebnego uiszczania wszechsłowiańskiej myśli, której wszakże mieszać nie potrzeba z jej wprost przeciwnym samozwańczym panslawizmem, który właściwie jest moskwicizmem... W razie gdyby nam dosyłane były wiadomości lub korespondencye wiarogodne ze słowiańskich krajów, czy to pod austryackiem, czy też pod tureckiem panowaniem zostających, albo też z Rosyi lub Sybiru, albo wreszcie z niesłowiańskich Węgier, będziemy je zamieszczać równie skwapliwie, jak gdyby z Polski pochodziły. Sprawa

[1] Wiadomości polskie. 1860, s. 190; 1861, nr. 1.

[2] Pełny jej tytuł brzmiał: Prawda, pismo czasowe przez X. Y. Z. Wychodziła od 8 października 1860 do końca 1861, zrazu w Genewie, a później w Berlinie. Pojawiło się tylko 6 numerów, tworzących tom oddzielny.

[3] *Bolesław Limanowski*: Henryk Kamieński, jako myśliciel społeczny. „Pobudka", Paryż 1889, nr. 4.

[4] Prawdy żywotne narodu polskiego. Bruksela 1844; Katechizm Demokratyczny. Paryż 1845.

[5] Str. 38.

bowiem słowiańska i węgierska także jest polską, a każda poprawa moskiewskiego społeczeństwa Polskę też najmocniej obchodzi. Przypuściwszy, że nasza ojczyzna może niepodległy byt odzyskać bez powszechnego wyswobodzenia, w żadnym razie mieć nie może spokojnego i bezpiecznego bytu, póki ludy słowiańskie i lud węgierski nie wydobędą się z pod tureckiego i z pod austryackiego jarzma".

Zapatrywania swe w tej kwestyi rozwinął Kamieński jasno w artykule: O bułgarskiej unii,[1] którą uznał za fakt ogromnego dla nas znaczenia. „Przez unię bowiem, Bułgarya odłączając się od cara, nie przyłącza się przeto do Zachodu, ale sposobną staje się do słowiańskiego związku poza wpływem carskim i wbrew temu wpływowi utworzyć się mogącego. Taki związek zaś byłby zabezpieczeniem dla Polski najpewniejszem. Słowiańskie plemiona, nie będące pod rosyjskiem panowaniem, jeśli takiego związku zapragną, koniecznie będą musiały swoją sprawę z naszą złączyć. O to idzie, by zapragnęły, o to starać się naszą jest rzeczą; do tego zaś wypadku zbawiennego zbliża nas odstępowanie Słowian od Rosyi".

Nie oczekiwać więc wybawienia z Zachodu, ale wziąć się do wywierania duchowego wpływu na Słowian — oto rada Kamieńskiego. Albowiem „gdy zrozumiemy, że powinniśmy czynny udział brać w słowiańskim ruchu, a powinniśmy, bo naszem powołaniem jest na czele Słowian stawać — oraz, że w uiszczaniu się z tego powołania cała nasza przyszłość, a nawet dzisiejsze nasze wyswobodzenie leży, dopiero wtedy zrozumiemy, że najpilniejszym naszym interesem jest wyswobodzenie Słowian pod Turkiem jęczących i że ich niewola nieledwie że jest węzłem trudności sprzeciwiających się powszechnemu wyswobodzeniu. Winniśmy wpływem naszym wpajać w Słowian przekonanie, że nasza sprawa jest ich sprawą, czego ich dopiero wtedy zdołamy nauczyć, gdy uczynkiem dowiedziemy, że sami także zrozumiemy, że ich sprawa jest naszą sprawą".

Państwo słowiańskie przedstawiał sobie jako wolną republikę, w której „każda rzeszowa cząstka jest udzielnem pań-

[1] Str. 122.

stwem, do którego ani żadne inne takie państwo, ani nawet związkowa władza niema prawa się wtrącać".[1] Każdy wziąwszy to pod uwagę, „wtedy właściwie dopiero pojmie przyszłą słowiańską rzeszę, a nie zalęknie się udziału Polski w niej, chociażby nawet w niej zasiąść miała pospołu z moskiewskim narodem". Rzesza ta słowiańska „dla wszystkich Słowian i dla nas Polaków żywotnym jest interesem". Trzeba się tylko starać o moralne przewodnictwo w niej na rzecz Polski, gdyż osiągnięte moralne przewodnictwo nad członkami przyszłej rzeszy dostarczyłoby nam potęgi niesłychanej, która przyspieszyłaby wyswobodzenie nasze.

W myśl tych zasad rzucił Kamieński w społeczeństwo hasła: „Precz z nienawiścią" dla narodu rosyjskiego, oraz „Nie powstawać zbrojnie," lecz na drodze duchowego wyrobu odrodzenie ojczyzny przywodzić... Tak dojrzawszy będziemy za sobą mieli Słowian, którzy bądź w przymierzu, bądź też w rzeszy z nami upatrywać będą swoje ocalenie, a dla których wtedy nasza sprawa stanie się własną sprawą, bo chociażby nawet Moskale nie zostali prądem tym wciągnięci, stalibyśmy się ze słabszych silniejszymi, mając za sobą innych Słowian".

W rozwoju słowianofilstwa polskiego zamyka *Prawda* świetny okres emigracyjny, który posiada swój własny ton oryginalny i wznosi się wysoko w literaturze politycznej dzięki wielkim pomysłom. Rzucając wzrok na jego wytwórczość w myśli i czynie, musimy stwierdzić jej bogactwo. Mówi nam o tem czasopiśmiennictwo ówczesne. Zespolone bowiem najściślej z bieżącemi potrzebami duchowemi życia społecznego, odzwierciedliło najwierniej wszystkie stany duszy narodu i uchwyciło wszelkie, najdrobniejsze drgnienia różnych prądów i kierunków. Rozpatrując więc ewolucyę kształtowania się idei słowiańskiej w prasie, stwierdzamy zarazem jej istnienie w całokształcie życia i poznajemy jakość i wartość jej w całej rozciągłości. Słowianofilstwo posiadało wtedy charakter rdzennie polski i płynąć musiało widocznie prądem potężnym, skoro zabarwiało całe polityczne i zmuszało pisma niemal wszystkie do głośnego obwołania

[1] Str. 133.

barwy w stosunku do niego. Zaznaczyło się zrazu w artykułach, wzmiankach i rozprawach, rozstrzelonych w pismach treści ogólnej, a potem w czasopismach specyalnych, zajmujących się wyłącznie problematem słowiańskim. Za ich pośrednictwem można wyczuć zapał niezwykły, z jakim myśl polska rwała się wówczas ku idei słowiańskiej i z ziemi Piastów i Jagiellonów starała się uczynić kuźnicę myśli, sypiącą iskry na całą Słowiańszczyznę.

Wychodziły te czasopisma głównie w pierwszej połowie istnienia wychodźtwa, bo później, kiedy po r. 1848 życie wykazywało nieziszczalność nadziei, a główny strumień słowianofilstwa rozpłynął się w wązkie potoki, czynem starano się zastąpić słowo. Trwały zaś przeważnie krótko, gdyż wolny duch nie posiadał zwykle środków materyalnych, a do tego powstawały dzięki inicyatywie i przedsiębiorczości jednostek. Mimo to nie minęły bez wpływu i wartości. Wprawdzie od teoryi daleko do czynu, ale to pewna, że słowo musi być przed czynem póki się ono nie odezwie, nie może być nadziei czynu. Służyły wyłącznie celom politycznym, które stawały się wówczas zagadnieniem najgłośniejszem. Albowiem stale przyświecała im myśl służenia ojczyźnie na polu walki orężnej, a w takiem usposobieniu, podniecanem temperaturą wysoką czasów gorących, niemożliwe było zajęcie się sprawami naukowemi. Szczegółowych programów nie rozwijały, były jeno pośrednikami w rzucaniu inicyatywy ideowej. Wypowiadały myśli i uczucia, gorętsze pragnienia i idee żywiołów, głęboko czujących, które wszczynały walkę z Rosyą o rząd dusz. Zogniskowały cały snop iskier nieconych przez duchy emigracyjne i odbiły doskonale jeden bogaty objaw w całokształcie życia politycznego emigracyi. Skalą wartości tych pism może być ocena znaczenia i wpływu głoszonego słowianofilstwa.

Wyzyskiwało ono w praktyce ideały poezyi i filozofii, wskazujące Polsce rolę przewodniczki Słowiańszczyzny i wszystkich narodów, wygrywało fanfary o własnych siłach i gorąco apostołowało braterstwo ludów. Dowodziło, że Słowiańszczyzna powołana jest do odegrania wielkiej roli dziejowej i domagało

się jej zjednoczenia, oraz starało się pociągnąć za Polską wszystkie ludy słowiańskie, by otworzyć przed nimi wrota życia nowego. Rozwijało myśli Herdera, że młode, świeże, dzielne pokolenie Słowian odrodzi zestarzałą Europę, wleje krew gorącą w jej zastygłe żyły i wycieńczone ciało nowym duchem obdarzy; wyprowadzało także wnioski z historyozofii Hegla, lecz granic swych dążeń nie ścieśniało egoizmem narodowym lub plemiennym. Sięgało bowiem aż po krańce politycznych i społecznych ideałów, ścierało pleśń samolubstwa z duchów, pałało pożądaniem namiętnem szczęścia powszechnego i stale łączyło imię Polski z wyobrażeniem wolności ogólnej i z wyzwoleniem nie tylko Słowiańszczyzny, ale i Zachodu.

Głoszona przez nie idea zjednoczenia narodów słowiańskich płonęła najpiękniejszemi barwami, symbolizowała wolność i równość wszystkich narodów, opromieniona była aureolą cierpienia i ukoronowana miłością rzesz zbolałych. Podłożem jej był kryształowej czystości altruizm, gdyż wyrosła z miłości, ogarniającej ludzkość całą.

Wychodźtwo stało na tem stanowisku, że idea pieszczona w duszy narodu wtedy dopiero może przeniknąć miliony i stać się potęgą realną, jeśli ma podkład ogólnoludzki. Zaznaczył to wyraźnie Mickiewicz, którego poglądy podzielała emigracya: „Słowianie nie powinni się spodziewać, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka idea, zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość.[1]

Stąd biły od idei słowiańskiej światła wolności i sprawiedliwości. Serca i oczy gorzały ku niej, duchy i ramiona skupiały się wokoło niej, gdyż była wyrazem żywych i powszechnych pragnień. Dzięki temu przybrała wprost żywiołowy pęd, porywający za sobą wszystkich: i skrajnych rewolucyonistów i umiarkowanych monarchistów. Jedni i drudzy byli w obozie polskim niezwykle gorącymi jej apostołami. Pędowi jej nie oparł się

[1] Przy końcu lekcyi 9-tej, dnia 26 stycznia r. 1841. Zob. Wykłady o literaturze słowiańskiej w przekładzie Wrotnowskiego. Lwów 1900, t. I, str. 105.

zarówno Lelewel, jak i Czartoryski, a dali mu się porwać i inni w liczbie wielkiej i pomimo różnicy przekonań, swarów, walk, wzajemnych niechęci tworzyli wspólnie zręby idealnej budowy przyszłej Polski. Zapał bowiem był u nich ciągłym, normalnym stanem ducha, który w wysokiej temperaturze uczucia pałał miłością rzeczy wielkich i pięknych, a krystalizował się w zasadach.

Podkładem psychicznym emigracyi była rewolucyjność, wypływająca z naturalnego położenia sprawy polskiej i wypowiadająca się w żywej świadomości jej znaczenia ogólno-ludzkiego. Na tym gruncie rewolucyjnym wyrosło także i słowianofilstwo. Burzyło bowiem państwowość despotyczną i miało na celu połączenie Słowian nie z antagonizmu do innych narodów, lecz przeciwnie z chęci zbliżenia się do nich. Pałało sympatyą ku Słowianom, jako ku ludom uciśnionym, pozbawionym samodzielności politycznej, a sympatyi słowiańskich nie kojarzyło początkowo z antypatyami względem Madiarów i Niemców. Blasku idealnego dodawało mu i to, że na czoło etyki politycznej wysuwało swobodny rozwój indywidualny każdej narodowości i starało się wytworzyć wzajemne porozumienie między poszczególnymi ludami słowiańskimi nie przez zatracenie cech narodowych, ale przez ich kształcenie i doskonalenie.

Mieniło się wprawdzie w różnych barwach i odcieniach, począwszy od mistycznych, a kończąc na rewolucyjnych, a niekiedy nawet w słabszem sercu zarysowało się skazą, ale idea wyzwolenia Polski była tym niewzruszonym słupem, do którego ono przymocowywało wszystkie myśli i czyny. Powstało pod wpływem rozczarowania do egoistycznych narodów Zachodu, w ciasnym utylitaryzmie dobra własnego zatracających współczucie dla nieszczęśliwych, a więc wynikło z tego samego podłoża, co i na innych ziemiach słowiańskich. Ale kiedy gdzieindziej, zwłaszcza w Czechach, pozwalało na stopienie narodowości w morzu plemiennem i prowadziło do Rosyi, to na wychodźtwie przeciwnie rozszerzało granice narodowości, ogarniając sercem miłującem także koła pokrewne i odwodziło od

Rosyi, z małym wyjątkiem dusz złamanych, które podstawę realną idei słowiańskiej upatrywały w sile rosyjskiej. To właśnie nadawało słowianofilstwu emigracyjnemu cechę oryginalną, swoistą, p o l s k ą.

Zrodził je zaś siłą konieczności patryotyzm, który straciwszy po upadku powstania ostoję w politycznej organizacyi, pragnął unieść aż do gwiazd wszelkie idealne porywy i stworzyć wydoskonaloną koncepcyę ojczyzny. Ujarzmiony bowiem naród, mając przed sobą zamknięte wszystkie drogi rozwoju państwowego, stał się niejako „okrętem na morzu czasu burzy", któremu trzeba było ukazać na drogę życia gwiazdę przewodnią i iglicę magnesową. Wtedy to wśród bólu i przemyśliwań, w jaki sposób odwalić kamień niewoli, objawiła się samodzielna myśl narodowa, że z okowów trzeba ukuć miecze. Zaraz też rozprószeni tułacze, ożywieni hasłem wolności i braterstwa ludów i rozlewający krew swoją bezinteresownie w obronie pokrzywdzonych, jako bojownicy cywilizacyi i postępu, rozpoczęli pracę nad skupieniem wokół Polski, będącej przeciwstawieniem reakcyjnej Rosyi, wszystkich ludów słowiańskich, by w ten sposób przegrodzić drogę tyranowi północy, zagrażającemu kulturze i wolności. Spodziewali się przez to nie tylko zbawić Polskę i Golgotę słowiańską, ale także wzlecieć na wyżyny polityki światowej w wielkim stylu. Umieli zaś pogodzić polskość ze słowianofilstwem bez jakiegokolwiek uszczerbku dla indywidualności i bez najmniejszego ustępstwa z godności narodowej. Pod wpływem nieszczęśliwego położenia doszli do przekonania, że sprawa słowiańska nie jest wcale ideą kulturalną, tylko ściśle i wyłącznie polityczną, gdyż kulturę musi sobie wyrabiać każdy naród słowiański sam własnymi zabiegami, a szczytów jej może dosięgnąć bez pomocy idei słowiańskiej. Pierwsi też oczyścili tę ideę z powłoki sentymentalnej, osłaniającej ówczesne słowianofilstwo u Słowian zachodnich i wschodnich, wydobyli ją z pod zalewu szumnych, dźwięcznych, ale pustych frazesów, stawiając konkretny program polityczny, skrystalizowany w zasadzie, że ludy słowiańskie muszą się łączyć, gdyż żaden z nich politycznie nie jest dość silny. Dążenie ich do utworzenia i uorganizowania

państwa słowiańskiego nie było wcale objawem skarlenia myśli polskiej lub niedołęstwa politycznego, tkwiącego w oglądaniu się na cudzą pomoc, gdyż obok wiary we własne siły nie tylko dozwolone, lecz nawet obowiązkiem świętym jest nakazane zjednywać dla kraju pomoc i sprzymierzeńców, których łączy wspólność interesów i celów. Nie mogło także być czczą ułudą w owej chwili, kiedy na wszystkich krańcach świata widać było szybki postęp moralny ludzkości, kiedy zapowiadała się możliwość zrealizowania sprawiedliwości powszechnej i idei chrześcijańskiej, a naczelną zasadą etyki całego życia stawało się pragnienie urzeczywistnienia królowania Bożego w sercu każdej jednostki.

Na kartach literatury politycznej zapisało się słowianofilstwo emigracyjne złotemi głoskami. Rozszerzało bowiem wspaniale ideę ojczyzny, utwierdzało w wierze zmartwychwstania Polski w okazałym blasku potęgi, pogłębiało patryotyzm, a w sercach tułaczów, gorejących żądzą wolności i zapalnych dla wielkich haseł podniecało żar miłości ojczyzny i pchało do czynu.

„Czemużby Warszawa — przekonywało[1] — nie miała stać się Rzymem północy, ogniskiem północnych plemion, jak Rzym był dla południowych i środkowych?“

Mesyanizmowi, którego powłoki mistycznej wkrótce się zresztą słowianofilstwo wyzbyło, nadawało rolę czynną, wartość realną. Dążenie do odbudowy Polski drogą słowiańską przyczyniało jego ideowemu kierunkowi rozmachu i blasku. Uczuciem braterskiem sięgało aż po najdalsze krańce, bo bez miłości nie tworzą się dzieła trwałe. Miało na celu rzeczy większe, niż zachowanie i wyzwolenie jednego narodu: obok Polski stawiało inne ludy, dobijające się wolności i przyznawało im na równi z sobą prawa do współczynu, będącego pomostem do szczęścia.

Korzenia więc takiego słowianofilstwa nie mogła nadgryzać niewiara w sprawę narodową, bo ono nawet tę wiarę podtrzymywało. Jego rozwój jest zarazem historyą krystalizacyi myśli niepodległej. Wzrosło na podłożu patryotyzmu „przestronnego“,

[1] Odezwa Komitetu Centralnego do Polaków. „Demokrata Polski“ 1851, nr. 31.

a idea jego była czystą ideą narodową, jeno pogłębioną. Znaczenie jego naukowe — małe, zato narodowe, polityczne — wielkie. Jedni zwali je marzeniem, drudzy utopią, a było ono właściwie ideałem, o który opierali się bojownicy, by przyszłość powoli kroczącą uprzedzić i zdobyć dla Polski rząd dusz. Chociaż celu nie dopięto, pozostało drogowskazem pełnym doniosłości na przyszłość, a myśli rozwijane przez nie ognistymi śladami błyskawic, po których może przyszłe wieki kroczyć będą. Słowem — była to piękna w polityce naszej poezya, która umiała jednoczyć rzeczywistość z ideałem, anielskiem pięknem wznosiła dusze polskie w błękity i zespalała z zastępem prometeuszów całej ludzkości, a potęgą niezwykłą wypalała w nich zimny egoizm i wszystko, co nizkie i ziemskie. Genialnym rzutem uchwycił ją Adam Mickiewicz w słowach: Miał w sobie ducha polskiego ten człowiek, który napisał na chorągwiach za „Waszą i naszą wolność“ i wyraz-waszą-położył przed wyrazem-naszą-wbrew całej, dawnej logice dyplomatycznej.[1]

Edmund Kołodziejczyk.

---

[1] W artykule: O partyi polskiej. „Pielgrzym“ 1833, dnia 5 kwietnia.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Słowianoznawstwo a słowianofilstwo. *Dr. Feliks Koneczny.* (Biblioteka słowiańska. Dział popularno-naukowy. Tom I.). Kraków. Nakładem Tow. Słowiańskiego. 1913. (8-ka; str. 24 i 8).

Istniejące dopiero niespełna pół roku stowarzyszenie nie mogło wprost lepiej rozpocząć swojej działalności, jak właśnie wydaniem wymienionego przemówienia inauguracyjnego, jako że zawartym jest w niem program pracy na przyszłość oraz ścisłe określenie żadań, jakie sobie wytknęło Tow. słowiańskie. Wyszedłszy z tego punktu, iż gdyby pomiędzy Słowianami chodziło tylko o „wzajemność kulturalną“ spowodowaną tylko względami pobratymstwa krwi — nie byłoby sprawy słowiańskiej. Sprawami słowiańskiemi winniśmy się zajmować dlatego, ponieważ tego wymaga interes narodowy polski. Toteż założyciele Tow. patrzą na Słowiańszczyznę ze stanowiska polskiego, idąc ku niej dla wzajemnego obliczenia interesów a nie dla krzewienia jakichś uczuć politycznych!

Narody słowiańskie, z których większością sąsiadujemy bezpośrednio, bądź tylko politycznie w parlamencie austryackim i w delegacyach, uzależnione są od siebie wciąż wzajemnie. Ignorancya tedy rzeczy słowiańskich pomściłaby się na nas dotkliwemi stratami politycznemi, zwłaszcza gdy sprawa polska jest osią, a zarazem kamieniem węgielnym całej sprawy słowiańskiej. Nie należy zapominać, że jesteśmy interesowani bezpośrednio w Austryi, na Węgrzech, w Rosyi i w Rzeszy niemieckiej, t. j. w układzie stosunków politycznych pomiędzy państwami całej Europy. Samo nasze położenie geograficzne

stanowi już wiele. Dążności idei słowiańskiej umieszczają nas w samem centrum Europy. Bez Polski niema Słowiańszczyzny! My to bowiem jedyni wśród pobratymców utrzymaliśmy słowiańskość nienaruszoną wszystkich warstw społecznych; my jedni posiadamy historyę narodową bez przerw; nasz tylko język kształci się i piśmiennictwo rozwija od wieku XV. bez przerwy; u nas najmniej domieszki krwi obcej; my daliśmy Słowiańszczyźnie, co największego: najznamienitszych uczonych (Pawła Brudzewskiego, Kopernika, Strusia i t. d. do braci Śniadeckich, geologa Staszica, Trentowskiego, Cieszkowskiego największych artystów (Chopin, Matejko, Grottger), najgenialniejszych poetów (Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Wyspiański).

Idea słowiańska zrodziła się najpierw u nas. Wszakżeż państwo Bolesławów ogarniało swoją polityką Czechów, Słowaków, Ruś i Połabian! W okresie mocarstwowym Polski idea słowiańska stanowiła nieraz oś prądów, przenikających życie publiczne XV — XVII w. Idea słowiańska, starszą jest u nas od Grunwaldu! Kiedy potem Jagiellonowie zasiedli na tronach czeskim i węgierskim, dokonano unii i snuto coraz potężniejsze pomysły aż do poddania polskim wpływom całego Wschodu , aż do pomysłu unii z Moskwą. W całej naszej literaturze pełno świadectw, że Polska zmierzała świadomie do wzrostu swojej potęgi politycznej na tle słowiańskiem. Słowianofilstwo nasze z początku XIX stulecia, aż nazbyt dobrze jest znane, iżby trzeba szczegółowo je przypominać. Toć pod sztandar idei słowiańskiej chroniły się inne idee wolnościowe! A słowianofilstwo naszej wielkiej emigracyi po upadku powstania listopadowego?! Ojcem jego był Mickiewicz. A obok niego Krasiński wieszczył, że Polska „wstanie królową słowiańskich pól", u Słowackiego wreszcie Polska „z góry już uderza duchem na wszystkie słowiańskie plemiona i do żywota budzi i przymierza". Literaturze wtórują w tej mierze najpoważniejsi przedstawiciele nauki polskiej: Libelt, Tyszyński, Cieszkowski, Trentowski, Siemieński, Helzel i Bielowski. Na emigracyi zaś, nietylko książę Adam Czartoryski, ale też Joachim Lelewel był gorącym apostołem słowianofilstwa; wydawany zaś w latach 1841—1843 „Słowianin" znajduje uznanie u Leonarda Chodźki, Seweryna Goszczyńskiego i Kajsiewicza. Już w r. 1834 powstało w Paryżu „Towarzystwo słowiańskie", do którego założycieli należeli Mickiewicz i Bohdan Zaleski.

Po roku 1848 ruch słowiański wzmaga się u nas statecznie. Dość przypomnieć, że tradycyi słowianofilstwa polskiego nie przerwały wypadki powstania styczniowego. Nawet socyaliści polscy mają swoją

przeszłość słowianofilską, kiedyto w latach 1866 — 1867 wydawali w Genewie „Gminę", pismo z programem sojuszu ludów słowiańskich przeciwko panslawizmowi. W latach dopiero ośmdziesiątych rzecz zaczęła iść opornie. Nagle pojawiło się mniemanie, jakoby Polska nigdy nie była miała nic wspólnego ze sprawą słowiańską, choć rzecz miała się wprost przeciwnie. Był to odruch normalny przeciwko „*kazionnemu*" słowianofilstwu rosyjskiemu. Tryumfem panslawizmu rosyjskiego nie jest to, że przyjmował się tu i ówdzie wśród Słowian; lecz uznanie ze strony Polaków, jakoby wszelkie słowianofilstwo wiodło do panrusycyzmu.

Nam trzeba być, mimo wszystko, żywiołem twórczym w prądzie słowiańskim, a nie czemś biernem, niesionem przez jakiś wiatr polityczny, na którego kierunek nie mielibyśmy wpływu! Ale też dlatego trzeba starać się o nagromadzenie w Polsce jak największego znawstwa spraw, wśród których przyjdzie nam obracać się, żeby nie działać po omacku, lecz celowo. Trzeba nam bowiem zająć w prądzie słowiańskim stanowisko takie, ażebyśmy mogli dopilnować, iżby on nie był nigdy szkodliwy interesom polskim. Słowianofilstwo polskie winno i musi nawet bezwarunkowo zdążać do tego, iżby stanęło na czele Słowiańszczyzny. I w tem właśnie *periculum in mora*! Boć toćmy sami właśnie powołani do nadania tej idei kształtu i kierunku właściwego. Ale z naszej strony, trzeba weń włożyć odpowiednią miarę pracy, zapobiegliwości i trudu, za nas tego bowiem nikt nie zrobi!

Zbliża się przyszłość, która może przynieść nam życie. A czem bardziej „gonią czasy", tem bardziej spieszyć się nam trzeba, iżbyśmy nie zaprzepaścili przyszłości. Z inicyatywy autora omawianej broszury i tyle zasłużonego badacza literatur słowiańskich prof. dra Zdziechowskiego stworzyć zdołano w Krakowie placówkę, której nie mogłoby zająć żadne stronnictwo, jako takie, bo sprawa słowiańska i polskie interesy w Słowiańszczyźnie są niezależne od zmienności stronnictw. Do tej dziedziny nie należy nic a nic z tego, co stronnictwa dzieli, lecz wyłącznie to, co wszystkie polskie stronnictwa narodowe mają wspólnego, bo tylko ze stanowiska ogólno-narodowego można traktować te sprawy. Byleby słowianofilstwo nasze było uprawiane w ten sposób, iżby w słowiańskości nie zatracić niczego z polszczyzny — każde stronnictwo narodowe może patrzeć na pracę taką życzliwie. Polityka polska, nie obejmująca w sobie słowiańskiej, byłaby czemś niezupełnem, a tylko polityka wszechstronna zapewnia rozwój

narodom historycznym, nie poprzestającym na roli politycznie zorganizowanego żywiołu etnograficznego w rodzaju Małorusinów.

To też za szerzenie w Polsce znawstwa spraw słowiańskich należy się szan. inicyatorom tej myśli szczęśliwej serdeczna podzięka. Usiłowania ich godne są najobfitszego plonu, który, da Bóg, będzie z czasem.

Dr. Stanisław Zdziarski.

„Dwie kultury". *Władysław Jabłonowski.* Studya historyczne i literackie. Warszawa 1913. Wende i Spółka.

Zasadnicze znamiona, różniące cywilizacyę „Zachodu" od kultury „Wschodu", są tu przedmiotem rozważań opartych o głęboką znajomość tych dwóch typów duchowych i subtelną obserwacyę. Kultura chrześcijańska na zachodzie tchnie szlachetnym optymizmem — na wschodzie nurza się w pesymizmie. „Na wschodzie ludzie zasmucali się na śmierć w Panu — na zachodzie radowali się w Nim". Myśl o grzechu takim kirem przysłania duszę „wschodnią", że przeklina ona życie, jako objaw tego grzechu, a królestwo niebieskie oprze o grób i jego mroki. Dusza „zachodnia" rwie się do świata, do życia, podniesionego w górę myślą Bożą. Średniowieczni Benedyktyni, myśląc o życiu pozagrobowem i gotując doń dusze bliźnich, wielbili jednak kulturę starożytną i lata życia poświęcali na uchronienie jej od zagłady. Św. Franciszek z Assyżu, ten najczystszy kwiat myśli chrześcijańskiej i kultury zachodniej, połową duszy zanurzony w wiekuistem pięknie — wielbi równocześnie „brata słońce" i kocha „siostrę ziemię". Chrześcijanin zachodni dąży do nieba przez doskonalenie życia — chrześcijanin wschodni — przez jego zaprzeczenie i zniszczenie. Z płócien Rafaela patrzą na nas śliczne, pełne niebiańskiego uroku oblicza Madonn — z ponurych „ikon" przemawia nienawiść życia i jasnej radości.

Obawa grzechu i kar wiecznych takim cieniem przyćmiła kulturę wschodu, że chcąc posiąść doskonałość, tworzy potworność.

Człowiek zachodu, rozpatrując niedoskonałość bytu stara się o wytworzenie pełni i ciągłości życia.

Zawikłaną i mroczną duszę wschodnią ukazuje nam autor w rozbieranej przez siebie książce filozofa prawosławia, Rozanowa, p. t. *Wrażenia włoskie". Leć, a zbawisz siebie. Siedź, a będziesz zbawiony.* W ten sposób określa Rozanow różnicę typów duchowieństwa zachodu i wschodu.

Rozanow, jako wybitny przedstawiciel psyche wschodniej,

nienawidzi zachodu, ale zajechawszy do Rzymu, bezwiednie podlega jego urokowi, wyczuwając tam w każdym dźwięku hymnów kościelnych jedno potężne, wielkie „Gloria".

Rozdział dzieła Jabłonowskiego, zatytułowany *W poszukiwaniu Boga* daje nam ponury obraz męki duszy rosyjskiej, wyrażającej się w licznych sektach, które szukają Boga na zewnątrz, idą „spotykać Chrystusa", chcąc Go ująć fizycznie, w przestrzeni — idą z szalonym pędem, który objawia się nie duhcowo, lecz zmysłowo. Dążenie ducha przybiera postać materyalną. Nie idzie do zbawienia drogą wewnętrznego oczyszczenia, udoskonalenia — punkt ciężkości upatruje w ciele i unicestwia je na ofiarę za grzechy w sposób nieludzki, potworny, będący często chorobliwą psychozą. W naturze duszy rosyjskiej brak pierwiastka, który pozwala odczuć Boga w sobie, jednoczyć się z Nim w duchu własnym, wedle słów Ewangelii: „Królestwo Boże jest wewnątrz was". Dusze te może dlatego tak się rozpacznie szarpią, szukając Boga na zewnątrz, że czują ten swój brak do odnawiania się wewnętrznie. Od grzechu i jego skutków — może, wedle ich pojęcia — uwolnić tylko unicestwienie, niebyt. Historya i literatura rosyjska dają na to mnogie dowody. Leontiew, autor dzieła *Wschód, Rosya i Słowiaństwo* przytacza tam okropny fakt krwawej ofiary, złożonej przez pewnego staroobrzędowca, który zarznął swego syna w przeświadczeniu, że taka jest wola Boża.

Rozanow, w książce *Ciemne oblicza* opisuje fakta ofiar całopalnych u włościan powiatu peterhofskiego. Kulminacyjnym punktem tych potworności, spełnianych jednak z pewnej głębokiej, ale spaczonej tęsknoty duszy do Boga — to słynne zakopywanie się żywcem kilkudziesięciu staroobrzędowców ze wsi Ternówki w gubernii chersońskiej w r. 1896.

Dzieje ewolucyi duszy zachodniej nic podobnego nigdy nie przyniosły. Chrześcijanie zachodni nietylko umierają w Panu, ale w nim żyją i życiem się cieszą.

Inny rozdział tak wysoce zajmującej książki Jabłonowskiego, omawia temat *Dekabryści i ich stosunek do Polski*. Autor stwierdza, że był to gatunek ludzi niewątpliwie pierwszorzędny — ludzi, którym urodzenie, stanowisko, zdolności zapewniały świetną przyszłość. Wyrzekli się jej, oddając wolność i życie jako protest przeciw ciemnocie i poniżeniu ludzi, przeciw poniewieranej przez system rządowy godności ludzkiej. Myśl swoją i uczucia poświęcili sprawie odrodzenia ojczyzny i potrafili nietylko o tem myśleć, ale i życie własne nagiąć

do tego ideału. Ale w stosunku do Polski nie opuścili nigdy stanowiska zwycięzcy do zwyciężonego — nigdy nie pomyśleli o tem, by się zrzec swoich „praw“ do Polski. Historya „Związków“ rosyjskich, powstanie i rozwój myśli przewodniej dekabrystów, przedstawione przez Jabłonowskiego, nie zostawiają miejsca na wierzenie, że w planach ich, choćby w najmniejszym zakresie, znajdowała się rękojmia lepszej doli dla Polski.

Zagadkowy Geniusz Odrodzenia (Leonardo da Vinci). Wielka ta postać zajmuje od czeterech stuleci umysły najwybitniejszych badaczy i znawców doby Odrodzenia, a wyniki tych badań nad Leonardem, jako uczonym i artystą, dały niezmiernie zajmujący i obfity materyał. Inna rzecz, gdy chodzi o skreślenie osoby moralnej tego niezwykłego geniusza. Badacze utworzyli tu istny labirynt poglądów. Zwłaszcza odnosi się to do badaczów współczesnych, którzy narzucili Leonardowi całą swoją zawiłą współczesność. Uczynili to przedewszystkiem pisarze rosyjscy, jak Mereżkowski i Hołyński. Ten ostatni, ze stanowiska swojej wschodniej, ponurej Psyche, chce ze słonecznego geniuszu da Vinci uczynić ciemnego demona, o duszy zatrutej i siejącej truciznę. Myśli i czyny wielkiego mistrza, przepuszczone przez pryzmat duszy rosyjskich badaczy, ulegają chorobliwemu ich ocenieniu, gdy w rzeczywistości, ze stanowiska zachodniego światopoglądu — jest i pozostanie Leonardo da Vinci jedną z chwał ludzkości, jako wzór czystego geniuszu miłości i prawdy.

Helena Skolimowska.

„Domy dziecięce“. (Le Case dei Bambini). *Dr. Marya Montessori.* Nakład Henryka Lindenfelda. Warszawa 1913.

Książka ta wywołała niezwykłe zajęcie w sferach pedagogicznych i lekarskich, a także u myślącego i czującego ogółu czytelników. Dowodem na to liczne jej przekłady na różne języki europejskie — rozprawy, omawiające metodę i jej znaczenie — nakoniec powstanie całego szeregu szkół we Włoszech, Szwajcaryi, Francyi, nawet w Ameryce, według wzorów podanych przez Dra Maryę Montessori.

Odrębność tej metody polega na tem, iż kształcenie zmysłów jest w niej zasadniczą podstawą. Nauczycielka ma tu rolę kierowniczki a środkami o wielkiej doniosłości są niezmiernie pomysłowe, choć proste przyrządy.

Na dalszym stopniu prowadzona nauka czytania, pisania i ra-

chunków wedle tej metody, przy pomocy odnośnych przyrządów, daje wprost nadzwyczajne wyniki.

Książka Dra Montessori jest owocem głębokiego przemyślenia i paroletnich doświadczeń, prowadzonych w „Case dei Bambini" (Domy dziecięce). Doświadczenia te, zdobyte na dzieciach normalnych, były poprzedzone licznemi próbami, robionemi na dzieciach upośledzonych pod względem umysłowego rozwoju.

Dr. Marya Montessori była przez dłuższy czas asystentką kliniki psychiatrycznej w Uniwersytecie rzymskim — zwiedzała wtedy przytułki dla obłąkanych lub upośledzonych, wybierając dane osobniki dla studyów klinicznych, w ten sposób weszła w kontakt i zainteresowała się dziećmi, nienormalnie rozwiniętemi, przebywającemi w takich zakładach. Badając je, zapoznała się ze specyalną metodą, wymyśloną przez znakomitych lekarzy francuskich, Itard i Séguin, dla kształcenia tych biednych istot.

Dr. Montessori wychodzi z założenia, że rozwijanie małych idyotów jest więcej kwestyą pedagogiczną niż medyczną. Myśl wychowania moralnego, podniesiona przez nią na kongresie pedagogicznym w Turynie, z kół lekarskich przeszła szybko do kół nauczycielskich ludowych. „Oto wprowadzę w was ducha a ożyjecie", mówi Pismo św. Te słowa są punktem wyjścia badań i prac Dra Montessori. Od prac nad dziećmi nierozwiniętemi przeszła do dzieci normalnych stosując do nich bogate doświadczenie swoje, miłość duszy dziecięcej i przedziwną intuicyę, rozwiniętą przez naukę.

Szerokie pole pracy znalazła w t. zw. Case dei Bambini, t. j. szkółkami urządzonemi w Rzymie w olbrzymich domach, mieszczących w sobie liczne robotnicze rodziny. Dzieci tych rodzin zgromadza się w jednej wspólnej sali pod dozorem nauczycielki. W ten sposób, dom i szkoła wchodzą we wzajemny stosunek i oddziaływanię. Domy takie, staraniem osobnego Towarzystwa „Beni stabili", starają się dać rodzinom robotniczym mieszkania zdrowe, obudzić w nich poczucie tego, co zowiemy „domem" i zamiłowanie do ogniska rodzinnego. Czynnik estetyczny powiększono, dostarczając lokatorom tanich roślin do ozdoby. Dzieci w wieku przedszkolnym schodzą się w dużej sali i tam, wedle genialnej metody Montessori, uczą się używać zmysłów i kształcić je, uczą się myśleć samodzielnie. Nauczycielstwo ludowe rzymskie stwierdza jednomyślnie, że uczniowie, przychodzący do szkół ludowych z „Domów dziecięcych", są wprost wyborowym materyałem pod względem rozwoju moralnego i umysłowego.

Po szczegóły, wyjaśniające bliżej znaczenie metody Dra Montessori — odsyłamy czytelników naszych do jej tak niezmiernie żywotnego i zajmującego dzieła. *Helena Skolimowska.*

Żywoty świętych polskich opracowane na tle dziejów ojczystych. Wydał *ks. dr. Zygmunt Skarżyński.* Warszawa, 1913. Str. 925.

Obszerna ta książka zawiera obfity materyał mniej lub więcej wartościowy, ale mało opracowany. Ma się w pierwszej chwili wrażenie, że książka powstawała zbyt prędko, ale w rzeczywistości tak nie było, gdyż wszystkie te żywoty były już drukowane w tygodniku *Życie świętych.* Ta więc okoliczność mogła była ułatwić pracę niezbędną, polegającą na wybraniu wiadomości pewnych i jasnych oraz ugrupowaniu w pewną harmonijną całość. Bardzo pożądaną i dodatnią stroną *Żywotów* mogło było być tło dziejów ojczystych, ale jest ono w niektórych żywotach bałamutne i mętne, jak n. p. na str. 1 przy charakterystyce Zygmunta III. W żywocie bł. Jakóba Strepy należało w tymże celu uwzględnić i wyzyskać pracę prof. Abrahama; w żywocie św. Jacka nie zwrócono uwagi na dziełko X. K. Żukowicza Z. K. Obfitość szczegółów o czci pośmiertnej świętego, opisy uroczystości kanonizacyjnych, historya relikwii są niekiedy zbyt obszerne, jak n. p. w żywocie św. Wojciecha 10zdział: „Spiżowe podwoje w katedrze gnieźnieńskiej", obejmujący 7 stron, albo znów w drobiazgach mylne n. p. wiadomości na str. 12., że relikwie bł. Jędrzeja Boboli „przywłaszczyli sobie wyznawcy greckiego kościoła".

Tytuł dzieła mówi: „Żywoty świętych polskich", a nie Patronów Polski, więc żywoty św. Zygmunta, króla burgundzkiego, Władysława króla węgierskiego, św. Brygidy, a również św. Jana Nepomucena i św. Wacława nie powinny się w tym zbiorze znajdować, raczej należałoby dodać życiorys bł. Jana Sarkandra i bł. Melchiora Grodzieckiego. Jeśli zaś damy tytuł „Żywoty Patronów Polski" to jeszcze kilka innych żywotów należy dodać. W dziele omawianem znajdujemy życiorysy arcybiskupa gnieźnieńskiego Bogumiła i X. Wojciecha Męcińskiego T. J., ale ci dwaj świątobliwi mężowie jeszcze nie są beatyfikowani; jeżeli więc ich żywoty tu znajdujemy, to znów brak bardzo wielu świątobliwych mężów i niewiast, których sława i cześć jest w Polsce wielka, choć tej czci Kościół jeszcze nie potwierdził.

Książka, jaką obecnie mamy, wymaga gruntownego przerobienia i opracowania. Trzeba sobie jasno zamierzyć cel, czy „Żywoty" mają

być dla ludzi i najszerszych warstw, czy też dla czytelnika wykształconego. W pierwszym wypadku należy opuścić zbędne zupełnie dla ludu szeregi tytułów dziełek lub prac historycznych, a styl i sposób opowiadania uprościć. Czytelnik zaś wykształcony, zwłaszcza historyk, zażąda z pewnością więcej niż autor daje, tak, że autor „Żywotów" nie będzie go mógł wcale zadowolić. W każdym razie piękne legendy i poetyczne opowiadania o cudownych zjawiskach i wypadkach należy albo oddzielić, umieszczając je w osobnych rozdziałach, jeżeli ich naukową, historyczną krytyką udowodnić nie można.

W książce umieszczono 60 obrazków, ale niektóre klisze wskutek gorszego gatunku papieru bardzo są licho odbite. Lepiej mniej ilustracyi a wyraźnych i pięknych, niż dużo a właściwie nic dla oka czytelnika nie przedstawiających, a takie są na str. 261, 277, 470 i inne.

Mimo to wszystko nie przeczę, że według słów wydawcy, „było rzeczą pożyteczną i dobrą zebrać w jedną całość wszystkie żywoty naszych patronów, któraby na tle dziejów ojczystych ogrom dorobku świętych Polaków w umyśle i sercu czytelników uprzytomniała". Mam też przekonanie, że i ta książka, zanim się ukaże lepsza, będzie zdrową lekturą dla szerszych warstw polskiej ludności.

Wogóle, gdyby tej księżce dano tytuł skromniejszy, n. p. „Opowiadania z życia świętych polskich" lub coś podobnego, recenzent nawet najsurowszy, nie napotykałby na każdem miejscu na tyle trudności. *Ks. Teofil Bzowski.*

Peru. Wspomnienia z podróży. *Jan Sztolcman.* Z mapą. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1912. (Druk E. Nicz i Ska). T. I. Str. 4 n. l. + IV + 307 + 1 mapa. T. II. str. 2 n. l. + 267.

Któż z nas nie wspomni z rozrzewnieniem chwil, spędzonych nad Robinsonem Cruzoe, fantastycznym, a pełnym nieprzepartego uroku dla dziecięcego umysłu Verne'm czy też Mayne-Reidem? Któż z nas nie drżał o los Robinsona, nie cieszył się przywiązaniem Piętaszka, nie jeździł w łodzi podmorskiej kapitana Nemo, nie łamał sobie głowy nad dziwacznym tytułem „Trzysta tysięcy begumy" i nie przebywał w szlachetno-rozbójniczem towarzystwie bohaterów Mayne-Reida? W ten sposób zbudzony zmysł ciekawości do rzeczy obcych, krajów dalekich, ludzi innych jakichś, a tak bliskich dziecku, pozostaje na całe życie. Wprowadzona w ruch chęć poznawania

rzeczy nowych, nie ustaje w pracy i później, w wieku dojrzałym wydaje plon. To też opisy podróży cieszyły się i cieszą uznaniem zawsze. Tylko podczas gdy chłopak chciwie połyka opisy krain widzianych w marzeniu lub też tak fantazyą opowiadacza przekształconych, że, choć pozornie rzeczywiste, stają się jakąś nieznaną częścią świata wyobraźni, człowiek dojrzały sięga chętnie po opis krain najrzeczywistszych, ale znanych tylko z suchego wyliczenia geograficznego i widzianych na mapie, by dowiedzieć się o ich fizyognomii i życiu im właściwych trzech królestw przyrody, o pochodzeniu i języku, zwyczajach i obyczajach swego dalekiego krewniaka, króla przyrody, człowieka.

To też sądzę, iż dobrze się stało, że dobry nasz znajomy („Nad Nilem niebieskim"), znany podróżnik polski, Jan. Sztolcman, swój opis Peru, choć już trzydzieści lat od odbycia podróży minęło, ogłosił i dziełem tem, zupełnie nie pośledniem, wzbogacił naszą nie zbyt obfitą literaturę podróżniczą. (Fakt dość dziwnie świadczący o narodzie, którzy ponoś zajmuje, co do podróżomanii, jedno z pierwszych miejsc w rodzinie narodów europejskich). Zwłaszcza, że o krainach południowej Ameryki mamy pojęcia nadzwyczaj mętne. Wprawdzie wiemy coś nie coś o Brazylii i Argentynie skutkiem emigracyi, ale pomorze Oceanu Spokojnego jest dla ogółu zupełną *terra ignota*.

Z pomocą Konstantego hr. Branickiego, który ponosił koszt całej naukowej wyprawy, J. Sztolcman, młody ówcześnie student uniwersytetu warszawskiego i asystent znakomitego uczonego Władysława Taczanowskiego, wyjechał w sierpniu 1875 do Peru, celem zbadania avifauny peruwiańskiej i po pięcioletnim tam pobycie dopiero w czerwcu r. 1881 do Europy wrócił. Dwa duże tomy, niedawno ogłoszone, to wspomnienia z tego długoletniego w Peru pobytu. Opisy nie straciły nic na świeżości i wartości. Autor swoje wspomnienia spisywał na podstawie notatek na miejscu robionych i listów do rodziny z Peru pisanych. Mają zaś i dzisiaj swoją naukową wartość, jako opis zdobyczy naukowych, przez podróżnika dokonanych, co zresztą tylko pióro fachowego przyrodnika należycie ocenićby mogło, ale mają i wartość ogólniejszą dla historyka i etnografa, albowiem podają możliwie jak najdokładniejszy opis kraju, który, o ile z historyi ostatniego ćwierćwiecza sądzić można, pod względem obyczajowym i przemysłowo-handlowym nie wielki uczynił postęp od czasów w książce opisywanych. Poza opisami przyrodniczymi, które uderzają nadzwyczaj zaostrzonym zmysłem spostrze-

gawczym, może się czytelnik wielu rzeczy z dzieła nauczyć i nie raz bardzo nawet żywo opisami zająć. Uderza przedewszystkiem w dziele niezwykle bliski i serdeczny, że tak powiem, stosunek przyrodnika do otaczającej go przyrody. Historya geologiczna Kordylierów i pomorza, dziewicze lasy górnego Maranonu (Amazonki), ich fauna i flora nie mają, zdaje się, dla autora tajemnic. Podróżnik-uczony z największem zaciekawieniem i znawstwem opisuje życie korsarza rzecznego, krokodyla, wojenne marsze mrówki, krwawe wyprawy nocne drapieżnych kotów i poranne pienia, ku czci Stwórcy, pierzastej rzeszy. Każdy objaw życia w przyrodzie stanowi dlań przedmiot równie sumiennego badania. A kiedy mu się uda po długich mozołach odkryć jakiś mało znany lub też zupełnie nowy gatunek, radość uczonego nie ma granic. Uradowanie swoje umie autor tak udzielić czytelnikowi, że wierzy się mu, kiedy po odkryciu ledwie znanego kolibra powiada, iż „przykląkł i zdjąwszy kapelusz, podziękował Bogu za tę chwilę szczęścia". (t. II. str. 168.). W wspomnieniach spotykamy co krok pełne entuzyazmu słowa z powodu piękna dziewiczej podzwrotnikowej przyrody.

Ale nie tylko objawy przyrody zatrzymują uwagę uczonego. Stara się on poznać najwyższy tej przyrody twór, człowieka i związać z jej życiem życie jej mieszkańca. Opowie wtedy barwnie, z dużym talentem literackim, wspieranym wyjątkową bystrością obserwacyi o tych dziwnych ludziach i o ich dziwniejszych obyczajach. Opowie o „cholos", mieszańcach białych z Indyanami, o ich poczciwem, pracowitem życiu, o „zambos", mieszańcach krwi murzyńskiej z białą i czerwoną, o ich lenistwie i przewrotności, o potomkach dawnych zdobywców, towarzyszy Franciszka Pizarro, pełnych grandessy i gościnności. Stosunki między tymi trzema typami ludności peruwiańskiej pozwalają autorowi wypowiedzieć niejedną głębszą uwagę. Czytamy ciągle o niekończących się rewolucyach w rzeczpospolitych południowej Ameryki i nie umiemy sobie właściwie wytłumaczyć, dlaczego raz nareszcie nie ustali się tam jakiś rząd, któryby potrafił anarchii położyć kres. Nasz podróżnik przypatrzył się niejednej takiej rewolucyi (przeżył ich pięć w Peru) i wykłada nam z przyrodniczą jasnością, jakie są przyczyny tych przewrotów. Nieuczciwość awanturniczych przywódców, krótkowidztwo czy też wprost ślepota tłumu białych i niezadowolenie społeczne ludzi kolorowych, wszystko to razem stwarza zamęt, z którego wyłania się stale groźne widmo „*pronunciamiento*". Administracya wykonywana licho nie umie, a co więcej nie chce, bo się boi,

tępić bandytów i różnego gatunku drabów, którzy chętnie do każdej zawieruchy się przyłączają, byleby w mętnej wodzie łowić ryby. A przedewszystkiem zupełny upadek moralności, a z nim rozluźnienie się węzłów rodzinnych, musi sprowadzać w stosunkach społecznych chaos, z którego ambitni awanturnicy umieją zawsze korzystać. Zastanawiającym jest brak skrupułów nawet u najwyższych dostojników państwowych. Oto n. p. w czasie wojny chilijsko-peruwiańskiej w r. 1878 prezydent Prado pod pozorem zakupu materyału wojennego wyjeżdża do Europy, zabiera ze sobą pieniądze, przeznaczone na kupienie pancernika nowego i — nie wraca więcej. Rozczulająca bezceremonialność! Zapewne, od głowy ryba cuchnie, ale tutaj nie tylko ta głowa znajduje się w stanie rozkładu. Pod względem moralności prywatnej i publicznej gnije całe społeczeństwo peruwiańskie. Zagadka rewolucyjnej anarchii staje się dla nas zrozumiałą. Musiałoby nastąpić uzdrowienie *in capite et in membris*, aby społeczeństwo to mogło rozwijać się normalnie. Sceny z miejscowych rewolucyi, opisywane przez J. Sztolcmana, przechodzą swoją ponurą i krwawą grozą nawet mordy wrześniowe r. 1791. Tem straszniej wyglądają stosunki peruwiańskie, jeżeli się je zestawi ze stałym rozwojem Stanów Zjednoczonych, tak bliskich położeniem, a tak dalekich stopniem cywilizacyi i kultury. Ze zdumieniem dowiaduje się czytelnik, iż w XIX wieku i to na jego schyłku, (choć i dzisiaj nie lepiej się dzieje w sąsiedniej Brazylii przy wydobywaniu kauczuku), może jeszcze istnieć prawem chronione niewolnictwo. Między wierzycielem a dłużnikiem staje układ t. z. „concierto", mocą którego dłużnik obowiązuje się pracować pewną liczbę dni u wierzyciela, za cenę przez wierzyciela oznaczoną. Płaca ta jest tak nizką, iż nawet procentu od pożyczonej sumy nie pokrywa, zwłaszcza, że wierzyciel nawet i 500% procent pobiera, i w skutku: dłużnik staje się na lato niewolnikiem wierzyciela, a prawo ten potworny stosunek swoją powagą osłania! Takich obrazków z życia Peruwiańczyków, odznaczających się niezwykłą dokładnością obserwacyi, znajdziemy w dziele naszego uczonego wiele. Możemy się dowiedzieć dokładnie, jak się „cholo", „zambo" i Hiszpan cieszy i smuci, jak żyje i jak mieszka, co je, pije i myśli, krótko mamy przed oczyma całokształt jego życia od kolebki do śmierci. Z zaciekawieniem przeczytamy ustępy, opowiadające o najdawniejszych mieszkańcach tych krain, o starożytnych Inkasach i ich względnie bardzo wysokiej cywilizacyi.

Językowi dzieła nic prawie zarzucić nie można, a barwność opo-

wiadania, bystrość ścisłej obserwacyi i szczerze polski sentyment nadają mu ton w czytaniu nadzwyczaj miły i swojski.

Stanisław Sołtys Kozaryn.

Z piśmiennictw obcych.

Die Mysterien des Christentums. Nach Wesen, Bedeutung und Zusammenhang dargestellt von *Dr. Matth. Joseph Scheeben*, weiland Professor am Erzbischöflichen Priesterseminar in Köln. Dritte Auflage, bearbeitet von *Dr. Arnold Rademacher*, Direktor des Collegium Leoninum zu Bonn. gr. 8° (XXIV + 692) Freiburg & Wien, 1912, Herdersche Verlagshandlung K. 10·08; opr. K. 12·—.

Dzieło to bezprzecznie najlepsze jednego z najgłębszych — powiedzieć można najgenialniejszych — teologów nowoczesnych. Ujawnia się w niem cała siła i pewność niezrównanej prawie spekulacyi i wszechstronnej uczoności teologicznej zasłużonego profesora kolońskiego seminaryum. Pierwsza to próba, ale próba bardzo szczęśliwa, ujęcia tajemnic wiary naszej w jeden wielki, organicznie z sobą związany, naukowo uzasadniony i wykończony system. Pięćdziesiąt prawie lat temu, gdy to dzieło wyszło, a jeszcze dzisiaj stoją „*Die Mysterien*“ Scheebena samotnie na wyżynie, pierwsze zajmują miejsce wśród dzieł z teologii spekulatywnej. Niema się wprawdzie temu co dziwić, bo jak już sam autor ubolewał, najlepsze siły, najświetniejsze talenta, zajęte obecnie badaniami krytycznemi nad historyą dogmatów, lub skierowane wyłącznie ku obronie pierwszych zasad wiary tak, że na pogłębienie samej treści najwznioślejszych prawd i tajemnic ni czasu ni energii nie starczy. To też za szczególną zasługę poczytać trzeba Dr. Radmacherowi, że się zajął ponownem wydaniem tego znakomitego utworu; wśród niespokojnej bowiem, tu i ówdzie nawet cośkolwiek gorączkowej pracy krytycznej i apologetycznej sprawia to miłe zadowolenie i prawdziwą satysfakcyę, iż w chwilach swobodniejszych można za przewodnikiem pewnym i doświadczonym wstąpić na najwyższe szczyty wiedzy i prawdy, by umysł i serce pokrzepić i nasycić kontemplacyą cudnej piękności świata nadprzyrodzonego.

Na początku wprowadza nas autor w pojęcie tajemnic chrześcijańskich, podkreśla ich znaczenie i podaje zasady i metodę, podług których ten przedmiot będzie badał i wyświetlał. W następnych dzie-

więciu rozdziałach rozwija naukę o poszczególnych tajemnicach: Trójcy św., Stworzenia i pierwotnej sprawiedliwości, grzechu wogóle a grzechu pierworodnego w szczególności, Boga-Człowieka, Eucharystyi, Kościoła i jego sakramentów, chrześcijańskiego usprawiedliwienia, chwały wiecznej i rzeczy ostatecznych, predestynacyi — a kończy świetnym poglądem na istotę zadanie i znaczenie nauki o tajemnicach chrześcijaństwa czyli teologii. Rozczytując się z uwagą w dociekaniach i wywodach autora nad istotą i znaczeniem poszczególnych tajemnic, śledząc razem z nim związek między tymi osobliwymi faktami i prawdami, zastanawiając się nad ich przedziwną organiczną łącznością i budową, niepodobna nie życzyć sobie, by okres badań nad historyą dogmatów i niespokojnych studyów krytycznych skończył się jak najprędzej, i by znalazł się umysł, co objąwszy pewne, wyniki tych studyów, potrafiłby posunąć dzieło Scheebena naprzód i spekulacyi teologicznej przywrócić znaczenie, jakie się jej słusznie należy.

Co się tyczy tego trzeciego wydania „Tajemnic" Scheebena, to niema w niem zasadniczych zmian w samym tekście; tylko w drobniejszych i podrzędnych szczegółach, jak w wyrażeniach stylistycznych, odnośnikach literackich, cytatach wprowadził R. dosyć liczne poprawki. Pogląd zaś autora na przyczynę formalną dziecięctwa bożego, który nie znalazł poważniejszych zwolenników wśród teologów, zbija uczony wydawca w obszerniejszej uwadze (str. 149 — 152).

Nie tylko tym, co z zawodu oddają się pogłębianiu nauk teologicznych, lecz nie mniej kaznodziejom, katechetom, mistrzom ćwiczeń duchownych należy dzieło to polecić. Znajdzie się w niem mnóstwo głębokich i świeżych myśli, rzucających dużo światła na pojęcie i znaczenie najwznioślejszych prawd naszej świętej wiary.

Ks. B. Wolnik.

The Catholic Encyclopedia. *New York.* t. XI.

XI tom Encyklopedyi katolickiej obejmuje obszerny dział wyrazów i nazw poczynając na New-Mexico a kończąc na św. Filipie. Przebija tu pewna jednolitość tonu a raczej opinii, naturalna tam, gdzie chodzi o dogmaty wiary ale trudna do zachowania w rzeczach czysto ziemskich stąd i cechy pewnej wyłączności anglo-saksońskiej, nacisk na sprawy amerykańskie i wielko-brytańskie, szerokie życiorysy świętych irlandzkich i męczenników lub uczonych angielskich, opis

i statystyka każdego ze Stanów Zjednoczonych równie obszerne jak całych państw europejskich, co z konieczności pociąga za sobą suchsze i pospieszniejsze traktowanie reszty. Raz jeszcze warto zaznaczyć, iż każdy naród powinienby wydać podobną Encyklopedyę, z której dopiero możnaby utworzyć wielką Encyklopedyę prawdziwie katolicką czyli powszechną. Trzeba jednak przyznać, że taka wyłączność ma swoją racyę bytu wobec ustawicznej walki, na jaką katolicy są wystawieni we wszystkich krajach szczycących się mową angielską. Trzeba się dobrze przyjrzeć, dobrze wczytać i wsłuchać, by sobie zdać sprawę, z ilu trudnościami, uprzedzeniami, potwarzami musi wciąż walczyć ten Kościół i to nie jak u nas wobec wolnomularstwa i bezwyznaniowości, ale wobec zaciekłości sekt nie uznających stałych dogmatów a rozwścieczonych na katolików za to tylko, że takowe uznają.[1] Każde pismo religijne musi tam — równie jak w Anglii — mieć charakter polemiczny, musi wobec domowych wrogów omawiać przedewszystkiem sprawy domowe, musi przybierać na każdym kroku postawę obronną. O atakującej, wyzywającej w Encyklopedyi nie masz mowy. Wszędzie widzi się ton poważny, szlachetny i umiarkowany, nigdy przesady ani fanatycznych uniesień. A przecież — gdyby choć z jednego XI tomu wypisać nazwiska i dzieje męczenników, którzy na posiadłościach angielskich ponieśli śmierć, niewolę lub utratę mienia, gdyby zesumować wyrafinowane tortury i cały ogrom ich cierpień, należałoby przyznać, że to samo piekło przeciwko Kościołowi szalało, a potem — do niedawnego czasu — stało murem pomiędzy nim a narodem brytyjskim. Tom XI zawiera artykuł o prześladowaniach. (*Persecutions b. James Bridge*) nasamprzód ogólny, w którym nie lęka się omówić działania Inkwizycyi i połączonych z niemi niejednokrotnych nadużyć. Te, jak wszystkie — bliżej historyę znającym wiadomo — były najczęściej dziełem ręki świeckiej osłaniającej się pozorem religii jak n. p. przy wypędzeniu Żydów z Hiszpanii lub licznych procesach, gdzie dla pokrycia prywatnej lub politycznej zemsty wyciągano na wierzch jakieś, często niebaczne, powiedzenie oskarżonego; powiedzenie to bez komentarzy przedstawiano do osądzenia inkwizytorom, a gdy ci orzekli, że jest z punktu wiary naganne, brano je za podstawę wyroku. Albo też przy

[1] W samym artykule *Penal laws* (Ustawy karne) widzi się iż w Stanach Zjednoczonych gdy po buncie sprowokowanym tyrańskiem kościoła anglikańskiego nastała wolność religijna, wyjęto z pod niej samych tylko katolików, przeciw którym zwróciła się nienawiść świeżo oswobodzonych innowierców.

straceniach zwanych *Auto da fè*, — mniej świadomi lub tendencyjni dziejopisarze zapominają powiedzieć, iż królowie i książęta asystowali tylko przy ostatecznym odczytaniu wyroku, poczem dwór odchodził, a skazanego wieszano lub w (Hiszpanii) duszono sznurem i dopiero martwego palono.

Obok głównego rzutu oka na przebieg dziejowy prześladowań religijnych jest szereg obrazków prześladowań w poszczególnych epokach i krajach. Dzięki O. Palmieremu, którego podpis niejednokrotnie w Encyklopedyi się spotyka, widnieje tam i opis prześladowania katolicyzmu a w szczególności Unitów w naszym kraju, opis spokojny i objektywny ale wybitny i jasny.

Zanim jednak czytelnik przerzucający Encyklopedyę na wyraz *Persecution* w XI tomie natrafi, uderza jego oczy mnóstwo nazw geograficznych zaczynających się od *Neo*; *New-Mexico*, *New. Orléans*, *New. Zealand* i choćby samo *New-York*. Jest coś rzewnego w tych wszystkich nazwach, któremi wychodźcy usiłowali sprawić sobie choć cień złudzenia, że są w rodzinnem mieście lub w rodzinnej ziemi. W opisach tych miast autorowie kładą oczywiście główny nacisk na stosunki religijne, na stan dyecezyi lub misyi z katolickiemi szkołami i zakładami, niemniej też na prawo cywilne zwłaszcza dotyczące małżeństw i rozwodów. Obok podanych pieczęci każdego stanu, warto wymienić numismatykę omawianą tu dość obszernie i objaśnioną odbiciami monet z przeróżnych epok oraz medalów ostatnich kilku Papieży. Pod literą N. zwraca na siebie uwagę artykuł pod tytułem Noe (*E. Bechtel*) wraz z treściwem ale szczegółowem sprawozdaniem z babilońskiej wersyi o potopie. Brak jednak nazwiska „Newton".

W mniej starożytne choć zawsze nie nowe czasy prowadzi nas wyraz *Nimbus* (F. Gietmann) aureola dziś zupełnie prawie przez malarzy zaniedbana a używana w sztuce greckiej dla oznaczenia godności przedstawionej postaci. W katakumbach nie widać jej około głowy Pana Jezusa; spotyka się ją dopiero w IV w. tam, gdzie Chrystus wyobrażony jest na tronie w postawie imperatora. W Bizancyum zaś nimbus wieńczyć musiał z urzędu głowy nietylko cesarzy ale dygnitarzy, a za nimi i świętych, słowem wszystkich, których na mozaice lub miniaturze chciano wyszczególnić wskazując, że są głównemi osobami obrazu. Z czasem nimbus stał się wyłączną atrybucyą postaci Świętych, nakreślony czy to w kształcie jasnego kręgu, czy też czterech szerokich promieni w formie krzyża albo też krzyża na tle jasnego krę-

gu. Monografie Orcagni, Perugina ozdobione ilustracyami zaznajamiają z wielkimi malarzami religijnymi, a artykuł *Paintig* Malowanie (Loius Giller) omawia znaczenie malarstwa. Autor podnosi w nim fakt, że prócz paru wizerunków dworskich o hieratycznych formach nie było od katakumb do odrodzenia malarstwa innego jak religijne. „Obrazy mają być księgami dla nieumiejących czytać", pisał Piotr Comestor. Obrazy tedy miały służyć do nauczania ludu, a że lud, podobnie jak dzieci, nie znosi zmian wraz przyjętem pojęciu, przeto artyści ujrzeli się przykutymi do pewnych form ustalonych w tradycyi raczej niż pochodzących z nauki Kościoła. Malowidła te nosiły już odmienną cechę od malowidła za katakumb. Po edykcie Konstantyna sztuka chrześcijańska nie miała już powodu krycia się po cmentarzach, krzyż stał się symbolem tryumfu, a młodocianą postać Dobrego Pasterza zastąpił Chrystus w glorii niebiańskiego imperatora otoczonego gwardyą aniołów i świętych. Postać Najśw. Panny przybrano podobnie w złociste szaty ciężkie od drogich kamieni, jakie nosiły cesarzowe w Bizancyum. W Rzymie sztuka chrześcijańska zastąpiła gasnącą już sztukę pogańską a symbole wiary i przedmioty pobożnej treści zajęły miejsce mitologicznych baśni. Ruch ten jednak wstrzymały hordy barbarzyńców, pod których ciosami padła we Włoszech cała kultura imperyum; po nich fanatyzm Islamu zaraźliwy, skoro według autora, on to wpływem swoim podniecił w cesarstwie wschodniem późniejszy ruch Ikonoklastów. Ów ruch tem był szczególny, że go stworzyły skrupuły mężczyzn a zatamowała pobożność kobieca — trochę późno, bo świątynie stały już pustkami. Trzeba je było na nowo przystroić, więc sztuka chwilowo zamarła zbudziła się z nowym zapałem, bardziej liturgiczna, a tak silna, iż wnet ogarnęła cały świat chrześcijański, skąd ją dopiero po kilku wiekach wygnać miała sztuka rodzima zachodnio-włoska, flamandzka, niemiecka. I ta znów trwała przez kilka wieków, ale co ją obecnie zastąpi? Encyklopedya podaje wprawdzie wizerunek nowoczesnego obrazu Leona Lhèrmite przedstawiającego Pana Jezusa między ubogimi; temat cudny, rysunek poprawny ale postacie tak zamazane, iż trzeba się domyśleć, że np. ta plama ma oznaczać czyjąś głowę, a tamta miskę na stole. Samo oblicze Zbawiciela wyraźne ale tak straszne mizerne jak chyba tylko wśród męki być mogło... Zda się jakoby artysta przejęty był opinią z jaką walczą w Encyklopedyi autorowie artykułów o *Optymizmie* (Thomas O. Morse) i o *Pessymizmie* (A. B. Sharpe) jakoby mianowicie nauka Chrystusa a dzięki jej Nowy Testament miały cechę pessymistyczną, podczas co

optymiczne w Starym Testamencie przeważa. Mniemanie to pochodzić ma stąd, iż obietnice Starego Testamentu dotyczą przeważnie życia doczesnego, obfitości ziarna, oliwy i wina; Pan Jezus zaś mało ważąc przygody i potrzeby życia doczesnego obiecuje nagrody w wieczności.

Między artykułami z dziedziny filozoficznej podnieść należy *Nominalizm* (M. de Wulf) obejmujący wszelkie teorye realistyczne począwszy od Platona a skończywszy na Taine'ie, dalej *Paganizm* (Martindale). Jestto rzecz historyczno-polemiczna, bardziej jeszcze polemiczna niż historyczna, dążąca do zbicia twierdzenia jakoby Zoolatrya, Polidemonizm i Politeizm prowadziły prostą drogą do Monoteizmu.

Chrystyanizm nie jest wytworem pogaństwa, jakoby — jak to pisali starzy panegiryści dawnych filozofów — „ci ostatni" byli chrześcianami przed Chrystusem. — Faktem jest tyle, iż historycznie mówiąc świat był poniekąd przygotowany na naukę Chrystusa przez zastygnięcie w formach oficyalnych politeizmu Greków i Rzymian równie jak i przez napływ do Europy bardziej duchowych kultów ze Wschodu. Zresztą jak autor powiada, w każdym człowieku żyje dusza *naturaliter Christiana*, w każdym od początku iskra Boskości, gdyż „Bóg stworzył go do łączności ze Sobą, a t. zw. „czysta natura" nie istniała nigdy a duch ludzki nie był istotą odosobnioną tylko tworem Bożym zawsze nawiedzanym przez łaskę, którą do woli może odrzucić lub przyjąć". Ludzkość nie urodziła się pogańską — znać to choćby z promyków prawdy wyłaniających się z pod ciężkich tumanów bajki w każdej mitologii jak n. p. w potrójnych bóstwach Assyryi (Aru, Bel i Hea), w Indyi (Brahma, Wisznu, i Sziwa,) w Egipcie (Ammon, Bah i Ptak) jak i w mitologii greckiej gdzie widzimy bunt Tytanów przeciw niebu, strącenie zbuntowanych i grzech ziemi stającej przeciw niebu po stronie Tytanów. Wszyscy ci poganie w zamierzchłych czasach wiedzieli o Bogu, a potem zdało im się jeszcze „słyszeć, że dzwonią, ale nie wiedzieli w jakim kościele"... Nie wiedzą też bardzo i Nonkonformiści angielscy (Sydney F. Smith), protestanci w protestantyzmie, czujący braki Kościoła urzędowego ale łatający je własnym przemysłem raczej, niżby do prawdziwego Kościoła się udać. Autor artykułu dotyczącego ich nie mógł podać wyraźnych dat o tej chwiejnej a różnorodnej masie, nie chcieli bowiem poddać się statystycznym badaniom rządowym. Pomiędzy nimi znajdują się bardzo gorące dusze, których Bóg niewątpliwie w swoim czasie do swoich zamiarów użyje.

Ciekawym jest artykuł ogromnie treściwy *Oriental studies* (James F. Driseoll): podający wynik badań Wschodu oraz tego, co jeszcze do zrobienia zostaje.

Artykuł o *Organach* (H. Bewerunge), które dziś zdają nam się być jedną z żywotnych części naszych świątyń, daje pogląd na historyę tego kościelnego instrumentu. Początek ich był wszakże czysto pogański, mianowicie flet bożka Pana, złożony z kilku różnej wielkości piszczałek, ułożonych w rząd i złączonych. O prawdziwych organach pisze Vitruwiusz, iż je wymyślił i zbudował Ktesibius na 300 lat przed naszą erą i to w takiej doskonałości, do jakiej dopiero w 1,100 lat później to jest w XVIII wieku dosięgnąć zdołano. Instrument nazwano *hydraulus* albo *organum hydraulicum*, woda w nim bowiem spełniała funkcye późniejszego ciśnienia powietrza a używano go nie do kultu bogów ale do uświetnienia igrzysk i podniesienia wesołości w czasie uczt i zabaw. Ale najazdy hord północnych spowodowały zastój w dalszym jego rozwoju. Nawet w Bizancyum przestano od VI w. budować organów, to też wielki był podziw i zdumienie gdy w r. 757 cesarz Konstantyn Kopronim darował takowe królowi Franków Pipinowi. Jakie one były historya nie wspomina, dopiero bowiem w sto lat później pewien kapłan w Wenecyi, Georgius, usiłował według szczegółowego opisu Vitruwiusza ułożyć instrument na wzór Ktesibiusa i darował go do akwisgrańskiej katedry. Stąd użycie ich rozpowszechniło się po Niemczech a potem po Anglii, ale już bez wody i w pośledniejszej konstrukcyi niż starożytne rzymskie. W XVIII w. zaczęto pracować nad wydoskonaleniem organów, co fachowy autor opowiada z wielkiem bogactwem szczegółów podając również wiadomości o znakomitych organmistrzach[1] wsławionych po świecie. Do nich należy i Palestrina, który jednak uczczony jest jak się należy osobnym życiorysem i wizerunkiem swej pięknej i głębokiej myślącej głowy.

Tom XI obfituje w życiorysy: choćby wymienić tylko kard. Newmanna, Pasteur'a (z portretem), Pascala, Oleśnickiego, Św. Pawła z odbiciem cudnego obrazu Ribery, różnych papieży Pawłów i Paschalisów, cesarzy i świętych Ottonów, świętych i biskupów Paulinusów, św. Piotra także z obrazem Ribery i licznych świętych i świątobliwych Piotrów; są i monografie większych angielskich katolickich rodów jak n. p. książąt Norfalk, baronetów Petre bardzo

---

[1] Dzisiejszy wyraz „organista" jest tylko zepsuciem z dawniej używanego w Polsce „organmistrz".

zasłużonych Kościołowi, dalej O'Reilly, z których aż 9-ciu arcybiskupów lub uczonych zasłużyło na życiorysy osobne.

Trudno omawiać tamże rozprawy, jak te o przedmiotach a *Papal* (papieskie) i *Papacy* (Papiestwo) *Pathology* (A. Pilcz), z wyszczególnieniem przelicznych zboczeń umysłowych i konkluzyą, iż Bogu jednemu wiadomym jest stopień odpowiedzialności chorego człowieka, *Paleontology* (Lucas Waagens) bardzo długiej z ciekawymi dla rzeczoznawców przykładami skróceń, *Panteism* (Edward Pan), z obszernem streszczeniem teoryi czerpanych to z Brahmanizmu to ze starych herezyi. Autor wykazuje ich absurdum na każdym kroku, ich brak logiki, a czyni to w stylu jasnym, wolnym od filozoficznego żargonu. O ileżby się więcej poważnych pism czytało, gdyby je i u nas takim językiem pisano! O ileż też mniej głoszonoby niedorzeczności o klasztorach, gdyby każdy z mówiących przeczytał uważnie w Encyklopedyi artykuł p. *T. Novice* (A. Vermeersch) i przekonał się, jak ostrożnym jest Kościół w przyjmowaniu ślubów zakonnych, jak je zabrania n. p. owdowiałym ojcom lub matkom rodziny albo też dzieciom podtrzymującym pracą lub pielęgnowaniem życie sędziwych rodziców, jakie zapory stawia nieprzezornym donacyom niedoświadczonych nowicyuszów, jaką opieką otacza nietylko zakony ale osoby kandydatów na zakonników.

A teraz na zakończenie szczegół wesoły: otóż J. J. Iseuring, autor artykułu o misyach nad *Orange-river* opowiada o szczepie Hotentotów, iż instynktownie naśladują każdy ruch przed nimi czyniony. Tak n. p. słuchając Mszy św. wykonywują w ślad za kapłanem wszystkie jego poruszenia. Wogóle też nie łatwo ich uczyć, toż jeden z nich mimo wszelkich starań z Modlitwy Pańskiej jedno tylko zachował w pamięci: „Ojcze nasz chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!“ Nie jesteśmy Hotentotami a jednak — gdyby tak módz ultra-fioletowymi lub infra-czerwonymi promieniami zbadać modlitwy trzech czwartych ludzi w pobożnym tłumie, pokazałoby się zapewne, iż się redukują do prośby owego biedaka: „Ojcze nasz! Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!“

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

„Wolna myśl" i „Wolna szkoła". *Maurycy Michał Paciorkiewicz.* (Głosy na czasie Nr. 31). Poznań, Drukarnia św. Wojciecha 1912. 8° mała. str. 56.

Autor, obeznany znakomicie z wolnomyślną literaturą i wolnomyślnemi dążnościami naszych czasów, tak za granicą, jak u nas, odsłania całą fałszywość haseł wolnościowych, oraz przewrotną taktykę ich głosicieli, naśladujących Woltera i nie liczących się wcale z prawdą i sprawiedliwością. Wszędzie opiera się autor na faktach i cytatach źródłowych, co niezmiernie podnosi wartość jego pracy. Charakterystyka Ferrera i jego dążeń wystarcza za potępienie „wolnej szkoły". Broszura odznacza się ciętością w dowodzeniu i stylu, tchnie miłością Kościoła i ojczyzny, zagrożonej poważnie ze strony „Wolnej myśli" i „Wolnej szkoły" w moralnych podstawach swego istnienia. Takich broszur trzeba nam jak najwięcej. *E. M.*

Wspomnienia młodości. *Charles Sainte-Foi.* Przełożył i wstępem opatrzył K. Woźnicki. Warszawa 1912. Gebethner i Wolff. 8-ka. str. 50.

Autor omawianej książeczki, którego właściwe nazwisko brzmi Eliasz Jourdain, należał w latach 1830—1840 do znanych pisarzy francuskich, rola zaś jego w francuskim ruchu religijnym była wcale znaczna. W czasie swoich licznych podróży spędził kilka lat w domu hr. Uruskich w Galicyi. Po powrocie do Francyi pisywał niejednokrotnie o Polsce. Nie dalej, jak rok temu, wydane zostały w Paryżu jego „Wspomnienia z młodości", właśnie z lat podróży. Obecnie w broszurze wymienionej wydano w przekładzie ustępy, w których jest mowa o Polsce.

Mamy tu zatem sylwetkę Skrzyneckiego, charakterystykę szkicową jego roli w powstaniu listopadowem, a w niej zasługujące na uwagę spostrzeżenie: „Podobny do wszystkich ziomków swoich, wzniosłe miał serce i wzniosłe uczucia; ale u niego, tak samo, jak u większości Polaków, wola nie była rozwinięta w tym stopniu, co inne władze duszy. Skrzynecki był typem narodowym, ciekawym do przestudyowania. Jego dusza, jeśli w ten sposób można wyrazić się, posiadała jeden tylko wymiar: szerokość; innych: wysokości, głębokości, brakło jej zupełnie prawie. Wskutek tej organizacyi umysł jego i jego serce obejmowały wiele rzeczy, ale nie umiał ich ani połączyć, ani rozwinąć, ani też zachować ich przez czas dłuższy".

A oto garść smutnych dla nas uwag o stosunkach galicyjskich z lat 1832—1835: „Magnat wydzierżawiał karczmy, jak mógł najdrożej; ażeby otrzymać płacę dzierżawną korzystną, zwracał się do żyda. Żyd znowu, aby jak najwięcej wyciągnąć zysków, starał się o jak największą sprzedaż wódki. Chłop, zachęcony taniością napoju i ułatwieniami, jakie miał przy płaceniu, kupował i pił ciągle".

Charles Sainte-Foi wspomina również o Rusinach, lecz sąd jego jest dla nich bardzo surowy: „W charakterze Rusinów — czytamy tu — jest coś greckiego; Rusin skłonny jest do udawania i do kłamstwa, do oszustwa; jest uniżony i skory do pochlebstwa, a często właśnie w chwili, kiedy udaje, że jest pełen szacunku i przywiązania, rozmyśla nad zemstą". Jakżeż nakoniec dziwnie trafne były jego spostrzeżenia na temat różnic religijnych między katolicyzmem rzymskim a greckim; i jakkolwiek zostały wypowiedziane 80 lat temu, a jednak, jakgdyby były stosowane do chwili bieżącej: „Podział między unitami a katolikami staje się

bardziej widoczny i słuchają oni chętniej rządu rosyjskiego, który opiera swą propagandę polityczną i narodową na propagandzie religijnej. A pokazuje przez to rząd rosyjski swój rozum i swą zręczność, swe znawstwo głębokie instynktów ludu, który niemal zawsze obojętny dla spraw czysto politycznych, zajmuje się niemi gorąco, jeżeli mu je przedłożyć, jako mające związek z religią"...

P. Woźnickiemu należy się szczera podzięka za uprzystępnienie szerszym warstwom czytelników tych wyjątków ze wspomnień Sainte-Foi. *Zet.*

Wakacye pod namiotami; wrażenia i notatki z czterotygodniowej wycieczki szkolnej po wschodnich Karpatach. *Bolesław Błażek.* Przemyśl. 1912. 16-ka; str. 174 z 10 rycinami.

I gdzież ta, fatalna rzekomo, trzynastka nie była, jakich trudów nie przezwyciężyła?! Za nic sobie ważyła: Howerlę, Pop Iwana, Alpy Rodniańskie, góry Kelemańskie, czy tam choćby szczyt niepokaźnego Pietrosza! Dla takiej trzynastki nie istnieje fatalność w rzeczywistości, chyba tylko w bajkach dla niegrzecznych dzieci... A tych trzynastu uczniów chciało przecież pokazać, że nie są dzieciakami, lecz potrafią za przykładem swego niestrudzonego przewodnika i pierwszorzędnego turysty prof. Błażka nie tylko znieść niewygody marszów forsownych i noclegów pod gołem niebem, i nie liczyć na nikogo, jak tylko na siebie samych.

To też bez przesady można powiedzieć, że zasłużyli sobie na utrwalenie przebytych trudów w książce, która dla naszej młodzieży szkolnej powinna być dokumentem, jak hartuje się nie tylko siły, ale też i wolę, jak zabiegać należy nawet w chwilach trudnych i, zda się napozór, nieprzezwyciężonych życia człowieczego. Że zaś w życiu ludzkiem chwil takich nie brak, stąd też tego, co omawiana, wycieczki wakacyjne młodzieży szkolnej powinnyby znaleźć ochoczych naśladowców wśród naszych pedagogów, dbałych o siłę duchową i fizyczną młodego pokolenia, które jutro, pojutrze ma zająć opuszczone przez nas starszych posterunki w życiu publicznem.

A oto przykład, który sam powie bardzo a bardzo wiele. Jednemu z członków tej wyprawy wakacyjnej zachciało się bezwarunkowo powrócić z włóczęgi po skałach, lasach i wykrotach w tem samem ubraniu, w którem wybrał się w drogę. Wiedział przecież, że w takiej mitrędze nawet najtrwalsze odzienie podrzeć się musi na strzępy! Przecież nie z żelaza ono sporządzone, a i żelazo przetrze się z czasem. Od czegóż jednakowoż fantazya kawalerska śmiałka, który chce koniecznie, z chłopskim uporem, jak to zwykło się mawiać, postawić na swojem?!

Prędko zaczęło drzeć się odzienie. To też „łatał je na każdym postoju zrazu własnemi zapasowemi szmatami, potem zapożyczał się u kolegów, a gdy mu kredyt tam zamknięto, wycinał kawałek materyi z jednego miejsca ubrania, aby ją wszyć w drugie, bardziej widoczne, lub wymagające naglejszej pomocy. Toteż spodnie jego przedstawiały pod koniec wycieczki widok jakiéjś nieregularnej szachownicy"...

A jednak — łatom tym niepodobna odmówić znaczenia wychowawczego, jako wyrabiającym w chłopcu kilkunastoletnim zmysł praktyczności i samopomocy — w przyszłości nie tylko w tego rodzaju błahych wypadeczkach.

Albo przykład znakomity opanowania wrażliwości jedynie dzięki sile woli, tem wydatniejszy, ile że miało się w danym wypadku do czynienia z suggestyą masową: wędrowcom przywidywały się majaki — „wszystko, cośmy widzieli, poczęliśmy już oceniać

w jednakowy sposób, niezmiernie obojętnie, jako zbiór gorączkowych widziadeł. Pierwej bawiły nas te złudzenia, wywoływane ogromną ruchliwością mgieł, potem przeszkadzały już swoją natarczywością, wreszcie poczęły męczyć i nużyć niewypowiedzianie, aż wkońcu nadszedł czas, gdy w ustawicznem napięciu trzymane nerwy odmówiły posłuszeństwa. I mogłaby teraz grań pędzić za nami, jak szaleniec w paroksyzmie napadu, przez opary i skłębione mgły, mogły kwieciste połoniny wabić nas swym wielobarwnym uśmiechem, mogło w namiętnym tonie wirować wszystko wokół aż do utraty sił, myśmy się stali widzami tylko"...

Książka prof. Błażka, zarówno pod względem opisowym, jak nie mniej praktycznym, zasługuje na to, żeby znaleźć się w rękach naszej młodzieży szkolnej, zwłaszcza skoro wśród tej młodzieży rozwija się tak pomyślnie ruch skautowy. Znajdzie ona w niej sporo wreszcie wskazówek praktycznych, jak odbywać podobne wycieczki i w co zaopatrzyć się podczas nich należy. Pod względem opisowym przewyższa rzecz prof. Błażka o całe niebo rozmaite awantury amerykańskie, jakiemi niesumienna spekulacya zalewa rynek księgarski. *Zet.*

Wolna myśl. Napisał *ks. dr. Adam Kopyciński*, proboszcz w Gawłuszowicach. Tarnów 1912. Nakładem „Gwiazdy". 8°, str. 104.

Bardzo gruntownie napisane dziełko roztrząsa „Wolną myśl" przedewszystkiem na tle moralnych konsekwencyi, płynących z jej haseł, dla jednostek i całego narodu. Wykazuje autor dobitnie, że „Wolna myśl" niema potrzebnej powagi do wydawania praw moralnych, że tylko Chrystus „Syn Boży" jest jedyną powagą w zagadnieniach moralnych ludzkości. Przytem zbija autor trafnie zarzuty modernistów przeciw autorytetowi Kościoła pod hasłem „skrajnego indywidualizmu", aby zaraz przejść do owoców wolnej myśli i z nich ukuć nową broń przeciw prawdziwości tego prądu. Wobec destrukcyjnych rezultatów „Wolnej myśli" nabiera więcej jeszcze uroku pozytywna praca Kościoła, podejmowana nieustannie dla uszczęśliwienia ludzkości i podniesienia cywilizacyi narodów.

Sposób pisania jest wyborny, — czyta się dziełko z wielkiem zainteresowaniem się i nawet przyjemnością. Widać wszędzie, że autor jest oczytany w odnośnej nowszej literaturze, zagranicznej i ojczystej. Nie zawsze jednak autor zaznacza, skąd cytuje dłuższe ustępy, nie używając przytem ani odnośnika ani cudzysłowów. Język i styl są zupełnie poprawne. *E. M.*

Zakon OO. Dominikanów w Kijowie; szkic historyczny. *Fr. Rawita-Gawroński*. Kijów. Leon Idzikowski. 1912. 16-ka. kt. nlb. 2, str. 48.

Nowym przyczynkiem do dziejów misyi kulturalno-religijnej Polski i Kościoła rzym.-kat. obdarzył nas niestrudzony pracownik na niwie historycznej, dając w szkicu omawianym zwięzły, lecz wyczerpujący zarys pracy misyonarskiej O. O. Dominikanów w samem centrum Rusi kijowskiej. Na czele misyi stanął Jacek Odrowąż, który jeszcze za życia zyskał sobie ogromny rozgłos życiem ascetycznem oraz cudami. Ślady pracy jego znajdujemy aż w Smoleńsku, potem w Czernichowszczyźnie. Wszelako Kijów pociągnął go ku sobie odrazu, jako że żarliwy zakonnik marzył o złączeniu stolicy Rusi węzłem posłuszeństwa ze stolicą apostolską. Św. Jacek przedewszystkiem zjednał sobie przychylność kniazia Włodzimierza uzdrowieniem jego córki, za co otrzymał zezwolenie na wybudowa-

nie kościółka i konwentu nad Dnieprem. Nie długo wszelako tu pracował, skoro w rok później uniesiony gorliwością misyonarską, osadził w swoim klasztorku brata Godyna, a sam udał się z misyą apostolską do Bułgarów i Kumanów. A kiedy znowu tu powrócił w połowie XIII wieku, musiał zabrać się do oczyszczenia religii ludu z resztek bałwochwalstwa, które ogarniało wówczas jeszcze szerokie masy. Według legendy św. Jacek miał przejść po falach Dniepru na wyspę, gdzie laską obalił czczone, jako bóstwa, drzewa, a tym czynem pociągnął wielu ku religii rzymsko-katolickiej. Z powodu najazdu Mongołów w r. 1240 sadyba O. O. Dominikanów padła pastwą pożaru, a św. Jacek wraz z bracią zakonną musiał szukać ocalenia w ucieczce. W Kijowie nie pozostało przez czas dłuższy ani śladu po Dominikanach. W sto lat dopiero później powrócili do Kijowa, gdzie pobudowali kościół pod wezwaniem św. Mikołaja i konwent, który dał nawet paru biskupów katolickich stolicy Rusi. Dopiero bunt Chmielnickiego spowodował wypędzenie Dominikanów i oddanie majętności ich monasterowi Brackiemu. Potomności pozostały tylko resztki niespalonych i niestarganych ręką kozacką dokumentów, za których umiejętne wyzyskanie p. Rawita-Gawroński zasłużył rzetelnie na prawdziwą wdzięczność. *Zet.*

Podręcznik w sprawach opieki nad wychodźcami sezonowymi. *Konstanty Kościński.* Poznań 1913. Druk. św. Wojciecha. Str. 138.

Aby robotnikom polskim pracującym w Rzeszy niemieckiej zapewnić opiekę prawną, moralną i materyalną, powołano do życia szereg biur pośrednictwa pracy, biur porady prawnej itp. Dla uzupełnienia pracy ich napisał p. Kosiński podręcznik zawierający szereg najważniejszych informacyi, podanych w formie przystępnej a zwięzłej. Podręcznik rozpowszechniony wśród robotników może im oddać niejedną cenną usługę. *J.*

W sprawie żydowskiej. Trzy listy polemiczne. *Antoni Chołoniewski.* Kraków 1914.

Wybór posła w Warszawie w jesieni 1912, wybór przeforsowany przez żydów, ocknął społeczeństwo polskie za kordonem z letargu i rozbudził silny ruch t. zw. bojkot żydów. Następstwem ruchu tego jest wytwarzanie „stanu trzeciego“, któryby objął w swe ręce handel i przemysł opanowany dotąd przez żydów.

Książka niniejsza, odbitka z „Krytyki“ ma na celu utorować w Galicyi drogę do rewizyi dotychczasowych poglądów na sprawę żydowską. Rzecz bardzo na czasie, gdyż należałoby ocknąć się ze złudy, że na asymilacyi żydów naród polski zyskać może. Wieki minęły a zysk bardzo marny przyniosła asymilacya a ile zła? ile zgnilizny moralnej rozsiewają wśród nas żydzi? *J.*

Ad astra. Mozaika poprzez krainę uczuć i myśli. *Dr. Jan Paygert.* Lwów 1913.

Autor porusza w rozprawce szereg kwestyi, które nie schodzą prawie nigdy z porządku dziennego narad myśli ludzkiej, stanowiąc wdzięczny substrat rozważań i dociekań nad zagadką bytu, początkiem i końcem jego, itp. Książeczka przedstawia te kwestye popularnie, zrozumiale, ma jednak tę wadę, że jest w całej pełni mozaiką... Autor przedstawia się mimowoli jako gawędziarz, który... baje de omnibus rebus et quibusdam aliis. Ta chaotyczność psuje efekt całości, a szkoda, bo niejedna myśl jest zdrowa i uczci-

wie podana. Życzyćby sobie należało dokładności w cytatach, jeśli się je w cudzysłowie podaje i nieco poprawniejszej polszczyzny. *J.*

Bohater Carlyle'a i nadczłowiek Nietzsche. Trzy listy do przyjaciela przez *Aleksandra Mohla*. Poznań 1913. 8°. Str. 72.

Prawdziwym bohaterom chrześcijańskim przeciwstawia autor bohaterów Carlyle'a oraz Nietzschego, twórcę nadczłowieka. Bledniejąpostacie geniuszów i bohaterów ziemskich, których Carlyle podziwia, wobec chrześcijańskiego typu bohatera, jaśniejącego w każdym ze świętych i w każdym z męczenników Kościoła. Dziełko stanowi apologię Kościoła katol. na tle ideału moralnego katolickiej wiary. *E. M.*

Inkwizycya kościelna w świetle rozumu i historyi. Przez *Aleksandra Mohla*. Poznań 1912. 8-ka. Str. 49.

Popularna, nie źle informująca broszura A. Mohla prostuje różne przesądy, jakie grasują o inkwizycyi w literaturze popularnej. Brak historycznego ugrupowania faktów, skutkiem czego pogląd na całość ustępuje przed zbijaniem zarzutów luźnie z sobą powiązanych. *E. M.*

„Wszelka moralność jest moralną". Przez *Dr. A. Ski*. (Uwagi z powodu „Źródeł moralności" p. A. Świętochowskiego). Odbitka z „Roli". Warszawa 1912. 8-ka. Str. 22.

Z wielką znajomością rzeczy napisana rozprawa wytyka liczne błędy metodyczne, logiczne i rzeczowe „Źródeł moralności" p. A. Świętochowskiego. Odmawia tej pracy jako niekrytycznej wartości naukowej i wykazuje antyreligijne przesądy autora, które sprawiają, że mówiąc o religii katolickiej traci zimną krew uczonego i teoretyka, a staje się „fanatycznym sekciarzem". Jak niedorzeczne i gołosłowne są wywody autora, wzorowane na etyce darwinistycznej, tak też są zgubne dla życia narodowego i dla przyszłości Polski. Słusznie zauważa autor, że na podstawie zasady, że wszelka moralność jest moralną, moralność hakatysty byłaby bez zarzutu. Autor pisze jędrnie i cięto i dość przystępnie dla ogółu, choć temat nie był wcale łatwym. *E. M.*

Działalność społeczna św. Franciszka z Assyżu. *Ks. St. Krzeszkiewicz*. Poznań 1912. Drukarnia św. Wojciecha. 12-ka. Str. 46.

Autor, rozmiłowany w pięknym ideale franciszkanizmu, pragnie zaznajomić szersze warstwy z postacią tego „najsympatyczniejszego" ze Świętych, który obrał sobie za oblubienicę ubóstwo, by wyzuć się tak ze wszelkiej miłości świata i siebie samego i żyć dla drugich. Bezinteresowna miłość bliźnich stanowi twórczą siłę działalności socyalnej św. Franciszka, tego reformatora społeczeństwa na podstawie Ewangelii Chrystusowej.

Dziełko napisane jest z ciepłem uwielbienia dla „biedaczyzny" z Assyżu, i stanowi poniekąd apologię ewangielicznego ubóstwa. Tytuł broszury nie jest dość ścisły, skoro druga część dziełka nosi ten sam nagłówek jak tytuł samej książki. Wobec polotu w stylu rażą bardziej błędy gramatyczne i nieswojskie tu i ówdzie zwroty, n. p. zamiast „dzisiejszy" autor pisze stale „dzisiajszy", przyrodzie daje przydomek „malownicy Bożej", „choroba stawiła na drodze życia św. Franciszka pierwszy „kamień milowy" (str. 18)— „ludzie przestaliby być ludźmi, gdyby ze swej duszy wyrzucili, jakoby chwast wymietny, sumienie: bojaźń Bożą". (str. 24) etc. Możnaby mnóstwo takich kwiatków stylu wymienić, które psują zresztą piękne i miłe dziełko. *E. M.*

Na co się to przyda? czyli **Znaczenie Sakramentów św. dla kwestyi socyalnej.** List pasterski ks. biskupa *Dra M. Faulhabera.* Brody 1912. Skład główny w księgarni Feliksa Westa. Nakładem tłomacza. 8-ka. Str. 27.

Biskup Spiry, ks. dr. Faulhaber zdobył sobie w krótkim czasie rozgłos jako mowca kościelny o niepospolitych zdolnościach. Jego list pasterski „o socyalnej doniosłości Sakramentów św." jest wspaniałym wzorem głęboko dogmatycznego, a przytem przystępnego wykładu nauki o Sakramentach św. Tłumaczenie jest bardzo dobre z wyjątkiem tytułu. Co innego znaczy: „Socyalne znaczenie Sakramentów św.", a co innego zupełnie: „Znaczenie Sakramentów św. dla kwestyi socyalnej" — jak chce tłumacz. Nie mogę sprawdzić dokładności przekładu, ale z całej broszury wynika, że tytuł, którego użył autor, niema sensu wobec treści i która zasługuje na jak największe rozszerzenie wśród społeczeństwa katolickiego. *E. M.*

Wybór hymnów kościelnych. Przełożył *ks. Witalis Grzeliński.* Warszawa 1913. Nakład autora.

Autor zaznacza w przedmowie, że starał się w pracy swojej o to, aby dając ogółowi naszemu przekład podniosłych hymnów kościelnych, zachowac w przekładzie tym wierność i wyraz poezyi przedewszystkiem. Istotnie zestawiając niektóre miejsca przekładu z łacińskim tekstem, uderzyć musi staranność w oddaniu wierszem myśli oryginału. Co do formy wiersza przyznać trzeba, że jest potoczystą i gładką. W kilku miejscach ją psują omyłki drukarskie, na które sam Sz. Autor zwrócił naszą uwagę. I tak na str. 24, wierszu 13 z góry zam. „Jerozolimy" ma być „Jeruzalem"; str. 26, w. 9 z góry zam. „praca" — „prośba"; str. 45, w. 17 z góry zam. „Wszechmogący" — Wszechmocny"; str. 52, w. 9 z góry zam. „wysławi" — „wysłowi"; str. 95, w. 1 z góry zam. „Lex alma"— „Lux alma". Mile przeto powitać należy usiłowania autora, są one może zapowiedzią szerszych jeszcze prac w tym kierunku. Jest to bezwątpienia połączone z wielkiemi trudnościami, jeśli się zważy odmienność właściwości obu języków, oraz odmienne, pod wieloma względami, postulaty piękna klasyki starożytnej i ducha nowoczesnej poezyi języków żyjących. Skutkiem tych trudności jest, że tłomaczenie albo odbiega zbyt oryginału albo popada w sztywność archaizmu w nowszej poezyi rażącego. Obu tych szkopułów dosyć szczęśliwie stara się unikać Autor niniejszej pracy. *T. K.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ludowcy a Duchowieństwo.

Stanowisko Pol. Stronnictwa Ludowego do Kościoła w ostatnich czasach było niejasne. Kto przeglądał numery głównego organu stronnictwa, ten nie mógł nie dostrzedz jakiegoś ustawicznego rozdźwięku, jaki się dawał odczuwać z każdego niemal numeru, a niekiedy odzywał się bardzo przykrym dysonansem. Każdy niemal numer zawierał jakieś ataki, czyto pod adresem tego lub owego księdza, czy wogóle pod adresem kleru — podawał bałamutne korespondencye, krytyki, w których jakiś domorosły teolog nauki kościelne, słyszane lub niedosłyszane w babińcu lub zakrystyi, komentował na sposób poddający w wątpliwość nie tak wiarę, jak dobrą jego wolę — wreszcie cała bezwzględna metoda postępowania, ciągłe szczucia jednych przeciw drugim, ustawiczne groźby i wywoływania nienawiści klasowych — to wszystko uniemożliwiało wszelkie szczersze zbliżenie się i zaufanie. Wojnę formalną dopiero wypowiedziało Stronnictwo Ludowe na ostatniem zgromadzeniu przewódców w Krakowie, na którem wskazało ludowi polskiemu (Przyjaciel Ludu, 7 IX. 1913) na „duchowieństwo w przeważnej jego części“ jako na wroga, „dążącego do utrzymania ludu w niewoli politycznej“. „Przeciw tym zapędom wojującego klerykalizmu“ P. S. L. czuje się „obowiązane bronić ludu polskiego, choćby wśród największych przeszkód czy prześladowań“.

Oświadczenie to, w którem zresztą drga cała moc bezsilnej złości po przegranej walce, nie zadziwia bardzo, bo wnioskując po drodze, jaką szło P. S. L. dotychczas, prędzej czy później na tem musiało się skończyć. Jeżeli coś zadziwia w oświadczeniu, to to, że przyszło teraz, po smutnych doświadczeniach ostatnich miesięcy, że zostało uchwalone na zebraniu, które miało radzić nad ratowaniem stronnictwa. Świadczy bowiem, że naradzający się nawet nie wpadli na ślady tej choroby, która wywołała w stronnictwie niemal katastrofalne przesilenia. Utrata mandatów przy wyborach, opozycya w łonie stronnictwa, opuszczanie jego szeregów przez posłów, którzy byli jego chlubą i ozdobą, wreszcie ciężkie zarzuty, podnoszone przeciw naczelnikowi, to wszystko objawy zastraszającego upadku, które wymagały spokojnego zbadania i gruntownego leczenia samego organizmu. Tymczasem zamiast leczenia, jako środek na te wszystkie objawy wnętrznej słabości, wskazuje się — walkę z rządem — walkę z duchowieństwem. To jest dziwne. Wprawdzie zgromadzenie upatruje przyczynę klęsk stronnictwa w postawie rządu i duchowieństwa — ale właśnie tu leży jego zasadniczy błąd, nie chcemy oznaczać, czy świadomy czy nie. Rząd bowiem okazał podczas wyborów rzadką bezstronność i pozostawiał partye własnym ich siłom — zaś co do postawy duchowieństwa, to choć było ono dla stronnictwa ludowego niechętne i wolało postawić swoich kandydatów — jednak pytanie zachodzi dalej, dlaczego właśnie taką a nie inną postawę duchowieństwo zabrało. Dlaczego to duchowieństwo, z ludem wieloma węzłami związane, ludowi z powołania swego oddane, dlaczego objawia taką niechęć do partyi ludowej ?

Zbyt naiwnem, a tylko agitatorsko efektownem jest twierdzenie, które ma zarazem umotywować podjęcie walki z duchowieństwem, że przeważna część duchowieństwa „dąży do utrzymania ludu w niewoli politycznej". Przeciwnie, duchowieństwo nie tylko do tego nie dąży, ale pragnie, żeby lud z praw swych korzystał, miał swych reprezentantów i przez nich wpływał na ukształcenie wszystkich stosunków, z jego bytem związanych. Tylko, że duchowieństwo ma jeszcze inne względy na oku.

Mianowicie chodzi mu o to, żeby ci reprezentanci ludu dawali rękojmię, że popierając dobro materyalne ludu, nie naruszą jego dóbr moralnych — żeby ich działalność nie była formą bezwzględnej walki klasowej, ale żeby była działaniem według zasad bożych, Chrystusowych. Dbać o to jest jego świętym obowiązkiem. Duchowieństwo po latach doświadczeń swych z P. S. L. doszło do przekonania, że w niem wzgląd na religię, zasady Kościoła, nie istnieją. Atmosfera bezwzględności, jakieś lubowanie się we walkach i gwałtownych napadach na wszystkich i wszystko, co nie jest partyjne, a zupełne zapoznanie dekalogu — przebijają w postępowaniu stronnictwa, krzyczą ze wszystkich kart jego partyjnych organów. Z nich przedostają się do ludu, rozcieńczając ideały chrześcijańskie w jego duszy. Widzą to kapłani namacalnie w tych rodzinach i wioskach, do których dochodziła ideologia „Przyjaciela Ludu". Życie katolickie staje się u nich jałowe, powierzchowne, a wreszcie dochodzą do bardzo znacznego albo i zupełnego zaniedbania obowiązków religijnych. I w tem szkodliwem oddziaływaniu stronnictwa na uczucia religijne ludu, mąceniu jego pojęć religijnych a budzeniu tych instynktów natury ludzkiej, które chrześcijaństwo nakazuje ujarzmiać — w tem leży powód niechęci duchowieństwa do tego stronnictwa. Tu też jest przyczyna klęski stronnictwa przy wyborach, tu powód tej dezercyi szlachetniejszych członków, którym imienie nie pozwoliło dalej pracować w tej zatrutej atmosferze — ani swem nieskalanem sumieniem osłaniać moralnej bezwartości stronnictwa.

Zgromadzenie krakowskie zdaje się tego zupełnie nie dostrzegać. Zamiast zawrócić z drogi fałszywej, zmienić metodę postępowania i usiłować zbliżyć się do duchowieństwa dla wspólnej pracy nad dobrem ludu na podstawie zasad Chrystusowych — ono bardziej oddala się na lewo przez swą deklaracyę bezwzględnej walki z duchowieństwem. W tej walce wysuwa stronnictwo na początek trzy momenty: zamierza wywalczyć zmianę prawa prezenty, aby ono przypadało parafii, — poddać rewizyi postanowienia dotyczące opłat za obrzędowe usługi kościelne — i dopilnować, aby we wszystkich parafiach fungowały ustawą

przepisane komitety kościelne. Cel tych rezolucyi nie może ulegać wątpliwości. Stronnictwo szuka dróg, aby księdza poddać, ile możności, w jak największą zależność od ludu i, dziwna rzecz, znalazło się na tej samej drodze, na jakiej stanęli antyklerykali francuscy i portugalscy, gdy dorwawszy się do władzy, chcieli zniszczyć katolicyzm w swych krajach. I we Francyi i w Portugalii za najstosowniejszy środek do tego uznano przyznać gminie prawo administracyi majątków kościelnych i uzależnić kapłana od gminy. Tylko Kościół w tamtych krajach wolał potracić wszystkie majątki, aniżeli dopuścić do uszczuplenia samodzielności kapłana. Nasi antyklerykali zdaje się jeszcze nie mieli czasu na dobre określenie swych postulatów, bo o ile zostały wyrażone, nie doprowadziłyby ludowców do celu. Księdza by nie zrobiły jeszcze obrzędowym funkcyonaryuszem gminy, ani nie oddałyby go w zależność od ludowców, jak to wykazała *Gazeta Kościelna*. Jeśli zaś ludowcy zechcą sięgnąć po środki radykalne, wtedy najlepiej zrobią, kiedy pójdą po naukę do francuskich Combesów, Clemenceau'ów lub do portugalskiego Alfonsa Costy. Ale od nich będą mogli nietylko nauczyć się metod walki z duchowieństwem, ale też skorzystać z doświadczeń poczynionych w tej walce. Od nich się dowiedzą, że środki, któremi zamierzali uszczuplić wpływ duchowieństwa, nie tylko że zawiodły, ale wywołały wprost przeciwny skutek. Nie tylko nie złamały duchowieństwa, ale podniosły jego znaczenie, jak to stwierdzają sami radykali (*Radical* 20 sierp. 1913). To też i nasze duchowieństwo zapewne nie ulęknie się tej walki. Choćby Str. Ludowe przeprowadziło swoje postulaty, choćby nawet posunęło się we walce do ostateczności — nie potrafi zamknąć mu ust, nie zabroni głosić tego, co mu głosić przykazał Chrystus: Nauczajcie narody chować, com wam chować przykazał. Ono będzie głosić ludowi tę naukę Chrystusa i wskazywać na niebezpieczeństwa, jakie mu grożą ze strony ludowców, którzy religię wyrzucają poza nawias. Ludowcy zaś przez swe wypowiadanie walk duchowieństwu zapewne nie zyskają sobie więcej zaufania u ludu, ale podkopią jeszcze bardziej. Lud coraz jaśniej przekona się, że walka podjęta przez ludowców nie ma na celu

dobra ludu, który bez porównania więcejby zyskał, gdyby oni przeprowadziwszy gruntowną sanacyę swych stosunków, umożliwili duchowieństwu współpracę nad nim ;— zrozumie, że walka ta, podjęta nie dla jego dobra, jest tylko walką o egoistyczną dyktaturę nad nim — nie oglądającą się na zasady Kościoła.

Ruch ku unii w Bułgaryi. Było do przewidzenia, że nowe ukształtowanie polityczne, jakie nastąpi po wojnach bałkańskich, nie ograniczy się tylko do przesunięcia granic, ale sięgnie głębiej i pociągnie za sobą jakieś zmiany w psychice mieszkających narodów, że dosięgnie nawet sfery religijnej i kościelnej i w niej wywoła także jakieś wstrząśnienia. Przewidywania się spełniają. Psychika narodów bałkańskich jest w stanie wrzenia i formacyi. Walczą ze sobą sympatye i antypatye polityczne, a pod względem religijnym zaczyna się pojawiać ruch w kierunku, którego może nikt nie przypuszczał — w kierunku unii z kościołem rzymskim. Wieści z Bułgaryi, że tam rozpoczął się ruch ku unii, z początku podawane przez dzienniki z pewną rezerwą, dziś nie ulegają wątpliwości. Ruch taki istnieje, a korespondenci z Watykanu nie tylko nie przeczą tym wiadomościom, ale jeszcze donoszą, że nawet rozpoczęły się nieobowiązujące porozumiewania się między interesowanemi stronami.

Jakże się ta sprawa przedstawia ?

Z wojny, którą państwa bałkańskie przedsięwzięły przeciw Turcyi za wspólną zgodą i porozumieniem, nie wychodzą wszystkie z jednakowym rezultatem. Z największą zdobyczą wychodzą Serbia i Grecya — z poczuciem krzywdy ograbiona i upokorzona Bułgarya. Ona najwięcej zasłużyła się dla wspólnej sprawy. Ona podniosła hasło oswobodzenia ludów bałkańskich z pod jarzma muzułmańskiego, ona na swoje barki przyjęła lwią część całego zadania. Najwięcej poświęciła, najwięcej się zasłużyła, a za to wszystko spotkało ją to, że ledwo cała wydostała się z wojny. Nadto osławiono ją przed Europą, że ona wszystkiemu winna, ona wszczęła bratobójczą walkę — ona niesłychanych dopuszczała się okrucieństw....

Taki fatalny a niezasłużony rezultat po bohaterskich wal-

kach wywołać musiał w Bułgaryi zrozumiałe rozgoryczenie. Zgodzić się na te straty musiała, bo zbrakło jej sił do walki na cztery fronty. Ale kto temu winien? — Prasa i społeczeństwo zajmuje się obecnie dochodzeniami przyczyn niepowodzenia, a owocem tej samokrytyki między innemi jest i ten, że rozpoczyna się ruch ideowy w kierunku unii z Rzymem. Bułgarya zaczyna zdawać sobie sprawę, że się przeliczyła, rachując na siłę prawosławia; przychodzi do poznania, że już dalej na ortodoksyi polegać nie może i że trzeba jej szukać pomocy i związków z Kościołem Rzymskim.

Przedewszystkiem narzucają się stosunki w Macedonii. Patrząc na mapę etnograficzną, świeżo opracowauą i wydaną staraniem uniwersytetu w Sofii, widać, że tylko południowe kończyny Macedonii są zamieszkane przez greków i turków, a na zachodzie kilka ledwie miejscowości serbskich. Wszystko zaś inne, to sami Bułgarzy, albowiem Macedonia liczy $^7/_8$ bułgarskiej ludności. Ludność ta należy pod względem religijnym do Kościoła wschodniego i, jako taka powinnaby właściwie pozostawać pod władzą patryarchy greckiego, rezydującego w Konstantynopolu, w dzielnicy zwanej Fanar. Atoli Bułgarzy już przeszło lat 40, jak zerwali z Fanarem, który ich wynaradawiał a uzyskali własny niezależny exarchat, rezydujący w Konstantynopolu. Exarchowie bułgarscy gorliwie opiekowali się ludnością bułgarską należącą do Turcyi, zakładając dla niej szkoły bułgarskie i zapewniając sobie nad nią swój wpływ a jej zachowanie własnej narodowości. Tak było w Tracyi, tak też w Macedonii. W Macedonii jednak działali i Serbowie, którzy choć posiedli autonomię religijną, nie zerwali jednak z patryarchą konstantynopolitańskim i pozostali nadal Fanaryotami. Tak więc w Macedonii ścierały się trzy społeczności kościelne prawosławne: grecki patryarcha usiłował przez kościół szerzyć wpływy greckie; Serbowie w słabej łączności z patryarchą propagowali między ludnością poczucie serbskie, a Bułgarzy szerzyli organizacyę kościelną swoją, zupełnie od patryarchy niezależną. Oczywiście, że exarcha bułgarski posiadał w Macedonii wpływ przeważający;

grecki patryarcha mało miał tam owieczek a i te wciąż więcej tracił na korzyść exarchy bułgarskiego. Sytuacya obecna w Macedonii zmienia się, odkąd Macedonią podzieliły się Grecya i Serbia.

Podczas rokowań pokojowych w Bukareszcie Grecy zażądali od delegatów bułgarskich autonomii dla swych ziomków pod względem kościelnym i szkolnym. Bułgarzy bez wahania zgodzili się na nią, ale postawili warunek, zresztą zrozumiały dla każdego, żeby wzajemnie takiej samej wolności udzielono Bułgarom w Macedonii. Na to oświadczyli delegaci serbscy, że to ich rzecz wewnętrzna, a ich konstytucya zna tylko jedną religię państwową. — I na tem rzeczy stanęły.

Dziś wiadomo, z jakim pośpiechem zabrali się Serbowie do dzieła. Szkoły bułgarskie w Macedonii masami pozamykano, kler i nauczycieli wystawiono na taki ucisk i prześladowanie, że nie będąc pewni życia, uciekają na terytoryum bułgarskie. Musieli też emigrować biskupi bułgarscy, podlegli exarsze. Delegacya serbska, bawiąca w Petersburgu, zaprzeczyła wprawdzie, jakoby rząd serbski miał wypędzić owych biskupów z dyecezyi, ale zaprzeczenia tego nie można brać na seryo wobec dokumentu niedawno publikowanego, w którym 6 biskupów pod przysięgą stwierdza wywarty na nich przymus. Jednym wprost kazano wyjeżdżać, innych zmuszono do napisania oświadczenia, że wyjeżdżają na własne żądanie.

Wobec takiego postępowania rządu serbskiego, Bułgarzy macedońscy oglądają się za sposobami, jakby ratować swą sprawę narodowościową. Na zgromadzeniu, które odbyli 17. sierpnia w Küstendil na terytoryum bułgarskiem, obradowano nad tą sprawą. Zgromadzeni doszli do przekonania, że wobec niebezpieczeństwa zagrażającego ich narodowości, nie pozostaje im nic innego, jak tylko wysłać deputacyę do mocarstw z prośbą o gwarancyę ich narodowości. Ale droga takich gwarancyi bardzo wątpliwa, jak tego aż nadto doświadczyli świeżo na sobie; dlatego oglądają się za innym sposobem ubezpieczenia swej narodowości. Znajdują tylko dwa wyjścia: albo masowe przesiedlenie się z Macedonii na terytoryum bułgarskie, albo

też — unia z Rzymem. Ostatni sposób przyjmują wszyscy jednogłośnie. Trzeba rządowi serbskiemu odjąć wszelki pretekst do mieszania się w ich sprawy religijne. Kiedy rząd, opierając się na prawosławiu i przynależności Bułgarów do kościoła wschodniego, usiłuje się wedrzeć do ich kościołów, mimo że Bułgarzy nie są fanariotami, to trzeba i tę podstawę mu usunąć i nietylko odszczepić się od patryarchy greckiego, ale unią zadokumetować swą przynależność do kościoła zachodniego. W ten sposób spodziewają się nietylko usunąć pretekst Serbii do opieki nad ich cerkwią, ale też zyskać dla siebie opiekę którego z mocarstw katolickich. W tym też duchu zebranie wysłało telegram do Rzymu.

Gdy w ten sposób sprawa unii z kościołem rzymskim weszła na porządek dzienny wśród Bułgarów macedońskich, nie mogła się ona nie odbić także echem w królestwie bułgarskiem. I tam prasa i społeczeństwo zajęło się tą myślą i to tem łatwiej, że myśl o unii nie wybucha w niem nagle i niespodziewanie. Już koło 1860, w czasach gdy Bułgarzy zrywali z patryarchą greckim w Carogrodzie, myśl ta nietylko istniała, ale zaczęła się urzeczywistniać i tylko przemoc zewnętrzna i złoto zdołały ten ruch przytłumić. Choć dzieło nie przyszło do skutku, ale myśl i idea pozostała — pozostały grupy unitów w Macedonii i Tracyi, którzy wtedy unię przyjęli i stanęli na jej straży, żeby nie zginęła. Oni to ściągnęli dla sprawy bułgarskiej przez swe złączenie z Rzymem taką pomoc kultury zachodniej, że jej wydatne korzyści nie ulegają żadnej wątpliwości. Z tą częściową unią przybyły dla ludności bułgarskiej rozmaite instytucye katolickie, dobroczynne, wychowawcze i przybyli ludzie z kulturą zachodu, którzy z całem bezinteresownem poświęceniem oddali się pracy dla dobra tego ludu. Ta dobroczynna pomoc przecież była przed oczyma całego kraju — a i podczas wojny uderzała w oczy życzliwość katolickich zakładów, które nieraz wyczerpywały się zupełnie, narażały się na wielkie niebezpieczeństwa i ulegały zniszczeniu dlatego, że dawały schronienie bułgarskiej ludności. Bułgarzy nie zamykali na to oczu; w świetle faktów, na które patrzą, oceniają doniosłość ściślejszego połączenia się

z Rzymem. To też gdy obecnie sprawy macedońskie myśl unii wyniosły znowu na porządek dzienny, potrafią zdać sobie sprawę z jej korzyści. Artykuły prasy ze sympatyą odnoszą się do myśli poruszonej przez Bułgarów macedońskich i dają do zrozumienia, że i królestwo bułgarskie powinno nad unią na seryo pomyśleć.

Radykalniejsze pisma wprost nawołują do propagowania unii z Rzymem. Znamiennym pod tym względem był naczelny artykuł Dnevnika z d. 3 września — artykuł w kilku miejscach przez cenzurę skreślony, widocznie za zbyt dotkliwą krytykę kościoła narodowego bułgarskiego, któremu zarzucał połowiczność i niekonsekwencyę w jego stanowisku do patryarchatu greckiego. Cerkiew bułgarska — wywodzi *Dnevnik* — odłączyła się od Fanaru już dawniej; dzisiaj znów nawołuje innych Słowian do stanowczego zerwania z Fanarem, któremu wprost zarzuca zbeszczeszczenie Kościoła św. Chrystusowego a nawet poganizm. Tak cerkiew bułgarska nawołuje. Ale czy ona sama starała się zachować naukę Jezusa Chrystusa od poganizmu? czy wolną była od imperyalizmu greckiego? Dlaczego sama nie zerwała z ortodoksyą fanariotów zupełnie? Dlaczego nie przecina ostatnich nici i nie łączy się z Kościołem rzymskim? — Trzeba być logicznym i wyciągnąć konsekwencye ze swych własnych słów. „I dlatego — powiada dalej *Dnevnik* — rozumiemy, iż przygotowuje się ruch do złączenia z Kościołem zachodnim, do unii, która zdoła nam uratować egzystencyę narodowości bułgarskiej i dać jej możność i sposoby do rozwoju duchowego i intellektualnego, tak jak dała innym narodom słowiańskim, które dawno zerwały już ze zdegenerowanym Fanarem. Teraz nadeszła pora — że użyjemy słów *Vestnika* (organ kleru bułgarskiego) — precz zrzućmy z siebie spadek po wielkiej cudzołożnicy, Nowej Romie — na inną zwróćmy się drogę. Ramiona Rzymu są dla nas otwarte. Jego pasterze mają serca przepełnione miłością. Świeżo pokazali nam czynami swą chrześcijańską życzliwość dla ludu bułgarskiego, pogrążonego w cierpieniach. To, czego się domaga *Cerkovny Vestnik* (zerwać z pogańskim Fanarem) trzeba spełnić. Trzeba położyć koniec tak zwanemu

prawosławiu. — Księża ! profesorowie ! działacze ! — nuże do dzieła ! — roznieście tę myśl !... " Dalsze słowa skonfiskowano, ale zasadnicza myśl pozostała. Pozostała zrozumiałą dla każdego i pójdzie w lud budzić go do zastanawiania się.

Czy jednak z tego coś pozytywnego wyniknie, Bogu samemu wiadomo. Historya poucza, że na podobne ruchy w kościele wschodnim należy się zapatrywać sceptycznie, chyba żeby do podnoszonych czynników oportunistycznych dołączyło się głębsze, zasadnicze zrozumienie problemu, któreby przy Bożej pomocy mogło całemu rozpoczętemu ruchowi nadać obrót pomyślny.

Bandytyzm w Rzymie. Na dzień 7-ego września był naznaczony w Rzymie zjazd gimnastycznych stowarzyszeń katolickiej młodzieży. Miały się odbyć wspólne ćwiczenia, popisy, zabawy, jak zwykle w takich razach, no i oczywiście młodzież ta, przybyła do Rzymu, miała się też przedstawić Ojcu św. i otrzymać od niego błogosławieństwo. Dni oznaczone nadeszły. Zjechały się grupy chłopaków, przeważnie z Włoch samych, ale było też kilkuset Francuzów, byli z Niemiec, Belgii, Holandyi, Szwajcaryi a nawet przyjechali reprezentanci z Ameryki. Liczba dochodziła do 5000. 6-go września odbyły się ćwiczenia, 7-go mieli się gromadnie przedstawić w Watykanie.

Aliści w Rzymie robi się ruch, gwałtowna agitacya, odezwy — niepokój. Co takiego? Masonerya postanowiła niedopuścić do uroczystego pochodu młodzieży do Watykanu. Nie mogąc znieść widoku licznych pielgrzymek, z całego świata urządzanych do tronu papieskiego z okazyi jubileuszu Konstantyna, postanowiła w jakiś sposób zademonstrować przeciw nim i zjazd gimnastyków katolickich miał właśnie paść ofiarą tych machinacyi. Bojówka masońska — Stow. Giordano Bruno — wysuwana i wysuwająca się zawsze na czoło każdej akcyi przeciw Kościołowi, ogłasza płomienną odezwę: „Rzymianie! jesteście świadkami niekończących się procesyi religijnych, które niepokoją miasto... Watykan usiłuje zagarnąć w Rzymie władzę polityczną, jaką miał przed r. 1870. Przeciw

tej bezczelności niechże się rozbudzi duch trzeciej Romy — niech świadczy przed cywilizowanym światem, że Rzym nie może w murach swych znosić największego wroga wolności i cywilizacyi". Odezwa alarmowała zwolenników do napadu na dzieci. Zanosiło się na dużą awanturę. Policya miała pole do wkroczenia i uspokojenia bandyckich awanturników. Tylko, że policya we Włoszech ma dwa zadania do spełnienia: pilnować porządku i wysługiwać się loży! Zaiste, sprawa bardzo skomplikowana i trudna do osiągnięcia, zwłaszcza że niepokoje sprawiają ci, którym służyć trzeba. Tak też było i w tym wypadku. Awanturę wszczynało stowarzyszenie, znane ze swych gorszących występów, a odpokutować za nie mieli zupełnie niewinni chłopcy. Policya traci głowę. Trzy razy w ciągu dnia zmienia rozporządzenie odnośne do pochodu gimnastyków, aż wreszcie, dla uspokojenia swego sumienia policyjnego, zakazuje pochodu zupełnie. Skutek okazał się wręcz przeciwny, jak zamierzono. Chłopców, zgromadzonych w kościele św. Jana Lateraneńskiego na Mszy, trzeba było koniecznie przeprowadzić do Watykanu na audyencyę, a że policya, obstając przy zakazie, nie pozwoliła na wymarsz wspólny, tylko wszystkich zebranych podzieliła na grupy i w pewnych odstępach iść kazała — wskutek tego cały pochód tylko się przedłużył i dał więcej sposobności do napadów na oddzielne grupy. Postępowi ze Stow. Giordana Bruno zjawiali się wszędzie, krzyczeli, miotali obelgi, ciskali się na idących. Wprawdzie wobec grup starszych i silniejszych chłopców zachowywali się spokojniej, z rezerwą, ale za to srożyli się bardzo wobec malców i policya musiała wszędzie bronić przechodzących przed atakami Giordanowców. Późno dopiero doszły porozbijane grupy na dziedziniec watykański św. Damazego, gdzie uradowanym po przebytych awanturach udzielił Ojciec św. swego błogosławieństwa. Ludność rzymska, która już w czasie pochodu okazywała życzliwość dla młodzieży katolickiej, powracającą z Watykanu witała okrzykami żywej sympatyi, dając do poznania, że nie chce, aby ją mieszano z bandą nieodpowiedzialnych szaleńców.

Jednak cała awantura nie skończyła się na tem tylko. Stow.

Giordano Bruno nie zadowoliło się nieudałemi napaściami podczas pochodu. Postanowiło dalej ścigać chłopców, którzy mieli odwagę przybyć do Rzymu i hołd złożyć Ojcu św. na terytoryum, które ci bandyci uważali za pole wyłączne do swych popisów. Kiedy po ukończonym zjeździe młodzież opuszczała Rzym, a pociąg stawał na stacyi w Civitta-Vecchia, zastali tam zgromadzony tłum ludzi, którzy ich odrazu przywitali wrzaskiem przekleństw i słów obelżywych. Widocznie ręka, kierująca awanturami w Rzymie, potrafiła sięgnąć poza Rzym i na drodze powrotnej przygotować napad. Kiedy zwabieni hałasem chłopcy poprzybiegali do okien wagonu, tłum oszalały rzucił się na nich z kijami, miotłami, łopatami, usiłując dostać się do nich. Szczęściem, że pociąg zaraz z miejsca ruszył, wyrywając w ten sposób ofiary z rąk zdziczałej tłuszczy. Ale gdy nie mogły już dosięgnąć kije i drągi, chwycono kamienie i grad ich posypał się w okna wagonów. Na przestrzeni mniejwięcej dwu kilometrów nastawieni napastnicy bombardowali przejeżdżające wagony, jak donosi korespondent *La Croix*. Przez potrzaskane okna wagonu padały kamienie do środka, raniąc umieszczonych tam chłopców. Okazało się, że 21 było zranionych, między nimi kilku odniosło nawet ciężkie rany. Musiano ich zostawić w Grosseto i oddać opiece lekarskiej.

Dzicz wyrosła na zagonach włoskiego antyklerykalizmu święciła tryumfy. Pokazała co umie, jak pojmuje wolność. W imię tej wolności rozbija niewinne pochody chłopięce, rozbija i katuje dzieci jedynie dlatego, że wierzą w Boga i z tem się nie kryją. Oto duch, który wieje z murów trzeciej Romy.

Smutne to, że istnieją stowarzyszenia o tak pojmowanej wolności — smutniejsza, że przy ich rozbójniczych występach władze zachowują się opieszale i dwuznacznie. Taki naczelnik stacyi w Civitta Vecchia postępuje sobie tak, jakby był w zmowie z demonstrantami; zawezwane wojsko zamiast wziąść w obronę opadniętych zwraca się raczej przeciw nim, aniżeli przeciw napastnikom. W tem wszystkiem wyraża się duch włoskiego rządu. Doszło do tego, że dziecko katolickie, dlatego, że jest katolickiem, nie może być pewne swego życia; katolik cudzoziemiec, wstę-

pujący na ziemię włoską, musi sobie uprzytamniać, że wyjęty z pod opieki prawa, powinien się mieć sam na baczności przed bandytami, którzy w imię wolności mogą swobodnie urządzać napady na każdego, kto jest katolikiem. Takie fakty, jak zdarzenie ze zjazdem gimnastyków katolickich, mają własną swą wymowę, która z pewnością nie przemawia na korzyść obecnego rządu, nie obudzi dlań sympatyi u cudzoziemców. Te tysiące chłopców, które doznały na sobie wolności włoskiej, powrócą do swych krajów, rozjadą się po świecie i poniosą ze sobą bardzo niekorzystne dla Włoch świadectwo o kulturze, jaką hoduje rząd; świadectwo tem wiarygodniejsze, że osobiste, z przykrych doświadczeń zaczerpnięte.

Odczuwa to, że tak będzie, nawet ideowa sprawczyni napadu, liberalno-antyklerykalna prasa, która wstydzi się przyznać do dzieła, i albo milczy, albo zmniejsza doniosłość bandyckich występów Giordana Bruno, albo po faryzejsku ubolewa nad nimi. Wykręty na mało się przydadzą. Fakt pozostanie faktem, że koła kierowane przez masoneryę i jej duchem przejęte dokonały ohydnego napadu na chłopięcą manifestacyę, że ten napad po bandycku przygotowały i wykonały.

Nakoniec pozostanię głęboko w pamięci katolików włoskich, że ta policya, która wobec Giordana Bruno zdawała się nieporadna, chwiejna, odrazu zajęła zdecydowaną postawę wobec nich, kiedy chcieli zwołać publiczny wiec w celu omówienia zaszłych wypadków. Wiec publiczny katolicki zawierał niebezpieczeństwo naruszenia spokoju publicznego, więc go zakazano, tak, że katolicy musieli zadowolić się zebraniem prywatnem w lokalu zamkniętym. Choć przez policyę ograniczone do jak najmniejszych rozmiarów, zgromadzenie było przecież imponujące. Przemawiał hr. della Torre, prezes związku ludowego. W słowach nacechowanych umiarkowaniem, ale dobitnie wykazał fałszywą grę czynników rządowych, policyi przedewszystkiem, w całem zajściu, oraz podniósł protest przeciw temu postępowaniu politycznemu, które gwałci najwyraźniejsze swe zobowiązania względem Stolicy św., a szykanuje katolików

i nie pozwala im swobodnie okazać uczuć, jakie żywią ku swemu Ojcu św. *Ks. L. Rudnicki.*

Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub.

(C. d. n.)

Grono konserwatorów dla Galicyi zachodniej opracowało przedewszystkiem wspólnie z „Gronem wschodnio-galicyjskiem" projekt krajowej Rady konserwatorskiej, przedłożony sejmowi kraj. — wobec zmiany statutu „Centralnej komisyi dla zabytków sztuki w Wiedniu". Projekt obejmuje dwie Rady konserwatorskie z siedzibą we Lwowie i w Krakowie, jako komisye Wydziału kraj., złożone z przedstawicieli nauki, kościoła oraz reprezentantów m. Krakowa i Lwowa.

Ze spraw zwyczajnych wyjąć należy następujące: interweniowano w sprawie przebudowy kościoła w Borzęcinie; sprzeciwiono się burzeniu baszty średniowiecznej przy klasztorze O. O. Augustyanów w Krakowie, którą magistrat chciał rozebrać ze względów komunikacyjnych. Wniesiony rekurs przeciwko burzeniu rozstrzygnął Wydział kraj. przychylnie. Zgodzono się na zburzenie cerkwi w Oparówce (pow. Strzyżów) z XVIII wieku, jako nie przedstawiającej wartości architektonicznej, z zastrzeżeniem przeniesienia do nowej cerkwi urządzenia wewnętrznego; wystąpiono w obronie budynku z XVI wieku, który magistrat m. Tarnowa pragnął usunąć; przeprowadzono restauracyę stall z XVII wieku i drewnianej starej dzwonnicy w Bochni; zbadano kościół w Radomyślu wielkim (pow. Mielec) z XVIII wieku, tudzież drewniany w Jeżowie (pow. Nisko) z r. 1720, mający uledz rozbiórce, kościoły w Bieździeczy i Kołaczycach. Odbyto komisyę w sprawie ratowania sklepienia w kościele po-Karmelickim w Wiśniczu; zrestaurowano kościół św. Marcina w Zawadzie pod Tarnowem. Przy udziale czeskiego posła dra Franty, który zajmuje się w parlamencie przeprowadzeniem ustawy o ochronie zabytków, omówiono sprawę tej ustawy, która od kilku lat nie może doczekać się wejścia na porządek dzienny w parlamencie.

Na ręce *Grona* wypłacono subwencye sejmowe i rządowe w kwocie 26.981 kor. na restauracye kościoła w Mogile, dzwonnicy w Bochni, kościoła O. O. Bernardynów w Krakowie, tudzież kościołów św. Anny i św. Floryana, fresków w Czchowie, ruin klasztoru w Tyńcu i Mogiły Wandy. Na utrzymanie kancelaryi i konserwacyę drobniejszych zabytków otrzymano subwencyę sejmową w kwocie 5.000 koron.

W r. ub. wydano *Pamiętnik pierwszego zjazdu miłośników ojczystych zabytków w Krakowie w dniach 3 i 4 lipca 1911 r.* (Kraków 1912. 8-o str. 144). Ponadto, przy pomocy subwencyi sejmu i ministerstwa oświaty, przystąpiono do wydania inwentaryzacyi kościołów drewnianych w Galicyi. W tym celu porobiono zdjęcia fotograficzne kilkudziesięciu kościołów. Pracą tą kierowali pp. Leonard Lepszy, dr. F. Kopera i dr. Stan. Tomkowicz. Po uzupełnieniu materyału, przystąpi *Grono* do ogłoszenia inwentaryzacyi drukiem.

Towarzystwo opieki nad zabytkami polskimi sztuki i kultury sekundowało dzielnie pod przewodnictwem hr. J. Mycielskiego pracom *Grona konserwatorów*. Odczyt wygłoszono wprawdzie tylko jeden dra T. Szydłowskiego „W obronie rynku krakowskiego", wszystkie bowiem usiłowania Tow. skierowane były wyłącznie w kierunku konserwatorskim. Z pośród zabytków architektury zwrócił na siebie uwagę przedewszystkiem kościół św. Wojciecha w Krakowie. Nieodzowna potrzeba restauracyi tego zabytku została wywołana nie tylko jego opłakanym stanem, wypływającym ze zniszczenia przez czas, lecz i cennem dla nauki odkryciem romańskich murów i fundamentów, wskazujących na czas powstania kościoła w XII. wieku. Dokonane przez p. Z. Hendla odsłonięcie najstarszych części kościoła, głębokiej krypty i dwu nisz romańskich, należy dziś umiejętnie zakonserwować. Fundusze na ten cel uzyskano drogą składek: Wydział kraj. dał 5.000 kor., kasa oszczędności m. Krakowa 1000 kor., oraz dwa banki po 100 kor., co stanowi razem 6.200 kor. Rozpoczęcie tedy prac około restauracyi kościoła św. Wojciecha zależne jest już tylko od przyznania i wypłacenia subwencyi rządowej. Dla zbadania przeprowadzonej restauracyi klasztoru i kościoła O. O. Bernardynów w Zbarażu wydelegowano na miejsce dra Fr. Kleina, który zaprojektował restaurowanie dzwonnicy, na który to cel wszelako brak środków klasztorowi. — Wystąpiono też energicznie przeciwko rozporządzeniu magistratu krakowskiego w sprawie zburzenia baszty, przylegającej do klasztoru O. O. Augustyanów na Kazimierzu w Krakowie, stanowiącą jedyną pozostałość dawnych fortyfikacyi kazimierskich; ponadto Tow. poczyniło starania o uzyskanie na cel restauracyi baszty subwencyi rządowej, a zarazem przeznaczyło ze swojej strony 500 kor. na tymczasową konserwacyę. — Restauracya domów przy kościele św. Idziego w Krakowie została w r. ub. ostatecznie zakończona, przyczem uwzględniono zaprowadzone przez Tow. poprawki. — Wreszcie na cel restauracyi renesansowego pomnika

nagrobkowego Kotwicza, znajdującego się przy ścianie południowej nawy kościoła Bożego Ciała w Krakowie, przeznaczono 200 kor. Kosztem Tow. odrestaurowano w pracowni prof. Wł. Pochwalskiego wielki ołtarzowy obraz z kaplicy Oświęcimów kościoła O. O. Franciszkanów, a nadto portret króla Władysława Jagiełły, własność Tow. Naukowego w Wilnie i obraz „Zwiastowanie N. M. P." z kościoła parafialnego w Zagórzu. Nadto Tow. przyczyniło się kwotą 300 kor. na rzecz pokrycia kosztów odnowienia za inicyatywą „Grona konserwatorów Gal. zach." portretu biskupa Tomickiego z krużganków kościoła O. O. Franciszkanów w Krakowie, oraz przyznało subwencyę w kwocie 500 kor. na cele restauracyi polichromii stropu sali bibliotecznej konwentu O. O. Cystersów w Mogile. — Jako wydawnictwo Tow. ukazała się w r. ub. tłómaczona z niemieckiego broszura „O zdobieniu kościołów wiejskich", której koszta pokrył znany mecenas sztuki Eksc. Karol hr. Lanckoroński. — Co się tyczy inwentaryzacyi zabytków, — w tym kierunku ograniczono się jedynie opracowaniem przez dra St. Świerza naukowego inwentarza ornatów, znajdujących się w kościele parafialnym w Leżajsku. — Zaznaczyć wreszcie należy, że p. St. Cercha odbył za subwencyą Tow. podróż naukową do Król. Polsk. — Dochody Tow. wynosiły 12.606 kor., z której to sumy wydano 5.886 kor. Gospodarka tedy była wcale rozsądna i wyjątkowa, rzec można śmiało, w stosunkach galicyjskich. Ale — nie należy zapominać, że na czele Tow. stał prof. dr. Mycielski, który ma ten niezwykły u nas zwyczaj, że wszystkie przyjęte na się obowiązki (ciąży zaś na barkach jego kilka), spełnia sumiennie.

* * *

Cele turystyczne *Towarzystwa tatrzańskiego*, wykraczające poza ramy niniejszego artykułu, pomijamy milczeniem. Z działalności jego naukowej podnieść należy przedewszystkiem *Pamiętnik za r.* 1912, wydany kosztem 4.000 kor. Subwencyi naukowych udzielono razem 1100 kor. — Biblioteka Tow. T. stale rosnąca i już dzisiaj zasobna w dzieła, odnoszące się do Tatr i Karpat, wymaga niezbędnie stałej i troskliwej administracyi. Na razie nie uczyniono nic w tym kierunku. — Z oddziałów: Czarnohorski i Nowo-sądecki rozwijają się zupełnie normalnie, Pieniński zaś i Babiogórski okazują, niestety, pewien zastój. — Wśród sekcyi w Zakopanem — przyrodnicza prowadziła dalej żywą akcyę w różnych kierunkach popularyzacyi i wiadomości o przyrodzie Tatr i zajmowała się gorliwie obserwacyami

meteorologicznemi, sekcya ochrony Tatr podjęła energicznie ochronę właściwych Tatrom roślin przed zamachami ze strony turystów. — Stan majątku T. T. okazuje normalny przyrost we wszystkich funduszach. Ogółem wynosiły dochody 32.847 kor. Fundusz żelazny wynosi 4.100 kor., zapasowy 2.407 kor., obligowy 2234 kor.; razem wzrosły te fundusze stałe w r. ub. o 1116 kor. — Członków liczyło T. T. 2367. Wszelako — należy zauważyć — liczba ta nie stoi w żadnym stosunku do potrzeby takiego rozwoju T. T., który niezbędnym byłby do spełnienia rozlicznych a piekących zadań statutowych. Może jubileusz 40-letniego istnienia T. T., obchodzony w czerwcu b. r. w Krakowie, będzie podnietą do wydatniejszego poparcia starań i dążeń T. T. ze strony społeczeństwa, kraju i rządu, tak hojnie subwencyonującego analogiczne stowarzyszenia niemieckie.

* * *

Zaiste lepszego losu warte było Tow. „*Polska sztuka stosowana*"! Skupiło wokół siebie szereg jednostek o niepospolitej kulturze estetycznej, przejętych zapałem do pracy, a jednak... najpiękniejsze zamierzenia muszą się u nas rozbić w puch wobec dziwnej i niewytłómaczonej apatyi społeczeństwa. Dość będzie, jeśli na poparcie słów powyższych powiem, że ilość członków wykazuje spadek. Liczyło bowiem Tow. członków 338, t. j. mniej, aniżeli lat temu parę. Z tego też powodu i dochody kasowe stały w stosunku odwrotnym do faktycznego zapotrzebowania. Z wkładek członków bowiem uzyskano zaledwie 1252 kor. I kto wie, co Tow. począćby było zmuszone, gdyby go z tej opresyi nie uratowały hojne subwencye, a to: krajowa 1000 kor., ministerstwa robót publicznych 500 kor. i miasta Krakowa 300 koron. I jakkolwiek dochody przyniosły na ogół sumę 5538 kor., przecież wydatkować musiano ponad kwotę powyższą, gdyż aż 5710 kor., z których 2530 kor. pochłonęły koszta wydawnictwa Sztuki stosowanej, której zeszyt XVI odtwarza na wspaniale wykonanych plauszach „Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie" w r. 1912. (Architektura i wnętrza. Kraków. 1912. 4-o, kt. ulb. 1., tablic 15, kt. ulb. 1.).

Daleki aż nadto jestem od myśli ganienia działalności wydawniczej *Polsk. Sztuki Stosowanej*. Nie mogę jednakowoż wstrzymać uwagi, cisnącej się uporczywie pod pióro: dlaczego, mianowicie, zboczyło Tow. całkowicie z dawnej drogi i zamiast podawać artystom materyał zdobniczy ludowy *in crudo* dla artystycznego opracowania

czy wyzyskania, reprodukuje w wydawnictwach swoich rzeczy, któremi zająć raczej powinnaby się jakaś izba rękodzielnicza lub spółka stolarska. O ileż lepiej osiągnęłoby Tow. cel zamierzony, gdyby natomiast podawało reprodukcye naszego zdobnictwa czy architektury ludowej, czem równocześnie oddałoby przysługę olbrzymią kopciuszkowi nauk w Polsce całej — etnografii, której nie stać na tak kosztowne wydawnictwa.

* * *

Zawierucha bałkańska pozostawiła po sobie wydatne ślady na działalności naszych stowarzyszeń naukowych jak n. p. *Tow. pielęgnowania nauk społecznych.*

Towarzystwo prawniczo-ekonomiczne również nie może poszczycić się dorobkiem, równającym się dorobkom lat dawniejszych, z przyczyn, podanych przed chwilą. Jedynie bodaj, czy nie energia dra K. Marowskiego zdołała uratować Tow. od stagnacyi kompletnej?!... Bo i to, co przy zmniejszającej się liczbie członków (ogółem 177) uzyskać potrafiono, stanowi w porównaniu ze środkami skromnymi — wcale duże *plus*. Z pomiędzy odczytów wymienić należy: prof. dra L. Wachholza „Uwagi sądowo-lekarskie o projekcie kodeksu karnego austryackiego w odniesieniu do obrażeń cielesnych", dra J. Ippoldta „Znawstwo pisma, jako środek dowodowy" (odczyt ilustrowany obrazami świetlnymi), dra T. Dziurzyńskiego „Przeciążenie sądów a rządowy projekt noweli do ustaw prasowych", dra K. Krzetuskiego „Podatek przyrostu wartości z uwzględnieniem projektu krakowskiego", wreszcie dra T. Iskrzyckiego „Praktyczny wypadek z dziedziny nauki o odszkodowaniu i niedopuszczalności drogi prawa". — Organ Tow. *Czasopismo prawnicze i ekonomiczne* rozwijał się nader pomyślnie i zamieścił na 480 stronicach dużej ósemki oprócz pięciu rozpraw, krytyki z zakresu filozofii prawa, prawa cywilnego, karnego i z nauki gospodarstwa społecznego, oraz kronikę. To też prawie wszystkie wydatki obrócono na „*Czasopismo*". Ogół bowiem rozchodów Tow. wynosił 1443 kor. za 1924 kor. dochodu. Podobnie ekonomiczna gospodarka finansowa należy u naszych stowarzyszeń do rzadkich wyjątków, na tem silniejsze tedy zasługuje podkreślenie.

Rok ubiegły wykazuje pewien postęp w działalności *Towarzystwa lekarskiego krakowskiego*, a mianowicie w dziedzinie naukowej. Było więcej odczytów, więcej demonstracyi, liczba członków czynnych

zwiększa się, udział w posiedzeniach był żywszy, gdyż młodzi lekarze poczęli współdziałać w pracach Tow. Ale znowu tak, jak od lat wielu, tak samo w roku minionym, poza posiedzeniami naukowemi cisza zalegała ten dom, który powinien przecież skupiać lekarzy, jako kolegów.

Co się tyczy ruchu naukowego, odczytów było 25 (w r. 1911 — 20) na 26 posiedzeniach, a to z: medycyny wewnętrznej 3, chirurgii 2, chemii 2, okulistyki 1, neurologii i psychopatologii 4, bakteryologii 3, biologii 1, hygieny 1, anatomii patologicznej 2, balneologii 5, patologii ogólnej 1. Odczyty z medycyny wewnętrznej, balneologii, psychopatologii i chirurgii były tak zestawione, że stanowiły pewien całokształt tematu. Demonstracyi było 65 (w r. 1911 — 55), najwięcej, jak zwykle, z chirurgii. Liczba członków, biorących udział w posiedzeniach, dochodziła niekiedy do stu, — najmniej bywało po trzydziestu kilku.

Tow. liczy obecnie 214 członków czynnych (w r. 1911 — 203), honorowych 38, korespondentów 48.

Do inwentarza i katalogu bibliotecznego wciągnięto 1415 dzieł i 27 wydawnictw peryodycznych, tak że obecnie liczy biblioteka uporządkowanych i skatalogowanych razem 10.248 dzieł oraz 566 wydawnictw peryodycznych. Ruch biblioteczny był żywszy, niż w latach ubiegłych, jakkolwiek, jak na Kraków, nieco za słaby. W ciągu r. 1912 wypożyczono książek 319 (w r. 1911 — 229), zwrócono 238. Liczba członków korzystających z biblioteki, wynosiła 62.

Przegląd lekarski, zostający nadal pod redakcyą tyle zasłużonego dla Tow. prof. dra Stanisława Ciechanowskiego, rozwijał się wcale pomyślnie, pochłaniając wcale poważną sumę na koszta wydawnictwa. Ale — nie należy zapominać, żadne nasze pismo lekarskie nie może z nim mierzyć się zarówno pod zwględem bogactwa treści, jak też objętości, ani wreszcie ilości i doboru pierwszorzędnych naszych powag w zakresie nauk lekarskich. Wszak „Przegląd lekarski“ stał się wzorem, na którym kształci się „Lwowski tygodnik lekarski“ zarówno pod względem formalnym jak technicznym.

Towarzystwo okulistów polskich mimo „wieloletnich zabiegów“ prof. dra B. Wicherkiewicza, „nie narodziło się “ dotąd, jak mnie informuje czcigodny jego projektodawca. Wszakżeż w Warszawie, w której medycyna stoi na niezrównanie niższym poziomie od tego, jakim Kraków słusznie szczycić się może, znakomicie prosperuje analogiczne stowarzyszenie.

Rozwój i postęp w dentystyce był tym koniecznym czynnikiem, który powołał do życia *Towarzystwo stomatologów polskich* za inicyatywą obecnego prezesa prof. dra W. Łepkowskiego. W r. ub. przybyło 4 członków, tak razem liczy ich Tow. 45. Na posiedzeniach naukowych wygłoszono między innymi odczyty następujące: dr. Cieszyński „O plastyce wiązadła wargowego", Piątkowski „Nowy sposób sporządzania odlewów pustych", Zalewski „Kilka słów o roentgenografii dentystycznej", prof. Łepkowski „O sterylizacyi świdrów z demonstracyą sterylizatorów", Syrop „Leczenie chirurgiczne ropotoku zębodołowego" i Grabczak „Znaczenie roentgenologii w praktyce dentystycznej".

Z powodu chwilowego braku odpowiednich funduszów chromało nieco wydawnictwo „*Kwartalnika stomatologicznego*", wobec czego postanowiono zasilać go wkładkami członków Tow., aby mu zabezpieczyć istnienie i dalszy rozwój.

* * *

Towarzystwo popierania nauk rólniczych nie raczyło nawet odpowiedzieć na prośby moje o potrzebne mi dane, więc pominąć musimy je milczeniem.

* * *

35-ty rok od zawiązania *Krakowskiego towarzystwa technicznego* wyróżnił się w tym szeregu lat ogólną działalnością polskich kół architektonicznych. Przedewszystkiem z inicyatywy t. zw. Stałej Delegacyi i krakowskich stowarzyszeń artystycznych urządzona została „Wystawa architektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowem", która była pierwszym na ziemiach polskich wzorem budownictwa miejskiego i podmiejskiego. W niej przedstawiono w sposób poglądowy, jak powinno być traktowane budownictwo domów, mające na celu uwzględnianie zdrowotności i potrzeb kulturalnych ludzi, zmuszonych ścieśniać się na ograniczonych przestrzeniach. — Również wzięło Tow. udział w pracach przygotowawczych do VI. Zjazdu techników polskich, który wypadł bardzo dodatnio pod względem naukowym. Wystarczy nadmienić, że było zgłoszonych 540 uczestników. Pomimo to niepodobna nie podkreślić małego stosunkowo udziału członków w zebraniach tygodniowych, jak nie mniej niewielkiej liczby, korzystających z biblioteki. Fakt ten, aczkolwiek do pewnego stopnia wytłómaczony przeciążeniem obowiązkami za-

wodowymi, nie mniej jednak świadczy, że zapoznajemy jeszcze zna czenie wymiany zdań, dzielenie się poglądami na bieg życia, że jeszcze nie przejęliśmy się należycie przeświadczeniem, iż brak znajomości tętna życiowego, spycha nas do roli drugorzędnej, nawet w sprawach ściśle technicznych. A przecież członków liczyło Tow. 438 !

Odczytów wygłoszono ogółem 20, z których wymieniamy następujące: p. St. G. Żeleńskiego „Współczesne kierunki budowy miast", prof. dra O. Bujwida „Odczyszczanie wody od (*sic*!) zarazków zapomocą promieni pozafioletowych", prof. dra J. Rakowicza „O potrzebie i programie planu regulacyjnego dla Zakopanego", J. Hoscheka „Urządzenia ochronne dla zabezpieczenia wjazdu pociągów do stacyi i wyjazdu ze stacyi", Erharda „Techniczne muzeum dla przemysłu i rękodzieł w Wiedniu", H. Schalba „Z dziedziny wyrobu szkieł optycznych do celów naukowych", dra Przybylskiego „O organizacyi i reorganizacyi kolei państwowych", Bocheńskiego „Porównawcze zestawienie produkcyi górniczej w Galicyi, w Królestwie Polskiem i na Górnym Śląsku", prof. H. Mianowskiego „Bank przemysłowy a przemysł krajowy", prof. Bratkowskiego „O kursach zawodowych ze szczególnem uwzględnieniem kursów inżynierskich", St. Szemplińskiego „O konieczności wykształcenia ogólno-społecznego wśród techników polskich", J. Horoszkiewicza „Rozwój dróg żelaznych", prof. T. Sikorskiego „Sprawozdanie z ankiety kanałowej", dr. W. Kuźniara „O kolejce na Świnnicę", prof. dra H. Wielowiejskiego „Oczyszczenie wód ściekowych miejskich i stawy rybne".

Ogólna ilość dzieł w bibliotece wynosiła z końcem 1912 r. 1111, przybyło zatem w r. ub. dzieł 50. Czytelnia otrzymywała czasopism 19 i była dość licznie odwiedzaną. Z biblioteki wypożyczyło 45 osób 96 tomów. Cokolwiek za mała to frekwencya !

Obrót kasowy wykazuje w dochodach 14.931 kor., z czego wydatkowano 12.129 kor. (w tem subwencya dla *Architekta* 4.500 kor., dopłata za *Przegląd techniczny* dla członków 408 kor.). Wydatki na dom Tow. wyniosły 9.302 kor., ogólny zaś majątek 104.700 kor., wszelako obciążony pożyczkami w wysokości 90.276 kor.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Dom dla młodzieży rękodzielniczej im. Piotra Skargi w Krakowie.

Stworzenie z okazyi jubileuszu Piotra Skargi zdrowego środowiska w Krakowie dla młodzieży rękodzielniczej i robotniczej jest chyba najgłębiej pomyślanem, tembardziej, że i postać Skargi i jego nieśmiertelne dzieło, Arcybractwo Miłosierdzia i Bank Pobożny są związane z miastem i kwestyą rękodzielniczą.

Postawiony Skardze w ten sposób pomnik żywy, sprawi, że jubileusz nie przejdzie, jak wiele już w naszych czasach przeszło bez głębszego, szerszego, trwalszego pożytku dla społeczeństwa, a dla ducha, myśli, zasługi Skargi, chyba najgodniejszy. Podnieść, wzmocnić, poprowadzić na wyżyny coraz większej doskonałości kulturalnej i ekonomicznej żywioł narodowy i katolicki miast polskich, toć to na nasze czasy najstosowniej odpowiada uczuciu tej miary męża, co Skarga i potrzebom obecnym naszego narodu.

Zamiar ten powzięła Rada Opiekuńcza Polskiego Związku katolickich uczniów rękodzielniczych pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Krakowie na swem posiedzeniu dnia 26 kwietnia 1912 r. Na zebraniu zaś d. 4. maja 1912 r. w pałacu biskupim, któremu przewodniczył Książe Biskup Adam Sapieha, utworzono komitet budowy ściślejszy i ogólny. Protektorat i prezesostwo raczył przyjąć sam Książe Biskup. Wydano odezwę znaną całemu społeczeństwu. Pod wpływem pracy komitetu i odezwy popłynęły, jak na czasy bardzo ciężkie, dość liczne ofiary. Gmina miasta Krakowa na posiedzeniu Rady miejskiej 16. września 1912 r. dzięki energicznemu i wielce życzliwemu poparciu p. Prezydenta ofiarowała grunt pod budowę na Reyówce w pobliżu ul. Krupniczej: 27 września 1912 w sam dzień uroczystości jubileuszowej wśród licznie zgromadzonej publiczności ze wszystkich trzech zaborów, poświęcił Książe Biskup Adam Sapieha kamień węgielny pod dom im. Piotra Skargi. PP. Architekci Tadeusz Stryjeński i Fr. Mączyński zrobili projekt domu odpowiednio do celu i przeznaczenia według wszelkich wymogów hygieny, techniki i potrzeb tejże młodzieży. Koszta budowy, jak już odezwy i pisma podały, mniej więcej wynosić mają 400.000 koron.

Może komu zdawać się za wielką suma. Jest tylko pozornie. Komitetowi chodzi bowiem o to, by dzieło tak postawić, by ono samo mogło się utrzymać. W ten sposób bowiem obmyślana kwestya

sprawi, że dzieło to zbożne w samem już założeniu ma gwarancyę trwałości, a mając zapewniony swój byt, nie będzie ciężarem dla społeczeństwa i da trwałe podstawy finansowe do ciągłego rozwoju tej instytucyi, tak wielce potrzebnej i pożytecznej dla całego społeczeństwa.

Lista wszystkich składek na dom im. Piotra Skargi.

Od lipca 1912 do 15 maja 1913 r. wynosi około 40.000 kor. Ofiarodawcy większych sum: Książe Biskup Sapieha 5000 kor., Andrzejowa hr. Potocka 5000 kor., Towarzystwo Wzajemn. Ubezpieczeń 4000 kor., Antoniowa hr. Potocka z Olszy 1000 kor., hr. Stanisław Tarnowski 1000 kor., Wojciechowie Lipscy 1000 kor., Marya Dembińska 1000 kor., Arcybractwo Miłosierdzia 2000 kor. i t. p. Resztę sumy złożyły ofiary drobniejsze. Nadto Kasa Oszczędności m. Krakowa ofiarowała ratami 10.000 kor.

Zebrana suma pieniędzy około 40.000 kor. jeszcze zbyt mała, byśmy mogli rozpocząć budowę domu dla młodzieży rękodzielniczej, która tak niezwłocznie potrzebuje tego ogniska kultury i odrodzenia i wychowania dzielnych charakterów, bez czego nie ma mowy o potędze duchowej i ekonomicznej naszych miast polskich.

Zwracamy się do całego narodu z gorącym apelem, a zwłaszcza do bogatych rodzin polskich, by dopomogli do uskutecznienia tego dzieła. Wszak sama wdzięczność dla Skargi, który tyle polskich rodzin z luteranizmu, kalwinizmu i socynianizmu nawrócił napowrót do kościoła katolickiego i zapalił do poświęceń dla ojczyzny, powinna pobudzić do wydatnych ofiar, by wreszcie stanął ten pomnik godny Skargi.

Wzywamy wszystkie instytucye państwowe, krajowe, gminne i prywatne, by również na wzór gminy m. Krakowa i miejskiej Kasy Oszczędności pospieszyli z wydatną pomocą temu pożytecznemu dziełu nie tylko Krakowowi, ale całemu społeczeństwu polskiemu.

Wzywamy wszystkich obywateli polskich do ofiar choćby drobnych na to dzieło.

A zwłaszcza zwracamy się do niewiast polskich, które zawsze z poświęceniem szły z pomocą ojczyźnie, ilekroć ona wyciągnęła ręce w swych potrzebach, by otoczyły to dzieło swą miłością i wytrwałą prośbą. Na to dzieło najpożyteczniejsze w naszych czasach dla narodu polskiego, wszyscy, nawet ubodzy, składajcie drobne grosze!

Imię ofiarodawcy, który złoży na powyższy cel najmniej 10 koron, będzie wpisane do księgi pamiątkowej; który zaś złoży 1000 koron także zamieszczonym będzie na tablicy pamiątkowej w tymże domu. Ofiary upraszamy nadsyłać na ręce Księcia Biskupa, Kraków, Pałac Biskupi lub pod adresem: Konsystorz Książęco Biskupi, Kraków, lub do redakcyi czasopism krakowskich. Można też składać, zwłaszcza drobne grosze, zapomocą puszek, bloczków, list składkowych i znaczków korespondencyjnych.

Oby Opatrzność Boża i miłość narodu i kraju polskiego jak najprędzej doprowadziła to dzieło do urzeczywistnienia!

Komitet budowy domu im. Piotra Skargi.

Druk ukończono 4-go października 1913 r.

„Wahre Gottsucher". Worte und Winke der Heiligen von P. Hildebrand Bihlmeyer O. S. B. (Verlag von Herder in Freiburg u. Wien I, Wollzeile 33); opr. M. 1.30, K. 1.56.

Der Pfingstfestkreis. Erster Teil. Betrachtungspunkte fur die Feste des Heiligen Geistes, der heiligsten Dreifaltigkeit, des heiligsten Sakramentes und des Herzens Jesu, sowie über die heilige Messe, von Stephan Beissel S. J. Dritte, verbesserte und vermehrte Auflage. 8* (VIII u. 178 S.) Freiburg u. Wien 1913, Herder. M. 2.— K. 2.40; opr. M. 2.80, K. 3.36.

Die Esdrasbücher der Septuaginta. Ihr gegenseitiges Verhältnis untersucht von dr. Bernhard Walde. (Biblische Studien, XVIII. Band, 4. Heft.), gr. 8* (XIV u. 164 S.) Freiburg u. Wien 1913, Herdersche Verlagshandlung. M. 5.

Über das Gleichnis vom ungerechten Verwalter. (Lk. 16, 1—13). von dr. Adolf Rücker. (Biblische Studien, XVIII. zesz. 5. 8* (VI u. 66 S.) Freiburg u. Wien 1912, Herder. M. 2.— K. 2.40.

Mehr Liebe. Lebensbild des Dom Pius de Hemptinne O. S. B. Deutsche Bearbeitung von D. Benedicta von Spiegel O. S. B. 8* (XVI u. 272 S.) M. 2.80, K. 3.36; opr. M. 3.40, K. 4.06. Herder Freiburg i. Br. u. Wien.

Pod cierniową koroną. Powieść przez Izę Moszczeńską. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk N. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913. Str. 246.

Bóg olbrzymów. Powieść historyczna przez Wiktora Gomulickiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913. Str. 492.

W pętach namiętności. Dramat w 8 odsłonach napisał Julian Zubczewski. Nakładem Autora. Druk I. Borka w Nowym Targu. 1913. Str. 74.

Maurycy Mochnacki jako teoretyk i krytyk romantyzmu polskiego. Napisał Piotr Bańskowski. (Prace-historyczno literackie Nr. 2). Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913. Str. 193.

Skarga w sferze królewskich planów (w świetle listów). Napisał Prof. Feliks Gątkiewicz. Osobne odbicie ze sprawozdania Gimnazyum żeńskiego im. król. Jadwigi w Krakowie. Czcionkami drukarni Związkowej. Kraków 1913. Str. 50.

Zarys, „egzekucyi Praw u Skargi". Napisał F. Gątkiewicz. Odbitka ze sprawozdania Dyrekcyi c. k. gimnazyum V w Krakowie. Nakładem Dyrekcyi gimnazyum V. Czcionkami drukarni Związkowej. Kraków 1913. Str. 66.

Бчмарски художествени старини аздова археографическата комися министерството на народната просвѣта. Книга II.

Summa philosophiae christianae, Critica, Oeniponte Typis et sumptibus Feliciani Rauch 1913.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Nasze kościoły. Opis ilustrowany wszystkich kościołów i parafii, znajdujących się na obszarach dawnej Polski i ziemiach przyległych. T. I. Archidyecezya mohilewska. Pod redakcyą ks. Jozafata Zyskara. Drukarnia Piętkowskiego. Petersburg 1913. Str. 48. (Zeszyt 1-szy — 7-my).

Moje wspomnienia 1840—1863—1913. Ks. Adolf Bakanowski ze zgromadzenia XX. Zmartwychwstania Pańskiego. Wydał i objaśnieniami opatrzył ks. Tadeusz Olejniczek. Nakładem XX. Zmartwychwstańców. Drukiem Jakubowskiego i Sp. Lwów 1913. Str. 226.

Kazania ks. Piotra Semeneńki. T. I. Od adwentu do końca czasu wielkanocnego. **T. II.** Od Zielonych Świątek do końca roku kościelnego. Kazania na uroczystości Najśw. P. Maryi. Nakładem XX. Zmartwychwstańców. Drukiem Jakubowskiego i Sp. Lwów 1913. Str. I. XLI + 407. II. 354.

Dyalogi filozoficzno-religijne. Napisał X. Charszewski. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wilno 1913. Str. 307.

Wojna żydowska w roku 1859. (Początki asymilacyi i antisemityzmu). Napisał Kazimierz Bartoszewicz. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Drukiem Wyszyńskiego i Sp. Warszawa 1913. Str. 92.

W półwiekową rocznicę. Mowa na nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. Juliusza hr. Tarnowskiego, poległego pod Komorowem dnia 20 czerwca 1863 r., powiedziana w kościele OO. Dominikanów w Dzikowie dnia 20 czerwca 1913 r. przez ks. Władysława Chotkowskiego. Nakładem G. Gebethnera i Sp. Drukiem „Czasu". Kraków 1913. Str. 38.

Poseł związku śląskich katolików. XL. Nakładem Związku. Drukiem Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra. Cieszyn 1913. Str. 67.

Sprawozdanie z działalności zarządu głównego „Straży Polskiej" za czas od 1 maja 1910 do 30 kwietnia 1913 r. Nakładem zarządu głównego „Straży Polskiej". Drukarnia Związkowa. Kraków 1913. Str. 42.

Podręcznik statystyki Galicyi, wydany przez kraj. bióro statystyczne, pod redakcyą dra T. Pilata. T. IX. Część 2-ga. Lwów 1913. Str. 864.

Sto pięćdziesiąt kazań albo nauk katechizmowych, przełożył ks. P. Rzewuski, biskup nominat, sufragan warszawski. T. III. o łasce, sakramentach, sakramentaliach i modlitwie. Warszawa 1913. Nakład K. Treptego. Str. 360.

Zarys apologetyki, napisał ks. dr. A. Pechnik, prof. semin. Wydanie II poprawione. Warszawa, księgarnia nakładowa Szczepkowskiego 1913. Str. 168.

Piotr Skarga, jako kapłan, wykład miany w Sandomierzu w uroczystość św. Stanisława Kostki 1913 r., przez ks. Jana Gajkowskiego. Sandomierz 1913. Drukarnia Byrzyńskiego.

Katastrofa Bułgaryi.

W chwili, gdy związek bałkański rozpoczął wojnę z Turcyą, kierujący mężowie stanu we Francyi, w Rosyi i w Anglii uwierzyli w to, co się im wydawało pożądanem dla dobra ich ojczyzny. Rokowali długi żywot związkowi bałkańskiemu. Widzieli w nim zawiązek organizacyi, która z biegiem lat zyska na spoistości i sile, która w razie wojny europejskiej stanie po stronie trójporozumienia i przechyli szalę zwycięstwa na jego korzyść. Poparli go finansowo, wojskowo i dyplomatycznie w nadziei, że krew wspólnie przelana w wojnie z Turcyą spoi go silniej i utrwali. Wojna między sprzymierzeńcami o podział łupów, której na próżno chcieli zapobiedz, rozwiała te nadzieje. Umniejszyła, ale nie zniweczyła korzyści, które trójporozumieniu, po części dzięki jego własnym zabiegom, przypadły w udziale skutkiem ostatnich klęsk tureckich. W uzupełnieniu moich poprzednich artykułów[1] chcę odpowiedzieć na pytania, jakie zmiany wojna między sprzymierzeńcami wywołała w międzynarodowym układzie stosunków, jak oddziałała na Austro-Węgry i jakie stanowisko Austro-Węgry wobec niej zajęły?

W pierwszych dniach grudnia 1912 r. doszło do skutku zawieszenie broni między Bułgaryą, a Turcyą. Rokowania o zawarcie pokoju, choć długie, nie doprowadziły do pomyślnego wyniku. Turcy zdołali odeprzeć atak na Czataldżę w dn. 17, 18 i 19 listopada. Bułgarzy oblęgali Adryanopol, ale jeszcze nie zmusili Szukri-

[1] Polityka bałkańska Austro-Węgier („Przegląd powszechny" za maj, czerwiec, lipiec i sierpień 1913 roku).

baszę do oddania im twierdzy. Ich działania wojenne nie skończyły się zupełnem zniszczeniem sił zbrojnych przeciwnika. Istniała jeszcze armia turecka, broniąca im dostępu do stolicy państwa, coprawda niezdolna wychylić się z poza okopów Czataldży, niezdolna dać odsiecz Adryanopolowi. Na tej podstawie Bułgarzy stawiali twarde warunki zwyciężonym. Domagali się przesunięcia linii granicznej bułgarsko-tureckiej tuż pod mury Stambułu, a więc niemal całej Tracyi. Turkom zależało najbardziej na uratowaniu Adryanopola, zamieszkałego przez znaczny zastęp ich współwyznawców, który był stolicą państwa przed zdobyciem Konstantynopola. Ówczesne ministerstwo tureckie, na czele którego stał wielki wezyr, Kiamil-basza po długich targach, po części pod naciskiem Rosyi, poczęło okazywać gotowość ustąpienia Adryanopola Bułgarom. Ta wiadomość skłoniła Młodoturków do wykonania zamachu stanu, którego ofiarą padł minister wojny i naczelny wódz całej siły zbrojnej, organizator zwycięskiego oporu pod Czataldżą, Nazim-basza. Nowe ministerstwo młodotureckie doszło do władzy pod hasłem większej odporności wobec żądań bułgarskich. W tym duchu prowadziło dalsze rokowania z Bułgarami. Rząd bułgarski nie zmienił pierwotnego stanowiska. Chciał zawrzeć pokój, ale tylko pod warunkiem odstąpienia Afryanopola. Dnia 3-go lutego 1913 roku Bułgarzy rozpoczęli na nowo ostrzeliwać Adryanopol. W siedem tygodni później zdobyli go szturmem. Zwycięstwo okupili znacznymi ofiarami krwi i mienia. Pocieszyli się rychło w przekonaniu, że krew przelana zapewniła im trwałe panowanie nad Adryanopolem i całą Tracyą. Ich przewidywania początkowo się ziściły.

Po zdobyciu Adryanopola rozpoczęły się powtórne rokowania między sprzymierzeńcami i Turcyą, równie przewlekłe jak pierwsze. Ostatecznie jednak doszło do zawarcia pokoju w Londynie 30-go maja 1913 roku. Młodoturcy usunęli przemocą ministerstwo Kiamila w imię uratowania Adryanopola dla Turcyi. Ich wysiłek wojskowy skończył się niepowodzeniem. Podjęli próbę niesienia odsieczy Adryanopolowi. Bułgarzy odparli atak Turecki pod Bulair. Zdobyli Adryanopol. Młodoturcy zgodzili się na ustępstwa dalej sięgające, niż te, do których był gotów Kia-

mil, z powodu których pozbawili go przemocą władzy. Oddali nietylko Adryanopol, ale nadto pas ziemi, który Bułgarzy chcieli im pozostawić przed zerwaniem pierwszych rokowań pokojowych. Niemal prosta linia łącząca miasteczko Enos, położone w pobliżu ujścia Maricy do morza Egejskiego z miejscowością Midia nad Morzem Czarnem, miała stanowić granicę bułgarsko-turecką. Zdawało się Bułgarom, że osiągnęli cel, w imię którego podjęli ponowną wojnę.

Turcya zawarła pokój w Londynie ze związkiem bałkańskim, a nie z każdem państwem sprzymierzonem zosobna. Niemal wszystkie swoje posiadłości europejskie poza Konstantynopolem odstąpiła związkowi bałkańskiemu. Pokój londyński nie przewidywał ich rozdziału pomiędzy sprzymierzeńców. Nie zastrzegał Turcyi współudziału w dalszych rokowaniach o podział zdobytych obszarów, które miały się toczyć pomiędzy nimi bez jej uczestnictwa. Serbia chciała je rozpocząć już przed zawarciem pokoju w Londynie. Zwróciła się do Bułgaryi z żądaniem rewizyi na jej korzyść umowy, zawartej z nią przed wybuchem wojny sprzymierzeńców z Turcyą. Nie byłaby odważyła się wystąpić z podobnem żądaniem, gdyby już w styczniu 1913 roku, a więc przed zerwaniem pierwszych rokowań pokojowych z Turcyą, nie była związała się tajną umową z Grecyą, zwróconą przeciwko Bułgaryi, łącznie z którą równocześnie Grecy i Serbowie prowadzili w charakterze sprzymierzeńców rokowania z Turcyą. Jej dochowaniu zawdzięczają Grecy i Serbowie w znacznej mierze późniejsze zwycięstwa.

Bułgarzy przed rozpoczęciem pierwszej wojny z Turcyą nie zawarli z Grekami układu o podział przyszłych zdobyczy terytoryalnych. Wybuch wojny nastąpił szybciej, niż przypuszczali. Prawdopodobnie nie starczyło czasu na prowadzenie rokowań z Grecyą. Może bardziej rozstrzygającym czynnikiem było przeświadczenie rządu bułgarskiego, że układ nie jest koniecznie potrzebny. Wydawało im się, że wystarczy porozumieć się ze Serbami. Z nimi zawarli szczegółową umowę o podział Macedonii. Nie liczyli się z Grekami. Lekceważyli ich siły wojskowe. Gdyby po wojnie stawiali zbyt wygórowane żądania, Bułgarzy rozprawią

się z nimi orężnie. Nie przypuszczali złamania umowy przez Serbów i porozumienia się Greków z nimi w razie sprzyjających okoliczności. Sami nieoględnie przyczynili się do ich wytworzenia.

Zerwanie pierwszych rokowań pokojowych z Turcyą dokonało się przedewszystkiem w imię interesów bułgarskich. Serbowie i Grecy byli nasyceni. Zajęli obszerne połacie Macedonii. Serbskie wojska obsadziły nietylko te ziemie, które miały im przypaść w udziale wedle umowy z Bułgaryą, ale sięgnęły dalej w głąb Macedonii. Posunęły się bardziej ku południowemu wschodowi wzdłuż Wardaru aż do miejscowości zajętych przez Greków w ich pochodzie ku Północy. Przyszli sprzymierzeńcy w walce z Bułgaryą zetknęli się z sobą na żyznych nizinach, wyżłobionych przez Wardar. Grecy ubiegli Bułgarów w zajęciu Saloniki. Nowa wojna z Turcyą miała się toczyć o pozyskanie Adryanopola i Tracyi na rzecz Bułgaryi. Nietylko, że nie rokowała nowych zdobyczy Grekom i Serbom, ale pośrednio groziła im stratami. Żadne mocarstwo nie cieszy się rozrostem sąsiada. Zbyt silna Bułgarya mogła z czasem stać się niebezpieczeństwem dla Serbii i Grecyi. Kto wie, czy później nie próbowałaby się rozszerzyć ich kosztem? Może ograniczyłaby swe zapędy do dalszego okrojenia Turcyi. Ale i ten rozwój wypadków nie byłby na rękę Grekom. Uważają się za spadkobierców państwa byzantyjskiego. Mnisi, zamieszkali na górze Athos, odstąpili Grecyi przechowywaną w ich skarbcu koronę cesarzy byzantyjskich. Podobno król grecki ma zamiar koronować się nią w Atenach w r. 1914. Jego dziedzice chętnie włożyliby ją sobie na głowę w Konstantynopolu, już dziś zamieszkałym przez znaczną liczbę Greków. Przesunięcie granicy bułgarsko-tureckiej tuż pod mury Konstantynopola nie mogło podobać się Grekom. Chodziło im o osłabienie Bułgaryi nietylko na własną, ale i na cudzą korzyść. Po zawarciu pokoju w Londynie, w chwili gdy zatarg z Serbią zaostrzał się z dniem każdym, Bułgarzy próbowali nawiązać osobne rokowania z Grecyą. Oświadczyli gotowość zrzeczenia się Saloniki, chcąc unicestwić porozumienie grecko-serbskie, chcąc zapewnić sobie neutralność Grecyi na wypadek wojny

ze Serbią. Woleli oczywiście mieć do czynienia z Serbią odosobnioną. Chcieli kosztem Saloniki ułatwić sobie pokojowe lub zbrojne wyparcie Serbów z Monastyru. Ich usiłowania były bezowocne. Grecy nie dali się skusić możnością osiągnięcia znacznych korzyści bez wojny. Woleli narazić się na nią w nadziei zupełnego wyparcia Bułgarów z nad brzegu Wardaru. Chcieli zapewnić nietylko sobie, ale także i Serbom, których uważali za mniej groźnych w przyszłości, opanowanie jaknajwiększych obszarów Macedonii gwoli zrównoważenia zaborów bułgarskich w Tracyi. Serbowie i Grecy przewidzieli usiłowania Bułgaryi porozumienia się osobno z nimi. Już w styczniu 1913 roku zawarli układ, którego rozstrzygające postanowienie polegało na wzajemnem zobowiązaniu się do nieprowadzenia odrębnych rokowań o podział zdobyczy z Bułgaryą.

Grecy i Serbowie postanowili w styczniu 1913 roku poszukać łącznie w Macedonii odszkodowania za wzmożenie się Bułgaryi w Tracyi i za utworzenie samoistnej Albanii, dokonane na życzenie Austryi i Włoch. Gdyby nie doszło do zabezpieczenia Albanii samodzielności, Albania nie byłaby powróciła pod panowanie Turcyi, której wojska nie były jej w stanie obronić. Grecya i Serbia, których zwycięskie wojska zajęły Albanię, byłyby się nią podzieliły. Gdy pod naciskiem wielkich mocarstw, Grecy powstrzymali swój pochód w głąb Albanii, a Serbowie wycofali z niej swe wojska, wówczas jedni i drudzy przesunęli swe siły zbrojne w głąb Macedonii. W razie stałego usadowienia się w Albanii, Grecy i Serbowie czuliby się bardziej nasyceni, domagaliby się z mniejszem naciskiem pozyskania wielkich obszarów w Macedonii. Trudniejby im było skupić swe siły zbrojne w Macedonii, ponieważ część ich musieliby pozostawić w Albanii. Nie zachodziłaby obawa terytoryalnego zetknięcia się Bułgaryi z samoistną Albanią, czego życzyli sobie Bułgarzy, czemu zapobiedz chcieli Grecy i Serbowie.

Bułgarzy chcieli sięgnąć jak najdalej na zachód. Chcieli dotrzeć aż do jeziora Ochrida, którego część została przyznaną Albanii. W tem miejscu miały się zetknąć granice Bułgaryi z albańskimi, zgodnie z umową serbsko-bułgarską,

zawartą przed wybuchem pierwszej wojny z Turcyą. Wówczas posiadłości Bułgarskie wciskałyby się klinem, wysuniętym na zachód ku morzu Adryatyckiemu, między ziemie greckie i serbskie. Serbia nie stykałaby się nigdzie terytoryalnie z Grecyą, co utrudniało ewentualne przyszłe współdziałanie wojenne Grecyi ze Serbią. Natomiast bezpośrednie sąsiedztwo Bułgaryi z Albanią ułatwiałoby obu państwom zawiązanie stosunków i wspólne zwalczanie Grecyi lub Serbii, ewentualnie obu państw. Serbia odcięta od Grecyi byłaby okolona z południa, wschodu i zachodu posiadłościami bułgarskiemi i albańskiemi, a więc dwóch państw, których interesa były bardziej sprzeczne z jej interesami, niż Grecyi ze serbskimi. Pozycya strategiczna Serbii byłaby gorszą. Dostęp do morza bardziej utrudniony. Serbowie zwalczali utworzenie Albanii głównie dlatego, ponieważ było równoznaczne z zamknięciem im drogi do morza. Uzyskali przyrzeczenie dostępu handlowego do Adryatyku, ale nie widzieli w nim odszkodowania, równoważącego utworzenie Albanii. Odepchnięci od Adryatyku zapragnęli zbliżyć się do morza Egejskiego. Gdyby Bułgarzy wsunęli się klinem pomiędzy nich i Grecyę, granica serbska byłaby bardziej oddaloną od morza Egejskiego. Serbia byłaby odgraniczoną od morza Egejskiego obszarami należącymi do dwóch państw. Towar serbski w drodze do Saloniki musiałby być przewożonym przez granicę bułgarską. Serbowie i Grecy mieli poważne powody przeciwstawienia umowie bułgarsko-serbskiej o podział Macedonii faktu dokonanego. Porozumieli się z Grecyą przedewszystkiem w myśli zatrzymania tych przestrzeni, które obsadzili już przed zerwaniem pierwszych rokowań pokojowych z Turcyą. Nie domagali się od Bułgaryi odstąpienia im tego, co Bułgarzy zajęli w czasie wojny z Turcyą. Postanowili nie dopuścić do usadowienia się Bułgaryi po obu brzegach Wardaru. Byli gotowi pozostawić jej część środkową lewego brzegu Wardaru. Jego źródła miały być serbskie, ujście greckie, środkowy brzeg rzeki miał stanowić granicę. Prawy brzeg Wardaru chcieli zachować wyłącznie dla siebie z wykluczeniem Bułgaryi. Jeszcze przed zdobyciem Adryanopola, oblęganego wspólnie przez wojska

bułgarskie i serbskie, Serbia, silna przymierzem z Grecyą, poparciem Rumunii, faktycznem obsadzeniem spornych obszarów, wyczerpaniem Bułgaryi w wojnie z Turcyą, pisemnie zwróciła się do Bułgaryi z żądaniem rewizyi umowy o podział Macedonii.

W chwili wybuchu ponownej wojny z Turcyą skutkiem zerwania pierwszych rokowań pokojowych, wojska Grecyi i Serbii spełniły prawie całe swe zadanie. Grecy wojowali jeszcze z Turcyą na morzu, zdobywali słabo bronioną Janinę, stosunkowo nieliczne oddziały wojska serbskiego brały udział w oblęganiu Adryanopola i Skutari. W Macedonii do ponownego wybuchu wojny z Turcyą nie przyszło, już choćby dlatego, że przyjść nie mogło. W czasie pierwszej wojny Grecy i Serbowie rozbili do szczętu wojska tureckie, broniące Macedonii, Turcy nowymi zastępami mogli wzmocnić i istotnie wzmocnili wojska, broniące Konstantynopola, ale nie mogli ich posłać do Macedonii. Nie było też żadnej obawy o pobicie Bułgarów przez Turków, Grecy i Serbowie nie obawiali się pochodu z Tracyi do Macedonii wojsk tureckich, zwycięskich w walce z Bułgarami. Nowa wojna z Turcyą toczyła się przedewszystkiem dla wzmożenia Bułgaryi, ale też na nią spadał niemal jej cały ciężar. Grecy i Serbowie mogli ograniczyć się do roli obojętnych widzów. Mogli rozpuścić przeważną część swych zbrojnych zastępów i oszczędzić sobie w ten sposób kosztów ich dalszego utrzymania pod bronią. W razie rozbrojenia żądanie rewizyi umowy bułgarsko-serbskiej o podział Macedonii, nie miały żadnych widoków powodzenia. Grecy i Serbowie zamiast przystąpić do rozbrojenia uzupełniali szczerby w szeregach, które były następstwem walk z Turkami, odnawiali uszczuplone zapasy amunicyi, wznosili fortyfikacye tam, gdzie przewidywali ataki bułgarskie. Podobno Serbowie na Owczem Polu wybetonowali stanowiska dla ciężkich dział. Bułgarzy powinni byli wiedzieć, że Serbowie i Grecy zbroją się gwoli łącznego poparcia swych żądań o zachowanie raz zajętych obszarów.

Zapewnili sobie pomoc czarnogórskich wojsk na wypadek zbrojnego starcia. Wojska serbskie zdobywały Skutari razem z czarnogórskiemi. Serbia nie szczędziła poparcia dyplomatycznego. Przy każdej sposobności występywała usilnie w obronie in-

teresów czarnogórskich. Uzyskała przyrzeczenie wysłania wojsk czarnogórskich do Macedonii w zamian za obietnicę zadośćuczynienia życzeniom króla Mikołaja w sprawie podziału obszarów zdobytych na Turcyi pomiędzy Serbię i Czarnogórę.

Umowa serbsko-bułgarska, na podstawie której oba państwa rozpoczęły wojnę z Turcyą, polegała na dokładnem rozgraniczeniu w Macedonii trzech stref: bułgarskiej, serbskiej i spornej. Gdyby ostateczny podział spornej strefy między Bułgaryę i Serbię także w dalszym ciągu natrafił na nieprzezwyciężone trudności, wówczas o podziale tej spornej strefy miał rozstrzygnąć sąd rozjemczy cara, ów widomy w umowie znak dojścia do skutku związku bałkańskiego pod opiekuńczemi skrzydłami Rosyi. Serbowie zażądali rewizyi umowy gwoli uniknięcia sądu rozjemczego cara. Poparcie Rosyi już wyzyskali poprzednio, na razie było im mniej potrzebne. Nie chcieli sądu rozjemczego cara, przewidzianego w umowie, ponieważ wówczas jej postanowienia musiałyby być miarodajną podstawą rozstrzygnięcia sporu. Car mógłby im przyznać w najlepszym razie całą strefę sporną. Serbowie nie chcieli się nią zadowolnić. Pragnęli uzyskać część strefy, którą w umowie przyznali Bułgarom bez żadnych zastrzeżeń, bez odwoływania się do sądu rozjemczego. Chodziło im głównie o Monastyr, zdobyty w krwawej bitwie z Turkami, o niedopuszczenie Bułgaryi do usadowienia się na prawym brzegu Wardaru. Bułgarzy również nie mieli zamiaru odwołać się do sądu rozjemczego cara. Gotowi byli odstąpić Serbom całą strefę, uznaną w umowie za sporną.

Sąd rozjemczy cara stał się właściwie bezprzedmiotowym, ponieważ przedmiot sporu przestał być spornym. Podjęto usiłowania, ażeby skłonić Bułgaryę i Serbię do poddania się sądowi rozjemczemu cara nie na podstawie umowy dawniejszej. Bułgarya nie chciała zgodzić się na rewizyę umowy, zawartej ze Serbią. Domagała się jej ścisłego wykonania. Serbskiemu żądaniu o rewizyę umowy, przeciwstawiała swoje opróżnienia przez wojska serbskie obszarów, które stanowiły część strefy przyznanej w umowie Bułgaryi. Gromadziła wojska w Macedonii. Groziła wojną w razie niewykonania umowy przez Serbów. Z dniem

każdym rosło prawdopodobieństwo wojny między sprzymierzeńcami. Mocarstwa, złączone trójporozumieniem, nie chciały dopuścić do rozbicia związku bałkańskiego. Doradzały Bułgaryi i Serbii na wypadek rozbicia się rokowań między niemi, oddanie całego sporu pod sąd rozjemczy cara. Car rosyjski miałby rozdzielić Macedonię między Grecyę i Serbię, niekrępowany rozgraniczeniem trzech stref, przewidzianem w umowie. Mógłby więc część strefy bułgarskiej przyznać Serbom. W Petersburgu początkowo istniał zamiar usunięcia się od rozsądzenia sporu. Przewidywano, że wyrok sędziego rozjemczego nie zadowolni stron spór wiodących, że nie będzie można uniknąć narażenia sobie jednej z nich.

Chęć zapobieżenia wybuchowi wojny, równoznacznej z rozbiciem związku bałkańskiego, do którego mocarstwa trójporozumienia tak wielkie przywiązywały nadzieje, skłoniła Rosyę do zmiany zamiarów. Car oświadczył gotowość przyjęcia niewdzięcznych obowiązków sędziego rozjemczego. Rosya, wraz z Francyą i Anglią, wywierały nacisk na Bułgaryę i Serbię w duchu oddania całego sporu bez zastrzeżeń w umowie uzasadnionych sądowi rozjemczemu cara.

Ten pomysł pokojowego wybrnięcia z trudności doznał równie nieprzychylnego przyjęcia w Sofii, jak w Belgradzie. Bułgarzy obawiali się uronienia czegokolwiek ze strefy przyznanej im umową. W Belgradzie zadawano sobie pytanie, czy car, nawet w razie oddania mu do rozstrzygnięcia całego sporu bez zastrzeżeń, nie będzie się czuł skrępowany umową i czy orzeczenie jego będzie korzystnem dla Serbii? W Belgradzie chciano utrzymać porozumienie z Grecyą, któreby było de facto unicestwione sądem rozjemczym. Jego istotną treścią było doprowadzenie do wspólnych rokowań Grecyi i Serbii z Bułgaryą gwoli użyczenia sobie wzajemnego poparcia przeciw Bułgaryi. Gdyby car rozstrzygnął spór bułgarsko-serbski, wówczas Grecy musieliby sami rokować z Bułgarami. Byliby zmuszeni do znacznych ustępstw. Bułgarya wzmogłaby się bardziej, niż tego sobie Serbia życzyła. Osłabienie Bułgaryi, a więc właściwy cel porozumienia Grecyi z Serbią, byłby w znacznej mierze udaremniony. Poruszono myśl

poddania także sporu bułgarsko-greckiego orzecznictwu cara, co znowu wymagało zgody Grecyi, także mało skłonnej do bezwarunkowego oddania całego sporu w ręce Rosyi. Sprawa sądu rozjemczego wikłała się coraz bardziej.

Nie posunął jej naprzód nacisk finansowy rządu francuskiego, który groził Bułgaryi zamknięciem targu paryskiego: jeżeli dojdzie do wojny, rząd będzie odradzał kapitalistom udzielenia dalszych pożyczek. Rosya żądała od Bułgaryi i Serbii zaniechania wojny w imię idei słowiańskiej. Udzielała poparcia związkowi bałkańskiemu dla zeszeregowania raz na zawsze w jednym obozie wszystkich sił słowiańskich przeciwko naporowi niemiecko-austryackiemu. Wojna rozbiłaby związek bałkański. Wyrządziłaby szkodę nieobliczalną sprawie słowiańskiej. Wzmocniłaby wspólnego wroga. Gdy starania rządów francuskiego i rosyjskiego okazały się bezskuteczne, car sam rzucił na szalę wypadków powagę swego stanowiska. Wystosował depeszę do królów bułgarskiego i serbskiego. W stanowczych, a nawet w ostrych słowach wzywał ich do zaniechania wojny. Nie przemawiał jak równy do równego, ale niemal jak przełożony do podwładnych. Depesza carska nie zapobiegła wojnie. Groźne słowa przebrzmiały bez echa, ponieważ nie były wyrazem siły, gotowej z bronią w ręku wymusić posłuszeństwo woli carskiej. Już ze względów geograficznych, wojska rosyjskie nie mogły wkroczyć do Serbii gwoli zmuszenia jej z bronią w ręku do przyjęcia sądu rozjemczego cara. Gdyby Rosya zgodziła się na wywarcie nacisku zbrojnego przeciw Serbii przez Austro-Węgry, wówczas narzuciłaby swą wolę w Belgradzie, ale za cenę porozumienia się z Austro-Węgrami, w zamian za utratę swego wpływu w Serbii. Tą drogą pójść nie mogła, była więc właściwie bezbronną wobec Serbii. Łatwiej byłoby jej wywrzeć nacisk zbrojny na Bułgaryę. Zależało jej przedewszystkiem na dobrych stosunkach ze Serbią, ale nie chciała sobie narazić raz na zawsze Bułgaryi, ciążącej dawniej raczej ku Wiedniowi, od chwili utworzenia związku bałkańskiego pozyskanej dla Rosyi. Dzięki poparciu udzielonemu związkowi przez Rosyę wzrosły wpływy rosyjskie w Sofii. Rosya nie chciała ich stracić. Chciała utrzymać dobre stosunki z obu pań-

stwami, występywać wobec nich w roli bezstronnego sędziego rozjemczego. Nie mogła więc zbyt wyraźnie ująć się za jednem z nich. Nie mogła jednostronnie grozić wojną Bułgaryi. Była więc bezbronną także i w Sofii. Bezskuteczność dobrych rad stawała się coraz widoczniejszą. „Czas uderzyć w czynów stal". Ten, kto chciał zapobiedz wojnie bułgarsko-serbskiej, nie miał już nic więcej do powiedzenia. Mógł jeszcze próbować osiągnąć swój cel groźbami wojennemi. Rosya nie chciała sama chwycić się tego środka wobec Bułgaryi. Posłowie rosyjski i francuski w Bukareszcie zachęcali rząd rumuński do zagrożenia Bułgarom pochodem całej armii rumuńskiej na Sofię, na wypadek gdyby doszło do wojny o podział Macedonii. Równocześnie poseł austro-węgierski w Bukareszcie starał się doprowadzić do pokojowego porozumienia między Bułgaryą, a Rumunią.

Depesza carska wywołała większe wrażenie we Wiedniu, niż w Belgradzie i Sofii. Dyplomaci austro-węgierscy, zapewne nieprzeczuwając bezskuteczności depeszy, uznali za stosowne określić swe stanowisko wobec niej. W sejmie węgierskim, prezydent gabinetu hr. Tisza wygłosił mowę o polityce zagranicznej monarchii oczywiście w ścisłem porozumieniu z hr. Berchtoldem. Od dawien dawna usilnem staraniem rządu austro-węgierskiego, jest zapewnić państwom bałkańskim rzeczywistą niezależność. Rząd austro-węgierski nie żywi zamiaru podporządkowania ich wyłącznie swoim wpływom, ale zwalcza zakusy innych mocarstw, które dążą do osiągnięcia tego celu, które chciałyby państwom bałkańskim narzucić rodzaj protektoratu. Rząd austro-węgierski cieszyłby się w razie zgodnego załatwienia sporu bułgarsko-serbskiego czyto na drodze bezpośrednich rokowań, czyteż sądem rozjemczym, któremu obie strony dobrowolnieby się poddały. Ale narzucenie sądu rozjemczego z zewnątrz, uważają Austro-Węgry za sprzeczne z prawdziwą niezależnością państw bałkańskich, której zawsze broniły.

Związek bałkański zwracał się przeciw Turcyi. Pośrednio także przeciw Austryi. Rosya chciała zażegnać spór gwoli utrwalenia związku. Austrya nie poparła jej usiłowań. Trudno jej było namawiać państwa bałkańskie do przyjęcia sądu rozjemczego,

cara. Rosyła chciała utrzymać się, o ile możności, w roli bezstronnego przyjaciela obu stron, jak przystało przyszłemu sędziemu rozjemczemu. Austrya stanęła wyraźnie po stronie Bułgaryi przeciw Serbii. Dla niej utrzymanie panowania tureckiego na Bałkanach było najkorzystniejszem rozwiązaniem problemu. Ani wielka Bułgarya, ani wielka Serbia nie dogadzały jej zbytnio. Z dwojga złego wolała mniejsze, którem niezawodnie była wielka Bułgarya, mniej groźna niż Serbia, bo dalsza. Austryi zależało na załatwieniu sporu, któreby było korzystnem dla Bułgaryi. Rozumiała, jak późniejszy przebieg wypadków okazał, lepiej, niż bułgarscy mężowie stanu, że koniecznym warunkiem powodzenia Bułgaryi, niezdolnej stawiać czoła równocześnie Rumunii, Grecyi i Serbii, jest jej porozumienie się z Rumunią, którego dojście do skutku usilnie popierała.

W październiku 1912 roku w chwili wybuchu wojny bałkańskiej, ówczesny prezydent gabinetu rumuńskiego, Carp ustąpił, ponieważ król nie zgodził się na jego wniosek natychmiastowej mobilizacyi przeciw Bułgaryi. Wymieniano wówczas kilka przyczyn pokojowości króla. Nie chciał dopomagać muzułmańskiej Turcyi w walce ze związkiem chrześcijańskich państw bałkańskich. Liczył się z Rosyą, która zapowiadała, że orężnie wesprze Bułgaryę, zaczepioną przez Rumunię. Uważał przygotowanie wojenne Rumunii za niedostateczne — przyczyna pokojowości wydająca się nam w świetle najnowszych wypadków bardziej rozstrzygającą, niż wówczas przypuszczano. Rumunia na razie poniechała wojny, ale zaciągnęła znaczną pożyczkę w Niemczech, którą zużyła na zwiększenie i udoskonalenie pogotowia wojennego. Jej wydatki opłaciły się sowicie, dzięki umiejętnemu wykorzystaniu układu stosunków. We wzroście Bułgaryi kosztem Turcyi widziała przyszłe niebezpieczeństwo. Od Bułgaryi żądała terytoryalnego odszkodowania za zachowanie neutralności podczas wojny. Bezpośrednie rokowania bułgarsko-rumuńskie nie doprowadziły do pomyślnego wyniku. Za poradą wielkich mocarstw Rumunia nie chwyciła za broń. Zgodziła się na rozstrzygnięcie sporu przez ich ambasadorów, uwierzytelnionych w Petersburgu. Wielkie mocarstwa orzekły, że Bułgarya ma odstąpić Rumunii Silistryę. Rumunia na razie poddała się orzeczeniu, które tylko

w drobnej części czyniło zadosyć jej żądaniom znaczniejszego terytoryalnego odszkodowania. Czuła się ciężko poszkodowaną wzmożeniem się Bułgaryi podczas wojny. Zamiar Grecyi i Serbii zatrzymania, hoćby kosztem wojny, tych części Macedonii, które już były obsadzone przez ich wojska, stanowił zaporę nadmiernego rozszerzenia się Bułgaryi. Rumunia postanowiła dołożyć wszelkich sił celem jego urzeczywistnienia. Grecya i Serbia zapowiedziały, że chcą przeszkodzić usadowieniu się Bułgarów na prawym brzegu Wardaru. Rumunia oświadczyła się w tym samym duchu. Uznała przekroczenie Wardaru przez Bułgarów za stanowczo sprzeczne z jej żywotnymi interesami. Nie kryła się ze swymi zámiarami. Zapowiadała w Sofii, głosiła *urbi et orbi*, że wkroczy do Bułgaryi w razie wojny bułgarsko-serbskiej, celem przywrócenia dotychczasowej równowagi na Bałkanach, zmienionej skutkiem rozrostu Bułgaryi. Nie ograniczyła się do ogólników. Dokładnie określiła swe żądania. Austrya bez powodzenia doradzała Rumunii okupienie nowemi ustępstwami jej neutralności w sporze Bułgaryi z Grecyą i Serbią.

Byłyby zgoła zbędne w razie ugodowego załatwienia sporu — jeszcze jedna przyczyna, przemawiająca za unikaniem nowej wojny. Nie brakło wśród kierujących bułgarskich mężów stanu ludzi rozumiejących korzyści uniknięcia wojny. Na czele ministerstwa bułgarskiego, które zawarło przymierze z Grecyą i Serbią przeciw Turcyi stał Geszow. Pełnił w dalszym ciągu te same obowiązki w chwili podpisania traktatu londyńskiego. Nie mogąc skłonić Serbii do odstąpienia od żądania rewizyi umowy o podział Macedonii, doradzał ustępliwość wobec jej żądań, nie chciał bowiem przyłożyć ręki do zniszczenia związku bałkańskiego, w którego utworzeniu współdziałał. Chciał uniknąć wojny z tymi, z którymi niedawno zawierał przymierze, wspólnie z którymi Bułgarzy walczyli przeciwko Turkom. Chciał uniknąć wojny, nierokującej powodzenia. Danew, jego następca, nie miał równie jasno wytkniętej drogi postępowania. Geszow nie chciał dopuścić do ponownej wojny za żadną cenę. Danew groził wojną, pobrzękiwał szablą, ale przecie łudził się nadzieją, że do tej ostateczności nie przyjdzie. Tylko z tego założenia wychodząc,

wydaje mi się zrozumiałem milczenie Bułgaryi wobec rumuńskich zapowiedzi współdziałania z Grecyą i Serbią.

Bułgarya od samego początku zachowywała się nader odpornie wobec żądań rumuńskich. Rumuni nie przelali krwi w walce z Turcyą. Nie mają prawa wykorzystania zwycięstw, które inni odnieśli. Tem uczuciem przejęci, bułgarscy mężowie stanu nie rozważyli dość starannie pytania, czy Bułgarya może sobie bezkarnie pozwolić na lekceważenie żądań rumuńskich, czy jest dość silną, ażeby zapobiedz ujemnym skutkom odmowy, udzielonej Rumunii? Związek bałkański doszedł do skutku poza plecami Rumunii, aczkolwiek Rumunia zawsze uważała się — nie bez przyczyny — za państwo bałkańskie. Podział Turcyi europejskiej miał się dokonać bez jej współudziału. Bułgarya miała rozszerzyć swoje granice kosztem Turcyi, a Rumunia być bezczynnym świadkiem wypadków, stanowiących zupełne przeobrażenie stosunków na Bałkanach, z którymi jej losy były tak ściśle związane. Bułgarya byłaby najmądrzej zrobiła, gdyby była sama z siebie ofiarowała Rumunii odszkodowanie za neutralność w chwili wybuchu pierwszej wojny gwoli złagodzenia rosnącego rozgoryczenia Rumunów przeciw Bułgarom. Rumunia mogła przeboleć rozrost innych państw bałkańskich, ale nie Bułgaryi, z którą styka się długą linią graniczną, która mogła stać się dla niej groźniejszą, niż inne państwa bałkańskie. Bułgarya nie zrozumiała potrzeby zabezpieczenia sobie tyłów przez poprawę swego stosunku do Rumunii. Nie ofiarowała jej odszkodowania, a gdy Rumunia zażądała go, zachowywała się odpornie. Przewlękała rokowania. Zamiast porozumieć się bezpośrednio z Rumunią, wolała oddać sprawę orzecznictwu wielkich mocarstw. Niechętnie poddała się ich orzeczeniu, przyznającemu Rumunii bułgarską Silistryę. Niechęci swej dała jaskrawy wyraz przy sposobności wykonania orzeczenia. Niemal w przeddzień wybuchu wojny, w chwili gdy Rumunia groziła wkroczeniem do Bułgaryi, niezdolnej stawiać jej wojskom oporu nad Dunajem, ponieważ bułgarskie pułki stały w odległej Macedonii, wysłańcy rządu rumuńskiego przybyli do Silistryi celem odebrania miasta od władz bułgarskich. Orzeczenie mocarstw przyznawało Rumunii Silistryę i pas ziemi otaczający miasto w promieniu trzech kilome-

trów, ale nie oznaczało dokładnie miejsca, od którego należało rozpocząć wytyczenie owych trzech kilometrów. Bułgarzy chcieli rozpocząć wymierzenie od ostatnich domów miasta, Rumuni od wału okalającego miasto, a rozciągającego się w niewielkiej odległości od ostatnich domów. Rozchodziło się o stosunkowo niewielki skrawek ziemi, a przecie rokowania się rozbiły. Nie doszło do pokojowego oddania Silistryi Rumunom i to w chwili, gdy pozyskanie neutralności rumuńskiej mogło oddać Bułgaryi olbrzymie usługi, uratować dla niej dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych. Bułgarya ciągle jeszcze, aż do ostatniej chwili nie chciała widzieć korzyści unikania zatargu z Rumunią.

W październiku 1912 roku Rosya powstrzymywała Rumunię od rozpoczęcia wojny z Bułgaryą, ponieważ uważała zwycięstwo związku bałkańskiego za zgodne z jej interesami. Atoli już w czasie rokowań o Sylistryę, Rosya nie popierała bezwarunkowo Bułgaryi. Uznawała żądanie Rumunii o odszkodowanie za uzasadnione. Rumunia nie byłaby się zgodziła na orzeczenie ambasadorów, uwierzytelnionych w Petersburgu, obradujących pod przewodnictwem rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych, gdyby przypuszczała, że Rosya żądania rumuńskie w zupełności odrzuca. Wiedziała dobrze, że nie jest im bezwzględnie przeciwną. Już wówczas widoczne usiłowania Rosyi nawiązania lepszych stosunków z Rumunią powinny były być dla Bułgaryi ostrzeżeniem. Rosya popierała w październiku 1912 roku Bułgaryę, związaną przymierzem z innemi państwami bałkańskiemi, ale czyż mogła Bułgarya spodziewać się poparcia rosyjskiego w chwili wybuchu wojny, unicestwiającej związek, do którego dalszego istnienia Rosya tyle nadziei przywiązywała, którego usilnie i skutecznie broniła w przekonaniu, że utrwaliwszy swój byt, wzmocni trójporozumienie? Czyż Bułgarya nie zdawała sobie sprawy z tego, że Rosya wybuchem wojny, której nie zdołała zapobiedz, zmuszona wybierać między nią a Serbią, przechyli się na stronę Serbii, ponieważ Serbia może jej wywdzięczyć się usługami ważniejszymi dla niej, niż te, które Bułgarya może wyświadczyć? Rosyi zależało w pierwszym rzędzie na zapobieżeniu wojnie. Z chwilą zaś, gdy do niej doszło, zwycięstwo Serbii bardziej odpowiadało jej interesom. Już z tego powodu nie mogła

powstrzymywać Rumunii od wkroczenia do Bułgaryi. Byłaby odstręczyła od siebie Serbię, a jeszcze w wyższym stopniu Rumunię. Byłaby nie wyzyskała sposobności oderwania Rumunii od trójprzymierza. Austrya, powodowana obawą rozrostu Serbii, opowiedziała się za Bułgaryą. Chciała jej ułatwić pokonanie Serbii przez doprowadzenie do porozumienia Bułgaryi z Rumunią. Zachęcała oba państwa do wzajemnych ustępstw, zniechęciła sobie Rumunię, pałającą chęcią upokorzenia Bułgaryi, przez którą czuła się zlekceważoną. W Bukareszcie doszło do manifestacyi ulicznych przeciwko Austryi. Sympatye Rumunii zwracały się ku Rosyi, która jej nie powstrzymywała na drodze przeciwdziałania Bułgaryi, a nawet zachęcała ją za pośrednictwem swego posła do pogróżek wojennych zapewne w nadziei, że pogróżki rumuńskie skłonią Bułgaryę do ustępstw wobec Serbii, a tem samem zapobiegną wojnie bułgarsko-serbskiej. Prawdopodobnie Rosya nie przewidywała rozwoju wypadków, który doprowadził do urzeczywistnienia pogróżek.

Bułgarya nie doznała stanowczego poparcia w Bukareszcie także i ze strony Austryi. Austrya starała się odwieść Rumunię od zamiaru zbrojnego wystąpienia przeciw Bułgaryi, atoli dość platonicznie. O energicznym nacisku Austryi na Rumunię w obronie Bułgaryi mowy nie było. Austryi zależało na dobrych stosunkach z Bułgaryą. Dla osiągnięcia tego celu gotowa była ją poprzeć. Ale nie kosztem zerwania z Rumunią. Nie chciała kupować przyjaźni bułgarskiej zbyt drogo. Utrzymanie z Rumunią nadal porozumienia, zwróconego przeciw Rosyi, przedstawiało w oczach austryackich dyplomatów znacznie większą wartość, niż zwycięstwo Bułgaryi w sporze z Serbią. Nie mogli przeoczyć, że w danych warunkach Rumunia mogła z pewnością spodziewać się pomocy Serbii i Rosyi przeciw Austryi. Może liczyli się z ewentualnością nowego zatargu Austryi ze Serbią na tle spraw albańskich, może uprzytomnili sobie, że wówczas pomoc rumuńska miałaby dla Austryi pierwszorzędne znaczenie. Z chwilą, gdy bezwzględnie anti-bułgarska polityka Rumunii zmusiła Austryę do wybierania między Bułgaryą a Rumunią, Austrya staje się bardzo umiarkowaną w popieraniu Bułgaryi. Dokonuje wyboru na rzecz przeciwnika Bułgaryi. Postąpiła po-

dobnie, jak Rosya, która mając do wyboru między Bułgaryą a Serbią, przechyliła się także na stronę przeciwników Bułgaryi. Tym sposobem stało się, że Bułgarya nie doznała pomocy znikąd.

Zarówno Austrya, jak Rosya przywiązywały więcej wagi do sprawy albańskiej, niż do macedońskiej. W jesieni 1912 roku oba państwa przeprowadziły częściową mobilizacyę swych sił zbrojnych. Inne wielkie mocarstwa dawały do zrozumienia, że także wystąpią orężnie w obronie swych interesów. Wojna europejska wydawała się bliską. Podział Macedonii nie skłonił ani Austryi, ani Rosyi do mobilizacyi, inne wielkie mocarstwa również nie wzięły go sobie zbytnio do serca. Natomiast Rumunia powołała pod broń wszystkie zastępy, którymi rozporządzała. Rozstrzygnęła spór o Macedonię, nie pytając się o zdanie ani Austryi, ani Rosyi, ubezwładnionych wzajemnym antagonizmem. Sposobność do upragnionej interwencyi dała jej Bułgarya, odpowiadając milczeniem na rumuńskie przedstawienia. Bułgarzy uważali je za naruszenie petersburskiego orzeczenia o Silistryę, mocą którego Bułgarya przyznała Rumunii odszkodowanie za neutralność w czasie wojny bałkańskiej i za rozrost Bułgaryi, a w szczególności za jej usadowienie się w Macedonii. W orzeczeniu petersburskiem była nawet mowa o zobowiązaniach bułgarskich wobec Kucowołochów, zamieszkałych w Macedonii, których rząd rumuński uważa za pobratymców i którymi się opiekuje. Widocznie więc założeniem orzeczenia petersburskiego, przyjętego przez Bułgaryę i Rumunię, było uznanie praw bułgarskich do Macedonii. W chwili wybuchu wojny, Bułgarzy nie chcieli rokować z Rumunią o Silistryę, odmawiając im praw moralnych do odszkodowania. Wreszcie odszkodowanie dali. Odmawiali jej nowych ustępstw, powołując się na swe prawa uzasadnione w petersburskich układach, ale znowu nie rozważyli dostatecznie pytania, czy rozporządzają siłami potrzebnemi do wytrwania w odmowie, do odparcia wroga? Rumunia dała im czas do namysłu. Już w chwili zaostrzeża się zatargu bułgarsko-serbskiego powiadomiła ich o zamiarze wkroczenia na wypadek wybuchu wojny.

Nie liczyli się z jej żądaniem w nadziei wyparcia Serbów i Greków z Macedonii pogróżkami wojennemi. Rusofilski gabinet

Danewa nie słuchał rad austryackich dyplomatów, starających się usilnie o doprowadzenie do skutku porozumienia bułgarsko-rumuńskiego. Nie prosił Rosyi o pomoc w Bukareszcie, ponieważ uwierzył obietnicom rosyjskiego posła w Sofii, że Rosya, chcąc zapobiedz grożącej wojnie, rozbiciu związku bałkańskiego, Serbię skłoni do wykonania umowy o podział Macedonii, ongi z Bułgaryą zawartej. Chciał uniknąć wojny z Grecyą i Serbią gwoli utrzymania nadal dobrych stosunków z Rosyą. Najpewniejszym sposobem osiągnięcia tego celu, było zadość uczynienie żądaniom Grecyi i Serbii. Na poniesienie tej ofiary Bułgarzy zgodzić się nie chcieli w poczuciu swej siły, a może jeszcze bardziej w poczuciu słuszności swej sprawy. Ich żołnierze rozstrzygnęli wojnę z Turcyą. Ich wojska poniosły największe straty. Ludność Macedonii, przeważnie bułgarska, w znacznej większości domaga się przyłączenia do Bułgaryi. Umowa ze Serbią, którą obecnie Serbia, nienasycona zrzeczeniem się przez Bułgaryę całej strefy spornej, wiarołomnie chce zerwać, najoczywiściej stwierdza ich prawa. Nie chcieli się ich zrzec. Nie chcieli wojny ze względu na Rosyę i Rumunię, ze względu na własne wyczerpanie. Liczyli więc na wpływy rosyjskie w Belgradzie. Tamtejszy poseł rosyjski, Hartwig przyrzekł Pasiczowi prawy brzeg Wardaru. Sazonow jednego ze swych posłów musiał się wyprzeć. Było łatwem do przewidzenia, że Rosya Bułgaryę opuści. Tego obrotu wypadków nie przewidział rząd bułgarski. Zaślepiony chęcią owładnięcia Macedonii, nie ocenił należycie trudności przeprowadzenia zamiarów, których wyrzeczenia się nie chciał żadną miarą brać pod uwagę. Budował na obietnicach posła rosyjskiego, któremu zawierzył, mimo ich oczywistej niewiarygodności, bo wiara w nie była jedynem uzasadnieniem nieodwołalnie z góry postanowionego odrzucenia żądań serbskich. Gdyby rząd bułgarski zamiast polegać na swych prawach i liczyć na pomoc Rosyi zadał sobie pytanie, czy siły Bułgaryi wystarczą do wyparcia z Macedonii Serbów i Greków, popieranych przez Rumunów bez cudzej orężnej pomocy, byłby prawdopodobnie oszczędził narodowi i państwu klęski, która zniweczyła przeważną część korzyści osiągniętych w krwawej wojnie z Turkami. (Dok. nast.).

A. Krzyżanowski.

Program szkół kmiecych.

Rada ogólna Tow. Kółek rolniczych zebrana w Złoczowie dnia 10. lipca b. r. uchwaliła jednomyślnie dosłowny tekst rezolucyi, wniesionej przezemnie jeszcze w ubiegłym roku, a przyjętej już także uchwałą walnego zgromadzenia c. k. Tow. rolniczego krakowskiego jakoteż przez wiec oświatowy Tow. Szkoły ludowej w Krakowie w dniu 14. kwietnia b. r. Rezolucya brzmi jak następuje:

„Wobec strat znacznych, ponoszonych przez całe społeczeństwo polskie skutkiem braku wykształcenia prawniczego, administracyjnego i politycznego ludu polskiego, szczególnie zaś braku oryentacyi w interesach własnych na polu kredytu hipotecznego oraz w polityce agrarnej, przedstawia się zadanie jak najrychlejszego uświadomienia go na punkcie własnych, jakoteż ogólno-narodowych spraw, w którym mu dziś już rozstrzygająca przypada rola, jako najważniejszy punkt programu społecznej działalności w obecnej chwili, dążącej do wzmocnienia tego tak ważnego stanu. Mowca przedkłada wniosek domagający się:

1) „założenia zimowych, kilkomiesięcznych kursów rolniczych dla młodzieży włościańskiej na wzór takichże w Bawaryi a u nas już w Królestwie Polskiem, tudzież

2) założenia kursów dopełniających dla dorosłych włościan na wzór uniwersytetu chłopskiego w Ratyzbonie, celem udzielania tymże koniecznych w prywatnem i publicznem

życiu zasad gospodarstwa społecznego, prawa, administracyi, rachunkowości i nauk handlowych, oraz wciągnięcia ich do czynności praktycznych jak prowadzenia Kółek rolniczych i Spółek handlowych i wogóle kooperatywy włościańskiej, również do przygotowania ich do służby w autonomii gminnej, powiatowej i krajowej a nawet państwowej, do której ludność włościańska ma pełne i niezaprzeczone uprawnienie".

Motywowałem go krótko, z powołaniem się na trzy moje w tej mierze publikacye:

1) Organizacye włośc. w Niemczech („Przewodnik Kółek rolniczych") 1910,

2) Kooperatywa włośc. w Niemczech („Przegląd emigracyjny") 1912.

3) O potrzebie podniesienia świadomości społecznej i politycznej naszego włościaństwa („Przegląd powszechny" 1912) które, jako zawarte w pismach ogólnie czytanych, znane być winny większości zgromadzonych a zwłaszcza biorących udział w debacie i posłużyć mogły już dawniej do sformułowania konkretnych, do naszego terenu zastosowanych wniosków.

Uzupełnić muszę obecnie motywowanie odnośne paru uwagami, nie występującemi tak jaskrawo w cytowanych publikacyach dla tego choćby, iż położenie społeczne, ekonomiczne i narodowe uległo od ich ogłoszenia znacznej i poważnej zmianie, tak, iż wymaga przyspieszenia odnośnej akcyi — żeby nie stała się.... spóźnioną.

Chodzi o szkołę kmieci — o wychowanie ludności włościańskiej do wysokości zadania, jakie dziś ciąży na niem zarówno z tytułu otrzymania prawa wyborczego do Rady Państwa o jakiem mu się dawniej nie śniło[1] jakoteż ze względu na

[1] Powołuję się na członków Koła polskiego z czasów *hr. Taffego*, którzy poświadczą, iż postulatem „Związku chłopskiego" była jedynie „bezpośredniość głosowania" w kuryi włościańskiej dla usunięcia t. zw. starościńskich wyborów, na co im odpowiadano wyjaśnieniem, iż interes żywiołu polskiego w Galicyi wschodniej jest sprawą przedewszystkiem ludu polskiego, którego synowie dotychczas używają konstytucyjnego prawa służby publicznej na całym terenie Galicyi, i że zatem wszelkie radykalne zmiany ustaw wyborczych tę sprawę naraziłby na niebezpieczeństwa.

konieczność uświadomienia go na punkcie najważniejszych jego interesów,[1] jak przedewszystkiem głód ziemi, wynikły z rozdrobnienia i przepłacenia gruntów w zachodnich powiatach kraju i potrzeba ochrony jego życia i pracy w ciągłych a dalekich wędrówkach przy równoczesnem wychodzeniu ziemi z rąk polskich w powiatach wschodnich. Oba te momenta w obecnej chwili ze zdwojoną występują potęgą.

Dążność reformy Sejmu krajowego, tego łącznika naszej dzielnicy z tradycyą samorządu Rzeczypospolitej polskiej i jej świetną historyą obrony chrześcijaństwa i zaludniania zniszczonych zagonami tatarskiemi kresów jużto odbitymi brańcami jassyrów, jużto świeżą kolonizacyą z Zachodu — oto fakt jeden, wysuwający się (może li tylko sztucznie) na plan pierwszy.

Czytając pisma dzisiejsze, a przedewszystkiem ludowe, możnaby sądzić, iż poza tym problemem nie ma już żadnych innych zadań społecznych czy narodowych, któreby załatwić należało. Zrównanie stanów na punkcie wyborów jednych — oszołomiło działaczy ludowych do tego stopnia — iż zanim nawet zdołali się sami przekonać o zbawczych skutkach reformy — a tem mniej przekonać ogół polski o korzyściach takiej np. zmiany, iż cały wschód Galicyi w miejsce fachowych a polskich agraryuszów, którzy wykazać mogli milionowe rezultaty swoich prac dla dobra całej ludności tamtejszej[2] — stworzono atmosferę gorączki, w której już tylko „reforma wyborcza“ ma prawo głosu, i że jej opóźnienie podlega.... z najwpływowszych sfer ludowych wyszłej groźbie przewrotu, jakiby nastąpił przez wprowadzenie czteroprzy-

[1] vid. *H. W.* Świadomość narodowa ludu a reforma wyborcza. (Gaz. Narodowa 1894).

[2] Uratowanie uprawy tytoniu, będącej na schyłku w r. 1890 i podniesienie takowej dziesięćkrotne z rezultatem około 43 milionów koron dla ludności czysto włościańskiej — podniesienie chowu bydła i zwiększenie jego zdrowotności (w r. 1902 nie było już ani jednej miejscowości zamkniętej z powodu zakaźnych chorób) — jakoteż wprowadzenie soli bydlęcej — ustawa o agentach emigracyjnych i inicyatywa (dotychczas niezniszczona) stworzenie ustawy i opieki państwowej nad emigracyą, a w każdym razie usunięcie szykan paszportowych. uprawianych pod pozorem opieki — to wszystko chyba nie

miotnikowości w dziedzinie całej krajowej autonomii — lub strajku rolnego nawet polskich włościan ku wspomożeniu lub rozszerzeniu podobnych, a samobójczych tendencyi forytowanych przez ruskie hajdamactwo i jego organa. Że w tej chwili wołanie o racyonalne uświadomienie społeczne i narodowe staje się najpilniejszym postulatem — to chyba dojrzeć łatwo!

Wszak świadkami jesteśmy tendencyi innego zupełnie „uświadomienia" rzeszy w sukmanie, która słucha na wiecach bez protestu takiego twierdzenia, iż dopiero zupełne usunięcie mandatów kuryi pierwszej dać może rękojmię naprawienia krzywdy itp. zamiast domagać się sprawozdania z działalności konkretnej dzisiejszych czteroprzymiotnikowych posłów i rezultatów ich pracy nad dobrem wyborców, a zatem kraju całego,[1] lub czyta w „Przyjacielu ludu" (np. nr. 55.) że kolonizacya wewnętrzna jest wyzyskiem chłopa, który bez emigracyi popadłby w nędzę, a stąd skłonność do... mordów... pożogi, lub zdanie swego naczelnego wodza, że „nie pójdzie na taką zdradę ludu, jak popieranie jego wrogów podolskich przez kolonizacyę ich gruntów, boć przecież emigracya do Kanady jest najlepszym środkiem i t. p. (Cyt. podł. Kuryera lwowsk.).

Że takie epizody nietylko są bezpośrednią szkodą, lecz wogóle symptomem, którego groźne skutki na innych polach życia narodowego dadzą się odczuć — nie ulega to kwestyi. Łatwowierność i podatność włościaństwa na podszepty płytkiej a radykalnej frazeologii, nie liczącej się z prawdziwemi jego potrzebami, lecz zadawalniającej się schlebianiem próżności i obiecywaniem mamideł — oto choroba, wynikająca z ogólnego usposobienia narodowego a bujająca w chwili prze-

---

egoizm „nierobów i wyzyskiwaczy przywileju kuryalnego do własnych celów i „szkodników", którzy zrujnowali budżet krajowy" (n. b. chyba przez podniesienie wydatków na oświatę ludową do 30 milionów blisko, t. j. 50% całego budżetu krajowego) — to chyba dowód, iż rezultaty owego „przestarzałego" systemu nie były tak ujemne.

[1] v. *H. W.*: Wiece rolnicze i sprawozdania poselskie. (Tygodnik roln.) 1907 r.

łomu skutkiem braku przygotowania — po prostu: analfabetyzmu politycznego i społecznego (na szczęście, już nie narodowego!) najszerszych rzesz ludowych dziś liczbą swą decydujących nietylko o swoich, ale o najważniejszych narodowych sprawach! Jeżeli dodać do tego brak wszelkiej wiedzy fachowej w dziedzinie własnego powołania t. j. produkcyi rolniczej i organizacyi handlowej, cóż dopiero oryentacyi w elementarnych kwestyach prawnych, której brak czyni włościaństwo polskie i ruskie ofiarą wyzysku lub marnotrawnego pieniactwa[1] nie można się dziwić ani zubożeniu, ani masowemu, często bezcelowemu i rujnującemu obieżyświatowstwu, które nasz naród w pogardę oddaje cywilizowanego świata i odbiera resztę skrupułów coraz bezwzględniejszego i brutalniejszego wyzysku ze strony handlarzy ciałem i pracą ludzką, ani — co najgorsze, ekonomicznej i nieprzełamanej obojętności na najważniejszą sprawę nietylko ludową, ale narodową, o której się poprostu słuchać nie chce wiecownikom, rozmarzonym nagonką na obszarników i reformą wyborczą i oświatową „ku zrównaniu stanów".

Jakkolwiek sprawę tę traktuję na innej drodze — muszę tu wspomnieć choćby tylko o obserwacyach poczynionych przy odnośnej pracy.

O potrzebie ratowania ziemi polskiej na kresach i zużytkowania pracy polskiej tamże mówi się na seryo i programowo od lat 20-tu. Zasadniczo sformułował ją ś. p. Szczepanowski.[2] Referat o „emigracyi", powierzony mi przez Koło polskie w r. 1891 wyszedł w *Gaz. Narodowej* w r. 1892/3[3] — obecnie przedrukowany[4] zawierał już cały pro-

[1] Obliczono jeszcze przed 20 laty, iż ilość spraw załatwianych przez urzędnika sądowego w Galicyi jest kilkanaście razy większą, od odpowiedniej cyfry w innych krajach koronnych np. w Styryi — w czem lwią część stanowią same „bagatelki" i „pyskówki" rujnujące swojemi kosztami czasem najbogatszych włościan i t. p. Cenny przyczynek do znajomości tej sprawy stanowi odczyt posła Matakiewicza Zgrom. kółek roln. w Złoczowie 1913.

[2] *St. Szczepanowski*: „Nędza Galicyi" i inne pisma społeczne.

[3] *H. W.*: Emigracya ludu i nasze w obec niej zadania. (Gaz. Narodowa 1892/3).

[4] *H. W.*: Emigracya ludu i program ochrony. (Przegląd powszechny 1913).

gram, w którym skonstatowano głód ziemi i rozdrobnienie gruntów w powiatach zachodnich, brak sił do pracy i przeciążenie finansowe rozległych obszarów ziemi polskiej w powiatach wschodnich i wskazano postulat kolonizacyi wewnętrznej, któraby, dając ziemię bezrolnym na częściowo skolonizowanych folwarkach, podniosła ich wartość i utrwaliła posiadanie zarówno w interesie właścicieli, jakoteż całego narodu, dla którego każda piędź ziemi kresowej drogą jest spuścizną a zarazem obronną w walce o przyszłość twierdzą.

Kolonizacyi wewnętrznej, którą podjąć należało odrazu i to pod egidą organizacyi agrarnej gal. Tow. kredytowego ziemskiego, stanął na drodze z miejsca konserwatyzm swoją obawą przed wpływem drobnej własności w tej instytucyi i upartą obroną zastarzałych statutów wykluczających tę drobną własność[1] — równocześnie zaś spekulacya banków parcelacyjnych, wyzyskujących obie strony interesowane swojem kosztownem i nie zawsze uczciwem pośrednictwem[2] zniechęciła sfery ludowe polskie do tego stopnia, iż kredyt parcelacyjny instytucyi włości rentowych likwiduje rocznie po kilkadziesiąt tysięcy[3] morgów, obciążonych dotychczas 4% pożyczką gal. T. K. Z. na rzecz zupełnie innych żywiołów, jak te, które o wprowadzenie włości rentowych tak gorliwie petycyonowały.[4]

To całe niepowodzenie myśli organicznej, zawartej w programie wewnętrznej kolonizacyi polskiej na polskich obszarach tego samego kraju, zawinione zarówno ślepotą

---

[1] Reforma odnośna Tow. kredyt. ziemsk. (Landszafty) W. Ks. poznańskiego nastąpiła już w r. 1883 i wydała na 5 milionów M. zgórą pożyczek w jednym roku przy kursie $3^1/_2$% listów 101%. (Dziennik pozn. 1888).

[2] Proces b. polskiego banku parcelacyjnego przerwano rzekomo z powodu zbyt wielkiej ilości winnych — zaś dwom włościanom poszkodowanym przez to bankructwo kazano złożyć 60.000 koron na koszta procesu subskrybowanego, którego się domagali.

[3] 500.000 morgów w ubiegł. 10-leciu — a 104 000 w roku 1912 — z zapowiedzią podwojenia tej cyfry w r. b.

[4] v. Uchwała posłów włościańskich dnia 4. grudnia 1902 we Wiedniu o przyspieszenie ustawy o włościach rentowych i stworzenie komitetu mężów zaufania ludu do zapośredniczenia osadnictwa i t, d.

kierujących w kraju czynników, jak analfabetyzmem społecznym i politycznym polskiego włościaństwa, które dotychczas woli wałęsanie się po obcych krajach i wysługiwanie wrogom za marną cenę[1] — niż poważny dorobek w rodzinnym kraju — winno być ostrzeżeniem, iż coś ważnego brakuje w naszej organizacyi społecznej, kiedy pod okiem tylu patryotów, tylu urzędowych i nieurzędowych kierowników i przyjaciół ludu tak wiele marnuje się ziemi i pracy narodowej wtenczas właśnie, gdy wszystko woła o wzmocnienie narodowego organizmu ku odzyskaniu praw boskich i ludzkich, jakie już innym, po pięciu wiekach niewoli przypadły w udziale!

A tym brakiem jest chyba nic innego, jak niedostateczne oświecenie, niedostateczne uświadomienie ludu na terenie jego najważniejszych potrzeb, niedostateczne wyszkolenie na punkcie najważniejszych zadań, których spełnienie dziś mu przypadło w udziale — brak samodzielności myśli i organizacyi pracy, a zatem marnotrawstwo największych dóbr, jakie narodom przysługują i konieczne są dla nich właśnie w chwilach światowych przesileń.

Wynika stąd potrzeba szkoły....

W kraju, w którym połowa budżetu (około 28 w 60 milionach koron rocznie) służy celom oświaty ludu — wydawałoby się podobne hasło czemś nieprawdopodobnem: przecież tak jest stanowczo — i charakterystyczną jest tylko formuła, w jaką ujęte są najnowsze, najmodniejsze w tej mierze żądania.

Oto w referatach oświatowych, na „oświatowych", na cześć Kościuszki odbywanych wiecach w r. 1912/13 usłyszeliśmy krytykę obecnego wychowania publicznego lecz nie w tym duchu idącą, iż by żądano powiększenia ilości nauczycieli szkół ludowych względnie lepszego pilnowania przymusu szkolnego celem usunięcia literalnego przy poborach wojskowych wykazywanego analfabetyzmu, lub utyskiwano na brak specyalnych i fachowych a do potrzeb włościaństwa zastosowanych (choćby tylko pół-

[1] Cyfry importu gotówki z zagranicy, jakkolwiek posłużyły do usunięcia szykan paszportowych — nie stanowią ekwiwalentu zmarnowanych sił setek tysięcy morgów straconych dla Polski na zawsze!

rocznych lub paromiesięcznych) szkół rolniczych — lecz uderzono na dwustopniowość szkół elementarnych, jako ubliżającą godności stanu włościańskiego, z kategorycznem, dwukrotnie już (bo na wiecach oświatowych w r. 1912 i 1913 w Krakowie) w rezolucyach wyrażonem żądaniem zrównania szkół elementarnych wiejskich z miejskiemi, celem „zrównania stanów", co rozumiano chyba w ten sposób, iż odtąd nauczyciel najniższej szkółki wiejskiej winien mieć studya równe profesorowi szkół średnich lub wyższych i t. p. Dokąd prowadziłaby taka tendencya, wynika choćby z cyfr budżetu krajowego, w którym oświata ludu, tak wysoko dotowana, musiałaby zostać podwojoną, by módz opłacić owych doktorów filozofii, pożądanych dla „zrównania stanów" w szkole ludowej — poza czem pozostałby nie spełnionym postulat założenia jeszcze wielkiej ilości szkół wiejskich, potrzebnych do usunięcia prostej nieznajomości czytania i pisania u naszych włościan.

Że taki postulat „zrównania stanów" nie zgadza się już wcale z potrzebą realną założenia specyalnych szkół rolniczych dostępnych dla włościan i wychowujących synów ich na światłych, ale prostych i prawdziwych kmieci, którzyby na tych rozdrobnionych gruntach należyte osiągnęli plony — nie jest jasnem chyba dla tych tylko, którzy powtórzyli w r. 1913 bezmyślnie przeszłoroczne perory wiecu oświatowego o zniesienie dwustopniowości — mimo zapadłych już na walnem zgromadzeniu c. k. Tow. roln. krakowskiego, a powyżej cytowanych rezolucyi o założenie szkół kmiecych niższego i wyższego rzędu! Wszak te rezolucye — wyraz rzetelnego uznania godności stanu włościańskiego i potrzeby udzielenia mu fachowych, dla jego zawodu koniecznych a dla służby publicznej w Kółku rolniczem, gminie, powiecie, kraju czy nawet państwie niezbędnych elementów rolnictwa i nauk społecznych, jakoteż praktyki funkcyi publicznych — już z założenia swego opierają się na zasadzie nierówności stanów i potrzebie wychowania stanu kmiecego na specyalnych metodach, odpowiadających jego potrzebom i możnościom. Bo te potrzeby i możności są odmienne u lu-

dności wiejskiej, o tem chyba nie chcą wiedzieć owi synowie włościańscy — dziś posłowie i redaktorowie lub kandydaci na te godności, obnoszący owe frazesy pedagogiczne, których wprowadzenie w życie, jak rujnujące dla budżetu krajowego, tak bezpłodnem byłoby dla bezpośrednio interesowanych. Tym przecież bowiem chodzić może chłopu chyba nie o zrównanie stanów — ale o osobisty i stanowy dobrobyt i jak najskuteczniejsze i najszybsze a najmniej kosztowne wychowanie swych synów na mądrych kmieci i obywateli, świadomych potrzeby solidarności i wspólnej obrony wszystkich, z ziemią rodzinną związanych interesów.

Takich szkół nam potrzeba koniecznie i bezzwłocznie, gdyż bez nich synowie włościańscy uciekać będą z kraju jak włóczęgi i zwiększać zastępy obieżysasów lub tych zwichniętych jednostek, które w karyerze podrzędnego bo niefachowego robotnika fabrycznego szukać muszą chleba.

Te szkoły muszą nosić cechę odrębną od szablonu w kraju utartego jużto miejskich szkół dopełniających, jużto krajowych niższych szkół rolniczych, o trzyletniej nauce.

O tych ostatnich zajmująca i wyczerpująca rozprawa na zgromadzeniu Tow. roln. okręgowego dnia 22. kwietnia w Krakowie wypowiedziała już stanowczą opinię. Są one — podług tego — wszystkiem, prócz tego, do czego zmierzały. Nie wychowują ani gospodarzy samodzielnych, gdyż ci szukają szkół wyższych, ani oficyalistów prywatnych a tem mniej kmieci wiejskich, gdyż trzy lata studyów i życia w internacie na koszt kraju wytwarza w nich wymagania i przyzwyczajenia, których ani chata wiejska, ani ekonomówka nie zaspokoi! Większość abituryentów, nawet z dobremi świadectwami podlega wykolejeniu, a w każdym razie uważa nabyte wiadomości rolnicze raczej za przeszkodę w dalszej karyerze.

Potrzeba oczywista wskazuje założenie szkół włościańskich o jak najkrótszem trwaniu nauki i najmniejszych kosztach i jak najmniejszej dywersyi w trybie domowego życia; tak co do obowiązków na rodzinnym zagonie jak co do potrzeb i przyzwyczajeń życiowych.

Potrzeba ich wyraża się w powodzeniu tych wielkich, kilkudniowych kursów rolniczych, urządzanych przez Oddziały Towarzystwa rolniczego i gospodarskiego, jakoteż Tow. Kółek rolniczych i coraz żywszy w nich udział włościaństwa. Czy jednak nie wynoszą słuchacze takiego kursu pewnego chaosu w głowie po usłyszeniu w ciągu tych dni tylu wykładów, które gdzieindziej na lat kilka są rozłożone? Czy nie wyrabia się czasem illuzya, iż się rozumie już wszystko i nie potrzeba już nikogo się radzić ani niczyjej uznawać wyższości? Czy nie wyrasta z tego znana u nas megalomania, prowadząca do przyjmowania poważnych i odpowiedzialnych referatów fachowych przez osoby wybrane na podstawie jakiejś oratorskiej kwalifikacyi, poza którą żadna, ale to żadna do tego nie istnieje kompetencya? Zdaje się, że niejedno nawet poselskie sprawozdanie o ileby zostało zwołane — skończyćby się mogło „przepadnięciem" szanownego posła i obrońcy narodu z egzaminu, jakiemuby go poddali fachowo wyszkoleni agraryusze, których obecnie zastępuje...

Dlatego to w innych krajach jest inaczej... W Bawaryi nie słychać perorowania na zbyt nizki poziom szkół elementarnych; natomiast z kursów kilkudniowych lub kilkutygodniowych wyłoniły się kursa i szkoły włościańskie z internatami, w których chłopscy synowie i córki odbywają poważne studya przez 5—6 zimowych miesięcy, kiedy się mogą od domowych oderwać zajęć, by w warunkach zupełnie domowemu odpowiadających życiu, przejść szereg wykładów i praktycznych ćwiczeń w dziedzinie włościaninowi potrzebnych gałęzi wiedzy.

Taką próbę zrobiono w Bawaryi i udała się znakomicie. Założono — kosztem nie kraju, bo ten tak jak Galicya żyje bardzo obciążonym budżetem — ale z dochodów organizacyi włościańskiej, liczącej blizko 160.000 członków o 1 m. 5 pf. rocznej wkładki.[1] Kilka szkół włościańskich zimowych z inter-

[1] Rechenschaftsbericht & Centralstelle d. Kath. Bauernvereine Regensburg 1912.

H. W.: Organizacye rolnicze w Niemczech (Przew. kółek roln. Lwów 1910).

H. W.: O podniesieniu świadomości społecznej i politycznej naszego włościaństwa. (Przegląd powszechny 1912).

natami po folwarkach klasztorów OO. Dominikanów, Benedyktynów lub Trapistów — naśladowano to samo w kilku zakładach znakomitych w Król. Polskiem, w czem dowód wykonalności podobnego przedsięwzięcia i na terenie ziem polskich — a jednomyślne uchwały powyżej wspomniane dowodzą także i dobrej woli podniesienie podobnej inicyatywy naszej dzielnicy.[1] Szkoda atoli, że dyskusya nad tym przedmiotem poszła na tory trochę niewłaściwe, co już wprost szkodliwie wystąpiło w drukowanem sprawozdaniu,[2] gdzie — obok wykreślenia autentycznego brzmienia wniosku i skrócenia go do rozmiarów kronikarskiej wzmianki — rozszerzono wywody następnych mowców do takich rozmiarów, że pochłonęły myśl konkretną, wykonalną i już gdzieindziej własnemi siłami rolników wykonaną i naraziły ją, jeżeli nie na przeoczenie, to na niewykonalność. Bo takim byłby los projektu kursów rolniczych zimowych w *iunctim* z żądaniem, by Wydział krajowy asygnował subwencye na założenie domów ludowych po gminach w celach oświaty i towarzyskich zebrań i t. p.

Myśl wspaniała zapewne, tak jak n. p. owe historyczne życzenie króla Henryka IV. o „kurze w garnku" urzeczywistnione dopiero od czasu powstania chłopskich *syndicats agricoles*, które scentralizowały cały obrót handlowy francuskiego rolnictwa — ale stawianie jej w *iunctim* z założeniem zimowych półrocznych kursów rolniczych, których potrzeba zaraz lub takichże kursów, wyższych, któreby kmieciom dawały obywatelskie wychowanie i polityczną oryentacyę — równałoby się jej odrzuceniu *ad calendas Graecas*... Dlatego było to krokiem naprzód, gdy usłyszałem o gotowości zarządów pewnych folwarków, należących do Kongregacyj Duchownych względnie instytucyj dobroczynnych do urządzenia takich kursów rolniczych lub ogrodniczych w swoich zagrodach. Przewidziałem to w przemówieniu 31 marca przy motywowaniu odnośnego wniosku i mogłem nawet wymagać, by takie folwarki, w rękach ludzi oddanych

---

[1] Szkoły rolne ogromnie są rozpowszechnione w Szwecyi i w krajach i.
[2] Tygodnik rolniczy 20 kw. 1913.

służbie Boga i bliźniego stały się takim samym rozsadnikiem oświaty i organizacyi rolniczej włościańskiej, jaki w Bawaryi na podobnym katolickim gruncie tak znakomite ludowi oddaje usługi i w tym kierunku u czynników wpływowych owego kraju odpowiednie znalazły poparcie. Wypłynął stąd wniosek wybrania *ad hoc* komitetu wykonawczego, któryby natychmiast porozumienie z odnośnymi zarządami doprowadził do skutku, wniesiony przezemnie na zgromadzeniu Tow. roln. okręg. dnia 22 kwietnia. Tymczasem — zanim nastąpią w tej sprawie konkretne decyzye, zwracam uwagę na główne zasady odnośnego urządzenia i kierownictwa, jakoteż stronę finansową podobnych zakładów.

Co do tej strony ostatniej, to przy całej ofiarności Sejmu na cele oświaty ludu i odnośne obarczenie budżetu krajowego — rozpoczynanie dzieła od przyzwolenia i dotacyi Wydziału krajowego uważam za narażanie go na opóźnienie i dlatego uważałbym za wskazane rozpoczęcie odnośnej pracy środkami organizacyi rolniczych i samychże interesowanych czynników.

Urządzenie jak najprostsze paru pokoi w dworku do nauki, rozlokowanie wychowańców na razie po chatach miejscowych, na własnym wikcie, przynoszonym co tydzień ze wsi rodzinnej, ubranie skromne, o ile możności ludowe. Program nauk podług n. p. wzoru Nałęczowskiego[1] z uzupełnieniami zastosowanemi do naszego kraju.

Nauka: Religii i służenia do Mszy św. (ewentualnie gry na organach); lektura i ortografia; budowa ciała ludzkiego i zwierzęcego jakoteż zasady fizyologii normalnej i chorobowej; budowa i życie roślin. Nauka fizyki i chemii odnośnie do roli; gleboznawstwo praktyczne i uprawa roli. Uprawa roślin i hodowla zwierząt ze wskazówkami do kupna i sprzedaży inwentarza rozpłodowego i użytkowego.

Zasady finansowości gospodarstwa chłopskiego i jego

---

[1] Prof. Surzycki (Tyg. rolniczy 1912) przedstawił ten program szczegółowo.

różnicy od folwarcznego.[1] Książkowość włościańska podług wzorów rozdawanych przez Centr. Tow. roln. w Król. Polskiem i Tow. gosp. gal. Mleczarstwo i opas bydła. Praktyka obsługi aparatów mleczarskich do indywidualnego i spółkowego gospodarstwa zastosowanych.

Główne zasady przepisów, odnoszących się do gospodarstwa włościańskiego z dziedziny prawa cywilnego handlowego i wekslowego, a także ustaw agrarnych, jak wodna, myśliwska, rybacka komasacyjna, melioracyjna (zakładanie spółek wodnych) pokazy melioracyj gruntów na wycieczkach w okolice meliorowane n. p. powiat mielecki i t. p. Praktyka obchodzenia się ze zwierzętami domowemi w zdrowiu i chorobie i połogu. Praktyka przemysłu domowego w dziedzinie młynarstwa, piekarstwa, wyrobów mięsnych i odnośnego handlu. Kooperatywa handlowo-rolnicza w teoryi i praktyce na przykładach obcych i swoich. Propaganda kooperatywy, jako nowoczesnej broni włościaństwa przed wyzyskiem ze strony pośredników. Zasady polityki agrarnej w zastosowaniu do potrzeb włościańskich i narodowych, specyalnie kolonizacyi folwarków, tak ważnej ze względów gospodarczych i narodowych w niektórych powiatach Galicyi. Geografia agrarna zwłaszcza odnośna do naszego kraju, a także innych krajów rolniczych. Nauka i praktyka ochrony pracy i należytego spieniężania jej owoców, a w związku z tem: Sprawa emigracyi i wędrówek zarobkowych: wyjaśnienie konieczności ochrony emigracyi na zasadzie stowarzyszenia i współdziałania na obczyźnie i w kraju w celu zachowania łączności rodzinnej i narodowej z emigrantami i ochrony owoców roli pracy — przedewszystkiem zaś organizacya pracy w rodzinnym kraju celem powstrzymania niekoniecznych a szkodliwych wędrówek młodzieży.[2]

---

[1] O ile nasza literatura i nauka obfituje w wykłady i dzieła o gospodarstwie folwarcznem większych kompleksów, o tyle konstatujemy zupełny brak na punkcie gospodarstwa kilkomorgowego, które przecież coraz większego nabierać musi znaczenia skutkiem parcelacyi i włościańskich dzierżaw na folwarcznych gruntach

[2] *H. W.*: Emigracya ludu i program ochrony. (Przegl. pow. 1913).

Nauka i praktyka prowadzenia czynności w kółkach i spółkach rolniczych gminne i publiczne celem wykształcenia zdolnych kierowników kooperatywy wiejskiej, ławników, wójtów i pisarzy gminnych, a także sędziów polubownych w myśl ustawy odnośnej z propagandą korzystania jej przepisów i ochrony włościaństwa od pieniactwa i t. d.

Zasada kursu półrocznego zimowego, od którejby się rozpoczęło odnośną akcyę, rozwinąć się może w dalszym ciągu w ten sposób, iż wychowańcy mogą fakultatywnie pozostać w zawiązku z zakładem także w miesiącach letnich (ewentualnie za zapłatą sezonowych robotników) lub przechodnio w tym charakterze lub jako płatni praktykanci do innych gospodarstw. Podobnież dalszy rozwój programu odnośnego szkolnictwa mógłby rozszerzyć jego ramy fakultatywnie na drugi sezon zimowy wzgl. letni celem więcej szczegółowego wyszkolenia wychowanków jak to ma miejsce w bawarskich szkołach klasztornych w St. Ottilien, Badhausen, Plankstetten, Weltenburg, gdzie odnośne kursa odbywają się przez dwie zimy — a także i już w niektórych zakładach Król. Polskiego, jak n. p. w Pszczelinie pod Warszawą w internacie 11 miesięcznym na folwarku 76 morgowym, prowadzonym wprost znakomicie sumptem Tow. pszczelniczo-ogrodniczego z opłatą 80 rubli od ucznia i t. d.

Powyższe uwagi odnoszą się na razie do jednego typu szkół sezonowych włościańskich, któreby objęły wychowanie młodzieży wiejskiej po ukończeniu szkoły elementarnej, więc w wieku około lat 15.

O ile u nas pożądanem być musi udzielenie sposobności już dojrzałym włościanom do nabycia zarówno rolniczej wiedzy jak obywatelskiego poglądu i przygotowania do należytego prowadzenia zarówno gospodarstwa własnego jak funkcyj publicznej — rozwinąłem obszerniej już na innem miejscu,[1] gdzie podałem szczegółowy już prawie program kursów włościańskich (także 5—6 miesięcznych) na wzór uniwersytetu chłopskiego w Ratyzbonie.

[1] Przegląd powszechny, Kraków, lipiec 1912.

Wspaniałe rezultaty osiągnięte na terenie katolickiego, a tak wysoko kulturalnego narodu jak Bawarczycy — i dobry przykład ten naśladowany już na innych miejscach[1] — dają rękojmię, iż podobne przedsięwzięcie i u nas dałoby się zaprowadzić. U nas tem ono pilniejsze, że pożytek istniejących szkół rolniczych niższych minimalny, a potrzeba światła coraz większa!...

Możeby siły nauczycielskie, jakie marnują się dzisiaj w tych szkołach — dały się lepiej użyć w tych kursach nowego typu, gdzie z pewnością znaczny pożytek przybyłby ze współdziałania światłych czynników sfer duchownych, ziemiańskich i miejskich!

* * *

Słyszymy czasem także o projektach lub próbach udzielania nauki rolnictwa i rzemiosł pewnej kategoryi żołnierzy w czynnej służbie będących.[2] O ileby formalizm regulaminów służby wojskowej dopuszczał tego rodzaju zajęcia — byłyby one z pewnością niesłychanie cennem urozmaiceniem tak długiej służby pod sztandarem i zbliżeniem poborowca do rodzinnej chaty, jej potrzeb i zadań, od których w ciągu tak długiej rozłąki mógłby odwyknąć.

Dobra wola światłej starszyzny wojskowej, tak wysoko w tem Państwie uobywatelonej mogłaby tutaj, przy współdziałaniu ludzi cywilnych wyż wymienionych kategoryj oddać sprawie ludowej niezmierne usługi, przyczem koszta odnośnych urządzeń i procederów wypadłyby wprost minimalne.

H. Wielowieyski.

[1] Otrzymałem niedawno program podobnych kursów zaprowadzonych już w Tyrolu w r. z.

[2] Podobną próbę wykonaną ze świetnym rezultatem poznałem świeżo w pewnych koszarach wojskowych pod Warszawą, gdzie kapitan K. od lat szeregu prowadzi z podwładnymi żołnierzami kurs hodowli grządkowej roślin ziarnowych i jarzyn na wzór japoński, której się osobiście jako jeniec wojenny nauczył. Rezultaty kultur grządkowych wspaniałe, a żołnierze podobno długo jeszcze po wysłużeniu pisują do swego ukochanego bat'ka.

(Przyp. dodatkowy późniejszy).

Z okazyi kursu katechetycznego w Krakowie.

Plan nauczania i podręczniki nauki religii w wyższem gimnazyum.

W konkretnych warunkach ułatwia osiągnięcie celu nauki religii i zastosowanie odpowiedniej metody dobry plan nauczania. W żadnej może sprawie metodyki religijnej niema dziś tylu rozmaitych zdań i poglądów, jak w sprawie planu nauczania w szkole średniej. Na zeszłorocznym Kongresie Wiedeńskim dla katechetyki odłożono naumyślnie na sam koniec obrad referat prof. dr. J. Hoffmanna z Monachium p. t. „Plan nauczania religii w szkole średniej". Czyniono to z obawy, że z powodu zbyt rozbitych zdań owoc kongresu spełznąłby na niczem. Prof. dr. Edward Kraus z Wiednia oświadcza w *Christlich-Pädagogische Blätter*", (Wien 1912. Str. 321), że było to jedyne wyjście dla uniknięcia fatalnej dysharmonii. „Brak poprostu podstaw, są to jego słowa, dla traktowania tej kwestyi na jakiemś wspólnem zebraniu. Tyle tu niejasności, tyle różnorodnych nieporozumień, tu i ówdzie jednostronnych sądów, że wiele jeszcze przedwstępnych prac trzebaby ukończyć, zanim będzie się można odważyć na ostateczną rezolucyę w czasie jakiegoś Kongresu". Myślę, że w tem zapatrywaniu prof. Krausa jest dużo przesady i że odkładanie tak palącej kwestyi na dalszą metę, a zwłaszcza, jak chce prof. Kraus, aż do zupełnego teoretycznego roztrzą-

śnięcia i wedle możności praktycznego wypróbowania rozlicznych specyalnych zagadnień, jest niedopuszczalne. Plan nauczania religii ma mieć na oku religijne wychowanie naszej młodzieży, a zatem cel praktyczny i nie cierpiący wprost zwłoki wobec jasnych niedostatków obecnego planu. Niema żadnej potrzeby, aby plan nauki religii w szkole średniej był teoretycznie ostatniem i nieomylnem słowem naukowej katechetyki. Takiem zresztą nigdy nie będzie i być nie może, bo przyszłość przyniesie z sobą nowe zagadnienia. Zresztą plan nauczania nie określa szczegółowo metody, choć w ogólnych liniach musi być do niej zastosowany.

Od planu nauki religii należy wymagać, aby objął systematycznie całość nauki religii w takiem stopniowaniu zakresu i pogłębienia religijnych prawd i obowiązków, któreby odpowiadało umysłowej dojrzałości i moralnej potrzebie dorastającej młodzieży. Plan austryacki, którego się obecnie trzymamy, ma za sobą bardzo poważne racye, tak logiczne i rzeczowe, jak psychologiczno-dydaktyczne. Uzasadnił to bardzo trafnie wytrawny praktyk i teoretyk w katechetyce Prof. Dr. L. Krebs z Wiednia w uwagi godnym artykule czasopisma *Christlich-Pädagogische Blätter*" (1912, str. 258). Przyznaje wspomniany autor, że obecny plan ma niezaprzeczone braki, ale przestrzega przed nierozważną innowacyą, która w praktyce mogłaby bardziej jeszcze być szkodliwą. Trzeba zatem taki obmyśleć plan, który nie usuwając zalet starego planu, ominąłby jednak jego pedagogiczne braki. Chciałbym tu podać myśl, która mi się nasunęła w ciągu mojej działalności w zawodzie katechety dla wyższych klas szkoły średniej. Ograniczam się tylko do klas wyższych, gdyż doświadczenia moje obracały się jedynie w tym zakresie.

Podział nauki religii na dogmatykę ogólną i szczegółową, etykę i historyę Kościoła jest bez wątpienia uzasadniony. Uczeń powinien znać podstawy wiary katolickiej, a zatem Boski autorytet Kościoła w rzeczach wiary i obyczajów, następnie poznać treść wiary katolickiej, a na podstawie nauki wiary zapoznać się z nauką obyczajów. Tego wymaga logiczne następstwo prawd i obowiązków z nich płynących, jakkolwiek w praktyce

katecheta zawsze będzie musiał przy dogmatyce wskazywać na wpływ prawd wiary na życie moralne i przy etyce odwoływać się do nauki o dogmatach wiary. Chodzi więc najbardziej o historyę Kościoła, którą niektórzy chcieliby przełożyć do klasy piątej. Uważam tę myśl za zupełnie chybioną i piszę się zupełnie na zdanie prof. Krebsa, który pisze we wspomnianym artykule:

„Z natury rzeczy historya kościelna zajmuje miejsce na końcu, gdyż jako łącznik między objawieniem a obecnymi czasami wymaga uprzedniej znajomości obydwóch; a zatem zarówno znajomości faktów odnoszących się do objawienia, jego źródeł i treści, jak poglądu na kulturalne stosunki naszych czasów. Taki zaś pogląd dają uczniowi nauki świeckie, zwłaszcza historya w wyższych klasach. Do tego dołącza się jeszcze czysto praktyczna potrzeba traktowania w najwyższej klasie takiego przedmiotu, któryby dawał sposobność do powtórzenia materyału, wziętego w całem gimnazyum i zwłaszcza do apologetycznego wyjaśnienia wciąż na nowo wyłaniających się trudności. To zaś sprawdza się właśnie w historyi Kościoła".

Chciałbym jeszcze uzupełnić te słuszne wywody prof. Krebsa. Na pograniczu między szkołą średnią a życiem akademickiem trzeba koniecznie ucznia wprowadzić w życie, i objaśnić mu te prądy wieku, którymi przesiąknięte jest dzisiejsze społeczeństwo. Najlepiej można to uskutecznić na tle historyi Kościoła, oczywiście traktowanej ze stanowiska kulturalnego jego wpływu na jednostki i cywilizacyę narodów i całego społeczeństwa ludzkiego. Każdy katecheta, który uczył historyi Kościoła w VIII. klasie z uwzględnieniem kulturalnego jego wpływu na wszystkie dziedziny wiedzy i życia, oraz uwzględnieniem apologetycznych potrzeb młodzieży, przyzna mi, że w jednym roku, a zwłaszcza w klasie VIII., nie można osiągnąć tego celu nauki historyi Kościoła, gdyż uczeń myślący o maturze niema ani czasu, ani swobodnego umysłu, ani po prostu sił do tak olbrzymiej pracy przy dwóch godzinach tygodniowo. Wcale tu nie myślę o pomnożeniu szczegółów i faktów w podręczniku, owszem podręcznik powinien być krótki, ale jędrny. Katecheta jednak musi mieć czas, aby uczniom

z korzyścią dać pogląd na kulturalną działalność Kościoła na wewnątrz i na zewnątrz. Stąd trzeba poświęcić nauce historyi Kościoła dwa lata, a więc rozdzielić ją na klasę VII i VIII. W klasie VII. należałoby wziąć historyę Kościoła aż do połowy XVII. wieku, tak, aby w klasie VIII. rozpoczęła się historya Kościoła od okresu oświecenia antychrześcijańskiego. Na konkretnem tle prądów antychrześcijańskich i antyreligijnych, od deistów, encyklopedystów, naturalistów aż do dzisiejszych monistów i modernistów, można wybornie rozwinąć całą apologetykę, która będzie miała tę nieocenioną wprost zaletę, że nie będzie musiała pouczać najpierw o zarzutach niedowiarków i ich poglądach, ale będzie mogła odrazu rozprawiać się z rzeczywistymi antyreligijnymi prądami naszej epoki. Uczeń klasy VIII. spotyka się w historyi, zwłaszcza w historyi literatury, wciąż z nowożytnemi hasłami, wrogiemi Kościołowi i religii, jest zatem wprost palącą potrzebą, aby w nauce religii uwzględniano je należycie. Na tle historyi Kościoła XVIII i XIX. w. da się to najłatwiej uskutecznić, bo zrozumienie genezy i rozwoju prądów antyreligijnych w połowie już ułatwia rozprawianie się z nimi. Sądzę jednak, że nie należy się tu ograniczyć tylko do apologetycznych dygresyi, ilekroć się okazują potrzebne. Nie przydałoby się to na wiele bez systematycznego przedstawienia apologetyki. Trzeba zatem w VIII klasie brać ścisłą apologetykę w ramach historyi Kościoła. Wyjaśnię tę myśl choć trochę obszerniej, aby naszkicować tło dla dyskusyi w tej sprawie.

1. Zaprzeczeniu Boskiego pochodzenia chrystyanizmu i Objawienia wogóle przez deistów i racyonalistów rozmaitych odcieni trzeba przeciwstawić dowody o pozytywnym charakterze Objawienia, a zatem wykazać niedostateczność rozumu w sprawie religii, możliwość i konieczność Objawienia, jego faktyczne ogłoszenie i skrystalizowanie w Kościele katolickim. Należy tu także uwzględnić fałszywość subjektywizmu w religii i niedorzeczność wybujałej mistyki i teozofii i podkreślić zasadniczy autorytet Kościoła hierarchicznego. Wobec ponownego odrodzenia towianizmu i odróżnienia Kościoła ducha od kościoła hierarchi-

cznego jest to dzisiaj koniecznie potrzebnem, bo z Towiańskim i jego historyozofią Polski spotyka się każdy ósmak.

2) Oświecenie antyreligijne, które pod hasłem postępu nauk przyrodniczych szerzyło i szerzy materyalizm i panteizm w rozmaitych formach naturalizmu, darwinizmu, ewolucyonizmu, monizmu, nasuwa z natury rzeczy sposobność do wykazania za pomocą rozumu fałszywości i niedorzeczności wszelkiego materyalizmu, wewnętrznej sprzeczności panteizmu i wogóle wszelkiego monizmu, prowadzi tem samem do udowodnienia, że istnieje osobowy Bóg, będący najwyższą przyczyną stwórczą wszechświata, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że człowiek ma wolną wolę i że prawo moralne bierze swą sankcyę wiekuistą z rąk Boga-Sędziego.

3. Absolutyzm państwowy i w związku z nim dążenie do ograniczenia wolności Kościoła, które objawia się w Kościele katolickim jako gallikanizm, febronianizm, józefinizm, a w kościołach akatolickich przybiera cechę kościołów krajowych, państwowych, nastręcza okazyę do wyjaśnienia stosunku Kościoła do państwa i do ustalenia w umyśle ucznia praw Kościoła do swobodnej działalności w duchu Chrystusowym. Liberalizm polityczny, Machiawelizm, zasada wszechmocy państwowej, zamachy stanu, obalenia tronów przez rewolucyę, rozbiory cudzych państw, wszystko ma tu znaleść odpowiednie oświetlenie ze stanowiska katolickiego, które nie może się pogodzić z odłączeniem polityki od moralności i religii. Także rozdział Kościoła i państwa w myśl liberalizmu politycznego należy odpowiednio tu uwzględnić.

4. Nie mniej ważną jest, aby uczeń wobec dążeń ekonomicznego liberalizmu i reagującego przeciw niemu socyalizmu zapoznał się z zasadami socyalnemi Kościoła, oraz z instytucyami społecznemi, które Kościół albo do życia powołał, albo czynnie popiera, a zwłaszcza z działalnością Kościoła na polu miłosierdzia chrześcijańskiego.

5. Po bankructwie na polu ekonomii społecznej, liberalizm przerzucił się na pole etyki i umysłowości ludzkiej pod hasłem „wolnej, niepodległej myśli i w następstwie wolnej szkoły".

Ósmak powinien w nauce religii znaleźć jasne pouczenie o stosunku wiary do wiedzy, autorytetu Kościoła do wolności badania i nauczania, filozofii objektywistycznej do subjektywistycznej, aby na uniwersytecie umiał sobie radzić w rozmaitych trudnościach i wątpliwościach, jakie się zewsząd myślącemu akademikowi narzucają.

6. „Nowoczesna kultura, jest w gruncie rzeczy kulturą doczesną, zewnętrzną, techniczną, kulturą rozumu i dlatego niedostateczną, chybioną, niezadowalającą i bezradosną" — jak powiada Bisk. Keppler.[1] Trzeba jej przeciwstawić kulturę prawdziwą, a więc wewnętrzną, kulturę serca i duszy na tle eucharystycznego życia, a więc najrealniejszej łączności z Bogiem.

Bynajmniej nie chciałem podać wykończonego zarysu rozdziałów takiej apologetyki na tle historyi Kościoła ostatnich czasów, lecz wyjaśnić tylko myśl, która, jak mniemam, może dorzucić cegiełkę do trudnej sprawy planu nauczania religii w szkole średniej. Maturzysta z wielkiem zajęciem będzie się zajmował nauką religii, która wprowadza go w życie i daje mu silną ostoję wobec niezliczonych opinii i haseł naszej ery. Przytem apologetyka tak pojęta nie obarcza pamięci ucznia, lecz zwraca się głównie do rozumu na podstawie skądinąd już znanego tła naszej kultury.

Ale, skąd wziąść czas na dwa lata historyi kościelnej? Sądzę, że ta sprawa po uwagach powyższych nie powinna już przedstawiać zbytniej trudności. Wobec tego, że trudne kwestye apologetyczne, które dla uczniów V i VI klasy są przedwczesne i przechodzące ich rozwój umysłowy, są przesunięte do klasy ósmej, można w klasie V. brać dogmatykę ogólną i szczegółową, a w VI. klasie etykę. Z dogmatyki szczegółowej można opuścić szczegóły, które więcej obchodzą teologa, aniżeli ucznia, a z dogmatyki ogólnej trzebaby wziąść tylko tyle, by uczeń zrozumiał, na czem opiera się autorytet Kościoła w sprawach wiary i obyczajów. Gdyby się pokazało, że materyał dla V. klasy byłby zbyt obszerny, to bez trudności możnaby naukę o Sakramentach św. przełożyć do kla-

[1] Więcej radości. Warszawa 1913. str. 18.

sy VI, wyjaśniając w klasie V. tylko po krótce ich związek z dogmatyką. Miałoby to i tę korzyść, że Sakramenta św. uwydatniłoby się bardziej ze stanowiska ich wpływu na życie etyczne. W VI. klasie nie brakłoby czasu do traktowania nauki o Sakramentach, bo według powyższego projektu trudne dla uczniów kwestye liberalizmu, socyalizmu, stosunku wiary do wiedzy należałyby do klasy VIII. Zdaje mi się, że pożytki takiego rozkładu nauki wiary i obyczajów na klasę V i VI. są widoczne. Nauka wiary w V. klasie miałaby cechy rozszerzonego katechizmu w zestawieniu systematycznem, nie w formie pytań i odpowiedzi. Nauka obyczajów zaś w klasie VI jest dziś bardzo pożądaną ze względu na wiek przejściowy uczniów i zdaniem mojem stanowczo będzie korzystniejsza, aniżeli w klasie VII. Wobec tego, że kwestye etyki niezależnej, socyalizmu i t. p. będą traktowane w klasie VIII., będzie można naukę etyki oprzeć na psychologicznych bardziej podstawach i ująć ją tak, by przedstawiała zarys kształcenia charakteru katolickiego.

Reforma planu nauczania tak pojęta nie jest tak radykalną, by miała szkodzić prawidłowemu rozwojowi młodzieży i wnieść zamięszanie w obecny tryb nauki religii. Zachowuje ona logiczno-rzeczowe i psychologiczno-dydaktyczne zalety starego planu, a usuwa wedle możności jego braki.

Nie podobna przewidzieć, czy, kiedy i w jaki sposób doczekamy się nowego planu nauczania. Na razie zatem trzeba dążyć do tego, aby przy obecnym planie, o ile możności, osiągnąć cel nauki religii. W tym celu należałoby zreformować podręczniki. Doświadczenie moje pokazuje, że początki dogmatyki ogólnej są dla uczniów zbyt abstrakcyjne. Wywody o istocie i podziale religii, o możliwości objawienia wogóle i objawienia tajemnic w szczególności, o możliwości cudów i t. p. są dla uczniów nieuchwytne. Nie pojmują, do czego to wszystko dąży, choć się im to tłumaczy raz po raz. Uczą się na pamięć ustępów z książki lub wyjaśnień katechety, ale nie rozumieją doniosłości kwestyi. Pomijam już, że należałoby rozpocząć od istnienia P. Boga, chcąc w sposób apologetyczny brać dogmatykę ogólną. W podręcznikach dowody o istnieniu Boga znajdują się w dogmatyce

szczegółowej, dlatego, że w piątej klasie brak odpowiedniego rozwoju uczniów dla ich zrozumienia. Że to umieszczenie w dogmatyce szczegółowej jest niestosowne, tego nie potrzeba udowadniać. Dowody o istnieniu Boga są pewne wobec samego rozumu, jak określił Sobór Watykański, a przez umieszczenie ich w dogmatyce, uczeń łatwo je odniesie jedynie do wiary, zwłaszcza, że dzisiejszy modernizm tak głosi w licznych książkach i rozprawach.

Możnaby na początku dogmatyki ogólnej położyć dowód z porównawczej historyi religii, że wszystkie narody wierzyły w Boga i miały religię. Religia we wszystkich narodach występuje jako religia objawiona i pod powłoką najdziwaczniejszych nieraz mitów odkrywamy resztki pierwotnego objawienia, zawierającego wiarę w życie rajskie, tradycye o grzechu pierworodnym, o potopie. W czystej formie znajdujemy tę wiarę w Biblii Starego Zakonu, z której też poznajemy przyczynę nieskazitelnego zachowania tych prawd. P. Bóg obrał sobie bowiem Abrahama i jego rodzinę za spadkobiercę swych obietnic i stróża wiary. Stąd możnaby już przejść do rozwoju objawienia patryarchalnego, potem Mojżeszowego i proroczego, wreszcie do uzupełnienia objawionej religii przez Jednorodzonego Syna Bożego, Jezusa Chrystusa. Objawienia zaś tegoż stróżem i tłómaczem jest jedynie prawdziwy Kościół Chrystusowy, mianowicie Kościół katolicki. W ten sposób partye abstrakcyjne dałyby się stosownie do uzdolnienia uczniów tłumaczyć na tle historycznem. Uczniowie piątej klasy znają już historyę starożytnego wschodu i na każdej niemal stronie widzą tam, że kultura starożytnych wykwitła z religii. Mielibyśmy więc przez to odpowiednią koncentracyę przedmiotową.

W dogmatyce szczegółowej trzebaby dowody o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy i wolności woli odłączyć od właściwej dogmatyki i traktować je na początku, jeśli już koniecznie w VI. klasie, brać je trzeba. Nie trzebaby wtedy psuć całokształtu dogmatyki przez dygresyę innego zupełnie porządku. Świat nadprzyrodzony powinien jasno wystąpić jako uwieńczenie porządku natury, przyczem na wewnętrzny związek dogmatów silniejszy trzeba położyć nacisk.

Podręcznik etyki, mamy jedyny tylko podręcznik Dr. Szczeklika, powinien być przystępniejszy dla uczniów. Etyka ogólna u Szczeklika jest skrótem filozofii moralnej i zbyt abstrakcyjną. Trzebaby w etyce pokazać, nie jakim katolik pod względem etycznym być powinien, ale jak się prawdziwie etycznym katolikiem staje. Metoda odpowiadająca psychice młodzieńczej ułatwi osiągnięcie wychowawczego celu etyki.

Wreszcie podręcznik historyi Kościoła powinien w wielkich rysach podać kulturalny wpływ Kościoła na tle starożytnego świata, dalej właściwość kultury chrześcijańskiej w wiekach średnich, przyczem dobrze odróżnić należy zasadnicze i niezmienne pierwiastki katolickie od zmiennych i czasowych form, w których się objawiają w historyi. Na tem tle reformacya przedstawia się nie tylko jako reakcya przeciw niewątpliwym nadużyciom i brakom, ale jako zupełny przewrót zasad chrześcijańskich, zwłaszcza jako zaprzeczenie prawowitego autorytetu Kościoła na korzyść subjektywizmu w religii. Chrześcijaństwo nie hierarchiczne, jak je stworzył Luter, musiało paść ofiarą państwowych zakusów, przybrać formę kościołów krajowych, podczas gdy prawdziwa reforma, nie obalająca zasad Chrystusowych, zwłaszcza zasady autorytetu stolicy apostolskiej, doprowadziła do nowego rozkwitu życia kościelnego i nauki kościelnej.

W dalszym ciągu możnaby się trzymać wytycznych myśli, które powyżej podałem.

Może na dyskusyach I. kursu katechetycznego w Krakowie doświadczeni katecheci wypowiedzą swoje zdanie co do poruszonych przez nas ważnych zagadnień. Omówienie życzeń, odnoszących się do podręczników nauki religii, jest z pewnością pierwszym warunkiem do stworzenia nowych, potrzebom bardziej odpowiadających książek szkolnych. Nie odkładajmy pracy nad ulepszeniem nauki religii w szkole średniej na później, bo młodzież nasza potrzebuje doraźnej i gorliwej pomocy wobec ciężkich warunków, wśród których dorasta. Nie patrzę się pesymistycznie na młodzież szkół średnich, owszem wierzę, że szlachetne uczucia duszy polskiej żyją nadal w naszej młodzieży. Trzeba, aby katecheci rozumieli młodzież, aby nawiązywali do jej młodzieńczych

pragnień i idei, i wprowadzali ją na drogę ukochania prawdziwych ideałów: prawdy, dobra i piękna, jaśniejących w religii katolickiej. Katolik, żyjący z wiary, pełen miłości Boga i bliźnich, będzie też prawdziwym synem Polski, który dla matki w niewoli nie pożałuje ni grosza, ni pracy i życia. Przebudowa narodu niech będzie najpierw przebudową w Chrystusie.

Ks. Ernest Matzel.

Edykt Kaliksta.[1]

Przyczynek do dziejów dogmatu.

Nie upłynęło jeszcze lat pięćdziesiąt, odkąd dowiedzieliśmy się, że Kalikst wydał jakiś edykt. Rozporządzenie dziś związane z jego imieniem przypisywano dawniej ogólnie papieżowi św. Zefirynowi. Pojawienie się tego dekretu, o którym świadczył Tertulian na początku swego dzieła *De pudicitia*, mogło być dopiero wyjaśnione na podstawie innego dzieła, mianowicie na podstawie niespodziewanie odnalezionych *Philosophumen'ów*. Około tych dwóch źródeł historycznych obraca się cała kontrowersya, którą zamierzamy rozpatrzyć i zbadać.

Pomiędzy wszystkiemi pismami Tertuliana dzieło *De pudicitia* wyróżnia się gwałtownemi napaściami na „psychików" (katolików) w ogólności, a w szczególności na wysoką osobistość kościelną, której zarzuca zdradę moralności chrześcijańskiej.[2]

Tertulian dowiaduje się, że opublikowano edykt, edykt peremptoryczny. Najwyższy Kapłan, biskup biskupów oświadcza: „Ja odpuszczam grzechy cudzołostwa i nieczystości tym, którzy czynią za nie pokutę". I gdzież to ogłasza taką łaskę?

[1] Autor niniejszej pracy, Francuz, znany pisarz na polu patrystyki, redaktor wielkiego słownika apologetycznego i profesor w Instytucie paryskim, udzielił nam łaskawie ostatniego rozdziału swojej książki, która pod powyższym tytułem, w tych dniach opuści prasę. *Redakcya.*

[2] W tej sprawie zabieraliśmy głos w dziele, Théologie de Tertulien. Paris 1905., str. 478—491.

Pewnie w miejscu dla niej odpowiedniem, nad bramą złych lokali, na odwrotnej stronie sztandaru namiętności? Ależ nie! To się czyta w Kościele, o tem się głośno w Kościele mówi, a przecież kościół jest dziewicą! Czyż może być coś straszniejszego dla Kościoła nad tę proklamacyę!

Przez długi czas była ta inwektywa Tertuliana jedynym śladem historycznym edyktu przypisywanego powszechnie papieżowi Zefirynowi (około 210—218). Dopiero *Philosophumena*, opublikowane przez Emm. Millera w 1851 r. w Oxfordzie, doniosły o zupełnie podobnym edykcie za następnego pontyfikatu Kaliksta (218—223). Anonimowy autor, którym był według ogólnie już dziś przyjętego mniemania św. Hipolit,[1] wówczas w ostrej walce z Kościołem rzymskim, piętnuje imiennie Kaliksta papieża za to, że zbrodniczo ośmielił się popierać występek, udzielając mu przebaczenia bez żadnych ograniczeń.

Zupełne podobieństwo sytuacyi, oraz uderzająca bliskość dat wiodły do przypuszczenia, że rozchodzi się o ten sam wydany edykt. Hypoteza postawiona w r. 1866 przez Rossi'ego,[2] poparta przez Harnacka,[3] dzisiaj pozyskała prawie wszystkie głosy za sobą,[4] że tym papieżem był Kalikst. Tak ten edykt Zefiryna stał się edyktem Kaliksta.

Słowo edykt, prawdopodobnie niewłaściwe, ale wygodne, nie przesądza żadną miarę kwestyi co do natury tego aktu biskupiego: czyto był list pasterski, czy rozstrzygnięcie w jakimś szczególnym wypadku; czy zarządzenie dotyczące wnętrznej administracyi, czy też mające na celu zapobieżenie propagandzie heretyckiej. Te i tym podobne kwestye pozostają nierozstrzygnięte nawet po wysiłkach M. Preuschen'a[5] i Rolffs'a,[6]

---

[1] Kwestyę autorstwa Philosophumenów omówiłem w Théologie de saint Hippolite p. XXIV—XLIII. Paris 1906.

[2] *De Rossi*: Bulletino di archeologia cristiana, str. 26.

[3] *Harnack*: Zeitschrift für Kirchengeschichte 1878., tom II. str. 582.

[4] *Por. Rolffs*: Das Indulgenzedict des römischen Bischofs Kallikst. Kritisch untersucht und reconstruirt: Texte und Untersuchungen XI. 3. str. 9. Leipzig 1893., z wieloma odnośnikami.

[5] *Preuschen*: Tertullians Schriften De poenitentia und De pudicitia mit Rücksicht auf die Bussdisciplin untersucht, str. 48. 49. Giessen 1890.

[6] *Rolffs*: op. cit. str. 103—117.

podjętych za naszych czasów w celach rekonstrukcyi tekstu. My zajmiemy się przedmiotem mniej określonym i może bardziej uchwytnym, mianowicie chcemy zbadać znaczenie i miejsce, jakie edykt Kaliksta zajmuje w rozwoju urządzeń pokutnych. Pod tym względem dużo już nadyskutowano od lat trzystu.

Traktat *De pudicitia* dał powód już od XVII. wieku do dwóch tłómaczeń odmiennych. Jezuita Petau[1] zajmował się nim trzy razy i nie wahał się poprawić swe zdanie. W r. 1622 utrzymywał w swych uwagach nad św. Epifaniuszem, że aż do czasów Zefiryna papieża Kościół odmawiał zupełnie przebaczenia za bałwochwalstwo, za zabójstwo i za nieczystość. W r. 1633 odwołał to twierdzenie w swych spostrzeżeniach nad Synesiuszem i, oparłszy się szczególnie na powadze 13 kanonu nicejskiego, postawił twierdzenie, że ta surowa praktyka nigdy nie obejmowała śmiertelnie chorych. W r. 1643/4 wydając dzieło o pokucie publicznej i o przygotowaniu do Komunii przeciw janseniście Antoniemu Arnauld, wyraża się oględniej, ale na ogół utrzymuje swe twierdzenie z przed lat 10: jeśli nie ma pojednania kanonicznego, nie ma też Komunii — dla tych trzech kategoryi grzeszników; prawdopodobnie wyjątek stanowi niebezpieczeństwo śmierci, jak sądzą poważni autorowie.

W tym samym czasie Jan Morin, słynny oratoryanin, wytworzył sobie inne zdanie o starodawnych urządzeniach pokutnych, a także i przedmiotach sporu między katolikami a montanistami. Według jego zapatrywania główny powód sporu polegał na tem, że katolicy przypuszczali do pokuty publicznej największych nawet grzeszników, jak bałwochwalców, wszetecznych i zabójców i dawali im dobrodziejstwo pojednania, podczas gdy montaniści chcieli ich wprawdzie dopuścić do pokuty, ale nie dać pojednania. Wystąpienie Zefiryna ograniczało się tylko do zamiaru złagodzenia warunków pokuty dla jednej kategoryi grzeszników, mianowicie dla nie-

[1] Wszystkie teksty zebrane można znaleźć w dziele *Dionysii Petavii S. J.* Opus de theologicis dogmatibus. Venetiis 1757. C. VI.

czystych. Tak swe zapatrywanie wykłada Morin w dziele o urządzeniach pokutnych, wydanem po raz pierwszy w r. 1651.[1]

W tymże samym roku, w którym ukazało się dzieło Morina o urządzeniach pokutnych, jezuita Sirmond wyrażał w swej *Historyi pokuty publicznej*[2] zapatrywania dość zbliżone do idei Petawiusza. Z drugiej strony i Morin miał poprzednika w osobie uczonego biskupa z Orleans, Gabryela de l' Aubespine;[3] miał też uczniów i kontynuatorów w osobie dominikanina Aleksandra Noël,[4] kardynała Orsi[5] i innych. Wstrzymujemy się od gromadzenia innych nazwisk. Będzie za to z większą korzyścią zająć się nowoczesnemi syntezami dogmatycznemi, którym prace dawniejsze posłużyły za punkt oparcia.

Zapatrywanie, którego reprezentantami w XVII w. byli Petawiusz i Sirmond, miało w naszych czasach wielkie powodzenie. Uzupełniono je i wydoskonalono tak, że wielkiego powabu zaprzeczyć mu niepodobna. Idąc śladami pewnych wskazówek, których wartość należy jeszcze zbadać, sądzono, że można przyjąć za pewnik, że do czasów Kaliksta trzy grzechy główne uważane były za nieodpuszczalne; Kalikst pierwszy miał złagodzić tę surowość, dając rozgrzeszenie za grzechy cielesne; w trzydzieści lat potem papież Korneliusz uczynił nowy krok na drodze pobłażliwości, przypuszczając do pojednania apostatów, winnych ofiarowanie bożyszczom za czasów prześladowania Decyusza; wreszcie w czasach jeszcze późniejszych, których jednak trudno dokładnie określić, nawet zabójstwo z kolei zostało wymazane z katalogu grzechów nieodpuszczal-

---

[1] Joannes Morinus Congr. Orat. Commentarius historiics de disciplina in administratione sacramenti paenitentiae l. V. 2, 6. Venetiis 1702 p. 177, B.

[2] *S. Sirmond S. J.*: Historia paenitentiae publicae. Paryż 1651.

[3] *G. de Aubespine*: De veteribus Ecclesiae ritibus. Observationum libri II. Paryż 1623.

[4] *Noël Aleksander O. P.*: Historia Ecclesiastica. Paryż 1699.

[5] *Card. Orsi O. P.*: Dissertatio historica, qua ostenditur catholicam Ecclesiam tribus saeculis capitalium criminum reis pacem et absolutionem neutiquam denegasse. Medyolon 1730.

nych. W ten sposób miało stale postępować łagodzenie pierwotnej surowości. Na Kaliksta przypada najważniejsza część w tej odmianie, ponieważ odważając się pierwszy na rozgrzeszanie nieczystych, zrobił wyłom, którym wejść miały wszystkie inne późniejsze złagodzenia.

Powabna ta hypoteza służy za podstawę do rozbieżnych syntez teologicznych, zależnie od tego, czy nią posługują się teologowie protestanccy czy katoliccy.

Według myśli protestanckiej, rozwój karności kościelnej był tylko wynikiem równoległego rozwoju dogmatu, który się dokonywał na terenie sobie właściwym. W ciągu trzeciego stulecia kościelna hierarchia uświadomiła sobie stopniowo to, o czem do tego czasu nie wiedziała; mianowicie, że posiada nadaną przez Założyciela władzę odpuszczania grzechów, popełnionych po chrzcie, choćby były nie wiedzieć jakie i według tego rozumienia zaczęła postępować. Katolicy nie dają wiary temu odkryciu; utrzymują, że Kościół posiadał zawsze świadomość tej nieograniczonej władzy, którą posiadał, z której jednak nie chciał robić użytku, ze względów roztropności, aż do chwili, kiedy w ciągu trzeciego wieku zaszłe wypadki przywiodły go do wyjścia ze swej dotychczasowej rezerwy. Przedstawicielem syntezy protestanckiej jest Harnack.[1] Synteza katolicka ma swego przedstawiciela w M. Funk'u i historykach od niego zależnych.

Przytaczamy tu zdanie Harnacka w jego formie najświeższej.

Była jedna ustawa, która w szczególniejszy sposób opóźniała przyjęcie się i zaaklimatyzowanie Kościoła w świecie i przemianę społeczności świętych w jakąś instytucyę zbawczą, a tą ustawą było prawo wykluczające na zawsze wielkich grzeszników ze społeczności chrześcijańskiej. Jeszcze aż do końca drugiego wieku to wykluczenie zupełne było karą za odstępstwo do kultu bożyszcz (chybaby odstępca naprawił swój błąd przez rozgłośne wyznanie wiary przed przedstawicielami władzy. Ep. Lugd. u. Euzeb. H. E. V. 1 i nast.), za cudzołostwo, poróbstwo i zabójstwo. Nie przesą-

[1] *Harnack*: Lehrbuch der Dogmengeschichte (wyd. 4. tom I. str. 439—444). Tybinga 1909.

dzało to jednak o przebaczeniu bożem, którego kazano się apostatom spodziewać w życiu przyszłem po pokucie, trwającej aż do śmierci. Wyjątek w tej teoryi stanowiła — może nawet często — ingerencya Ducha, który nadzwyczajnym jakimś sposobem (zwłaszcza przez męczenników, wyznawców i pokutujących) nakazywał albo uprawniał do przyjęcia napowrót do Kościoła upadłych jego członków (por. Hermas). Ustawa ta odpowiada dawnemu pojęciu, które w Kościele upatrywało społeczność świętych, pozbawioną takiej instytucyi naprawczej, żeby mogła w każdym wypadku naprawić zepsute dzieło chrztu, a odpuszczenie grzechów ciężkich łączyło wprost w bezpośrednią ingerencyą Boga. Wogóle mówiąc, praktyka musiała odpowiadać teoryi. Jednakowoż w ciągu drugiego wieku wyrobił się zwyczaj udzielania jednorazowej pokuty za przeważną ilość grzechów po ich publicznem wyznaniu. Prawdopodobnie stało się to pod wpływem Hermasa, który, być może, że nawet tej usłudze, wyświadczonej grzesznikom, zawdzięcza swe wzięcie, chociaż zapewne niezasłużenie, gdyż niepodobna przypuścić, żeby się on zgadzał na takie zastosowanie swoich mandatów, jakkolwiek koniec końcem jego praktyka wprost mu się nie sprzeciwiała. Było w tem jednak zapoczątkowanie jakiejś instytucyi bardzo zbliżonej do chrztu. Wszak już Tertulian (Paenit. 12) śmie rozprawiać o dwóch deskach do zbawienia. Gdy się ponadto zważy, że w poszczególnych wypadkach było rzeczą bardzo trudną rozstrzygnąć, czy się ma do czynienia z grzechem głównym, — w zasadzie z pewnością nie zawsze rozstrzygano według rygoru prawa, — to trzeba przyznać, że dozwolenie na pokutę było pierwszym zamachem na dawne pojęcie chrześcijaństwa, jako społeczności świętych. Jednakowoż w praktyce zachowało się, że Kościół nie powinien napowrót przyjmować wszetecznych, cudzołożców, a szczególnie zabójców i bałwochwalców i ta praktyka podtrzymywała pamięć linii granicznej między Kościołem a światem. Tak rzeczy stały aż do roku 220. Pierwszym formalnym zamachem na to urządzenie jest peremptoryczny edykt biskupa Kaliksta, który — zapewne, by nie dziesiątkować swej trzody i nie pozostawić heretykom błądzących owieczek — przyrzekł przebaczenie upadłym w nieczystość, a odwołał się w tem na swą władzę, jaka prawnie należy do biskupów, jako następców apostołów, zatem powierników Ducha i władzy kluczów. Rozporządzenie to, starannie umotywowane dowodami z Biblii i z rozumu, wywołało w Rzymie schyzmę Hipolita, w Kartaginie zgryźliwe pismo Tertuliana, w Aleksandryi energiczną

opozycyę Orygenesa. Jednakowoż w latach między 220 a 250 praktyka łagodniejsza w stosunku do występków cielesnych się ustaliła; chociaż nie przyjmują jej wszędzie, przecież nie wywołuje poważniejszej schyzmy. (Cypr. Ep. LV. 21). Odpadnięcie do bałwochwalstwa nie uzyskało jeszcze w tym czasie, około 250 r. żadnego uwzględnienia.

Złagodzenie nastąpiło dopiero z okazyi prześladowania Decyusza, podczas którego liczba odstępców we wielu miastach tak wzrosła, że przewyższyła liczbę wiernych. Większość biskupów zgodziła się, nie bez oporu jednak, na nowe zasady. Z początku przystano na to, by na łożu śmierci rozgrzeszać odstępców pokutujących; następnie zrobiono różnicę między *sacrificati* a *libellatici*, tymi, którzy ofiarowali bożkom, a innymi, którzy tylko postarali się o świadectwo złożonej ofiary — tych ostatnich traktując z większą łagodnością; na koniec dano wszystkim odstępcom możność rehabilitacyi, nie stawiając im nawet ostrzejszych warunków; przyjęto procedurę kazuistyczną w postępowaniu ze świeckimi — a praktykę surowszą przeniesiono na kler — w każdym razie nie ogólnie. To nowe urządzenie, które miało logicznie sprowadzić stopniowy upadek wyjątkowego ustępstwa na rzecz jednej jedynej pokuty po chrzcie, w zasadzie nie dającego się utrzymać, wywołało schyzmę nowacyańską, która wnet zachwiała całym Kościołem. Jednakowoż nawet tam, gdzie twardo utrzymywano jedność kościelną, wiele gmin zachowało sobie aż do piątego stulecia praktykę ostrzejszą. Ruch w kierunku reformy urządzeń dyscyplinarnych doznał przeszkód ze strony uznanej oddawna kompetencyi Ducha, t. j. natchnionych i wyznawców, którzy z tytułu osobistego, ze względu na swe szczególne zjednoczenie z Chrystusem (Duchem) nadawali się do odpuszczania grzechów w imię Boga (por. Ep. Lugd. Euseb. V. 1. i nast. Tert. Pud. 22). Jednak niesnaski wytworzone po prześladowaniu Decyusza wpłynęły na zmianę tego stanu. Wyznawcy bowiem dawali poparcie laksystom przeciw biskupom, którzy, rzecz godna uwagi, przeprowadzali zarządzenia pokutne ze surowością, jak na ześwietczenie mas ludowych, nawet wielką. Wywołane stąd zamięszania doprowadziły do tego, że wyznawcy utracili powoli wszelkie prawa pod tym względem, przyznane im dotychczas, które odtąd przeszły do biskupów. Wykończenie ustroju kościelnego, opartego na episkopacie schodzi, się razem z wprowadzeniem nieograniczonego prawa odpuszczania grzechów.

Obok tej syntezy protestanckiej podajemy katolicką syntezę Funk'a.[1]

Edykt Kaliksta, odnoszący się do pokuty, miał na oku tylko nieczystych a nie bałwochwalców, ani nie zabójców. Łatwo domyśleć się przyczyny, dla której łagodzenie praktyki pokutnej rozpoczęło się od przebaczenia występków cielesnych. Było to zapewne dlatego, że występki cielesne zdarzają się częściej niż inne grzechy główne, i że z czasem uznano za zbyt surowe wykluczać na zawsze z Kościoła tak wiele osób. Surowość miała bez wątpienia pewne znaczenie karne i pedagogiczne. Mogła i miała służyć do wywołania żywego odczucia ciężkości grzechu, oraz do wzbudzenia ducha poważnej, stanowczej, pokuty. Ale z drugiej strony objawiła się jej niepraktyczność. Osoby wykluczone całkiem ze społeczności kościelnej zamiast chwytać się pokuty, popadały w obojętność, jeśli nie gorzej w niewiarę i występek.

Z biegiem czasu i ze wzrostem Kościoła niewygoda ta dawała się coraz bardziej odczuwać i to było powodem, że Kalikst ogłosił swój edykt. Zupełnie nieprawdopodobne są jakieś wpływy zewnętrzne w sprawie tej reformy. Tłumaczy się ona dostatecznie samem położeniem Kościoła. Co więcej, między montanizmem, w którym jedynie możnaby upatrywać jakiś wpływ postronny, a Kościołem, nie było żadnej uchwytnej różnicy w sprawie urządzeń pokutnych.

Różnica między temi dwoma ostatniemi zapatrywaniami jest widoczna. Synteza protestancka Harnacka sprzęga odpuszczanie grzechów wszystkich z pojawieniem się nowej zasady, zupełnie nieczynnej w kościele przed trzecim wiekiem. Synteza katolicka Funka łączy to powszechne odpuszczanie z nowym objawem oportunizmu kościelnego, który, świadom swych

---

[1] Porównać mianowicie Funka: Zur altchristlichen Bussdisciplin w Kirchengeschichtliche Abhandlungen und Untersuchungen. t. 1, str. 138 i nast. Paderborn 1897. Również: Das Indulgenzedikt des Papstes Kallistus w Theologische Quartalschrift. Tübingen 1906. str. 541—568. Echo tego ostatniego artykułu, echo na ogół wierne, ale w tonie o wiele ostrzejszym, można znaleźć u ks. Batiffol'a, L' Edit de Calliste d'après une controverse récente, w Bulletin de littérature ecclésiastique 1906. str. 339 i 348 i u Vacandard'a, Tertillien et les trois péchés irrémissibles, à propos d'une récente controverse w Revue du Clergé français 1. kwietnia 1907, str. 113—131. My przytaczamy słowa z pracy: Zur altchristlichen Bussdisciplin, str. 158.

praw i swej władzy, czujnie stara się je dostosować do moralnych potrzeb swych wiernych i w działaniu swem w Kościele kieruje się względami takimi, jakimi mniej więcej powodują się i inne sekty. Czy naprawdę ten oportunizm kościelny można uważać za ostatnie słowo w kwestyi rozwoju urządzeń pokutnych w Kościele? Zdaje się nam, że są pewne racye, które pozwalają o tem wątpić — i te nasuwające się wątpliwości skłoniły nas do ponownego podjęcia krytycznych rozpatrywań historycznych całego problemu. Te rozstrząsania krytyczne zajmują objętość całego tomu prawie o 500 stronach. Tutaj ograniczamy się tylko do podania wyników naszej pracy.

W syntezie naszkicowanej już przed 300 laty, której Harnack za naszych czasów dał niespodziewane wykończenie w swej *Historyi dogmatów*, zwykło się uważać wybitne momenty za niewzruszone pewniki. Skoro zaś skądinąd pokazało się, że cała ta konstrukcya, tak systematyczna, napotyka na całą moc faktów, z którymi się pogodzić nie da, a do nauki katolickiej nagiąć się nie pozwala — przynajmniej o ile się ją przyjmuje w całej surowości, — przeto poczęto pracować nad jej poprawieniem. Było to ideą przewodnią Funka i jego szkoły rozluźnić węzły łączące pierwotną naukę o pokucie z pierwotną ekklesiologią i wymyśleć jakieś pojednanie z Bogiem, niezależne od pojednania z Kościołem. Spodziewano się w ten sposób zadość uczynić wszystkiemu: ocalić konstrukcyę syntetyczną, zadowolić wymagania historyczne, a nie obrazić religijnych.

Ale niestety i historya i wiara razem z nią, dopominają się o syntezę taką, w którejby Kościół zatrzymał należne mu miejsce nawet w nauce o pokucie. Dlatego sądzimy, że trzeba się zachować z pewną rezerwą względem syntezy Harnacka, jak i poprawek Funka.

Otóż naprzód wybitne momenty z historyi trzeciego wieku, którymi się opancerza synteza Harnacka, w rzeczywistości nie wydają się tak doniosłymi, jakby się chciało je widzieć z odległości historycznej. Nie istniałaby ta pokusa wyolbrzymiania faktów, gdyby nasza nieznajomość pierwotnego życia kościelnego była nieco mniejsza. Trzeba jednak przyznać się do tej

nieznajomości. Jednakowoż przez tę noc przedziera się dość promieni świetlnych, aby nas pobudzić do czujności i przestrzedz przed pośpiechem w układaniu systemów.

Następnie historya dwóch pierwszych wieków, o ile się ktoś do niej zabiera lojalnie, każe nie umniejszać, ale przeciwnie z wielką siłą akcentować i podkreślać łączność ekklesiologii z urządzeniami pokutnemi — łączność, która w innych czasach nigdy nie była ściślejszą, chociaż się przedstawia w nieco odmiennem świetle, jak w czasach późniejszych.

Dlatego też naszem zdaniem więcej przysłużyli się sprawie i trwalszą wartość mają prace tych badaczy, którzy nie dali się uwieść ponętom ładnych konstrukcyi, a zadowolili się notowaniem faktów i ich ostrożną klasyfikacyą, kierując się w tem zdrowem przeczuciem, że myśl żyjąca w Kościele musi mieć swe korzenie wrośnięte w przeszłości, a pisma Ojców IV wieku mogą jeszcze dostarczyć dobrych wskazówek do odtworzenia strony doktrynalnej wieku trzeciego. Parę słów wyjaśnienia do każdego z tych twierdzeń.

Na czemże się opiera synteza Harnacka? Naprzód na sztucznem pojęciu pierwotnego Kościoła, jako społeczności świętych; potem na trzech faktach źle podpatrzonych. Pojęcie pierwotnego Kościoła jako zgromadzenia świętych wydaje nam się sztuczne, bo, jeżeli pisma Nowego Testamentu wielokrotnie przedstawiają ideał Kościoła bez zmazy, to obok ideału również przedstawiają rzeczywisty, aktualny stan Kościoła, w ustawicznej pracy nad reformą wnętrzną, nad oczyszczaniem indywidualnem i przy uciążliwem wyrabianiu świętych. Wystarczy tu przypomnieć poza Ewangeliami listy do Koryntyan, list do Żydów, pierwszy list św. Jana, Apokalipsę, list św. Klemensa rzymskiego, przypowieści Hermasa, Dyonizego korynckiego. Fakty źle podpatrzone — bo nie wątpić, że należy im się taka nazwa — są następujące: wystąpienie papieża Kaliksta w sprawie skalanych nieczystością, wystąpienie kleru współczesnego przeciw papieżowi Korneliuszowi w sprawie bałwochwalców i wreszcie wystąpienie, nie wiedzieć kiedy i czyje, na korzyść morderców. O wystąpieniu Kaliksta słyszeliśmy świadectwo z ust dwóch

świadków, obydwu gwałtownie podnieconych a niezgadzających się; jeżeli trzeba dać wiarę Tertulianowi i Hipolitowi w tem, że wystąpienie Kaliksta na korzyść nieczystych rzeczywiście się zdarzyło, to jednak charakter tych świadków wymaga, aby ich świadectw nie przyjmować, jak tylko z największem niedowierzaniem, o ile chodzi o określenie charakteru tej interwencyi. Powagę Orígenesa trzeba odsunąć jużto dlatego, że pozostaje poza obrębem historyi Kaliksta, jużto, że nie oznacza tego, co jej niekiedy przypisują. Interwencya współczesnych Korneliuszowi duchownych na korzyść odstępców jest rzeczywistą, ale nie sięga tak głęboko, jak o tem często się mówi. Rzym, Kartagina, Aleksandrya zastosowały tylko praktycznie do współczesnych potrzeb zasady dawne, nie potrzebując wyruszać na ich odkrycie i nic nie upoważnia, aby uważać to zastosowanie za niebywałe dotychczas. Wystąpienie na korzyść zabójców, wciągnięte do konstrukcyi dla symetryi, jest jeszcze bardziej nieuchwytne, bez daty i bez autora, których oznaczyć niepodobna; zresztą kłóci się z wielu faktami pewnymi.

Dla podparcia swego systemu Harnack malował papieża Kaliksta we walce z koalicyą najtęższych teologów, jaka miała wybuchnąć z powodu jego edyktu: w Rzymie schyzma Hipolita, w Kartaginie gwałtowne protesty Tertuliana, w Aleksandryi energiczna opozycya Orígenesa. Ile w tem wszystkiem prawdy?

Hipolit nie potrzebował czekać na edykt Kaliksta, aby wywołać schyzmę. Wiemy z jego własnych świadectw, że jego schyzma datuje się od początku pontyfikatu Kaliksta i że początek jej dał zatarg o wpływy. Raz stanąwszy poza Kościołem, Hipolit musiał naturalnie wszystko brać za złe, co się działo w Kościele, zwłaszcza jeżeli to pochodziło od współzawodnika. Nie znamy jednakowoż, czy edykt Kaliksta rzeczywiście zaostrzył jego opozycyę. Wszystko co wiemy, to to, że za któregoś z następnych pontyfikatów Hipolit przelał swą niechęć w pamflet, w którym zgromadził całe szeregi zarzutów, jedne z dziedziny doktrynalnej, inne z pola karności kościelnej; nie dziw, że między nimi znalazła się także kwestya pokuty. Tertulian od szeregu lat błąkający się po bezdrożach herezyi Montana, już

zaznaczył swe zerwanie z Kościołem przy kilku sposobnościach: w kwestyi zasłony u kobiet, w kwestyi powtórnego małżeństwa, w kwestyi, jakie stanowisko zająć wobec prześladowców, w kwestyi postu i w innych jeszcze sprawach. Uczynił to raz jeszcze i to z większym rozgłosem, w kwestyi dopuszczenia nieczystych do pojednania się z Kościołem.

Origenes, duszą całą związany z Kościołem i energiczny obrońca przysługującego hierarchii prawa do odpuszczania wszystkich grzechów, najwcześniej za drugiego pontyfikatu po Kalikscie, widział się zmuszonym do wystąpienia przeciw lekkomyślności niektórych kapłanów, którzy zupełnie nie zważając na ciężkość grzechu, nieopatrznie dawali rozgrzeszenie wszelkiego rodzaju grzesznikom, z wielką szkodą dla uczciwej pokuty. Tekst ten, prawie unikat w swoim rodzaju, źle zrozumiany, a opatrzony datą wcześniejszą, spłodził legendę. Wystarczy przywrócić mu jego znaczenie właściwe i prawdziwą datę, aby się przekonać, że nie ma nic wspólnego z edyktem Kaliksta papieża. Nie wiemy nawet, czy Origenes słyszał kiedyś o tym edykcie.

Koniec końcem z tych trzech teologów dwaj pierwsi, już dawniej odłączeni od Kościoła ze względów nie mających nic wspólnego z kwestyą pokuty, w edykcie Kaliksta znaleźli tylko nową sposobność do opozycyi. Tertulian zaprotestował natychmiast, Hipolit dopiero po upływie lat całych. Origenes, zdaje się, nie zajmował się tem wcale.

Mamy zatem jakieś prawo mówić o sztucznem pojęciu i o faktach źle zaobserwowanych. Z drugiej strony da się przeciwstawić cały szereg uwag całkiem dokładnych. Więc naprzód przed III. wiekiem są takiemi ogólne świadectwa z Didache, św. Klemensa rzymskiego, św. Ignacego antyocheńskiego, Hermasa, św. Dyonizyusza korynckiego, św. Justyna, św. Ireneusza, Klemensa aleksandryjskiego. Oświadczenia ich są tego rodzaju, jakie można złożyć w czasie, w którym nie ma się obaw o jakieś możliwe wyjątki i nawet na myśl nie przychodzi, aby zabezpieczać zasadę dla tych możliwych wyjątków. Niektóre z nich odnoszą się do wypadków konkretnych i wcale nie pod-

suwają myśli, jakoby dla udzielenia przebaczania wielkim grzesznikom należało naruszać ogólną dyscyplinę kościelną. Następnie, zaraz w początkach trzeciego wieku mamy szereg świadectw bardzo znaczących. Świadectwa Tertuliana, głównego przedstawiciela opinii przeciwnej, dwiema drogami prowadzą do tego samego wniosku: przez charakter zupełnie ogólny i bez zastrzeżeń jego orzeczeń z czasów, gdy był katolikiem, jak również przez usilne osłabianie tych orzeczeń w czasie, gdy przystał do Montana. Świadectwo Hipolita, wprawdzie zarzuca Kalikstowi, że dał zły przykład w sprawie przebaczania nieczystym, jednak przytacza fakty, które podkopują inne części zbudowanego systemu. Świadectwo Origenesa, który w całem dziele składa zeznania przeciw pojęciu o absolutnej rezerwacyi w owych trzech wypadkach. Świadectwo wielkich origenistów Dyoniziusza aleksandryjskiego, Grzegorza Cudotwórcy, Firmiliana cezarejskiego, którzy pod tym względem są wiernem echem doktryn swego mistrza. Świadectwo kleru rzymskiego z czasu prześladowania Decyusza, — nawet samego Nowacyana przed jego upadkiem, — św. Cypriana i papieża Korneliusza: obydwa kościoły razem, rzymski i kartagiński, mogą wykazać przed schyzmą Nowacyana kilku przesadnie pobłażliwych laksystów, którzy sprowadzą ciężkie zawikłania, ale nie można w nich zobaczyć ani jednego rygorysty, któryby uważał upadłych „lapsos" za potępionych z góry. Wobec tego dziwić się należy, jaka masa świadectw nie została uwzględniona w systemie. Rzeczywiście cała ta robota konstrukcyjna bynajmniej nie stoi prosto i silnie, choćby się ją nie wiedzieć jakiemi poprawkami podpierało.

III.

Z jakiego założenia wychodzi synteza Funka? Z jemu właściwego pojęcia o stosunku posługi kapłańskiej do odpuszczania grzechów — pojęcia naszem zdaniem, niezupełnego. Odpuszczenie grzechów rzeczywiście może się przejawiać w dwojaki sposób: albo we formie absolucyi wypowiedzianej przez kapłana, albo we formie przywrócenia pokutującego do łączności

z Kościołem. Możnaby to krótko nazwać stroną sądową i stroną socyalną pojednania. Jedną i drugą stronę zaznacza Nowy Testament; są one nieodłączne od siebie, choć w opisywaniu można pominąć jednę, a zająć się tylko drugą stroną. I to zjawisko można zauważyć w ciągu dwóch pierwszych wieków. Ojcowie apostolscy i ich bezpośredni następcy nie zatrzymują się nad usługą kapłańską, ledwo czynią kilka dalekich alluzyj do władzy kluczów. Zato zajmuje ich ogromnie druga strona odpuszczenia grzechów — t. j. łączność z Kościołem; widzą w niej widomy znak złączenia z Bogiem i z Jego Chrystusem; wznowienie tej łączności kościelnej zawiera w sobie pokój z Bogiem. Wystarczy tu przypomnieć św. Klemensa rzymskiego, Ignacego antyocheńskiego, Hermasa. W tym okresie pierwotnym, zauważył Funk bardzo słusznie, rozgrzeszenie kapłańskie jest jakieś jakby zatarte; z tego jednak za prędko wyciągnął wniosek o nieobecności posługi kapłańskiej. Jest to według nas błąd wielki; wielka waga, jaką ciż Ojcowie przywiązują do łączności z Kościołem, zestawione z ich jasnemi oświadczeniami o hierarchii, każą przypuszczać bardzo czynne pośrednictwo hierarchii w administracyi pokutnej.

To niezupełne, niewystarczające pojęcie o odpuszczaniu grzechów wydało teoryę o pojednaniu z Bogiem, niezależnem w ogólności od posługi kościelnej, — teoryę, do której brak zupełnie fundamentu w Piśmie św., a która wprost sprzeciwia się doktrynie katolickiej o władzy kluczów. Bo jeżeli grzesznikowi pokutującemu powrót bezpośrednio do Boga stoi zawsze otwarty, to zapewne tylko pod pewnymi warunkami, z których pierwszym jest, by grzesznik uszanował wolę Chrystusa, który Kościół swój chciał mieć włodarzem przebaczenia. Do wykończenia tej teoryi pozostawały dwie drogi; albo przyjąć, że pośrednictwo i usługa w sprawie pojednania z Bogiem działały z reguły bez kontroli i bez zezwolenia Kościoła, co byłoby oczywiście zanadto i przeciw prawdzie historycznej i przeciw katolickim zasadom — albo też uzasadnić poprawność takiego funkcyonowania jakiemś przypuszczalnem zrzeczeniem się Kościoła z wykonywania swej

władzy — co jużby więcej odpowiadało katolickim zasadom, niemniej jednak dalekiem byłoby od prawdy historycznej.

Byłaby to najdokładniejsza zdaniem naszem forma, jakąby można nadać temu pojęciu dobrowolnego ograniczania się kościoła w wykonywaniu swej jurysdykcyi. Znalazła ona wyraz u M. Batiffola,[1] u którego ją właśnie zapożyczamy.

„Obchodzi nas to tylko, mówi ten autor, żeby zasada była uznaną przez montanistów i katolików, że Kościół ma władzę odpuszczania grzechów, choć jej nie wykonuje". Mamy pewne zastrzeżenia co do tego twierdzenia, o ile ono ma przedstawiać myśl Tertuliana. Głównie jednak musimy się przyglądnąć temu tłumaczeniu, jako wysiłkowi, który miał pogodzić pewną zasadę dogmatyczną — powszechną władzę odpuszczania grzechów, przysługującą Kościołowi — i hypotezę historyczną — stałe uchylanie się Kościoła w dawaniu rozgrzeszenia w tych trzech przypadkach zarezerwowanych. Zdaje się, że próba pogodzenia nie powiodła się z dwóch przyczyn; mianowicie, że zasadzie dogmatycznej nie czyni zadość i że hypoteza historyczna pozostaje nadal tylko hypotezą. Zasadzie dogmatycznej nie czyni zadość — bo w rzeczy samej, jaki cel miałaby władza skrępowana, albo prawo, z którego nie robi się użytku? Hypoteza historyczna pozostaje i nadal hypotezą tylko, bo żaden z dowodów, którymi ją chciano umocnić, nie wytrzymuje krytyki. Hypoteza ta była już podniesiona na wysokość faktu przez Tertuliana, ale tylko odnośnie do kościoła Parakleta, bo tylko ten kościół Parakleta przemawiał u niego tak: Kościół może darowywać przewinę, ale tego nie uczynię, żeby i w czem innem nie przewiniali. Z tych słów jednak nie można wniosków wyciągać odnośnych do Kościoła katolickiego.

Niedopisanie tych wszystkich prób może być uważane za ostateczny wyrok na niekorzyść hypotezy początkowej.

Każdy kto bada treść świadomości dawnego Kościoła i stara się z niej wydzielić to, co w sobie zawierała w stanie surowym, wydzielić nie przekręcone sofistycznie przez jakieś dogmatyczne

[1] Bulletin de littérature ecclésiastique 1906, str. 342.

zarysy syntetyczne, ale jako autentyczny spadek po pokoleniach wierzących, temu zawsze św. Cyprian będzie się wydawał jako świadek najodpowiedniejszym, najbardziej kwalifikowanym, jużto dla niezaprzeczalnej prawości charakteru, jużto przez swoje dość ograniczone wiadomości kościelne. Nie był to teoretyk dogmatu: nawrócony już w wieku dojrzałym, przyjmował on nauki katechizmowe z pobożną chciwością, nie mając czasu zaprawiać je subjektywnemi swemi wyobrażeniami, bo wkrótce nadeszła chwila, że jako biskup znalazł się wciągniętym w wir walk, które rozdzierały Kościół Afrykański. Szlachetność charakteru wycisnęła na jego pismach piętno rzadkiej piękności moralnej, a równocześnie zmysł do rządzenia oraz pewien szowinizm afrykański zacieśniały mu horyzont i ograniczały do tych gmin chrześcijańskich, wśród których jego wiara zapuściła korzenie. Jeśli kiedy Cyprian wyglądnął z Afryki, aby poza morzem znaleźć przykład i zachętę, to patrzał na biskupa rzymskiego więcej jako na brata bardzo czcigodnego wśród wszystkich innych — aniżeli jako na najwyższego pasterza, wyposażonego pełnią władzy, by paść baranki i owce. Dlategoteż jakby na przekór swym ślicznym katolickim wywodom o jedności Kościoła miał przez całe życie pozostać więźniem swych nieco zaciasnych zapatrywań. Ale te właśnie cechy jego charakteru dają gwarancyę o wartości jego świadectw, bo wszystko, co nam powie odnośnie do ustroju i praw Kościoła, to nie będzie jego własną spekulacyą, ale tylko wyrazem tego, co poznał doświadczalnie i co sam przeżył. Otóż Cyprian cały jest przesiąknięty tym kościelnym charakterem władzy odpuszczania grzechów; monopol Kościoła pod tym względem przybiera w jego oczach cechy jakiejś prawdy zasadniczej, pierwszej, którą niezmordowanie głosi ustawicznie, czyto *ex professo* w traktacie *De catholicae Ecclesiae unitate*, czy w innych pismach, wydawanych w czasie zamieszek w kwestyi upadłych „lapsi". Przypomnijmy sobie jedno tylko z jego oświadczeń, wyjęte z dokumentu ważniejszego nad wszystkie inne, t. j. z listu synodalnego z r. 252, w którym całe zebranie synodalne, z Cyprianem na czele, donosi papieżowi Korneliuszowi o powziętej re-

zolucyi jak najpilniejszego pojednania tych, którzy bożkom ofiarowali:[1] „Nie można było, nie pozwalała na to ojcowska dobroć i łaskawość boża, żeby zamykać drzwi dobijającym się do Kościoła i odmawiać wsparcia nadziei zbawienia tym, którzy pokutują i o nie proszą, żeby odchodząc ze świata, nie musieli go opuszczać i stawać przed Panem bez pojednania i pokoju, zwłaszcza, że pozwolił i prawem ustanowił, żeby to, co związano na ziemi, było związane i w niebie, a także, żeby tam znalazło rozwiązanie to, co przedtem w Kościele rozwiązanem zostało". Cóż może innego znaczyć to oświadczenie, jak, że zdaniem episkopatu afrykańskiego, Kościół zdradziłby swą misyę, gdyby się nie interesował wiecznym losem pokutujących, o którym za wolą Pana ma rozstrzygać, gdyby pozwalał im umierać bez udzielenia im za życia wsparcia i pokoju, będącego rękojmią ich zbawienia w przyszłości? Takie przekonanie istniało w głębi świadomości Kościoła Afrykańskiego, a praca krytyczna, którą kończymy dostarczyła dowodów, że Kościół Afrykański nie ubiegł w tem, jak się można tego było spodziewać, innych Kościołów, ani Rzymskiego, ani Aleksandryjskiego.

IV.

Z rozpoczęciem trzeciego wieku zjawia się patrystyczna zasada o władzy kluczów, już nie jako zawarta w konkretnem pojęciu pojednania kościelnego, ale wyraźnie ujęta i osobno przedstawiona. Zasada ta musiała odtąd być dobrze ustalona w świadomości Kościoła, kiedy Tertulian czuł się zmuszonym liczyć się z nią i nadać jej tyle wypukłości, jak to czyni szczególnie w pismach, w których zbija hierarchię katolicką. Dlatego ani wątpić, że mamy tu do czynienia nie ze sztucznym wytworem świeżej polemiki, ale z dogmatem, którym Kościół długo

[1] S. Cypr. Ep. LVII. 1. ed. Hartel p. 650, 20—651, 5: „Nec enim fas erat aut permittebat paterna pietas et divina clementia ecclesiam pulsantibus cludi et dolentibus ac deprecantibus spei salutaris subsidium denegari, ut de saeculo recedentes sine communicatione ad Dominum dimitterentur, quando permiserit ipse et legem dederit ut ligata in terris et in caelis ligata essent, solvi autem possent illic, quae hoc prius in ecclesia solverentur.

wpierw żył, zanim go zdołał sformułować. Zwyczajne sprawowanie władzy kluczów, było w Kościele przyjęte powszechnie; trudności i przeczenia mogły tylko powstać na tle wypadków nadzwyczajnych, wobec tych grzechów szczególnie ciężkich, wobec których pasterze Kościoła musieli się zawahać wielokrotnie i których leczenie musiało się przechylać raz na stronę większej surowości, to znów większego pobłażania. Taki wypadek zachodził przy grzechach nieczystych, które dla sumienia chrześcijańskiego są szczególnie wstrętne i odpychające. Mając na względzie, że w Kościele i były zawsze i będą umysły różne, jedne bardziej skłonne do surowości, inne znów więcej łagodne, można łatwo pojąć, że konflikt, który wybuchł za czasów Kaliksta, musiał koniecznie prędzej czy później wybuchnąć; żeby zaś jego echo do nas doszło tak wyraźnie, na to trzeba było werwy i zaciętości takiej, jaką posiedli dwaj sekciarze. Dla Kościoła było to dobrodziejstwem, bo dostarczyło mu sposobności do postawienia w jaśniejszem świetle zasady, która, choć dotykała samej skały Ewangelii, była dotychczas przesłonięta. Ojcowie trzeciego wieku, którzy stwierdzali powszechność władzy kluczów, niczem nie wskazują, jakoby tem twierdzeniem wprowadzali jakąś nowość. Spotkali się z oporem i zaprzeczeniem ze strony rygorystów, ale mogliśmy skonstatować, jak mało ci oporni mieli danych, aby przemawiać w imieniu starożytności chrześcijańskiej. Ojcowie Soboru Trydenckiego byli oparci dobrze o prawdę historyczną, kiedy powoływali się w tym względzie na ustanowienie Chrystusowe, jako na fakt historyczny.[1]

Postawiliśmy sobie za zadanie wyjaśnić genezę i doniosłość edyktu Kaliksta i doszliśmy do przekonania, że zamiast być jakimś nadzwyczajnym wytryskiem życiodajnych soków chrześcijańskich, jak to sobie wielokrotnie wyobrażano, był on tylko drgnieniem, ledwo nieco więcej dostrzegalnem od innych wśród nieprzerwanego prądu życia, które pulsuje w odwiecznym pniu Kościoła. *Adhémar d' Alès.*

[1] Sob. Tryd. ses. XIV. rozd. 1. i kan. 3.

Wizya ks. Skargi.

Noc . . . mrok . . .

Jedynie przed wielkim ołtarzem wieczna lampa płonie.

To przygasa . . . to nagle krąg światła rzuca, występują wtedy z ciemni na mgnienie ostrołuki sklepienia, filarów smukłych zjawy, stal rzeźbione oparcia . . . na ołtarzu rozbłyska świeczników złoto.

I zda się wtedy, że z nad każdego ołtarza jakaś jasna postać w mrok stąpa, ku owemu kręgowi światła, co się czerwoną łuną na kamiennej posadzce kładzie.

Nawet . . . szelest kroków słychać . . .

Nie . . . to mysz przebiegła z jednej kaplicy do drugiej, mała, szara, skłopotana, wiecznie głodna, dla młodych gniazdo ściele . . . więc się do arcybiskupiego fotelu wspięła i gryzie szybko, energicznie, kunsztownych frendzli splot co aksamit wkoło otoczyły.

A tam . . . w kącie, wysoko . . . nad dumnie wzniesioną głową anioła, pająk bezszelestnie siatkę snuje i spogląda w mrok ku towarzyszce zniszczenia. Wytrwała z nich para: ona w królewskim karle dzieciom swoim gniazdo ściele, on wytrwale w górę, to na dół się przesuwa, do gładkich marmurów nici swoje plącze. . . I oto gdy wieczna lampa jaśniej zapłonie, to widać białą, lekką tkaninę, rzuconą w przestrzeni . . . chociaż pracownika nie dostrzedz.

Wytrwała z nich para, nie jedno wnętrze potrafili już zniszczyć swoją skrytą, powolną, celową pracą.

Kroki . . . głucho powtarza je ogrom świątyni . . . echem odrzuca sklepienie. Skrzypnęły dźwirze, w mrok nawy padł błysk kaganka.

Ksiądz siwy, szczupły, w czarnej sutannie stał w progu . . . z pod bujnych brwi, szeroko rozwarte, wyraziste oczy spoglądały w dal.

Z mroku pełzała ku niemu cisza, szedł spokój, ogarniał kojąco płonące skronie, kładł się na nich jak dłoń jakaś litościwa a miękka.

Wiew wieczności płynął od tej świątyni tonącej w mroku, od światła migocącego przed ołtarzem, które wiecznie rozbłyska, chociaż wszystko mija a coraz to inna ręka zapala je ku chwale Boga.

Starzec-kapłan . . . głowę o mur filaru wsparł i chłonął w siebie ową zbawczą ciszę, jak wędrowiec spragniony ożywczą, źródlaną wodę.

Ból miał w duszy olbrzymi . . . pod powiekami żar łez niewypłakanych.

Bo oto . . . ku zachodowi życie szło, coraz mniej sił miało ciało, coraz mniej odporności, a coraz bystrzej patrzył duch i widział narodu ukochanego wady i błędy . . . z taką ogromną, przerażającą jasnością.

Ot i dzisiaj, w przeddzień sejmu, chodząc po Warszawie, nie jeden gwałt widział, nie jedno bezprawie . . . moc partyi i partyjek . . . aż zwątpienie go chwytało, czy dobrze uczynił popierając słabego, obcego, chociaż dobrego pana na władcę . . . Ten burzliwy naród żelaznej potrzebował ręki . . . nie miał jej Zygmunt III.

Na sejm się szlachta zjechała, więc na ulicach ruch był, natłok i gwar, mieniły się hatłasy, futra bogate, sztywne robrony, rozbłyskał przepych szablic i guzów, kobiecych czepców i szat.

Mrok się stał szary, liliowymi tonami przepojony, gdy do katedry dochodził. Przed fasadą przykucnięta siedziała staruszka-żebraczka i wybladłymi bławatami oczu na przechodzących panów patrzała, na niewiast okazałe sylwetki. Zżółkłą, trzęsącą

rękę wyciągała do przechodni, coraz to rzadszych, a bezzębne wargi szept poruszał:

— Za dusze one modlitwy potrzebujące... za pacierz do Krysta Pana...

Gdy ksiądz Skarga do katedry dochodził, od strony zamku zbliżała się grupa młodych panów. Dźwięczały nizko spuszczone szabliska i śmiech dźwięczał... Snadź nie jeden już miodu kielich wysączyli do dna, bo niesamowitym ogniem błyszczały oczy, butnie podgarniały dłonie wąsy młode a i kroki niezbyt już pewne były. Rozmawiali o polityce... jeden z nich na staruszce się potknął... ratując siebie i jego od upadku drżące ręce babiny czepiły się jego delyi bogatej. Żachnął się gniewnie młody panek, z takim wstrętem, jakgdyby gada strząsał.

Kobieta straciła równowagę, na bruk upadła, czepiec się przekrzywił, siwe kosmyki włosów rozsypały po ziemi w nieładzie, a z wiszącej u pasa kalety wysypały pieniążki drobne, całego dnia żniwo.

Zajęczała cicho, żałośnie... w odpowiedzi śmiech buchnął brutalny, młody.

— Dobrze jej tak... przecz ludzi inakszego stanu brudnemi łapami obłapuje!

— Podle drogi się rozsiadła i wadzi...

W tej chwili ksiądz z pomocą pospieszył żebraczce, podjął ją z bruku litościwym, braterskim ruchem. Zmieszali się nieco młodzi na widok znanego kaznodziei... przeszyło ich jego ogniste spojrzenie.

— Snadź zapomniały miłoście wasze o pierwszem prawie i najgłówniejszem przykazaniu Krystusa... abyćh się społecznie miłowali! Nie krzywdę... jeno miłosierdzie nakazał czynić Bóg.

Na młodych twarzach większości odbił się żal... nie jedna ręka do pasa sięgnęła po datek, ale główny winowajca zuchwale w karcące oczy księdza patrzał.

— By młodsza była..., możebych i miłosierdzie miał, podniósł i przygarnął jako się patrzy... ale tak! Niech się robak pod but nie pcha, to go nie zgniotą... Chodźmy...

I poszli . . . a Skarga staruszkę oną o nędzę rozpytując jak brat . . . ból miał w duszy.

— Jakoż będzie z tobą ojczyzno miła, gdy między dziećmi twemi miłości niema, gdy we wzgardzie się mają miast w miłowaniu?

I teraz w ciemnym mroku kościoła na kolana się usunął i w twarz ukrzyżowanego Chrystusa, wychylającą się sylwetkowo z cienia, patrzył.

Znużony był . . .

Duch płonął w nim nad miarę, ale ciało było już mdłe . . . sterały go podróże, posty, modlitwy i to przeświadczenie bolesne, że jako ten siewca rzuca ziarno pełnemi dłońmi na niwę, a wicher posiew z rąk mu wyrywa i na ugory znosi, na kamienie . .

Że krzyk jego duszy jest w tej Polsce ukochanej głosem wołającego na puszczy. I teraz drżące jego wargi powtarzały szeptem, skarżąc się Panu zastępów . . . cichy szmer słów chłonął mrok:

— Panie! . . . Panie! . . . wołałem na nie, aby kościół Twój i ojczyznę miłowali. Aby króle swoje na wzór przodków czcili, aby wolnością swoją nie ginęli a niewolej obcych panów na siebie nie przywodzili. Aby się strzegli niewierności, mężobójstwa, cudzołóstwa, lichwy . . . Aby hardości, zbytków i próżnych rozkoszy zaniechali, a dostatek swój na obronę Rzeczypospolitej . . . ojczyzny miłej obrócili . . .

Szept słów urwał się westchnieniem.

— A jest . . . jako i było! . . .

— Groziłem im gniewem Twoim, co Sodomę spalił za nieprawości jej a Jeruzalem zniszczył, że kamień się na kamieniu nie ostał. Groziłem im przeniesieniem królestwa do innych narodów . . . jako kazałeś . . .

I nie ulękli się groźby . . .

— Błagałem ich na pokolenie przyszłych imię, bych się opamiętali i pokutę czynili póki czas . . . By dzieci do utrat, marnotrawstwa i próżnej chwały nie wychowywali . . . bo gdzież dojdzie ten naród nieszczęsny po drodze, po której idzie? . . .

I . . . nie usłuchli mnie . . .

— Panie! Panie! nie wiem zalim ja pasterz zły, niegodny... aleć na bezdroża dążą owieczki moje... a jać patrzę, przepaść widzę, ostrzegam, błagam... krzyczę... Napróżno — nie słuchają poselstwa Twego, ni wołania mego...

Siwa głowa na kamień posadzki opadła, wstrząsnęła łkanie szczupłemi ramionami.

— Kryste! Daj mi łaskę Twoją — bych słowa znalazł... co by trafiły do tych dusz! Kryste! Kryste!

— Nie sławyć ja pragnę, nie znaczenia, nie rozgłosu... jeno dobra narodu tego... tej rzeczypospolitej i... Twego Panie.

Cisza, i znów łzami wezbrany głos kapłana dźwięczy:

— Wiek mnie już przyciska... starym Panie mój, niedługo a odejść mi przyjdzie... masz niespełnionem pozostać dzieło żywota?! Panie! Panie!... coś dla dziesięciu sprawiedliwych ratować obiecał Sodomę!..., Zgrzeszyli... grzeszą, ale miłosierdzie uczyń.... drogę ratunku wskaż!

— Jako dzieci oni są... jako dzieci, co źle czynią — nie wiedząc...

Drżące, rozpalone wargi do chłodu kamieni przywarły...

Taką mękę miał w duszy...

Taki straszny ból!...

Modlił się tym bolem, bo ustom zabrakło słów. Śmiertelna trwoga o przyszłość ukochanej ojczyzny była w nim, wyrzeczenie się zupełne własnego „ja“ dla dobra współbraci.

Cisza... tętno własnej krwi słyszał, własnego serca niespokojne bicie.

W takiej ciszy — mówi lud — Bóg jest blizko. W takiej ciszy... bezszelestną stopą przesuwa się koło człowieka i daje mu świadomość rzeczy przyszłych.

I ksiądz Skarga w tej chwili nie widział już mrocznego sklepienia świątyni... zdało mu się, że gdzieś, wysoko stoi i na Polszcze całą patrzy... na jej chaty nizkie, zamki obronne, dojrzewających zbóż łany, gór szczyty, lasów tajnie, miast panoramy.

Szeroko rozwarte jego oczy patrzały w przyszłość... Szła

ku niemu straszna zjawa tego, co nadejść miało... upadek Polszczy szedł...

Zamierało w piersi serce...

Na ustach krzyk...

Drżące dłonie miażdżyły stal rzeźbionych oparcie.

Bo oto nad to ziemią coraz to inne wstawały zjawy:

Krwawe łuny pożarów, dymów czarne smugi zsnuły błękit niebios. Coraz to inny wróg w głąb państwa wojska swoje parł. A w ojczyźnie prywata nad publicznem dobrem górę brała, miast na wrogu szablice się krwawiły na bratnich karkach. Marnowały się siły na sejmikach, rokoszach, najazdach... rosła szlachty buta nieszczęsna, ryły wieki pomiędzy stanami wyrwę coraz to głębszą... coraz do przebycia trudniejszą, wzgarda płodziła nienawiść...

I z kolei dojrzał ksiądz bezprawia królewskich komnat. Kochanice rządziły tam, gdzie niegdyś władały królowe. Białe ich dłonie zgarniały leniwym, lubieżnym ruchem ostatki ze skarbu publicznego..., rozkoszne ciała wabiły bezwstydem obietnic — a król szalony, zaślepiony, rzucał w te pieszczone dłonie dobra swego państwa, święte dobra narodu, a gdy ich brakło... pieniądze zdrady, żywe ciało poddanych swoich.

Och!

Ksiądz zasłonił dłońmi oczy...

Nie patrzeć! nie patrzeć!

„Co rozumem, pilnością i cnotą stanęło, to się nierozumem, niedbałością i złością ludzką obala".

Och nie patrzeć!

Zimny dreszcz przejął duszę księdza. Ale lęk wolą zmógł.

I dojrzał wnętrze sali w jakimś obcym dworze i widział jak się na białym pergaminie z mapą Polski trzy dłonie władne kładły spokojnym, silnym, zaborczym gestem a usta mówiły: „To moje"...

I widział, jak ten pergamin podpisał senat i... król Polski ostatni...

I widział, jak szły w głąb Polszczy karne roty i zajmowały ów krąg, które owe władne dłonie na pergaminie oznaczyły.

I widział pożogę . . . krew, martwych ciał stosy . . . protest. . . modły . . . ból . . . łzy . . .

I widział olbrzymią zjawę ducha narodu, co się zrywał od czasu do czasu w męce . . . skrwawione dłonie ku niebu wyciągał... spętane ramiona prężył i . . . upadał — Bo gdy jedna ręka do miecza się rwała . . . bezwolnie opadała druga . . . i jeno postronki trzech zaborów wpijały się silniej w owe dłonie nieszczęsne, męczeńskie, niezgodne! . . .

— Kryste! — Kryste! . . . nie mogę już! nie mogę! Sen to li czy jawa?!! Przecz zginę tak? przecz zginę? . . .

Oczy dłońmi zasłonił.

— Panie! Panie! gdzież droga ku ocaleniu? . . .

— Zali tak zginą?

Zniknęło wszystko . . .

Blady blask lampy jak przedtem rozświecał wnętrze i twarzy bolesnej Chrystusa na krzyżu pozory życia dawał.

Szeroko rozwarte oczy księdza wezbrały łzami.

— Takiż koniec narodowi temu Panie? . . .

Narodowi co przedmurzem chrześcijaństwa był . . . Takiż mu koniec? . . . urwał, bo w duszę spłynął mu głos . . .

— Wybawienia drogą dla Polszczy: miłowanie, zgoda, wiara . . . Bez nich naród nie wstanie, bez nich wolni, niewolnymi się staną... bo sił niema ku obronie naród, co się we wnętrzu rozkłada.

A każde z tych słów wwiercało się w duszę księdza, paliło mu mózg piętnem ognistem.

. . . miłowanie . . . zgoda . . . wiara . . .

. . . i szept leciał echowy: Miłowanie! zgoda! wiara!

Bez zmysłów ksiądz Skarga na kamień posadzki runął.

Zbudził go ranny chłód... przez okno wzierał się blask słońca radośnie . . . więdnące kwiaty pachły od ołtarza, bolesna, słodka twarz Chrystusa występowała z tła krzyża.

Ksiądz się podniósł . . . drżącemi dłońmi rozpalone ogarnął skronie . . . w czaszce huczały mu wyrazy:

— Miłowanie . . . zgoda . . . wiara . . .

I tegoż dnia, gdy katedrę św. Jana zapełnił strojny tłum senatorów, dostojników kościelnych szereg, gdy król ów dobry, ale słaby pan miejsce swe zajął... ksiądz Skarga rozpoczął swoje wiekopomne, prorocze kazania sejmowe... Echo ich do dzisiejszego dnia powtarza narodowi polskiemu:

„Abych wam dzień trzeci zaświtał zmartwychwstaniem... trzeba... miłowania — zgody — wiary!“

Marya Czeska.

O Skardze „największym wichrzycielu Rzeczypospolitej".

(Dokończenie).

IV.

Polityczne „wichrzycielstwo" Skargi.

W czasie dyskusyi przy układaniu pod Sandomierzem artykułu rokoszowego przeciw Jezuitom podnoszono między innemi oskarżeniami i to, że Jezuici są domu austryackiego promotorami, że są zwolennikami „praktyk rakuskich" i że do absolutum dominium króla nakłaniają. Zarzuty te odnosiły się i do Skargi, bo on jako najwybitniejszy z Jezuitów nadwornych musiał chyba o praktykach coś wiedzieć a jako kaznodzieja sejmowy także w „politykę się wdawał" i jeżeli kto, to chyba on absolutum dominium doradzał.

W zarzutach tych było tyle prawdy, ile jej było w „pomowie", że Skarga zwalczając konfederacyę warszawską na wojnę sąsiedzką trąbił i krew braterską rozlewać chciał.

Jakim promotorem domu austryackiego był Skarga, pokazało się w czasie trzeciego bezkrólewia, gdy po niezgodnej elekcyi wojska arcyksięcia Maksymiliana oblegały Kraków w październiku 1587. r. W obozie Maksymiliana spodziewano się, że Jezuici krakowscy będą działać na jego korzyść i wysyłano przebranych ludzi z wielkimi obietnicami, jeżeli Jezuici będą nakłaniać obrońców do wydania miasta, a z pogróżkami, gdyby tego nie uczynili „ingentibus promissis si pareremus: minis atrocibus, si refragaremus" (VII. 110). Gdy to nie pomagało wysłał sam arcyksiąże Maksymilian przez jakąś zgrzybiałą staruszkę list do Skargi,

żeby użył swoich wpływów w mieście i agitował za jego sprawą, obiecując i jemu i Jezuitom znaczne korzyści. List opatrzony pieczęcią Maksymiliana odesłano bez otwarcia go Zamoyskiemu, co tenże wdzięcznie przyjął, a dla zapobieżenia rozruchom w mieście, sprawę na kazaniu wyjaśniono „apud concionem magno dolore haereticorum ac verecundia exposuerunt" (l. c. 111).

Czy to kazanie wypowiedział sam Skarga, tego Wielewicki nie podaje, ale przypuszczenie takie nie byłoby całkiem bezpodstawne, zwłaszcza, że jak wiadomo, Skarga przez to swoje wystąpienie ściągnął na siebie oburzenie biskupa nominata kijowskiego, Jakóba Woronieckiego, który mu wyrzucał niewdzięczność dla domu austryackiego i wichrzycielstwo „quod populum irritet contra Maximilianum". (Listy 250).

Nadzwyczajnych sympatyi Skargi do arcyksięcia Maksymiliana nie oznaczało także jedno z pierwszych kazań, jakie Skarga wobec nowego króla wypowiedział „Kazanie na zwycięstwo pod Byczyną" — a że był przeciwny i późniejszym „praktykom rakuskim" dowiódł tego w Rewlu, gdy króla od wyjazdu do Szwecyi powstrzymał i przyczynił się przez to do uchylenia wielkiego niebezpieczeństwa, jakie wówczas nad Polską zawisło.

Po wypuszczeniu bowiem Maksymiliana z niewoli i ugodzie będzińskiej w marcu 1589. r. wyjazd króla do Rewla nie tylko ożywił podejrzenia rakuskie w obozie narodowym, ale omal nie sprowadził na Polskę wojny tureckiej, bo w Stambule obawiano się, żeby po wyjeździe króla do Szwecyi jego ewentualny następca Maksymilian nie połączył się z cesarzem Rudolfem przeciw Turcyi.[1] Dlatego to i współczesne napady kozackie na Mołdawie wywołały odwet ze strony Tatarów, którzy na rozkaz wielkiego wezyra napadli w sierpniu na Polskę, zapędzili się aż pod Lwów i do 60.000 ludzi w jassyr pobrali, a z początkiem września wojska tureckie zbliżały się ku granicom Rzeczypospolitej, granicom całkiem odsłoniętym, bo Zamoyski nie miał dość siły do ich obrony.

W takim to niebezpiecznym czasie przybył król do Rewla 7. września, gdzie go oczekiwał już jego ojciec Jan, król szwedzki.

[1] Ks. J. Sas „Stosunki polsko-tureckie w pierwszych latach Zygmunta III". Przegląd Powszechny. 1897. I. str. 119, 220.

W tym samym czasie, kiedy król do Rewla przybył, otrzymał „listy żałośne od hetmana" o najeździe tatarskim i zniszczeniu Rusi. Senatorzy wobec tych nowin „radzili o prędkim wyjeździe" — ale król Jan nie chciał o tem słyszeć. Wtedy to tj. 8. września zabrał głos ks. Skarga w tej sprawie. „Nazajutrz X. Skarga w kazaniu przypominał zwojowanie ziem ruskich (tak, iż nasze wszyscy płakali) napominając ich, aby tem prędzej spieszyli się na ratunek ojczyźnie z tych tam krajów, powiedając, że będzie Pan Bóg patrzał z rąk ich krwie braciej wylanej". (Bielski, tom III, wydanie Turowskiego str. 1624).

„Mowa ta tak poruszyła wszystkich, że natychmiast króla szwedzkiego żegnać poczęli" jak wspomina Heindenstein (tłum. Gliszczyńskiego II. 288). Opuścił go wojewoda wileński z 2.000 swoich ludzi, a później wobec pogłosek, że król nie chce wrócić do Polski, opuszczali go coraz liczniej inni, między nimi pożegnał go także legat papieski. Króla to nie wzruszało. Trzeciego października oświadczył stanowczo, że do Szwecyi wyjeżdża „se in Sueciam omnino iturum" — wskutek czego pożegnał króla już z żalem i spowiednik ks. Gołyński, nie mogąc go odwieść od powziętego zamiaru. Dopiero powtórne wystąpienie Skargi 5. października, wobec obu królów i dworu, jego wezwania, by spieszyć z pomocą zniszczonej Rusi i ponowiona groźba, że Bóg upomni się o krew przelaną i cierpienia ludu, zachwiały króla, który też dnia następnego zapowiedział swój powrót do Polski. (Wielewicki VII. 131).

Za ten epizod w Rewlu przepłacił król upokorzeniem na sejmie inkwizycyjnym 1592, a także podczas rokoszu była nieraz o nim mowa. Sejm inkwizycyjny mógł doprowadzić do wielkiego zamętu w kraju, bo poróżnił króla z Zamoyskim, ale na szczęście nie przyszło do tego dzięki współdziałaniu „wichrzyciela Rzeczypospolitej". Skarga bowiem wysłany przez nuncyusza Malaspinę do Zebrzydowskiego, żeby go wybadał, na jakich warunkach zgodziłby się kanclerz na pośrednictwo nuncyusza, dowiedział się, że Zebrzydowski nie tylko radzi, ale bardzo napiera na to pośrednictwo. Gdy na posłuchaniu u króla udało się nuncyuszowi nakłonić go do zgody, wysłano znowu Skargę do kilku

magnatów, żeby się z nimi porozumiał, w jaki sposób możnaby kanclerza przejednać. Gdy także nuncyusz z owymi senatorami warunki zgody omówił, Skarga te warunki królowi przedstawił, poczem dnia następnego (22. października) przyszło do pojednania, które wprawdzie wszystkich uraz Zamoyskiego nie usunęło, ale przynajmniej do niezgód domowych nie doprowadziło, a Skargę bardziej jeszcze zbliżyło do kanclerza[1] zwłaszcza, że nie tylko w roku 1603. prawdą było co pisał do Zamoyskiego: „Troskanie o nasze nieporządki (na sejmie) wszyscy mamy wspólne, ale W. M. ma większe, który goręcej ojczyznę miłujesz i głębiej i ostrzej w jej potrzeby i niedostatki patrzysz". (Listy 266).

Że jednak i sam Skarga dosyć ostro w nieporządki ojczyzny patrzył i tak jak kanclerz w polityce rakuskiej Zygmunta III. nie upatrywał zbyt wielkiego szczęścia dla Rzeczypospolitej, mamy dowód w jego zapatrywaniach na sprawę małżeństwa króla z Konstancyą, siostrą pierwszej żony, Anny Rakuszanki.

Zamiaru tego małżeństwa Skarga nie pochwalał i to nie tylko z pobudek religijnych, ale i z pobudek politycznych, wiedząc dobrze, jak się zapatrują na projekt ponownej koligacyi z domem rakuskim wybitni ludzie z partyi kanclerskiej. Z tej też przyczyny „quia apprehenderat... rem hanc plurimis non placere, imo non parvos regni motus hinc timeri" odradzał królowi to małżeństwo, a gdy widział, że rady nie skutkują, postanowił mimo swego przywiązania do króla dwór opuścić. Sprawa zaszła tak daleko, że we wrześniu 1602 r. otrzymał już przyzwolenie króla na opuszczenie dworu (zastąpić go miał ks. Stanisław Grodzicki) i doniósł nawet o tem jenerałowi zakonu, ale król wkrótce zdanie zmienił i nie chciał puścić Skargi od siebie. Pozostał więc Skarga na dworze otrzymawszy admonicyę od przełożonych, by przeciw małżeństwu temu nie powstawał, skoro papież nie jest tej sprawie przeciwny; bo chociaż wie z listów różnych senatorów, czego się w Polsce obawiają, wie, że nie brak i takich, którzy zamiary królewskie pochwalają i widzą w nich korzyść dla Rzeczypospolitej (X. 32).

Skarga na jakiś czas przycichł — ale i król widząc jak niepopularne są te jego zamiary, długo się namyślał, a nawet w tej

[1] *Stan. Łempicki*: Zamoyski, Jezuici i Skarga. Pam. Liter. XI.

intencyi kazał odprawiać prawie przez cały rok co tydzień wotywę u św. Barbary, które to wotywy przestano odprawiać dopiero w lipcu 1604 r. (X. 61). Wtenczas widocznie zapadła ostateczna decyzya i to było powodem, że Zebrzydowski, który podobnie jak Zamoyski przeciwny był temu małżeństwu i podejrzliwie śledził kroki króla w tej sprawie niemal od pogrzebu królowej Anny (luty 1598) pisze zaraz w lipcu 1604. r. pierwszy list do króla przeciw temu małżeństwu. (X. 63).

Protest Zebrzydowskiego przeciw planom królewskim zbliżał go tem samem jeszcze bardziej do Skargi, z którym dotychczasowa przyjaźń głównie na „fanatyźmie" się opierała.

* * *

Skarga poznał Zebrzydowskiego jeszcze w czasie wojny moskiewskiej, jako dworzanina króla Stefana, w roku 1580. Ów były uczeń szkoły jezuickiej w Brunsberdze i Ingolstadzie, ulubieniec Batorego „Regi imprimis carissimus", zwrócił uwagę Skargi swoją pobożnością, prawym charakterem i „fanatyzmem". „Magnum animum ad haeresium exstirpationem declarawit", i w tym celu wraz z chorążym króla, późniejszym kardynałem Maciejowskim, zgłosił się do Skargi z chęcią założenia kollegium w Lublinie. (Listy 135).

Dwa lata później w Rydze nie tylko brał udział wraz z królem Stefanem w nabożeństwach wielkotygodniowych, odprawianych w odebranym świeżo dysydentom kościele i zachęcał do spowiedzi niektórych dworzan, ale napędzał do sieci skargowskich i niektórych heretykow, za co zyskał uznanie Skargi, jako najdzielniejszy z dworzan duszołowców: „inter ipsos aulicos piscatores animarum... praecipuus". (Listy. 180).

Gdy Zebrzydowski w 1585. r. został krakowskim starostą, Skarga przyjął tę nominacyę prawie jako zrządzenie boże dla ochrony zakonu (Listy. 229), któremu Zebrzydowski już dawniej wiele świadczył, a odtąd zaliczał się do głównych dobrodziejów domu św. Barbary, w którym często przebywał, i jako benefactor życzliwie był przyjmowany.

Dobre stosunki między Zebrzydowskim a Jezuitami u św.

Barbary zaznacza Wielewicki zwłaszcza pod rokiem 1604. Notuje n. p., że na uroczystość Nowego Roku był wojewoda na obiedzie wraz z nuncyuszem Rangonim, biskupem Bernardem Maciejowskim, biskupem Pawłem Wołuckim, wojewodą łęczyckim St. Mińskim i z Andrzejem Bobolą. (X. 52).

Kilka dni później syn jego Jan Zebrzydowski, starosta lanckoroński, zostaje prefektem Kongregacyi Maryańskiej, a bratanek wojewody Mikołaj w tymże czasie stara się nawet o przyjęcie do zakonu. (X. 57).

Ważniejszym dla przyszłego rokoszanina był fakt zapoznania się wówczas z Dymitrem Samozwańcem, który się zwierzył Zebrzydowskiemu z zamiarem przejścia na religię katolicką. W mieszkaniu Zebrzydowskiego przyszło też 7. kwietnia do pierwszego colloquium religijnego z ks. Grodzickim i Sawickim, potem do drugiego colloquium u ks. Bernardynów 16. kwietnia, w którem brał udział także Skarga, a dzień później Zebrzydowski, przebrany w wór pokutniczy członków bractwa Miłosierdzia i okrywszy takimże worem dla niepoznania także Dymitra, przyprowadził go nieznacznie do domu św. Barbary na spowiedź wielkanocną do ks. Sawickiego. Po złożeniu wyznania wiary katolickiej, Dymitr się spowiadał a Zebrzydowski, który w tym czasie czekał na niego na chórze, uradowany z konwersyi odprowadził go w pokutniczem okryciu do domu. (X. 55—58).

Wówczas jeszcze wojewoda nie mógł przeczuwać, że przyjdzie czas, kiedy te pobożne zabiegi zamienią się na wspólne knowania przeciw królowi, bo miał jeszcze nadzieję, że król się na małżeństwo z Konstancyą nie zdecyduje; ale gdy się dowiedział, że u św. Barbary przestano odprawiać wotywy na intencyę króla, wysyła z Lanckorony w lipcu pierwsze „upomnienie senatorskie", żeby król nie łamał deklaracyi „po trzykroć uczynionej", nie wchodził w małżeństwo, które P. Bóg potępił, a „ludziom niechętnym" nie dawał „okazyjej do tradukowania" przez takie postanowienia, których żaden senator „konsensem swoim aprobować nie może", a bez którego to konsensu „prawo i przysięga W. K. M. nic w takowych rzeczach przedsiębrać nie dopuszcza". (Rembowski. Rokosz. 101).

O tym liście wiedziano i u św. Barbary, bo jeszcze wówczas Zebrzydowski tam bywał, a nawet po uroczystem 40-godzinnem nabożeństwie, odprawionem na odwrócenie grożących Rzeczypospolitej niebezpieczeństw, w domu św. Barbary obchodził imieniny, na które zaprosił kardynała Maciejowskiego, podobnie jak on przeciwnego małżeństwu króla z arcyksiężną Konstancyą, nuncyusza Rangoniego i kilku innych dygnitarzy. (X. 71).

Wkrótce potem stosunki wojewody z królem pogarszają się bardzo. W odpowiedzi na listy królewskie, zwołujące sejm 1605. r. odpisuje, że niewiele można się po sejmie spodziewać, „bo fakcye o których słychać, obiecować sobie po nim nie bardzo każą". Do Warszawy jednak pojechał, ale na prywatnem posłuchaniu u króla mówił mu, iż „siła jest in pactis, co skutku nie bierze" a na zapytanie królewskie, czy to przypadkiem nie konfederacya, oświadczył, iż pacta „z strony samej konfederacyjej były niezgodne, ale insze wszytkie artykuły są zgodne" i przebieżał te, które były najgruntowniejsze, przyczem i „ów paragraf de obedientia" nadmienił. (Remb. 103).

Na sejmie warszawskim (od 20 stycznia do 3. marca 1605) przyszło istotnie do gwałtownych starć między partyą Zamoyskiego, broniącą swych postulatów, zawartych w „artykułach bełzkich" a „fakcyą" regalistów.

Zebrzydowski, który w jakimś liście do króla bardzo ostro krytykował rozdawnictwo wakansów, po ponownej audyencyi, gdy król ani słowem kwestyi tej nie dotknął, pisze list ostrzejszy, w którym wyraźnie grozi, że jeżeli król „tego małżeństwa i tej fakcyi, na którą się zdobywa, nie zaniecha, tedy to królestwo straci". (Remb. 106). Król mimo to zaraz potem „fakcye" wzmocnił, bo rozdał wakanse tym, którzy przy królu „dobrze stanęli", poczem sejm został zerwany za sprawą „fakcyi", żeby się król nie potrzebował usprawiedliwiać. „Stądże tam zaraz małżeństwo konkludowane". (Remb. 107). Zebrzydowski na wiadomość o tej konkluzyi pisze zaraz list do króla, że jej „nie przyznawa i za ważną nie ma", gdyż bez niego stanęła, i prosi go, by „przyjętego małżeństwa w najbliższym powinowactwie kończyć nie raczył".

Następnie jedzie do Sokala, zamawia tam wotywę i wysłu-

chawszy jej, pisze 6. sierpnia długi list, w którym wylicza wszystkie „wstręty" przeciw królowi od zjazdu w Rewlu; wspomina o rzekomych praktykach ze szwedzkim Karolusem, z którego zwycięstw w Inflantach król miał się cieszyć, i nie przyjął nawet ofiarowanej przeciw Karolusowi od Zebrzydowskiego pomocy „tysiąca człowieka służebnego"; a wszystkie te praktyki łączy z małżeństwem przez arcyksiężnę matkę „abo gwałtem wielkim abo smacznemi jakiemi kondycyami wymożonem". (Remb. 107—110).

W tym samym czasie, kiedy Zebrzydowski list z Sokala wysyłał, spróbował także Skarga po raz ostatni przeciw projektom królewskim wystąpić, bo widział, że obawy, jakie żywił w 1602. roku nie były bezpodstawne, skoro nietylko sejm 1605. r. przeważnie dla tych spraw matrymonialnych i „praktyk rakuskich" został zerwany (X. 75), ale znając zapatrywania Zebrzydowskiego i jego odgrażania się, że król koronę straci, mógł się obawiać gorszych jeszcze następstw.

Nie mogąc przekonać króla, pisze 14. sierpnia do jenerała zakonu Akwawiwy bardzo charakterystyczny list, będący wymownem świadectwem, jak ów rzekomy wichrzyciel swoje obowiązki spełniał i z jaką to słusznością i uczciwością nazwali go rokoszanie największym wichrzycielem Rzeczypospolitej.

List pisze z obowiązku sumienia i w poczuciu odpowiedzialności swego stanowiska na dworze królewskim: „exigit conscientia mea et munus, quod in aula... sustineo". Że zawsze był temu małżeństwu przeciwny, o tem król wie dobrze, bo nieraz się temu małżeństwu sprzeciwiał, powołując się na Ojców Kościoła, na nieszczęśliwe następstwa dla króla i dla królestwa: „audivit me non semel privatim in palatio sibi contradicentem et rationes multas... ne id tentaret, quod saluti animae eius, et felicitati externae, et Regno ipsius afferre magnum possit detrimentum".

Król przyjmował te sprzeciwy życzliwie, ale powoływał się na przyzwolenie Klemensa VIII. i na zachętę papieską do małżeństwa z Konstancyą. Skarga odpowiada na to, że w tak ważnej sprawie dla dyspenzy powinna istnieć bardzo ważna przyczyna, a takiej król niema, owszem bardzo ważne racye każą takie mał-

żeństwo potępić: „tales nuptias contemnere". „Największy wichrzyciel" przewiduje przedewszystkiem zamęt królestwa, osłabienie stanowiska króla, a nawet jego upadek: „totius regni ex hisce nuptiis imminet *turbatio* et status Regis felicitatisque *debilitatio*, vel quod absit, *eversio*. Nullus est in Regno cui tales non displiceant et timorem quendam incutiant nuptiae". Nawet ci z magnatów, którzy zdaniem Skargi pozornie na to małżeństwo się godzą — zwłaszcza karyerowicze, zwalają w tej sprawie winę na drugich. Wszyscy inni, szlachta a nawet lud „factum exhorrent"; i dlatego z byle okazyi można się obawiać zaburzeń w państwie: „facile ex modica occasione *turbae* excitari possunt". Będą z tego zgorszenia u katolików; „heretycy nabiorą więcej odwagi dla pomiatania i wyśmiewania" religii katolickiej; a klęski publiczne, jakie stąd mogą wyniknąć, z tem małżeństwem będą związane: „quidquid postea *publici damni*... acciderit, *totum tali matrimonio tribuetur*".

Skarga przewiduje, że król nawet zagrodzi sobie drogę do odzyskania korony szwedzkiej; i dlatego nie ustaje przekonywać go prywatnie, — nie publicznie, chociaż wszyscy tego po nim oczekują: „Nihil dixi publice, nec dico, licet hoc a me omnes expectent".

Przewiduje, że stanowisko jego u dworu stałoby się nieznośne, bo byłby narażony na prześladowania przyszłej królowej, a zwłaszcza jej matki, arcyksiężnej Maryi, która wie o wszystkiem od ochmistrzyni — onej głośnej Urszuli Majerin, uważanej przez „wtajemniczonych historyków" za narzędzie polityki jezuickiej — a której pobyt na dworze i jej stanowisko naiwny Skarga za zgorszenie uważał: „quae hic cum omnium scandalo et parvo honore retinetur".

Mimo, że sprawa małżeństwa była już ostatecznie postanowiona, a król czekał tylko na dyspenzę papieską, o której w Polsce nikt nie wątpił, Skarga żywi jeszcze nadzieję, że dobroć Boża przeszkodzi tym zamiarom przez wzgląd na pobożność i dobre uczynki króla, którego całem sercem miłuje i dlatego śmiało prawdę mu mówi: „hac apud eum pro ejus felicitate libertate utor". (Listy. 269—71).

Czy Skarga, pisząc ten list do jenerała, spodziewał się jakiej interwencyi Akwawiwy u papieża trudno się domyślić, w każdym razie pytał o radę co ma począć, a przedstawiając trudność dalszego pobytu na dworze, spodziewał się chyba zwolnienia od ciężkich obowiązków. Jaką odpowiedź otrzymał na ten list, nie wiadomo. To pewna, iż nie dostał zwolnienia od dworu, a stanowisko jego nie zmieniło się na gorsze, mimo, że arcyksiężna matka mogła go podejrzywać, że on to przyczynił się do odesłania z powrotem do Austryi dwu Jezuitów niemieckich, przysłanych na kapelanów królowej Konstancyi, by nie dawać niechętnym nowych okazyi do wygadywania na króla i dom austryacki. (X. 104).

Jeżeli przedtem nie chciał publicznie przeciw małżeństwu z Konstancyą wystąpić, chociaż wielu tego się spodziewało — a między nimi zapewne i przyjaciel Skargi, Zebrzydowski, to nie mógł oczywiście i po ślubie królewskim tego małżeństwa ganić, ale musiał nawet dokładać starań, żeby łagodzić nieszczęsne skutki uporu króla, który widocznie nie bardzo wierzył zapowiedziom Skargi „quidquid postea publici damni, quod avertat Deus, acciderit, totum tali matrimonio tribuetur".

Gorszy rezultat, aniżeli list Skargi do Akwawiwy miały listy Zebrzydowskiego do króla. W Sokalu tuż przed wysłaniem owego listu pisanego „ipso die Transfigurationis Domini", otrzymał zaproszenie „z strony przybycia na wesele... i do otwierania korony". Z zaproszenia tego oczywiście nie skorzystał, ale do listu sokalskiego dołączył „drugi pospołu", w którym o różnych praktykach królewskich szeroko się rozpisuje i stara się je udowodnić. (Remb. 110 — 116).

Wszystko to na nic się nie przydało, bo król ani zamiaru nie zmienił, ani nie próbował się z „praktyk" usprawiedliwiać. Na listy całkiem nie odpowiadał, co utwierdziło Zebrzydowskiego w przekonaniu o ich prawdziwości, jak to nieraz wojewoda później wobec rokoszan podnosił, i drażniło jego dumę, bo widział w tem milczeniu kontempt „nie jedno rad ale i samych osób naszych".

Do kontemptu przyczyniła się nowa uraza osobista, gdy z okazyi zjazdu weselnego miał Zebrzydowski wynieść się z kamienicy na zamku. Że to Zebrzydowskiemu „z ciężkością" przyjść

miało, wiedział król z listu pisanego 17. październ. 1605 r.; bo wojewoda wyraźnie o tem wspomniał, a tłumacząc się z dotychczasowych upomnień senatorskich, Bogiem się świadczył, że czynił to wskutek przysięgi senatorskiej „quidquid sensero nocibile... me opponam et illud avertam". (Remb. 116). Mimo to otrzymał 2. listopada polecenie, żeby się z kamienicy owej wyniósł, co wielu współczesnych za decydujące dla rokoszu uważało, (Wiel. X. 100) i opowiadało sobie o groźbie wojewody „Ja z kamienicy, król z królestwa się wyniesie".

Dla dumy wojewody nie mogło to być oczywiście obojętne, ale do roboty rokoszowej zabrał się na seryo dopiero wtedy, gdy król po ślubie 11. grudnia 1605, nie myślał dać żadnych gwarancyi, aby „Rzeczpospolita asekurowana była, iż to zpowinowacenie nie będzie fraudi Rzplitej". (Remb. 121).

Robota ta nie przedstawiała nadzwyczajnych trudności, bo umysły do rokoszu były już przygotowane po zerwanym sejmie 1605. r. („multae iam dispositiones ad conventus Rokoszanorum... a variis male contentis praeparabantur" X. 75) a teraz po ślubie królewskim były bardziej jeszcze podniecone, skoro miano nowy dowód na „praktyki rakuskie" — zwłaszcza, że w instrukcyi na sejmiki była mowa o blizkim wyjeździe króla do Szwecyi i były także tak drażliwe sprawy, jak domaganie się, by kosztem szlachty utworzyć armię stałą na obronę Rzeczypospolitej, a co gorsza, żeby przeprowadzić taką reformę sejmową „iż by jedni bez konsensu drugich konkludować mogli, nie oglądając się nic na ich protestacye" — co powszechnie uważano za drogę do zaprowadzenia „absoluti dominii".

Tymi też argumentami straszy szlachtę agitacyjne „Pismo z krakowskiej ziemi", pochodzące z kół zbliżonych do wojewody, i jako ostateczny środek przeciw praktykom i absolutnym rządom proponuje zjazd o 10 mil od Warszawy na ostatni tydzień zapowiedzianego sejmu. (Pamiętny sejm. 39).

Te same argumenta rozwija Zebrzydowski na sejmiku w Proszowicach 19. lutego, gdzie zapada uchwała o odbyciu zjazdu w Stężycy na 10 dni przed końcem sejmu, uchwała zatwierdzona uniwersałem korczyńskim 23. lutego.

Te uchwały były tem niebezpieczniejsze, że właśnie w ziemi krakowskiej agitował niedawno Buczyński, ajent Dymitra Samozwańca, wysłany jeszcze w połowie listopada 1605 r. z grubą sumą pieniędzy na robotę do Polski. Buczyński właśnie w styczniu uporał się z tą robotą dosyć skutecznie, bo do orszaku Maryny Mniszchównej zwerbował w ziemi krakowskiej 2300 ludzi, którzy mieli niebawem powrócić do Polski, jako przednia straż armii Dymitra, upatrującego właśnie wówczas „pogodę na koronę". O tej „pogodzie" była nawet mowa na „sejmie pamiętnym" np. w wotum Lwa Sapiehy, który wspominał o porozumieniu niektórych ludzi z Dymitrem; mówił, że „jeden z akademii krakowskiej pisał do niego, że teraz pogodę ma na koronę" i że „poselstwa, które do niego z korony latają" nie każą się dobrych rzeczy spodziewać. (Sobieski. Studya 102). — Wielką ostrożność w stosunkach z Dymitrem zalecał biskup Baranowski, a biskup Szyszkowski „wprost posądzał Dymitra, że kiedy polskie wojska podążą przeciw Szwedom, to Dymitr gotów... wpaść do Polski" (l. c. 79). Czy już wówczas były nie tylko „ustne umowy, ale i zobowiązania się na piśmie" między Zebrzydowskim a Dymitrem, tego nie zaznacza wyraźnie relacya Maszkiewicza, świadomego owych konszachtów. (l. c. 116). Być może, że dla Zebrzydowskiego w styczniu 1606. r. był Dymitr kandydatem tylko na wypadek, gdyby król nie dał dostatecznej „assekuracyi, że się nic nie stanie fraudi Rzplitej", bo tylko w takim wypadku salwowałby wojewoda swoje senatorskie sumienie artykułem „de non praestanda obedientia", który już na sejmie 1605. r. królowi przypominał, i bez szkrupułów popierałby dążenia Dymitra, do którego „konwersyi" sam się przyczynił, zwłaszcza, że po konwertycie mógł się spodziewać rozszerzenia wiary katolickiej w krajach moskiewskich. (Sobieski l. c. 115).

Że uchwalony zjazd w Stężycy mógł oddziałać bardzo szkodliwie nie tylko na przebieg sejmu, ale mógł być wstępem do wielkiego zaburzenia Rzeczypospolitej, o tem zdawał sobie sprawę król i regaliści, a że powodzenie zjazdu zależało głównie od Zebrzydowskiego, który po śmierci Zamoyskiego był głową narodowego stronnictwa i jako trybun ludu i obrońca wolności Rzeczy-

pospolitej gotował się do odegrania wybitniejszej roli dziejowej — starano się go przejednać i do zaniechania zjazdu nakłonić.

Próbował tego przez listy nuncyusz Rangoni i wzywał do zachowania pokoju, ale bezskutecznie; próbował z polecenia króla jakiś „wielki człowiek", „który na sejm jadąc o zaniechanie tego zjazdu mówił", a później z Warszawy pisał do wojewody o „wielkiej skłonności króla" ku niemu (Remb. 119), ale pisał także na próżno.

Wtedy dopiero postanowił król użyć pośrednictwa Skargi, licząc na jego przyjaźń z wojewodą i na pewną wprawę w misyach pojednawczych tego wichrzyciela Rzeczypospolitej. Jedną taką misyę odbył Skarga wkrótce po ślubie królewskim w sprawie zatargu króla z kardynałem Maciejowskim, zamianowanym legatem a latere na uroczystości ślubne. Przez dwa tygodnie używał kardynał baldachimu, jako legat a latere, na dłuższe jednak wyszczególnienie kardynała nie chciał się zgodzić król, bo to się nie podobało królowej Konstancyi i arcyksiążętom, bawiącym jeszcze w gościnie na zamku krakowskim. Kardynał ustąpić nie chciał w sprawie baldachimu i dopiero gdy król oświadczył, że nie pójdzie na nabożeństwo do katedry na Boże Narodzenie, jeżeli baldachimu się nie usunie, ustąpił (X. 107). ale pogniewany wyjechał do Prądnika. Dla ugłaskania gniewu Maciejowskiego, który także dawniej przeciw małżeństwu z Austryaczką powstawał, wysłał król Skargę do Prądnika, a chociaż zrazu misya się nie udała, a Maciejowski zgromił nawet ostro wichrzyciela, później stosunki się wyrównały, zwłaszcza, że opozycya na najbliższym sejmie zwracała się nie tylko przeciw królowi, ale część jej dysydencka atakowała bardzo ostro prawa Kościoła i jurysdykcyę biskupów.

Sprawę z Zebrzydowskim próbował Skarga załatwić listownie, jak można wnosić z niejasnego tekstu „ks. Skarga też pisał do mnie credens, żeby przyjechawszy J. K. M. lubo o ten zjazd ze mną ekspostulował, pierwszą jednak łaskę i konfidencyą obiecał mi". (Remb. 119). Osobiście wybrał się Skarga w drogę już w czasie sejmu i przybył do Lanckorony 18. marca, ale nie wiele zdziałał, chociaż rozmaitemi pobudkami próbował nakłonić wojewodę

do zaniechania zjazdu. Zebrzydowski poczynił wprawdzie jakieś obietnice pokojowe i dobrze się z Skargą rozstał — „licet spem pacis et pacatorum consiliorum Palatinus fecisset, ac bonis verbis datis, Scargam a se dimisisset“ (Wiel. X. 117) — ale od zjazdu Stężyckiego nie dał się odwieść.

Królowi odpisał, że nie osobistym respektem się powoduje, ale idzie mu o całość Rzplitej i wolność, „bo z tym da P. Bóg idę do grobu“. Powoływał się na to, że król dawniejsze jego upomnienia i przedstawienia milczeniem zbywał „zatym je aprobować raczył“, że nie uwzględnił jego rady, żeby w rzeczach, których się ordines domagają, jedne zrazu uczynił, drugim pewny termin naznaczył „a tych co były niepodobne“, o wypuszczenie prosił — stąd „w ludziach strach absoluti dominii rośćie“. Podkreślał, że „rozdanie wakancyjej nie dzieje się z ukontentowaniem ludzi bacznych“ — a po małżeństwie nie ma asekuracyi — „iż to zpowinowacenie nie będzie fraudi Rzplitej“. Podejrzywa króla, że „komu inszemuby karzeł tego królestwa ustąpił“, zwłaszcza po zawarciu pomyślnem sejmu — „po którym umknąwszy teraz tych rzeczy, a jeszcze tym bardziej się zmocniwszy, podług onego tak rocznego consilium (z r. 1605) dopiero by do skutku to przywodzić chciał“ — może nawet ze śmiercią tych, co na przeszkodzie byli“. (Remb. 120—123).

Wobec takich przekonań Zebrzydowskiego, zabiegi Skargi musiały być bezskuteczne. Wojewoda nie wierzył, żeby to wszystko było fałszywe „falsa quidem omnia“, jak utrzymywali jego przyjaciele u św. Barbary (X. 118), tłumaczący sobie niezrozumiały dla nich upór tem — że wojewoda chociaż bardzo pobożny, był niemniej uparty przy własnem zdaniu „quod homines devoti et longae orationis, soleant esse duri capitis et iudicii proprii tenacissimi“. (X. 156).

Przyjaźń Zebrzydowskiego z Jezuitami po nieudanej misyi Skargi znacznie ochłódła, zwłaszcza, że niedługo potem wojewoda uczuł się osobiście urażonym, gdy w przejeździe do Stężycy, zatrzymawszy się w Krakowie na święta wielkanocne, dowiedział się, że kaznodzieja, ks. Wielewicki, miał sobie pozwolić na ubliżające do niego alluzye w kazaniu na wielki czwartek, w którem

o Zebrzydowskim wprawdzie nie mówił, ale przeciwstawiał pokorę Chrystusa P., umywającego nogi apostołom, pysze wichrzycieli sejmikowych i sejmowych „contra superbos et turbatores comitiorum sive generalium sive particularium". (X. 119).

Wojewoda wziął to do siebie, wysłał do superyora obżałowanie na kaznodzieję, a otrzymawszy tylko wyjaśnienie, że mówca ogólnie przeciw pysznym powstawał, oburzył się wielce. Fakt ten, jak i okoliczność, że Jezuici wojewodę, gdy jechał „pod Stężycę, ani żegnali, ani gdy się wrócił, witali go", uznał jakiś jego stronnik za „znaczną, grubiańską i bez wici wojnę" i napiętnował Jezuitów za to, jako „obleśnych, chytrych, włoskich kortezów" i domu austryackiego promotorów.[1] (Pam. Sejm. 144).

Skarga po nieudanej misyi w Lanckoronie miał się podjąć według informacyi p. Sobieskiego także misyi nawrócenia kilku innych oponentów i to z lepszym już rezultatem, co jeżeli jest prawdą, należało oględniej sądzić jego „wichrzycielską" działalność na sejmie. Informator p. Sobieskiego wiedział nawet, że istniał zamiar wysłania Skargi do Stężycy z kazaniem (145), coby także nie świadczyło o jego wichrzycielskim zawodzie. Pewnym faktem natomiast jest, że Skarga istotnie wypowiedział bardzo ogniste kazanie w Warszawie w sam dzień otwarcia stężyckiego zjazdu (9. kwietnia), którem tak oburzył rokoszan, że rozbierając je w formie „poszpeconej" i zestawiając z innem podobnem kazaniem wiślickiem, uznali Skargę „za największego wichrzyciela Rzeczypospolitej".

Jak Skarga wichrzył na sejmach, wiedzą dobrze ci, co kazania jego sejmowe czytali. Rola Skargi na sejmie 1606 r. była taką samą, jak na pamiętnym dla niego sejmie 1597. r., zwłaszcza, że instrukcya królewska przed obu tymi sejmami była w zasadniczych punktach dosyć podobna i starała się najważniejsze ówczesne braki usunąć, t. j. wprowadzić poprawę w sejmowaniu i zabezpieczyć stałą obronę Rzeczypospolitej.

Instrukcya na sejm 1597. r. wzywała posłów, aby się „poczuć raczyli" i „o bezpieczeństwach swych na te i na przyszłe

[1] Mimo urazy do Jezuitów przesyła wojewoda jeszcze w maju, zatem po powrocie ze Stężycy, 130 flor. jałmużny domowi św. Barbary. (X. 153).

czasy radzili i do tego sposoby prędszej i porządniejszej obrony... pozwolili i zgadzać się z drugimi o tym poruczyli“ przynajmniej o tyle, żeby ubezpieczyć się „na wszelaki gwałt, któryby niespodzianie napaść mógł kiedy, tak żeby nie dopuścił sejmować i gdzieby więc i to kwarciane obecne wojsko strzymać nie mogło, żeby się inakszy sposób obronnej gotowości i potężniejszej już na ten czas opatrzył“. (Script. Rer. Pol. XX. 326).

Reforma sejmowa, proponowana w ówczesnej instrukcyi, miała zapewnić zgodę uchwał sejmowych przez to, że występowała przeciw wnoszeniu na sejm gotowych już powiatowych i domowych „konkluzyi“, bo przez to się jedność Rzeczypospolitej targa, dzieje się krzywda innym prowincyom, przynosi się ujmę władzy i powadze króla, jakoteż senatorów. Przez takie gotowe sejmikowe konkluzye „rządziłoby się pojedynkiem a nie radziło“, — byłoby tyle Rzeczypospolitych, ile „województw, powiatów, nakoniec domów i głów samych“. Dlatego też była w instrukcyi przestroga „żeby też powaga sejmów koronnych... inaczej aniż po te czasy, była poszanowana i obwarowana“.. bo „sejm ktoby chciał W. Mciom zwątlić, toby z W. Mci czynił, abyście bez rady i ratunku spólnego i bez rządu i posłuszeństwa wszelakiego zostali jako dom jaki pusty, i Rzplitą tym i wszystko... z nią pospołu zgubić musieli“ (l. c. 328 — 29).

Echo tej instrukcyi królewskiej, bardzo nawet wyraźnie, słychać w ówczesnych kazaniach sejmowych, opracowanych odpowiednio przez Skargę, który w ten sposób pragnął przyczynić się do poprawy Rzeczypospolitej.[1] Niestety, praca ta poszła na marne, bo sejm ów nie doszedł, a także z późniejszych sejmów niewielką miała Rzeczpospolita pociechę.

Nie dziw przeto, że Skarga na sejmie 1606 r. do dawniejszych tematów powraca, skoro instrukcya sejmikowa także je poruszała, ale jak poprawa Rzeczypospolitej była teraz o wiele trudniejszą wobec zdecydowanej na wszystko opozycyi, tak też i praca kaznodziejska Skargi była teraz trudniejszą. Chociaż kaznodzieja się nie zmienił i „od rozumu nie odpadł“ opozycyi nietylko nie prze-

[1] *Ks. J. Sas*: „Jeszcze o kazaniach sejmowych Skargi“. Przegl. Powsz. 1898. I. 319—24.

konał, ale ściągnął na się nienawiść rokoszan, bo „w ludziech podobno, którzy na tym seymie byli, y w heretykach, y w niektórych katholikach znaczny niestatek nastąpił“ (514). Część tych, którzy dawniej „trochę poszemrawszy“ prawdzie ustępowali, teraz wraz z dysydentami uznała go za największego wichrzyciela Rzeczypospolitej, może także dlatego, że Skarga ácz „się starzał“ z większem, aniżeli dawniej oburzeniem, po nieudanej misyi u Zebrzydowskiego, przeciw turbatorom wystąpił.

Ks. Józef Sas.

Poglądy i teorye najnowszej fizyki.

II.

Promieniotwórczość.

Metodą przesiewania promieni radu przez płytki metalowe lub zapomocą silnego pola elektro-magnetycznego rozróżniać można, jak nadmieniliśmy,[1] prócz promieni alfa i beta, jeszcze nadto grupę promieni bardzo przenikliwych, którym nadano nazwę promieni gama. Promienie alfa i beta złożone są z pojedynczych cząstek, elektrycznie naładowanych, których masy i szybkość zdołano, jak widzieliśmy, ściśle obliczyć. Narzucało się oczywiście pytanie, czy i promienie gama także z takich cząstek się składają. Odpowiedź nie była łatwą, gdyż na promienie gama pole magnetyczne żadnego nie wywiera działania. Kwestya rozjaśniła się dopiero w czasach najświeższych, gdy poznano inną własność promieni gama, której nie posiadają promienie alfa i beta. Pokazało się mianowicie, że gdy wiązkę promieni gama przepuścimy przez płytkę wyciętą z kryształu, doznają one załamania, zupełnie tak, jak załamują się promienie zwykłego światła, gdy je przepuścimy przez tak zwaną siatkę dyfrakcyjną, to jest płytkę szklaną, na której dyamentem wyrysowano lub odbito fotograficznie szereg równoległych, bardzo blizko siebie położonych linii, w ilości kilku tysięcy na przestrzeni jednego centymetra. Doświadczenia te, pod względem teoretycznym niesłychanie doniosłe, bo wskazujące zarazem, że budowa wewnętrzna ciała

*) Por. Przegląd Pow. t. CXVI. str. 52; CXVIII. str. 198.

krystalicznego jest rzeczywiście taką, jaką ją sobie na mocy teoryi atomistycznej wyobrażaliśmy, wykazują, że między promieniami gama a promieniami alfa i beta istnieje różnica głęboka, nad której znaczeniem w części teoretycznej tego artykułu obszerniej musimy się zastanowić. Tymczasem zadowalniając się tą wzmianką, zwróćmy się do dalszych faktów z zakresu promieniotwórczości.

Faktów tych znamy już dzisiaj bardzo wiele, a wszystkie bardzo ciekawe, choć pod względem teoretycznym oczywiście niejednakowo doniosłe. Są one wogóle wybitnie różne od tych, do których w fizyce i chemii dotychczas przywykliśmy. Poczynając od faktów, najpierw w oczy uderzających, bo od zjawisk optycznych, zaznaczyć przedewszystkiem należy, że ciała silnie promieniotwórcze, a więc n. p. sole, zawierające znaczny procent radu, wydają ze siebie ustawicznie światło, które tem się różni od znanej dotychczas fosforescencyi, że to świecenie jest stałe, nieustanne dniem i nocą, i nic niesłabnące w ciągu tych lat, w których wogóle rad znamy i obserwujemy. Nie zależy ono nadto od żadnych wpływów zewnętrznych i sól radowa świeci równie silnie w temperaturze pokojowej, jak i wtedy, gdy ją zanurzymy do płynnego powietrza. Gdy sól radową rozpuścimy, roztwór także świeci słabym blaskiem; z roztworu takiego wykrystalizowane cząstki soli świecą dalej dawnym blaskiem. Jednem słowem świecenie to, czyli to ciągłe wysyłanie z siebie energii świetlnej jest swoistą, wnętrzną własnością radu, niezależną od żadnych czynników zewnętrznych, czyto chemicznych, czy fizycznych; świecenie ciał dotychczas znanych możemy wzmacniać lub osłabiać przez stosowne urządzenia, przez zmianę temperatury lub żywszy dopływ tlenu, nie znamy jednak sposobu, któryby sprawił, że sól radowa świeciłaby raz żywiej, raz słabiej.

Lecz substancye promieniotwórcze nietylko świecą same, ale nadto pod działaniem niewidzialnych dla oka promieni, z nich wychodzących, także wiele innych substancyi, nie posiadających wcale własności promieniotwórczych, wysyła z siebie promienie, których barwa zależy od natury danego ciała, a nadto

od natury i natężenia promieni. I tak kryształki platynosinku litu świecą pod wpływem promieni radu żywym purpurowym blaskiem, podczas gdy kryształy platynosinku wapna i baru w tych samych warunkach wydają ze siebie promienie ciemnozielone, a platynosinku sodu żółto-pomarańczowe. Wielkie, piękne jak klejnot i przeźroczyste kryształy minerału, zwanego kuncytem od jego odkrywcy Kunza, wystawione na działanie promieni beta lub gama, świecą czerwono, podczas gdy promienie alfa żadnego nie wywierają na nie wpływu. Siarczek cynku natomiast, podobnie jak i niektóre odmiany dyamentu, fosforyzują żywo pod działaniem promieni alfa, a blask, jaki wydają ze siebie, rozpatrywany pod mikroskopem, składa się, jak to już widzieliśmy, mówiąc o metodzie liczenia cząstek alfa, z niezmiernie licznych, lecz tak bardzo krótkotrwałych błysków, czyli wybuchów świetlnych, że jak Wood oblicza, świecenie jednego wybuchu takiego trwa nie więcej nad jedną czterdziestotysięczną część sekundy. Pod wpływem bombardowania cząstek alfa świecą też i gazy niektóre jak hel i azot.

Niemniej interesującem od świecenia ciał pod wpływem promieni alfa beta i gama, jest także zauważone przez P. Curie poraz pierwszy i bardzo obszernie przez rozmaitych fizyków badane zjawisko zmieniania barw, jakie na ciałach, wystawionych na działanie substancyi promieniotwórczych, można dostrzedz. Rurka szklana, zupełnie przeźroczysta i bezbarwna, w której zamknięto sól promieniotwórczą, po pewnym czasie przybiera barwę niebieską, która następnie po dłuższem działaniu wszystkich trzech promieni czynnych, przechodzi w fioletową, a wreszcie w czarną. Podobnie barwią się pod promieniami ciał czynnych liczne minerały, jak sól kamienna, szpat, mika, a zjawiska te tak są wielorakie i zagadkowe, że stanowią one bogate źródło ciągłych badań i odkryć. Dodać trzeba, że zabarwienie to zwykle nie jest trwałe i pod wpływem światła, wysokiej temperatury, promieni pozafiołkowych z łatwością znika.

Zmiany barwy ciał pod wpływem promieni czynnych naprowadzają na przypuszczenie, że promienie te oddziaływać

mogą chemicznie. Rzeczywiście obecnie posiadamy już cały szereg badań niezmiernie ciekawych, w których działanie chemiczne promieni radu i innych substancyi czynnych wykazano ponad wszelką wątpliwość. I tak jeszcze w samych prawie początkach odkryć promieniotwórczych dostrzegli państwo Curie, że gdy nieco soli radowych zamknięto w rurce szklanej, w której znajdowało się powietrze, po odetkaniu rurki dostrzedz można było obecność ozonu, tak zapomocą znanej metody z jodkiem potazu, jak i za pomocą węchu. A więc promienie czynne, działając na tlen, wywiązują ozon, podobnie, jak to czyni ciche wyładowywanie się elektryczności. Tem wywiązywaniem się ozonu tłómaczy się zjawisko, które odkryto później, że pod wpływem promieni alfa takie metale jak ołów, rtęć, glin i inne szybko się utleniają.

Z wielu innych znanych skutków chemicznych promieni czynnych przytoczymy jeszcze kilka: pod wpływem tych promieni szkło kruszeje i pęka, parafina i wazelina twardnieje i staje się nietopliwą, dwutlenek węgla zamienia się częściowo na tlenek węgla, węgiel i tlen, kwas solny rozkłada się na swe części składowe t. j. chlor i wodór, ciała wszystkie organiczne rozpadają się gwałtownie, wywiązując gazy. Nawet pierwiastek tak odporny jak platyna niezdoła ostać się pod energicznem działaniem chemicznem tych promieni; gdy bowiem roztwór chlorku radu umieścimy w naczyniu platynowem, ściany naczynia ulegają zniszczeniu, gdyż platyna pod wpływem promieni radu wchodzi w roztwór. Przypuszczają, że odbywa się to dziwne zjawisko w ten sposób, iż promienie radu wytrącają z roztworu chlor, a ten *in statu nascendi* atakuje platynę.

Jednak działanie chemiczne promieni czynnych nietylko jest analityczne, destrukcyjne, często jest ono owszem sprawcą chemicznej syntezy. Klasyczny tego przykład daje nam amoniak, którego drobina składa się, jak wiadomo, z jednego atomu azotu i z trzech atomów wodoru. Pod wpływem promieni radu rozkłada się on na azot i wodór, z drugiej jednak strony przekonano się doświadczalnie, że pod wpływem tychże

promieni azot i wodór łączą się chemicznie, tworząc znowu amoniak.

Jednem z działań chemicznych, które szczególnie zajęło badaczy, jest fakt, wykryty dwanaście już lat temu przez panią Curie i Debierne'a, a następnie przez Giesela, że promienie, wychodzące z radu, rozkładają wodę roztworu, w którym sole radowe się znajdują, tak, że z roztworu takiego wywiązują się ustawicznie gazy, złożone prawie wyłącznie z wodoru i tlenu, przyczem wodoru jest nieco więcej, niż go stosunkowo do ilości tlenu otrzymuje się przy zwykłym rozkładzie wody na jej składniki. Mimo, że jak to wykazał Cameron i Ramsay, część tak wytworzonego tlenu i wodoru pod wpływem promieni radu znowu łączy się na wodę, to jednak ilość otrzymywanego z roztworu gazu piorunującego jest stosunkowo dosyć znaczna, bo według badań Ramsaya i Soddyego 50 miligramów bromku radu zawartego w roztworze wywiązuje dziennie 50 milimetrów sześciennych gazu piorunującego czyli mięszaniny tlenu i wodoru, zaś z doświadczeń i obliczeń Debierna wynika, że gram czystego radu znajdujący się w roztworze wodnym soli radowej, produkuje dziennie 13 centymetrów sześciennych gazów. Gdybyśmy więc posiadali kilogram radu, rozkładałby on na dobę okrągło centymetr sześcienny wody. Oczywiście takiej ilości nie posiądziemy, bo wszystkie państwa cywilizowane na ziemi posiadają wedle oceniań ludzi fachowych, łącznie około 11 gramów radu, ale pamiętać trzeba, że w przyrodzie rad jest pierwiastkiem bardzo rozpowszechnionym, a więc tam na większą skalę analiza wody niechybnie ustawicznie się odbywa. Zauważyć trzeba, że rozkład wody, jak wykazały bardzo liczne badania, odbywa się pod wpływem wszystkich trzech rodzajów promieni radu, jednak najenergiczniej działają tu promienie alfa. Bardzo mozolne i ścisłe pomiary, czynione dwa lata temu przez Ushera, wykazały, że ilość wody rozłożonej przez promienie alfa jest dwadzieścia razy większą, niż ta, która w tym samym czasie uległa rozkładowi pod wpływem promieni beta.

Nic dziwnego, że promienie czynne, obdarzone tak znaczną energią chemiczną i optyczną, wywoływać muszą bardzo silne

działanie fotochemiczne na płytę fotograficzną. Wiadomo, że właśnie ta ich własność zdradziła przed ludzkością istnienie ciał i zjawisk promieniotwórczych, bo jak już wspomnieliśmy, odkrycie pierwsze tych tajemniczych promieni datuje się od doświadczeń Becquerela z r. 1896, w których pokazało się, że siarkan uranowy wysyła ze siebie promienie dla oka niewidzialne, zdolne przechodzić przez ciemny papier i następnie jeszcze zadymiać płytę fotograficzną. Gdy z biegiem czasu i badań zjawisko to zanalizowano i zrozumiano głębiej, działanie fotograficzne promieni ciał czynnych zbadano wyczerpująco, a dziś po dokładnych pracach Kinoshity, ogłoszonych w r. 1910 wiemy, że chociaż wszystkie trzy rodzaje promieni czynnych oddziaływują fotochemicznie, to jednak najenergiczniej zachowują się tu znowu promienie alfa, bo trzy do czterech razy energiczniej do promieni beta, a setki może razy silniej od promieni gama.

Pomijając liczne inne skutki oddziaływań promieni ciał czynnych, więcej dla ciekawości nadmienić jeszcze trzeba o ich skutkach fizyologicznych. Mimowolnym odkrywcą tych skutków był między innymi Becqurel. Nosząc przez czas dłuższy w kieszeni od kamizelki rurkę z solą radową, zrobił pewnego razu niemiłe odkrycie, że miejsce na powierzchni ciała, znajdujące się w okolicy owej rurki, czerwienieje i pokrywa się pryszczami. Nad grupą tych zjawisk, zanim je oddano całkowicie w ręce medyków, czynili również fizycy wiele badań. Dziś wiemy, że z radem trzeba postępować ostrożnie, bo on dotkliwie „parzy". Rutherford podaje, że wystarczy kilka minut potrzymać palce pod dnem kapsułki, zawierającej rad, aby się o tem przekonać. Z początku co prawda nic się nie czuje, lecz wnet skóra czerwienieje i pryska, a miejsce zaatakowane nie goi się całkowicie przez długie miesiące. Pani Curie pisze o swym mężu, P. Curie, że celem doświadczenia przyłożył on sobie na 10 godzin do ramienia słabą sól promieniotwórczą. Pod działaniem promieni skóra wkrótce się zaczerwieniła, a później utworzyła się na tem miejscu bolesna rana, naskórek uległ zniszczeniu, a leczenie rany trwało całe cztery miesiące. Z własnego nadto doświadczenia podaje pani Curie przestrogę,

że na miejscach, oparzonych promieniami radu, chociaż już uleczonych, pozostają często ślady czerwone, które od czasu do czasu dotkliwie dokuczają.

Działanie radu na organizmy żywe jest tak energiczne, że jak stwierdził Giesel, liście pod jego promieniami żółkną i więdnieją, a Ashkinass i Caspari opisują wypadki, gdzie na godzinę tylko przyłożono rad do głowy zwierzęcia, a nastąpił paraliż mózgowy po kilku dniach i zgon zwierzęcia. Naturalną jest rzeczą, że zjawiska te musiały zwrócić uwagę świata lekarskiego, to też pierwszy dr. Danlos w Paryżu a następnie inni po całym świecie zaczęli na obszerną skalę stosować w przeróżnych formach rad w lecznictwie. Tutaj dla nas jest tylko ważny ten fakt niezwykle energicznego oddziaływania radu na tkanki, przyczem zwrócić trzeba uwagę na tę okoliczność, że ilości substancyj, jakie bezpośrednio wywołują te rany i inne skutki są niezmiernie drobne i wobec nich tyle wyśmiewane dawki homeopatyczne są jeszcze czemś bardzo wielkiem.

Ze względów teoretycznych i praktycznych pomiarów, niesłychanie ważną i charakterystyczną własnością ciał promieniotwórczych jest ta, że pod działaniem ich promieni gazy, które zawsze są izolatorami, to znaczy wyładowań elektrycznych nieprzepuszczają, stają się bardzo dobrymi przewodnikami elektryczności. Wykazały bowiem doświadczenia i niezliczone badania, i powstają w nich pod wpływem tych promieni tak zwane jony, to znaczy cząstki bardzo drobne, obdarzone ładunkami elektrycznymi, które podobnie jak w elektrolizie płynów są roznosicielami elektryczności. Mówimy w fizyce krótko, że promienie czynne jonizują gazy, a siła jonizowania jest równocześnie miarą natężenia własności promieniotwórczych danego ciała. Stąd najczulsze i najdokładniejsze badania i pomiary zjawisk promieniotwórczych opierają się właśnie na tej zdolności jonizowania gazów, jaką odznaczają się substancye promieniotwórcze, a którą wykrywamy i dokładnie oznaczamy zapomocą bardzo czułych elektrometrów lub galwanometrów.

Wszystkie opisane wyżej działania promieni substancyj czynnych wykazują, że substancye te są *źródłem obfitem*

energii, która z nich ustawicznie promieniuje. Obecnie, gdy znamy wielorakie działania tej energii, nie zdziwi nas fakt, że energia ta przejawia się na zewnątrz także w najniższej energetycznie postaci, to jest jako energia cieplna. Gdy jednak dziesięć lat temu Curie i Laborde ogłosili spostrzeżenie niebywałego dotychczas faktu, że sól radowa ma temperaturę stale wyższą od otoczenia, czyli, że ustawicznie wywiązuje ciepło, niespalając się i niepodlegając żadnej widocznej zmianie, spotkali się wprost z niedowierzaniem świata naukowego. I nic dziwnego — boć przecież zasadą walną fizyki, na której opierała się cała nauka o cieple, było, że wszystkie ciała przybierają po pewnym czasie temperaturę równą temperaturze otoczenia. Wyjątek stanowią tylko tak zwane źródła ciepła, to jest ciała, w których wywiązuje się energia cieplna kosztem zmian istotnych, łatwo dostrzegalnych na zewnątrz i organizmy żywe, które zresztą także, jak wiemy, ulegają ustawicznej przemianie wnętrznej. Wobec jednak faktu doświadczalnego, potwierdzonego wkrótce w pracowniach wszystkich zakątków świata cywilizowanego, zamilknąć musiały wszelkie trudności teoretyczne, a dziś pogodziliśmy się już zupełnie i teoretycznie z tym faktem.

Bardzo liczne czyniono nad tem zjawiskiem badania, w różnych warunkach i w różnych temperaturach i pokazało się, że gram czystego radu wydaje na godzinę 118 kaloryi gramowych. Pani Curie zwraca uwagę, że ponieważ rad żyje około 2800 lat, więc w ciągu swego życia jeden gram radu wywiązuje tyle ciepła, ile go się otrzymuje ze spalenia 500 kilogramów węgla kamiennego. A więc odrobiną ledwie dostrzegalną radu, możnaby n. p. ogrzać pokój w zimie przez całą dobę. I to nie jest wcale fantazya powieści u pisarza, lecz ścisła, naukowo wykazana rzeczywistość. A dodać jeszcze trzeba, że rad wywiązuje to ciepło, zupełnie nic a nic się nie troszcząc o żadne wpływy i warunki zewnętrzne, bez względu na to, czy go podgrzejemy do wysokiej temperatury, czy zanurzymy do płynnego wodoru, a więc oziębimy do 252 stopni, on zawsze z jednakowem niczem niezamąconem usposobieniem promie-

niuje ze siebie ciepło w tej samej ilości. Ciepło to, jak wykazały badania, pochodzi od wszystkich trzech rodzajów promieni. lecz głównie od promieni alfa, gdyż promienie beta i gama nieznaczny tylko dają jego ułamek.

Lecz i na tem nie dosyć. Rad i inne substancye promieniotwórcze nietylko stanowią niewyczerpane prawie źródło energii świetlnej, cieplnej, chemicznej i t. d., lecz nadto są także ośrodkiem, z którego w sposób tajemniczy wyłaniają się na zewnątrz substancye materyalne.

Pierwszym badaczem, który zapoczątkował świeży ten zupełnie dział fizyki o tworzeniu się nowych substancyi, był znany fizyk William Crookes, który w r. 1900 ogłosił swe epokowe prace nad uranem. Wiadomo, że uran należy także do ciał promieniotwórczych, pod względem zaś chemicznym jest pierwiastkiem, to jest ciałem, którego sposobem chemicznym rozłożyć nie można. Tymczasem Crookesowi udało się rozłożyć ten pierwiastek na dwie substancye, z których jedna zupełnie pozbawiona promieniotwórczych własności, a druga natomiast kilkaset razy silniej promieniotwórcza, niż zwykły uran. Rozkładu tego dokonał Crookes sposobem chemicznym, przez oddziaływanie węglanem amonowym na roztwór uranu. Jednak ilość otrzymanej w ten sposób substancyi promieniotwórczej była tak znikomą, że można było jej istnienie wykryć wyłącznie dzięki jej własnościom promieniotwórczym. Substancyę tę nazwał Crookes Uran X, w odróżnieniu od zwykłego, promieniotwórczo zupełnie nieczynnego uranu.

Chodziło teraz o przekonanie się, czy uran X jest częścią składową uranu zwykłego, czy też jego pochodzenie jest jakieś inne. Odpowiedzi na to niezmiernie ważne pytanie dostarczyły prace Bacquerela, który również, nieco wprawdzie innym sposobem, wydobył z uranu zwykłego uran X. Gdy jednak po roku zbadał otrzymane z rozkładu substancye, pokazało się, że ta część uranu, która przedtem była zupełnie nieczynna, znowu posiada w całej pełni własności promieniotwórcze, podczas gdy uran X zupełnie je utracił. Badania te, powtarzane oczywiście wiele razy, wykazały, że

z uranu nieczynnego powstaje w jakiś sposób uran czynny, który znowu po pewnym czasie zamienia się widocznie na substancyę, w której własności promieniotwórczych wykryć nie można. Dalsze poszukiwania fizyków pokazały nadto, że podobnie, jak istnieje uran X, istnieje także tor X, rad X i aktyn X, jednak czas, którego potrzeba, ażeby produkt X stracił swą siłę promieniotwórczą, a substancya macierzysta, z której wyszedł, napowrót ją odzyskała, jest dla każdego z tych ciał różny, swoisty, a więc charakterystyczny. Przekonano się również, iż na czas ten nie mają wpływu jakiekolwiek działania chemiczne czy fizyczne, jest on zupełnie wnętrzną cechą substancyi promieniotwórczej. Czy substancyę X poddamy mniejszemu lub większemu ciśnieniu, czy też przechowujemy ją w próżni, czy trzymamy ją w jaskrawym świetle lub w ciemności, czy rozpuszczamy ją w bardzo silnych kwasach i następnie przed odparowanie z roztworów tych odzyskujemy, czy ją ogrzewamy do bardzo wysokich temperatur lub oziębiamy w płynnym wodorze, wszystko to jedno, rozpada się ona czyli traci swe własności promieniotwórcze zawsze w ciągu tego samego czasu. Na szybkość reakcyi chemicznych możemy w wielkiej mierze, jak wiadomo, oddziaływać przez zmianę warunków zewnętrznych, szybkość przemiany substancyj promieniotwórczych usuwa się natomiast zupełnie z pod naszej kontroli. Do tego niezmiernie ważnego i charakterystycznego momentu niejednokrotnie jeszcze wrócić nam wypadnie.

Wymienione dopieroco substancye X trzeba było wydobyć niejako na światło dzienne z łona macierzystych substancyi zapomocą oddziaływań chemicznych. Łatwiej daleko jest dojść do posiadania innej substancyj, również bardzo energicznie promieniotwórczej, która ustawicznie powstaje z trzech ciał promieniotwórczych, mianowicie z radu, aktynu i toru. Jest to gaz prawdziwy, materyalny, który z tych trzech ciał promieniotwórczych samorodnie powstaje, niezależnie od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych, a który dlatego, że z tych substancyi wypływa, nazwano emanacyą.

Pierwszy, który zauważył, że z toru wychodzi ta substancya

promieniotwórcza, był Owens. Czynił on badania nad promieniotwórczością toru i dostrzegł przy pomiarach, że gdy ponad torem przepływa silny prąd powietrza, oddziaływanie promieniotwórcze, mierzone zapomocą elektrometru, znacznie słabnie. Sprawą tą zajął się zaraz bliżej Rutherford i wykazał, że mamy tu do czynienia z gazem materyalnym, który ustawicznie z toru się wywiązuje, że gaz ten, nazwany emanacyą jest ciałem promieniotwórczem, bardzo energicznie rozkłada cząstki innych gazów na jony, działa energicznie na płytę fotograficzną i wywołuje fosforescencyę w ciałach zwykłych, jak n. p. w szkle, wilemicie i t. p. Zachowuje się on zupełnie jak każdy zwykły gaz, przechodzi mianowicie przez ciała porowate, jak n. p. przez gruby papier, dla zwykłych cząstek alfa nieprzenikliwy, przez korek z waty, a nie przechodzi przez bardzo nawet cienką płytkę miki, przepuszczającą z łatwością promienie alfa; że wreszcie prąd powietrza unosi go z sobą, jak to czyni z każdym innym gazem. Jedna jest tylko różnica, lecz bardzo zasadnicza, między emanacyą a gazami dotychczas znanymi, — oto jak pokazały badania, emanacye tak radu jak toru i aktynu ulegają same ze siebie rozkładowi, niszczeją i to w czasie bardzo krótkim. Po niespełna czterech dniach połowa już cząstek emanacyi radu ulega rozkładowi, emanacya zaś toru i aktynu jest jeszcze mniej trwałą, bo dla pierwszej peryod charakterystyczny, to jest czas, w którym połowa cząstek się rozpadła, wynosi 54 sekundy, a dla emanacyi aktynu zgoła tylko niespełna cztery sekundy (3,9 sek.). Nic też dziwnego, że dalsze badania nad emanacyami robiono głównie z emanacyą radu, jako najbardziej stosunkowo stałą.

A wyniki tych badań były prawdziwie zdumiewające. Na wstępie uprzytomnić sobie trzeba, że ilość takiej emanacyi jest niesłychanie drobną, bo jak sądzić można z licznych a różnemi metodami czynionych pod tym względem badań, ilość emanacyi, znajdującej się w „nasyconym“ gramie radu, to znaczy w radzie, jak go mamy w zwykłych warunkach, wynosi zaledwie 0,6 czyli prawie pół milimetra sześciennego. Ponieważ zaś bardzo rzadko czyni się badania z tak stosunkowo olbrzymią masą

radu, jak gram, więc można sobie wyobrazić, jak niesłychanie mała to odrobina gazu, którą miano do rozporządzenia przy tak subtelnych pomiarach. A mimo to, z taką ilością gazu, potrafiono zbadać wszystkie jego własności, wykazano, że gaz ten stosuje się do prawa Boyla Mariotta, jak każdy gaz zwykły, potrafiono otrzymać widmo optyczne tego gazu i w ten sposób udowodnić ponad wszelaką wątpliwość odrębność espanacyi od wszystkich znanych dotychczas substancyi, a wreszcie, co już wprost zdumiewające, zdołano gaz ten skroplić a nawet zamienić na ciało stałe i dokładnie oznaczyć temperaturę, w której gaz ów zamienia się na płyn. Rutherford i Soddy wykazali niezbicie i w sposób naoczny, a niezmiernie prosty, że emanacya radu kondenzuje się czyli skrapla się w temperaturze wynoszącej około — 150° Celzyusza, podczas gdy emanacya toru i aktynu zaczyna się kondenzować już w temperaturze wyższej, bo 120 stopni. Tak jest pod bardzo nizkiem ciśnieniem, w warunkach natomiast zwykłych, to znaczy pod ciśnieniem atmosferycznem, kondenzya emanacyi radu zaczyna się w temperaturze — 65° C., chociaż Gray i Ramsay utrzymują, że emanacya nie może istnieć jako płyn pod zwykłem ciśnieniem, powyżej temperatury — 71° C.

Żeby dać pojęcie, z jak małemi ilościami te subtelne pomiary trzeba czynić, opiszemy krótko jedno z badań Rutherforda. Nazbierawszy „większą ilość“ emanacyi, zamknął ją Rutherford w włoskowatej rurce szklanej, której przekrój wynosił dwudziestą część milimetra. W tych warunkach emanacya cała pod ciśnieniem atmosferycznem zajmowała słupek na 3 cm. wysoki. Rurkę zanurzono w płynie oziębiającym i zaczęło się zagęszczanie. Płynną emanacyę można było obserwować za pomocą mikroskopu, gdyż przybrała ona postać niezmiernie drobnej kuleczki, początkowo prawie przeźroczystej. Gdy jednak temperatura obniżyła się znacznie poniżej temperatury skraplania, kuleczka płynnej emanacyi zaczęła świecić własnym, żywym blaskiem i wyglądała jak jasna gwiazda, której barwa w miarę obniżania temperatury, zmieniała się od żółtej aż do pomarańczowo-czerwonej, którą przybrała w temperaturze płyn-

nego powietrza. W tej temperaturze emanacya jest już jednak ciałem stałem i to wcale ciężkiem, gdyż jej ciężar gatunkowy czyli gęstość ocenia Rutherford na 5 do 6.

Emanacya jest więc gazem prawdziwym, materyalnym, lecz obdarzonym nadto bardzo wybitnemi własnościami promieniotwórczemi, musi przeto posiadać przymioty i gazów i ciał promieniotwórczych. Co do tych ostatnich, to emanacya tem się odznacza, że wysyła ze siebie wyłącznie promienie alfa, i to bez względu na to, czy to jest emanacya radu, aktynu lub toru. Dalszą cechą promieniotwórczą emanacyi jest nadzwyczaj wielka energia. Widzieliśmy, że gram radu wydaje ze siebie energię cieplną, około 118 gramowych kaloryj na godzinę, a nadto, że w gramie radu znajduje się około pół milimetra sześciennego emanacyi. Otóż badania pokazały, że dwie trzecie całkowitej energii cieplnej radu pochodzi z owej znikomej odrobiny emanacyi. Więc gram emanacyi posiada miliony razy większą energię promieniotwórczą, niż gram radu. Przedstawia to obrazowo bardzo ładnie Soddy w następującem zestawieniu: gdybyśmy posiadali naczynie szklane, zawierające pół litra emanacyj w postaci gazu, to naczynie to wydawałoby światło równe stu potężnym lampom łukowym. Jednak to jest mrzonka, gdyż najpierw, by nazbierać taką ilość emanacyi, trzebaby mieć pół tony czystego radu, a dalej, gdybyśmy i to mieli, to niema na świecie materyału, któryby potrafił utrzymać taką ilość gazu, pod działaniem bowiem jego energii najodporniejsze ciała stopniałyby i wyparowały.

Niemniej ciekawe są własności chemiczne emanacyi. Należy ona prawdopodobnie do grupy argonu, owego gazu nieczynnego, zalegającego powietrze atmosferyczne, toteż i sama jest tak nieczynną, że nie łączy się z żadnym znanym pierwiastkiem w związek chemiczny. Na to jej pokrewieństwo z argonem wskazuje też widmo optyczne, a nadto i ta okoliczność, że emanacya jest podobnie jak argon, gazem jednoatomowym, to znaczy, najmniejsza cząstka swobodnie istniejącej emanacyi jest atomem. Oznaczono też dosyć dokładnie gęstość emanacyi w stanie gazowym i to oznaczono wprost zapomocą metody

ważenia, pomimo, że w badaniach ma się do rozporządzenia tylko tak małe ilości gazu. Gray i Ramsay zbudowali mianowicie wagę tak delikatną, że reaguje ona już na jedną milionową część miligrama i zapomocą tej wagi zważyli dokładnie ciężar znanej objętości emanacyi, zamkniętej w rurce szklanej. Rurka ważyła około 30 miligramów, zaś emanacya mniej niż tysiączną część miligrama, stąd nic dziwnego, że przy każdym pomiarze otrzymywano nieco inne wyniki. Jednak były one zawsze blizkie siebie, a średnia z tych pomiarów wypada 223, co znaczy, że emanacya jest około 111 razy cięższą od wodoru, a więc jest najcięższą ze wszystkich znanych nam gazów. Przekonamy się później, że rozważania teoretyczne każą jej ciężar atomowy przyjąć na 222, a więc zważywszy trudne warunki badań doświadczalnych, zgodność tych badań i teoryi jest zupełna.

Widzieliśmy dotychczas, że ciała promieniotwórcze wydają ze siebie substancye X i emanacyę — lecz nie tu jeszcze koniec ich twórczej działalności.

W pierwszych już latach odkryć promieniotwórczych, bo w r. 1899, państwo Curie zauważyli, że jakiekolwiek ciało, wystawione na działanie promieni radu, stawało się samo promieniotwórcze. Zjawisko to nazwano z początku „promieniotwórczością wzbudzoną", która to nazwa wnet ustąpiła innej, gdy dalsze badania wyjaśniły jego naturę. Pokazało się mianowicie, że tylko te substancye czynne wzbudzają w innych ciałach promieniotwórczość, które wydają ze siebie emanacyę, a więc rad, aktyn tor, i że ta wzbudzona promieniotwórczość pochodzi wprost od emanacyi. Jednak nie jest ona wcale, jakby na pierwszy rzut oka sądzić można, osiadłą na tych ciałach emanacyą. Bo najpierw różni się ona czasem trwania od emanacyi. Jak widzieliśmy, emanacya radu zanika do połowy po czterech blizko dniach, tymczasem promieniotwórczość wzbudzona tą emanacyą traci połowę swej promieniotwórczej siły po niespełna 27 minutach. Emanacya aktynu słabnie o połowę po czterech sekundach, a promieniotwórczość pod jej wpływem powstała dopiero po 36 minutach; emanacya toru po 54 sekundach,

promieniotwórczość wzbudzona przez nią po 10 i pół godzinach. A nadto, podczas gdy z emanacyi wychodzą tylko promienie alfa, to promieniowanie przez nią wzbudzone składa się z promieni alfa, beta i gama. Wogóle pokazało się niezbicie, że pod wpływem emanacyi ciała jakiekolwiek na jej działanie wystawione, pokrywają się substancyą promieniotwórczą, dla oka oczywiście niewidzialną, ale dostrzegalną ponad wszelką wątpliwość zapomocą elektroskopu, zachowującą się jak ciało stałe, silnie promienioczynne. Substancyi tej dano ogólną nazwę osadu czynnego, która to nazwa utrzymuje się do dzisiaj, chociaż przekonano się, że nie jest to ciało jednorodne, lecz składa się ono i daje początek całemu szeregowi nowych substancyi promieniotwórczych. Natura tych ciał zależy wyłącznie od pochodzenia samej emanacyi, podkład zaś czyli ciało, na którem osad czynny się układa, nie gra najmniejszej roli. Odpowiednio też do ich pochodzenia, nadano tym substancyom nazwy rad A, rad B i t. d., tor A, tor B i t. d., aktyn A, aktyn B i t. d. Istnienie tych substancyj wykazano niezbicie zapomocą doświadczenia, ich znaczenie i naturę poznamy później, bo są one już związane z rozważaniami teoretycznemi, których tutaj postanowiliśmy, jak wiadomo unikać, podając tylko same fakta.

Ale z substancyj promieniotwórczych powstają nietylko ciała promieniotwórcze. W r. 1903 Ramsay i Soddy ogłosili zdumiałemu światu, że z emanacyi radu powstaje po pewnym czasie hel, gaz znany już dawniej w chemii. Gdy emanacyę możliwie oczyszczoną od wszelkich domieszek, a zaczerpniętą z 50 miligramów bromku radu, zbadano spektroskopicznie, nie było tam zupełnie widma helu. Gdy jednak doświadczenie powtórzono w cztery dni potem, ujrzano bardzo wyraźnie linie widma helu. Dowodzi to napewne, że z emanacyi wywiązać się musiał hel. Lecz hel jest pierwiastkiem i gazem bardzo stosunkowo lekkim, bo jego ciężar atomowy wynosi 4, podczas, gdy ciężar atomowy emanacyi dochodzi już 222. Na razie znowu odrzucamy wszelkie hypotezy, lecz stwierdzić musimy, że w rurce znalazł się pierwiastek, którego tam przedtem na pewno nie było — a więc nie przypuszczenie, lecz zdrowy rozum nakazuje

nam utrzymywać, że hel wywiązał się z emanacyi. Jaką drogą i w jaki sposób, to zobaczymy później.

Oto jest krótki przegląd faktów, jakie nauka zdobyła w latach ostatnich, a które, różniąc się istotnie od znanych dotychczas zjawisk fizycznych i chemicznych, dały początek nowym teoryom i nowej gałęzi nauki przyrodniczej, zwanej promieniotwórczością. Fakta te podaliśmy umyślnie w wyodrębnieniu od wszelkiej teoryi, by tem jaśniej zdać sobie następnie sprawę z wartości wywodów teoretycznych, na nich opartych i by wskazać, że nauka doświadczalna w czasach ostatnich, niezależnie od wszelkich hypotez, zaszła w krainy dotychczas przed umysłem ludzkim zupełnie osłonięte. Czy nowe te zdobycze zmuszą nas do zupełnej zmiany dotychczasowych poglądów na budowę materyi, zobaczymy w części następnej, zdającej sprawę o najnowszych teoryach.

Ks. Feliks Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Listy Krasińskiego do Koźmiana. Lwów. Nakładem Tow. lit. im. A. Mickiewicza. 1812. str. 221. in 8-vo.

Drobne urywki listów Z. Krasińskiego do Stanisława Egberta Koźmiana (ur. 1811 r., zm. 1885) ogłoszone były w r. 1861. Nie dawały one jednak dostatecznego wyobrażenia o wzajemnym stosunku obu tych przyjaciół.

Obecnie ogłosiła je redakcya *Pamiętnika literackiego* w całości, w pokaźnym tomie o 221 stronach druku, a to z odpisu, dokonanego ręką St. E. Koźmiana, zredagowanego przez jego córki, panie Maryę i Zofię Koźmianówne. Lubo tedy nie z oryginału przedruk nastąpił, ma jednak niezaprzeczoną wagę naukowej autentyczności.

Wiadomo, że Z. Krasiński pisał ogółem mnóstwo listów do różnych osób.

Ich znaczenie powszechnie jest uznane, a polega nie tylko na tem, że służą do wyjaśnienia życia i twórczości poety, ale także że same przez się zawierają twórczy materyał silnie i pięknie wysłowionych myśli, wrażeń i uczuć. Już J. I. Kraszewski zwracał na to uwagę we wstępach do korespondencyi Krasińskiego z K. Gaszyńskim i A. Sołtanem. „Zaprawdę — pisał — w niejednym jego liście znajdziesz więcej wzniosłych idei, nowych pomysłów lub wprost z serca tryskających słów, niż w jakim grubym tomie tegoczesnej literatury“.

Rzecz szczególna! Chociaż dotychczasowe korespondencye Krasińskiego na oścież otwierały wstęp do umysłu i serca jego — przecież z trójcy naszych wieszczów okresu Mickiewicza żadnego do dziś dnia osobisty wizerunek nie jest tak zamglony w powszechnem wyobrażeniu, jak Krasińskiego, o żadnym nie bywają wygłaszane tak sprzeczne opinie, jak o autorze *Nieboskiej*, do żadnego nie przylgnęło tyle uprzedzeń, przesądów i podejrzeń.

Dla przykładu zwięzłe oto streszczenie istnego aktu oskarżenia, ogłoszonego w ubiegłym roku jubileuszowym:[1]

Patryotyzm: „z tego, co uważał za ojczyznę, pozostało dla niego tylko proch jej kości, — proch przywileju do szlacheckiego, politycznego rządzenia“... „nie szukał w pracy uzasadnienia swojego prawa własności“...

„*Chrześcijanizm* uważał raczej dla siebie, niż siebie dla chrześcijanizmu“... „jest nieczytany zbyt wiele, ponieważ jest mało dla duszy; niczego w życiu sam nie dokonawszy... nikogo też nie uruchomił“... „Jest tym śpiewakiem chrześcijańskiego czynu, jakiego twarz oglądamy na ekranie... Usta na ekranie nie wydadzą żadnego szeptu życia. Dlaczego? Bo to nieprawdziwe usta. Takim śpiewakiem jest śpiewak *Przedświtu* i *Psalmów*“.

„*Wykształcenie* jego nie było głębokiem przetrawieniem samodzielnem i przeżywaniem osobistem, ale było więcej sumą pourywanych wiadomości, niż przeżyć... W historyi posiadał braki... z nauk społecznych i politycznych — przedewszystkiem znał fantastyczne pomysły. Podobnie we filozofii znał to więcej i zajmował się chętniej tem, co podmiotowe, nieścisłe i fantastyczne“...

Osobisty charakter: „był człowiekiem fizycznie chorym, nerwowym, o obyczajach zmanierowanych tą chorobą, jak i bogactwami posiadanemi“. Znamienną cechą jego charakteru stanowi: „składanie ze siebie swojej działalności więcej doniosłej na barki cudze, niezdolność wypełniania samodzielnego ważniejszych obowiązków zewnętrznych, żywość w dopełnianiu

[1] *Prof. Karol Bobrzyński*: Spraw. dyr. gimn. V. Kraków 1912.

obowiązków mniej ważnych, błahych", (czyżby tu oskarżyciel miał na myśli działalność poetycką?) „przyjmowanie na siebie cudzych obowiązków i działalności, n. p. papieża, cesarzy, ministrów"... „Cierpienia jego, zwłaszcza moralne... w większej części trzeba przypisać rozbólałej, chorej wyobraźni"... (czy były przez to mniej rzeczywiste?).

Te i tym podobne oskarżenia, które mogłyby uchodzić za humorystyczne, gdyby nie były wielce znamienne, dowodnie stwierdzają, jak pożądane i potrzebne są wszelkie źródłowe publikacye, wyświetlające charakter, umysłowość i twórczość autora *Irydyona*.

Znakomitym do tego przyczynkiem są omawiane listy do St. E. Koźmiana.

Stan. Edg. Koźmian był kolegą szkolnym Z. Krasińskiego w liceum warszawskiem, gdzie obu rówieśników zjednoczyły udzielane sobie wzajemnie pierwsze literackie próby. Z wyjazdem jednak Zygmunta do Genewy stosunki te przerwały się. Na krótko odnowione w r. 1843 w Rzymie, nie weszły w fazę ściślejszej przyjaźni; nie korespondowali nawet. Koźmian czuł się onieśmielony niezwykłą duchową potęgą Zygmunta.

Połączył ich w przyjaźń przypadek. W październiku 1846 r. spotkali się w Heidelbergu, obaj „mocno na zdrowiu skołatani pod okropnem jeszcze wrażeniem rzezi galicyjskiej". Codzień tu kilka godzin przebywali z sobą, odbywali dalekie piesze przechadzki w góry nad Nekarem, w czasie burz przesiadywali w ruinach zamczyska lub parogodzinne odbywali przechadzki po korytarzu na dworcu.

„Zdawało się — pisze Koźmian — że nie było nic tak skrytego i tak ważnego, czegoby mi nie powiedział. Skwapliwość, z jaką to czynił, przekonywała mnie, że nie tylko była w tem chęć okazywania mi nieograniczonej ufności, ale zarazem potrzeba jego zbolałej duszy. Tym sposobem podniósł on mnie swem sercem i choć nie zasługującego na to, postawił znowu obok siebie. Już od tego czasu uważaliśmy się jak bracia, on mnie nawet uważał jak starszego, radził się mnie i pomimo, że sam

tyle we wszystkiem bystrzejszy, chętnie moim sądom i w literaturze i w polityce i w osobistych sprawach podlegał".

Często też odwiedzali się podówczas, a Krasiński nigdy nie przychodził z próżnemi rękami, przynosząc to książkę jakąś w podarunku przyjacielowi, to sztych, to pugilaresik, a choćby cygaro. Żenowały Koźmiana te podarunki, począł się odwzajemniać i „tak — pisze — bez ustanku plądrowaliśmy po sklepach szukając podarków".

Takie były pierwsze chwile przyjaźni. Obaj jej łaknęli, obaj nie tylko rodzajem wychowania i wykształcenia, lecz także delikatnością uczuć, powinowactwem przekonań i przyzwyczajeń, a nadewszystko nieskazitelnością podniosłych charakterów zjednoczeni, byli godni wzajemnej przyjaźni; nie odpychając się zasadniczemi różnicami, dopełniali się w temperamentach i szczegółach: ostrożna praktyczność Koźmiana, jego spokojny, wytrawny i ściśle rzeczowy pogląd trafiał do przekonania polotnemu i płomiennemu, lecz w rozmaitości pomysłów i uczuć gubiącemu się poecie.

Gdy w początkach grudnia 1846 r. Koźmian odjechał z Heidelbergu do Rzymu, rozpoczęła się między przyjaciółmi korespondencya.

Z r. 1847 pochodzi 30 listów Zygmunta z podpisami: „Twój Heidelberski", pisanych do Koźmiana ze stron różnych: z Nicei, Heidelbergu, Akwisgranu, Lipska i Drezna. Jeżeli się zważy, że niektóre listy zaginęły, korespondencyę tę można nazwać wcale ożywioną, zwłaszcza, że tegoż roku trzykrotnie stykali się osobiście.

Najdłużej w Nicei, bo od 9 do 30 czerwca. Tu mieszkali wspólnie, mając z okien widok na morze. Ranki spędzali na pisaniu, pod wieczór odbywali długie przechadzki. Krasiński ozdobił pokój przyjaciela dwoma wspaniałymi portretami Ary-Cheffera: własnego ojca i pani Delfiny.

Po raz drugi zjechawszy się w Bonn, wymknęli się od zgiełku hotelowego dla rozmowy w jakąś ukrytą altankę nad Renem... „Księżyc prześlicznie świecił — dodaje Koźmian — nagadaliśmy się do woli, ułożyliśmy plany na przyszłość"...

Po raz trzeci wreszcie czas od 8 do 16 października spędzili razem znowu w Heidelbergu. Bawiła tu i pani Delfina, u której obiadowali, z którą we trójkę odbywali długie spacery, która wieczorami zachwycała obu grą i śpiewem. Wracając od niej do domu często jeszcze po nocy długie odbywali przechadzki.

W owym to tygodniu przyjaźń ich zacieśniła się w nierozerwalne węzły, najbardziej stała się wylana i najgorętsza. Dość powiedzieć, że mieszkając w jednem mieście i niemal cały czas z sobą spędzając, uczuwali potrzebę wyrażania jeszcze wierszami wzajemnych uczuć przyjaźni.

I znowu rozstali się. Koźmian odjeżdża do Berlina, potem w jakiejś politycznej misyi do Londynu. Zygmunt przed zimą ucieka do ulubionego Rzymu, skąd przechowane z r. 1848 trzy listy świadczą, że nie przerwali korespondencyi.

W początkach lipca 1848 r. niespodzianie spotkali się w Paryżu i uradowani pierwszą całą noc poświęcają rozmowie. „Dnie całe — pisze Koźmian — przepędzaliśmy w domu... w nocy dopiero obchodziliśmy lub objeżdżaliśmy Babylon... Po jednej z takich wycieczek rozstaliśmy się 16 lipca o późnej, północnej godzinie, nie przewidując, że to ostatni raz w życiu się widzimy".

Tak minął pierwszy okres przyjaźni, najczulszej, ogrzewanej kilkakrotnem wzajemnem spotykaniem się.

Odtąd stosunki ich polegają na ciągłej korespondencyi, której drugi okres sięga po 8 grudnia 1852 r. Z tego czasu przechował Koźmian: z r. 1848 listów 6 (z Heidelbergu i Baden-Baden); z r. 1849 listów 15 (z różnych miejscowości, najwięcej z Baden-Baden i z Berna szwajcarskiego); z r. 1850 listów 2; z r. 1851 listów 24 (z Heidelbergu, Drezna, Baden-Baden, Kolonii i Rzymu); z r. 1852 listów 16 (z Rzymu, Nicei, Baden i Drezna). Razem tedy w ciągu 4½ lat listów 63. Przyjaźń więc nie ostygła, ale pozbawiona osobistego kontaktu, polegała na wynurzaniu wspomnień, na żywej wymianie wzajemnych trosk i radości, na omawianiu ważniejszych zagadnień i zdarzeń osobistych i politycznych, na udzielaniu wiadomości o sobie, o krewnych i bliższych znajomych. Listy te Krasińskiego tchną niewymuszoną naturalnością.

„Chociaż do innych przyjaciół, — pisze o tem Koźmian w objaśnieniach na str. 112 — jak do znajomych i znakomitszych ludzi, pisywał on obszerniejsze, ważniejsze, świetniejsze listy, z namysłem, że tak powiem, oficyalnie: — do mnie, właśnie dla tego, żem do znakomitości liczyć się nie mógł, że pewien był mojej najściślejszej dyskrecyi, zawsze najpoufalej, najserdeczniej się wywnętrzał, w przekonaniu, że prócz mnie, nikt jego zwierzeń nie czytuje".

Trzeci i ostatni okres stosunków i korespondencyi sięga do ostatniego listu Krasińskiego, pisanego z Paryża w miesiąc przed jego śmiercią dnia 22 stycznia 1859 r.

Wiele się zmieniło w tym czasie w życiu obu przyjaciół. Koźmian ożenił się, gospodarował na wsi, coraz mniej trudnił się literaturą, pisując tylko niekiedy do *Przeglądu poznańskiego*; straciwszy matkę i bratową, odgrodził się w smutku od świata. W tymże czasie Krasiński mocno podupadł na siłach, coraz więcej gorzkniał, trawiony ciężkiemi chorobami, przestał tworzyć, a lubo nie zapomniał o przyjacielu, któremu donosił o sobie ustnie przez znajomych — to jednak w pochopności do korespondowania mocno zwątlał.

Z tego to ostatniego okresu przechowanych jest razem 22 listów poety do Koźmiana, pisanych z Baden, Heidelbergu, Ems i Paryża. Wieje z nich czuła melancholia, głęboko smutna rezygnacya, niekiedy jakaś jakby mistycyzmem zabarwiona powaga.

* * *

Nie łatwo zsumować, uporządkować i zważyć te liczne szczegóły, te rozprószone iskry uczuć i myśli, te różnobarwne promienie ducha, zawarte w całej korespondencyi Krasińskiego do Koźmiana; nie łatwo oddzielić rzeczy dawno znane od zupełnie nowych, ważne od obojętnych.

Najwięcej szczegółów dotyczy osobistego obu przyjaciół stosunku; te najwięcej spoufalają nas z duchową fizyognomią poety, czyniąc ją blizką i miłą sercu czytelnika. Surowa twarz bolejącego nad hańbą Rzymu Irydyona, lub rzucającego się

z okopów św. Trójcy hrabiego Henryka, lub natchniona — ostrowidza z *Psalmów* i *Resurrecturis* staje tu z rysami niewieściej, często tkliwej, rzewnej, nawet naiwnej czułości i delikatności.

Za listami przyjaciela tęskni, jak narzeczona; czyni wyrzuty, że zbyt rzadko pisuje, dziękuje za każdą wiadomość, zapewnia o swej modlitwie, przesyła wynurzenia miłości, błogosławi, troszczy się o zdrowie, cieszy się radościami, boleśnie przeżywa wszystkie smutki.

Na wiadomość o chorobie matki Koźmiana pisze: „Zaraz ukląkłem i pomodliłem się za nią... będę co dzień modlił się, aż się dowiem, że wyszła z choroby; ty za Adzia, ja za matkę twoją". (Z Drezna 2 czerwca 1851 r,). Gdy po paru latach chora zmarła, woła: „Biedny mój i kochany!... A poradzić żałości twojej nie sposób, a pomódz ci niczem nie podobna! Sercu serca matki nic nie odda, nic go nie zastąpi. Więc tylko modlę się i modlę wciąż za ciebie!" (Z Heidelb. 25 lutego 1854 r.).

Gdy Koźmian był w ciężkiej z sobą rozterce przed ważną w życiu decyzyą, jakież spokojne, mądre i serdeczne daje mu rady, jak umacnia otuchą i wiarą! „Chciałbym módz jakiebądź słowo pociechy ci przesłać, czemkolwiek przyłożyć się do ukojenia ci smętnego serca... Ufaj w opatrzność. Nie na toś się tułał i tyrał przez ciąg żywota, by ci w końcu odmówiła błogosławieństwa i upragnionego spokoju... Żegnam naprawdę, bo znakiem krzyża... a dziękuję ci za wszystko, błogosławię ci i kocham do zgonu"... (Z Baden d. 28 paźdz. 1852).

Przyjście znowu na świat córek przyjaciela wita uroczystem błogosławieństwem: „Dzięki łasce Chrystusa Pana i opiece Pani Przenajświętszej, że twój dom nawiedzon błogosławieństwem bożem! Niech wszelkie błogosławieństwo Boże nad nim spocznie i pozostanie w nim i zamieszka z wami!.. Niech tym dwom córkom twoim lepszych dni od naszych da doczekać miłosierdzie Boże i niechaj będą dwoma kwiatami śród narodu gwoli jego ozdobie!" (Z Baden 23 listop 1856)

W każdym niemal liście znajdujemy podobne dowody serdeczności, wyrażające się w wykrzyknikach, jak n p.:

„Niech wszystkie Boże błogosławieństwa spoczną nad domem twoim!“ (Z Heidelb. 24 września 1854).

„Co dzień modlę się za ciebie“... (Z Baden 24 paźdz. 1854).

„Teraz musisz się czuć złamanym, przybitym mieczami troski“... (Tamże).

„Czekałem na twój list, jak kania deszczu“... (Z Rzymu 25-go stycznia 1848).

„Dobrze, żeś stęsknionemu radość uczynił doniesieniem o sobie“... (Z Baden 11 stycznia 1849).

„Raz jeszcze ci dziękuję za wszystko, — raz jeszcze cię przyciskam do serca“... (Z Drezna 7 paźdz. 1849).

Są to w każdym razie dowody czułości i wrażliwości poety, podobne do tych, które w zakresie uczuć rodzicielskich złożył tyle razy, czy to dojmujących cierpień doznając w czasie choroby Adzia (z Heidelb. dn. 22 kwietnia 1851), czy wyrażając żywą troskę o los, rozwój i przyszłość dzieci. (Listy z Baden 3 kwietnia 1856, z Heidelb. 22 kwietnia 1851, z Drezna 2 czerwca 1851, z Baden 17 sierpnia 1851).

Wstrząsający wyrazem głębokiej boleści opis śmierci Danielewicza w liście do A. Sołtana z 29 marca 1842, a jeszcze bardziej cierpienie, współczucie i całe zachowanie się na widok, gdy jego „stary, biedny, wierny Jan zachorował na żołądkowego skira“ (z Baden 24 października 1854) należą do gatunku podobnych poprzednim dowodów.

Z altruistycznych w szerszym zakresie uczuć płynęły owe gorzkie satyry poety na świat i skażenia jego, na powolny tok rozwoju myśli Bożej i owe tęsknoty i owe porywy tragiczne i to s amotanie się między niemocą a pragnieniem czynu, i to oskarżanie siebie o brak rezygnacyi i wreszcie owa czynna szczodrobliwość, taka niekrzykliwa, dyskretna, tak przewidująca i czujna, której drobne zaledwo ślady przechowały się w kilkunastu miejscach naszej korespondencyi:

„Jak *Przegląd* stoi? Czy wystarczają fundusze? Możebym mógł czem do nich posłużyć?“ (Z Heidelb. 15 lutego 1850).

„Powiedz mi, czy możnaby czem pomódz Klaczce? Na twoje ręcebym przesłał“... (Z Heidelb. 22 kwietnia 1851).

W podobny sposób przesyłał na ręce Koźmiana znaczniejsze datki na *Przegląd*, „na artystów w biedzie“, na seminaryum dla ochroniarek w Jankowie, na rzecz czytelni w Rzymie, dla kogoś „będącego w wielkiej biedzie“ w Rzymie, na obraz Matki Boskiej u św. Rocha i t. d.

Ważne jest objaśnienie Koźmiana, że datki te nie były czemś wyjątkowem; były stałe i systematyczne: „Dawał wiele na rozmaite instytucye religijne i dobroczynne w kraju i emigracyi, dawał hojnie pojedynczym, osobliwie literatom. Sam mi mówił, że od lat wielu wspiera Mickiewicza. Był też ciągle nagabywany listami z prośbą o pieniądze... Jednym z najszczodrzej od niego obdarowywanych był Trentowski“. W innej uwadze (na str. 159) pisze Koźmian: „Zygmunt płacił zawsze za druk dzieł swoich, a dochód ze sprzedaży oddawał Gaszyńskiemu. Ja też odsyłałem temuż wszystko, co przynosiły książki Zygmunta, pod moim dozorem drukowane“.

Szlachetna to była dobroczynność. Obdarowywani nie wiedzieli najczęściej, komu datki mieli zawdzięczać.

Zarówno w samych listach, jak w objaśnieniach do listów Koźmiana znajdujemy także wiele bardzo znamiennych drobiazgów, które nam uplastyczniają postać i cały sposób życia wieszcza: jak się ubierał, jak dbał o czystość, ale obojętny był na szczegóły stroju (str. 16), jak się odżywiał,[1] jakie miał zamiłowanie do przechadzek, jak pod wpływem obrazów przyrody doznawał natchnienia do improwizacyi (obj. str. 9), jak wyglądał,[2] jakie miał zamiłowanie do muzyki i śpiewu, jak w chwilach ożywienia opowiadał wiele anegdot, roztaczał niewyczerpane zasoby wiadomości o stosunkach rodów Branickich, Potockich, Rzewuskich (str 10), jak w rozmowie o ojczyźnie rychło

---

[1] „Rano pijał parę filiżanek tęgiej kawy, wciąż palił bardzo mocne cygara, nie jedząc nic, aż po pierwszej przechadzce“. . itd. (str. 38).

[2] „Oczy czerwone, cierpiące, twarz szeroko zarosła, faworytami nizko przyciętemi wykazała mi mężczyznę w sile wieku, ale ciężko bolejącego“... (W Rzymie 1843).

wydobywał się ze zwątpienia i oddawał uniesieniom wiary w przyszłe losy narodu, jak go każdy wypadek z politycznej dziedziny zaciekawiał i nieraz do głębi poruszał (Obj. str. 10, 38).

Lubo rzadko w listach do Koźmiana wdawał się w polityczne lub religijne dysputy, są one i pod tym względem w wielu ustępach ważnem dopełnieniem znanych skądinąd wiadomości. W latach 1848 i 1849 zwłaszcza nie mógł milczeniem pomijać wielu rzeczy, które mu rozpierały piersi, jak uwag o demagogii, słowianofilstwie, towianizmie, upadku władzy papieskiej, stanowisku Piusa IX.

W poglądach religijnych dzieliły przyjaciół różnice, które Koźmian streszcza w trzech punktach: „Jezuici, uosobienie Chrystusa w Polsce i ta epoka trzecia Ducha św., czy też św. Jana“ (Obj. na str. 106). W innem jednak miejscu objaśnień (na str. 15) dodaje Koźmian: „Nigdy z nim nie wszczynałem dysput religijnych... Byłem pewien, że on naturalnym biegiem doświadczenia i wciąż potęgującego się ducha przyjdzie do zupełnej zgodności z Kościołem i jego instytucyami. Pracował w nim ten duch bez ustanku, niepokoiła go reszta wątpliwości i dla tego, widząc stałość i nieugiętość mych przekonań, sam raz po raz wyzywał mnie do rozprawy“.

Jedna z takich dysput odnosiła się n. p. do zagadnienia o religijnem przeznaczeniu człowieka. Koźmian dowodził, że ono polega na „zupełnem zwycięstwie ducha nad ciałem“, Krasiński, że „na harmonii między jednem i drugiem“, a temu zdaniu Krasińskiego towarzyszył pogląd, tak dobitnie akcentowany we wszystkich niemal ważniejszych jego utworach, że „rozum najwyższy musi się zgodzić na jedno z prawem pospolitem moralnem“... że „nie należy tępić i wygubiać przeciwników“. „Zatem proszę cię — pisał z Heidelbergu 19 sierpnia 1849 r. — bądź miłością szeroką chrześcijańską, istną tą, która ocala i zbawia, nie tą, co potępia i gubi“.

Ileż to zresztą w całej tej korespondencyi dowodów żarliwości katolickiej Krasińskiego! Wszędzie ta silna i niezachwiana niczem wiara jego w ostateczny tryumf myśli Bożej, w cud, w potęgę modlitwy, w przyszłość Kościoła.

— „Módlmy się, ufajmy — woła z Rzymu 28 marca 1848 — spowiadałem się zawczoraj i Komunię św. przyjąłem na intencyę ojca mego... Ah, dni sądu nad światem!"

— „Módl się za duszę mą!" — woła 16 sierpnia 1849 — „Bóg święty, wieczny, wielki i miłosierny! Chwała Jemu na wieki wieków!" (list z 21 sierpnia 1849).

— „*Erumnarum plenus sum*, tylko ufność pokładam w Bogu jedynie — w cud!" (z 23 t. m. i r.).

— „Im mniej na ludziach, tem więcej polegam na Bogu i cudzie... Módl się wciąż za mną!!. (Z 7 paźdz. 1849).

A w liście z 3 stycznia 1851 r. pisze: „Katolicyzm w istocie umiał zawsze przedziwną miarę zachowywać śród sprzeczności ostatecznych, rozdzierających łono rodzaju ludzkiego. Tę miarę wykazywać obrońcom katolicyzmu w tym wieku konieczną jest potrzebą, ale na to trzeba im zstąpić w same głębie, w same wnętrzności, że tak powiem, doktryny katolickiej, mało zwykle już za naszych czasów znanej najgorliwszym nawet jej zwolennikom".

Niepośledniej wagi zawartość listów dotyczy wzmianek o genezie własnych utworów Krasińskiego.

Nie bez znaczenia szczegóły o korekcie „Dnia Dzisiejszego" w liście z Akwisgranu z 10 listopada 1847, jak niemniej w tymże liście narzekanie na natłok wrażeń, nie dozwalających „zstąpić w głąb siebie samego".

Ważniejsze są komentarze do *Irydyona* i *Psalmów* w listach z Heidelbergu z 30 lipca 1848, z Baden z 4 grudnia 1848, z Baden-Baden z 22 czerwca 1851, niewyjątkowe zresztą, z naciskiem i wielką siłą przekonania powtarzające zasadnicze poglądy na warunki, konieczne do zmartwychwstania.

— „Zemsta kończy się na zemście, z natury swej bezpotomna jest... Więc i my o tyle tylko odżyjem, o ile porzucim zmysłową chuć polityczną, a weźmiem się do miłości, szlachetności, cnoty społecznej"...

— „*Per nefas* nikt nie zmartwychwstał, ale każdy spuścił się do nicości. Zmartwychwstanie jest wynikiem moralnem po-

stępowania ciągłego *per fas*. Tak jak dla osobnika, także i dla narodu!"

O wiele ciekawsze i cenniejsze szczegóły dotyczą genezy i wyjaśnienia „Snu", zawarte w kilku listach z r. 1851 i 1852.

W zamiarze wydania tego poematu pod inicyałami J. S. (Słowackiego), czemu przeciwny był Koźmian, tkwiła ze strony Zygmunta szlachetna myśl pośmiertnego niejako pojednania się i zjednoczenia z duchem Juliusza, a może także wypłaty duchowych długów, zaciągniętych w szczęśliwych czasach florenckich — o czem świadczą tak wymownie i pięknie, z tak dojmującym bólem wypowiedziane w korespondencyi zwierzenia.

Z listu, pisanego z Rzymu dn. 24 kwietnia 1852 r., a wielce ważnego do zrozumienia genezy „Snu", wynika, że Krasiński czytał ten fragment z „ogromnego poematu" Słowackiemu we Florencyi w jesieni 1838 r.: że Juliusz zarzucił autorowi panteizm, autor zaś twierdził: „Nie panteizm, ale pogarda, pogarda, na której wyrażenie innego wyrażenia nie masz!"... „Biedny Juliusz" — dodaje w tym liście Krasiński — „pamiętam, z bladą twarzą, z jaskrawemi oczyma, na czwartem piętrze wieżycy jakiejś, w której mieszkał, przy pysznem świetle miesięcznem, wlewającem się w okna, pod lampą wyżej, niż głowa jego, siedzący"...

Jakże świetnie nam ów obraz uplastycznia pamiętne chwile przyjaźni obu poetów, spędzone we Florencyi!

— „Zamysł był olbrzymi" — pisze dalej Krasiński — „wszystkie tam miały się przesunąć dzieje człowieczeństwa — miały być całe jedne ustępy prozą, drugie całe pieśni wierszem i to dziwnym, przezeń wynalezionym, dłuższym, niż ów 17-o zgłoskowy Mickiewicza w Dziadach"...

Tyle o „Śnie". Dla badacza stylu Krasińskiego zajmujący będzie spór między poetą a Koźmianem, dotyczący niektórych wyrażeń w *Resurrecturis* w listach z Baden z 9 lipca 1851 i 18 sierpnia 1852 r.

Zupełnie inne znaczenie mają liczne szczegóły, wiadomości, wzmianki, rozprószone w listach, a odnoszące się do współ-

czesnych zdarzeń i osób, mniej więcej ogólnie znanych, a zostających z poetą w rozmaitych stosunkach.

Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczami czytelnika listów minione wypadki, zmarli dawno ludzie, wszystko, co współczesnych interesowało, co było ich życia żywiołem: uwagi o przekładzie Danta Norwida (z Nicei 21 kwietnia 1847), o matce Makrynie (tamże), o recenzyi *Irydyona*, dokonanej przez Małeckiego (z Nicei 2 maja 1847), o „Dworcu mojego dziadka" Morawskiego (z Heidelb. 15 grudnia 1850), entuzyastyczna charakterystyka pisarskiego talentu ks. Antoniewicza (z Heidelb. 3 stycznia 1851) i rzewne serdeczne wynurzenie żalu na wiadomość o jego zgonie (z Drezna 8 grudnia 1852); to znowu o Szajnosze (z Gaden 15 lipca 1852), to o Koźmiana „Stefanie Czarnieckim" (z Rzymu 25 stycznia 1848), to o Piusie IX. („Pius ukochan przez lud — serce wielkie, dobrą żądające i dobro dające — wiesz, jak takie serca kończą w dziejach? — na krzyżu — nie mniej ich idea zwycięża"... (z Rzymu 25 stycznia 1848); to o Witwickim wspomnienie nekrologowe („Cnotliwy człowiek i pełen miłości był. Czyny swoje niósł z sobą i będą mu skrzydłami za grobem"... Z Nicei 2 maja 1847); to uszczypliwa satyra o Deotymie („Deotyma razem wyszła — pysznie lukrowana, ale na zimno gotowana, jak święcone — malowane pisanki, ale wewnątrz twarde żółtko" — z Heidelb. 25 lutego 1854); to świetna charakterystyka Ary-Sheffera, jako artysty, męża politycznego i człowieka prawego charakteru (z Paryża 29 czerwca 1858); to gromy oburzenia na podłość Rzymu (z 6 lutego 1852).

Najwięcej i najciekawszych uwag dotyczy Klaczki, Norwida, Trentowskiego, Słowackiego i Mickiewicza.

Klaczce zrazu nie ufa, powodowany jakby niechęcią, czy uprzedzeniem; pod wpływem Koźmiana usiłuje sprostować mylne o nim wyobrażenie i poświęca sprawie swych nieporozumień z nim obszerne ustępy w listach z 14 lutego 1849 z Bad Baden, a także w listach z Heidelbergu z 7 kwietnia 1851 i z 22 kwietnia 1851; zawsze jednak we wzmiankach o Klaczce przebija pewien chłód; dopiero pod koniec życia w liście z Paryża

z r. 1858 znajdujemy cieplejsze uznanie: „Kurs Klaczki był pięknym w gruncie, zasadach, ideach, bardzo wszechstronnym, wszechwzględnym, umiarkowanym, ale nieraz w wyrażeniach piorunującym *cum furore iuventutis*“...

Na stosunek Zygmunta do Trentowskiego rzuca jasne światło komentarz Koźmiana na str. 13 i 14 dla Trentowskiego niepochlebny. Krasiński stawał w obronie Trentowskiego z wyrozumiałością i pobłażliwością: „Powiadam ci — pisał z Heidelbergu dn. 10 sierpnia 1847 — niesprawiedliwyś, bo tyle jest cnoty prostolinijnej w tym duchu, że przy tem złocie reszta znika“.

Zgadzali się natomiast obaj przyjaciele, Krasiński i Koźmian w zdaniach o Norwidzie. Zrazu (około 1848) wydał się on miłym, uprzejmym, pełnym uzdolnień. „Później — pisze Koźmian w objaśnieniach na str. 85 — stał się zarozumiałym, gniewliwym, grubiańskim, wymagającym, aby mu ciągle ofiary składano — i to na klęczkach. Opryskliwości jego miały być powodem najpierw głuchota, powtóre niemożność tego różnorodnego talentu, skupienia się... Stał się wkrótce prawie przedmiotem odrazy i pośmiewiska...

W innem miejscu (na str. 112) wyjaśnia Koźmian: „Norwid często przysyłał wiersze do *Przeglądu*. Z początku były znośne. Gdy coraz dziwaczniejszymi się stawały, *Przegląd* nie wszystkie umieszczał. Stąd gniewy, gromy autora, często nawet impertynencye, nietylko w listach, ale i w wierszach. Dla okazania bezstronności parę takich redakcya umieściła. Zwolenia i inne jakieś szaleństwa osobno na własny koszt wydrukowaliśmy“.

Dzisiejsi krytycy, mieniący się miłośnikami utworów Norwida, zarzucą niezawodnie trzeźwemu Koźmianowi brak odczucia i zrozumienia. Trudno im będzie jednak tem samem wyjaśnić uwagi Krasińskiego, który kilkakrotnie czynił Norwidowi zarzut niejasności. „Skarb mu wielki dan od Boga — pisał z Rzymu dn. 25 stycznia 1848 Krasiński — byle go umiał użyć — to najtrudniejsze. Kolory i światło — to nic — ale tęcza uwita, rozpostarta na niebie z nich — to wszystkiem — to trudnem — i w każdej sferze ludzkiej, nie tylko artystycznej. Miły, uprzejmy

duch ten Norwidowy, ale zdaje mi się, że jeszcze sam siebie nie stworzył"...

Już w kilka miesięcy później Krasiński z bólem i oburzeniem pisze o Norwidzie: „Łączę ci tu list z Rzymu pisany Norwida — spal go, ale zadziw się nad charakterem człowieka. Módz list taki pisać w Romie 21 nowembra 1848! Ah, to trzeba być z marmuru kutym, lecz tylko pedantem siebie samego". (Baden 4 grudnia 1848).

Po kilku latach pogląd Krasińskiego na Norwida ustala się w pełni, a składa się na to zarówno współczucie i litość, jak zniechęcenie i rozczarowanie. „Co za fochy, złości, napady, wyrzuty, obelgi" — pisze o nim z Heidelbergu 25 listopada 1851: „Biedny to, arcybiedny chłopiec, na ciele rozchorowany ogromnie, a na duszy też niepomału... Jam mu wraz z Augustem radził, by nie tak ciemno pisał. Zawsześmy się starali pomódz, o ile mogliśmy jego osobie. Prawda, że na druki jego poematów nie dawaliśmy. Czekaliśmy, albowiem czegoś jasnego, zrozumiałego... Ja pierwszy prawie nigdy nie rozumiem — a jeśli co zrozumiem, to krwawą pracą. Takiej zaś poezya nie dozwala. Dobrze Heglowi tak Logikę pisać. Otóż rozwścieklł się na nas obu, żeśmy tej jesieni szczerą prawdę mu powiedzieli, prosząc o jasność, prosząc serdecznie, tkliwie i dając mu dowody najistotniejszej przyjaźni. Teraz ja nigdy nie napiszę, ale będę się starał anonyme jak dawniej mu pomagać, bo powtarzam: biedny, arcy-biedny! tem biedniejszy, że czasem do kłamstwa się udaje"...

Wreszcie w ostatniej, krótkiej już wzmiance Krasińskiego o Norwidzie znajdujemy wyraźne znamiona pogardliwej obojętności. „Mniejsza o to — pisze z Heidelb. 23 marca 1851 — gdyby Norwid był tylko waryatem i kapryśnikiem, ale on przy tem wygląda mi na arcywyrachowanego komedyanta śród wybryków swoich. Wszyscy bowiem lubiący udawać wielkie namiętności, a mający za jedyną w istocie próżność tylko, są takowymi. Pozór — szaleństwo, głąb — rachuba. Do tego jest to najniewdzięczniejszy z ludzi. Jaki był mnie, tak jest lub będzie bratu twemu niewdzięcznikiem, bo z pisma twego się domyślam, że

własnym nakładem brat twój jego poemata, te dwa, drukuje — wszak tak? *Cave hominem*!"

Nie zatrzymujemy się tu nad bardzo licznemi w omawianej korespondencyi wzmiankami zarówno Krasińskiego, jak Koźmiana o Mickiewiczu i Słowackim, wzajemne bowiem stosunki tych trzech wieszczów wielokrotnie już były wyjaśniane i obecne wydawnictwo listów pod tym względem niewiele doda szczegółów nowych.

Zresztą stwierdziliśmy — zdaje się — dostatecznie, że przez ogłoszenie listów Krasińskiego wraz z uwagami Koźmiana redakcya *Pamiętnika literackiego* dokonała pożytecznego dzieła: nie tylko dla nauki, dla krytyki literackiej, ale także bezpośrednio dla społeczeństwa.

Duch Zygmunta Krasińskiego tchnie mocą dodatnich wierzeń i ukochań; w dzisiejszem rozbiciu i analitycznem znicowaniu wszelkich wiar, zasad i umiłowań, cenne w nim źródło pokrzepienia. *Mikołaj Mazanowski.*

Pomysły filozoficzne w hymnach Rig-Wedy. *Dr. Wojciech Marceli Gielecki.* Kraków. Nakładem autora 1911. 8-ka wielka. Str. 152. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. Kraków.

Dzieło to jest osobnem odbiciem z „Pamiętnika Seminaryum filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie".

Po uwagach wstępnych o stanie badań nad filozofią indyjską, tak u nas, jak za granicą, określa autor dokładnie przedmiot swego studyum, t. j. odtworzenia początków i pierwszych stadyów filozoficznego myślenia w Indyach na tle hymnów Rig-Vedy, tego najstarszego pomnika literatury indyjskiej. Za punkt wyjścia służyły autorowi prace prof. M. Straszewskiego i Pawła Deussena. Prof. Straszewski pierwszy w literaturze europejskiej zwrócił uwagę na to, że w Indyach i Chinach, podobnie jak w Grecyi, filozofia nie pojawia się tylko sporadycznie w rozmaitych kierunkach pracy myślowej, ale że przedstawia jakąś ciągłość tradycyi i rozwoju analogicznie i równolegle do rozwoju myśli filozoficznej greckiej. Porównanie tych niezależnie od siebie rozwijających się szeregów pracy umysłowej ma bardzo doniosłe znaczenie dla poznania ogólnych prawidłowości, występujących w dziejowym rozwoju filozofii wogóle.

Autor, podejmując się studyum nad genezą myśli filozoficznej indyjskiej na tle Rig-Vedy, jest sobie świadom, że na mocy analogii w rozwoju myślenia filozoficznego w Indyach i w Grecyi, rzuca światło na pierwsze fazy myślenia w Grecyi i myślenia filozoficznego w ogólności. Szczególniejszą doniosłość ma takie studyum dla apologetyki i religii; — początkowe bowiem refleksye filozoficzne zaczepiają o stare religijne tradycye, — wyłaniają się z teologicznego myślenia. Na początku spotykamy się z pojęciami religijnemi, zaczerpniętemi z objawienia, i dopiero na tle refleksyi nad treścią objawionych prawd powstaje myślenie filozoficzne. Tem się także tłumaczy, że pierwotną formą religii był monoteizm, — późniejszą dopiero politeizm. Ułomność umysłu ludzkiego zwłaszcza na tle zboczeń moralnych, wywołała różnorodne antropomorficzne poglądy na bóstwo i w dalszej konsekwencyi wielobóstwo, przeważnie w postaci uosobienia rozmaitych sił przyrody. Widać to także w Rig-Vedzie.

Najwyższą potęgą nietylko kosmiczną, ale i etyczną jest Varuna, wszechwładny monarcha, król całego świata, król bogów i ludzi, stróż porządku fizycznego i moralnego. Mamy tu pojęcie monoteistyczne. Później obniża się poziom religijny Indów: cel ziemski, t. j. chęć zdobycia kraju i t. p. występuje na pierwszy plan, a przewagę nad Varuną uzyskuje Indra, bóg wiary.

Przeciw tradycyjnej wierze powstały teraz różne opozycye, *wątpliwości, tyczące się kultu Indry i innych bóstw*, które przedstawiano sobie na kształt ludzi i ludzkim oddane namiętnościom. Pobudzały do roztrząsania powagi bóstw i ich wpływu, także nadużycia kapłanów indyjskich, domagających się dla siebie uprzywilejowanego stanowiska, tudzież głoszących, że bogowie wymagają obfitych i kosztownych ofiar.

Obok tej opozycyi widać w hymnach Rig-Vedy dążenia do objęcia myślą całości świata. Mamy tu najpierw pogląd dualistyczy, według którego niebo i ziemia są pierwotnymi rodzicami wszystkiego. Dwie te potęgi, niebo i ziemia tworzą jednak razem pewną całość, niby jeden pierwiastek wszechbytu. Kierownictwo tego najwyższego pierwiastka powoduje stałą prawidłowość, czyni świat całością, która przenika ład i prawo nietylko w kierunku fizycznym, ale też moralnym. Z tą prawidłowością w kosmosie i w rządach nad światem łączy się charakterystyczne dla indyjskiego myślenia przekonanie o znaczeniu ofiar, obrzędów, modlitw, które pojmowano analogicznie do przebiegu zjawisk fizycznych. Stąd wyłonił się parallelizm między zjawiskami

fizycznemi, n. p. atmosferycznemi, a czynnościami przy składaniu ofiar. Ale same także zjawiska w świecie objawiają jakąś łączność między sobą i prowadzą umysł do przekonania, że istnieje jeden pierwiastek wszechbytu. Kapłani i głębsze umysły zdają sobie sprawę z jedności bóstwa, ale w historyi utrzymuje się równocześnie wielobóstwo. W dziesiątej księdze hymnów (najpóźniejszych w Rig-Vedzie) występuje istota najwyższa, od której wszystko pochodzi, jako Wszechmocny, Stwórca wszystkiego, Bóg jedyny, któremu się składa ofiary. Motywem stworzenia świata, oraz węzłem, łączącym świat zjawiskowy z jego twórczą podstawą, t. j. tem, co istnieje samo przez się, absolutem, jest miłość. W pojmowaniu stosunku absolutu do świata widać tu jakieś wahanie się między monoteizmem a panteizmem, między zapatrywaniem, że Bóstwo jest osobistą, a zapatrywaniem, że nie jest osobistą przyczyną świata.

Później myśl indyjska przechyla się więcej na stronę panteizmu, co się uwydatnia najbardziej w wyobrażeniu sobie wszechbytu jako wielkiego człowieka, ducha wszechświata, „Puruszy". Panteizm ten łączy się z mistyką ofiarną, bo Puruszę ofiarują bogowie, a wynikiem tej ofiary jest świat i jego części.

Te pomysły filozoficzne mają podobieństwo wielkie do objawów umysłowych w Grecyi, ale trudno twierdzić, jakoby Indye wywierały stały wpływ na Grecyę. „Wspólności jakie spotykamy w pierwszych fazach rozwoju myśli indyjskiej i greckiej, dają się tłumaczyć równoległem pojawieniem się analogicznych objawów w dwóch odmiennych kulturach o jednakowem pierwotnem tle aryjskiem".

Autor wyraża nadzieję, że w przyszłości może rozwinie obszerniej parallelę między myślą filozoficzną indyjską i grecką. Byłoby to bardzo pożądanem studyum.

Dawniej sądzono, że w Grecyi filozofia była niezależna od życia religijnego, podczas gdy w Indyach filozofię miały zastąpić tylko religijne systemy i spekulacye, dzisiaj jest już widocznem, że w Grecyi tak jak w Indyach umysł ludzki szukał rozwiązania zagadki wszechświata nie odrębnie od współczesnego życia religijnego, lecz właśnie w związku z niem. Doprowadziło to spostrzeżenie do sumienniejszych studyów nad poezyą orficzną i jej wartością dla rozwoju myśli filozoficznej znamiennem jest „że Tales, który miał przeprowadzić „sekularyzacyę" filozofii, mówi, że wszystko jest pełne bogów". (str. 133 u Gieleckiego).

Przyjdzie kiedyś czas, kiedy filozofowie powszechnie znów zro-

zumieją, że wszelka filozofia musi mieć styczność z religią i że ostatnie odpowiedzi na najważniejsze zagadnienia życia ludzkiego znajdują się jasno i bez błędu tylko w prawdziwej religii, w objawieniu się Najwyższej istoty ludziom, a konkretnie mówiąc: w Chrystusie.

Ale wróćmy do autora. Należy się mu szczere uznanie za tę piękną i bardzo sumienną pracę. Wprawdzie nie potrzebował sobie sam torować drogi, mając już przed sobą szereg krytycznie wydanych źródeł i opracowań, — jednakże nie łatwą było rzeczą porozrzucane w różnych pieśniach filozoficzne pomysły zestawić w jedną całość i odtworzyć genezę filozofii indyjskiej.

Jedno mam autorowi do zarzucenia, mianowicie brak zewnętrznej przejrzystości. Książka jest podzielona na 17 rozdziałów, naznaczonych liczbami rzymskiemi: I, II itd. nigdzie niema nagłówka, nigdzie spisu treści, ani na czele rozdziału, ani na końcu książki, jednem słowem nic, coby ułatwiło studyum tego dzieła. Skoro nie brak logicznego układu, można było bez wielkich trudności odróżnić rozdziały za pomocą odpowiednich nagłówków. Autor tego nie uczynił wystawiając przez to cierpliwość czytelnika na ciężką próbę, zwłaszcza, że raz po raz powtarzają się w różnych rozdziałach podobne myśli. Przeglądając to dzieło, przychodzi na myśl, że nie jest zbytecznem przypominać autorom, iż każde dzieło naukowe powinno mieć na końcu spis imion i rzeczy.

Ks. Ernest Matzel.

Pisma Zygmunta Krasińskiego. Wydanie Jubileuszowe. Tomów 8. (tom. VIII. w 2 częściach) 8⁰, Kraków, G. Gebethner i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff 1912. Wydał *Jan Czubek*. T. I. s. XIX, 511; t. II. s. 604; t. III. s. 398; t. IV. s. 422; t. V. s. 432; t. VI. s. 408; t. VII. s. 648; t. VIII. część I. s. 435, część II. s. 392.

Najcenniejszą zdobyczą roku jubileuszowego, poświęconego pamięci twórcy „Iridiona", jest niewątpliwie zupełne wydanie Jego pism, które przyszło do skutku dzięki niestrudzonym zabiegom żony wnuka poety (pani Wandy Zamoyskiej) w znakomitem opracowaniu prof. Czubka. Wydawca otrzymał do rozporządzenia wiezwykle cenny i bogaty materyał, złożony z nieznanych rękopisów, bądź to w autografach, bądź też w wiernych odpisach, sporządzonych głównie na podstawie niewydanej spuścizny literackiej oraz korespondencyi z Delfiną Potocką. Z materyału tego wzniosła umiejętna ręka wydawcy trwalszy nad spiże pomnik, na cześć Bezimiennego, który za życia

najwspanialsze swoje pomysły twórcze rzucał w świat pod obcemi nazwiskami, rezygnując z doczesnej sławy autorskiej.

W układzie wydawnictwa trzymał się prof. Czubek porządku chronologicznego, wyłączywszy utwory francuskie z lat 1830 — 32 w osobną grupę, która wypełniła osnowę VIII-ego tomu. Tom pierwszy zatem objął utwory młodzieńcze z lat 1825 — 1832, tom następny „Władysława Hermana" i „Agaj Hana", w tomie trzecim znalazła się „Nie-Boska Komedya", „Irydyon" i „Modlitwy", w czwartym „Wanda", „Noc letnia", „Pokusa", „Herburt", „Ułamek z poematu", „Z sycylijskiej podróży kart kilka", „Trzy myśli", „Fantazya z życia", „Przedświt". Tom piąty wypełniły „Psalmy przyszłości", „Rok 1846", „Dzień dzisiejszy", „Ostatni" i „Nie-Boskiej Komedyi Część I." Utwory liryczne z lat 1833 — 58 stanowią treść tomu szóstego, zaś pisma filozoficzne i polityczne zostały zebrane w tomie siódmym. Utwory francuskie w pięknych przekładach L. Staffa i K. Morawskiej uzupełniają całe to pomnikowe wydawnictwo jako część druga tomu ósmego.

Dobrem świadectwem ogromu pracy, jaką w stosunkowo krótkim czasie potrafił wydawca tak szczęśliwie pokonać, są „dodatki krytyczne" u końca tomów poszczególnych. Dla badacza twórczości Krasińskiego przynoszą one materyał pierwszorzędnej wartości. Podają dokładny opis autografu (względnie kopii), przedruk karty tytułowej pierwodruku, obfite odmianki tekstu; ustalają przytem i prostują podawany dotąd błędnie czas powstania niektórych utworów lub też nowe i przeważnie szczęśliwe co do tego stawiają konjektury.

Po raz pierwszy pojawia się poprawna edycya dzieł, drukowanych już poprzednio, ale zanieczyszczonych skutkiem błędnego odczytania rękopisów lub omyłek druku, pokutujących siłą bezwładności w dotychczasowych publikacyach, nie wyłączając nawet lwowskiej edycyi Tadeusza Piniego. Nadto niektóre utwory uzyskały poraz pierwszy pełny tekst, z włączeniem pominiętych w poprzednich wydaniach ustępów (Gastold, Władysław Herman, Agaj Han i i.)

A wreszcie wydobyto z rękopisów znaczną ilość materyału, dotychczas zgoła z pierwszej ręki nieznanego. Pojawiła się wśród utworów z lat młodzieńczych: „Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem", „Rozmowa Napoleona z Aleksandrem I. na polach elizejskich" „Syn Bozarisa", „Polska", „William Wallas", „Zniszczenie Ipsary", „Joanna d'Arc", prozaiczny przekład „Paryzyny" Byrona i gawęda „Panie Kochanku"; z późniejszych lat: „Herburt" „Ułamek z poematu"

„Rok 1846“ ; w tomie liryków poznajemy po raz pierwszy 39 utworów, w obszerniejszej redakcyi czytamy cztery. Przeważnie część pism filozoficznych i politycznych była nam dotąd nieznana (ogółem 14 nowych). Z utworów francuskich 23 zalegało dotąd w rękopisie i dopiero w sto lat od urodzenia autora pojawia się drukiem.

Materyał tak obfity czeka krytycznego omówienia. Nasuwa się konieczność rewizyi utartych poglądów, wyłania mnóstwo nowych szczegółów, które naukowa analiza będzie musiała rozpatrzeć. Ogromny krok uczyniono naprzód, przygotowując warstat do pracy, bez którego studyum nad twórczością poety bezimiennego nie mogło być zupełne i wyczerpujące. Poważne rezultaty w tym kierunku osiągały monografie Tarnowskiego, Kallenbacha i Kleinera, opierając się na niedostępnym materyale rękopiśmiennym.

Wydanie jubileuszowe, najzupełniejsze z dotychczasowych i najstaranniej przygotowane — umożliwia pracę szerszym kołom, zaś dla intelligentnego ogółu powinno stać się nietylko pamiątką jubileuszową, oglądaną przez szyby szaf bibliotecznych, ale przedewszystkiem najlepszą drogą, po której zbliżyć się można ku dostojnym kręgom myśli wielkiego Twórcy. *Dr. M. Szyjkowski.*

Z piśmiennictw obcych.

Die Oratori von Johann Adolf Hasse von *Lucian Kamieński.* Leipzig. Druk und Verlag von Breitkopf und Härtel. 1912.

Porównywującemu tegoroczną wystawę obrazów w monachijskim *Glaspalast* z wystawami lat ostatnich podpada zupełny prawie brak obrazów pierwotnej secesyi, czyli, jak je na ostatku zwano, obrazów „impresyonistycznych czy też futurystycznych“ w których napróżno szukałeś rysunku, dopiero patrzącemu w oddaleniu z masy nalanych farb wyłoniła się i to nie zawsze myśl artysty, czyli treść obrazu, natomiast wszystkie prawie obrazy odznaczają się nadzwyczajną akuratnością rysunku, tak w głównych figurach i przedmiotach, jak w najdrobniejszych szczegółach, zdawało ci się, że chodzisz po „Stanzach“ Rafaela, lub, że masz przed sobą „Giocondę“ Leonarda da Vinci.

Czem rysunek w malarstwie, tem jest melodja w muzyce. Jak bez rysunku nie ma obrazu, tak „bez melodyi nie można wyobrazić

sobie muzyki, mawiał Ryszard Wagner, bo muzyka i melodya są nierozdzielne".

Niestety, w ostatnich czasach kompozytorzy muzyczni, chcąc osiągnąć nowe wrażenie, traktują melodyę po macoszemu, natomiast tworzą najważniejsze, nawet najwytrawniejszemu uchu nieprzystępne harmonie, wynajdują sarrusofony i tonitruony celem osiągnięcia jaskrawych kolorytetów, szukają jednem słowem jakiegoś wyrazu, jakiegoś wrażenia, którego muzyka nigdy mieć, nigdy osiągnąć nie może. To też odzywają się głosy nawoływujące do wykonywania utworów klasycznych, tworzą się rozmaite „Bach-Handel i Mozart-Vereiny", nie dla powstrzymania rozwoju w nowej muzyce, nie w celu reakcyi, ale raczej dla tego, by sprowadzić usiłowania modernistów na właściwe, duchowi muzyki odpowiedniejsze tory. Towarzystwa te cieszą się poparciem dzisiejszych koryfeuszów wiedzy muzycznej: Riemana, Kretzschmara, Sandbergera, Leichtentritta, Scheringa i innych. Wydobyte przez tych ostatnich z pyłu zapomnienia utwory mistrzów z epoki klasycznego *bel canto* wchodzą w programy koncertowe tychże towarzystw, kształcą smak młodych muzyków i zapalają ich do głębszego zrozumienia przyczyn niewiędnącej świeżości w owej starej muzyce.

Jednym z najdzielniejszych wychowawców szkoły berlińskiej jest autor niniejszego dzieła o oratoryach Janą Adolfa Hassego. Dr. Lucyan Kamieński. Cel pracy uwidocznił z przytoczonych na początku książki słów z 3 oddziału I księgi O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa: „Wielki to nierozum, iż zaniedbawszy rzeczy pożyteczne i potrzebne, uganiamy się zatem, co jest ciekawe a niebezpieczne. Co nas obchodzić mają szkolne rozprawy o rodzajach i gatunkach prawdy". Autor żąda, by przewaga melodyi w muzyce czyniła tę ostatnią przystępną owym milionom ludzi, którzy w niej szukają „swej niedzieli, swej pociechy i rozrywki". Dzisiejsza muzyka, dla braku melodyi, popularną być nie może. Poprostu zamało w niej „muzyki".

Mówią dzisiaj niektórzy estetycy, że jedynie sama muzyka instrumentalna zdolna wyrazić najwznioślejsze uczucia i myśli natchnionego kompozytora. Zapominają oni, że żaden instrument nie dorówna głosowi ludzkiemu, że głos ten najlepiej wyraża choćby i najdelikatniejsze uczucia i najwznioślejsze myśli — że nawet Beethoven w swej dziewiątej symfonii, czując, że instrumenta nie wystarczą na wyrażenie dokładne myśli najwyższem podyktowanych natchnieniem,

użył jeszcze głosów ludzkich w imponujących siłą chórach. Jakżeż mało kompozytorów pisze dzisiaj „śpiewnie"! Dla czego? Brak im wzorów, z którychby tajemnice śpiewności poznali. Obowiązkiem historyków muzycznych jest wskazanie epoki, w której kwitnął ów dzisiaj zapomniany, coraz bardziej sponiewierany *bel canto*. Epoki tej szukać należy w wieku ośmnastym, w wieku wielkich mistrzów neapolitańskich. Jednym z nich był Jan Adolf Hasse, kapelmistrz nadworny w Dreźnie. Liczne jego dzieła muzyczne, zwłaszcza jego oratorya, pełne są najcudniejszych aryi solowych, pełne ślicznych chórów i śpiewnych recytatywów. Tyle w nich świeżości, tyle przytem dramatycznego nastroju, tyle artyzmu, że warto je światu pokazać, warto kompozytorom wzór podać.

We wstępie do swej rozprawy tłomaczy autor, dla czego wziął się do niej, jakie jej przyczyny, jaki cel. Pierwszy rozdział książki, pod tyt. „Znaczenie Hassego jako kompozytora oratoryów", daje nam pogląd na sądy, jakim w biegu czasów, Hasse podlegał. W drugim rodziale rozbiera autor jedno oratoryum po drugiem, w trzecim zaś daje ogólny pogląd na wszystkie jedenaście oratoryów Hassego. Za najlepsze z nich uważa oratoryum „*I Pellegrini al Sepolcro di Nostro Redentore*".

W Oratoryach Hassego przeważa „subjektywny śpiew solowy" w aryach i recytatywach — chóry przystępują zwykle dopiero na końcu dzieła lub na końcu jednej z jego części. Charakter dramatyczny oratorya wskutek tego wyrobu rozwinięty. Towarzyszenie ma przeważnie układ trzygłosowy, używanie instrumentów jest nader dyskretne, Hasse umiał zachować miarę w utworach swoich, przezco, jak rzadko który mistrz przed nim i po nim, mistrzowstwo swoje okazał. Na położonym przez niego fundamencie budowali Jomelli, Naumann i Hayden w drugiej połowie ośmnastego wieku.

Cel swej mozolnej, gruntownej, wielką miłość do twórcy oratoryów powyższych zdradzającej pracy osiąga autor w czwartym i ostatnim rozdziale książki, w którym podaje praktyczne wskazówki tym, którzyby chcieli zająć się wykonaniem oratoryów Hassego i torować niemi kantilenie drogę do nowej muzyki.

Według Kamieńskiego styl niniejszej muzyki sprzeciwia się stylowi Hassego. U tego ostatniego nigdy instrumenta nie przegłaszają śpiewu solowego, czasem śpiew ten dyktuje nawet prawa stylistyczne muzyce instrumentalnej samej w sobie (bez śpiewu). Dzisiaj zaś muzyka instrumentalna ujarzmia śpiew solowy i narzuca mu zasady

instrumentalne. U Hassego kantilena płynie swobodnie, rozwija się odpowiednio do swej natury, osiąga doskonale ideał piękna, błyszczy cudnym kolorytem — podczas gdy dzisiaj jęczy ona pod ciężarem sztucznych harmonii, jak wątła zbiedzona roślinka. Przywrócenie śpiewów dawnych jego barw i przywilejów w muzyce jest naszym obowiązkiem. W końcu podaje autor wyborne wskazówki wydawcom dzieł Hassego, tak co do umieszczenia ozdób w śpiewie, jak co do dynamiki i podłożenia tekstu pod melodyę.

Dr. Kamieński żąda, by w uczelniach muzycznych dzieła Hassego pilnie rozbierano i przedstawiano młodzieży za wzór pięknej, ludowi nawet zrozumiałej muzyki.

Tyle p. Kamieński włożył pracy w swe dzieło, tyle poświęcił jej zapału, opartego na głębokiej wszechstronnej erudycyi, że wątpić chyba nie można, iż zamierzony cel osiągnie, iż nie trudził się na próżno. *Ks. Dr. Surzyński.*

Lebens- und Gewissensfragen der Gegenwart von *Albert Maria Weiss* O. Pr. 2 Bde. Freiburg 1911. Herder (Kor. 9·60).

Habent sua fata libelli — słowa te można z całą słusznością zastósować do dzieła O. Weissa, bo pod niejednym względem przechodziło wprost fatalne koleje. Kiedy w r. 1911 ukazało się na pułkach księgarskich, panowało w Niemczech pomiędzy katolikami niesłychane wzburzenie umysłów: dwa obozy stały wrogo przeciw sobie; głośne były ich hasła: czy centrum parlamentarne ma być partyą otwarcie katolicką, czy tylko polityczną; czy katolickim robotnikom wolno należeć do stowarzyszeń zawodowych chrześcijańskich czy nie i t. d. Wiadomo, że odgłosy tej walki dochodziły aż do Rzymu. Otóż w ten wir wzburzony wpadła książka *Lebens- und Gewissensfragen* O. Weissa jak bomba — pękła, narobiła wiele wrzawy — a dziś jest prawie zapomnianą. Dzieło na to nie zasłużyło, tem mniej czcigodny autor; *habent sua fata libelli*...

Już sposób, w jaki powstało to 2 tomowe dzieło, obejmujące prawie 1150 stron, było pewne fatum. Znany kwartalnik teologiczny w Lincu oddawna — może jakieś 25 lat — zamieszczał wstępne artykuły ks. Weissa; były to bardzo szeroko i głęboko pojęte referaty z ruchu umysłowego i religijnego w Kościele. Okazyę do tych opracowań dawały to książka jakiegoś słynniejszego autora, to jakiś proces albo zdarzenie senzacyjne, słowem wszystko, co uważał za

typowy objaw szkodliwych prądów w społeczeństwie. O Weiss lubi się uważać za „strażnika na wieży", który pilnem okiem śledzi niebezpieczeństwa grożące Kościołowi, a przedewszystkiem czystości wiary, by zawczasu uderzyć w dzwon na trwogę.

Z tych to drobniejszych prac z okresu ćwierćwiekowego ułożył autor niniejsze 2 tomy, dodając do nich niektóre artykuły nowe. Gdyby sędziwy autor był nam ofiarował coś w rodzaju *Gesammelte Schriften und Aufsätze*, z wielką wdzięcznością byłby świat katolicki przyjął ten dar; bo bez wątpienia należy on do najzdolniejszych i najindywidualniejszych pisarzy katolickich. We wszystkich jego pracach tyle głębokich i nowych poglądów, tyle szerokiej wiedzy i przytem tyle gorącej miłości Kościoła św., że trudno więcej w jednej osobie razem znaleźć. Ale niestety tego nie uczynił. O. Weiss ugrupował te feljetony bez względu na chronologię i połączył w 9 większych rozdziałów. Tak n. p. w tomie I. str. 192—263 ułożył 5 prac z lat 1905, 1909, 1897, 1910 w jeden rozdział pod tytułem „niebezpieczeństwo dla religii". W tej właśnie metodzie tkwi pierwszy zarodek jego fatum; bo taka mozaika nie mogła żadną miarą być pod względem myślowym równa i jednolita. O. Weiss przed 25 laty był przecież inny od Weissa przy schyłku życia; inne oświetlenie miała myśl wypowiedziana w roku 1897, a inny oddźwięk musiała znaleźć w roku 1911.

Do tego przyłączyła się i druga gorsza okoliczność, mianowicie to, że autor nadał temu zbiorowi znaczenie programu partyjnego, już samym tytułem książki: *Lebens- und Gewissensfragen der Gegenwart*; miała ona być jakby rachunkiem sumienia czy też monitorem katolików; a O. Weiss, to nie natura łagodna, owszem powiedziałbym, że ma coś z natury Jeremiasza, który surowo powstaje w obronie czystości wiary i nie zna żadnego kompromisu z duchem czasu; raczej ponuro się patrzy na świat i jego dzieje. Liczne dzieła tego krytyka pilnie bywały czytane, ale ogólnie uchodził za pesymistę, który wszędzie upatrywał jakąś *religiöse Gefahr*. Cóż dziwnego, że odrazu rozchwytano w Niemczech tę książkę. *Lebens- und Gewissensfragen* badano i znaleziono w niej — o zgrozo! — kilka zdań mniej szczęśliwych o centrum, o dziennikach, i t. d. — zdań, które już kilka lat przedtem były wygłoszone i przeszły bez wrażenia, ale obecnie znalazły nastrój umysłów i wywołały burzę i rozgoryczenie przeciw O. Weissowi. Hasło padło: „Dzieło trzeba *totschweigen* i *ignorieren*; i tak się stało. To prawdziwe fatum...

Dziś można już bezstronniej o niem sądzić. *Lebens- und Gewissensfragen* jest dziełem pomimo swoich usterek znakomitem. Rozprawy w niem umieszczone są niezmiernie aktualne: przytoczymy kilka tematów: „Duch sceptyczny naszych czasów", „Nieszczęsna formułka o wspólnym chrześcijańskim gruncie", „Religia sekularyzmu" „Żądza liberalizmu", „Przewrotne stosowanie zasady naukowości", „Dogmaty zapomniane i zapoznane", „Powrót do Chrystusa" itd., itd.

Nikt jeszcze nie napisał o moderniźmie tyle trafnych uwag, tyle ciekawych, czasem i obszernych rozpraw, co O. Weiss. Nie pisze on oczywiście wyczerpującego i systematycznego traktatu o moderniźmie — to raczej możnaby powiedzieć o dawniejszem jego dziele: *Die religiöse Gefahr* — także nie kreśli historyi życia religijnego obecnych czasów, bo za wiele mówi o cieniach, a mało o jasnych jego stronach.

Podziwiać trzeba niesłychane oczytanie autora; nie jest mu obca żadna literatura, nie pomija żadnej poważniejszej pracy; przytem znać w nim tęgiego profesora teologa, doskonałego apologetę — i zręcznego, choć nie łatwego stylistę.

Lebens- und Gewissensfragen zastępują wielką bibliotekę; kapłan, który pragnie się krytycznie poinformować o modernistycznych prądach w Kościele — niech czyta Weissa; ale niech pamięta, że na początku bardzo trudno iść za myślą autora; im dalej się w niego wczyta, tem chętniej się do niego przywiąże, dopóki nie dobiegnie do końcowego cyklu prześlicznego: Z powrotem do Chrystusa — do Prawdy — do Życia — do Zbawiciela. *O. R.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Chrystus. *Kosiński Kazimierz*. 8°, s. 31. Kraków 1912. Nakład autora.
Tomasz á Kempis, poemat. *Tenże*. 8°, s. 52. Kraków 1913. Nakład autora.

Są pewne tematy w sztuce, do których przystępować potrzeba nietylko z najlepszą intencyą, ale i z poczuciem miary artystycznej oraz zdolnością wydobywania tonów bardzo delikatnych i subtelnych. Posągi Michała Anioła posiadają i potężny rozmach dłuta i boską harmonię kształtów; głossa św. Teresy jest z dna duszy wyrwanym okrzykiem tęsknoty za ideałem i wczucie się w delikatne Jego zarysy.

Pan Kosiński obraca się w sferze tematów najwznioślejszych, chce być „Bożym psalmistą" — ale zasób jego środków artystycznych, jakimi rozporządza, jest zbyt szczupły i do wysokich celów, które sobie założył, nie daje mu dorość. Pieśń o Tomaszu

z Kempis jest na ogół i w formie i w treści lepsza, aniżeli wcześniejszy utwór o Chrystusie. Rym zwłaszcza w pierwszej części, płynie gładko, zjawiająca się postać Chrystusa posiada więcej posągowe kształty i gest bardziej hieratyczny.

Natomiast medytacye Chrystusa w ogrodzie Getsemańskim, poprzedzające mękę Krzyża — osnowa poematu o Chrystusie — nie mogą zadowolnić ani formalnie, ani rzeczowo. Skombinowana parafraza wiersza Telmajera („Smutna jest dusza moja"), Karpińskiego („Kiedy ranne wstają zorze") i hymnu ambrozyańskiego, jest pomysłem barokowym, przybranym w rymy ubogie i kulawą rytmikę. A już żadną miarą zgodzić się nie można na sposób ujęcia Boskiej postaci Chrystusa. Sarkazm (Ha! ha! oni że mnie Boga zrobią), wyrażenia brutalne, głęboki, beznadziejny pesymizm — są własnością pana Kosińskiego, wyczytaną w literaturze, którą uprawia modny „*mal du siècle*". Takich tonów w usta Syna Bożego wkładać nie wolno.

Jako próbkę pomysłu i stylu przytaczamy kilka następujących wierszy.

„...o ojców moich Boże,
Miast więc nakładać na braci obroże,
Wyduś ich, żaraz, na żer śmierci
[śmignij!
Ma umrzeć, ma jęczeć brać,
To ją corychlej strać,
Albo ją z łez wydźwignij!
Ma kłamać, ma przeklinać,
To czemu śmierci nie zaczynać?
Chwyć, Boże, sierp
I nie ścierp
Mych braci,
Niechaj ich własny Bóg wytraci!!"

Oto jak w przedstawieniu p. Kosińskiego modlił się Chrystus w ogrodzie Getsemańskim!

M. Sz.

Trudy życia. Tragedya w 10 odsłonach. *Zubczewski Julian.* Zakopane 1912, 8°, str. 151. Nakład autora.

Historya, jakich wiele. Suplent gimnazyalny, obarczony rodziną, nie może zdobyć się na zdanie egzaminu. Nie tyle przeszkadzają temu obowiązki ojca dwojga dzieci — ile poczucie wyższości wewnętrznej. Kazimierz Orlicz jest — jak sam twierdzi — „koniem rasowym". Ta „rasowość" skłania go do porzucenia rodziny i rozpoczęcia misyi apostoła nowych idei, którego ciało łamie się w walce z „trudami życia", sprowadzając w rezultacie smutną śmierć na łożu szpitalnem.

Sam pomysł, w zasadzie szczęśliwy, zawiódł w wykonaniu. Akcya, rozbita na 10 odsłon, toczy się leniwo, obciążona zbyt silnie balastem rezonerskim. Osoby działające są — nie wyjmując głównego bohatera — z papieru, nie z krwi i kości; mówią przytem nieszczęśliwie dobranym, krótkim wierszem 8-mio zgłoskowym, który przy dłuższej lekturze, działa denerwująco, jak monotonny a uporczywy brzęk muchy.

M. Sz.

Książę Józef Poniatowski, obrońca honoru Polaków. *Michalina Mossoczowa.* Kraków, 1913. Nakładem Komitetu ku czci Ks. Józefa Poniatowskiego. Skład główny w „Straży Polskiej".

Niewielka broszura (36 stron) o cenie bardzo nizkiej, ozdobiona portretem Ks. Józefa, jest spłaceniem długu pamięci bohatera: jej zadaniem iść do warstw najszerszych — i mówić serdecznie o życiu i czynach księcia Poniatowskiego, rzuconych na krwawe tło dziejów upadającej i odradzającej się w męstwie legionów, Polski. Ostatnią elekcyę, konstytucyę 3-go maja, rozbiory, legiony i czasy Księstwa Warszawskiego umiała autorka przed-

stawić trafnie i żywo, a postać księcia Józefa występuje w całej wielkości jako „rycerz bez skazy“ i „obrońca honoru Polaków“.

Książeczka nadaje się do szerszego rozpowszechnienia.

Sekcyi wydawniczej Komitetu ku czci Księcia Józefa Poniatowskiego należy się gorące podziękowanie za staranne wydanie i przystępną cenę broszurki, co jej pozwala dotrzeć do wszystkich domów i serc polskich.

Cena egzemplarza wynosi 20 halerzy, a przy zakupywaniu większej ilości (dla szkół, komitetów prowincyonalnych) zaledwie 10 halerzy.

Ostatnie dni świata. Fantazya powieściowa. *S. Bielskij.* Wilno, 1910. Stron 117.

Rzecz dzieje się w mieście Heliopolis, tuż przed końcem świata, spowodowanym kometą, która zburzyła lub spaliła, co było na ziemi, a nadto zatruła atmosferę cyanem. Z katastrofy ocalały przypadkowo dwie kobiety i kilku mężczyzn, jeden z nich, Enrio Vittorino opowiada przebieg dni poprzedzających.

Treść niewielka ale też nie o nią chodzi. Autor podać tu chce zapatrywania swoje na niektóre teorye filozoficzne, a sąd o ich wartości przedstawia w formie skutków, do jakich zdaniem jego doprowadzić muszą. Niektóre nie bardzo się udały, nie brak też niekonsekwencyi, całość jednak dość zajmująca a niektóre myśli wcale udatne.

Trzy jednak rzeczy przedstawia autor szczególnie trafnie i dobitnie: upadek moralności dochodzi do najwyższego stopnia, czego dowodem jest to, że przedsiębiorca domów publicznych uzyskał nietylko olbrzymi majątek ale sławę i pomnik, który mu za życia już wystawiono. Druga głębsza myśl, to potęga namiętności zmysłowej, od której nie uwolnią człowieka nawet największe klęski i nieszczęścia, jak to wynika z sceny pomiędzy ocalałymi. Najlepiej zaś udała się satyra na Spencerowski „raj na ziemi“, którego zażywać mają przyszłe pokolenia na gruzach wysiłków i niedoli obecnych; czczość tej teoryi jest tu, prawdziwie z życiem i konkretnie przedstawiona. *S. P.*

Książka do nabożeństwa dla chłopców. Przerobiona z francuskiego i uzupełniona przez *L. W. S.* Warszawa, 1913. Księgarnia M. Szczepkowskiego. Str. 339.

Jedną z najważniejszych a niezmiernie trudnych rzeczy jest podanie męskiej młodzieży szkolnej dobrej książki do nabożeństwa. Zbiorek powyższy jest jedną z takich prób, która przewyższa zapewne wiele innych tem przedewszystkiem, że oprócz właściwych modlitw zawiera także szereg ustępów pouczających o różnych praktykach religijnych, jak rozmyślaniu, czytaniu duchownem, odpustach, różańcu; szkoda tylko, że niema dokładniejszego wytłumaczenia znaczenia mszy św.; jest jednak podanych kilka sposobów słuchania tejże. Całość uzupełnia przygotowanie do spowiedzi i komunii św. oraz ministrantura; pieśni jednak zawiera się tylko kilka.

S. P.

Das Beichtsiegel in seiner geschichtlichen Entwicklung. Dargestellt von *P. Bertrand Kurtscheid* O. F. M., Doktor u. Lektor der Theologie. (Freiburger theologische Studien, 7. Heft) gr. 8° (XVI + 188 str.). Freiburg & Wien 1912, Herdersche Verlagshandlung K. 4·80.

Młody uczony Franciszkanin obrał sobie za przedmiot swoich badań *historyczny rozwój sekretu spowiedzi*, czyli raczej *rozwój uświadomienia sobie obowiązku zachowania sekretu spowiedzi*.— Wstęp, obejmujący kwestyę istoty se-

kretu spowiedzi, publiczne wyznanie grzechów tajnych i publiczną pokutę za te grzechy w początkach chrześcijaństwa — następnie dwa obszerne rozdziały: Pierwszy o historyi sekretu spowiedzi aż do ukończenia dekretaliów Grzegorza IX. (r. 1234), drugi o sekrecie spowiedzi w naukowych rozprawach i dziełach teologicznych i kościelno-prawniczych, a wreszcie jeden (trzeci) krótszy rozdział o stosunku prawa świeckiego do sekretu spowiedzi — oto podział i zarys treści tego dziełka.

Pośród licznych prac z tego zakresu trzeba monografii Kurtscheida przyznać jedno z pierwszych miejsc, już dlatego samego, że zebrał i zużył tak obszerny materyał, taką ilość świadectw i rękopisów dotąd nieznanych, tyle zestawił dzieł teologicznych i kościelno-prawniczych, jak nikt inny. Życzyćby jeno sobie jeszcze można, żeby autor był cośkolwiek dokładniej omówił kwestyę spowiedzi prywatnej w pierwotnem chrześcijaństwie, wtedy bez trudności stałoby się zrozumiałem twierdzenie, skądinąd jasne i pewne, że „sekret spowiedzi był w myśli boskiego ustawodawcy". Nadto dogmatycznie poprawniej należałoby sformułować niektóre myśli, n. p. myśl zawartą w zdaniu: „Kościół zastosował się i w tym wypadku (sekretu spowiedzi) do okoliczności czasu i pojęć ludów, nie wprowadzając jednak zmiany w rzeczach zasadniczych". Tego rodzaju twierdzenie, często się czyta i słyszy, lecz łatwo można je pojąć błędnie i opacznie tłumaczyć.

B. W.

La contemplation ou principes de théologie mystique. *R. P. E. Lamballe*, Etudiste In-12 (XI + 204). Paris, 1912. Pierre Téqui, Libraire-Editeur.

Skromne to na pozór i niepokaźne z tytułu, ale w rzeczy samej nadzwyczaj cenne, mistrzowską ręką nakreślone dziełko. Złożyły się na nie przyjęte z niezwykłem uznaniem artykuły *o zasadach teologii mistycznej*, publikowane w „Ami du Clergé". Krótko i zwięźle, a przytem jasno i dokładnie omawia i roztrząsa Lamballe podstawowe zagadnienia wyższej kontemplacyi: Co mianowicie stanowi jej istotę? W jakiem znaczeniu jest łaską wyjątkową? Kto jest do niej powołany, jak się do niej przygotować, jak się w czasie modlitwy zachować należy, jak poza tem postępować trzeba? To przedmiot pierwszych trzech rozdziałów. Czwarty i ostatni zajmuje się kwestyą stopni czyli faz mistycznej kontemplacyi.

Jeżeli w dziełach A. Poulain'a i Prof. Dr. J. Zahna, traktujących o tym samym przedmiocie, imponuje nam oprócz gruntownej znajomości literatury mistycznej sumienna, naukowa krytyka w stawianiu i rozwiązywaniu odnośnych zagadnień, to dziełko Lamballa'a cechuje nadto dziwna a miła swoboda, z jaką rozwija i uzasadnia swoje twierdzenia. To też może oddać dobre usługi kierownikom dusz i tym wszystkim, co potrzebują wprowadzenia do teologi mistycznej, a to tem bardziej, że liczne cytaty z dzieł najznakomitszych mistyków ułatwiają oryentacyę w dalszej, oczywiście niezbędnej literaturze.

B. W.

Słownik polskiego i niemieckiego języka, w dwóch częściach. *Prof. Callier Oskar*. Lipsk. Otto Holtze's Nachfolger. 1913. In 16°. Opr. w jednym tomie 4·25 M.

Dość znaczną już liczbę podręcznych słowników polsko-niemieckich powiększył znowu słownik Callierowski. Jest to słownik kieszonkowy, w gustownej oprawie, o wyraźnym druku. Trudno żądać, by słownik taki wszystko za-

wierał, ale, co zawiera, to ma być dobre.

Największą zaletą słownika jest wierne oddanie zwrotów i słów; a pod tym względem słownik prof. Calliera pozostawia bardzo wiele do życzenia. Przeglądnijmy tylko n. p. słowa zaczynające się od litery „z". Czytamy tam między innemi: „zabójczo" ma znaczyć fürchterlich; „zabytek starożytniczy = Antiquität; zachorzenie = Erkrankung (arch.); zachowawca = Konserwativer; zaciszność = Einsamkeit; zaciszony = gedämpft; zadzierżawić = verpachten; zafałszować = verfälschen; zagęszczać się = sich vermehren; zaguba = Verderben (arch.); zajechać kogo = jemanden in Verlegenheit setzen; zapluć = bespeien; zawiędły = verwelkt; zaziemski = überirdisch.

A pod literą „w" czytamy znowu takie wyrazy: warzęcha = Kochlöffel; wsiowy zam. wiejski; wyboczyć = vom Wege abweichen; wyklinać znaczy też według prof. Calliera verwünschen; wianek = Kreis (w poezyi); „wykłóć" a dalej „wykłuwać" (pisownia!); wynurzenie = Ausdruck; wypiąć = zur Schau tragen; wypukły = rund, erhaben; wyrobienie = Erfahrung; wyrzutnia = Ellipse (gram.).

Albo gdzieindziej czytamy: sezon = Badesaison; ramota = Gekritzel, Schmiererei (czy tylko?); utknąć = hineinstecken; trąd = Drohne (zam. truteń); materyalista = także Droguist; ksiuk = Daumen; lecenie = Flug; indeks = Zeiger, Zeigefinger i Verzeichnis verbotener Bücher; miałki talerz = flecher Teller: małopolanik = Kleinpole; Arabeske = arabask; Mensch = człowiek; dziewka; nierządnica i t. d.

Słownik prof. Calliera różni się od poprzednich także tem, że ma większą ilość zwrotów. Ale jakich? Nie wszystkie szczęśliwe. Piekło zabrukowane dobrymi chęciami oddaje prof. Callier przez: der Geist ist willig, aber das Fleisch ist schwach; zadać komu kłamstwo (zam. kłam); w takie powietrze = bei solchem Wetter; wlepiać przed siebie oczy = hinstarren; wylepiać oczy = Augen aufreissen; nie chcieć palca wścibić; wynosić ramię od cięcia = ausholen; wyszczerzać oczy = Augen aufreissen.

Co tu niewłaściwości! Dodajmy jeszcze do tego brak znaków akcentowych, które przydałyby się zwłaszcza w drugiej części słownika, dalej dodajmy jeszcze brak form gramatycznych przy rzeczownikach (gen.) i czasownikach mocnych, brak wymowy przy wyrazach obcych. Prof. Callier pisze w przedmowie: „opracowaliśmy słownik, któryby odpowiadał dzisiejszemu poziomowi naukowemu"; tymczasem potrzeba tylko przeglądnąć jego słownik — by przekonać się raczej o tem, że słownik ten co do swej wewnętrznej wartości nie jest wcale lepszym od poprzednich, chyba tylko pod względem zewnętrznej strony przewyższa słowniki dawniejsze. *Ch.*

Summarium Theologiae moralis Scripsit Sac. *Nicolaus Sebastiani* S. Theol. et Utr. Iur. Doctor. Augustae Taurinorum Ex offic. Eg. Petri Marietti via Legnano 23. 1913. in 8°. 4 franc.

Wobec znacznej ilości rozmaitych wydań i podręczników teologii moralnej, ten podręcznik odznacza się tem, że jest krótki, zwięzły a przytem jasny. Zajmuje tom jeden o 400 stronach druku, w co wlicza się także sam indeks. Zresztą i autorowi właśnie o te zalety chodziło. Nie chciał pisać traktatów, ale uczniom dać zwięzłe repetitorium całego materyału. W tym celu nie wahał się nawet wprost niektórych ustępów dosłownie z innych dzieł przedrukować, kiedy uważał, że je cechuje jasna treściwość wykładu. Przyznaje się do tego wyraźnie w przed-

mowie, w której niesłusznie uderza w tony jakieś zbyt melancholijne puszczając w świat swą pracę z obawą, czy nie stanie się „cichą pastwą bezczynnych moli". Tineas pasces taciturnus inertes. *L. K.*

Kwiaty rodzinne. Wybór poezyi polskiej ułożony przez *Narcyzę Żmichowską*. Wyd. IV. przejrzane i dopełnione przez Or-Ota. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa etc. 1912. Str. V+491.

Literatura nasza posiada już kilka antologii „Skarbców" poezyi polskiej. Niektóre z nich nawet doczekały się kilku wydań. „Kwiaty rodzinne" układu Żmichowskiej wychodzą obecnie w IV. wydaniu. Tosamo, że pojawiają się w prasie po raz czwarty, świadczy o ich wewnętrznej wartości i zapotrzebowaniu podobnej strawy w społeczeństwie naszem. Wartość „Kwiatów rodzinnych" i ilościowo i jakościowo przedstawia się wcale dodatnio. Spotykamy się w niniejszym zbiorze ze starszą poétycką Polską ro- i poromantyczną, tudzież z „Młodą" choć nie najmłodszą. Wyższość „Kwiatów rodz." nad innemi tego rodzaju wydawnictwami spoczywa w metodzie, jakiej się trzymała Żmichowska w układzie utworów. Poezye są rozmieszczone ideowo, treściowo. Uwzględniono tu chwile twórczości, raczej tworzenia u naszych poetów i różne „chwile", usposobienia naszych czytelników. Jedna jeszcze uwaga. Pragnęlibyśmy w piątem wydaniu ujrzeć pewną zmianę w szczegółach układu. Tak np. „Smutno mi Boże" J. Słowackiego lub „Szkoda" Asnyka, zdaniem naszem nie mają danych by je zaliczać do kategeryi poezyi „Zniechęcenia". *Sg.*

Psalterium Davidis cum brevi succincta paraphrasi ex Bellarmini commentario deprompta. Taurini, typographia P. Marietti. Stron 734. Cena 3 liry.

Wydanie powyższe całego psałterza jest bardzo na czasie, z powodu zmiany brewiarza, i wprowadzenia mniej znanych psalmów do częstrzego odmawiania. Najlepszym komentarzem do zrozumienia psalmów jest wprawdzie 5-ciotomowe dzieło opata Woltera p. t. *Psallite sapienter*, jednak ten komentarz jest dla wielu za obszerny, a dla swej ceny mniej dostępny. Dlatego wielce polecenia godnem jest powyższe dzieło Kardynała Bellarmini, które mimo swej gruntowności ma charakter więcej podręczny. Na początku każdego psalmu podaje krótką jego treść, poczem wiersz po wierszu zwięźle objaśnia uwzględniając nietylko literalne znaczenie poszczególnych wierszy ale i mistyczne. *S. B.*

Martyrologium Romanum in 8°. Editio VI-a Tauriniensis Typographia Pontificia Petri Marietti. Rok wydania 1911. Cena 3 liry

Wobec tego, że dotąd znanem było jedno tylko wydanie martyrologium in folio, w cenie 14 lirów, postarała się firma ksiąg liturgicznych Marietti'ego w Turynie o zgrabne i tanie wydanie tegoż martyrologium. Zbyteczne nadmieniać, że wszystkie najnowsze dodatki o nowo beatyfikowanych zostały w powyższem wydaniu wszędzie na właściwych miejscach uwzględnione. *S. B.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Setna rocznica urodzin Kaysiewicza

Kraków urządził niedawno dwie poważne uroczystości, jedną na cześć X. Hieronima Kaysiewicza, drugą na cześć księcia Józefa Poniatowskiego. Obydwie wypadły podniośle, choć uwydatniła się między niemi różnica.

Uroczystości ku czci ks. Kaysiewicza skoncentrowały się w nabożeństwie żałobnem za niego oraz w uroczystej akademii. Mszę św. w kościele Maryackim odprawił Książe Biskup Sapieha wobec licznie zgromadzonej publiczności, poczem na mownicę wstąpił w pontyfikalnych szatach ks. Biskup Pelczar i wygłosił mowę, w której dał treściwy obraz życia i charakteru działalności tego kapłana-patryoty. Z obrazem Kaysiewicza złączył dostojny mowca postać ks. Semeneńki, która w rzeczywistości łączy się z jego historyą — podobne przechodziła ewolucye duchowe, a potem stała się druhem i towarzyszem w jego działalności i współzałożycielem i bratem w nowoutworzonej Kongregacyi zakonnej. A jak ich obydwóch w swej mowie połączył ks. Biskup, tak i popołudniowa akademia zajęła się nimi obydwoma i obydwom poświęciła osobne wykłady. Przed wyborową publicznością przemawiał ks. Biskup Teodorowicz i ks. prof. Gabryl, wprowadzając swych słuchaczy w świątynie myśli ks. Semeneńki, — jeden, o ile one prowadzą do prawdy, drugi, o ile wskazują drogę do Boga. Działalnością i znaczeniem

ks. Kaysiewicza zajęli się i podnieśli je, jak należało, prof. Bystrzycki oraz Stan. hr. Tarnowski (w referacie odczytanym przez szambelana Lubeckiego). Ten ostatni zwłaszcza dał wspaniały i plastyczny obraz jego działalności, która na tle opłakanego położenia narodu, miotającego się w podrygach beznadziejnych wysiłków rewolucyjnych, odbija się jakąś olbrzymią wielkością proroczych wysiłków, by stłumić paroksyzmy ginącej ojczyzny, przywieść do przytomności i rozniecić w niej ogień na nowe życie. — Drugi Skarga, na którym się kształci i którego duchem się przejmuje. Tylko Skarga stawał przed narodem, aby go, staczającego się w przepaść, wstrzymać, Kaysiewicz znajduje go już w przepaści i z niej stara się go dźwignąć i wydobyć. Sposób, w jaki to czyni, jest taki jak u Skargi: „Bogiem, pełnieniem jego przykazań, zjednoczeniem w Jego Kościele." Niestety i skutek nawoływań Kaysiewicza był podobny jak u Skargi: „Nie był słuchany". Nie oznacza to, że Kaysiewicz nie wywarł wpływu na społeczeństwo polskie, — owszem, ten wpływ jest i działa dotychczas — a że działa, że ma sympatyę i znajduje zrozumienie i uznanie, tego dowodem jest choćby uroczystość, urządzona ku jego czci. Prawda, że jeszcze ten wpływ nie jest taki, jakim być powinien, jakim chcielibyśmy go już widzieć. Słusznie mógł żalić się hr. Tarnowski, że nawet „najoświeceńsi, najwykształceńsi, znający wszystkie literatury świata, co więcej, Polacy najlepsi i katolicy naprawdę z uczucia i przekonania, słuchają o Kaysiewiczu jak o jakimś odkryciu", — jednak spodziewać się należy, że z czasem i Kaysiewicza nie będzie potrzeba odkrywać, że myśl jego będzie lepiej oceniona i trud jego życia, poparty pracą zgromadzenia, które założył, wskrzesi iskrę zmartwychwstania, do którego prowadził.

Również i ks. Semeneńko za mało jest znany i za mało ceniony w stosunku do rzeczywistej swej wysokiej wartości mistyka i duchownego mistrza. To też prawdziwa wdzięczność należy się ks. Biskupowi Teodorowiczowi, że z takiem ciepłem i tak wymownie podniósł i zaakcentował to jego znaczenie.

Zbytniem byłoby dodawać, że w świetle tych dwóch postaci zajaśniał właściwym sobie blaskiem i rodzimy, z ducha narodu poczęty Zakon, który dziś z chwalebną dumą patrzeć może na uznanie w społeczeństwie swych wielkich założycieli.

Sprawa szkolna w Belgii.

Z upadkiem gabinetu Schollaerta w r. 1911, upadł też jego projekt szkolny. Jednakowoż kwestya szkolna nie została przez to pogrzebana. Nowy gabinet podjął ją na nowo, choć nie zaraz, bo wolał poczekać aż do nowych wyborów, żeby z nich dowiedzieć się o opinii publicznej w kraju. Wybory odbyły się w r. 1912. Opinia publiczna, do której apelowała opozycya liberalna i socyalistyczna, wypowiedziała się, a wypowiedziała dla projektu szkolnego zasadniczo przychylnie, wysyłając do parlamentu jego zwolenników w znacznie zwiększonej liczbie. Wobec takiego składu w parlamencie, rząd podniósł na nowo sprawę, która zapewne zostanie rozwiązana po myśli rządu, przez przyjęcie jego przedłożenia.

Projekt rządowy dotyczy właściwie tylko szkół ludowych. Belgia posiadała ich dwa typy. Były szkoły rządowe, przez rząd wyposażone i utrzymywane i te w zasadzie są neutralne i bezwyznaniowe. Obok nich popowstawały szkoły z inicyatywy prywatnej, przeważnie katolickiej i rozmnożyły się tak dalece, że liczba dzieci, pobierających w nich naukę, nie o wiele jest mniejszą od ich liczby ze szkół rządowych (w szkołach rządowych było 511.000, w szkołach prywatnych 419.000). Jednakowoż te szkoły prywatne zmuszone są stać o własnych siłach i utrzymywać się z własnych funduszów, bo rząd, jeżeli da im jakąś zapomogę, to tylko w drodze łaski i nie taką, żeby wystarczyła na ich utrzymanie. Była w tem systemie bez wątpienia wygoda dla rządu, który nie potrzebując się troszczyć o szkoły i nauczycieli, korzystał z ich usług w wysokim stopniu, bo były liczne i prowadzone dobrze — ale była też niesprawiedliwość pewna, bo rodzice, posyłający dzieci do nich, podwójnie obciążeni byli kosztami szkolnymi, płacąc podatek na szkoły rządowe i składając opłatę szkołom prywatnym za naukę swych dzieci. Ciężar ten spadał przedewszystkiem na katolików belgijskich, którzy

szkoły prywatne utrzymywali. To też oni odczuwali krzywdę, a odczuwali tem bardziej, że z ich podatku korzystały szkoły rządowe, szkoły dla nich niesympatyczne, bo choć w poszczególnych wypadkach mogły być i były znakomite, zwłaszcza gdzie nauczyciel był katolikiem, w zasadzie jednak, jako bezwyznaniowe, zawsze przedstawiają niebezpieczeństwo dla uczuć religijnych dzieci. Dlatego też podnieśli słuszne żądanie, żeby rząd, który pobiera od nich podatek na szkoły, był obowiązanym subwencyonować stale szkoły prywatne, do których uczęszczają ich dzieci. Rząd okazał dobrą wolę, uznał słuszność tych żądań i wystąpił z projektem subwencyonowania szkół prywatnych, o ile one przystaną na program rządowy i będą miały personal urzędowo uznany.

Projekt rządowy wychodzi z zasady, że rodzice powinni posiadać zupełną wolność i swobodę pokierowania dziećmi według swego przekonania i sumienia, i że rząd nie ma prawa narzucać im takich a nie innych szkół, nieraz wbrew ich przekonaniom. Zasada ta, zawsze słuszna w samej sobie, nabiera w dzisiejszych czasach tem większej doniosłości, że rządy okazują tendencyę do ignorowania jej i narzucają poddanym szkoły z pewną tendencyą, zmuszając dzieci do uczęszczania tylko do nich. Rząd belgijski, katolicki, stanął na stanowisku zupełnej wolności dla rodziców, a jeżeli stosując się do życzeń partyi liberalnej i socyalistycznej, zdecydował się zaprowadzić przymus szkolny dla wszystkich, to zarazem uważał za swój obowiązek zagwarantować rodzicom przynajmniej wybór szkoły i dając subwencye na utrzymanie szkół prywatnych, umożliwić nawet niezamożnym rodzicom posyłanie do nich swych dzieci. — Nie można nakładać na rodziców obowiązku szkolnego — tak uzasadniał przedłożenie minister Poullet — nie zabezpieczywszy rodzicom swobody wyboru szkół; nie mieliby swobody we wyborze, gdyby wszystkie szkoły nie były przez rząd jednakowo traktowane.

Przedłożenie, stojące po stronie wolności wyboru szkół, któremu przyklasnąć musi każdy ceniący sobie wolność, powinno było znaleźć ogólne uznanie w całym parlamencie. Wszak jest zu-

pełnie ogólnikowe, uwzględnia wszystkie szkoły prywatne zarówno katolickie i niekatolickie i bezwyznaniowe, o ile tylko zechcą się zastowować do programu rządu. Jednakowoż zarówno liberali i socyaliści dalej uprawiają opozycyę — dlatego właściwie, że przyjęcie projektu wyszłoby na korzyść przeważnie katolikom, którzy prywatne szkoły potworzyli. Zasadniczych trudności wskazać oni nie mogą, a główny zarzut, na jakim przedewszystkiem się oparli, że przyjęcie projektu wpłynęłoby na upadek szkół rządowych, nie przynosi tym szkołom zaszczytu. Być to może, że podupadłyby jeszcze więcej szkoły rządowe, zwłaszcza, że i w obecnych stosunkach nawet sfery liberalne nie okazują im wiele zaufania, woląc oddawać dzieci do szkół prywatnych katolickich; w przyszłości zapewne wpływ szkół prywatnych jeszcze się wzmoże, gdy nawet biedniejsi, nie krępując się kosztami, będą mogli w nich umieszczać swe dzieci.

Żeby biadanie miało kogoś przekonać i wstrzymać posłów od uchwalenia projektu, to trudno przypuścić. Zapewnie większość parlamentu nie zechce sztucznie podtrzymywać i hodować szkół, które nie mają w sobie życiowego pierwiastka i mogą istnieć tylko przez napędzanie im uczniów przez przymus szkolny, wyzyskujący niedostatek rodziców.

Wprawdzie prasa opozycyjna usiłuje wywołać wrzenie wśród ludności — jednak bezskutecznie. Za to gazety katolickie nawołują, żeby większość bez względu na opozycyę, uchwaliła słuszne przedłożenie, co tem łatwiej jej wypadnie, że liczba posłów większości, podniosła się z 6 na 16.

Sprawa mordu rytualnego.

Sprawa zamordowania chłopca Juszczyńskiego należy właściwie do forum sądowego. Była dokonana zbrodnia, zbrodnia ohydna, nosząca na sobie wszelkie cechy premedytacyi i pastwienia się nad ofiarą — sąd powinien się nią zająć, zbrodnię wykryć, sposób jej wykonania ustalić, wnieść światło w motywy, które kierowały jej spełnieniem, a prasa, dziennikarstwo, mogło i powinno było cierpliwie śledzić, zdawać dokładne sprawozdania z procesu tej zagadkowej zbrodni —

ale z sądem o niej wstrzymać się aż do ukończenia procesu. Stało się inaczej. Proces jeszcze się nie był na dobre rozpoczął — a już wyrok wydano i to wydano w kwestyi najciemniejszej a najbardziej interesującej, od której oczekiwaliśmy, czy też nie padnie jakiś promień światła do rozwiązania i oceny innych podobnych faktów. Cała część prasy wszechświatowej, — tą olbrzymia część, która ma odwagę otwarcie przyznać się do żydostwa i która, nie mając tej odwagi, stoi jednak na usługach żydowskich, lub jest związana z interesami żydowskimi — twierdzi zgodnie i apodyktycznie, że choćby był nawet mord przez Żyda spełniony, to nie był to mord rytualny. Wszystko raczej możliwe, ale niemożliwą rzeczą nawet przypuścić, żeby to był mord, spełniony dla celów jakichś zabobonnych praktyk. Nie dość na tem, że tak się głosi — ale jeszcze każdego odsądza się niemal od czci i wiary, ktoby nawet najskromniej zechciał przeciwne swe zdanie wyjawić. Jesteśmy świadkami hałaśliwych protestów, urządzanych po całym świecie, których echa błąkają się po dziennikach; zbiera się świadectwa zaprzysiężone i niezaprzysiężone, rabinów i nierabinów, historyków, jurystów, uczonych i nieuczonych; obrabia się rozmaite partye polityczne, od najskrajniejszych konserwatystów począwszy, aż do najczerwieńszych wywrotowców, obchodzi redakcye, biblioteki, archiwa, pracownie naukowe, parlamenty; porusza się żywych i umarłych — aby wszyscy świadczyli, że mordu rytualnego ani było nigdy, ani niema obecnie — że wogóle jest on „szatańskim wymysłem", dziełem nieusprawiedliwionej nienawiści ku Żydom. Były nawet wypadki,[1] że w braku prawdziwych, ośmielono się ogłosić fałszywe oświadczenia biskupie, tak, że interesowani biskupi czuli się zniewoleni do odpowiednich sprostowań. Żydzi dopięli, czego pragnęli — poruszyli świat cały swą akcyą. Społeczeństwu katolickiemu, które chciało się przypatrywać zdaleka procesowi, narzucono kwestyę mordu rytualnego i formalnie zmuszono do zajmowania jakiegoś bardziej apriorycznego sta-

[1] Tak zrobiła gazeta Egyenlöseg odnośnie do kardynała paryskiego bp. Amette'a, kardynała Horniga bp. Ostrzyhomskiego i arbp. lyońskiego Irenée'a. Patrz Reichpost nr. 501.

nowiska, na jakiem przedtem nie stało. I rzeczywiście już widać, że opinia w społeczeństwie katolickiem się podzieliła, jedni oświadczają się za niemożliwością mordu rytualnego — inni możliwość tę akcentują.

Z kwestyą rozdwojenia i zupełnie niepotrzebnej polemiki o cudze sprawy łączy się też i bałamucenie sumień katolickich oficyalnymi dokumentami władzy kościelnej, która kwestyę mordu rytualnego miała rzekomo rozstrzygnąć na korzyść Żydów. W pogoni za świadectwami moralności dla Żydów nie wystarczyło zakołatać do drzwi biskupich — trzeba było zaopatrzyć się w dyplomy papieskie i zamigotać nimi przed oczyma wszystkich, bynajmniej z tem się nie licząc, że obniża się powagę Stolicy Apostolskiej, wciągając ją do dziennikarskich polemik. Spotyka się po dziennikach całe szeregi imion papieży, widzi się przytaczane orzeczenia papieży w obronie Żydów. Z żydowskiej inicyatywy i przykładu przedostają się one na łamy prasy katolickiej i czytaliśmy ze zdziwieniem w naszych niektórych dziennikach,[1] że w sprawie mordu rytualnego „my katolicy i Polacy nie stoimy wobec żadnej zagadki". „Dla nas — pisze warszawskie *Słowo* — kwestya rozwiązana przez najwyższe kompetencye, przez kierowników naszych sumień, przez papieży", którzy „orzekli z całą stanowczością: mordu rytualnego niema; wszczynanie procesów z tego powodu jest karygodne, kary nakładane przez najwyższych kapłanów Kościoła naszego sięgają aż ekskomuniki". Z tych i tym podobnych orzeczeń, z taką stanowczością, bez zająknienia wypowiedzianych, ogół czytelników nie może sobie zdać sprawy. Nie zawsze potrafi w nich wydzielić zacięcie pisarskie autora, który nie jest zdolny nałożyć sobie nawet najkonieczniejszego umiarkowania w rzeczy tak ważnej, jak obowiązek sumienia — ale z tych słów musi odnieść wrażenie, że stoi wobec jakiegoś artykułu wiary, że niemożliwość mordu rytualnego została już tak zdefiniowana, jak n. p. nieomylność papieska, że nawet powątpiewania wyrażać o niej nie wolno nikomu pod karą wykluczenia z Kościoła katolickiego. Jestto gwałt, terror, jakiego dopuszcza się pismo na sumieniach swych

[1] n. p. „Słowo" nr. 273. — „Gazeta Narodowa" nr. 237.

katolickich czytelników, nakładając na nich obowiązek wiary w rzeczy, które z wiarą nie mają nic wspólnego, w sprawie, w której już obecnie zupełnie nie obowiązują przepisy papieży, wydane w innych czasach i innych okolicznościach.

I tego wrażenia o jakimś obowiązku sumienia w sprawie opinii o mordzie rytualnym nie usuwają już nieco złagodzone twierdzenia w *Słowie* n. 280. Jeszcze i w tej odpowiedzi, autor przytoczywszy jednostronnie orzeczenia papieży (najprawdopodobniej ze źródeł żydowskich), kończy patetycznie: „Wobec tych wszystkich faktów, zaczerpniętych z niepodejrzanie katolickiego źródła,[1] uważaliśmy sobie za obowiązek obznajmić ogół polski i katolicki z naukami i wskazówkami najwyższego dla nas trybunału. Nie chcemy też taić, że i nadal uważać będziemy bulle papieskie dla siebie za obowiązujące". — Słowem, bałamuctwo i insynuacya nieistniejącego obowiązku trwa dalej.

Kiedy już polemika zeszła na pole cytatów, kiedy potentat żydowski, lord Rotschild w celu sprawdzenia autentyczności jednego rozporządzenia Innocentego IV, oparł się o kardynała, sekretarza stanu, by potem rozgłosić po całym świecie, że cytat jest prawdziwy a rozporządzenie autentyczne, — to zapytać wypada, co o tych cytatach sądzić.

Expert w procesie kijowskim, ks. Pranajtis, doskonały hebraista, wyraził swą wątpliwość o ich autentyczności. I rzeczywiście nie znajduje się ich w bullariach. Już dawniej podnoszone były podobne wątpliwości. Dziś autentyczność jest dostatecznie stwierdzona i, jak było do przewidzenia, potwierdził ją na mocy własnych poszukiwań kardynał sekretarz stanu. Jednakowoż ta autentyczność nie przesądza o samej sprawie mordu rytualnego; Papież Innocenty IV., spowodowany pogromami Żydów we Fuldzie, gdzie ich bez sądu i śledztwa mordowano jedynie na podstawie rozdmuchanych pogłosek o mordzie rytualnym, bierze ich w słuszną obronę przed żywiołową nienawiścią wzburzonych tłumów i, aby skutecznie podnieconą

---

[1] Patrz Archiv für Kathol. Kirchenrecht tom 49, str. 416 i nast. i t. 50 str. 49 i nast.

ludność uspokoić, rozkazuje w liście do biskupów niemieckich, żeby nikt nie zarzucał Żydom, że używają krwi ludzkiej przy obrzędach religijnych. Zakaz ten ponowił i on sam i Grzegorz X., a przytaczali go także rozmaici panujący w swych rozporządzeniach na korzyść Żydów, w nieco zmienionej formie. Oczywiście, że te rozporządzenia papieskie nie mają ogólnego znaczenia, stosują się do wypadków ówczesnych, do ówczesnej nagonki na Żydów.

Energiczny zakaz był koniecznym. Ale Innocentemu chodziło o usunięcie niegodziwego dokuczania i niesprawiedliwego ciemiężenia Żydów — *iniuste vexari... indebite molestari* — jak się wyraża w swym liście do biskupów niemieckich z r. 1247, chciał złamać niesumienną nagonkę na Żydów. Tak też wytłómaczył ów dekret Innocentego IV. znakomity prawnik padewski Panvino, którego umyślnie sprowadzono do Rzymu, do przeprowadzenia procesu w sprawie mordu rytualnego, dokonanego na św. Szymonie z Trydentu. Jak dzisiaj, tak i wtedy Żydzi w swej obronie powoływali się na ten dekret[1] Innocentego IV., który ich oczyszczał od zarzutu mordu rytualnego — ale właśnie Panvino udowodnił, że powoływanie to jest bezcelowe, bo jasną jest rzeczą, że wydający owe przywileje, chcieli tylko wykluczyć prześladowanie na podstawie oszczerstw a nie słuszną karę na podstawie udowodnionych faktów. I dlatego mimo owych rozporządzeń Innocentego IV., Grzegorza X. i innych, przytaczanych na korzyść Żydów, orzeczeń papieskich — w Kościele procesy o mord rytualny się odbywały, a odbywały się nietylko w sądach biskupich — ale w Rzymie, pod okiem papieży i przez nich umyślnie były mianowane osobne trybunały, do których zasiadali najznakomitsi prawnicy. Procesy te wypadały różnie. Były takie, że dla braku dowodów trzeba było obwinionego uwolnić, ale były też i inne, w których sędziowie

[1] „Non obstant privilegia Gregorii et Innocentii... tum, quia etiam ad litteram intellecta non sunt servanda de iure;... tum, etiam, quia sane intellecta excludunt solum fraudulentam calumniam... Patet non fuisse intentionem concedentium talia privilegia nisi excludere calumniosas vexationes". (Civilta catt. z r. 1882. ser. XI. tom X. str. 730).

po najsumienniejszym śledztwie, przychodzili do przekonania, że stoją najniewątpliwiej przed mordem rytualnym. My zwrócimy tu uwagę tylko na wspomniany wyżej proces w sprawie dziecięcia Szymona z Trydentu, który prowadzony był trzykrotnie i ostatecznie wypadł na niekorzyść Żydów. Prawda, że biskup z Ventimiglio Giudici, którego na usilne domaganie się Żydów i ich książęcych przyjaciół wysłano do Trydentu na ponowne przeprowadzenie procesu, wyrobił sobie inne zdanie i oświadczył się za niewinnością Żydów — jak to „Słowo" nie omieszkało przytoczyć — to jednak dla ścisłości historycznej trzeba dodać, że to oświadczenie biskupa Giudici'ego nie było decydujące. Trzeci proces, przeprowadzony przez najtęższych prawników już nie w Trydencie, ale w Rzymie, zdala od intryg i przekupstw żydowskich, pod okiem papieża, wobec kongregacyi złożonej z 6 kardynałów, osobno do tego procesu wydelegowanych, potwierdził wyrok pierwszego: uznał Żydów za winnych zarzuconej im zbrodni, a papież ze swej strony (w bulli do biskupa Trydentu d. 20 cz. 1478 r.) uznał cały proces za *„rite et recte factum"* i tylko polecił biskupowi z Trydentu zająć się zbadaniem cudów, które się w Trydencie dziać poczęły za przyczyną małego męczennika. — Zdaje się właściwie, że ten wyrok ostateczny, wyrok akceptowany przez papieża, powinien był przytoczyć obrońca Żydów ze „Słowa", — obrońca, który uważał za „swój obowiązek, obznajomić ogół polski i katolicki z naukami i wskazówkami najwyższego dla nas trybunału" — a nie wyciąg z referatu biskupa, który wyraża jego osobiste tylko przekonanie.

My wiemy, że i dziś wśród uczonych katolickich zdania co do mordu rytualnego są podzielone. Nie posiadamy dokumentów pisemnych z jakichś ksiąg rytualnych żydowskich, któreby nas stanowczo i bez zarzutu przekonywały o rzeczywistem istnieniu tego okropnego zwyczaju, kryjącego się, jak każda zabobonna praktyka, w mrokach tajemnicy i uchylającego się od wszelkiej publikacyi. Nawet takie procesy, jak wspomniany wyżej proces trydencki, nie są wolne od zarzutów, które stawiać może adwokacka inwencya niektórych badaczy. Jedna-

kowoż nie omieszkamy tu przytoczyć zdania, jakie sobie w tej sprawie wyrobił jeden z najuczeńszych papieży, jacy. kiedykolwiek zasiadali na stolicy Piotrowej, historyk i prawnik specyalista — Benedykt XIV., któremu chyba nie będzie mogło *Słowo* zarzucić, jak zarzucało Skardze, że „nigdy bezpośrednich badań w kwestyi mordu rytualnego nie robił".

Otóż tenże papież w bulli z dn. 22 lutego 1755 r. szczegółowo omawia sprawę kanonizacyi dzieci umęczonych za wiarę i z okazyi podniesionych próśb o kanonizacyę błog. Andrzeja z Rinn, umęczonego przez Żydów, przypomina i przytacza inne podobne fakta — między innymi tak się wyraża o św. Szymonie z Trydentu:

„W roku 1485[1] zabity był okrutnie przez Żydów z nienawiści do wiary Chrystusowej, chłopczyna, mający niespełna 3 lata. Z tej nieludzkiej zbrodni powstało tyle niepokojów i tak wielkie zamieszanie, tylu i takiemi sztukami starali się Żydzi wykręcić od zasłużonej kary i odwrócić od siebie usprawiedliwioną nienawiść chrześcijan, że Sykstus IV. czuł się zmuszonym osobiście wmięszać się w tę sprawę, zakazując oddawania publicznej czci błog. Szymonowi, którą mu już oddawać poczęto, ażby się całkiem wyświetliło, że został zamordowany przez Żydów z nienawiści do wiary... Dopiero, kiedy wszystko się wyświetliło i przytoczone dowody wykazały i śmierć samą i jej sprężyny i ustalonem zostało, że sprawcami mordu byli Żydzi, jak to widoczne z procesu, którego akta dotychczas się przechowują w tajnem archiwum w zamku św. Anioła — mówiliśmy o tem w dziele *De Canonisatione sanctorum* ks. 3. rozdz. 15 u. 6. — wydał Sykstus V. w r. 1588 *breve*, zezwalające na mszę i officium błog. Szymona w mieście i dyecezyi trydenckiej w dniu oznaczonym, oraz na odpust zupełny i t. d."[2]

Że zaś sąd swój w tej sprawie oparł nie na pobieżnem przeczytaniu jakiegoś pobożnego żywotu, ale na sumiennych badaniach, o tem świadczy nie tylko jego cała działalność autorska,

[1] Błąd drukarski, ma być 1475.

[2] Bullarium Benedicti papae XIV. Romae 1761. opud. Hieron. Mainardi tom IV. str. 102. § 5. z bulli Beatus Andreas.

nacechowana wielką skrupulatnością i wytrawnym sądem, ale i przytoczona przez niego literatura i badanie samych źródeł i te wskazówki, jakie daje w tej samej bulli jak się zabierać do badania historyi męczeństwa takich dzieci.

Nam wystarczy przytoczyć tylko te słowa papieskie, aby wykazać, że zupełnie mija się z prawdą twierdzenie, jakoby papieże zakazali nam robić przypuszczenia co do istnienia mordu rytualnego. Przypuszczali jego istnienie sami, byli o niem przekonani na podstawie bardzo sumiennych badań,[1] a jeśli bronili Żydów, to tylko jako społeczności, która nie może odpowiadać za ohydne, zabobonne praktyki, utrzymywane w tajemnicy jakiejś sekty, zakazywali tylko niesumiennej nagonki na nich.

Ks. L. Rudnicki.

Listy z Warszawy.

Bojkot żydowski. — Zdeprawowanie. — Asymilatorzy w 63 roku. — Sprawa Bejlisa i mord rytualny.

Jesteśmy tu jeszcze ciągle pod znakiem „bojkotu żydowskiego" *recte* samoobrony chrześcijańskiej. Najgłówniejsza to „kwestya" ze wszystkich, jaka nas obecnie zajmuje.

Bojkotujemy żydów, bojkotują oni nas.

My spokojnie, bez wrzawy, oni z wielkim hałasem, z typowo żydowskim „gewałtem". Wiadomo, że żydzi są najkrzykliwszą rasą na świecie, krzykliwszą od Zuluzów i Kafrów Afryki.

My z rozwagą, bez śliny na ustach, oni z nienawiścią, z pianą na grubych, zmysłowych wargach. Wiadomo, że żydzi są mściwi, nieprzejednani.

My zmierzamy powoli do naszego celu, oni miotają się jak opętani.

---

[1] Żeby uniknąć nieporozumień zaznaczamy, że choć Benedykt XIV. nie używa w bulli wzmiankowanej słowa „mord rytualny" jednak ma go na myśli mówiąc o zbrodni żydowskiej dokonanej na chłopięciu, jak się technicznie wyraża, *in odium fidei*, z nienawiści do wiary. Wspominając bowiem o motywach mordu, odwołuje się na akta procesu w tajnem archiwum, które zawierają zeznania oskarżonych świadczące, że właśnie dokonano na Szymonie mordu rytualnego. Akta te w dość znacznych wyciągach ogłosiła Civilta Cattolica w rocznikach 1881 i 1882, i opatrzyła obszernym komentarzem. Tam też ciekawych czytelników odsyłamy.

Kłamstwem walczą z nami, oszczerstwem, insynuacyą, denuncyacyą.

Co chwila czyta się w jakiemś piśmie żydowskiem, w jakiejś „żargonówce“: tam a tam spalili chłopi dom, młyn, sklep żyda, zabili, okradli, poranili żyda i t. d., o czem nikt nic nie wie. Poszturcha gdzieś ktoś żyda za to, że go wyzyskał, oszukał, zarazci drze się on na całe gardło: policya, bojkot! Nie chce kupić u niego lichego towaru wiejska gosposia — wrzeszczy: bojkot, zbrodnia!

Ale to, że żargonówki wzywają codziennie żydów do bojkotu chrześcijan, że piętnują drukiem każdego żyda, który zabłądzi wypadkiem do sklepu chrześcijańskiego, że denuncyują skwapliwie przed obliczem Judy każdą elegantkę żydowską, która nie znalazłszy tego, co jej potrzeba do udekorowania wdzięków, musi zajść do Bogumiła Hersego lub tym podobnego majstra od gałkanków niewieścich — o tem się naturalnie mówić nie powinno. Bo co mnie, członkowi „narodu wybranego“ wolno, tego tobie, „goju“, nie wolno. Tobie wolno tylko bogacić żyda, żeby ciebie, gdy skapcaniejesz do cna, mógł wziąć na łańcuch i pomiatać tobą, jak szmatem.

Ogromnie się żydzi dziwią i gniewają, że goje nareszcie przewidzieli, zmądrzeli, że sprzykrzyło im się sypać mamonę do kabz „wybrańców“.

Ogromnieby chcieli, żebyśmy tak urządzili jaki „pogromik“. Bo wtedy musiałyby się wmięszać władze i bojkot *verfal*.

A tu jak na złość nie myślą goje o pogromach — siedzą cicho, omijają nawet w swoich pismach wszelakie jaskrawe frazesy, uczą tylko, że trzeba bronić swojego handlu, swojego przemysłu, swojej ziemi i jak, jakiemi środkami tej samoobrony dokonać... Chytre goje!...

Ażeby ich szlak!... Bartoszewicz, Choiński, Dmowski, Górski, Grabowski, Kłopotowski, Ladzewicz, Świętochowski i otoczenie ich... Żeby ich wszystkich kołki dławiły od świtu do nocy, tych „gałganów antysemitów“!... Tak nam, żydkom, zaczynało już być dobrze na ziemiach polskich, tak mocnymi się już czuliśmy na ziemiach tych najsłabszych dziś w Europie gojów, iż nań „uczeni“ i dziennikarze mówili głośno o Judeo-Polonii, o Syonie w Królestwie i w Galicyi. A te łajdaki psują nam robotę... *Haste gewidziałt* takie arogancye, takie wstecznictwy, takie zacofaństwy. Co uni sobie miszlą te Polaki, te zacofane chrześcijany? Czy to uni nie wiedzą, co w nasze czasy oświecane to rządzi humanizm? A co to znaczy

humanizm po naszemu? To, jak wszystkie chrześcijany pozwolą się pokornie, bez oporu schrupać żydkom i pójdą z radościem do nich na służbę jako szabesgoje.

Mało, że nas żydzi oczerniają w kraju w swoich żargonówkach. Całą Europę poruszyli za pomocą swojej prasy. Mają przecież dosyć tych środków do urabiania opinii, więcej od nas chrześcijan. Oni poznali się pierwsi na znaczeniu, na potędze prasy peryodycznej, na jej powolnem, systematycznem stałem oddziaływaniu na umysły ludzkie. I nie szczędzili grosza na prasę i zarzucili całą Europę swoją bibułą, służącą tylko ich celom, czego przeciętny czytelnik nie widzi, nie rozumie.

Za pomocą setek, tysięcy gazet i gazetek żydowskich zniesławili nas żydzi po wszym świecie, jako wstecznikow, barbarzyńców, godnych pogardy.

Mniejsza z tem. Potrzebniejszy nam własny chleb na naszej własnej ziemi, aniżeli pochwała Europy. Europa nie da nam chleba, gdy go nam zabraknie. Zamiast się zlitować nad nami, powię słusznie: durnie jesteście, niedołęgi; kto nie umie się sam bronić, niech przepadnie! Odwoływać się do humanitarnych uczuć dzisiejszej Europy — do Europy kapitalistycznej, byłoby dziecinną naiwnością. W chwili kiedy narody i ludzie stali się dla siebie nawzajem wilkami, są wszelakie doktryny humanistyczne tylko czczą grą słów, tylko dźwięcznym frazesem.

Źle to jest, ale jest tak. Kto się dziś nie umie albo nie chce bronić o własnej sile, ten musi zginąć. Oglądanie się na cudzą pomoc równa się niedołęstwu.

Zły przykład idzie z góry. Gdyby tak Nicolo Macchiavelli mógł powstać z grobu i przypatrzeć się temu, co się dzieje w polityce, w dyplomacyi, uśmiechnąłby się niewątpliwie z zadowoleniem. Łotrem, gorszycielem, zbrodniarzem mnie nazywaliście i nazywacie dotąd, a ja mówiłem w mowie „Księcia“ nie o tem, co i jak być powinno, lecz tylko o tem, co jest, na co patrzyłem własnemi oczyma, jako florencki polityk, minister spraw zagranicznych i ambasador, wysyłany do różnych państw. Opluwaliście i opluwacie mnie dotąd zatrutą śliną obłudników, faryzeuszów, a nie zmieniliście się w niczem, wy tam na górze, wy mocarze. Przez lat czterysta, jakie was dzielą odemnie, mieliście chyba dosyć czasu złagodnieć, wyszlachetnieć, nauczyć się „ludzkich uczuć“, humanitarnych, o których od czasu Renesansu mówią tyle wasi poeci, filozofowie i społecznicy, któ-

rymi się wy posługujecie w swoich manifestach i orędziach. A jakże wyglądają wasze czyny? Siła przed prawem — waszą całą mądrością, brutalny, bezwzględny egoizm — waszym jedynym drogowskazem.

No, pokłońcie mi się teraz, faryzeusze polityczni, wielcy i mali, mocarze i karyerowicze, zamianujcie mnie teraz swoim ołtarzem, swoim mistrzem, albowiem wyprzedziłem was o lat czterysta, ja, mądry Włoch, wychowaniec humanizmu i Renesansu, już i wówczas mądry, doświadczony znawca człowieka, kiedyście wy, barbarzyńcy zachodniej i wschodniej Europy, byli jeszcze okropnie głupcy.

Tak mógłby monologować Macchiavelli, gdyby się mógł przypatrzyć choćby tylko wojnie bałkańskiej i szopce dyplomatycznej w Londynie, zwanej konferencyą ambasadorów.

I to samo mógłby powtórzyć pierwszy kupiec żydowski, który stworzył t. zw. czysty kapitalizm, czyli walkę o pieniądz *per fas et nefas*.

Patrząc na dzisiejsze stosunki ekonomiczne Europy i Ameryki, mógłby, podrapawszy się z przyjemnością po pejsach, urągać naszej „kulturze". Przez całe wieki średnie i później aż do połowy XVIII w. nazywaliście mnie, wy, głupie goje, szachrajem, wyzyskiwaczem, lichwiarzem, tandeciarzem, sługą Mamona. Wasze niemądre ustawodawstwo nałożyło kaganiec na handel, zabraniając konkurować jawnie z konkurentem, reklamować się na jego niekorzyść, podbijać lub obniżać cenę i zabraniając fabrykować tandetę, fałszować towar spożywczy i inny. Głupi gojski architekt budował domy, mosty na setki lat, głupi gojski fabrykant wytwarzał jedwabie, płótna, sukna i t. d., które trwają dotąd, głupi gojski kupiec starał się być po waszemu uczciwym z obawy przed karą boską. Nie rozumieliście wy, tępe głowy, że główną tajemnicą handlu jest ciągły a szybki obrót pieniądza, bez względu na to, co fabrykant albo kupiec daje za ten pieniądz, towar dobry czy zły, prawdziwy czy fałszywy, trwały czy obliczony na prędkie zużycie. Wytykaliście mnie palcami, brzydząc się mojem szachrajstwem, a wy, co teraz robicie? Wasze fabryki wytwarzają tandetę, fałszują wszelakie artykuły spożywcze, iż nie wiadomo w miastach, co się właściwie je i pije; wasz handel konkuruje bez żadnego względu z każdym, kto mu w drodze staje, wyzyskuje każdą sposobność, aby ceny podwyższyć, kłamiąc bezczelnie w prasie, w której zachwala, roztrębując wszelaki lichy towar; wasza arystokracya zbratała się z financierą, szuka żon i synowych w licznej gromadzie żydowskich bankierów, zbogaconych

przez różnorodne szachrajstwa. Pieniądz, którym się niby brzydziliście, jest dziś waszym „ideałem", waszym celem jedynym — pieniądz, dawca rozkoszy zmysłowych.

Drapie się z radością żyd po pejsach, rozglądając się dokoła. Jego „ideał" zwyciężył, jego „etyka" pokonała „głupią, wsteczniczą moralność gojską" — jego tryumf nadszedł. Wiwat, gwiazda Salomona i Talmud!

Więc nadszedł czas, aby miał swój własny kraj, swoje własne państwo, gdzieby mógł rządzić. A gdzieżby i indziej, jeżeli nie na gruntach polskich? Miękkie były zawsze Polaki, nieudolne w walce o byt i pieniądz, a w warunkach obecnych zgoła niezdolne do skutecznej obrony. Jeszcze lat pięćdziesiąt a skapcanieją do reszty. W Galicyi już ledwie dyszą...

Tak raduje się żyd polski.

Nie od rewolucyi z r. 1905 myśli on o swoim „Syonie" w Polsce, jak się powszechnie mniema. Myślał on o tem już wtedy, kiedy „głupi Polak" marzył o asymilacyi.

J. I. Kraszewski, ocierający się przez kilka lat w Warszawie jako redaktor *Gazety Codziennej*, organu Leopolda Kronenberga (od r. 1859—1863), z warszawską financierą znał chyba dobrze, bo z osobistej obserwacyi, tendencye żydowskie. W powieści swojej p. t. *Żyd* (1866 r.), malując stosunek oświeconych, bogatych, „zasymilowanych" żydów do nas w epoce przedpowstaniowej (1863 r.), wkłada w ich usta następujące wyznanie: „w powietrzu czuć proch, ale dla nas to nic złego... Naturalnie ofiary będą, ale trzeba się będzie umiejętnie wyślizgiwać, aby nas koła tej wielkiej machiny, druzgoczącej wszystko, nie pochwyciły. Ostatecznie jednak to dla nas wygrana, ktokolwiek z nich wygra. Albo jeden albo drugi da nam po skończonej awanturze równouprawnienie. Choćby potrzeba było z naszej strony jakichś ofiar pieniężnych, my się zawsze najmniej zrujnujemy, ocalejemy majątkowo, bo nasze kapitały, ukryte dobrze, są mniej dostępne od mienia szlacheckiego, od ziemi, widocznej dla każdego. Byliśmy długo w pogardzie i poniewierce, korzystajmy z dobrych okazyi. Zamiast bawić się w patryotyzm, asymilacyę i t. p. mrzonki, myślmy przedewszystkiem o sobie. Chłop polski nie lubi nas, wiemy o tem, ale chłop polski jest głupi — nie boimy się go. O szlachtę nam głównie idzie. Wmiesza się ona przez sam punkt honoru w awanturę, pójdzie do lasu na krwawe pola, za co ją rząd

ukarze — zniszczy, wytępi, wydusi, wywłaszczy. A wówczas dla nas droga otwarta".

Tak myśleli, spekulowali „zasymilowani" żydzi warszawscy w chwili, kiedy im naród polski podawał szczerze rękę do wspólnego, zgodnego pożycia.

A jakaż to „droga" była dla nich otwarta na wypadek klęski Polaków?

— „W każdym narodzie — rezonowali — musi się wyrobić ponad czasy jakaś inteligencya i rodzaj arystokracyi... my jesteśmy materyałem gotowym... zawładniemy krajem. Panujemy już przez giełdy i przez wielką część prasy nad połową Europy. Ale naszem właściwem Królestwem, naszą stolicą, naszem Jeruzalem będzie Polska. My będziemy Jej inteligencyą, Jej arystokracyą, my rządzić tu będziemy. Kraj ten należy do nas, jest nasz"...

Oto!

Więc nie „litwacy", jak się mniema, skomponowali sobie Juda-Polonię, lecz już „zasymilowani" żydzi warszawscy z r. 1860.

Że też tego nasi nie widzieli, nie rozumieli, że pozwolili się otumanić kłamliwej frazeologii asymilatorów! Rzeczą niesłychaną, żeby cały naród mógł tak oślepnąć, pozwolić się wywieść w pole, łudzić się przez lat kilkadziesiąt ku swojej wielkiej szkodzie. Teraz trzeba tę szkodę odrabiać, co nie należy wcale do zadań łatwych. Żydowskie pieniądze i żydowskie pisma wytworzyły mnóstwo zaprzańców, szabesgojów, fagasów żydowskich we wszystkich sferach, nie pomijając najwyższych (książąt, hrabiów i t. d.). A takie położenie utrudnia bardzo robotę odżydzania kraju.

* * *

W rejwach samoobrony na dwie ręce, chrześcijańskiej i żydowskiej, wpadł proces kijowski na tle mordu rytualnego. Zajmuje on żywo Warszawę, jak inaczej być nie może. Wielkie miasta lubią wszelakie „senzacye", a proces na tle mordu rytualnego należy niewątpliwie do rodzaju „niezwykłych dreszczów".

Zdawało się, że potworny upiór t. zw. mordu rytualnego zstąpił raz na zawsze w mroki przeszłości po ostatnim głośnym procesie w Damaszku (w r. 1840), w którym zasiadał na ławie oskarżonych. Zdawało się, że obrzydła mu nareszcie smutna rola straszenia chrześcijan i żydów.

A oto „straszy" znów w Kijowie (sprawa Bejlisa).

Legenda o mordzie rytualnym wije się czarną nicią po przez

długi szereg wieków, od jutrzenki chrześcijaństwa począwszy, aż do chwili obecnej. Wrosła się ona tak mocno w pamięć czy wyobraźnię ludu, iż każda baba wiejska „wie o tem. że żydzi potrzebują krwi chrześcijańskiej do swoich maców".

Z osobistości historycznej potrącił już biskup lugduński Agobard († 840 r.), mąż świątobliwy, niezwykłej odwagi, a jako pisarz, wysoce utalentowany, o mord rytualny w swoich dziełach: *De insolentia Judaeorum* i *De Judaicis superstitionibus.*

Cały szereg „mordów rytualnych" począwszy od r. 425 wylicza kardynał Cezary Baronius (ur. 1538 † 1607), spowiednik papieża Klemensa VIII, bibliotekarz watykański, twórca słynnych „Roczników kościelnych" (*Annales Ecclesiastici*), czerpiąc daty i nazwiska ofiar ze źródeł archiwalnych Watykanu. Dzieło jego poprowadzili dalej, jak wiadomo, Bollandyści.

Wszystko jednak, co dawniejsi uczeni chrześcijańscy pisali o „mordzie rytualnym", nie miało wartości naukowej, było bowiem tylko nagą wzmianką o jakimś usłyszanym gdzieś od kogoś fakcie. Żaden z nich nie umiał wytłumaczyć celu tej dziwnej zbrodni, jeżeli ona w istocie istnieje, a nie umiał sobie zdać sprawy z jej przyczyny poprostu dlatego, że nie znał, znać nie mógł tajemnic ghetta, nie dopuszczony do nich. Wiadomo, jak starannie ukrywali żydzi swoje misterya przed czujnem okiem innowierców.

Nie chrześcijanie komentowali t. zw. mord rytualny, lecz sami żydzi — ich odszczepieńcy. Jak Talmud denuncyowali do władz chrześcijańskich, kościelnych i świeckich, żydzi wychrzczeni, zanim się humanizm niemiecki zabrał do ksiąg Judy, tak przysłużyli się swoim byłym współwyznawcom neofici straszliwie, okrutnie, zdradzając tajemnicę mordu rytualnego. Jeśli kłamali świadomie i rozmyślnie — spada odpowiedzialność za krwawe nieraz skutki tegoż „odkrycia" na ich czarne sumienie.

Wezwany w r. 1475 przez podestę miasta Trydentu, Jana de Salis, jako rzeczoznawcę w sprawie zamordowania przez żydów 2½ dziecka chrześcijańskiego, Szymona, od lat sześciu wychrzczony żyd, Jan Feltro, „złożywszy przysięgę, oświadczył, co następuje: w jakim celu potrzebują żydzi krwi chrześcijańskiej, nie wiem, wiem tylko od mojego ojca, że jego znajomi zabili temu lat 40 w Lanzhut w Niemczech, dziecko chrześcijańskie; wiem także, że mój ojciec wlewał podczas świąt paschy do wina i do ciasta, z którego pieczono macę, trochę krwi, utoczonej z zamordowanego chłopczyka; ojciec

mój popryskiwał przed rozpoczęciem biesiady świątecznej stół winem, zmieszanem z krwią chrześcijańską, przeklinając przy tej ceremonii „gojów".

To samo mniejwięcej opowiadał włoski wychrzta Paolo Medici, były rabin.

I nasz Jakób Frank, twórca „pan" frankistów, wychrzciwszy się, oskarżał żydów przed władzami polskiemi o mord rytualny.

Najgorzej przysłużył się żydom wychrzczony rabin Moldavo (ur. w r. 1765). Przyjąwszy wiarę chrześcijańską w 30-tym roku życia, napisał Moldavo (w r. 1803) w języku mołdawskim broszurę p. t. *Koniec religii hebrajskiej*, przetłumaczoną na język grecki i arabski i wcieloną do dzieła znanego francuskiego oryentalisty, Achilesa Laurent p. t. *Relation historique des affaires de Lyrie depuis* 1840—1842.

Zdaniem byłego rabina Moldava znają „misteryum krwi" tylko rabini, nauczyciele, uczeni i faryzeusze, czyli najprawowierniejsi z pomiędzy chasydów. Reszta nie wie nic o znaczeniu tej tajemnicy.

Według Moldava posługują się uczeni i najprawowierniejsi z pomiędzy chasydów krwią chrześcijańską z trzech przyczyn. Jedni dopuszczają się mordu rytualnego z nienawiści do chrześcijan, inni (magowie) posługują się krwią chrześcijańską jako środkiem leczniczym, trzeci wkońcu (kabaliści, mistycy) ze strachu przed karą boską. Są bowiem rabini, którzy nie wiedzą na pewno, czy Chrystus był lub nie był obiecanym przez Jehowę mesyaszem. Jeśli był mesyaszem, trzeba Go przebłagać, złączyć się z Nim przez spożytą Krew Jego wyznawców. Krew ochrzczonego dziecka chrześcijańskiego, zmieszana z żydowską, ma zastąpić chrzest.

Tylko jakiś kabalista, jakiś szczególnego rodzaju mistyk mógł się zdobyć na taki pomysł, jeśli Moldavo mówił prawdę.

Według Moldava, strzegą uczeni żydowscy tak troskliwie „tajemnicy krwi", iż ominęli ją rozmyślnie w swoich pismach. Istnieje ona tylko w tradycyi, przechodzi z ust do ust z ojca na syna i to tylko w rodzinach wybitniejszych. Jemu powierzył ojciec tę tajemnicę dopiero w piętnastym roku życia i to pod groźbą strasznej zemsty, gdyby ją zdradził. On jednak, zmieniwszy wiarę z przekonania, uważał sobie za obowiązek, jak zapewnia, ostrzedz swoich nowych współwyznawców przed nieludzką tajemnicą żydów.

Z pomiędzy pisarzów pochodzenia aryjskiego zajął się mordem rytualnym szczegółowo uczony niemiecki, dr. August Rohling, profesor starożytności hebrajskich w uniwersytecie pragskim. W dziełku

swojem p. t. *Meine Antworten an die Rabiner* (1883 r. Praga), twierdzi on stanowczo, że mord rytualny istnieje, że nie jest legendą, lecz faktem. Powołując się na świadectwa: Jana z Feltro, Paola Medici, Moldava i Baroniusa, oparł swoją argumentacyę głównie na aktach sądowych dwóch procesów na tle mordu rytualnego (w Trydencie i Damaszku), znajdujących się w archiwach watykańskich, o czem Bollandyści pisząc o tych zbrodniach, nie wiedzieli.

Wszystko, co mówili oskarżeni na sądzie w Trydencie i Damaszku, zgadza się zupełnie z rewelacyami wychrzczonych rabinów. Szczegóły zbrodni zgadzają się z sobą w obydwu procesach, chociaż dzieli je przestrzeń czasu bardzo znaczna, bo aż 400 lat. W Trydencie, gdzie trzymano sześciu o zabójstwo chłopca Szymona posądzonych żydów, pomiędzy którymi znajdował się jeden lekarz, w osobnych, ściśle strzeżonych celach (aby się nie mogli nawzajem porozumiewać) zeznawali jeden po drugim, wzywani przed podestę, prawie dosłownie to samo.

Rzecz szczególna, że to, co mówili oskarżeni o formie, o „technice" zabójstwa, zgadza się z opinią kijowskiego dra Sikorskiego, wezwanego na rzeczoznawcę w sprawie Bejlisa.

Z pomiędzy naszych uczonych zajmował się mordem rytualnym współczesny hebraista, ks. Pranajtis. I on wierzy w mord rytualny, opierając się nietylko na rewelacyach wychrzczonych rabinów żydowskich, lecz także na książce mistycznej „Zohar". Nawet tajemnicę techniki mordu rytualnego znalazł w tej księdze, co zaznaczył w swojej opinii eksperta.

Miał i ma dotąd mord rytualny swoich oskarżycieli, miał i ma dotąd swoich obrońców.

Nie wierzyli w mord rytualny: biskup fuldajski Kopp, arcybiskup Erlau na Węgrzech, zakonnik O. Bonawentura i kilku pisarzów protestanckich. Legendę o mordzie rytualnym zwalczał z wielką swadą głównie rabin paryski, Z. Vogue.

Tyle nauka o mordzie rytualnym...

Wolelibyśmy oczywiście wszyscy dla honoru ludzkości, żeby był tylko legendą, jeśli jednak istnieje, to nie może być za niego odpowiedzialnym cały naród żydowski. Tego rodzaju potwarcze pomysły mogły się wylądz tylko w głowach jakiejś grupy zacietrzewionych mistyków.

Żydzi całego świata podnieśli oczywiście z powodu procesu kijowskiego ogromną wrzawę, jak zwykle, gdy goje biorą którego z nich

za kołnierz. I o „honor“ Dreyfussa upomniał się cały Juda. Aż siedmiuset rabinów europejskich wysłało protest do Kijowa; cała prasa żydowska krzyczy: gewałt! w miastach europejskich zbierają żydzi podpisy.

I nasi szabesgoje uważają sobie za obowiązek bronić żydów kijowskich.

Trudzą się niepotrzebnie. Bowiem żydzi potrafią się bronić lepiej od nas; ich wory ze złotem trafią wszędzie, gdzie im to potrzebne.

Zresztą są sądy od tego, żeby dotarły do źródła, odkryły prawdę.

Teodor Jeske-Choiński.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub.

(C. d.).

L w ó w.

Instytucyi, mającej cele najszersze, miejsce naczelne należy się słusznie i zasłużenie. Takiem jest *Tow. dla popierania nauki polskiej*, dzieło prof. Balzera.

O tak wielkiej ilości członków, płacących regularnie wkładki, nie śniło się dotąd nikomu w Galicyi, gdzie dla każdego przedsięwzięcia można wzbudzić tylko zapał słomiany, chwilowy. Było ich bowiem: czynnych założycieli 195, wspierających dożywotnich 96, czynnych zwyczajnych 386, wreszcie wspierających zwyczajnych 444.

Najobfitszy dochód przyniosła w r. ub. prowadzona dalej akcya w sprawie zbierania datków na dar jubileuszowy Towarzystwa, która dała 3.199 kor. Ogólny obrót kasowy wynosił 20.110 kor., Razem zapotrzebowanie na cele naukowe wyniosło w r. ub. 8.751 kor., t. j. w porównaniu z rokiem poprzednim o 1.026 kor. większe.

Co się tyczy wydawnictw Tow. i działalności w kierunku popierania celów naukowych, mamy do zapisania przedewszystkiem postęp prac przygotowawczych do zamierzonego przez dra Ludwika Bernackiego wydawnictwa najdawniejszych zabytków piśmiennictwa dramatycznego polskiego. Całość materyału będzie zebrana mniej więcej w pierwszej połowie b. r. — Z prac, ogłoszonych drukiem, wymienić należy: dra St. Tomkowicza „Przyczynki do historyi kultury Krakowa w pierwszej połowie XVII wieku“, Wł.

Podlachy „Malowidła ścienne w cerkwiach Bukowiny", J. Grzegorzewskiego „Z sidżyllatów rumelijskich epoki wyprawy wiedeńskiej akta tureckie", prof. Bałzera „Porządek sądów i spraw prawa ormiańskiego z r. 1604", prof. dra P. Dąbkowskiego „Stanowisko cudzoziemców w prawie litewskim w drugiej połowie XV i w XVI wieku". Krytyka fachowa uznała wszystkie dzieła za nabytki pierwszorzędnego znaczenia naukowego.

Kontynuowana nadal z niezmniejszonym zapałem myśl gromadzenia zbiorów celem zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych doznawała w r. ub. wydatnego poparcia w szerokich warstwach społeczeństwa. Nowych nabytków otrzymano: w dziale czasopism bieżących 94, książek około 2.000, oraz kilkadziesiąt atlasów i map, tak że ogółem wykazuje dotąd inwentarz: w książkach 24.920 numerów, 34.158 tomów, w atlasach i mapach 201, w nutach 36, w rękopisach 24, w rycinach i sztychach 89, w medalach i monetach 243.

* * *

Polskie towarzystwo przyrodników im. Kopernika ogranicza swoją działalność tylko zakresem nauk przyrodniczych, w tym jednakże dziale, może dziś pochlubić się obfitym dorobkiem, znacznem utrwaleniem i spopularyzowaniem nauki o przyrodzie, a zarazem obfitym plonem pracy badawczej, ściśle naukowej.

Tow. to liczy już 44 lat istnienia. W ciągu ubiegłych lat wydało Tow. 37 tomów czasopisma *Kosmos*, w którem, oprócz kilkuset rozpraw badawczych i przyczynków oryginalnych, zawiera się długi szereg wiadomości sprawozdawczych i informacyjnych. Lecz ileż poza tem kryje się pracy kulturalnej w postaci posiedzeń, odczytów, popularyzacyi wiedzy żywem słowem, wycieczek, komisyi, porad i t. d. i t. d.?

Najważniejszem dziełem, dokonanem przez Tow. w r. ub., było założenie stacyi biologicznej do badania zwierząt, żyjących w wodach naszego kraju. Dzięki zabiegom zarządu, a przedewszystkiem tyle zasłużonego jubilata — profesora dra J. Nussbauma-Hilarowicza, sejm udzielił zapomogi na ten cel w wysokości 8.000 kor., a hr. Fr. Zamoyski użyczył parceli nad stawem gródeckim i zarząd miasta Gródka poczynił pewne ułatwienia przy budowie stacyi. W r. ub. zainicyowano też składki na prowadzenie rozkopów badawczych w Staruni tak, że na ten cel wpłynęły liczne datki. Również poparło

Tow. materyalnie badawcze wiercenia świdrowe dra Szafera w okolicach Krystynopola, których wyniki będą niebawem ogłoszone drukiem. — W sprawie ochrony zabytków przyrody ojczystej Tow. poczyniło u władz kroki skuteczne w celu ustawowej ochrony od zagłady cisu, rośliny prawie wytrzebionej.

Z wewnętrznej działalności Tow. należy zaznaczyć ożywioną działalność odczytową, na 12 posiedzeniach. Ogłoszone są one wszystkie w całości lub w streszczeniu w *Kosmosie* za r. ub. — Oddział krakowski odbył 9 posiedzeń naukowych. Koło matematyczno-fizyczne we Lwowie posiedzeń 12.

Wydawnictwo Tow. *Kosmos* rozchodzi się w ilości 700 egzemplarzy. Cyfra ta wskazuje na szerokie koła, interesujące się postępami wiedzy przyrodniczej w społeczeństwie naszem, jak nie mniej na to, że *Kosmos* jest dziś organem naukowym ogólnego znaczenia, gdyż rozchodzi się nie tylko w granicach czytelnictwa polskiego, ale prenumerują go najpoważniejsze liczne instytucye nie tylko Europy, ale też Ameryki. Rocznik *Kosmosu* za r. ub. jest szczuplejszy, niż lat poprzednich. Ale w porównaniu z tomem z r. 1908 jest o 10 arkuszy większy. Dowód, że nie zbywa mu na zaufaniu wśród autorów.

Liczba członków, niestety, zmalała, spadła bowiem w r. ub. z 433 na 380.

Obrót kasowy Tow. wykazuje w dochodach i wydatkach sumę kor. 10.225. Ze słów skarbnika wszelako dowiedzieliśmy się, że suma zaległych wkładek wynosi niepomiernie wysoką cyfrę, sięga bowiem powyżej 5000 koron!....

* * *

Stworzone niepożytą energią prof. dra K. Twardowskiego przy dzielnem współpracownictwie jego uczniów *Polskie Towarzystwo filozoficzne* kroczy wytrwale po wytkniętej drodze i rozwija się we wszystkich kierunkach swojej działalności znakomicie. Pomimo surowych warunków, wymaganych od osób, pragnących należeć do tego nowożytnego „*Symposionu*“, może pochlubić się: 6 członkami założycielami, 84 czynnymi i 25 wspierającymi. W r. ub. tedy mamy przyrost o 5, tak że ogólna liczba członków wynosi 115. — Główną wagę położono na posiedzania naukowe, których odbyło się w r. ub. 15. O większą rozmaitość tematów, od tej, jaką tutaj widzimy, wprost niepodobna kusić się. I tak mówili: dr. M. Borowski „O stosunku etyki do ontologii w historyi filozofii (I. od Talesa do Plotyna)“,

dr. Z. Łempicki „O filozofii Dilthey'a", J. Wł. Dawid „O spornych kwestyach z zakresu t. zw. intuicyi", E. Stamm „Characteristica geometrica Leibnitza i jej znaczenie w filozofii matematyki", S. Weinbergowa „O złudzeniach w zakresie uczuć", T. Kotarbiński „Zagadnienia istnienia przyszłości", dr. J. Reinhold „Problemy współczesnej filozofii prawa", dr. Br. Bandrowski „O psychoanalizie z punktu widzenia psychologicznego", dr. Wł. Zagórski „Kartka z filozofii japońskiej", prof. dr. Twardowski „Nauki humanistyczne a psychologia", dr. B. Bornstein „Problemat istnienia linii geometrycznych", dr. B. Biegeleisen „Pragmatyzm i matematyka", R. Nussbaumowa „Czy zdolności ludzkie się (*sic*) potęgują?" — Oprócz posiedzeń naukowych urządziło Tow. trzy publiczne odczyty dra Wł. Witwickiego p. t. „William James jako psycholog".

Organem Tow. był *Ruch filozoficzny*, miesięcznik treści przeważnie informacyjnej, stanowiący wyborne uzupełnienie warszawskiego *Przeglądu filozof.*

Z działalności naukowej wreszcie wymienić należy opracowanie bibliografii filozoficznej polskiej za r. 1911 dla Międzynarodowej bibliografii filozoficznej, wydawanej przez dra A. Rugego, oraz subwencyonowanie tego wydawnictwa kwotą stu koron.

Biblioteka Tow., znajdująca się dopiero w zawiązku, liczy 107 tomów.

Dochody wynosiły 2.894 kor. (w tem z wkładek członków 1134 kor., z wydawnictw 290 kor., subwencya min. ośw. 400 kor.). Wydatki pochłonęły 1.134 kor. (w tem dopłata do prenumeraty członków 616 kor.).

* * *

Po długich latach zmagania się z niedostatkiem finansowym, zamknęło *Towarzystwo historyczne* r. ub. bilansem o wiele korzystniejszym, niźli to bywało zazwyczaj. Wystarczy nadmienić, że rok 1911 trzeba było zamknąć obrachunkiem nad wyraz smutnym, gdyż bytowi Tow. zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Na szczęście znalazł się człowiek opatrznościowy w osobie dra Eug. Barwińskiego, który, objąwszy zastępczo funkcye skarbnika, przystąpił do kontroli dawnych ksiąg Tow., które wykazały olbrzymie, jak na nasze stosunki, zaległości wkładek. Na skutek urgensów wpłynęło do kasy o 1100 kor. więcej, aniżeli w r. 1911. Tak zwiększone dochody przy

odpowiedniej oszczędności w wydatkach pozwoliły na uregulowanie stosunków. Ponadto do poprawienia się finansów Tow. przyczyniło się przystąpienie w r. ub. 70 nowych członków oraz zorganizowanie przez dra Fr. Papéego i dra Wł. Konopczyńskiego, krakowskiego Koła *Tow. historycznego*, które, trwając na gruncie ścisłej przynależności do Tow., będzie wspierać macierz swoją naukowo i materyalnie, a nadto wytworzy ogniwo jedności między historykami krakowskimi i lwowskimi.

Rzeczą naturalną jest, że skutkiem wspomnianego kryzysu materyalnego, działalność naukowa Tow. obracała się w r. ub. w ramach znacznie zwężonych. Odczytów wygłoszono tylko trzy, a to: dr. E. Barwiński „Z podróży naukowej do Szwecyi", dr. K. Hartleb „Stosunek hetmana Tarnowskiego do „reformy kościoła" w w. XVI i jej przedstawicieli", dr. M. Schorr, „Najnowsze odkrycia do (*sic*!) dziejów Egiptu w wieku V przed Chr." — Redakcya *Kwartalnika historycznego* spoczywała w doświadczonych rękach długoletniego redaktora, dra Aleks. Semkowicza.

Członków liczyło Tow. 315, t. j. cyfrę, jakiej dotąd nigdy jeszcze nie osiągnęło. Dochody wynosiły 8.900 kor. (w tem subwencye ministerstwa oświaty 1200 kor., sejmu kraj. 1400 kor., rady m. Lwowa 400 kor., z wydawnictw 2.049 kor.). Z tego wydawnictwa pochłonęły 8.455 kor. Oby r. ub. zakończył się u Tow. okres wcale nie biblijnych „lat chudych", a nastały „tłuste!"....

Zasłużony, mimo młodych lat wieku, na polu nauk pomocniczych historyi doc. uniw. dr. Władysław Semkowicz, mógłby bez przechwałki powiedzieć, że *Towarzystwo heraldyczne*, powstałe z jego inicyatywy, żyje i rozwija się przeważnie dzięki zabiegom i pracowitości mrówczej swojego twórcy, wykazując stale z roku na roku dorobek coraz to piękniejszy. Przewaga działalności Tow. polega nie w ruchu odczytowym, lecz w wydawnictwach. I to było całkiem racyonalne wobec istnej powodzi odczytowej, jaka panuje od pewnego czasu we Lwowie, gdzie, jak wyraził się trafnie ktoś złośliwy, więcej jest prelegentów, aniżeli chętnych słuchaczów. Odczyt urządzono tylko jeden dra Semkowicza p. t. „Ród Abdanków w wiekach średnich".

Całą forsę włożono w wydawnictwa, skutkiem czego *Rocznik* III za lata 1911/12, obejmujący materyały do wywodu szlachectwa od XV—XVII wieku, ma przeszło 20 arkuszy druku. *Rocznika* IV-go za r. 1913, w którym pojawią się prace p. O. Forsta-Battaglii

„Wywód przodków Maryi Leszczyńskiej", dr. H. Polaczkówny „O szlachcie siewierskiej", a w końcu „Popis wojska polskiego z lat 1561—1564" z rękopisu Bibl. ces. w Petersburgu, ciekawy ze względu na rysunki piętn końskich typu heraldycznego.

Biuro heraldyczne dla spraw w zakresie heraldyki praktycznej nie fungowało tak, jakby tego należało sobie życzyć, ale bynajmniej nie ze swojej winy.

Zważyć zaś należy i podkreślić specyalnie, że sukcesów wydawniczych dokonano środkami śmiesznie małymi. Dochód bowiem wynosił 3.916 kor. (w tem subwencya Tow. kredytowego ziemskiego 500 kor.,) wydatki zaś tylko 1.503 kor. O wyższym dochodzie niepodobieństwem byłoby marzyć, skoro Tow. liczyło zaledwie 195 członków.... Gdzież to podziała się szlachta polska, skoro za marnych parę koron rocznej wkładki nie złakomiła się na darmowe otrzymywanie *Miesięcznika heraldycznego*, redagowanego z wzorową starannością ?!....

Towarzystwo miłośników historyi Lwowa, pod względem programowym bardzo blizkie analogicznemu stowarzyszeniu krakowskiemu, może słusznie i bez przesady pochwalić się wprost nadzwyczajnymi rezultatami, w porównaniu z takimiż w r. ub. Wydało bowiem wspaniałe „*Złotnictwo lwowskie*" dra Wł. Łozińskiego, oraz Fr. Jaworskiego „*Uniwersytet lwowski*" i „*Królowie polscy we Lwowie*". (Biblioteka lwowska nra 15—20). Wydawnictwa te pochłonęły poważną sumę, bo aż kor. 1237, na ogół wydatków 1592 kor. i to tylko (przepraszam za niedyskrecyę) dzięki wspaniałomyślnej bezinteresowności czcigodnego dra Władysława Łozińskiego, który zrzekł się przypadającego mu honoraryum na rzecz Tow. Dochody wynosiły 4570 kor. 90 hal. (w tem: wkładki członków 2.609 kor., subwencye sejmowa i rady miejsk. po 500 kor., wreszcie ze sprzedaży wydawnictw 861 kor.) O ileby kto chciał wyciągać wnioski z porównania Tow. lwowskiego z krakowskiem *Tow. miłośników*, musiałby wziąść pod rozwagę, że wszystkiego tego dokonało stowarzyszenie lwowskie, licząc jedynie tylko 290 członków. Tem wydatniej, uważamy za obowiązek publicystyczny, podkreślenie niestrudzonych filarów Tow., pp. dra Czołowskiego i Fr. Jaworskiego. Na ich bowiem barkach spoczywał cały ciężar pracy w — zobojętniałem mieszczaństwie lwowskiem.

W *Kole konserwatorów Galicyi wschodniej* przyszło w r. ub. do poważnego przesilenia, przewodniczący jego bowiem prof. dr. Wł.

Abraham, zniechęcony ciągłemi trudnościami, stawianemi przez c. k. Centralną komisyę dla zabytków historycznych, zrezygnował z godności, którą włożono na barki znanego archeologa prof. dra K. Hadaczka.

Gros czynności skierowane było ku konserwacyi zabytków, przedewszystkiem kościelnych. A zatem: p. Mokłowski zbadał mający się restaurować ołtarz w cerkwi w Sinkowie obok Horodnicy, przeznaczone na rozbiórkę cerkwie drewniane w: Humieńcu (pow. Lwów), Czernicy, Uściu i Weryni (pow. Żydaczów), Brzeźnicy obok Rozdołu i Manastyrku. Jemu też powierzono restauracyę przy pomocy subwencyi rządowej cerkwi w Kontach (pow. Złoczów). — Prof. dr. Jan Zubrzycki objaśnił swój projekt rozszerzenia kościoła w Bóbrce; z inicyatywy dra E. Barwińskiego sprzeciwiono się rozebraniu cerkwi drewnianej w Uryczu (pow. Turka) oraz takiejże cerkwi w Kudobińcach ze względu na jej wartość zabytkową. Wreszcie zajęto się konserwacyą starej cerkwi drewnianej w Baligrodzie (pow. liski) i poparto starania strony prywatnej o subwencyę na konserwacyę charakterystycznej cerkwi drewnianej w Morańcach (pow. jaworowski).

Dr. Al. Czołowski zbadał w Jaworowie położenie starego zamku na podstawie planu z fortyfikacyami z XVIII wieku, jak nie mniej skonstatował, że stan zamku w Żółkwi jest rozpaczliwy, gdyż dach grozi runięciem. Postanowiono zatem wnieść do sejmu petycyę o subwencyę na restauracyę.

Prof. dr. Hadaczek zbadał grodziszcze w Horodnicy (pow. Horodenka), któremu grozi niebezpieczeństwo, gdyż chłop-właściciel odgraża się, że zniweluje wały i zaorze je. Ponadto kontynuował wykopaliska swoje z lat poprzednich w Koszyłowcach, które odkryły szereg dalszych, niezwykle ważnych zabytków z epoki pomykeńskiej. Niektóre z nich są unikatami, n. p. figurka mężczyzny z głową bardzo starannie wymodelowaną. W Pauszówce rozkopał dwie mogiły z epoki wczesnej historycznej słowiańskiej, a we wsi Gdeszyce, grodzisko okrągłe, obwiedzione wałem i fosą z wczesnej epoki metalowej, t. j. z pierwszej połowy pierwszego tysiąclecia przed Chr.

Nakoniec postanowiono w sprawie inwentaryzacyi zabytków budownictwa drewnianego zwrócić się do Wydziału krajowego z zawiadomieniem, że *Koło konserwatorów* jest w posiadaniu materyału opisowego i fotograficznego, sporządzonego przy sposobności zawiadomień o zamierzonej restauracyi lub demolacyi kościołów i cerkwi, że nadto postanowiło sporządzić i ogłosić drukiem spis zbadanych

już i zanotowanych w literaturze naukowej zabytków budownictwa drewnianego, że wreszcie do przeprowadzenia systematycznej inwentaryzacyi potrzeba przedewszystkiem subwencyi rządowej i krajowej. Otóż to właśnie, że u nas nawet instytucya rządowa, jaką jest *Koło*, ma do walczenia z niedostatkiem finansowym, podczas gdy w innych krajach koronnych analogiczne instytucye rozporządzają do woli pieniądzmi, o tyle potrzebniejszymi u nas, ile że w Galicyi wschodniej, z powodu długoletniego jej zaniedbania pod względem konserwatorskim, jest znacznie więcej do roboty, niż gdzieindziej, gdzie ofiarność prywatna szła częstokroć na rękę pracom, zmierzającym do uchronienia pomników historycznych i zabytków sztuki od zagłady.

Niedostatek odpowiednich środków pieniężnych nie pozwolił też *Kołu* rozwinąć w r. ub. działalności wydawniczej, jakkolwiek *Koło* rozporządza zapasem materyału, zasługującego na ogłoszenie.

* * *

Przykro jest mówić o *Towarzystwie ludoznawczem*. Niechaj mnie w tej mierze wyręczy ustęp z odezwy zeszłorocznej Tow., w którym czytamy, z żalem, co prawda, następujące wyznanie, będące zarzutem, słusznym zresztą najzupełniej, rzuconym w oczy naszej społeczności pseudo-inteligentnej:

— „Czytelnicy naszego czasopisma zauważyli już to chyba od dłuższego czasu, że kwartalnik etnograficzny „*Lud*“ wychodził z ciągłem, stałem opóźnieniem. Tak 1 zeszyt za r. 1911 wyszedł w maju 1911 r., zeszyt 2—3 w styczniu 1912 r., a zeszyt 4-ty z r. 1911 dopiero z końcem sierpnia 1912 r. (podkreślenie oryginalne). Chroniczne opóźnienia są więc zbyt wielkie i częste, by przejść nad niemi do porządku dziennego, by przyczyny ich nie wyjaśnić *coram publico*, przed całem społeczeństwem polskiem.... Nie widzimy potrzeby, by ukrywać dłużej przyczynę nienormalnego toku w wydawaniu naszego pisma tem więcej, że zwracamy się zarazem do opinii publicznej z prośbą o pomoc w ciężkiem położeniu. Ubywają bowiem zastępy starych naszych protektorów, a brak zupełnie nowych; *Towarzystwo ludoznawcze* pobiera zbyt małe subwencye, a liczba prenumeratorów nie wystarczy choćby na częściowe pokrycie kosztów wydawnictwa; nie można się więc dziwić, że rocznik 1911 zdołało się wydać dopiero w sierpniu 1912 r., a rocznik 1912 będzie można wydać dopiero z początkiem r. 1913. (Dotąd nie wyszedł. *St. Z.*).

„Nie potrzeba chyba udowadniać ważności pracy naszej, dążącej

do wszechstronnego poznania, opisania i objaśnienia właściwości ludu polskiego, a nie posądzi też nas chyba nikt o jednostronne zaślepienie, gdy ośmielimy się twierdzić, że należy się nam jak najrychlejsze poparcie, ponieważ przedmiot badań etnograficznych z każdym dniem coraz bardziej zanika i trzeba wytężyć wszystkie siły, by resztki ginących dawnych strojów ludowych, zwyczajów, przesądów, podań, pieśni etc. zanotować i tak od zupełnej wyratować zagłady.

„Czasopismo etnograficzne „Lud" w pierwszej linii jest do działalności tej powołane, ale nie będzie w stanie rozpocząć akcyi pożytecznej, jak długo związane ma ręce z powodu braku środków materyalnych"....

Toć Tow., głoszącemu poznanie i ukochanie ziemi ojczystej i polskiego ludu, jedynemu stowarzyszeniu etnograficznemu na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, rzucily ciała ustawodawcze ochłapami jeno. O ileż więcej zasłużyły się inne towarzystwa (*nomina sunt odiosa*), że sejm kraj. przyznał *Tow. ludoznawczemu* zaledwie 500 koron subwencyi, a ministerstwo wyznań i oświaty aż 400 kor. O ileż kulturalniejszą była rada miejska we Lwowie, która nie pożałowała 500 koron na cele Tow?!... I za to jej czołem uderzyć!...

Nie należy zaś zapominać, że z *Tow. ludoznawczem* pozostaje w stosunkach wymiany wydawnictw tylko 80 instytucyi obcych, a wśród nich są: angielskie, francuskie, węgierskie, włoskie, japońskie i amerykańskie; że biblioteka dosięgła już liczby 4.000 tomów. A tu na pomieszczenie książnicy, jak nie mniej zbiorów etnograficznych, brak miejsca, gdyż Tow. nie rozporządza odpowiednimi funduszami. To też poinformowany poufnie o nawiązanych z reprezentacyą m. Lwowa rokowaniach w sprawie udzielenia *Tow. ludoznawczemu* bezpłatnego lokalu na pomieszczenie zbiorów muzealnych i biblioteki, nie mogę, kierując się głosem sumienia, postąpić inaczej, jak tylko pochwalić chwalebny zamiar patrycyuszów m. Lwowa i życzyć jak najrychlejszego opróżnienia arsenału, po którym ubikacye odziedziczyćby miało *Tow. ludoznawcze*. Mam wiarę silną, iż, gdyby Tow. wyzbyło się kłopotów ustawicznych z lokalem, rozwój jego byłby zapewniony.

* * *

Bez rozgłosu, ale za to z dużymi wynikami, pracowało *Towarzystwo literackie im. Mickiewicza*. Wprawdzie ruch odczytowy zamarł w niem zupełnie, ubytek ten jednakowoż został hojnie wyna-

grodzony szeregiem konferencyi, urządzanych przez Tow. z okazyi jubileuszowego obchodu Krasińskiego, które cieszyły się nadzwyczajną jak na nasze stosunki, frekwencyą słuchaczy, jak nie mniej obchodami: Kołłątajowskim i Kraszewskiego, na którym wygłosił swoje wspomnienia o autorze *Starej Baśni* umyślnie *ad hoc* zaproszony z Paryża p. Wład. Mickiewicz.

Równie pięknie rozwijała się działalność wydawnicza. I tak: *Pamiętnik literacki* pod redakcyą prof. dra W. Hahna stał się, rzec można śmiało, centralnem archiwum, gromadzącem rzetelne przyczynki w zakresie badań nad historyą literatury ojczystej. Wydawnictwo krytyczne dzieł Mickiewicza, które po jego ukończeniu będzie *monumentum aere perennius*, wystawionem przez Tow. swojemu patronowi, postępowało dalej. Wydano wreszcie trzytomową *Księgę pamiątkową Krasińskiego*, mieszczącą kilkadziesiąt rozpraw nauczycieli gimnazyalnych, za której staranne uporządkowanie winno się oddać uznanie rzetelne jej redaktorowi prof. Hahnowi, którego trudów w tej mierze nikt dotąd nie raczył ocenić miarą zasłużoną.

Finanse Tow. nie były tak świetne, jakby tego sobie życzyć należało. Wynikiem ciągłego zmagania się z widmem nieuniknionego niedoboru była konieczność zwołania walnego zgromadzenia członków, jakie odbyło się w grudniu ub. r. Uchwalono podwyższenie wkładki rocznej do 12 koron oraz redukcyę *Pamiętnika lit.* do 8 arkuszy kwartalnie. Przy tak daleko idących oszczędnościach zdołano już w r. ub. spłacić wszystkie dawniejsze zaległości i przy ogólnym dochodzie 15.336 kor. 74 hal. zamknąć rachunki saldem w wysokości 635 kor. 52 hal.

Tow. filologiczne objawiało najżywotniej działalność swoją wydawnictwem czasopisma „*Eos*“, a to dzięki prof. dr. T. Since, którego zabiegi energiczne zasługują na najwyższe uznanie. Z pomiędzy zamierzonych wydawnictw trzeba zanotować pierwszy zeszyt prac filologicznych p. t. „*Studia leopolitana*“. Nie spuszczano też z oka odczytów oraz myśli stworzenia wydań autorów klasycznych. Zawarto układ z *Tow. naucz. szkół wyższych*, tak, że wr. ub. ukazały się na półkach księgarskich dwa podręczniki szkolne z zakresu filologii klasycznej, a to „Wiązanka wierszy Owidyusza z dodatkiem wybranych elegii Tibulla i Propercyusza“ w opracowaniu prof Sinki i „Edyp w Kolonie Sofoklesa“ (wyd. dr. Jan Oko)

Koło krakowskie urządziło szereg posiedzeń naukowych, na których omawiano najnowsze publikacye filologiczne; w kole rze-

szowskiem prof. Sędzimir ocenił wiersz Grasiniosa na cześć Skargi; w kole stanisławowskiem mówił p. St. Niewolski na temat „Monologi u Sofoklesa".

Członków liczyło Tow. 229. Jestto jeszcze zawsze za mała ilość w porównaniu z liczbą nauczycieli, zajętych nauczaniem języków starożytnych w naszych gimnazyach.

(C. d. n.).

Dr. St. Zdziarski.

Konkurs Tow. Warszawskiego.

Towarzystwo Naukowe Warszawskie niniejszem ogłasza Konkurs z daru Józefa hr. Potockiego na temat następujący: **„Monografia jednego z latyfundyów na obszarze dawnej Rzeczypospolitej, powstałego nie później, jak w drugiej połowie wieku XV".**

Przedstawić na tle rozwoju latyfundyów w Europie, a zwłaszcza na najbliższym zachodzie (Branderburgia, Czechy) historyę powstania i rozwoju terytoryalnego danego latyfundyum, jego administracyę, formy użytkowania gruntów (gospodarstwo folwarczne, dzierżawy, grunty chłopskie, leśnictwo i t. p.). system rolnictwa, przemysł rolniczy, charakter i znaczenie uprawianego handlu, panujące w nim stosunki społeczne, działalność kulturalną dominium, wreszcie stanowisko ekonomiczne latyfundyum w Rzeczypospolitej.

UWAGI:

I. Monografia może posiadać charakter społeczno-polityczny, a w takim razie zadaniem jej będzie przedstawienie na tle rozwoju wielkich posiadłości udzielonych na zachodzie historyi powstania i rozwoju terytoryalnego danego latyfundyum, jego administracyi, panujących w nim stosunków społecznych, jego przemysłu rolniczego i uprawianego handlu, jego działalności kulturalnej, wreszcie wyjaśnienie ekonomicznego i politycznego stanowiska latyfundyum w Rzeczypospolitej.

2. Materyał, o ile na to pozwalają źródła, winien być opracowany statystycznie. Do monografii winny być w takim razie, dodane tablice.

3. Winna być dołączona mapa opracowanego latyfundyum.

4. Wśród złożonych prac pierwszeństwo będą miały opracowania dominium, w ziemiach ruskich położonego.

Warunki konkursu:

1. Każda z prac, ubiegających się o nagrodę konkursową, winna być napisana w języku polskim, oparta na badaniach samodzielnych i odznaczać się metodą ściśle naukową.

2. Wyłączają się z konkursu wszelkie prace charakteru kompilacyjnego, chociażby odznaczały się zaletami układu i przedstawienia.

3. Praca konkursowa winna zawierać w sobie całkowite opracowanie tematu w granicach, w zadaniu konkursowem określonych.

4. Na konkurs przyjmowane będą tylko prace, nigdzie dotąd drukiem nieogłoszone.

5. Każda z prac konkursowych zawierać winna dokładną literaturę naukową traktowanego przedmiotu zarówno polską, jak i obcą.

6. Nagroda za pracę konkursową na powyższy temat wynosi rubli dwa tysiące.

UWAGA. Towarzystwo naukowe zastrzega sobie możność podzielenia tej sumy na dwie części (rb. 1500 i 500), w razie gdyby z pomiędzy prac, nadesłanych na dane zadanie, dwie okazały się godnemi nagrody. W razie gdyby, prócz nagrodzonych, znalazły się jeszcze inne prace wyróżniające się, Towarzystwo Naukowe może je odznaczyć wzmianką zaszczytną. W razie zaś, gdyby żadnej z pracy nadesłanej nie uznano za zasługującą na nagrodę, termin konkursu zostanie odroczony na rok jeden.

7. Praca uwieńczona nagrodą pozostaje własnością jej autora.

8. Termin ostateczny do nadesłania rękopisów oznacza się na 1 września 1914 r.

9. Rękopisy prac konkursowych winny być pisane pismem czytelnem po jednej stronie każdej karty, z szerokim marginesem. W żadnem miejscu rękopisu nie powinno być ujawnione nazwisko autora. Pożądane jest nadsyłanie rękopisów pisanych na maszynie, w dwu lub trzech egzemplarzach.

10. Rękopisy należy nadsyłać bezimiennie w posyłkach poleconych pod adresem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (adres: Warszawa, Kaliksta Nr. 8) opatrzone godłem, z dołączeniem osobnej koperty opieczętowanej, opatrzonej temże godłem co rękopis i zawierającej wewnątrz nazwisko autora i dokładny jego adres.

11. Ogłoszenie nagrody na podstawie oceny Wydziału (§ 37 Ustawy Towarzystwa Naukowego Warszawskiego) nastąpi na dorocznem Zgromadzeniu Ogólnem Towarzystwa Naukowego Warsza-

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Porządek obrad kursu katechetycznego w Krakowie 1913, od 11 do 14 XI. Nakł. Komitetu. Str. 35 in 16-to.

Compendium Theologiae dogmaticae. I tom. de Christo legato divino — de ecclesia Christi — de fontibus theologis. Auctore Christiano Pesch S. J. B. Herder 1913.

P. Moritz Meschler S. J. Ein Gedenkblatt von Pfülf S. J. Herdersche Verlagshandlung Freiburg in Breisgau.

L' espropriazione forzata della terre Polacche in Prusia, discorso del deputato Adalberto Korfanty. Estratto da l'Eloquenze Antologia — Cristica — Cronaca. Anno II. fascicoli 11. 12. Societa typografica Leonardo da Vinci. Citta di Castello. 1912.

Discorso prononciato per l'inaugaratione del Circolo Italo-Polacco Federico Chopin. Angelo de Gubernatis. Circolo Polacco. Roma 1913.

L'espropriazone forzata della terre Polacche in Prusia. Giudizi Italiani. Agenzia Polacca di Stampa. Roma 1913.

Geschichte der Päpste im Zeitalter der katholischen Reformation und Restauration. (Julius III. Marcellas II. und Paul IV) von Ludwig von Pastor. Herdersche Verlagshandlung Freiburg in Breisgau.

Der Christlich sociale Staat der Jesuiten in Paraguay. Von Dr. Franz Schmidt. Staatsbürger-Bibliothek (Heft 32). Volksvereins-Verlag Gladbach 1913.

Mali molitwenik Složioga **Dr. Ivan** Košçak arhidjakon prvost. Kaptola Vrbosanskog. U Sarajevu. Tiskara i litografia Vogler i dr. 1912.

Sveto Evangjelje G. N. Isusa-Krista i Djela Apostolska. Najnoviji hrvatski prijevod s bilješkama. Prvo izdanje 55.000. Sarajevo. Naklada kaptola Vrhbosanskoga. Tiskara Vogler i dr. 1912.

Lehrbuch der Fundamentaltheologie oder Apologetik von dr. Franz Hettinger. Dritte neu bearbeitete Auflage von Dr. Simon Weber Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung 1913.

Cosmologia — auctore Josepho Donat S. J. Dr. Theol. et prof. in universitate Oenipontona. Oeniponte, Typis et sumptibus Feliciani Rauch (L. Pustet) 1913.

Weidenauer Studien. 4 Band. Wien 1911. Verlag der Buchhandlung Ambr. Opitz Nachfolger, Wien.

Thomas et Molina. Expositio systematica doctrinae D. Thomae Aquinatis de Gratia Divina Efficaci comparata cum Molinae theoria Fr. J. M. Lucacio O. P. Blasii 1912.

Josef Graf zu Stolberg-Westheim 1804—1859 von Otto Pfülf S. J. Freiburg in Breisgau. Herdersche Verlagsbuchhandlung 1913.

W sprawie żydowskiej trzy listy polemiczne, napisał Chołoniewski A. Nakł. Organizacyi jedności narodowej, Lwów 1913. Str. 91.

Studya nad wierszem i zwrotką w poezyi polskiej ludowej, Windakiewiczowa Helena. Kraków nakł. Akademii Um. (odbitka). Str. 98.

Karol Frycz, z dziedziny sztuki kościelnej. Nap. ks. Rokoszny J. Warszawa 1913. Str. 25.

Lirnik mazowiecki, (Lenartowicz T.). Nap. Biegeleisen Henr. Kraków. Nakł. Gebethner i Sp. 1913.

Na wieczornicy. Cz. I. Nap. Chrząszczewska J. i Warnkówna J. Kraków 1913. Gebethner i Sp. Str. 231.

Podręczna encyklopedya kościelna. S. tom XXXVII—XXXVIII. Warszawa 1913. Gebetner i Wolf. Str. 410.

Makbet, Szekspir W. tłóm. Paszkowski. Gebethner i W. 1913. Str. 80.

Hamlet. Szekspir W. tłóm. Paszkowski, W. Gebethner i W. 1913. Str. 119.

Romeo i Julia. Szekspir W. Gebethner i W. 1913. str. 92.

Podręcznik w sprawach opieki nad wychodźcami sezonowymi. Nap. Kościński Konst. Nakł. Tow. opieki nad wychodźcami Poznań 1913. Św. Wojciecha drukarnia. Str. 128.

Mała Nelli. Nap. Narowski ks. Ewar. Poznań 1913. druk. św. Wojciecha.

Skarga jako kapłan. Nap. ks. Gajkowski Jan. Sandomierz 1913. Str. 23.

Zarys apologetyki, wyd. II. poprawione. Nap. Pechnik ks. Al. Warszawa 1913. Druk. Łazarskiego. Str. 168.

Sto pięćdziesiąt kazań albo nauk. katechizmowych cz. III. Nap. Rzewuski ks. Bkp. Warszawa 1913. Nakł. Treptego. Str. 360.

Podręcznik statystyki Galicyi tom IX. cz. 2-ga. Pilat dr. T. Lwów. 1913. Druk. Związkowa. Str. 864.

My akademicy a Kościół. Nap. Faulbaher ks. bkp. tłóm. X. Lwów. 1913. Druk. Chęcińskiego. str. 31 in 8-vo.

Pomoc poszukującym pracy. Nap. Bek Józef. Lwów 1913, odb. „Słowa Polskiego". Str. 24. in 12-mo.

Ad astra — mozaiki po przez krainę uczuć i myśli, Paygert dr. Jan. Lwów 1913. Druk. Winiarza. Str. 95 in 8-vo.

Trzeci maj. Powieść histor. Nap. Biernacki Bol. Warszawa 1914. Nakł. Kroniki Rodzinnej. Str. 298 in 8-vo cena 1 rb.

Sprawozdanie (41-sze) związk. spół. zarobkowych i gospodarczych na poznańskie i Prusy zach. zebrał ks. Adamski St. Poznań 1913. Druk. św. Wojciecha. Str. 60, in fol.

Co demokracya dała Polsce. (Bibl. Konserwatysty nr. 2). Napisał Kosiakiewicz W. Warszawa 1913. Gebetner i W. Str. 58 in 12-no.

Książka do nabożeństwa dla chłopców. Nakł. księgarni Szczepkowskiego. Warszawa 1913. Str. 329.

L'assedio di Scutari — sette mesi di terrore. Relazione dai PP. della Comp. di Gesu dimoranti in Scutari, ai loro Superiori Benefattori ed Amici. Padova, Prosperini Soc. 1913 str. 68 in 8-vo.

Trzy struny — Arsinoe — zwiastowanie — legenda o królowej Alktesis. Nap. Płażek Feliks. Nakł. Gubrynowicza i Sp. Lwów 1914. Str. 92 in 8-vo.

Ruch skautowy.

I.

Wojna boersko-angielska przyniosła dwa skutki: Anglii dała nowe prowincye południowo-afrykańskie a światu całemu skauting. Dziś po trzynastu latach jest już dość widoczne nawet i z angielskiego punktu widzenia, że ten drugi skutek ma nad pierwszym nieskończenie wyższą doniosłość.

Jeden z jenerałów angielskich, Baden-Powell, mając za mało ludzi do obrony oblężonego Mafekingu, zużytkował odpowiednio przygotowanych przez siebie chłopców — ochotników do wywiadowczej służby wojskowej, do zwiadów, do przesyłania rozkazów i do urządzenia miejscowej poczty. Przedsięwzięcie wydało pomyślne skutki, a zarazem było zawiązkiem nowej idei. W ośm lat później, po powrocie do Anglii jenerał wystąpił z podręcznikiem, podającym plan zrzeszania młodzieży w celach wychowawczych nietylko żołnierskich ale i społeczno-obywatelskich. Oto geneza skautingu.

Dalszy rozwój dzieła przeszedł oczekiwania. Podręcznik był przeznaczony przedewszystkiem dla istniejących organizacyj szkolnych; niezależnie od tych organizacyj młodzież angielska tworzyć poczęła samodzielne grupy na własną rękę. W rok po zjawieniu się podręcznika, w pierwszym zlocie skautów, w Sydenham pod Londynem, wzięło udział przeszło trzydzieści tysięcy chłopców. Po rewii odczytał przed frontem jenerał Baden-Powell orędzie królewskie, w którem Edward VII wypowiedział między innemi następujące słowa: „poczucie pa-

tryotycznej odpowiedzialności i błogiej w skutki karności, którą dziś poznaliście jako dzieci, pozwoli wam, skoro dorośniecie, spełniać wasz obowiązek względem ojczyzny". Dziś, w lat pięć od powstania skautingu, Anglia liczy przeszło 300 tysięcy skautów, za Anglią poszła Francya, Niemcy, Belgia, Austrya, Ameryka nie mówiąc już o polskich skautach, tak, że dziś mamy do czynienia z instytucyą wszechświatowego znaczenia.

Nie wchodząc jeszcze w ocenę szczegółowych znamion skautingu, można już w tem miejscu wskazać pewne ogólniejsze idee, które niewątpliwie w podstawie tego ruchu tkwią i na pomyślny jego rozwój rozstrzygająco wpływają. Pierwszą taką ideą jest to, że skauting wnosi w atmosferę dnia dzisiejszego wiosenny powiew nowego okresu i jako taki jednoczy się z tymi ruchami, które, reagując na niedokrewność i niedomagania obecnej doby, tworzyć poczynają nowego ducha czasu i nowy świat. Nie trzeba chyba zbyt długo rozwodzić się nad tem, że okres, który przeżywamy, nie należy do idealnych. Poziomy materyalizm zabrał szerokim warstwom wiarę i wszystkie szlachetniejsze porywy, a otaczające warunki ekonomiczne, społeczne, polityczne są tak przeciętnie pozbawione jakiejkolwiek poważniejszej myśli, że człowiekowi dzisiejszemu niełatwo podnieść czoło od ziemi. Temu porządkowi rzeczy wypowiedziała najpierw służbę najwrażliwsza ze zbiorowych przejawów życia ludzkiego literatura, odwracając się od społeczeństwa i jego bieżących spraw, a zwracając się przesadnie ku oderwanej duszy ludzkiej. W zakresie myśli bankrutowały jeden po drugim kierunki agnostyczne i ustąpiły dzisiaj miejsca znowu błędnym, ale w każdym razie o wiele żywotniejszym systemom pragmatyzmu, intuicyi i spirytualizmu. Zwrot ku duszy ludzkiej, czyn, intuicya, twórczość, spirytualizm, rozwijający się coraz silniej ruch religijny, to węgły nowej zupełnie budowy. Cóż dziwnego, że i typ ludzki przystosowywać się poczyna do otaczających go nowych ścian! Więcej zdrowia moralnego i fizycznego i bliższego zetknięcia z przyrodą, więcej wyrobienia woli i charakteru niż intelektu, więcej wynalazczości i twórczości niż badawczej analizy, więcej czynu niż teoryi. Przestaje być ideałem apody-

ktycznym typ uczonego, a jego miejsce coraz bardziej zajmuje ideał rycerski. Tysiączne związki i stowarzyszenia gimnastyczne, sportowe, organizacye o celach żołniersko-rycerskich pokryły sieciami swemi świat cały, który konsekwentnie coraz bliższym stawać się zaczyna jednemu ze stuleci średniowiecznych aniżeli dziewiętnastemu stuleciu. Jasnem jest przeto, że i skauting, jednoczący w sobie te wszystkie wysiłki nowego typu, znalazł odpowiednie dla rozwoju swego warunki.

Z innych idei wystarczy zaznaczyć jeszcze jedną. Ktoś nazwał wiek obecny wiekiem dziecka. Pomijając pewne przesady w obecnych kierunkach pedagogicznych i przesadne dytyramby na cześć tych kierunków, nie można zaprzeczyć, że rozwój pedagogii i związanych z nią środków święci obecnie niebywałe tryumfy. Umiejętnie zaobserwowane rysy psychologii dziecięcej i młodzieńczej, ujęte następnie w system i zastosowane w praktyce, muszą przynosić obfite plony. Otóż skauting z tego względu ma zasługę doniosłego odkrycia. Wszystko, co jest najsilniejszą przyrodzoną sprężyną chłopięcej duszy, a więc żądza przygód, pragnienie nadzwyczajnych zdarzeń, wartka energia, junacki rozpęd, kult żołnierstwa, miłość przyrody — wszystko to wchodzi w skauting. W tem zasługa i sztuka, że te przyrodzone sprężyny, które w dotychczasowej pedagogii albo częściowo, albo nawet całkowicie były przeoczane i nie brane w rachubę,[1] skutkiem czego albo marniały, albo napinały się w złym kierunku, dziś umiejętnie pokierowane, idą w służbę tak doniosłych spraw jak wyrabianie charakteru i obywatelskich cnót i przymiotów. Jeżeli jeszcze dodamy, że dzisiejsze wychowanie, skazujące młodzież na długie przesiadywanie w natłoczonych izbach szkolnych i na wielogodzinne ślęczenie wieczorami nad książką, wymaga niezbędnie jakiejś fizycznej przeciwwagi, otrzymamy dość liczny szereg przyczyn,

---

[1] Świeżo polemizował z zasadami skautingu jeden z francuskich autorów. W toku polemiki wyraża się z przekąsem, w myśl starej pedagogiki, o tem, że skauting robi za wielki honor dziecinnym instynktom. Études. Tom 134. Les Boy-Scouts et le scouting. I. Les résultats d'une enquête internationale. Henri Caye.

tłómaczących jasno olbrzymie powodzenie i rozwój nowej instytucyi.

Tyle co do ogólnych spostrzeżeń, które bez zastrzeżenia wypadają dla skautingu pomyślnie. Przejdźmy do szczegółów.

II.

Skauting jako instytucya przedstawia się bardzo prosto: jedna albo dwie wycieczki na tydzień, gawęda obozowa — i czujność nad postępowaniem własnem i towarzyszy.

Wycieczka łączy się najbezpośredniej z tem, co mieści się w nazwisku skauta. Wyraz „skaut“ w języku angielskim oznacza żołnierza, pełniącego służbę wywiadowczą, podchodzącego i śledzącego niespostrzeżenie ruchy nieprzyjaciela, ażeby następnie zdać dokładny raport swemu dowódzcy. Dla dania dokładniejszego pojęcia, co twórca skautingu, jenerał Baden-Powell, pod tem słowem rozumie, warto przytoczyć następujące jego słowa: „Wywiadowcy oddają na wojnie swemu oddziałowi nieocenione usługi. Ale oprócz nich istnieją inni skauci — skauci w czasie pokoju. Takimi skautami są wszyscy kresowcy. Ludzie ci, mieszkający w dalekich koloniach, pilnujący granicy przed nieprzyjacielem, odznaczać się muszą zdwojoną czujnością, energią i zdolnością szybkiego oryentowania się. Wszystkie te zalety cechują n. p. traperów Ameryki północnej, myśliwych puszcz afrykańskich, podróżników i misyonarzy, cowboyów, australijskich „ludzi leśnych“ i t. p. Są to wszyscy wyćwiczeni skauci-ochotnicy, obywatele w całem tego słowa znaczeniu, znają na wylot tajniki puszcz i dżungli, silni i zręczni, zawsze gotowi zmierzyć się oko w oko z niebezpieczeństwem, a w razie potrzeby przyjść innym z pomocą, gotowi w każdej chwili poświęcić swe życie dla ocalenia życia bliźniego. W ciągłem zetknięciu się z nieustannem niebezpieczeństwem schodzą na drugi plan ich osobiste interesy i pragnienia. Historya każdego kraju jest w znacznej części dziełem takich szlachetnych awanturników; są oni prawdziwymi skautami narodu“.

Nie jest to całkowite ujęcie idei Baden-Powella o skautach, oddaje jednak najistotniejszą jej stronę.

Wycieczka skautów ma wiele zadań przed sobą. Ma wyrobić zdolnosci spostrzegawcze i instynkt oryentacyjny, zaostrzyć zmysły i przemyślność. Wchodzi w to tropienie po śladach, po głosie, po zapachu, podkradanie się i pełzanie po ziemi i cały szereg innych tego rodzaju ćwiczeń, na których wspiera się umiejętność wnioskowania z zauważonych szczegółów, poznawanie wydarzeń przeszłych, przewidywanie przyszłych. Równorzędnie z tem zadaniem stoi zadanie inne donioślejsze. A więc zahartowanie przez marsze i noclegi leśne, na trudy i niewygody, na upał i niepogodę, wyrabianie praktycznego zmysłu życia, by chłopiec umiał dać sobie radę we wszystkich okolicznościach sam, bez pomocy ludzkiej, by zdobył sobie własnym przemysłem nocleg, schronienie, ognisko, by pożywienie sam umiał sobie przyrządzić. Do tych celów przyłącza się ćwiczenie w zawodowych umiejętnościach takich, jak terenoznawstwo, pionierka, ratownictwo w nagłych wypadkach. Wolne od tych zadań chwile wycieczki, wypełnia się zabawami ruchowemi.

Szczególniej doniosłym momentem skautingu są chwile pouczającej rozmowy, tak zwane gawędy obozowe. Wykłada się w nich chłopcom to, co później w praktycę przyjdzie im urzeczywistnić, a więc teoretyczną stronę skautingu, omawia się ćwiczenia, szczegóły organizacyjne, prawo skautowe. Gawędy obozowe polskie noszą na sobie szczególniej idealne znamię; w nich kładzie się podwaliny wychowawcze, poucza się o uczynności względem bliźniego, karności, posłuszeństwie, rycerskości, a szczególniej o miłości ojczyzny i poświęceniu dla niej.

Organizacya skautingu dokonywa się w ten sposób, że 6 lub 7 chłopców łączy się w patrol lub zastęp i wybiera z pośród siebie przewódcę patrolu, kilka zaś patroli łączy się w drużynę. Drużyna stanowi istotną jednostkę skautingu i ma nad sobą, tak zwanego w polskich podręcznikach, harcmistrza, którego na to stanowisko przeznacza Naczelnictwo krajowe. Od harcmistrzów zależy w istocie cały pomyślny rozwój in-

stytucyi; oni są właściwymi kierownikami i wychowawcami skautów.

Moralną stronę organizacyi stanowi rota przyrzeczenia i prawo skautowe.

Rota angielskich skautów brzmi jak następuje: „Przyrzekam na moją cześć, że uczynię wszystko, co będzie w mej możności, by spełnić obowiązek względem Boga i względem króla — ażeby być pomocnym bliźniemu — ażeby być posłusznym prawu skautowemu". W polskiej rocie słowa, mówiące o obowiązku względem Boga i względem króla, są opuszczone i zastąpione przyrzeczeniem wierności ojczyźnie. Mówimy jeszcze o tem niżej.

Prawo skautowe, składa się z 10 artykułów:[1] 1) Słowo Skauta jest święte. 2) Skaut jest lojalny. 3) Obowiązkiem skauta jest być pożytecznym i pomocnym drugim. 4) Skaut jest przyjacielem wszystkich a bratem każdego skauta. 5) Skaut jest grzecznym dla wszystkich. 6) Skaut jest przyjacielem zwierząt. 7) Skaut jest posłusznym. 8) Skaut śmieje się zawsze i gwiżdże. 9) Skaut jest oszczędny. 10) Skaut jest czysty w myślach, słowach i uczynkach.

Jak silny nacisk położony jest na niektórych z tych artykułów, świadczy najlepiej komentarz podręcznika. I tak przy artykule pierwszym, odnoszącym się do słowa honoru, czytamy, co następuje: „Jeżeli skaut daje słowo honoru, to jakby złożył najświętszą przysięgę prawdomówności. Taksamo, jeżeli przełożony mówi do skauta — wierzę, że zrobisz to lub owo, podwładny obowiązany jest spełnić ściśle rozkaz, bez względu na wszelkie przeszkody. Jeźli skaut złamie słowo honoru, lub nie spełni ściśle danego rozkazu, przestaje być skautem". Albo artykuł trzeci, nakazujący pomoc bliźniemu! Czytamy w komentarzu: „Skaut powinien spełnić swój obowiązek, choćby mu przyszło poświęcić osobistą przyjemność, wygodę lub bezpieczeństwo. Kiedy jest w niepewności, co czynić, powinien się zastanowić:

[1] Podług broszury: Les „Boy Scouts" Paul Vuibert. Polskie podręczniki jak Bouffałła lub Schreibera i Piaseckiego dowolnie zmieniają słowa, a nawet u Bouffałła i sens. Nadto w skautingu polskim dodano zakaz palenia tytoniu i picia napojów alkoholowych.

gdzie jest mój obowiązek? czyli — co jest korzystnem dla drugich? i spełnić bez wahania to, co sumienie mu każe. Powinien w każdej chwili być gotowym ocalić życie bliźniemu i spieszyć z pomocą pokrzywdzonym; codzień też musi spełnić wobec bliźniego choćby jeden dobry uczynek".

Honor i czynna miłość bliźniego, obowiązująca codziennie do jednego choćby dobrego uczynku, są to najbardziej typowe rysy moralne całego skautingu. Ideał zaś ten moralny owiany jest urokiem typu chrześcijańskiego rycerstwa. Szczególnie w polskich podręcznikach znajdujemy wysokie pod tym względem pojęcie. Czytamy naprzykład, w podręczniku Bouffałła: „Skauci są duchowymi potomkami dawnych rycerzy średniowiecznych, a jako tacy mają wspólnego z nimi Patrona, świętego Jerzego, który wystąpiwszy do walki ze straszliwym smokiem, dał nietylko przykład nieustraszonej odwagi, lecz i wskazał nam obowiązek opanowywania własnych słabości i złych nałogów. Skauci czczą pamięć wszystkich bohaterów, zasłużonych ludzkości i ojczyźnie, starają się naśladować ich w tem wszystkiem, co piękne i wzniosłe. Zawisza Czarny, Sulimczyk, ginący na polu chwały, szarżując samotrzeć na hufce wraże, Żółkiewski, niosący siwą głowę pod miecz pogański dla uratowania ojczyzny, Władysław Jagiellończyk, który padł pod Warną, Samuel Korecki, ginący w więzach w Carogrodzie, by nie dopuścić pohańbienia majestatu Rzeczypospolitej, Chodkiewicz na błoniach Kircholmu i pod Chocimem, Stefan Czarniecki w walce ze Szwedami, Sobieski pod Wiedniem, Naczelnik siły zbrojnej w chłopskiej sukmanie, książe Józef Poniatowski, który nie chciał ojczyzny bez honoru — a w ostatnich czasach ksiądz Montwiłł na Titanicu, którego bohaterska śmierć podczas pamiętnej katastrofy na morzu wzbudziła podziw na obu półkulach, lub Ojciec Beyzym, pielęgnujący trędowatych na Madagaskarze, a marzący jak o najwyższem szczęściu, o niesieniu pomocy religijnej skazańcom w katordze sachalińskiej — wszyscy ci byli prawdziwymi skautami, bo umieli spełnić swój obowiązek". Nie można chyba lepiej określić istoty chrześcijańskiego rycerstwa.

Szczególniej doniosłymi dla polskiej młodzieży są drogo-

wskazy moralne w kierunku zwalczania wad narodowych. A więc ustawiczne zwracanie uwagi na pracę duchową nad nabywaniem solidarności, karności, posłuszeństwa, siły woli, punktualności i obowiązkowości. To ostatnie może najważniejsze. Czytamy w podręczniku, że obowiązkowość ma być cechą skauta, „wszystkie włożone na siebie obowiązki rodzinne, szkolne, czy skautowe będzie skaut uważał za rzecz świętą i nienaruszalną".

Tak wygląda w zarysie organizacya i kierunek skautingu.

III.

Czy niema czegoś w zamierzeniach skautingu, co może nasuwać wątpliwości, czy przy wykonaniu tych zamierzeń nie powstają zawikłania, czy skauting faktycznie spełnia swoje cele?

Roztrząsając te pytania, mamy oczywiście na myśli skauting taki, jakim go na polskiej ziemi widzimy. Nie racya sprawozdania o ruchu skautowym w świecie włożyła nam pióro do ręki, ale pragnienie, by instytucya ta jak największe dla naszego kraju przyniosła pożytki.

Zrozumiano najpierw u nas bardzo szczęśliwie, że istotny rys skautingu Baden-Powella, rys kresowego trapera a trochę i Sherlok-Holmesa, jest czemś tak rdzennie angielskiem, że bez przesady a nawet i pewnej komiczności na nasz grunt dosłownie przeszczepić się nie da. Typ taki jest typem narodowym angielskim, uwiecznionym i uświetnionym już od wieków przez literaturę, przez narodową tradycyę, a co najważniejsze uwarunkowanym przez codzienną potrzebę. Anglia wysyła corocznie tysiące swoich synów w kolonie, w kraje dzikie, w puszcze i dżungle, gdzie człowiek bardzo często pozostawiony jest własnej przemyślności i sprytowi, osobistej dzielności i sile moralnej. Wyrabianie przemyślności, sprytu, osobistej dzielności i siły moralnej jest rzeczą konieczną w każdym kraju, ale sposoby tego wyrobienia muszą być w różnych krajach różne. Sposoby skauta angielskiego, wszystkie te podchodzenia i podkradania się, tajemnicze znaki na drzewach i po drogach, pieśni z indyjskim tekstem i całe szeregi podobnych rzeczy, przeniesione do nas,

przy wrodzonej skłonności młodzieży, by chwytać za łupinę a pomijać ziarno, musiałyby koniecznym biegiem rzeczy wytworzyć galeryę komicznych dziwaków, nie znajdujących u nas odpowiedniego dla siebie terenu. Jedyny realny pożytek chyba byłby ten, że mielibyśmy zdolnych komisarzy policyjnych.

Powiedzieliśmy, że na szczęście zrozumiano to u nas odrazu. Usiłowano, i to z rzetelnem powodzeniem, nałożyć na rysy skauta angielskiego rysy tradycyjne polskiego rycerstwa. Nie możemy jednak oprzeć się wrażeniu, że za wiele jeszcze remiscencyi angielszczyzny przewija się w naszych podręcznikach, że zatem pomienione wątpliwości nie są całkiem wykluczone. Więcej powiemy. Ćwiczenia wywiadowcze stanowiące poniekąd istotę skautingu, są niewątpliwie także wkazane i doskonale nawiązać się dają do tradycyi naszych rycerzy kresowych, zagończyków, Wołodyjowskich, czy jednak nie należałoby zdjąć z nich główny nacisk i położyć go na innych ćwiczeniach, bezpośredniej stosownych do wytworzenia typu rycerza polskiego?

O wiele większe wątpliwości nasuwa nam rota przyrzeczenia i prawo skautowe. Nie zapoznajemy wysokiego ideałizmu, jaki jest temu prawu właściwy, przyznamy nawet, że właściwości tego prawa wydają się być nader korzystnie dla wyrobienia polskiego charakteru. Nie należy jednak zapominać, że twórca skautingu jest anglikaninem, bardzo idealnym anglikaninem, który nic nie chce o katolicyźmie przesądzać, który jednak wychowawczych właściwości katolicyzmu nie rozumie i dlatego uwzględnić ich nie może. Jest to jednak rzecz nadzwyczaj doniosłej wagi; wychowanie moralne nie da się żadną miarą odchylić od konkretnej religii. Typ szczerze religijnego anglikanina jest odmienny od typu religijnego kalwina, mahometanina, katolika. Z tego względu katolicyzm polski ma jeszcze wielki obowiązek względem skautingu. Brak czujności katolików francuskich sprawił, że skauting francuski, stał się ekspozyturą masonii; czujność zaś katolików angielskich stworzyła obok skautingu urzędowego, angielski skauting katolicki.

Niestety, pierwszym podręcznikom polskim, które do rozpowszechnienia się skautingu u nas i do nadania mu charakteru

lokalnego bardzo się przyczyniły, wydawał się skauting Baden-Powella jeszcze zanadto religijnym.[1] Z roty przysięgi usunięto wzmiankę o Bogu, w tłumaczeniu zaś prawa skautowego nie można się spotkać z najmniejszym śladem pojęcia o moralności chrześcijańskiej. I ci panowie, układający te podręczniki, mają odwagę podsuwać swój fabrykat Baden-Powellowi, który niejednokrotnie stosunek swój do chrześcijaństwa zaznacza, zdobywają się, przedewszystkiem, na tem humbug, żeby stawiać młodzieży ideał średniowiecznego rycerstwa, jakgdyby to rycerstwo dało się pojąć bez miłości Chrystusa i Kościoła katolickiego.

Na szczęście, Naczelnictwo krajowego skautingu polskiego, nie dało się wziąść tym zakusom indyferentyzmu religijnego. W rocie przyrzeczenia niema wprawdzie dotychczas wzmianki o Bogu, ale istnieje oświadczenie Naczelnictwa w urzędowem piśmie skautingu, że sprawa ta jest w toku, nadto pewne praktyki religijne młodzieży, są przez zarząd ściśle przestrzegane. Nie brak także instruktorów, owianych głębokiem poczuciem ważności swego stanowiska, którzy ściśle na zasadzie katolickiej opierają wychowanie młodzieży skautowej. Chodzi teraz o to, ażeby kierunek ten niebył przypadkowym i zależnym od dobrej woli jednostek, ale stałym — chodzi, przedewszystkiem, o to, ażeby kierunek ten nie zadowolił się wtrąceniem do roty przyrzeczenia słowa „Bóg“ i przestrzeganiem mszy w niedzielę i święta, ale, aby jako rdzenny duch katolicki owiewał całą instytucyę. Ze względów politycznych nie było nam dane mieć szkołę wyznaniową katolicką, przy skautingu nic nam nie stoi na przeszkodzie taką instytucyę wychowawczą posiadać. Jesteśmy Polską, krajem katolickim i chcemy wychować młodzież na idealne chrześcijańskie rycerstwo, a więc dość mamy tytułów i powodów ku dążeniu do tego celu.

Sprawa godna trudu i troski, a i chwila, póki jesteśmy w początkach, sposobna.

Tyle, co do zasadniczych postulatów.

W praktycznem wykonaniu styka się skauting z tyloma

[1] Podręcznik Bouffałła, który pod tym względem usiłuje być poprawniejszym, jako wydany w Warszawie, niema wpływu na galicyjskie stosunki.

objawami życia społecznego, z rodziną, ze szkołą, że dziwnemby było, gdyby, w początkach zwłaszcza, obeszło się bez kolizyj. Były skargi na poszczególnych instruktorów, że nadużywają skautingu do obcych zupełnie celów, ale były też dowody, że zarząd naczelny czuwa nad tem i, o ile to możliwe, stara się temu zapobiegać. Słyszy się utyskiwania, że forsowne marsze i trudy wpłynęły na zdrowie tego i owego chłopca niekorzystnie. Oczywiście, wypadki są zawsze możliwe; dla ogółu jednak chłopców wystarcza, że ostrożność i przezorność pod tym względem w zarządzie istnieje. Najwięcej skarg podnosiła szkoła, że na skautingu cierpi nauka. I tu są dowody, że zarząd nietylko nád poprawą tego stanu pracuje, ale owszem, że używa środków tak skutecznych, jakichby bez skautingu nie było. Zresztą, z ankiety, jaką w tej sprawie urządziła redakcya „Muzeum",[1] plon uzyskany przez skauting polski nie przedstawia się wcale niepomyślnie. W ankiecie tej wzięło udział 66 dyrekcyi naszych szkół średnich. Otóż, nie brak wprawdzie zarzutów, co do punktualności skautów w spełnianiu obowiązków wobec szkoły i nauki, ale nie brak też i uznania. Gdzieniegdzie nawet stwierdzono silny wzrost zapału naukowego, zwłaszcza w kierunku poznania przyrody ziem ojczystych i przeszłości dziejowej; często również stwierdzono rozwój zdolności spostrzegawczych, jakoteż większą zaradność i sprawność, zwłaszcza przy naukach przyrodniczych, matematyce i geografii. Pod względem zdrowia, stwierdzono wszędzie znaczną odporność na trudy i zmiany atmosfery. Natomiast, we wszystkich odpowiedziach ankiety, uznano dodatni wynik moralny skautingu. Prawdomówność, uczynność, zwalczanie nałogów, karność w szkole i poza szkołą, czynny patryotyzm, to są powszechne dotychczasowe zdobycze skautingu polskiego.

Pozostawałaby jeszcze do omówienia kwestya skautingu żeńskiego, który już powstał i ma swoich rzeczników i obrońców. Kwestya ta jednak nie jest jeszcze na tyle wyjaśniona, ażeby nadawała się do dyskusyi. Kiedy poplecznikom tego skautingu mówi się, że skauting to rycerstwo, a więc rzecz obca dla dziew-

[1] Muzeum 1913, 4.

cząt, odpowiadają, że rys rycerski nie wchodzi w skauting żeński. A więc w takim razie nie jest to skauting. Jest to jakieś stowarzyszenie o bardzo dodatnich celach, zwłaszcza o tym wielkim celu, ażeby szczepić i krzewić w młodych sercach dziewcząt wzniosły ideał kobiecy, stowarzyszenie, które ma wielką racyę bytu, ale winno mieć inną nazwę, choćby dlatego, ażeby nie osłabiać siły i uroku, jaki ma dla chłopca ta nazwa.

Tak przedstawiają się nam sprawy skautingu w tej chwili. Instytucya rokująca piękne nadzieje, mająca już za sobą dodatnie wyniki, ale wymagająca ustawicznej czujności i wyjaśnienia w zasadniczych sprawach. Od tego zależeć będzie ostatnie słowo, którego dziś jeszcze powiedzieć nie można.

Ks. J. Pawelski.

Nad Elsterą.

1813 - 1913.

Mgły się rozwiały: w białych kłębach dymów,
Zmąconych łuną pożogi ponurą,
Otwarł się oku bój wielki olbrzymów:
Od strony Lipska, pod dymów tych chmurą
Dział tysiąc zieje — na krwawem boisku
Zwarły się ludy w śmiertelnym uścisku.

Raz w raz z tej ciżby, wskróś dymów zamieci,
Rozprysłych wulkan wystrzeli kartaczy,
Czasami jeden krzyk głuchy wyleci,
Nie wiedzieć jęku, czy dzikiej rozpaczy,
Czasem się porwie wrzasków burza cała
Jak gdyby ziemia zlękniona jęczała!

Nad tłokiem boju, nad zwartych mas gęstwą
Ponuro wieją zszarpane sztandary,
Te orły, które w świat niosły zwycięstwo,
Skrwawione teraz padają w mrok szary,
Piętrzą się trupy, krwi płyną kałuże,
Świat tonie w jednej zamętu wichurze!

Przez opar krwawy, z natłoku walk ślepych,
Ginących gromad jęk buchnie i ścicha;
Jakowyś orkan zwichrzonych sił — przepych
Z ziejących dymem pól — grozą oddycha,
Od pomiażdżonych ciał zrywa się stosów
I skargą leci w przestwory niebiosów!

Wtem naraz — głucho zatrzęsła się ziemia,
Jakgdyby z wnętrznej ruszona posady:
Jak jedna zwalisk kolumna olbrzymia
Prysnęły mostu potężne arkady
I z miazgą koni, kół, trupów, strzaskane
Z ponurym hukiem runęły w wód pianę.

Zagłady anioł rozpostarł ramiona
I ponad armie położył je obie...
Elstera toczy nurt mętny spieniona,
Stłoczone roty w jednym chłonąc grobie
Dymiących stosy zgliszcz, ległych ciał zwały
Nad bagnem krwawy most wojskom usłały!

Gdzie on? zwyciężon niszczącej bóg wojny?
Hen zdala: ręce założył przed siebie
I patrzy, milcząc, na pozór spokojny,
Na chmurę dymów rozwianych na niebie
I słucha jęku dział — jeszcze wspaniały
Ostatnią łuną gasnącej mu chwały!

Na polach śmierci, w odciętych wojsk straży,
Gdzie huczy nurtem wezbranym Elstera,
Trzech napór armij, trzech roty mocarzy
Wódz inny piersią tytana odpiera:
To książę Józef, ginących wódz znaków,
Któremu zwierzył Bóg — honor Polaków!

Oblicze Księcia pot zimny już zrasza,
Pierś mężna strugą krwi broczy obficie,
Bezwładna ręka nie strzyma pałasza,
Lecz w oczach, w oczach dawne błyszczy życie,
Zaścielił trupem bagnistych dróg załom,
A teraz — wraca ku swoim oddziałom.

Dopadli brzegów. Wkrąg pusto, z zapłoci
Zbłąkany granat zaświszcze, zadymi,
Posępną łuną dym biały ozłoci
I pęknie z hukiem; wałami wzdętymi

Elstera niesie strzaskane bierwiona,
I trupy, mętna, hucząca, spieniona...

Książęcy rumak w darń zarył kopyta,
Nad karkiem bujną wiatr rozwiał mu grzywę;
Twarz wodza, boju kurzawą okryta,
Od słońca brała odblaski łun żywe,
Usta drżą, z oczu smętnego wejrzenia
Przebija żałość i bezmiar cierpienia.

Tak! Utracone, złamane nadzieje!
Gmach z trudem stawian padł w gruzy na pował,
Wycięte roty, krew strugą się leje,
On jedno — honor ojczyzny zachował,
Bogu go odda — tam... spojrzał w krąg nieba,
Ostatnią spełnił straż — umrzeć mu trzeba!

Pod nagłem cugli skręconych szarpnięciem
Spieniony rumak kopyta wspiął przednie
I runął w skoku śmiertelnym wraz z Księciem
Z urwiska — w nurtów złowrogich bezednie.
Zawrzała burza pian, żwirem się skłębi,
Koń z jezdźcem znikli w huczącej wód głębi.

Dobył się z toni rumak; — Księcia głowa
Nad falą widna — twarz blada śmiertelnie,
Pochwycił grzywy włos, znowu się chowa
W pian wiry — rumak przecina nurt dzielnie;
Żyw Książę! jeszcze raz migła nad rzeką
Twarz jego, drugi brzeg niezbyt daleko...

O! czemuż pogoń nadbiegła w tej porze!
Dym błysnął, ogień — i kule nurt zmącą;
Słania się Książę: „W twe ręce o Boże
Honor i duszę...“! twarz podniósł blednącą,
Wzrok smętny w nieba utopił kryształe
I runął — wzdęte zakryły go fale.

A rzeka huczy i szumi... w oddali
Nad bagnem Pleissy pomroku cień pada,

Płonących domów gruz z trzaskiem się wali,
I głucha wstaje nad zgliszczem — zagłada!
A jeszcze działa grzmią, jęki i krzyki
Na jeden chaos zlewają się dziki.

Nieznany pogrom narodów! — W śnie śmierci,
Wtłoczone w zmiętą darń legły ciał stosy,
Broń, wozy, znaki stargane na ćwierci
I zwały armat krwią zlanych. W niebiosy
Z oparów krwawej mgławicy się zrywa
Jęk głuchy bólu i skarga straszliwa!

Słyszycie! Surma, przerwała krzyk klęski...
Wojsk sprzymierzonych związały się mury,
I grają trąby ich hejnał zwycięski...
O ślepej pychy szał! Z trzaskiem wichury
Na szańce trupów duch grozy wszedł blady —
Kto głosić tryumf śmie — w polach zagłady?!

Jeden tu tryumf wziął — twardej mąż stali,
Jeden — co duszę w nieszczęściu miał dumną:
Stargane ciało huczącej dał fali,
Lecz duchem idzie... świecącą kolumną
Przez naród... w twarzy zaduma mu gości:
On przeczuł sercem błysk jasny wolności!

On wie, że naród nie pada w walk dymie,
Że kiedyś — z wiosną, z przesiąkłej krwią niwy
Powstaną duchy rycerzy olbrzymie,
I mocniej w dłonie pochwycą miecz mściwy —!
On wie, że przeszłość z przyszłością się zwiąże
Ogniwem złotem — on wie to — Wódz Książę!...

Ks. Tadeusz Karyłowski.

wskiego d. 25 listopada w roku 1914. Nazwiska autorów prac uwieńczonych ujawnione będą dopiero na tem posiedzeniu po otworzeniu kopert opieczętowanych.

12. Rękopisy prac uwieńczonych i nieodznaczonych wzmianką zaszczytną mogą być zwrócone wraz z kopertą opieczętowaną na żądanie, w ciągu jednego roku od daty ogłoszenia wyniku konkursu.

Druk ukończono 8-go listopada 1913 r.

Katolickie wychowanie dziewcząt.

Książka M. Stuart.

Zdawałoby się, że do połowy XIX wieku nigdy nie wychowywano dzieci..., że od początku świata tysiące pokoleń ludzkich wyrosło na dziko jak zające i myszy, że dopiero przed mniej więcej siedmdziesięciu latami odkryto te drobne stworzenia i poczęto się im ciekawie przyglądać, a znalazłszy, że posiadają w drobnem ciele serce, umysł i duszę, które można rozwinąć, podnieść, przytłumić lub skrzywić, zbudowano na tem tle nowy dział literatury, złożony z korca plew i pewnej ilości zdrowego ziarna. Trafi się między temi i parę ziarn złotych, a im ich jest mniej, tem je skwapliwiej wybierać trzeba, aby snać zasypane miernotami nie znikły nam z oczu. Takiem ziarnem złotem jest wydana w Londynie w r. 1912 książka p. t.: *The Education of Catholic Girls* by Janet Erskine Stuart.

Dzieło to jest w najwyższym stopniu na czasie. Niema co się łudzić: żyjemy w epoce przełomowej, gdzie krom wieczystych praw Bożych wszystko dokoła nas się zmienia, a wychowanie córek przechodzi coraz bardziej z rąk matek (obecnie najczęściej poza domem zajętych) w ręce nauczycielek szkół publicznych czy też prywatnych. Dawniej mówiono: „jaki ojciec taki syn". Dziś raczej powiedzieć należy: jaka szkoła, takie społeczeństwo. W szkołach zaś tak męskich jak żeńskich zapanowało przed pół wiekiem po złej czy dobrej woli zmateryalizowanie, pokryte płaszczykiem wiedzy: nauki t. zw. ścisłe i przyrodnicze, t. j. czysto ziemskie, tyle pochłonęły czasu i pracy,

iż ich na wyższe rozwinięcie myśli nie stało. Nawet w powiastkach dla młodzieży postać inżyniera urosła do wszechpotężnych rozmiarów tak, iż obok niej na działanie Opatrzności już miejsca nie stało. Systemowi temu przyklaskiwali nawet dobrzy Chrześcijanie.

Jakiż jednak był skutek? Dość się rozejrzeć po świecie. Widzimy wprawdzie genialnych mechaników i chemików, widzimy wynalazców na polu ludzkiego zysku lub wygody, ale wielkich ludzi, mężów stanu, polityków, wodzów, poetów, filozofów, potężnych kaznodziejów lub trybunów — brak i to na całym świecie. Poziom się zniżył — temu nikt myślący zaprzeczyć nie zdoła, a widząc wynik, trudno nie szukać i nie znaleźć przyczyny w narzuconej szkołom formie wychowania. Tak też szukał i znalazł arcybiskup Westminsteru Kardynał Bourne, a znalazłszy źródło złego i pragnąc mu zaradzić choćby tam tylko, dokąd wpływ jego dosięga t. j. w szkołach katolickich w Anglii, spowodował stworzenie i wydanie książki o wychowaniu, z którą należy i nasze społeczeństwo zapoznać. Przyda się ona niejednemu nietylko dla młodych, ale i dla siebie samego, dla sprostowania niektórych pojęć, otwarcia nowych punktów widzenia, słowem dla rozszerzenia myśli — zawsze zbyt ciasnej, gdy się zważy ogrom celu, do którego wszyscy dążymy.

Na autorkę tego dzieła obrał Kardynał Bourne osobę do głębi doświadczoną w sprawie wychowania, której poświęciła życie, obecną Przełożoną Generalną Zgromadzenia Najśw. Serca (*Sacrè Coeur*). M. Janet Erskine Stuart urodziła się i do dwudziestego roku żyła w protestantyzmie; była to jednak bardzo bogata natura, znajdująca czas i siły na sporty, na zajęcia praktyczne, a równocześnie na naukę, zdobywaną według programu szkół męskich. Prócz tego programu musiało być sporo prywatnego a mądrego czytania, skoro w miarę, jak rosła wiedza, rosło w młodym umyśle i światło, w którego blasku ujawniły się wkrótce prawdy katolickiego Kościoła. Cały ten wstęp do życia sprawił, iż M. Stuart miała sposobność zetrzeć się z ludźmi różnych przekonań i poznać dokładnie nowożytne

regulaminy szkolne, stosowane w całej pełni w kollegiach anglikańskich, a wtłaczane różnymi sposobami do mniejwięcej opornych szkół katolickich.

Stąd i rozprawa M. Stuart prócz paru krótkich ustępów mogłaby równie dobrze służyć dla szkół męskich; zdawałoby się nawet, iż jej własny umysł posiada cechę raczej męską aniżeli kobiecą. Wszystko w nim jest szerokie, jasne, wyraźne a bystre; żadnej małostkowości, żadnej przesady nie masz ani wahania. Weźmy n. p. początek pierwszego rozdziału, zatytułowanego *Religion*. Zazwyczaj autor czuje się w obowiązku nakreślić ze dwie lub trzy strony frazesami, które czytelnik chciwy treści niecierpliwie przerzuca. Tu jednym rzutem wstępujemy w jądro sprawy:

„Główne kontrowersye wychowawcze obecnych czasów — pisze autorka — miotają się dokoła nauczania dzieci religii; zajmują się jednak przeważnie prawem nauczania, a nie tem, co ma być wykładanem i zaprawdę nikt z walczących, krom katolików nie zda się posiadać jasnego pojęcia, czego właściwie chce uczyć, gdy na to prawo zdobędzie. Nam chodzi tu nie o samą dyskusyę ale o jej owoce; toż echa wrzawy wojennej powiększają cenę przedmiotu, o jaki bój się toczy, podniecają do wyzyskania go tak, by wyciągnięte zeń korzyści opłaciły ofiary, łożone na jego zdobycie.

Obowiązek jest podwójny: wobec Boga i wobec Jego dzieci. Bóg, który nam ich religijne wykształcenie poruczył, ma prawo żądać, by go im ukazano prawdziwie, szlachetnie, godnie, o ile to jest w naszej mocy, pięknie, o ile słowa ludzkie zdołają określić tajemnice wiary, ze spokojem i stanowczością, która wie i nie lęka się z synowskiem poczuciem dumy dziedziców Królestwa bożego. Dziecko ma prawo dowiedzieć się o Bogu wszystkiego, czego dowiedzieć się może, skoro od świadomości tej całe szczęście jego tu i w wieczności zależy. Niezmierną krzywdę wyrządzili i jeszcze wielu dzieciom wyrządzają ci, co szczerze ale nieopatrznie usiłują „uczynić ich dobremi“, malując im groźnie straszną pomstę Bożą nad złymi ludźmi, oraz możliwość popełnienia ciężkiego grzechu przez najmniejsze dzieciątko,

Wrażliwy umysł dzieci łatwo się straszy — oni tacy mali, a tyle nowych dla nich rzeczy się dzieje, czują się otoczeni niezrozumiałemi, wkoło nich działającemi siłami, a w żywej ich wyobraźni stają straszliwe masy tego, co na nich lada chwila spaść może. Jeśli pierwsze pojęcie o Bogu będzie ponure i straszne, może zeń na całe ich życie paść cień, którego nic usunąć nie zdoła. Powiedziano im, że istnieje bezsenne Oko, śledzące bez ustanku wszystko, co uczynią złego, Oko, przed którem nigdzie nie zdołają się schronić. Że istnieje Sędzia groźny a surowy, nie słuchający żadnej wymówki, dochodzący wszystkich win z nieubłaganą ścisłością, wszechpotężny w sposobach karania. Cóż dziwnego, że słysząc to, niejedna dusza dziecka bardziej od innych wojownicza i harda, odwróci się w końcu i stanie zbuntowana wobec wiecznego Mściciela? Że w późniejszych latach wyciągnie stąd wniosek: iż skoro nie można ujść, to lepiej zapomnieć, albo też całe życie utonie w obojętności i bezsilności woli, czerpanej z pessymizmu graniczącego z rozpaczą?

Toż ojciec i matka nie ścierpieliby, aby ich w ten sposób przedstawiano dzieciom i słuszne potępienie spotkałoby nauczycieli, odwracających serca dzieci od rodziców i zatruwających w nich źródła żywota. A jednak krzywdę taką wyrządza się Bogu. Wogóle dzieci uczone przez własnych rodziców daleko mniej są wystawione na podobne skrzywienie pojęć niż te, które są zostawione na łasce służących lub innych niewykształconych osób. Ojcowie i matki nie popadają w ten błąd, bo mają zapewne w sobie zbyt wiele instynktownego poczucia Ojcostwa Boskiego; od nich też jako od żywych przedstawicieli wszechmocy Boga i Jego nieskończonej miłości mogą pojęcia o Nim najlepiej trafić do serc dziecinnych.

Ale niestety dla różnych powodów owo najlepsze nauczanie przez rodziców trwa niedługo, poczem dzieci przechodzą w ręce nauczycieli i odtąd krom działania duchowieństwa, wychowanie religijne staje się absolutnie od tychże zależne. Zajmuje ono mniejwięcej lat ośm — od 10-ciu do 18-tu i rozpada się na dwie części: pierwszą, w której należy założyć podwaliny chrześcijańskiej nauki i życia i drugą, zawierającą przy-

sposobienie do walki o wiarę, walki, która przyjść musi po upłynięciu lat szkolnych. Wielką jest odpowiedzialnością mieć sobie powierzone włodarstwo nad królewską rodziną dzieci Bożych, w tych latach, od których cała ich przyszłość zależy, każdy zaś człowiek winien zdać wierny rachunek z włodarstwa swego. W innych gałęziach wiedzy łatwo jest rozeznać w uczniu odpowiednie zdolności; tu zaś owe zdolności są często tak głęboko ukryte między sumieniem a Bogiem, iż trzeba z zasady przypuścić ich istnienie, a odpowiedzialność tem bardziej ciąży na nauczycielu, bo musi znać prawdę, żyć życiem prawdy i kochać życie i prawdę, chcąc drugich tej miłości nauczyć. To są kwalifikacye, których nikt posiadać nie może, ale które musi ustawicznie zdobywać, gdyż ten tylko, kto wciąż wzrasta w łaskę, w miłość i wiedzę, zdolny jest dać istotne pojęcie o tem, czem jest na życie ludzkie wpływ łaski, miłości i wiedzy: większą tedy kwalifikacyą dla uczącego jest to, czem jest, niż to, co umie. Koniecznem obok tego jest myśleć zdrowo o tem, co się ma wykładać.

1. Myśleć zdrowo o Bogu. Zdawałoby się to rzeczą tak naturalną i prostą, iż o niej mówić nie warto — w praktyce jednak doświadczenie wykazuje, że jest przeciwnie. Nieraz nic zdrożnego nie objawia się w mowie, a przecież w samym podkładzie nauki religii zauważyć można ślady pojęć o Bogu, niegodnych naszej wiary. Skąd te pojęcia? Bez wątpienia w znacznej mierze z subtelnego ducha Jansenizmu, tak rozszerzonego w swoim czasie, a tak trudnego do wykorzenienia; z resztek bardziej ponurego jeszcze ducha Kalwinizmu, pozostałych w umysłach; z groźnych ustępów pism duchownych, odnoszących się do innych czasów i innych potrzeb — przedewszystkiem zaś są wynikiem pierworodnego kłamstwa, gotującego piekłu najwyższy jego tryumf: nieufność względem Boga. W pojęciach tych Bóg zda się być obarczony ludzkiemi wadami: za pomocą ognistej obrazowości Starego Testamentu, wtłoczonej w nowożytne umysły zachodnie, widzi się go bezlitosnym, nieubłaganym, mściwym, wymagającym, czyhającym, by nas

schwytać na grzechu i gotującym nam straszliwe niespodzianki po śmierci.

Tymczasem Ewangelia i Kościół co innego mówią o Bogu dzieciom Królestwa Jego. Gdybyśmy zdołali ludzkiemi słowy opisać coś, co jest najpiękniejszem, najmilszem, najbardziej uroczem, szczodrem, silnem, wiernem, cierpliwem, mądrem i to jeszcze pomnożyć o całe miliony, potem powiedzieć, że to byłoby niczem wobec Jego dobroci, piękności i mądrości — dalibyśmy wprawdzie słabe tylko wyobrażenie o Bogu, ale przynajmniej powiedzielibyśmy prawdę, a ta wskazałaby drogę do ufności i przyjaźni, do stosunku, jaki winien być między dzieckiem a ojcem, między stworzeniem a Stworzycielem.

Mowa nasza jest taką, jaką jest nasza wiara. Jeśli o Bogu mówimy tak, jak wierzymy, jest w słowach naszych przekonywujący akcent szczerości. Jeżeli zaś wierzymy to, cośmy powinni, będziemy o Nim mówić swobodnie szeroko, z ufnością i weselem czyto w dogmatach naszej wiary, czy przy odnajdywaniu Jego śladów wspaniałości w otaczającym nas świecie, czy też w kornem śledzeniu rządów Jego opatrzności w historyi świata".

Nie podobna nie zgodzić się ze słowami autorki. Wieleż to razy słysząc nieopatrzne mowy o Panu Bogu, przychodzi na myśl przysłowiowe już powiedzenie francuskie: *Si Dieu a fait l' homme à Son image, l' homme le Lui rend bien.* I zaprawdę mało kto z nas widzi w Bogu co innego, jak straszliwego Jehowę, stąd też bardzo, bardzo wielu nie śmie się modlić wprost do Boga, tylko przez pośrednictwo świętych, większość woli medalik od krzyża, a są i u nas tacy, których obawa bojaźni Bożej na tory obojętności zepchnęła. Może to właściwość ludów północnych — inna bowiem autorka, pobożna Matka Marie du Sacrê Coeur skarży się w swej znakomitej książce *La formation religiose de la femme contemporaine* na kierunek przeciwny w nauczaniu klasztornem francuskiem, to jest na zdrobniałość w dewocyi, zasłaniającą dzieciom majestat Boży: wszystko tam według niej jest maleńkie, milutkie, uśmiechnięte, więc i Pan Jezus i Najśw. Panna i aniołkowie zawsze dziecinni...

Ale Matka Stuart inne jeszcze upatruje niebezpieczeństwo, wynikłe z obecnego demokratycznego prądu, streszczającego się w słowach *Non serviam*. Ludzie, przestający uznawać nad sobą władzę monarszą, przenoszą też same uczucia i do władzy Boskiej, krytykują działanie Opatrzności, radziby, by Bóg im zdał rachunek ze Swych wyroków. Na to — pisze — nie pomogą tłómaczenia i argumenty. Należy stanowczo założyć fundament ojcostwa i wszechwładzy Boga, na którym później będzie można już śmiało cały gmach nauki chrześcijańskiego życia zbudować.

Po pojęciach o Bogu należy się mieć słuszne pojęcia co do nas samych i naszego przeznaczenia. „Szkoda, iż w nauczaniu religii grzech występuje daleko wydatniej niż cnota. Ciągła, prześladująca myśl o grzechu i strach przed utratą duszy, grożącą na każdym kroku, nie jest bardzo idealnym bodźcem życia. Spokojna, wytrwała czujność, trzeźwa troskliwość bez niepokoju trudniejszą jest do wszczepienia, stanowi jednak lepszą ochronę przed grzechem od ustawicznej trwogi. Każdy zaś błysk nadziei znajduje oddźwięk w nowym wysiłku cnoty". Ukazywanie naszego przeznaczenia, jako dziedziców Królestwa Bożego jest też silnym punktem oparcia dla przeciętnych dusz. Dusze wybrane wzniosą się wyżej, ale dla zwyczajnych ta myśl wystarczy.

Pojęcia o złem i dobrem bywają nieraz wpajane tak mglisto, iż się dochodzi do mierzenia rzeczy tylko z punktu własnego bezpieczeństwa; „trwożne pytanie dziecka po zbrojeniu czegoś: „Czy to był grzech śmiertelny?" świadczy nieraz, iż obawa kary jest jedyną formą, jaką przybiera pojęcie grzechu. Podobnie w tonie zadowolenia w powiedzeniu: O, to tylko powszedni grzech! brzmi jakoby chęć dowiedzenia się, wiele sobie można wobec Pana Boga pozwolić bez narażenia się na zbyt nieprzyjemne skutki. Wystarczy powiedzieć dziecku: „To jest źle!" a im mniej dzieci mówią o grzechu śmiertelnym — tem lepiej. Wszelka o tem rozmowa, wszelkie rozbieranie, czy to lub owo jest grzechem śmiertelnym, oswaja je tylko z tą myślą. Gdy raz już wiedzą co stanowi o ważności grzechu wogóle, gdy po-

siędą jasne pojęcia o obowiązku, gdy wyraz „powinienem" nabierze w ich duszy swego istotnego znaczenia, wtedy ujrzymy silniejszy typ charakteru od tych, które się ukształtowały na szczegółowem rozbieraniu różnych stopni złego.

Najlepszem może zabezpieczeniem od grzechu jest dojście do przekonania, iż obowiązek musi być spełnionym za jaką-bądź cenę i że być chrześcijaninem znaczy tyle, co wyrzec się samego siebie i nosić krzyż"...

Po takim wstępie do rozdziału o religii łatwo się domyśleć, jakim będzie rozdział o „charakterze". Charakter — jest czemś, na co pono u nas zbyt mało zwraca się uwagi, na co nawet nie mamy własnego, jasno określającego wyrazu. Ożeniony z Polką Anglik Karol Bodenham, dziwił się, że w Polsce wypytują zwykle o stopień rozumu i zdolności ludzi, a nigdy prawie o ich charakter. We Francyi *le caractère* oznacza przeważnie tylko usposobienie gwałtowne lub łagodne: *bon* czy *mauvais caractère*; tenże sam wyraz określa też znaki pisarskie. W Anglii zaś ma znaczenie o wiele większe, bo obejmujące całą istotę moralną człowieka z pewnym naciskiem na siłę woli, rzutkość i wytrwałość: *a man of character* oznacza człowieka energicznego; świadectwo w służbie nazywa się również *a character*. A *good character* oznacza też „dobre pismo" podobnie trochę jak w języku francuskim. Matka Stuart, zaczynając swój rozdział przez allegoryę porównuje naturę ludzką czyli temperament z materyałem gładkim a twardym, z którego dopiero tworzą pieczęć wyryte nań znaki (*characters*). Owe znaki ma wyryć wychowanie, nadając człowiekowi wybitną cechę. Bez nich temperament, pozbawiony przewodniej myśli i kierunku, pozostaje nierównym, często gwałtownym a chwiejnym, niezdolnym do konsekwentnego działania. Przez wychowanie rozumieć należy wszelkie wpływy otoczenia, wszelkie przyzwyczajenia moralne i fizyczne, kształtujące na pewną normę ducha ludzkiego i nawspół z jego naturą wytwarzające charakter. Jakim jest charakter, takim jest człowiek; głównym jednak czynnikiem tej kombinacyi jest natura, to jest grunt, na którym wychowaniu pracować przychodzi i do którego stosować się powinno. Natura bowiem często

bierze górę i potęgą przyrodzonych instynktów niweczy odebrane wpływy, o ile te nieodpowiadały jej istotnym potrzebom. Medycyna i filozofia nadały już dawno nazwy różnym odmianom natur; te wszystkie jednak Matka Stuart dzieli jeszcze na dwie kategorye: są, pisze, „dzieci o usposobieniu przeczącem i dzieci o usposobieniu potakującem (*children of no and children of yes*). Różnica ta ujawnia się niemal od początku przez cały przebieg wczesnego rozwoju i to na każdym kroku w umyśle, w objawach woli, w zamiłowaniach i zachowaniu. A choć czas, wychowanie i szkoła życia mogą zatrzeć jej zewnętrzne objawy, przecież pod tą powierzchnią zda się jeszcze wzmagać tak, jak główne rysy charakteru zaostrzają się z wiekiem. Tam, kędy zetkną się z religią, możnaby powiedzieć, iż niektórzy rodzą się z usposobieniem katolickiem, a drudzy z dysydenckiem (*nonconformist*): pierwsi skłonni do widzenia harmonii i ładu, do uznawania ukrytej prawdy w rzeczach, które muszą być tem, czem są; drudzy zaś zrodzeni do opozycyi i z trudem zmuszający się do poddania swej myśli. W Anglii wielu jest takich dysydentów z natury, to też u tych, co dostąpią łaski nawrócenia, lub katolickiego wychowania, ciekawem jest śledzić wysiłki i ciężką pracę nad sobą, aby się przemódz i dostroić do przyjętej wiary. Niekiedy ów temperament dysydencki bywa najpewniejszą ochroną katolickiego dziecka, zostawionego samotnie wśród sprzecznego z niem otoczenia; wtedy broni się uparcie, zajadle, tak, iż po całych latach, spędzonych w protestanckiej szkole, wychodzi nietknięty w wierze i wzmocniony w bojowaniu chrześcijańskiem. Są to jednak miłe wyjątki. W mniej szczęśliwych wypadkach duch opozycyi bywa powodem niezliczonych bied i kłótni rodzinnych, przeszkodą do wspólnej pracy, bodźcem do zasadniczego oporu wobec zwierzchności podkopuje grunt wiary, podnieca umysł do usuwania się z pod kontroli, do przejścia z instyktywnej opozycyi w antagonizm, z antagonizmu do pogardy, z pogardy w otwarty bunt. W ślad za tem idzie zuchwałość umysłu, bałwochwalcza miłość własna, zaślepienie — aż cały charakter wytrącony z równowagi zamienia się w nędzną ruinę".

Przeciwny rodzaj, to jest natury „potakujące“ przedstawiają — zdaniem autorki — również złe i dobre dla rozwoju warunki. Milsze są i szczęśliwsze dla siebie i drugich, pochopne do służby Bożej, łatwe do prowadzenia i do podniesienia z grzechu — jednem słowem są bardziej ludzkie, ale też miększe i słabsze, nie umiejące powiedzieć: nie! — tak dobremu jak złemu. „Dla nich niebezpieczeństwem jest właśnie ta zgodność, a wraz z nią nadmierne poszukiwanie własnego dobra, chwiejność i zmienność — wszystkie składniki humanizmu, prowadzące wstecz — do pogaństwa. Dowodem tego są dzieje odrodzenia w południowej Europie, podczas gdy w innych stronach Kalwinizm i całe grupy Protestantyzmu służą za przykład wyników, do jakich duch przeczenia sam przez siebie dojść musi. W owych wiekach, gdy fale życia tryskały gwałtownie w złą lub dobrą stronę, łatwiej można odnaleść punkta oryentacyjne niż w dzisiejszych typach, zatartych nowoczesnymi warunkami życia. Tak n. p. między przedstawicielami rodzaju „potakującego“ można wymienić św. Franciszka Salezego, do nonkonformistów należał w całej pełni Savonarola“.

Pod te dwa działy autorka podporządkowuje różne inne, które równie dobrze stosować można do ludzi dorosłych jak do dzieci. Okazuje nam w dzieciach zarodki — a następnie rozwój tychże w ludziach dorosłych. Wszystkie one stanowią surowy materyał, nad którym ma się odbyć praca wychowania. Ta zaś w pierwszej linii przypada Kościołowi. Jest nasamprzód chrzest, a następnie spowiedź, usuwająca ciemności z młodej duszyczki, dająca jej zwyczaj czuwania nad sobą i impuls w dobrym kierunku. Bierzmowanie i Komunia św. niekiedy od razu przemieniają charakter, a zawsze prawie stanowią punkt zwrotny ku stopniowej poprawie. To też praktykujące dziecko katolickie wychowywanem jest bezwiednie przez całą atmosferę wpływów nadziemskich, z których każdy podnosi i rozwija przyrodzone zalety zapomocą prawdy i samopoznania, a zbroja religii chroni je od ślepoty pychy, zamknięcia się w sobie i zatwardziałości. „Katolickie dziecko jest prawdziwie dzieckiem“ i pozostaje niem przez całe życie a nawet tam, gdzie skutki wy-

chowania uległy zniszczeniu, znajduje jeszcze wspomnienie, którego się może uczepić, aby do Rodzicielskiego Domu Ojca powrócić.

Wychowanie należy rozpocząć od poznania dziecka, — co jednak łatwem nie jest, gdyż trzeba działać bez zwrócenia jego uwagi. Od pierwszej chwili, gdy spostrzeże, iż je obserwują, dziecko traci swobodę, zda się wciągać w siebie swoją naturę, zostawiając na zewnątrz albo dzikie, oniemiałe stworzenie lub co gorzej — jakąś sztuczną osóbkę, zupełnie niepodobną do swej prawdziwej istoty. „Zbyt wiele pytań niepokoi dziecko i odejmuje mu naturalność; nie umieją zdać sprawy z tego, co myślą, co chcą powiedzieć, ani z tego, o ile zrozumiały, co im powiedziano, a im bardziej kto się okazuje żądnym poznania, co się w nich dzieje, tem mniej chcą lub mogą się udzielić. To też ci, co mniej gorliwie a spokojniej badają, dostrzegają najwięcej, ci zaś co najwięcej dostrzegli, wiedzą, jak mało dowiedzieć się można"...

Istnieją tylko objawy, według których kierować się należy. Najważniejszem jednak dla wychowującego jest wiedzieć dokładnie, do czego dąży, co chce utworzyć z tych dzieci po skończeniu ich nauki. „Co chcemy wychować?... pyta autorka. „Nie bezwartościowe zera, o tyle dobre, że nie są złemi. Dość już jest takich na świecie istot, nie zawadzających nikomu, ale do niczego".

Punkt ten dotyka bardzo boleśnie większość matek polskich, którym — niestety — nie ojcom — przypada zazwyczaj zadanie wychowania synów. Ze wszystkich stron słyszymy wołanie: wyrabiajcie siłę charakteru! To bardzo piękne i słuszne, ale co czynić w zbyt częstych wypadkach, gdzie siły tej niema? Masło można urobić, można zamrozić, ale za pierwszem zetknięciem z gorącem, masło stopnieje; piasek lotny za pierwszem uderzeniem motyki rozsypie się w proch. Toż samo dzieje się z niejednym charakterem przy pierwszem zetknięciu z samoistnem życiem, a biednej matce, która ogromy siły woli na skonsolidowanie go zużyła, pozostaje przed ludźmi wstyd, a przed Bogiem łzy i modlitwa...

„Te zalety zaś, stanowiące o sile charakteru są — pisze M. Stuart — najpotrzebniejszemi. One są „pobożnością", gdy są, jak należy, pojęte".

„Wszystko to przychodzi z katolicką wiarą i należytem wykonywaniem jej nauk. Katolickie życie rodzinne, katolicki zmysł obywatelski, katolicki patryotyzm są najrzetelniejsze, bo są jedynymi typami tych cnót, opartemi na prawdzie. Nie przychodzą jednak same z siebie. Niejeden chciałby dostać się do nieba, niesiony w objęciach Kościoła, nie troszcząc się wcale przez życie o jego obronę lub ozdobę siłą dobrych uczynków, a liczbę ludzi tych pomnożymy, jeśli w umysły dzieci nie wszczepimy ambicyi zdziałania czegoś więcej, poświęcenia się wielkiej sprawie, zespolenia się z nią przez wyrzeczenie się samego siebe tak, aby przy końcu życia pokazało się, iż fakt, że żyli, opłacił się i im i drugim. To jednak nie dzieje się zadarmo, a o tem wiedzieć muszą. Życie zasługi nie może być miękkiem życiem i wiele przyjemności nawet niewinnych musi być dobrowolnie poświęconych, aby życie to coś było warte".

„Jednym z podstawowych warunków charakteru jest niezależność. Niezależność zaś zyskać można jedynie przez wyrzekanie się — choćby niepotrzebne — tego, co nam dogadza. Nie masz wielkości życia: bez prostoty życia, a samą prostotę stanowi wyzucie się z wielu rzeczy, któreby siłą przyzwyczajenia mogły stać się potrzebą. Koniecznem też jest przywyknienie do pracy, a i tego zdobyć nie podobna bez częstego poświęcenia przyjemności dla rzeczy ważniejszych. Cierpliwość i obowiązkowość są warunkami, o których konieczności niejeden powszedni umysł przekonywa się dopiero w ważnych chwilach życia, pojmując zarazem, z jakim trudem się do nich dochodzi. A obok tych — wartość czasu tak ważna do poznania, a tak trudna do przeprowadzenia w czyn. W naszych czasach szybkich lokomocyj, ludzie ustawicznie się spieszą, ale wielu nie umie w całej pełni wykorzystać czasu"...

„Jedno jeszcze wymienić należy: absolutną szczerość. Dla większości natur, jakże trudno jest nie „pozować"! Pozować na niezależność — będąc niewolnikiem ludzkich wzg'ędów;

pozować na obojętność, gdy się jest spragnionym sympatyi; pozować na lekkomyślność, gdy się najwięcej pożąda powagi; kryć pociąg do rzeczy wyższych — pod lekkim tonem nieuszanowania. Dziwnem jest, iż ten rodzaj pozy uważany jest za mniej naganny, niż gdy się objawia w sensie przeciwnym, a przecież gorszem kłamstwem jest przedstawiać się w złym świetle, kryjąc lepsze rysy swojej natury, niż pokrywać ze wstydem jej brzydsze strony. Dowodem tego jest może wielkość wysiłku potrzebnego, aby na tym punkcie się przemódz; im więcej zaś myśli się o tem i obserwuje, tem jaśniej się widzi, jak trudno jest być absolutnie szczerym — toż żadna cnota nie wymaga tyle wyrzeczenia się siebie samego"!

„Końcem końców sposoby wyrobienia charakteru mogą być następujące:

1-o Zbliżenie do osób wyższych umysłem i cnotą — czy to rodziców, czy nauczycielki, czy kogo z przyjaciół. W naszych czasach więcej wpływu wywrze przyjaciółka od kogokolwiek, mającego prawo kontroli...

2-o Czujność — nie ta czujność nerwowa, podejrzliwa, drażniąca i pobudzająca niektóre dzieci do hardości i buntu, ale czujność jawna, spokojna, wzniecająca ufność, poczucie bezpieczeństwa i pewną ambicyę. Nadzór nad dziećmi nie uwłacza ich honorowi: jest to jakoby straż honorowa, ich godności należna.

3-o Nagana i strofowanie. — Używane zawsze z wielką ostrożnością nie mogą nigdy być zaniedbane bez niesprawiedliwości. Nie łatwo jest strofować w stosownej chwili, w stosownym tonie, bez gniewu, bez zniecierpliwienia, tak, aby nie zostawić bolesnego żądła; mieć odwagę zadać ból dla oszczędzenia gorszego złego; kochać prawdę i mieć odwagę ją wypowiedzieć; z czasem, w miarę podrastania dziecka zmieniać karcenie go na ton przyjaznej krytyki. Nagana — taka, jak być powinna — wymaga wiele rozwagi i pracy nad sobą tak, aby nie wpaść w zbytnią pobłażliwość lub też w łajanie i gderliwość nieznośną a pustą.

4-o Karność i posłuszeństwo. — Jeśli mają być narzędziem do wyrobienia charakteru, muszą być siłą nie martwą lecz żywą

i prowadzić do stopniowego owładnięcia samego siebie (*self government*) — nie zaś do nagłej emancypacyi. Posłuszeństwo musi z początku istnieć wobec osób i to szybkie i bez protestu, potem wobec reguły, a nareszcie wobec wielkiego prawa, którego każdy winien pilnie strzedz w swojej duszy, prawa miłości, a zarazem swobody Królestwa Bożego".

„Oto środki, jakiemi za pomocą różnych organów swej władzy posługuje się Kościół, aby nas wszystkich wychować.

Następny rozdział, traktujący o tym samym przedmiocie t. j. formacyi charakteru, poświęcony jest wszakże nie już dzieciom ale wychowawcom i da się streścić w słowach, iż to, czego się żąda od dzieci, winno się w sobie samym wyrabiać. Są i bardzo cenne wskazówki mianowicie sposób postępowania z naturami nieśmiałemi, z usposobieniem smutnem lub posmutniałem wskutek niezdarności fizycznej lub niepowodzeń w nauce.

Interesującym jest następny rozdział o nauce filozofii chrześcijańskiej. Autorce nie chodzi o filozofię książkową, lecz o wyrobienie myśli i pojęć, o nadanie pewnej podstawy sądom i logicznej łączności rozumowania. Tej zaś ostatniej zalety nie spotyka się często u mężczyzn a mniej jeszcze u kobiet; nieraz dyskusya w kwestyi na pozór jasnej toczy się w kółko, a w końcu szereg jaskrawo sprzecznych argumentów zmusza stronę rozsądniejszą do przerwania sporu i przejścia do porządku dziennego. M. Stuart nalega na wyrobienie u dziewcząt umysłu estetycznego, mającego zastosowanie w każdym szczególe i w każdej niemal okoliczności życia, a mającej ogromnie wpłynąć na szczęście i dobrobyt własny i całego otoczenia.

Większy jeszcze nacisk położony jest na elementarne podstawy teologii. I tu również nie chodzi o naukę fachową. Była chwila u nas, zwłaszcza w „zabranych prowincyach", że panie rzucały się w studya, przekraczające ich przygotowanie naukowe i zdolności. „Najmądrzejszy ksiądz potrzebuje kilku lat pracy, aby zrozumieć „Summę" św. Tomasza — mawiał ś. p. Henryk Wodzicki — tylko nasze panie od razu potrafią"!. Wynikiem oczywiście było zamięszanie pojęć i gorsze jeszcze od ń mniemanie, iż na skrzydłach teologicznych wzniosły się ponad

poziom powszedniej ludzkości. Chodzi o to, aby dziewczyna a potem kobieta umiała odpowiedzieć sama sobie na tysiące zapytań, rodzących się w głowie, aby umiała zbić trafną uwagą niejedno bzdurstwo, usłyszane w salonowej lub rodzinnej rozmowie, a z drugiej strony, aby z przeciwnikiem wiary nie rozpoczynała sporu, w którym brakłoby jej argumentów, zaczem jej porażka przybrałaby pozory porażki sprawy, aby wreszcie umiała rozeznać punkty na które nauka chrześcijańska może jej dać odpowiedź, a te, na których wyjaśnienie czekać nam trzeba do zorzy „światłości wiekuistej". Tych punktów zaś jest wiele i to dotykających bardzo blizko naszą duszę i serce. Teologia je omawia i określa, ale wyjaśnić je Bóg jeden zdoła. M. Stuart nie dotyka tego przedmiotu, a jednak jestto jedno z najważniejszych a najtrudniejszych do wpojenia prawd w życiu: konieczności cierpliwości wobec tajemnic „gospodarstwa" Bożego.

Po filozofii przechodzimy do strony materyalnej p. t. *The realities of life.* Zajęcia praktyczne traktowane są, ma się rozumieć, bardzo przychylnie, jako konieczne w przyszłem życiu rodzinnem. Jest przytem spostrzeżenie, iż, o ile w klasach wyższych uważane są za rzecz naturalną, wchodzącą samo przez się w skład wykształcenia panienki, o tyle rodzice ze sfer mieszczańskich patrzą na nie trochę krzywo, jakoby na poniżenie godności swych córek. Szkoła pomimo to uczyć je powinna — ale, jeżeli wolno w sprawozdaniu cudzego dzieła swoje, niezawisłe zdanie wypowiedzieć — szkoła może wyćwiczyć w poszczególnych gałęziach praktyczności, całości jednak, umiejętności prowadzenia domu i gospodarstwa nauczyć nie może. Panienka może ręce zapracować po łokcie, ale dopóki nie zna odpowiedzialności, dopóki dobrobyt, moralność i zdrowie całego domu nie zaciężyły na jej głowie — nie może mieć o niem pojęcia. Autorka nalega by każda nauczyła się przynajmniej dość, aby stać się niezależną od służby w osobistych swoich potrzebach. To już bardzo wiele. Drugim punktem jest opromienienie najskromniejszych zajęć domowych jasnością religijnego ideału. Owe najniższe usługi są podstawą życia rodzinnego — są zatem niemal świę-

tością. Jest nią zresztą każdy obowiązek, a spełnienie ich wszystkich, czy wzniosłych, czy nizkich — stanowi wartość żywota.

Z wielkiem zajęciem czyta się rozdział *Lessons and Play* (Lekcye i zabawa) pomimo, że już tyle i tyle o tem pisano. Niektórzy chcą, aby lekcya była zabawą, inni, aby zabawa służyła za lekcyę. Matka Stuart w żadną z tych ostateczności nie wpada. Mówi, że niema nauki bez pracy, a pracy bez strony uciążliwej i nudnej, *drudgery* jak mówią Anglicy. Ktokolwiek chce coś zdziałać, musi się zdecydować na przebrnięcie przez znój i trudności, zna się z niemi każdy urzędnik, każdy pisarz, każdy wojskowy, każdy ksiądz — bodaj sam Papież. Tego więc dzieciom oszczędzić nie podobna, ale można ułatwić im zadanie, pouczając je, jak się uczyć należy. Większość trudności bowiem, zwłaszcza u początkujących, na tem polega. Trzeba też umieć zadawać pytania tak, aby wiedziało, że go się nie chce zdradnie przychwycić, że pytanie nie jest pułapką. Co do zabaw — autorka nie krytykuje przyjętych obecnie ogólnie gier wspólnych, czyni tylko uwagę, że te zazwyczaj wymagają tyle uwagi, decyzyi i subordynacyi, iż właściwie przestają być odpoczynkiem po trudach nauki. To też większość dzieci przywiązuje się albo do nauk, albo do gry — rzadko się zdarza, aby kto w obu celował. Prócz tego gry zorganizowane sprawiają, że to dziecko — starsze lub młodsze — nie ma już w ciągu dnia ani chwili swobody — tu zaprzężone do klasy, tam do gry, obraca się jak koń w kieracie, co dla niektórych natur jest męką. Takim lepiej dać huśtawkę lub sznur do skakania lub pozwolić im w milczeniu zbierać kwiatki na łące — będą miały na chwilę złudzenie rodzicielskiego domu...

Z kwestyi zabawy wypływa i konieczność budzenia w dzieciach zamiłowania natury. Lekcye botaniki lub geologii na to nie starczą, bo można n. p. znać dokładnie wszystkie odcienia gatunków roślinnych, a nie odczuć piękności kwiatu tak, jak poznanie składników powietrza nie przyczyni się do podziwiania zachodzącego słońca. Są dzieci, które to mają z natury — widzieliśmy czteroletniego chłopczyka, szalejącego z radości i zdumienia na widok gwiaździstego nieba, które po raz pierwszy

spostrzegał. Inne trzeba w to wprawiać, trzeba je uczyć, jak patrzeć i jak łączyć myśl o Stworzycielu z rozpatrywaniem Stworzenia. — Ten sam rozdział zawiera też kilka wzmianek o nauce matematyki dla dziewcząt. Dziewczęta uczą się łatwo i z wielkim zapałem, nieustępując braciom ni w jednem ni w drugiem, że jednak ogień ten szybko gaśnie, bo organizm słabszy nie wytrzymuje długo potrzebnego napięcia. Zresztą zauważa słusznie, że matematyka wyższa mniej jest potrzebna w dalszym życiu kobiecie niż mężczyźnie, krom oczywista, wyjątków.

To samo, co przy matematyce, zauważa autorka przy innych wyższych studyach dla kobiet. Dużo zapału a brak wytrwałości w jednym kierunku — okrom tam, gdzie nauka ma być podstawą karyery. Zresztą stanowisko dziewcząt na uniwersytetach nawet tam, gdzie mają oddział osobny, jest zawsze nieco fałszywe i mało zachęcające. Są pozbawione tej całej atmosfery, która ogarnia chłopców. Goethe przyznaje, że w Lipsku nie uczył się prawie zupełnie, a nauczył się ogromnie wiele, bo samo powietrze, jakiem oddychał, przesiąkłe było wiedzą. Toż samo mówili studenci polscy z Bonn. Otóż tego właśnie brak studentkom i to jest jedną z przyczyn, dla których wyższe studya dla kobiet są dopiero kwestyą przyszłości. Matka Stuart, która łacinę wymienia jako jedną z koniecznych nauk dla katolickich dziewcząt, wyraża zdanie, iż program nauk gimnazyalnych i uniwersyteckich ułożony był dla mężczyzn stosownie do ich przeciętnych zdolności i późniejszych potrzeb w życiu. Otóż ten program nie da się z powodzeniem zastosować dla kobiet, trzeba jej przyznać, że umysł kobiety, wyuczonej męskim systemem, zawsze na jakimś punkcie kuleje, zazwyczaj — powiedzmy śmiało — jest tam wiedza a brak wykształcenia, które jest dla niej tem, czem jest wyszlifowanie dla drogich kamieni. Otóż obecnie daje się czuć brak owego wyszlifowanego. Dzisiejsza młodzież żeńska może w niejednem przewyższy ubiegłe generacye, ale im nigdy nie dorówna wdziękiem. A przecież ten wdzięk stanowił dla kobiet potęgę, jakiej żadne prawo głosowania nie zastąpi. Autorka omawia ten przedmiot obszernie, twierdząc słusznie, że większość form towarzyskich, od wieków przyjętych, miała początek w cnotach mo-

ralnych, wypływających z miłości bliźniego, więc choć niejedno w nich stało się dziś sztucznem, nie można ich w czambuł odrzucać bez obawy powrotu do pierwotnej dzikości. Przysłowie francuskie mówi że: *Les bonnes manierès consistent à savoir se gêner pour les autres* — brak więc tej wykwintności w obejściu ma u ludzi „wychowanych" źródło w bezwiednym egoizmie. Jestto sztuka potrzebna każdemu dla bliźnich a tem potrzebniejsza kobiecie. Jaką jest kobieta, takim będzie dom, taką rodzina. „Wielkie niewiasty zajęły miejsce w życiu ludzkości a nie w księgarniach; siłę ich stanowił charakter, a powołaniem ich było szerzenie cywilizacyi w najwznioślejszem znaczeniu słowa. — Panowały nie na prawach z Bożej łaski królów ale na prawach z Bożej łaski królowych, zupełnie odrębnych, a których nikt im nie zaprzeczy, jeżeli same nie złożą korony lub jej nie powloką na pole sporu na to, by ją zważono i zmierzono z koroną królów. Niebiosa są własnością Pańską, a ziemię dał synom człowieczym, niewiastom zaś miejsce Bóg zdał się wyznaczyć na pograniczu nieba i ziemi, aby strzegły jednoczących je ogniw i ludzi z ziemi ciągnęły do nieba... Portrety matek świętych mogłyby całe galerye napełnić"...

Czyż można wskazać piękniejszy cel wychowania? Albo też piękniejsze środki, jak wpierw wychowanie samego siebie i umiłowanie dzieci, upatrując w nich dziedziców Królestwa Bożego, a potem szczerość w słowach i czynie, praca wesoła i dzielna, sztuka panowania nad sobą dla siebie i drugich, wyćwiczenie we wszystkim, co piękne i dobre w miarę zdolności każdej jednostce właściwej... Czegóż więcej do wychowania potrzeba? Chyba po błogosławieństwie Bożem — tego łuta szczęścia niezbędnego, gdy chodzi o udanie się każdego dzieła. Widziano świętych i łotrów, chowanych przez te same matki, widziano niegodziwych uczniów, wychodzących z pod nauki najlepszych mistrzów, żaden więc system, żadna metoda wychowania nie może być uniwersalnie i bezwarunkowo skuteczną. O ile jednak ludzkich sił i rozumu starczy, o tyle zda się dokazała Matka Stuart, aby Kościołowi przyspieszyć nowych sił obronnych, a społeczeństwu przysposobić zastęp jasnych umysłów i dzielnych a gorących serc. *T. Wodzicka.*

Tydzień etnologiczny w Lowanium.

Jedną z najtrudniejszych do zbadania dziedzin etnologii jest ta, która ją łączy z nauką porównawczą religii, mianowicie badanie religii ludów pierwotnych, lub na nizkim stopniu cywilizacyi stojących. Powody trudności polegają na tem, iż pojęcia religijne z jednej strony nieraz bardzo są niejasne u poszczególnych szczepów a przytem nader różnolite, z drugiej strony zaś ludy te niełatwo i niechętnie je wyjawiają, tak, iż tylko ci, co po długoletnim pobycie w tych krajach ufność ich sobie potrafili pozyskać, mogą dojść do poznania ich prawdziwych zapatrywań pod tym względem. Z powodu jednak ścisłej łączności, jaka zachodzi między religią tych ludów a ich życiem, obyczajami, całym sposobem myślenia, bardzo nieraz oryginalną kulturą i rozwojem umysłowym, staje się to pole badań jednem z najważniejszych dla etnologii, będąc równocześnie głównym przedmiotem nauki porównawczej i historyi religii. Ta ważność tego przedmiotu oraz trudności w badaniu dały powód do specyalnych zjazdów, których celem było z jednej strony porozumienie się co do rezultatów, osiągniętych w najrozmaitszych krajach i częściach świata, z drugiej przedstawienie trudności i naradzenie się nad metodycznem postępowaniem w badaniu. Przyczyniły się do tego w znacznej mierze liczne fałszywe zapatrywania, oparte na powierzchownych badaniach podróżników, którzy krótki tylko czas bawili wśród tych ludów, oraz potrzeba nietylko gruntownej i jednolitej pracy na tym polu, ale też połączenie rezultatów w taką całość, by mogły rzucić

światło na stan i stosunek ludów na całym świecie. W ogólnych zarysach trzymali się wszyscy zasad szkoły etnologicznej Ratzla i Graebnera, które ten ostatni przedstawił w swem dziele z r. 1911. pod tytułem: „Metode der Ethnologie". Jest to metoda t. zw. „Etnologiczno-historyczna", do której wydoskonalenia przyczynił się niemało W. Schmidt, Dyrekt. „Anthropos" w swych dwóch dziełach „Voies nouvelles en sciences comparée des religion et en sociologie" i drugiem „Die kulturhistorische Metode in der Ethnologie". Oba wyszły w tym samym roku 1911. Metoda ta tem się różni od dotychczasowej metody ewolucyonistycznej, iż, nie wykluczając ewolucyi tam, gdzie się da wykazać, wyklucza przedewszystkiem wszelki apryoryzm owej szkoły, wciągając za to i uwzględniając szeroko czynniki pierwiastku ludzkiego, zwłaszcza wzajemne najrozmaitsze wpływy kultury tych ludów, by na tej podstawie dojść do zbadania właściwego stanu ludów pierwotnych, ich ruchów w ciągu wieków i wynikłych stąd t. zw. cyklów kulturalnych.

Chociaż głównym celem było poznanie religii ludów pierwotnych, to jednak wciągnięto też rezultaty badań etnologicznych wogóle, gdyż zbyt ściśle łączą się te dwie rzeczy, oraz wszystkie religie niechrześcijańskie, tak, iż zjazd miał przed sobą pole badań nader obszerne, gdyż obejmowało ono wszystko, co się tyczy ludów pozaeuropejskich niechrześcijańskich, uwzględniając jednak zawsze na pierwszem miejscu pojęcia religijne.

Odczyty odnosiły się tak do ogólnych, metodycznych zagadnień, jak i do specyalnych, bardziej lokalnych badań. Zjazd trwał dziewięć dni, a ponieważ dziennie trwały odczyty pięć godzin, więc omówiono sporą ilość przedmiotów. W ogólnej części, która trwała przez cztery pierwsze dni, przedstawiano kwestye metodyczne z dziedziny etnologii i ergologii, sposoby badań lingwistycznych u ludów pierwotnych i najnowsze tychże wyniki, badania nad nauką porównawczą religii, kwestye animizmu, totemizmu, czarnoksięstwa, stosunek religii do socyologii i moralności, wreszcie omówiono teoretyczne i praktyczne zadania psychologii religii i stosunek mistyki do religii u ludów niechrześcijańskich. Ostatnie cztery dni odnosiły się do kwestyi

specyalnych: pięć odczytów do mitologii astralnej, dziewięć do historyi i obecnego stanu Islamu, w dwóch omawiano Buddyzm, wreszcie jeden poświęcono mitologii i rytom starorzymskim. Wobec wielkiego materyału, jaki został omówiony, wybieram tylko niektóre, bardziej mogące nas zająć kwestye.

Ponieważ po większej części badania odnosiły się do Australii, gdzie też odniosły rezultaty najbardziej zajmujące, usuwając niejedno fałszywe dotychczasowe zapatrywanie, więc też niemi na pierwszem miejscu się zajmiemy. Musimy je jednak poprzedzić kilku kwestyami natury ogólniejszej, których pojęcia też się zmieniły na podstawie gruntowniejszych badań, gdyż zachodzą później w omówieniu etnologii australskiej. Są to pojęcia totemizmu i animizmu, oraz czarnoksięstwo i stosunek moralności do religii u ludów na niższym stopniu cywilizacyi.

Jednym z punktów wspólnych wszystkim ludom jest pojęcie duszy.[1] Niema ludu, któryby nie wierzył w istnienie duszy i życie pozagrobowe. Większość znaczna przyjmuje jej nieśmiertelność, a wiele też ludów w mniejszym lub większym stopniu ma pojęcie nagrody i kary w tamtem życiu. Dwóch przedstawicieli szkoły ewolucyonistycznej Tylor i Dürkheim, zajęło się omawianiem tej kwestyi w swych dziełach. Tylor twierdzi w swej teoryi animistycznej, iż jak człowiek nie ma pierwiastka duchowego, tak też i w pierwotnym stanie pojęcia duszy mieć nie może. Powstanie tego pojęcia przypisuje snom. Socyolog Dürkheim zaś twierdzi, iż pojęcie duszy powstało z indywidualizacyi pojęcia „mana“ i że wedle wiary tych ludów jedna dusza ożywia społeczeństwo, indywidualizowana w jednostkach. Byłaby to dusza kollektywna.

Zupełnie inne jest zapatrywanie szkoły historyczno-kulturalnej. Na podstawie gruntownych badań ostatnich kilku lat przekonano się, iż ludy, które zachowały czystą kulturę najprymitywniejszą, takimi są np. w Australii ludy, mieszkające na południ. wschodzie (Kurnajowie) i na północy koło cieśniny Torresa a w Afryce zwłaszcza Pygmejczycy np. w Sudanie, mają najjaśniejsze stosunkowo pojęcie duszy, jej nieśmiertel-

[1] A. Bros, Dyr. szkoły Saint Aspais w Melun.

ności i sankcyi moralnej, a pochodzi ono nie ze snów, jak twierdzi teorya Tylora, ale z uczucia własnej jaźni i aktywności, a przytem co dziwniejsze, mają pojęcie istoty Najwyższej, najmniej mitologią zaciemnione. Fakta więc same w tym wypadku najjaśniej przemawiają. Naturalnie odnosi się to do pochodzenia pojęcia duszy, nie wyklucza zaś wpływu snów na to pojęcie.

Jedna z rzeczy, która najbardziej była omawiana w literaturze etnologicznej ostatnich lat, był „totemizm". Totemizm[1] jest to pewne mniemanie niektórych ludów, na niższym stopniu cywilizacyi stojących, iż łączy ich jakiś stosunek z przedmiotami natury, z pewnemi roślinami, zwierzętami, lub innemi zjawiskami np. burzą, które uważają za objaw lub formę zewnętrzną ducha opiekuńczego jednostki i wtedy jest to „totemizm indywidualny" albo pewnej grupy ludzi np. klanu, a wtedy jest zbiorowy. Tak np. lud Fanów,[2] mieszkający na północ od ujścia Congo, ma pewne pojęcie parallelizmu totemistycznego. Jeźli tym totemem szczepu pewnego jest np. pantera t. zn., iż najstarszy przodek był w pewnym stosunku z duchem, którego zewnętrzną formą jest pantera, wskutek tego pozostaje on opiekunem szczepu i panuje zwykle zakaz zabijania tego rodzaju zwierząt. Otóż nasuwa się kwestya, czy totemizm, czyli to mniemanie i łączące się z niem nieraz zewnętrzne przepisy, należą do religii owych ludów, czy też są od niej niezależne? Ostatecznej odpowiedzi dać na razie nie można, ale wszelkie dane przemawiają za tem, iż mimo pewnego podobieństwa, totemizm jest czemś zupełnie odrębnem, co raczej z czarodziejstwem ma coś wspólnego, niż z religią, kultem istot wyższych. Główna myśl totemizmu jest raczej przyswajanie sobie przymiotów totemu, czyli owej istoty opiekuńczej. Wszystkie ludy dokładnie to odróżniają, mimo, iż nie byłby wykluczony pewien wpływ totemizmu na religię i nawzajem, ale pochodzenie, geneza obu tych objawów życia u tych ludów są zupełnie odrębne.

Bardzo dotąd mało znaną rzeczą u wielu ludów jest czarnoksięstwo. Jest to coś zupełnie przeciwnego religii. Religia jest

[1] Prof. Ferd. Bouwier z Ore Place w Anglii.

[2] H. Trilles autor dzieła „Totémisme chez les Fans".

to kult i poddanie się istotom wyższym, czarnoksięstwo zaś dążność do osiągnięcia swych pewnych celów w przeciwieństwie do prawa moralnego. O ile przedstawiciele kultu religijnego np. fetysze, naczelnicy plemion, mają jako tacy uznane stanowisko socyalne, o tyle czarnoksiężnicy są stanem, będącym poza porządkiem socyalnym. Tworzą oni tajne towarzystwa i związki, obecnie coraz bardziej się rozszerzające, a wogóle znienawidzeni są przez lud, który ich się ogromnie obawia. Mają oni jednak wielkie znaczenie zwłaszcza wskutek ścisłej organizacyi. Europejczycy uważali ich wogóle za ludzi bez dalszego znaczenia, a im szło o to, by pod pozorem, iż nie są godni uwagi, łatwiej się ukryć. Badanie natrafia tu z powodu bardzo ścisłej tajemnicy na wielkie trudności. Rozróżnia się u nich trzy stopnie, a wstęp do każdego z tych stopni połączony z rozlicznymi skomplikowanymi obrzędami, pomiędzy którymi zachodzi stale rodzaj mordu rytualnego. Wogóle wpływ ich bardzo zgubny na społeczeństwa, w których żyją zawsze pod osłoną tajemnicy. Organizacya ich, bardzo w Afryce rozgałęziona, polega na tem, iż członkowie wyższego stopnia są naczelnikami poszczególnych grup niższych czarnoksiężników. Na czele wszystkich stoją trzej t. zw. władcy wody, ziemi i powietrza, kierujący związkiem w sposób jak najbardziej ukryty. Ludzie jednak, mimo obawy, gdzie tylko mogą bez niebezpieczeństwa, chwytają czarnoksiężników i pozbawiają życia.

Nasuwa się teraz jedna kwestya, będąca przedmiotem wielu polemik między etnologami, mianowicie stosunek religii do moralności u ludów prymitywnych lub na nizkim stopniu cywilizacyi stojących.[1] Była już wzmianka, iż jest to faktem, że ludy, które utrzymały się w pierwotnym stanie, mają o wiele jaśniejsze pojęcie Istoty najwyższej, nie znają totemizmu, ani magii. Wogóle pojęcie Istoty najwyższej, gdziekolwiek ono nie jest zupełnie zatarte pod wpływem mitologii, jest, chociaż nieokreślone ściśle, to jednak zawsze bardzo wzniosłe i szlachetne. Z pojęciem Istoty najwyższej łączą się wszelkie przepisy i prawa owych ludów, a w miarę zacierania się owej wzniosłej

[1] A. Lemonnyer, dyr. szkoły w Kain.

idei stają się one jedynie obowiązujące, jako nakazane pod pewną karą. Im bardziej opanowuje umysł owych ludów wpływ mitologii, tem bardziej tracą postacie mitologiczne, bóstwa najrozmaitsze, na wartości moralnej. Gdzie ludy zatraciły zupełnie wszelkie poczucie i wiarę w ową Istotę, o której mówią, że wszystko do niej należy, gdzie politeizm zupełnie jest rozwinięty, tam też i wszelkie niższe namiętności zostały uosobione w bóstwa, a kult ich odpowiada nizkiemu poziomowi, z jakiego powstały. Prawa i przepisy są wprost niemoralne, a lud uległ zupełnie totemizmowi i przesądom magicznym. Rozwój tu zależy od ilości wpływów zewnętrznych.

U ludów, które zachowały pierwotne pojęcia i mało mają mitologicznych naleciałości, widzimy moralność, kwitnącą wraz z pojęciem Istoty najwyższej. U wspomnianych już plemion południowo-wschodniej Australii znaleziono niedawno nawet modlitwy do Istoty najwyższej, które brzmią jak następuje: „Boże, jesteśmy w nieszczęściu, Ty jesteś naszym Ojcem, my twoje dzieci; pomóż nam". Dziwna rzecz, że słowo Bóg u niektórych ludów Mu-ngu, Mwiny'ezi lub Mumgan-mgana ma stałe prefix istot żywych i nie ma liczby mnogiej. Byłby to prawie monoteizm; różni się tem, iż pojęcie to u nich nieokreślone i nie mogą sobie z niego zdać jasno sprawy. Ale wystarczy, by ktokolwiek im przedstawił jasno pojęcie Boga u chrześcijan, a zaraz jasno je rozumieją.

Przejdźmy teraz do przedstawienia stosunku wszystkich poszczególnych warstw ludności w Australii.[1] Najstarsza warstwa obejmuje plemię Kurnajów, właśnie wspomniane, godne uwagi ze względu na pojęcie Istoty najwyższej bez domieszki mitologii. Ludy te usunięte zostały przez drugą warstwę, t. j. cykl bumerangu, t. zw. od użycia tego rodzaju broni. Ten napływ przybył prawdopodobnie z północnego-wschodu, gdyż znajdujemy resztki pierwszej warstwy po obu krańcach Australii. Istnieje jeszcze u nich pojęcie Istoty najwyższej; na pierwszy plan jednak wysunął się kult księżyca. Jest on symbolem czło-

[1] W. Schmidt, dyr. „Anthrop."

wieka śmiertelnego, który umiera, a potem wraca do nowego życia.

Ta druga warstwa zmieszała się po większej części z 3-cią, już zupełnie odrębną. Jest to cykl patryarchalny o rozwiniętym totemiźmie; ta warstwa ludów przyniosła ze sobą cześć słońca i spotykamy się tu z charakterystycznym rysem, mianowicie w mitologii widzimy wszędzie pewną opozycyę tych dwu różnych bóstw mitologicznych. Łączą się one z całym szeregiem mitów natury astralnej, między którymi obok słońca i księżyca spotykamy się też ze czcią planety Venus. Trzeba jednak rozważyć, iż te mity nigdy odrazu nie przenoszą się w dziedzinę pojęć religijnych. Powstają zawsze jako mity poza obrębem religii i powoli dopiero przenoszą się i wiążą z postaciami bóstw. Proces ten dokładnie można śledzić. W ten sposób świat pojęć religijnych zapełnia się niezliczoną ilością postaci i mitów, obracających się dokoła kilku tematów.

Badania mitologiczne wykazały jeszcze czwartą, całkiem oryginalną warstwę napływową, jest to cykl kulturalny matriarchalny, który jak zwykle tego rodzaju zakresy kultury, łączy się z kultem księżyca, ale już nie jak druga warstwa jako symbol człowieka, lecz odróżnia księżyc jasny i ciemny, jako dwóch braci.

Następne trzy cykle kulturalne nie są już oryginalne, ale pochodzą z pomieszania cyklu 3-go patryarchalnego z poprzedzającym. Świadczy o tem mitologia, przedstawiająca stale opozycyę dwu tematów słońca i księżyca z tą różnicą, iż w 5-tym cyklu symbolem księżyca jest wrona, symbolem zaś słońca sęp, odnoszący zawsze zwycięstwo w walce. Później symbolizuje słońce postać syna bóstwa Emona, który prawie zupełnie opanowuje pojęcia religijne. Pierwotne pojęcie Istoty najwyższej albo zupełnie znikło, albo bardzo uboczne zajmuje stanowisko; jest to wprawdzie jeszcze pan świata, ale wystawiają go sobie jako starca niedołężnego. Takto mitologia, przynosząc ze sobą ciągle nowe pierwiastki, zaciemnia pierwotne pojęcie Istoty najwyższej, tworząc jakby corazto gęstszą tkaninę naj-

rozliczniejszych mitów, wśród których znika coraz bardziej jasność pierwotnych pojęć.

To są rezultaty badań nad ludami australskimi, które polegały na tem, iż zebrano wszelki materyał mitologiczny wszystkich części kraju i zestawiono z innymi ich obyczajami, porównując je równocześnie między sobą. Podobny zupełnie rezultat osiągnięto na podstawie badań lingwistycznych. (Anthrop. 1912 r.). Te rezultaty są zupełnie przeciwne dotychczasowemu mniemaniu; uważano bowiem powszechnie szczep Aranda, mieszkający w Australii środkowej za najstarszą warstwę istot ludzkich, mieszkających na ziemi. Ich zdziczenie i nadzwyczaj nizki poziom moralny był powodem, iż twierdzono, że oni to są owemi istotami przejściowemi między małpą a człowiekiem. Gruntowniejsze tymczasem zbadanie ich obyczajów, mitologii, zapatrywań religijnych i języka, w porównaniu z innemi plemionami wykazuje, iż nietylko nie są ludźmi pochodzącymi od najstarszych mieszkańców Australii i ziemi wogóle, ale iż są przeciwnie warstwą napływową najmłodszą, zdziczałą wskutek zaniku zupełnego wszelkich uczuć moralnych i religijnych, których miejsce zajęło nieprzejrzane mnóstwo najrozmaitszych mitów astralnych lub totemistycznych, uniemożliwiających przystęp wszelkim wyższym ideałom.

Przejdźmy teraz do innych wyznań, w których ostatnie lata znaczne wywołały zmiany. Przewroty na wschodzie osłabiły istnienie dwóch potężnych dotąd religij, Islamu i Buddyzmu. Islam wprawdzie nie stracił tyle wskutek klęsk państwowych, ale jednak w różnych stronach okazuje osłabienie. Cały szereg studyów nad Islamem wyświetliło dużo z jego historyi. Niemogąc wszystkiego przedstawić, co zostało wygłoszone na zjeździe, co do jego dziejów i obecnego jego stanu, niektóre tylko najbardziej zajmujące szczegóły wybieram.

Z pierwszych początków Mahomedanizmu[1] nasuwa się mimowoli pytanie, czy twórca jego był człowiekiem szczerym, czy też w całem jego życiu mamy do czynienia z obłudą. Otóż najnowsze badania (Lammens „Mohammed fut-il sincère?“

[1] Dr. Edw. Power, prof. Uniw. w Bejrucie.

Recherches de Science Religieuse 2-e année, 1911.) przemawiają za tem, iż przynajmniej w pierwszych latach głoszenia swojej nauki, nie był Mohamet ani obłudnikiem, ani socyalistą, ale szczerym głosicielem wyznania, które uważał za prawdziwe. Był on jednak z drugiej strony nie zupełnie normalnym; choroby nerwowe, usposobienie bardzo uczuciowe, sny i autosugestya objaśniają jego inspiracyę. Brak mu było zmysłu logicznego, a przytem odbija się pewna niejasność w odróżnianiu dobrego od złego. W ciągu życia zaszła zmiana w charakterze jego; po powodzeniach w Medynie, zatraca się ta szczerość i występuje już zupełnie w innej roli, niż z początku. Odtąd niema wątpliwości, iż stał się człowiekiem, nie dążącym już do celów idealnych, z której to drogi cofnąć się było trudno.

Z dziejów Islamu o jednej tylko postaci wspomnimy, o sławnym mistyku arabskim Al Ghazzali.[1] Przedewszystkiem należy podnieść, iż asceza jego bardzo ma dużo wspólnych punktów z chrześcijańską; wystarczy wyliczyć 9 stopni, mających prowadzić do najściślejszej jedności z Bogiem: pokuta, cierpliwość w przeciwnościach, wdzięczność za dobrodziejstwa Boże, bojaźń, nadzieja, dobrowolne ubóstwo, wyrzeczenie się świata i własnej woli, wreszcie miłość Boża. Znajdujemy każdy z tych punktów szeroko rozprowadzony w licznych dziełach Al Ghazzáli'ego. Do mistyki odnosi się zwłaszcza ostatni punkt, o miłości Bożej, dokładnie przedstawiony w dziele pod tytułem: „Ihya". Tutaj spostrzega się znaczny wpływ neoplatonizmu; All Ghazzali znał dobrze Plotyna, którego „Enneady" tłómaczone były na arabskie. Widać wpływ ich na jego teoryę psychologicznej miłości. Skutkiem głównym miłości jest ścisły związek z Bogiem i upodobanie w Jego woli. Wpływ chrześcijaństwa pokazuje się w przepisach jakie daje; poleca między innymi czystość intencyi. Jednym z głównych środków jest u niego codzienny rachunek sumienia i rozmyślanie, które poleca, opierając się zarówno na powadze Mahometa, jak i Chrystusa Pana. Anormalne zjawiska psychologiczne uważa Al Ghazzali za nadnaturalne. Pewien rodzaj muzyki klarnetu i bębna służy jako środek fizyczny, by prze-

[1] Dr. Miguel Asin y Palacios, prof. Uniw. w Madrycie.

nosić się w stan extatyczny. Najważniejszą jednak różnicą między ekstazą tej mistyki a ekstazą, napotykaną u świętych chrześcijańskich jest to, iż ów stan ekstatyczny pozbawia świadomości i wolności woli, podczas gdy właśnie w mistyce chrześcijańskiej te dwie najważniejsze władze ducha ludzkiego nietylko nie zatracają się, ale wzrastają w tym stanie, koncentrują się i potężnieją w sposób naturalnie niewytłómaczony.

Różne wpływy działały na Al Ghazzaliego przy utworzeniu jego systemu; przeważnie jednak jest to połączenie niektórych zasad chrześcijańskich z neoplatonizmem. Można jednak i inne pierwiastki tam odkryć, zwłaszcza essenizm i sufizm. Znaczenie nauki Al Ghazzaliego dla Islamu było wielkie i z pewnemi zmianami ogólnie została ona przyjęta. Charakterystycznem jest, iż mimo tak silnych wpływów chrześcijańskich, mimo, iż naukę Chrystusa Pana po części przyjmuje, to jednak pełen jest nienawiści do religii chrześcijańskiej, gdyż Mahometa nie uznaje. Dziwnem, iż zasady chrześcijańskie, zaczerpnięte przez niego na wschodzie, zetknęły się znów na zachodzie w Hiszpanii z chrześcijaństwem, ku wielkiemu zdziwieniu jego zwolenników, którzy nie mogli sobie wytłómaczyć, skąd w Islamie wzięły się tak wzniosłe zasady ascezy.

Przechodząc z kolei do obecnego stanu Islamu, trzeba rozróżnić Azyę i Afrykę, w których inaczej się rozwija. Do Indyi[1] wtargnął Islam w pięć lat po śmierci proroka. Obecnie ½ mieszkańców go wyznaje; ¾ w okolicach Kaszmiru a w Pendżabie 52%. Znacznie mniej Mahometan na południu i w dorzeczu Gangesu, gdzie ich tylko 11%. Ogółem 70 milionów Muzułmanów a 27 pogan; dokładnej statystyki trudno naturalnie wystawić. W historyi Islamu w Indyach charakterystycznym rysem jest pewna łatwość stosowania się do okoliczności i uleganie wpływom innych wyznań. Religia proroka nabrała od Buddaizmu i Bramanizmu pewnego panteistycznego zabarwienia. Pomimo tego jednak wpływ pozostał znaczny i trzeba przyznać, do pewnego stopnia, korzystny. Powód tego leży w wielkiej niemoralności religij politeistycznych. Widać to już

[1] P. Dahmen.

w zewnętrznym wyglądzie: Muzułmanie są wszyscy więksi, silniejsi i zdrowsi, niż drobni i bojaźliwi Hindusi, których też ilość zmniejsza się z roku na rok. Islam przyniósł przedewszystkiem monoteizm, którego wszelkie zarodki znikły od dawna u pogańskiego Hindusa. Z monoteizmem zaś pewną wyższą moralność, usuwając przedewszystkiem kult niemoralny bóstw pogańskich. Muzułmanin jeśli pije, to przynajmniej wie, iż się to nie zgadza z zasadami Koranu. Inną dobrą stroną Islamu dla Indyi jest jego demokratyczność; religia proroka znosi kastowość, a jeśli nie zupełnie, to przynajmniej łagodzi różnice, podnosząc los Pariasów. Wreszcie wprowadza myśl pewnej sankcyi w przyszłem życiu. Wniósł on też do Indyi pewien rozwój przemysłu, handlu i sztuki. Tworzy on silną jedność wśród rozbicia chaotycznego Hindusów, niejako państwo w państwie. Monoteizm, pewna moralność i równość, to były główne dobre strony Islamu w tym kraju; to też rząd angielski z nim się liczył. Nie brak jednak wielu ujemnych stron: słusznie można się o Mahomecie i o jego religii wyrazić, że to był „un colporteur, pas un porteur d'Idée". Koran prócz wielu zgubnych nauk, jest nacechowany pewnem niezrozumieniem niektórych wyższych myśli, które zawiera, zapożyczonych od chrześcijaństwa. To też Muzułmanie nie są przejęci nauką, ale jedynie zewnętrzną jego stroną, — jak to się nieraz zdarza. Filozofia i nauki w obecnym stanie Islamu, to rzeczy zupełnie poboczne. Znać bardzo silną stagnacyę; zastój na każdem polu, to charakterystyczny rys współczesnego Islamu. Doprowadził on społeczeństwa do pewnego stopnia kultury, a dalej już nie sięga, gdyż granicą jego Koran.

Co do wewnętrznego życia Islamu,[1] to jak podobne mu wyznania, nie potrafił się oprzeć wpływom zewnętrznym. Cztery czynniki działają silnie rozkładowo na Islam w Indyach.: politeizm, kastowość, racyonalizm i chrześcijaństwo. Monoteizm muzułmański dużo stracił ze swej jasności pod wpływem panteizmu i politeizmu, zwłaszcza cześć bóstwa Pirs rozszerzyła się wśród wyznawców proroka. Choć Islam po części złagodził

[1] E. Blatter, prof. uniwers. w Bombaju.

kastowość indyjską, to jednak ze swej strony przesiąkł w wielkiej mierze temi zapatrywaniami. Najsilniej podkopały Islam racyonalizm i cywilizacya zachodu: sekty mnożą się. Między innemi też cieszy się wielu adeptami Neoislam Sir Said Achmeta; prócz nazwy jednak niewiele z Koranu zachował, asymilując pierwiastki obcej kultury i wyłączając wszystko, co uważano za nadnaturalne. Wpływ chrześcijaństwa też znać, ale jest to chrześcijaństwo przekręcone i niezrozumiane.

Zupełnie inne jest znaczenie Islamu w Afryce.[1] Tu jest zupełnie przeciwnie, niż w Indyach; Islam tu głęboko upadł pod względem moralnym i mimo monoteizmu de facto stale szkodę przynosi poganom, którzy nie stoją tak nizko przeciętnie jak np. Hindusi z nad Gangesu. Tu jest Mahometanizm czystą tylko formalnością, polegającą na pewnych formułkach i zewnętrznych obrzędach. Ostoją Islamu w Afryce to marabutyzm; marabuci, przedstawiciele wiary muzułmańskiej, koncentrują tu wszystko, co się do Islamu odnosi i oni to największem u ludu cieszą się poważaniem. Jedynie szerząca się nauka i cywilizacya europejska niemałą robi im konkurencyę. Islam szerzą w Afryce marabuci i handlarze, ale zawsze w miarę posuwania się kolonii europejskich, w których czują się bezpieczni, zwłaszcza, iż dopiero w ostatnich czasach rządy przestały popierać jego rozwój. Rząd francuski obecnie popiera fetyszyzm. Wtargnięcie Islamu w jaką okolicę jest połączone z upadkiem poziomu moralnego i utrudnia bardzo nawrócenia pogan. Poganie nigdy szczerze nie przechodzą na Islam, ale ze względu na interes.[2] Muzułmani pełni są pogardy dla innych i żadnej zbrodni względem niemuzułmanów nie uważają za złą.

W obecnym stanie rzeczy, tak w Indyach, jak i w Afryce w miarę szerzenia się wpływów europejskich, co obecnie bardzo szybko postępuje, Islam traci na znaczeniu. Rząd turecki zajął wobec wszelkiej religii stanowisko dość obojętne, wskutek tego

---

[1] A. M. Marchal.

[2] Panuje przysłowie u Murzynów: „Chcesz nieba, to stań się katolikiem, chcesz bogactw bądź protestantem, a chcesz kobiety, to idź do Islamu".

wątpliwem się staje, czy religia proroka wogóle ostanie się wobec obcych wpływów.

Przejdźmy teraz do innej religii, której na dalekim wschodzie o wiele szybszy jeszcze upadek grozi, niż Islamowi, jest nią Buddaizm. Jeżeli Islam tak znaczną ilość mieszkańców Azyi i Afryki obejmuje, to o Buddaizmie można powiedzieć, iż on panuje w państwie, którego poddani tworzą jedną trzecią ludzkości. Otóż to państwo obecnie przechodzi bardzo ważną chwilę, najważniejszą może w jego wiekowem istnieniu, chwilę zmiany religii. Buddaizm się przeżył; nadeszła dla Chin nowa epoka, w której ma się rozstrzygnąć, czy 400 milionów ludzi przejdzie na chrześcijaństwo.

Przypatrzmy się bliżej Buddaizmowi i przyczynom jego upadku.[1] Ściśle biorąc, panują w Chinach trzy religie obok siebie; ogromne masy ludu jednak wyznają Buddaizm, tak, iż inne wyznania mało stosunkowo mają przedstawicieli. Temi religiami są Konfucyanizm, który wyznają klasy wykształcone społeczeństwa i Taoizm, znajdujący swych zwolenników wśród niewielkiej stosunkowo ilości chińskich Bonzów. Konfucyanizm jednak, ściśle biorąc, nie jest religią; Konfucyusz ograniczył się właściwie do tego, iż spisał niektóre tradycyonalne wierzenia religijne i praktyki przeszłych wieków i różne przepisy moralne, tyczące się obowiązków ludzi. Uwzględniony przez niego kult nieba, duchów i przodków już przed nim istniał. Taoizm zaś, to raczej bardzo niejasny kult duchów, przypominający gnostycyzm starochrześcijański, zbliżony trochę do magii. Łączy się z kultem duchów przez to, iż czci uosobione siły natury, nie wykluczając kultu przodków. Choć Konfucyanizm wyznawany jest tylko przez część ludności, to jednak jego zasady uznane są w całych Chinach. On to nakreślił przepisy dla Bonzów, według których oni powinni pracować nad wykształceniem własnem i ludu, zakładać szkoły, wypełniać uczynki miłosierdzia i żyć wedle zasad moralnych. Był to bardzo wysoki ideał, którego się jednak Bonzowie nie trzymali; taksamo jak Lamowie (w Tybecie), tak też instytucye Lamów i Bonzów pod ka-

[1] Ars. Völling.

ždym względem głęboko podupadły. To oddziałało naturalnie zniechęcająco na lud; to też, gdy przyszło po rewolucyi do ustanowienia nowego rządu, który wyrzekł się Buddaizmu i ogłosił, iż przestaje być religią państwową, lud obojętnie to przyjął i owszem mówiono, iż to dobrze, gdyż Bonzowie nie trzymają się przepisów Konfucyusza, że te przepisy raczej są wypełniane przez przedstawicieli chrześcijaństwa. Z chwilą więc, w której Buddaizm przestał być religią państwową, stracił podstawę istnienia. Wszyscy oglądają się na chrześcijaństwo, które przyczyniło się do tak wielkiego rozwoju ludów europejskich.

Najwięcej zwolenników i wyznawców ma katolicyzm, istniejący już od 600 lat; liczba ich wynosi 1,320.000. Protestantów, rozbitych na różne sekty jest 280.000, ale mają oni wielkie środki finansowe i znaczną ilość szkół. Charakterystycznem jest, iż rząd ogłosił 27. kwietnia b. r. uroczyste nabożeństwo za nowe państwo chińskie we wszystkich kościołach katolickich, na których byli obecni mandaryni i inni urzędnicy, oraz wielkie tłumy pogańskich jeszcze Chińczyków. Jest to zjawisko bardzo pocieszające, które świadczy o tem, iż Chiny pragną, by prawdziwa religia zapanowała w państwie.

Ta była w ogólniejszych zarysach treść zjazdu, który bardzo był zajmującym, dając równocześnie pogląd na stan ludów pod względem religijnym i na znaczenie rozszerzenia chrześcijaństwa. Dokładne sprawozdanie z wszystkich odczytów wyjdzie w kwietniu 1914 r., w którem będzie można znaleźć wszelkie szczegóły, odnoszące się do tych zajmujących rezultatów badań etnologicznych.[1] Najbliższy zjazd ma się odbyć w r. 1915. w jednem z miast zachodnich Niemiec.

Ogólne wrażenie nadzwyczaj korzystne, jakie się odniosło ze zjazdu było to, iż obecnie ze strony katolickiej też rozwija się akcya naukowa, mająca na celu wyświetlenie prawdy w nauce etnologii. Jeżeli się porówna pracę naukową kół akatolickich z tem, co z naszej strony się robi pod tym względem, to bardzo się odczuwa braki, które u nas panują. Takiem polem, zupełnie

[1] Sprawozdanie z ostatniego zjazdu wyszło w kwietniu b. r. Bruxelles, Devit. 1913.

prawie zaniedbanem, była aż do ostatnich lat etnologia i historya religii. Wielką jest więc zasługą inicyatorów tego zjazdu, iż z jednej strony podają stan nauki dotychczasowej, z drugiej wzajemnem porozumieniem zachęcają do dalszej pracy, by wyświetleniem prawdy przyczyniać się do obrony wiary. Sprawdza się nieraz słowo Pisma św., iż „filii huius saeculi prudentiores filiis lucis in generatione sua sunt"; tak bowiem pod względem pracy naukowej, jak i inicyatywy na tym polu nic nie zaniedbali przeciwnicy wiary, by ją podkopać, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat, podczas gdy z naszej strony widać nieraz lekceważenie znaczenia pracy naukowej dla rozszerzenia i utwierdzenia wiary w duszach. Dopiero po wielu stratach i rozszerzeniu się fałszywych zapatrywań naukowych w najszerszych warstwach, chwytamy za broń, by walczyć z bardzo silnym już nieprzyjacielem. Żeby się przekonać, iż tak jest, wystarczy porównać ogromną ilość dzieł naukowych, jakie chwytają się faktów nader problematycznych w celu, aby wykazać pochodzenie człowieka od zwierząt, ze znikomo małą ilością uczonych, szukających i broniących prawdy. Nic dziwnego, że akatolickie zapatrywania tak są rozszerzone. Z radością więc wita się każdy krok ku zmianie.

Ks. M. Skibniewski.

LISTY ZE WSI.

(LIST II.).

Chcąc stworzyć arystokracyę najlepszych sług Kościoła i Ojczyzny, musimy całe młode pokolenie odpowiednio wychować i wykształcić. Oprócz tego musimy, o ile to w naszej mocy, stosunki tak ułożyć, aby służba Bogu i Ojczyźnie nie natrafiała na dzisiejsze przeszkody, lecz żeby przeciwnie były ułatwione, a przedewszystkiem szanowane.

Podstawy wychowania szukać należy, przy normalnych warunkach, przedewszystkiem w rodzinie.

Rodzina prawdziwie katolicka i polska daje taką atmosferę, w której bez szczególnego trudu rosną dzieci katolickie i polskie prawie nieświadomie. Oczywiście podkreślić trzeba, że w rodzinie prawdziwie katolickiej i polskiej. Doświadczenie jednak uczy, że takich prawdziwie katolickich i polskich rodzin u nas bardzo niewiele. Zdajmy sobie sprawę z tego, na czem polega ów prawdziwie katolicki i polski duch w rodzinie, który przykładem swym ma wciągnąć dzieci do tego trybu, któryby im, jeżeli nie uniemożliwił, to przynajmniej utrudnił wstąpienie na manowce życiowe. Przypuszczać bowiem możemy, że gdy będziemy mieli już cały szereg pokoleń po katolicku i w polskim duchu wychowanych, osiągniemy wyższą kulturę katolicką i polską, przy której nawet skłonności do czynów szkodliwych wierze i ojczyźnie się zmniejszą. Naturalnie, że natura ludzka jest i pozostanie grzeszną do końca świata i że najkulturalniejszy nawet po katolicku człowiek zawsze

będzie mógł głęboko upaść, ale, pomimo to, przypuścić można, że prawdopodobieństwo takich upadków w rodzinach czy narodach, przez długie wieki zostających pod uczuciem wierności Kościołowi i ojczyźnie, może z czasem stawać się coraz mniejszem.

Dzieci od samego początku powinny widzieć, że ich rodzice szukają przedewszystkiem Królestwa niebieskiego, że przy przedsiębraniu jakiejkolwiek czynności, kierują się nie fantazyą, nie chwilowem usposobieniem, ale poczuciem obowiązku, wybierającem zawsze to, co do ostatecznego celu, do osiągnięcia dobra prowadzi. Oczywiście bywają nieraz omyłki w tym wyborze, ale, gdy dzieci już dorastają, zaczynają głębiej nad rzeczami się zastanawiać i krytykować, mogą im nawet rodzice bez szkody ukazać błędy, które sami popełnili, tłumacząc jednocześnie, że szukali drogi obowiązku, ale, jako omylni ludzie, znaleźli niewłaściwą. Dążenie niektórych rodziców do wyrobienia w dzieciach bałwochwalczej czci ku sobie jest błędem podwójnym: naprzód dlatego, że jest opartem na fałszu, bo wiadomo, że nieomylnych ludzi na świecie niema i Bóg tylko jest nieomylnym, a powtóre dlatego, że jest niepraktycznem, bo w bardzo krótkim czasie przychodzi u dzieci rozczarowanie i zwykłe natychmiastowe, wskutek oburzenia za wprowadzenie w błąd, przerzucenie się od bałwochwalczego podziwu dla rodziców do wręcz przeciwnego uczucia. Zmysł krytyczny w dzieciach należy rozumnie pielęgnować, bo nietylko nie jest on szkodliwym, ale może nawet, dobrze pokierowany, ogromne w wychowaniu oddać usługi. Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, jak wiele złego młodzież nasza popełnia nie z własnych skłonności, nie z potrzeby, nie z własnej ochoty do złego i złego usposobienia, ale wprost z głupiej chęci naśladowania, z chęci wyrównania drugim, idzie za złym przykładem, gnana owczym pędem. Rozwijając i oświecając w młodzieży zdrowy krytycyzm, wykazuje się jej całą głupotę zdrożnych czynów, całą marność postępowania ogółu, wyrabia się w niej szlachetne dążenie robienia lepiej i rozumniej, jeżeli nie już z miłości cnoty, to przynajmniej ze wstydu i wstrętu do podłości i miłości światowych. Wszelki fałsz w wychowaniu jest tak zgubnym i tak

oddala od celu, że jeżeli są nieszczęśliwi rodzice, którzy w swej przeszłości mają nawet ciężkie przewinienia, to lepiej może zrobią, zdobywając się na czyn bohaterski, sami dorastającym już dzieciom wyznając swój ciężki nawet błąd, niż żeby się mieli narażać na to, żeby jakiś obcy, podły człowiek, a takich nie brak, je o tem uświadomił.

Podstawą więc utworzenia chrześcijańskiego domu powinna być bezwzględna prawda we wszystkiem, a co za tem idzie logika i konsekwentne przyjmowanie chętnie wszystkiego, co się z zasad, które się wyznaje, wywiązuje. To znaczy, że musimy być katolikami bez zastrzeżeń, nie wahającymi się obrać nieraz przykrą drogę nawet, gdy tego obowiązek sumienia wymaga.

Przechodząc do pozytywnego wychowania, trzeba od dzieciństwa obznajamiać dzieci z wiecznemi prawdami wiary naszej katolickiej, stopniowo i z wiekiem te prawdy w nich rozwijając i pogłębiając, zawsze z zastosowaniem do praktycznego życia codziennego. Trzeba dobrze uświadomić dzieciom zasadę, że nauka religii nie jest jakąś odrębną sobie nauką, nie mającą nic wspólnego z życiem codziennem, ale przeciwnie, że daje nam ona ciągłe wskazówki, jak w każdym wypadku życiowym postępować, jak na każdą czynność się zapatrywać, że powinna ona być kierowniczką każdej naszej czynności, że stanowczo wierzyć musimy, o czem i doświadczenie przekonywa, że kto naprzód szuka Królestwa Niebieskiego, wszystko inne będzie mu dane. Dom, w którym panują zasady katolickie, jest dla rodziny wygodny, bo wszystko w nim jest prostem, szczerem, nie wymagającem wyszukiwania sztucznych intryg i kłamstw wykrętnych; w tym domu rodzice dają swoim dzieciom wszystko, co potrzeba, a nawet pewną ilość przyjemnosci materyalnych, to też w takim domu, w takiem otoczeniu wzrastająca młodzież nie potrzebuje koniecznie szukać rozrywek poza domem, choć i tych umiarkowanie używa, znajdując zawsze w domu uspokojenie i wypoczynek, zawsze chętnie do niego wracając. W takiem otoczeniu, przy takiej solidarności zasad katolickich już fizycznie wszelki wybryk, wszelki grzech

jest trudniejszym do popełnienia, gdyż wymaga świadomej chęci wyłamania się z systemu i z obyczajów domowych.

Gdy dzieciom w domu dobrze, gdy domu nie unikają, cała rodzina zrasta się coraz ściślej, coraz lepiej się wszyscy w rodzinie poznają, rodzice znają dobrze swe dzieci, a dzieci swych rodziców; niema denerwujących i odbierających równowagę niespodzianek, życie idzie naturalnym biegiem, a wtedy nawet spadające gromy i nieszczęścia, jak choroby, śmierć nawet, lub straty materyalne nie wywołują wstrząśnień chorobliwych, lecz są przyjęte jako naturalne wypadki w życiu ludzkiem, któremi Bóg ludzi doświadcza. Znając swe dzieci, rodzice w swobodnych z niemi rozmowach nie potrzebując się uciekać do oficyalnych i nudnych nauk moralnych; dla rozwijania ich poglądów opowiadają z pamięci wypadki przeszłości, tak prywatne, jak i publiczne i narodowe, z których można logiczny sens moralny wyciągnąć. Wszystko na świecie jest logicznem, z sobą związanem, niema skutku bez przyczyny: tłumacząc dzieciom błędy i wady przeszłości, uzasadnia się dzisiejszą biedę, dzisiejszy smutny stan naszego kraju, wykazuje się, w jaki sposób na przyszłość uniknąć można smutnych następstw, nie popadając w błędy przeszłości; to samo dotyczy stosunków prywatnych.

Przechodząc do szczegółów w wykonaniu, zaznaczyć trzeba, co następuje: Samo przez się rozumie, że, dając prawdę za podstawę, absolutnie się wyklucza wszelkie bajki, które się dzieciom w wielu domach opowiada dla wytłumaczenia różnych naturalnych i fizyologicznych zjawisk, bajki o cudownem wkraczaniu świętych dla nagradzania, lub karania dzieci, straszenie oddaniem niegrzecznych dzieci kominiarzowi lub dziadowi, bo groźby te prędko tracą znaczenie, a niepotrzebnie nerwy rozdrażniają. Można w wielu wypadkach dzieciom całej prawdy nie mówić odrazu, ale kłamać nigdy nie wolno. Tak n. p. na pytanie dzieci, skąd się one biorą, odpowiada się jak w katechizmie dla dzieci, gdzie na pierwsze pytanie: „Kto cię stworzył“, jest odpowiedź: „Pan Bóg“. I tak samo we wszystkiem;

nie szkodzi zresztą rodzicom nieraz dla przypomnienia zajrzeć do katechizmu.

Są także rodzice, którzy się niepotrzebnie martwią, widząc, że dzieci nie objawiają jakiejś szczególniejszej dewocyi, jakichś szczególniej szlachetnych i heroicznych uczuć, którzy zwykłe objawy roztrzepania i nieuwagi kładą na karb krnąbrności i nieposłuszeństwa lub buntu. Tu przypomnieć trzeba zasadę wyrozumiałości i określenie w katechizmie, na czem grzech ciężki polega. Gdzie niema zupełnego zastanowienia, zupełnego zezwolenia i ważności przedmiotu, tam i przewinienia ciężkiego być nie może. Co się zaś tyczy szczególniej gorących uczuć, to liczyć się z tem trzeba, że każdy ma inną naturę i że gorącość i bohaterstwo uczuć są to dary bardzo piękne, wcale jednak do zbawienia koniecznie nie potrzebne. To też rodzice nie powinni zbyt łatwo do swych dzieci się zrażać i zbyt pochopnie uciekać do ostrych kar, łajań i wymyślań, lecz postawić się w położeniu dzieci, stanąć na ich poziomie umysłowym, a wtedy bezstronnie osądzić postępowanie swych dzieci. Znając rozprószenie i ruchliwość umysłu dziecięcego, nie każde niepełnienie rozkazu rodziców uważać trzeba za wyraźne nieposłuszeństwo lub bunt. Tak samo, gdy dawniej wszelki płacz dziecka uważano za kaprys i karano go, dziś bada się przyczynę tego płaczu, który najczęściej pochodzi z bólu, z jakiegoś stanu chorobliwego lub wrażliwości; dzieci dla przyjemności nie płaczą. W zdrowej i spokojnej atmosferze, przy życiu regularnem, którego dosyć zalecić nie można, nerwy się wzmacniają i wszystkie niepożądane nienormalności same się usuwają w miarę wzrostu sił fizycznych i moralnych.

Ponieważ jednak natura ludzka jest skażona, więc i wady różne już w najmłodszym wieku się przejawiają, należy też nad niemi czuwać, a wszelki wyraźny bunt, wszelkie świadome kłamstwo odrazu, choćby w najmłodszym wieku, karać, przyczem dobrze jest pamiętać, że u małych zupełnie dzieci kosztem już słabej kary, choćby cielesnej i połączonego z nią krótkiego płaczu, osiąga się daleko więcej niż w wieku późniejszym bardzo nawet dotkliwemi karami, a zyskuje się w dodatku szacunek i miłość dzieci czy wychowańców. Przed wychowaniem, jeżeli

się tak wyrazić wolno, jest miejsce na tresurę i nim młodzieniec zrozumie, czemu tego lub owego nie wolno, przez dobrą tresurę wyniesie z lat dziecinnych dobre obyczaje i szereg pożytecznych nałogów, których potrzebę dopiero później zrozumie.

Dalszym ciągiem wychowania domowego jest wychowanie szkolne, które też powinno dążyć do przygotowania jak największej ilości jak najlepszych synów Kościoła i Ojczyzny. Obecnie szkoła coraz mniej jest zakładem wychowawczym, a coraz bardziej się staje jedynie uczelnią, szczególniej w krajach z wyższą kulturą. Niby to nie szkodziło, gdyby wszyscy rodzice umieli i mogli sami wychowaniem swych dzieci kierować, tak jednak nie jest, a u nas szczególniej; dlatego też ci, którzy mają wpływ na prawodawstwo i szkolnictwo krajowe powinni tem się zająć, aby to szkolnictwo, conajmniej, nie przeszkadzało dobremu wychowaniu domowemu i jemu nie przeciwdziałało, w wielu wypadkach z rodziną współdziałało, a w najliczniejszych razach, gdy chodzi o dzieci biednych rodziców, zastępowało brak wychowania domowego. Jedną z głównych wad szkolnictwa współczesnego jest okoliczność, że różne rządy, a głównie różne stronnictwa, będące u steru rządów, ze szkoły chcą tworzyć stronnicze narzędzie. W Galicyi, gdzie szkolnictwo jest poniekąd w naszem ręku, powinniśmy tego błędu unikać i nie znosić tego, aby poszczególni nauczyciele na własną rękę uprawiali w szkole ze swymi uczniami swoją politykę, dając folgę swym antypatyom dla tych lub innych stanów. Szkoła ma być katolicką i polską, uczniowie powinni się czuć synami i obrońcami Kościoła i Ojczyzny, a nie bojownikami dla spraw stronnictwa.

Wielu u nas sądzi, że gdy w programie szkolnym przeznacza się dwie godziny tygodniowo w każdej klasie na lekcyę religii, to już przez to samo szkoła jest katolicką. Tak bynajmniej nie jest, bardzo często nauka religii nie stoi w żadnym duchowym związku z całą nauką, udzielaną jednocześnie w innych przedmiotach. Gdy się przyjmuje na pedagogów ludzi z wiarą słabą, a często bez wiary, nawet wrogo dla wiary katolickiej usposobionych, którzy w swych wykładach i swoim przykładem oba-

lają w ciągu trzydziestu godzin tygodniowo wszystkie zasady, wpajane w czasie dwóch godzin nauki religii, to nic dziwnego, że młodzież tylko z musu na tę naukę religii uczęszcza, z musu chodzi w niedziele i święta w ordynku do kościoła, z musu odbywa nieraz świętokradzką wielkanocną spowiedź, a wyszedłszy ze szkoły, bardzo często czuje się wolną już od obowiązku zachowania wszelkich praktyk religijnych, ponieważ wiarę dawno straciła, a nikt do jej okazywania nie zmusza. Nauczyciele szkolni powinni razem z dyrektorem i katechetą tworzyć jedno solidarne ciało katolickie, jedną katolicką rodzinę, któraby swoje przybrane dzieci w duchu katolickim we wszelkich przedmiotach kształciła i wychowywała.

Tak samo polski język wykładowy nie stanowi jeszcze polskości szkoły. Z polskim językiem wykładowym szkoła może być zupełnie obcą polskiemu duchowi młodzieży i tego ducha w niej zabijać, gdy przeciwnie, powinna go pielęgnować, rozwijać i do pożytecznego rozkwitu doprowadzać. Tak samo mamy najlepszych patryotów irlandzkich, którzy swój język zatracili, a mówią tylko po angielsku, a u nas szerokie warstwy ludowe a także wyższe sfery używają bezwiednie języka polskiego, a nie poczuwające się w niczem do polskości. W celu więc rozwijania ducha polskiego u młodzieży, w jedynej części naszej szerokiej ojczyzny, gdzie mamy jaki taki samorząd, w Galicyi powinna rada szkolna z swym prezesem jak najusilniej przy każdej sposobności starać się o większą samodzielność i niezależność, aby módz szkołę galicyjską uczynić rzeczywiście polską, do polskiego umysłu i polskiej duszy zastosowaną, w którejby nietylko podawały się luźne nauki, ale któraby rzeczywiście polskiego ducha pielęgnowała i urabiała.

Zadalekoby prowadziło, gdybyśmy tu chcieli dawać program takich szkół, jakich nam potrzeba, zaznaczyć wystarczy, że szkoła nasza średnia potrzebuje gruntownego przerobienia. Trzeba wyrzucić z programu przedmioty, które straciły racyę bytu, a wprowadzić nowe nauki, niezbędnie w życiu potrzebne. Wypadałoby zapewne stworzyć typ średniej ogólnokształcącej szkoły z dziewięcioletnim kursem nauk, z obowiązkową nauką

łaciny dla rozwinięcia umysłu w klasycznym kierunku, z praktyczną nauką języków nowoczesnych, z zupełnym wykładem matematyki niższej i początków matematyki wyższej, z dokładną znajomością nauk przyrodniczych i otaczającego świata, ze znajomością krótkiej ekonomii politycznej, prawa krajowego i ustroju politycznego i administracyjnego państwa, z zasadami filozofii i oczywiście z dobrą i praktyczną nauką historyi. Takiego typu szkół trzeba jak najwięcej, taka szkoła każdemu może być przydatną, usposabia do każdej specyalnej nauki. Taka szkoła dla większości mogłaby być zupełnem zakończeniem nauk. Do wyższych uczelni szliby już tylko wybrańcy, pragnący się szczegółowo w jakiejś nauce wykształcić, zawodowo poznać techniczne nauki lub poświęcić stanowi nauczycielskiemu. Oczywiście wyższe uczelnie mogłyby przy takich szkołach średnich swoje kursa skrócić, pozbywszy się na ich rachunek początków nauk szczegółowych, już w średnich szkołach wykładanych.

Streszczając to wszystko, co wyżej powiedziano, widzimy, że jedynie przez dobre wychowanie domowe i szkolne w duchu katolickim i polskim jesteśmy w stanie, jeżeli nie naprawić to, co jest, to przygotować przynajmniej grunt na przyszłość, aby z czasem było lepiej. Na tej podstawie każdy system, stale stosowany, do celu prowadzi, ale do niczego się nie dochodzi przy braku systemu lub przy ciągłej jego zmianie, trzeba też wiedzieć, czego się chce i do czego się ma dążyć.

Jan Mańkowski.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Na egipskiej ziemi.

I.

— Józefie... Józefie... musimy tu na noc pozostać... nie mogę już iść dalej... nie mogę! — oparła się o pień sykomory, wysilona bezmiernie; jej złotawo-czarne oczy spoglądały na pustynne piaski, tonące w liliowej poświacie zachodu. Tak znużoną była... drobne, bose jej stopy nabrzmiałe były i pokrwawione, usta paliło pragnienie.

A dokoła słała się pustynia, cicha, naga, tajemnicza... straszna... Jak daleko wzrok sięgał, ścieliły się piaski, zieleń sykomory jakgdyby zabłąkała się w tę pustkę i kilka palm smukłych wznosiło przyżółkłe, wachlarzowate korony ku bezchmurnemu niebu.

Dojrzawszy je zdaleka, wlokła się do nich ostatnim wysiłkiem woli... Józef od czasu do czasu otaczał ją ramieniem i niósł prawie... zaschłemi szepcąc wargami:

— Tam będzie... woda... cień... spoczynek... Maryo!... Więc szła, drżącemi ramionami niemowlę swoje tuląc, a teraz o pień sykomory się oparła, a z ust jej spłynął szept:

— Nie mogę... dalej...

Z ciemnej, trudami drogi i głodem zaostrzonej twarzy mężczyzny, spojrzały dokoła szare, gorączką rozszerzone oczy.

— Usiądź Maryo... delikatnym, niemal kobiecym ruchem

rozłożył płaszcz swój na skąpej zieleni trawy. Niedaleko musi być już koniec pustyni, niedaleko osady ludzkie... Zdaje mi się, że dostrzegam ciemną linię drzew na horyzoncie. Z pewnością ostatnia to już noc tułaczki... ostatni spoczynek w pustyni.

Spalone gorączką wargi usiłowały uśmiechnąć się, beztroskliwym, pogodnym uśmiechem, podczas gdy oczy niespokojnem, szukającem błądziły dokoła spojrzeniem.

Gdybyż wody kropla!

Język przysycha do podniebienia, wszystkie pory skóry zdają się wydzielać żar, pieką oczy, jakgdyby je wygryźć chciał drobny piasek pustyni, a krew dzwoni w uszach jakąś szaloną, straszną muzykę...

Gdybyż wody kropla!...

Palmy przecież muszą skądś czerpać wilgoć dla swych korzeni i cienista sykomora również... Gdzieś pod tą piaszczystą ziemią musi się snuć żyła wody...

Nad pustynią zachodziła zwolna olbrzymia, bezpromienna tarcza słońca i świat broczyła krwią, poświata przeciekała przez wachlarze palm, drobne liście sykomory i kładła złoty blask na znużonej twarzyczce kobiety i ostrej, szlachetnej twarzy mężczyzny... Od palm padały cienie głęboko szafirowe na purpurę piasku.

Marya na płaszczu złożyła trzymane dotąd w ramionach zawiniątko, mała twarzyczka śpiącego dziecięcia uśmiechała się pogodnie.

— Maleńki mój... taka znużona jestem... taka znużona — skarżyła się szeptem, przyciskając dłońmi rozszalałe, bolące skronie. — Jak myślisz Józefie... daleko stąd do osad ludzkich?...

— Widziałem w stronie zachodniej ciemną linię... zapewne drzew... Gdzie są drzewa, tam się kończy pustynia. Gdyby osiołek żył... bylibyśmy już dzisiaj zapewne nocowali wśród ludzi... szkoda zwierzęcia...

Trzasnęła odłamana gałąź sykomory, Józef zaczął przygotowywać ognisko.

Marya pochyliła głowę... przypomniało się jej tak żywo

biedne, wierne zwierzę... Przed paru godzinami zaledwo padł, w ostatnich drgawkach konania zwracając ku swojej pani wymowne, gasnące oczy, jakby przepraszać chciał...

— Nie mogę... służyłem ci dokąd sił starczyło...

Położyła pieszczotliwie dłoń na potem pokrytej głowie zwierzęcia...

Szary, sztywny, nieruchomy korpus pozostał wśród piasków pustyni.

Biedne zwierzę...

Wierne zwierzę...

Słońce zaszło, szary mrok zasnuł pustynię, jasny krąg rzuciło dokoła ognisko.

Marya przygarnęła do siebie dziecię ochronnym ruchem, bo zdaleka, zdaleka nadlatywało przejmujące, żałosne, ponure, groźne wycie szakali...

— Pewno znalazły osła... — szepnął Józef... W tej chwili spotkały się jego oczy ze źrenicami Maryi, w rozszerzonych gorączką oczach obojga... była groza... Zdawało się, że od pustyni blady lęk pełznie...

Śmierci okrutnej zjawa...

Że ssunie się bezszelestnie po piaskach liliowych i do dusz ludzkich lgnie, jak jakiś olbrzymi, tysiącoramienny polip.

Marya drgnęła, oprzytomniała... bo drobne rączęta dziecięcia przesunęły się po jej pochylonej, skamieniałej w lęku twarzy... pieszczotą, a wielkie, ciemno-błękitne oczy uśmiechnęły się do niej... nadzieją... I z duszy jej zniknęła trwoga... na pobladłe usta uśmiech wypłynął:

— Józefie... nie powinno być w sercach naszych miejsca na trwogę... Bóg czuwa nad nami i tutaj... Trochę tylko wytrwania jeszcze... Wszak sam mówiłeś, że niedaleko muszą być osady ludzkie...

Urwała, bo ogromna męka pragnienia paliła jej usta, utrudniała mowę... Przed oczyma zaczynały się snuć jakieś krwawe kręgi, barwne koła... miliony blasków.

Oparła głowę o pień sykomory, znużenie ogarnęło ją bezwładem, ołowiem ciążyły powieki.

Jak przez mgłę przedarła się myśl: Dzieciątko... nakarmić trzeba...

Więc drżącemi dłońmi obnażyła dziewiczą, do kielicha lilii białej podobną pierś i wsunęła ją w różowe, spragnione usteczka dziecięcia.

—Pij maleńki mój... pij... — z wysiłkiem szeptały jej usta, a ramiona kołysały dziecię wolnym, jednostajnym ruchem, bezświadomym ruchem przyzwyczajenia. — Pij syneczku,.. pij...

Ale usta dziecięcia napróżno szukały pokarmu, biała kruża dziewiczej piersi nie zawierała dzisiaj ani jednej kropli...

— Boże!... Panie!...

Pierwszy raz w ciągu długiej, nużącej podróży oczy kobiety rozbłysły bezmiarem bólu, wzniosły się ku niebu wyiskrzonemu miliardami gwiazd, z rozdzierającą prośbą.

— Nie mnie... lecz synowi Twemu!

Wołały suche, gorączką rozbłysłe źrenice.

— Nie mnie... lecz dziecięciu łaknącemu nie odmawiaj łaski... Panie... mój Panie!...

I tak wstrząsającą była ta prośba matki, że łono ziemi drgnęło jakby w łkaniu, zamigotały jaśniej gwiazd źrenice.

I Bóg wysłuchał prośby...

Usta dziecięcia napełnił słodki, biały płyn życiodajnego mleka, a obok pnia sykomory łono ziemi rozwarło się, ukazując przejrzystej krynicy głąb.

Pochyliły palmy przyżółkłych liści wachlarze, sykomora zaszumiała nagle, radośnie drobnem listowiem, a promień księżyca odbił się w cichej, czystej tafli wody.

— Woda! — bezmiarem szczęścia wydarło się z piersi Józefa.

— Mleko... — ledwo dosłyszalnie spłynęło z ust Maryi.

Z dali płynęło żałosne, przejmujące wycie szakali... straszna, groźna pustynia słała się dokoła, ale z pod sykomory dźwięczały dwa modlitewne głosy, litanią słów dziękczynnych:

— Ty... który ptaki karmisz...

— Ty... który lilie odziewasz polne...

— Ty wielki!

— Ty dobry!
— Ty litościwy!

II.

Trzy lata minęły od tego czasu. W urodzajnej dolinie Nilu, w chatce zbudowanej ze słomy i szlamu rzecznego, którą Józef dzierżawił wraz z polem, za część złota, złożonego Jezusowi w hołdzie przez Gathaspara, płynęło życie tak cicho, szczęśliwie i spokojnie... jak przejrzyste wody Nilu.

Od wczesnego rana pod błękitnem, wiecznie pogodnem niebem pracował Józef przy swoim warsztacie. Twarde, silne dłonie obrabiały deski palmowe, szare, bystre oczy spoglądały radośnie, gdy wśród kwiatów ogródka ukazywała się jasna postać młodej matki i drobna dziecięcia. Chwilami spoczywała obrabiająca drzewo siekiera i Józef słuchał jasnego śmiechu tych dwojga, patrzał jak dziecię pierwsze stawiało kroki, wyciągało do matki rączęta drobne, szło, kołysząc się niepewnie i padało rozśmiane w jej wyciągnięte ramiona.

O jakże on ich kochał! Jak kochał serdecznie; po dniu ciężkiej pracy, dziękował Panu za prawo opieki, nad tą parą Bożych dzieci, które radością mu były, szczęściem i światłem, jak miały się stać szczęściem i światłem całej ziemi.

Gorące słońce Egiptu nadało dziewczęcej twarzyczce Maryi ciepłą tonacyą bronzu... gdy wieczorem wracała z wodą, niosąc ją w glinianej amforze na głowie, taka gibka była i smukła, jak palm siostra. Czy to w Nilu bieliznę prała, czy przędła na progu chaty, czy ubogą przyrządzała strawę, zawsze miała niewymowny wdzięk poruszeń i zawsze uśmiech pogodny na młodej twarzyczce.

Dzieci Fellachów o ciemnej, bronzowej, jakgdyby od słońca przepalonej skórze, pierwsze z całej osady zaczęły przychodzić pod lepiankę cieśli. Przez otwory kaktusowego płotu, czarnemi wielkiemi, oczyma spoglądały ciekawie na bujne kwiaty małego ogródka, na pracę Józefa... Brudne były i zaniedbane... Gdy pierwszy raz gromadkę tych dzieci dojrzała Marya, litość olbrzymia wezbrała w jej sercu, drobne twarzyczki przeważnie

pokrywały strupy, czerwone, ciekące, na których muchy siadały stadami, większość miała zapuchnięte powieki, z za których spoglądały smutne, mętne, na pół ociemniałe oczy.

Tuląc się do płotu, patrzały trwożliwie na dziecię jasnowłose, błękitnookie na jej kolanach.

Zaczęła więc myć tą dzieciarnię, zaniedbaną przez matki, w Nilowej wodzie, opatrywać te ciałka rozranione, pieszczotą — cierpliwości uczyć. Przywiązały się też do niej, gdy na łąki szła, kuracyjnych ziół szukać, biegła za nią i za jej dziecięciem gromadka dzieci rozśmiana, usłużna, wśród kwietnych łąk migały ich, jakgdyby z bronzu odlane, nagie ciała... na kształt wielkich, ciemnych motyli stada.

Niedługo ludność całej osady przychodziła po radę do lepianki Józefa. Na próżną gawędę, na wystawanie u kaktusowego płotu lub z amforami przy Nilu, nigdy czasu nie miała Marya, dla biednych, chorych, dla nieszczęśliwych znajdowała go zawsze.

Wieczorem... po skończonym trudzie dnia, siadywali we troje na progu chaty, patrząc na słońca zachód złocisty.

Monotonnie skrzypiały sakije, czerpiąc wodę z kanałów i wylewając ją na uprawne, bujne pola. Cichy, żałosny śpiew Fellachów płynął w przestrzeni... tęskny śpiew ludu w niewoli, wijącego się pod batem dozorców, pod ciężką stopą coraz innego władzcy.

Jakgdyby baśnią jakąś nieskończoną szemrała woda Nilu, od zachodu złota.

Na wyższym nieco brzegu drugim, od krwawego tła nieba odcinały się ostro ciemne sylwetki powracających z pola ludzi... Wysokie, płaskie sylwetki Fellachów, wielbłądów obładowanych, unoszących wdzięcznym ruchem małą głowę na smukłej, giętkiej szyi... korowód cieni, dążący gdzieś w nieodgadnioną dal.

Przychodzących z przestrzeni... odchodzących w przestrzeń.

Patrzyły na nich błękitne oczy „Człowieczego syna", spoglądał z drugiego brzegu nieodgadniony Sfinks, krwią zachodu ociekające piramidy i milcząca, tajemnicza w liliowych tonach spowita pustynia.

I wtedy Marya składała rączki swego dziecięcia do modlitwy za cały świat, do wieczornej modlitwy za dole i niedole wszystkich tych ludzi-cieni, wyłaniających się z mroku, odchodzących w mrok...

I tego dnia, jak zazwyczaj siedziała Marya przed chatą, z dzieciątkiem na kolanach, a Józef zabawki strugał, gdy wśród błękitnawej zieleni kaktusowego płotu zamajaczył zgarbiony cień człowieka.

Stał odziany szarą, podróżną opończą; starczą jego twarz pokrywała drobnych zmarszczek ruchoma sieć, wielkie, czarne oczy na pół przysłonięte znużonemi powiekami, miały jeszcze w sobie pełń życia, głęboką radość z istnienia. Śnieżny włos opadał na czoło jakgdyby z bronzu odlane. Zdumionem spojrzeniem objął siedzącą przed chatą rodzinę, zawahał się chwilę, jakby mu żal było płoszyć słowem urok tej wieczornej chwili... wreszcie przemówił:

— Pozwólcie wędrowcowi znużonemu, by spoczął chwilę w gościnnym cieniu waszej chaty... sługa mój nad Nilem wielbłądy poi, za chwilę w dalszą ruszymy drogę.

Marya podniosła się, niezasłoniętą, słodką jej twarz rozjaśnił błysk uśmiechu:

— Wejście twoje, wędrowcze, niech błogosławi Bóg ojców naszych, spocznij, wyniosę z chaty daktyle, wodę i chleb.

Zniknęła, szły za jej smukłą postacią zdziwione oczy obcego. Józef gościnnie na ławkę przed chatą wskazał i starzec usiadł.

— Zdaleka jadę i daleką mam drogę przed sobą... jestem jednym z kapłanów światowładnej Izydy ze świątyni w Philae. — Spojrzał na dziecię, siedzące w progu i spotkał jego wielkie, poważne, skupione oczy błękitne.— Skąd wziąłeś to dziecię słońca... cudzoziemczę? Na ziemi Egiptu niema takich oczu jak niebo głębokich, ni takich włosów złotych... Syn słońca... syn słońca! — powtarzał, chyląc swoją starczą, ciemną twarz nad jasną główką dziecięcia.

— Z Betleem, z Judzkiej krainy pochodzimy panie, cieślą jestem.

— Sąż w Judei królewne żonami wyrobników, a synowie słońca ich synami? — ze wschodnią żywością rzucił starzec.

— Łaska Pana spływa czasem na najbiedniejszych...

— Zaiste... bogowie hojnymi byli dla ciebie cudzoziemcze — mruczał starzec.

— Bóg... chciałeś powiedzieć.

— Należysz do wyznawców jedynego Boga?

— Tak... panie.

Zadumał się starzec.

— I Egipt niegdyś... przed tysiącami lat czcił Jedynego — mówił z wolna wpatrzony w oczy dziecięcia — jest miejsce w naszych papyrusach, gdzie napisanem jest:[1] „O Boże! który jesteś budowniczym świata, Ty nie masz ojca, bo pochodzisz z samego siebie. Ty, żywisz wszystko, co stworzyłeś, niebo i ziemia słuchają praw, które im nadałeś... Chwalmy Boga, który nad głowami naszemi rozpiął niebo z wszelkiemi gwiazdami, który rozłożył kraje na ziemi i oblał je wielkiemi morzami“ — nizki głos starca przeszedł w cichy, monotonny jak zgrzyt sakii — szept. Niegdyś więc i Egipt czcił Jedynego, ale ludy wschodu potrzebują zewnętrznej okazałości, muszą Boga widzieć i podziwiać, by w niego uwierzyć. Więc wszelkie właściwości tego początkowo jedynego zaczęto czcić pod osobnemi postaciami. Dla zadowolenia tego ludu powstały okazałe świątynie, dla niego posągi bóstw wzniosły się na ołtarzach... I nikt nie przypuszczał wtedy, że przyjdzie czas, iż Egipcyanin zapomni czci jedynego Boga, bo całą jego duszę ogarnie kult owych fikcyjnych, dla niego i przez niego stworzonych bóstw... A jakich bóstw! W początkach czczono jedynie uzmysłowione właściwości dwóch potęg, potem zaczęto wierzyć we wszystko, co było człowiekowi pożytecznem, drogiem, niezrozumiałem lub strasznem! — blady, gorzki uśmiech ściągnął usta starca. — Ma więc Egipt święte koty, psy, krowy, krokodyle, nawet świętego szakala... Oto, do czego doprowadziła religię, chęć przystosowania się do pragnień i pojęć ludu! Gdy święty kót zdechnie, Egipcyanin obcina brwi na znak żałoby... nie mówiąc już o rozpaczy po zgonie świętego Apisa!...

[1] Papyrus z tym napisem znajduje się w Turynie.

Widzę w twojej twarzy błysk zdumienia cudzoziemcze, że kapłan Izydy wygłasza takie teorye... ale... wszak i ty czcisz tylko jednego Boga.

— Bo jest tylko jeden Bóg.

— Szczęśliwy naród, który przez ciąg wieków potrafił zachować pierwotną wiarę... My jednak urodziliśmy się w błędzie... I mnie w młodości mojej Amon, Ptah, Ozyrys, Izyda, Ra, Enum, Duti i Har zdawali się potężnymi bogami... lęk święty miałem przed Anubisem, Sechetem, Sebakiem... Życie dopiero przywiodło mnie do świadomości, że światem rządzą tylko dwie potęgi... dobra i zła, że wszystkie bóstwa powstały tylko z pragnienia uświadomienia ludowi ogromnego władztwa tych dwóch, wrogich sobie mocy... niestety, błędną była droga, bo cel zaginął.

Siwą głowę na dłoniach wsparł i znowu spotkał spojrzenie dziecka, wązką, nerwową rękę na złotej główce wsparł.

— Dziwne ty oczy masz dziecko... jasne, przejrzyste, głębokie... doświadczenie starca z nich patrzy i nieświadomość dziecięcia... Smutek w nich masz olbrzymi i litość wielką... jakby ci znane były wszystkie radości i wszystkie nędze ziemi... Jak imię twoje dziwny synu słońca?...

— Jezus.

— Jezus!... i imię twoje dziwne... zdaje się, że potrafiłyby je wymówić bez wysiłku wszystkie narody ziemi... Jezus...

Marya wróciła z chaty, rozłożyła na ławie białego płótna cienki szmat, postawiła glinianą amforę z Nilową wodą, kubek, chleb świeży i daktyle. Gość kubek wody wychylił i do Józefa się zwrócił.

— Wiesz cudzoziemcze, komu wykuto tę zagadkową głowę tam na pustyni?

— Mówili Fellachowie, że na cześć boga słońca Horusa...

— Tak... tak mówi lud... mnie jednak zdaje się, że to dawny, wierzący Egipt postawił ją owemu nieznanemu Bogu, temu, co stworzył życie i śmierć, pustynne piaski i urodzajne pola, dobro i zło, światło i cień... i dlatego wykuto ją na rozgraniczu urodzajnej doliny i ponurej pustyni... dlatego rzucono

na usta Sfinksa ten zagadkowy uśmiech, bo zagadką jest dla człowieka Bóg. Mówią, że we wnętrzu głowy była niegdyś świątynia, tajemnicza jak ten władzca nieodgadniony... jedna z pierwszych świątyń Egiptu... Potem wielobóstwo ogarnęło światem... zapomnianym został Bóg... obok Sfinksa ziemscy władzcy ustawili swoje wieczne domy, pomniki ziemskiej władzy i... ziemskiego okrucieństwa.

Spowił świat liliowy mrok, duża, czerwonawa tarcza księżyca wychyliła się z za palmowych gajów, mistyczną poświatą opowijając piramidy, głowa Sfinksa zdawała się o nie opierać w ciężkiej, głębokiej zadumie.

Zamilkł Fellachów śpiew... sakii zgrzyt...

Cisza...

Starzec głowę siwą na dłoniach wsparł, mówiąc więcej do siebie niżeli do otoczenia.

— Czyż Bóg zawsze pozostanie dla ludzi taką zagadką niezbadaną? Czy zawsze mitem zostanie?... Och ileż razy w chłodnej głębi świątyni, służąc Izydzie, wołałem do tego Jedynego, z młodzieńczem pożądaniem, z rozpaczą człowieka, któremu odmęt, co innych pochłonął, śmiercią grozi... błagałem, by mi się objawił... Szalone pragnienie! Starość dopiero nauczyła mnie rozsądku... Bóg... ten tajemniczy Bóg, niezbadany, niewidzialny i nieodgadnięty... w każdym kamieniu przydrożnym, w piasku pustynnym, w kwiecie lotosu, co się na wodach Nilu do księżyca srebrzy, w pszczole, miód zbierającej... wszędzie i we wszystkiem objawia potęgę swoją człowiekowi. Z całej natury woła do nas „jestem"! Tylko my patrzymy, nie widząc i jako ciemni jesteśmy, co omackiem szukają drogi i na bezdroża schodzą... Tylko my, nosząc w piersi niespokojne pragnienie ujrzenia Boga, takie silne, takie gorące, nie dostrzegamy Go w naturze lub przeczymy Mu...

Wielkie, spokojne oczy dziecka spojrzały w płomienne źrenice starca, a usta drgnęły, mówiąc w narzeczu aramejskiem.

— I dlatego jestem między wami...

— Co powiedziałeś maleńki?... Tak dziwnie zabrzmiały mi w uszach twoje słowa...

W otworze kaktusowego płotu zarysowało się zwinne, silne ciało Nubijczyka i dwóch jucznych wielbłądów cienie.

— Ruszamy w drogę panie?...

Starzec podniósł się z wysiłkiem, na piramidy spojrzał, na zamyśloną twarz Józefa i jasnowłose dziecię, które Marya tuliła w ramionach, patrzył nań długo jakby pragnął obraz jego na zawsze zatrzymać w pamięci... Dobrze mu było wśród tych ludzi... żal było odchodzić... ale Nubijczyk czekał, czekały wielbłądy...

— Wszyscy wędrowcami jesteśmy — szeptał starzec — oby wędrówka twoja dopomogła ludziom do światła, maleńki synu słońca, o zagadkowych oczach mędrca i różowej twarzyczce szczęśliwego dziecka... Gdy umierać będę i lęk mnie schwyci przed mrokiem... przypomnę sobie ciebie synu słońca.

Chłopczyk wyciągnął dłoń do starca, mówiąc łagodnym, dziecinnym głosem, tym razem w języku Fellachów:

— I światłość będzie twym udziałem.

Uśmiechnął się starzec pobłażliwie, jak się doświadczenie starości do dziecięcej baśni śmieje i odszedł...

Nie wiedząc, że w tej chwili przeszedł obok Boga, o którego zjawę prosił całe życie, nie zrozumiawszy i nie zauważywszy Go.

III.

Noc była.

Na skór zwoju spał Józef, znużony całodzienną pracą, kamiennym snem ludzi fizycznie zmęczonych. W księżycowej poświacie, zaglądającej przez rozwarte drzwi chaty, rysowała się jego silna postać, broda ciemna, usta rozwarte.

Spał, jak śpią dzieci zmęczone, charakterystycznie wydymając usta przy każdym oddechu, jego ostre rysy przybierały we śnie ogromną pogodę, rozradowanie wielkie...

Nagle w ciszy nocnej rozległ się szept jakiś nieuchwytny... może palmowych gajów szum... może kwiatów, wiatrem trącanych szelest.

Dziecię, śpiące przy boku Józefa posłyszało go, usiadło,

różowa twarzyczka przybrała wyraz powagi i skupienia, dokoła pobladłych usteczek drgał rys przeczuciowego bólu.

Patrzył chwilę na ostrą twarz Józefa, taką dziecięcą we śnie, jego ciemna, silna dłoń odcinała się od białej koszulki dziecięcia.

Tak szorstką była i twardą ta pracowita ręka, znaczyła się na niej splątanych żył sieć... Drobne paluszki Jezusa ujęły ją i trzymały chwilę, a błękitne oczy ze wzruszeniem liczyły bruzdy i blizny, jakiemi ciężka praca naznaczyła tę dłoń... tą opiekuńczą dłoń dobrego człowieka, która czuwała nad pogodą jego dziecięctwa, nad jego ziemskim bytem.

Dziecię się pochyliło, drobne, różowe usta spoczęły na zgrubiałej skórze Józefowej ręki... usta cieśli drgnęły przez sen w uśmiechu jakiejś radości bezmiernej... radości, jaką odczuć potrafi jedynie dusza ludzka, która w życiu potrafiła zachować dziecięctwo swoje.

Jezus spojrzał na śpiącą w drugim kącie izby matkę, przypomniała mu lilie polne, taką cichą, taką od wszelkich ludzkich pragnień wolną, taką dziewiczą była w swoim śnie.

Przemógł już dziecięcego ciała senność, podniósł się, uśmiechnął...

— Ziemia, która was wydała, godną jest krwi baranka Bożego.

Bezszelestnie przesunął się obok śpiącego Józefa i w progu chaty stanął.

W błękitnym, tajemniczym mroku nocy majaczyły piramid zjawy, głowa Sfinksa i Nilu fale srebrzyste.

Obok drobnej postaci Jezusa zarysowała się biała, wiewna postać anioła.

Dziecię patrzyło... Nil szumiał...

— Dziełem ręki Ojca twojego jestem... Panie! Panie... fale moje błogosławieństwem jego są dla tego zakątka ziemi, dla tej kolebki ludzkiej wiedzy, kultury i błędu... Przejdź po mnie, ruchome srebro moich wód, taflą się stanie dla twoich stóp... przejdź po mnie dziecię Boże!

Białe kwiaty lotosów zbliżyły rozwite kruże, wstęgą śnieżną sięgając od brzegu do brzegu.

— Przejdź po nas Panie... Panie... tworem ręki Ojca twojego jesteśmy, sztuki ludzkiej początkiem... my białe, ciche kwiaty wód... które głodnych karmimy w roku głodu... Wzorem byłyśmy dla tych budowli dokoła, motyw naszych kwiatów ozdobę tworzy wszędzie, smukłe kolumny, rzeźbione kapitele stworzył człowiek na wzór prątków naszych... Kruże, znajdujące się w naszem wnętrzu są amfor początkiem, liście tac i talerzy wzorem. Przejdź po nas Panie... dzieło Ojca... Synowi ściele się pod nogi.

Biała, drobna postać dziecięcia weszła na kwiatów most i szła ku zjawom piramid, po milczącej nagle nieruchomej tafli wód, po kwiatach białych.

Szła śladami krwi i potu ludzi, którzy pracowali nad wzniesieniem piramid. Piasek pustynny szeptał o tych tysiącach ludzi, którzy ginęli tu w skwarze słonecznym, popędzani batem dozorców, tocząc głazy olbrzymie na pomnik ludzkiej pychy.

Na chwilę ożyła pustynia... przed szeroko rozwartemi oczyma Bożego dziecięcia zamigotały kłęby nagich ciał.... skrwawionych, podartych uderzeniami pletni... Widział muskuły, napięte wysiłkiem, oczy, wysuwające się z orbit... spieczone, rozwarte usta... piersi, chwytające oddech... na nizkich czołach pot... Słyszał świst pletni, która rwała te barki obnażone... jęk... krzyk, przekleństw brutalnych wrzawę... I te bryły kamienne widział, posuwające się zwolna naprzód strasznym wysiłkiem omdlewających ludzi... Czasem ktoś padł na czerwonawy piasek pustyni... palcami się w niego wpił... skręcił jak robak zmiażdżony i został... miejsce jego zajmował w tej chwili drugi... A trupa odrzucano na bok, by nie przeszkadzał...

Serce dziecięcia wezbrało umiłowaniem wielkiem dla człowieka, litością nad jego nędzą, zrozumieniem dla jego bólu... w oczach rozbłysły łzy...

Obraz znikł... tajemniczo uśmiechał się Sfinks... ponure olbrzymie zjawy piramid pysznie wznosiły się ku błękitnemu

niebu... i tylko drobny piasek pustynny snuł dalej opowieść o ludzkim pocie, bólu, łzach....

Gdy Jezus do piramid doszedł, olbrzymie ich bloki nagle rozbłysły ciemnemi plamami krwi, śladami ludzkiego okrucieństwa, a litosna przed chwilą twarz dziecięcia przybrała groźny, surowy wyraz sędziego, błękitne oczy rozbłysły chłodem stali... nieubłaganym potępienia wyrokiem.

Pochyliła się jasna zjawa anioła... zaszumiały skrzydła w locie... na ściętej piramidzie Cheopsa stanęła biała postać dziecięcia i drobne, błogosławiąco rozpostarte dłonie wzniosła nad światem...

— Ojcze mój! źli są, ale i biedni... słabi, ale i nieszczęśliwi!

Zdaleka majaczyły świątynie Heliopolisu, smukłe obeliski, żyzna, cudna dolina Nilu, na horyzoncie snuł się łańcuch wzgórz Mokattamu. Jezus zwrócił dziecięcą twarzyczkę swoją ku grobowcom, ku skalnym rozpadlinom libijskiej pustyni...

— Żywym i umarłym miłosierdzie Twoje i miłość daj Ojcze mój!...

Marya Czeska.

O Skardze „największym wichrzycielu Rzeczypospolitej".

(Dokończenie).

V.

Opozycya na sejmie 1606 r., a „epizod" skargowski.

Autor „Pamiętnego sejmu" postanowił wykazać, że zły rezultat prac sejmowych w 1606 r. głównie Skardze przypisać należy. Ta tendencya nie pozwoliła mu na objektywne przedstawienie przebiegu sejmu, bo kazała mu zupełnie zapomnieć o związkach przewódców opozycyi z Dymitrem Samozwańcem i nie pozwoliła mu ocenić stanowiska opozycyi sejmowej wobec króla, mimo, że nawet i te źródła, na których się opiera, dosyć wyraźnie mówią o jej nieprzejednanem stanowisku.[1]

O tem, co na zjazdach rokoszowych jako główne przyczyny rokoszu akcentowano, t. j. o praktykach rakuskich, absolutum dominium, fakcyach senatorskich i rozdawnictwie wakansów, w książce p. Sobieskiego bardzo niewiele jest mowy, mimo, że

---

Praca niniejsza pojawiła się już w osobnem odbiciu; tam też czytelnicy mogą znaleść rozdziały, które w naszem piśmie wypuściliśmy. *Redakcya.*

[1] W recenzyi „Pamiętnego sejmu" Przegl. Powsz. maj. 1913. str. 258—66 zaznacza p. A. Prochaska, że ze źródeł autora jedynie Dyaryusz Gdański był nieznany, przyczem podkreśla jednostronne jego wyzyskanie a zbyt sceptyczne odnoszenie się do relacyi regalistów. Podnosi także fakt, że autor „o wysoce charakterystycznych stosunkach rokoszan z Samozwańcem nic nie wspomina" — co oczywiście każdemu, który coś o Dymitrze słyszał, bardzo dziwnem musi się wydać.

na sejmie 1606 r. wszystkie te sprawy poruszano — za to sprawy wyznaniowe wysuwa autor na pierwszy plan, a i tych nawet czy nie może, czy nie chce przedstawić objektywnie. Pomimo różnych środków technicznych, jak systematycznego pomijania sprawy Samozwańca i pomijania w „urazach" wielu spraw dla genezy rokoszu wcale nieobojętnych, pomimo ignorowania źródeł dla tendencyi autora niewygodnych lub wprost niemożliwej ich interpretacyi, nie udało się jednak p. Sobieskiemu wykazać, że opór katolików przeciw żądaniom różnowierców był główną przyczyną złego rezultatu sejmu a tem samem ważnem bardzo ogniwem genezy rokoszowej — nie udało się także wykazać, że głównym czynnikiem w odpornem stanowisku duchowieństwa i katolików był „wichrzyciel rzeczypospolitej".

W szczegółową krytykę „Pamiętnego sejmu" wchodzić tu nie miejsce. Dla zrozumienia roli Skargi w czasie sejmu 1606 r. wystarczy wykazać choćby na podstawie „Studyów" p. Sobieskiego i „Pamiętnego sejmu", że wszelkie rojenia na temat, jakoby katolicka nietolerancya przeszkodziła „zbawiennym reformom sejmowym" są zwykłą sobie mrzonką historyczną, gdyż z powyższych prac p. Sobieskiego zupełnie jasno wynika, że opozycya dążyła do rozbicia sejmu i dlatego stawiała królowi postulaty niemożliwe do spełnienia, a część jej dysydencka przedkładała ze swej strony tak daleko idące postulaty wyznaniowe, że katolicy mimo gotowości do ustępstw musieli się im oprzeć i istotnie opierali się bez specyalnego współdziałania Skargi.

P. Sobieski, charakteryzując głównych przywódców partyi dysydenckiej na sejmie: Janusza Radziwiłła i Dyabła Stadnickiego, podsuwa im chęć obrony „całej falangi innowierców" przeciw systemowi politycznemu króla (18), chociaż wie dobrze, że to było tylko pretekstem dla podburzenia „tej falangi" przeciw królowi i pociągnięcia jej w stronę Dymitra Samozwańca. — podczas gdy dla nich samych decydująca w tej sprawie była zwykła prywata i chęć osobistych korzyści, których się po Dymitrze spodziewać mogli.

Że nie cierpieli Zygmunta III. dla jego pobożności i rozmaitych praktyk religijnych jak np. publicznych obchodów, kiedy to król wraz z członkami Bractwa Miłosierdzia okryty worem pokutniczym brał udział w procesyach i krzyżem po kościołach leżał (X. 39), to jasne — ale byliby mu to wybaczyli, gdyby nie taka drażliwa dla nich sprawa, jak częste pomijanie ich przy rozdawnictwie wakansów „sudes erat in (eorum) oculis pietas catholicissimi Principis, et quia ab eo in distribuendis Regni officiis ac dignitatibus praeteriri plerumque se advertebant" (X. 118).

Że tak było z głową kalwinistów litewskich, Januszem Radziwiłłem, który w czasach rokoszowych będzie marszałkować obradom rokoszowych zjazdów, o tem kilkakrotnie p. Sobieski wspomina. Wie np. „że gniew jego na króla nie ma granic, a młody książe nie ukrywa" powodów tego gniewu (18). Wie, że 27-letni Radziwiłł gniewał się bardzo za pominięcie go przy hetmaństwie 1605 r., mimo że król miał się wtenczas wyrazić „pan podczaszy młody jeszcze bardzo na taki urząd, trzeba, żeby się pierwej dobrze przyuczył". (Studya. 132). Gniewał się, że nie dostał starostwa soleckiego, które otrzymał regalista Myszkowski (20) — a gniewał się nie tylko na króla, ale także na Myszkowskiego i na Chodkiewicza, który w r. 1605 buławę wielką po jego ojcu otrzymał i dlatego będzie wyprawiał na sejmie 1606 r. awantury także z Myszkowskim i Chodkiewiczem.

Takich osobistych uraz p. Sobieski przy genezie tragedyi sejmowej i rokoszowej nie ma ochoty należycie uwzględnić, może dlatego, że nie zdaje sobie dokładnie sprawy, który z jego własnych poglądów na sprawę wakansów jest prawdziwy, czy ten, że „istotnie Zygmunt III. niezłomnie i systematycznie odtrącał od wszelkich urzędów wszystkich innowierców, aby herezye wygubić" (Sejm. 19), czy może sąd, podkreślony w „Nienawiści wyznaniowej" (174). „Śmiesznem jest widzieć w Zygmuncie III. i jego systemie forytowania na urzędy samych prawowiernych katolików, główne narzędzie powrotu narodu do katolicyzmu".

Dysydenccy rokoszanie za całkiem śmieszne tego nie

uważali, bo wiedzieli, że gdy braknie im magnatów w senacie, wiara ich takiej ciężkiej próby nie przetrzyma — na co sam p. S. przytacza bardzo charakterystyczny dowód z mowy Gorajskiego o „wolności sumienia": „Nie daje się nam urzędów — ani dóbr żadnych, a wszystko to w tym celu, aby nas wyniszczyć i do szczętu wygubić" (149).

Do tego możnaby dodać podobny znamienny, głos innego apologety wolności sumienia, Dyabła Stadnickiego: „Odepchniono nas od chleba, choć katolikom dają, ludziom marnym, którzy nie zporównają z najmniejszą posługą ludzi uczciwych". (Remb. 87). Podobny wniosek możnaby także wyciągnąć z wotów senatorskich na „Pamiętnym sejmie", np. z wotum Myszkowskiego, że malkontenci koniecznie chcą zmiany, chcieliby codzień króla a co godzina urzędników zmieniać: „aby brać wakujące urzędy dla siebie" (94) — albo z wotum Lwa Sapiehy, który utrzymywał, że przyczyną zerwania sejmu 1605 r. „nic innego, tylko targowanie się o wakujące urzędy i łaski" (95).

Te „wakanse" były dla przewódców rokoszu sprawą o wiele ważniejszą, aniżeli „wolność sumienia" i rozmaite inne wolności, tak, że nie brak głosów współczesnych, przypisujących nawet cały rokosz tymże pobudkom, jak np. utrzymuje jakiś praktyczny regalista, „rzecz pewną jest, że i ta teraźniejsza mieszanina dosyć szkodliwa, dla wakancyjej się samych poczęła, i na potym zawsze niehojnego, jedno wakancyje trudnić będą, które różnymi płaszczami jako i teraz przykrywać bendą" (Remb. 377).

Dla przywódców dysydentów takim płaszczem będzie „wolność sumienia", dla innych wolności Rzplitej i strach absoluti dominii, bo bez tych haseł nie można było szlacheckich tłumów za sobą pociągnąć.

Dekoracyjny płaszcz spadnie z ramion, gdy się będzie stawiać pozytywne wnioski, np. takie: „Wyjąć to królowi z rąk, aby Rzplita vacantiae rozdawała i tak jużby potrzebniczkowie nie królowi, ale Rzplitej folgować musieli i od niej do zatkania dziury i niedostatków swych ratunku patrzyć". (Remb. 477).

Dlatego też i w artykułach rokoszowych po artykułach naczelnych, zwróconych przeciw absolutum dominium i „prakty-

kom rakuskim", będzie nietylko artykuł (n. 34), żeby wszyscy, choć różnej religii, „równie ad honores et praemia, wszystkim zarówno należące, przypuszczani byli"; ale żeby i w rozdawaniu wakansów zwłoki nie było, „alioquin wakancyje takie in dispositionem senatus i posłów na sejmie per pluralitatem, aby przypadały" (n. 59) — artykuł nader charakterystyczny dla rokoszan, broniących liberum veto.

P. Sobieski zapatrzony w różne dekoracyjne „płaszcze" apologetów wolności sumienia, nie zauważył, że nawet bardzo wybitni mowcy tego pokroju będą pozować dla zyskania poparcia katolickich „polityków" także na obrońców swobód szlacheckich, jak np. Dyabeł Stadnicki, który wołał nawet z patosem: „Wolę, że gwałt cierpi w osobie mojej wiara, niźliby swobody nasze wszystkie szwank iaki podjąć miały". (Remb. 40).

To samo podnosić będą na sejmie, a później w czasie rokoszu, także inni przewódcy dysydentów, nieliczni wprawdzie, bardzo za to ruchliwi i krzykliwi, jak Gorajski, Sieneński, Męciński, Taszycki, którzy wbrew hasłom o wolności sumienia, w swoich majątkach reformacyę przeprowadzili i kościoły ograbili (Sejm 58—67), ale dla uniknięcia „kompozycyi" gardłować będą za procesem na konfederacyę, udrapowani w płaszcze wolności sumienia i swobód szlacheckich.

Przy tej sposobności gardłować będą na duchowieństwo, na Jezuitów i na Skargę, chociaż król nie tylko za radą Skargi uwzględniał przy rozdawaniu wakansów raczej katolików niż innowierców „ut haeretici... non ita frequentes ad munera publica promoverentur, maxime, cum *non desint catholici aeque idonei vel etiam frequentes magis idonei*" (XIV. 78), ale czynił to także za wskazówką Klemensa VIII. (Theiner M. R. P. III. 208) i z własnego przekonania, bo nie miał racyi wyszczególniać dysydentów, a miał zupełne prawo pomijać ich, skoro i w dzisiejszych czasach nie odmawia się panującym prawa mianowania ministrów z pośród większości parlamentarnych.

Że „pokrzywdzeni" w ten sposób różni ambitni ludzie przechodzili nie tylko do opozycyj, ale nieraz szukali oparcia dla swej zemsty u sąsiednich potencyi, na to niestety nie brak

dowodów w historyi „królewiąt polskich" — nawet katolickiego wyznania.

Jaskrawym tego dowodem był między innemi rokosz Zebrzydowskiego, bo i sam wojewoda po zerwaniu z królem łączył się z Dymitrem Samozwańcem i jego wspólnicy Radziwiłł i Stadnicki to samo uczynili. Wojewodzie szło głównie o praktyki rakuskie i absolutum dominium — ale i o wakancyach królowi pisał nawet jeszcze po odwiedzinach Skargi w Lanckoronie: „Rozdanie wakancyjej niech będzie z ukontentowaniem ludzi bacznych i rozsądnych" (Remb. 120), chociaż na stronę Dymitra pchnęło go raczej maniactwo polityczne, także niestety i w niepodległej i w porozbiorowej Polsce bardzo „zagęszczone".

Dla Radziwiłła nienawiść do króla i w ścisłem znaczeniu prywata była decydującą dla konszachtów z Dymitrem, a że takie związki istniały i to nietylko z Dymitrem, o tem p. Sobieski pisze w Studyach, podkreślając fakt, że Janusz Radziwiłł po tragicznym końcu Dymitra szukał innego kandydata do korony i wszedł w porozumienie z carem Szujskim, którą to praktykę odkrył później sam Zebrzydowski przed Żółkiewskim. (l. c. 132—138).

Że drugi także naczelnik dysydenckiej opozycyi a później wybitny rokoszanin, Dyabeł Stadnicki, miał pakta z Dymitrem, na którego dworze służyli dwaj jego rodzeni bracia, jako też i o tem, że Stadnicki oczekiwał na znaczną przesyłkę pieniężną, przeznaczoną na robotę rokoszową, o tem jest również w Studyach mowa (125—128).

P. Sobieski wie także, że w związku bardzo blizkim z tymi konszachtami, były wielkie przygotowania wojenne na granicy wschodniej; nietylko ćwiczenia wojskowe na wielką skalę w zdobywaniu, stawianych umyślnie w tym celu wzorowych obwarowań, nietylko ćwiczenia z wielkiemi machinami, wynalezionemi przez samego Dymitra, ale i gorączkowa robota w arsenałach i puszkarniach, jakoteż gromadzenie wielkich zapasów amunicyi i żywności, mogącej wystarczyć na armię 300.000, a może i większą (l. c. 80).

Przygotowania te musiały w czasie „Pamiętnego sejmu"

mieć się ku końcowi, jak można wnosić z opisów ks. Sawickiego, który z orszakiem Maryny Mniszchównej przeszedł 18. kwietnia granice moskiewskie i zaraz zauważył jakieś dziwne pogotowia i ostrożności. Uderzyło go mianowicie to, że wszędzie na rzekach i błotach w drodze do Moskwy, zastał wiele mostów i to przeważnie nowych — a mostów tych przeszło 600 naliczono. (X. 131). Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy po drodze nie wpuszczono nikogo z orszaku, ani nawet samej Maryny i Mniszcha w obręb twierdzy smoleńskiej, ale kazano orszakowi pozostać na przedmieściach, „quod non parum mirabantur omnes“ (X. 133).

Dziwić się temu przestał dopiero w Moskwie, gdy sam Dymitr przed nim się pochwalił, że ma gotowe wielkie wojsko „ad centum millia“, a chociaż nie odrazu zrozumiał, dlaczego Dymitr zaraz po tej wzmiance zaczął wygadywać na króla Zygmunta, niedługo potem nabrał przekonania, że te wszystkie pogotowia wojenne wymierzone były przeciw Zygmuntowi III., którego chciał pozbawić korony „Regno exuere moliebatur“ (X. 145.).

O tych wszystkich przygotowaniach Dymitra jakoteż o porozumieniu z nim naczelników opozycyi wiedział dobrze p. S., zabierając się do pisania historyi „Pamiętnego sejmu“, ale ani przy charakterystyce Radziwiłła, Dyabła Stadnickiego i Zebrzydowskiego, o ich ówczesnych związkach z Dymitrem nie wspominał — ani z tych związków żadnych logicznych wniosków dla stanowiska opozycyi sejmowej nie chciał wyciągnąć, widocznie z obawy, żeby hipoteza o „Nocy Jezuitów“ i jej znaczeniu dla historyi tegoż sejmu nie rozlazła się w strzępy.

* * *

Stanowisko opozycyi sejmowej, jak widać z książki p. Sob., zaraz z początku sejmu było bardzo energiczne i wyzywające, mimo, że nie było jeszcze wtenczas w Warszawie jej naczelnika, Janusza Radziwiłła. Po jego przyjeździe nietylko zaczną się awantury na większą skalę, ale i stanowisko opozycyi stanie się bardziej nieprzejednane. Zaostrzy się ono jeszcze po otwarciu stężyckiego zjazdu, który miał być wstępem do rokoszu, a po

tajnej konferencyi Radziwiłła z Zebrzydowskim na tymże zjeździe i po powrocie Radziwiłła na sejm — walka opozycyi przejdzie w stadyum najostrzejsze.

Obstrukcya opozycyi zaczyna się na sejmie warszawskim, otwartym dnia 7. marca, zaraz w pierwszych dniach sejmu. Już w „odwitaniu" króla nie biorą udziału posłowie opozycyjni (str. 72). W wotach senatorów (nawet w tej dawce, jaka jest w książce p. Sobieskiego) słychać obawy o przyszłość sejmu. Ostroróg np. podnosi, iż pewien senator mu wskazał, „że sejm ten dalibóg rozerwie i inszych dziesięć" (92). Na tę samą nutę przemawiał marszałek Myszkowski. Źle wróżył sejmowi także Lew Sapieha, akcentując, że są tacy, co życzą sobie zerwania sejmu (93—95).

Że w opozycyi będą czynni i dysydenci, to nie tylko przewidywał biskup Szyszkowski, ale nawet ich taktykę obstrukcyjną zapowiadał: „bo jedno, co poczniemy o obronie podług J. Kr. Mci mówić, ali co innego wtrąca, ali wołają bracia nasi: Nie chcemy obrony, aż konfederacyi proces i tem similia podług woli naszej staną". (81).

Po wotach senatorów zaczyna się „pierwszy harc" już 13. marca. Opozycya nie chce przystąpić do narad nad obroną Rzeczypospolitej, dopóki król nie uczyni zadość „urazom", których szkic już miała nawet przygotowany.

Po dłuższych targach opozycya zwycięża i układa nową redakcyę „uraz" wśród kłótni z katolikami, którzy nie chcą się zgodzić na wciągnięcie do „uraz" konfederacyi warszawskiej. Ostatecznie katolicy ustępują po obronie prawa patronatu królewskiego (kilkugodzinna dysputa Tulibowskiego z dysydentem Broniewskim) i po omówieniu potrzeby kompozycyi z duchownymi, jak świadczy Kryski (107). Następuje potem bardzo charakterystyczna dla stanowiska opozycyi dwudniowa walka o dodatkowy projekt opozycyi „która chciała dołączyć do „uraz" zastrzeżenie: *że się wypowie królowi posłuszeństwo* w razie jeśli choćby *w najdrobniejszej rzeczy wszystkim* żądaniom izby nie uczynił zadość" (108). O tym dwudniowym harcu, który nie miał nic wspólnego z wolnością sumienia, a nie był obojętny

dla genezy rokoszu, jaką „niemal dzień po dniu“ p. Sobieski zamierzał przedstawić, niczego się niestety więcej z „Pamiętnego sejmu“ nie dowiadujemy.

Przed odczytaniem królowi tych „uraz“, które były zawiązkiem późniejszych artykułów sandomierskich, przyszło w czternastym dniu sejmu do „rozgłośnej po całej Polsce“ awantury, wywołanej przez dworzan Janusza, który właśnie przed dwoma dniami wjechał buńczuczno do Warszawy z orszakiem pięciuset zbrojnych. Zagorzały kalwin „lubiał, jak pisze p. Sobieski, w każdem mieście gdzie przybył — nabożeństwa kalwińskie odprawiać w sposób uroczysty — nawet może wyzywający“. (20).

Niedawno przedtem ludzie jego czynni byli w tumulcie krakowskim i „rzecz znamienna“ jak uważa p. Sob., że działo się to „właśnie w tej samej niemal chwili“, kiedy agitator Samozwańca, Buczyński, bawił w Krakowie „aby zjednywać stronników dla Dymitra, jako przyszłego króla polskiego“ w tej samej chwili, gdy „przyjeżdża do Krakowa i Janusz Radziwiłł, szukając zapewne sposobności, aby porozumieć się z Zebrzydowskim co do przyszłego rokoszu“. (Studya. 132.).

Otóż w tej nieobojętnej dla genezy rokoszu chwili słudzy radziwiłłowscy pospieszyli na odsiecz jakiemuś dysydentowi, który łżył przechodzącego ulicą księdza z wijatykiem (nazywało się to w Nienawiści wyznaniowej „nieuczczeniem księdza“ (108), za co oburzony lud chciał się wedrzeć do domu owego różnowiercy. Marszałek Myszkowski tumult rozpędził, ludzi radziwiłłowskich zamknął do więzienia — a chociaż ich wkrótce wypuścił, podrażnił tem jeszcze bardziej wroga swego Radziwiłła, który też z pogróżkami Kraków opuścił.

Ośmnastego marca Radziwiłł zjeżdża na sejm, zapewne poinformowany dokładnie, jak stały wówczas przygotowania wojenne Dymitra i oburza na siebie katolicką ludność Warszawy, bo „jakby na złość katolickiemu Zygmuntowi III. i jego kaznodziei Skardze, słowa są p. Sobieskiego, zaraz w swoim dworze... każe przez cały dzień swemu ministrowi... odprawiać publiczne, uroczyste nabożeństwo i mówić kazania, niejako

wyzywając pospólstwo do tumultu, któryby wykazał naocznie potrzebę obwarowania „tolerancyi religijnej" (106).

Po takiem przygotowaniu, gdy izba poselska niosła 20 marca swe „urazy" do senatu, chcieli się wraz z posłami dostać „na górę" także inni ludzie, zwłaszcza radziwiłłowscy. Marszałek Myszkowski puścić ich nie chciał, a gdy dworzanin Radziwiłła, Zienowicz, nietylko się hardo stawiał, ale brał się nawet do szabli, Myszkowski sam go kilka razy uderzył, kazał go nadto obić hajdukom i odprowadzić do więzienia. (112). Dworzanie radziwiłłowscy rzucili się wtedy do drzwi zamku, strzeżonych przez gwardyę, żeby kompaniona odbić, czemu ostatecznie sam Radziwiłł miał przeszkodzić. Cała awantura skończyła się na tem, że Zienowicz wkrótce został uwolniony, co jednakże Radziwiłła nie mogło ugłaskać i nie powstrzymało go od zamiaru, z jakim przyjechał, żeby sejm „zerwać".

Na „urazy", odczytane po tej awanturze, otrzymali posłowie odpowiedź dopiero po kilku dniach, bo uraz tych było wiele, a król musiał je wszystkie roztrząsać z senatorami.

Odpowiedź królewska nie zadowoliła radykalnej części opozycyi, która układa zaraz „replikę" w tonie o wiele ostrzejszym, zwłaszcza, że król właśnie w tym czasie rozdał wakanse i to regalistom, przez co „oczywiście wszyscy nieobdarowani i zawiedzeni w nadziejach rzucili się do walki z królem". (124).

Mimo tak zaostrzonej sytuacyi, gdy przyszło do odczytania tej repliki królowi dnia 7. kwietnia, już tylko część posłów udaje się „na górę" i otrzymuje ustną odpowiedź, którą niektórzy tylko się nie zadowolili, jak wspomina wyraźnie uniwersał królewski: „którem, (responsem) gdy potem niektórzy już tylko z nich nie kontentowali się..." (Remb. 206), o czem także pisze regalista Łubieński: „ale czyż można mu pod tym względem wierzyć?" pyta p. Sobieski. (132).

Ci „niektórzy" to oczywiście ta część opozycyi, która od początku sejmu uprawiała celową obstrukcyę i dlatego odpowiedź króla musiała uznać za „replikę figlowną", bo inaczej zjazd stężycki, który właśnie za dwa dni miał się zebrać, nie miałby właściwie nad czem radzić.

Na zjazd w Stężycy, otwarty 9. kwietnia, napłynęła bardzo liczna szlachta, aby się dowiedzieć od Zebrzydowskiego o intrygach króla i zdradzie kraju; przybyli także ze sejmu posłowie opozycyjni, których większa część była z „województwa krakowskiego" (157). Ci zdawali sprawę z przebiegu sejmu i omawiali „figlowną replikę" króla na urazy, a dysydenci omawiali także sprawy wyznaniowe.

Na sejmie domagali się już byli „procesu na konfederacyę", na co im król odpowiedział, że taka ustawa wymagałaby zgody wszystkich stanów — a stan duchowny na nią się nie zgadza. (136). Domagali się także zniesienia królewskiego i duchownego *ius patronatus* (138) — występowali przeciw jurysdykcyi duchownych i domagali się zniesienia apelacyi do Rzymu, na co otrzymali odpowiedź, że król by się na to zgodził, gdyby w tej sprawie przyszło do zgody stanów i do zezwolenia papieża, „gdyż to na rozsądku ojca św. zawisło". (139).

O tem wszystkiem opowiadał w Stężycy poseł Męciński, wplątany w procesy z klerem (o 20.000 grzywien str. 64) i rozwodził się nad uporem duchownych w sprawie jurysdykcyi i prawa patronatu. (162).

Na zjeździe zjawił się i Janusz Radziwiłł, ale w dyskusye o różnych urazach niewiele się wdawał. „Wolał odciągnąć... Zebrzydowskiego na ubocze i tam długo po cichu ze sobą rozmawiali" (163), co się bardzo szlachcie nie podobało, tak, „że niemały murmur stał się w kole" (164). O czem rozmawiali, tego się p. Sob. na pewno nie może domyślić, „bo szept ich nie pozostał na papierze". Przypuszcza, że może w sprawie „konkluzyi lub rozerwania sejmu" bo bez rozerwania sejmu „zjazd stężycki w niweczby się obrócił", — chociaż może (drugie przypuszczenie) Zebrzydowski „w razie ustępstw króla nie byłby tak zakamieniały", może i „Radziwiłł w razie przyjęcia przez króla... repliki posłów, a szczególnie konfederacyi, także nie byłby od szczęśliwego ukończenia sejmu?"

Do tych „może" nie dodał p. Sobieski jednego jeszcze, n. p. czy może Radziwiłł, który niezbyt dawno z Litwy przyjechał i wiedział, jak stały sprawy pogotowia wojennego w Moskwie —

a mógł i świeższe jeszcze otrzymywać wiadomości — nie chciał przypadkiem o tem porozmawiać z Zebrzydowskim, którego takie nowinki bardzo interesowały. Tych nowinek nie wypadało oczywiście publicznie omawiać, ale szeptem na uboczu sprawę omówić potrzeba było, bo wymagała tego chyba umowa krakowska ze stycznia tegoż roku, kiedy to w czasie agitacyi Buczyńskiego zjechał do Krakowa także Radziwiłł, „szukając zapewne sposobności, aby porozumieć się z Zebrzydowskim co do przyszłego rokoszu". (Studya. 132).

Jakoż niebawem po owej sekretnej konferencyi powrócił Radziwiłł na sejm, aby przygotować opozycyę do ostatniego harcu z królem i zapewne dlatego w Warszawie już 12. kwietnia chodziły wieści, że szlachta ze Stężycy „zaraz nazajutrz po zerwaniu sejmu ruszy zbrojno i obóz założy tuż pod Warszawą w tym celu, aby połączywszy się z opozycyą stoczyć z królem bitwę". (151).

Na razie jednak do walki orężnej nie przyszło, może dlatego, że jeszcze na nią było zawcześnie, a szlachta nie wykazywała dość ochoty do starcia orężnego. Zaczęły się za to gwałtowniejsze harce na sejmie, przyczem na pierwszy plan wysuwają się dysydenci, wskutek czego w historyi sejmu w ciągu ostatnich czterech dni sprawami wyznaniowemi najwięcej się zajmowano.

Burzliwy przebieg ostatnich czterech dni sejmowych przedstawia autor w pięciu rozdziałach (str. 169—226), zajmujących nieco więcej aniżeli piątą część „Pamiętnego sejmu" zapewne dlatego, że i w źródłach gdańskich najwięcej znalazł materyału do historyi kilku tych dni, i że przy pomocy tychże źródeł można było sprawę wyznaniową odpowiednio uwypuklić.

Rola Skargi w tym krótkim okresie ogranicza się do „pamiętnej nocy Jezuitów" i „jezuickiego poranku". Na plan pierwszy wysuwa się w akcyi katolickiej nuncyusz Rangoni, którym zato zajęli się rokoszanie pod Sandomierzem i uchwalili artykuł 38 — „iż na dworze K. J. M. i na sejmach ustawicznie obecnie przemieszkiwa i rezyduje, rzecz jako przedtym niebywała, Rzeczypospolitej szkodliwa i *contra dignitatem* Prymasa...

nie zabraniając legacyjej zwykłych, aby je K. J. M. nieodwłocznie ekspedyować raczył, *commodum* Rzplitej być rozumiemy". (Remb. 303).

Nuncyusz Rangoni — jak pisze autor — już oddawna organizował duchowieństwo, otrzymawszy z Rzymu wskazówki, by bronił kleru przed atakami. „W tym celu nuncyusz otrzymał od papieża *brevia*, które porozdawał biskupom i gorliwszym katolikom. Nadto 10. kwietnia nuncyusz Rangoni zgromadził u OO. Bernardynów na tajną radę wszystkich biskupów łacińskich" i unickiego metropolitę Pocieja (174).

Skarga widocznie na tej tajnej radzie nie był, skoro go p. Sobieski oszczędza — ale bardzo możliwe, że biskupi, układający wówczas „skrypt panów duchownych" do odczytania na sejmie, mieli pod ręką Skargi „Proces na konfederacyą", bo wywody skryptu dziwnie przypominają argumentacyę Skargi.

Biskupi konfederacyi warszawskiej nie uważają oczywiście za prawo obowiązujące, ale uważają ją za godną potępienia, bo każe nietylko tolerować, ale i bronić wszystkich sekciarzy — „nie dosyć na tem tolerować go, trzeba go bronić" (175). Na tolerancyę zgadzają się, ale na obronę herezyi zgodzić się nie mogą. „Insza rzecz rozumiemy przebaczywać, a insza spisować się i konfederować na pomaganie czego" (176). Występują także przeciw procesowi na konfederacyę, bo dysydenci mają już sądy rozmaite, przed którymi mogą swych krzywd dochodzić; innych nie potrzeba, skoro i katolicy, którym kościoły obrabowano, nie żądali specyalnych trybunałów. Dla spraw spornych proponują osobny zjazd w celach „kompozycyi" — a w sprawie zniesienia apelacyi do Rzymu radzą wnieść prośbę do papieża.

Skrypt ten odczytano posłom „na górze" dnia 14. kwietnia po mowach kanclerza, podnoszącego ustępliwość króla w sprawie usunięcia „uraz", których część już załatwiono, a część trzeba odłożyć na inny czas, żeby przystąpić do uchwał o koniecznej obronie Rzplitej — jakoteż po mowie kardynała Maciejowskiego, który zbijał zarzuty dysydentów, jakoby duchowni burzyli spokój Rzplitej.

Przy odczytywaniu końcowego ustępu „Skryptu", w którym było wezwanie do świeckich senatorów, by poparli biskupów i nie dopuścili do konfederacyi, powstał na znak zgody cały senat z wyjątkiem jednego obecnego wówczas dysydenta (180), wobec czego nie mogło być mowy o uznaniu konfederacyi za prawo.

Dysydenci, chociaż nie radzi, słuchają dalszych propozycyi od tronu w sprawie kurateli pruskiej, w sprawie uchwalenia obrony Rzpl. i o potrzebie poparcia wojny szwedzkiej, przyczem ze zdziwieniem dowiadują się, że król zamyśla wybrać się do Szwecyi, by wyzyskać zwycięstwo kirchholmskie, mimo, że kilka dni przedtem był się tego wyrzekł. Wówczas to, według informatora gdańskiego, „powstał taki wrzask i tumult wśród posłów, że żaden drugiego nie mógł zrozumieć", ale mimo to ów informator wyraźnie słyszał — „że najwięcej głosów krzyczało o konfederacyę" (181).

Po chwilowem uspokojeniu się burzy przychodzi do nowego harcu i to nie o wyjazd do Szwecyi, jakby się należało spodziewać, ale o odrzuconą dopiero co przez senat konfederacyę. Stanowiska katolickiego broni kardynał Maciejowski, ze świeckich katolików przemawiają wojewoda Gostomski i Lew Sapieha (obaj nawróceni na katolicyzm przez Skargę), jako też referendarz Kryski — a rezultat walki ten, że Mazowszanie, skłonni do jakowychś rokowań z dysydentami, oburzeni za ataki na duchowieństwo ponawiają dawniejszy swój protest przeciw konfederacyi, o której nie chcą słyszeć.

Oburzenie katolików wywołały dwie mowy: jedna Gorajskiego, druga Dyabła Stadnickiego, który według zdania p. Sobieskiego „wypowiedział — apologię tolerancyi religijnej" (str. 182), ale wypowiedział ją w sposób tak nieszczęśliwy, że nie tylko dał okazyę Kryskiemu do protestu imieniem sześciu województw (191), ale, że nie wiele brakowało — „aby duchowni i świeccy nie porwali się do bitki", co znowu tak poruszyło p. Sobieskiego, iż z tego epizodu wyciągnął wniosek, jakoby na całym sejmie zaciekła walka wyznaniowa dominowała. (Studya. 198).

Tak zwana „apologia tolerancyi religijnej" w ustach Dyabła

Stadnickiego nie mogła nie oburzyć katolików, którzy wiedzieli, jak on tę tolerancyę praktykował i u siebie w Łańcucie, skąd OO. Dominikanów wypędził, kościół ich sprofanował i ograbił — jak i w czasie różnych walk z sąsiadami i z własną rodziną, przyczem także kościołów nie oszczędzał, srebra z nich zabierał, a hostye z tabernaculum wyrzucał. Za takie przywary Dyabłem go współcześni nazwali, a chociaż p. Sobieski konsekwentnie do swego poglądu na Skargę próbuje nieśmiało pobielić „niezawodnie za czarną sylwetkę" Dyabła, naszkicowaną przez Jazłowieckiego i Łozińskiego (60—61), faktem jednak pozostanie, że piętno wichrzycielstwa za Zygmunta III. nie Skardze, ale Stadnickiemu się należy.

Mowę Stadnickiego uważa p. Sobieski widocznie dlatego za „apologię tolerancyi religijnej", że znalazł w niej żal do duchownych, iż „nie są skłonni do pokoju i braterskiej miłości" (182); że przypominał im słowa rzekomo Zygmunta I.: „Sinite eos crescere usque ad messem" i powoływał się na groźbę wyrzeczoną w sprawie konfederacyi do króla Henryka: „Si non iurabis, non regnabis"; że utrzymywał — „iż kto nie zowie prawem konfederacyi, ten nie miłuje króla, pokoju i zgody"; że wychwalał edykt nantejski, który smakuje Francuzom po czasie i przestrzegał katolików, żeby się nie doczekali takiego losu, jak bracia ich w Anglii, Szkocyi, Danii, przyczem nie omieszkał pogrozić biskupom, że może ich spotkać to, co spotkało niedawno biskupów węgierskich, wypędzonych przez Boczkaja.

Taki tolerancyjny ton nie mógł oczywiście biskupów rozczulić, jak i końcowa apostrofa Stadnickiego, żeby król poskromił księży, którzy zawsze kontradykują, turbują, a nawet „panowanie W. K. M. in dubium wokują", co gdy król uczyni, wtedy on będzie P. Boga „prosić za króla i za zacne potomstwo K. Mci". (185).

Jak w tem podkreśleniu lojalności poddańczej, tak i w nawoływaniu do pokoju i miłości wzajemnej była najwyższa perfidya, którą musieli się oburzać katolicy i rojaliści, chociaż zapewne nie wiedzieli jeszcze o ówczesnych konszachtach tego

apologety ze Samozwańcem i o niecierpliwości, z jaką oczekiwał na pieniądze z Moskwy.

Po Stadnickim zabrał głos kalwin Gorajski, który miał podobne jak Stadnicki zamiłowanie do wolności sumień, bo i w jego majątku kościół katolicki stał pustką (62). Ten „rąbał prosto z mostu" i zbijał skrypt panów duchownych, powtarzając argumenty Stadnickiego (185), ale dla korzystnego nastroju słuchaczy bardziej akcentował „grunt narodowy i swojski", podnosząc, „że różnowiercy bardziej popierają swego króla, aniżeli duchowni, którzy wiążą się z zagranicznym Rzymem" i „snują cudzoziemskie plany na zgubę Rzplitej" (187).

Czy przy replikach na te przemowy zarzucił kto Gorajskiemu, że część różnowierców wolałaby Moskwę niż Rzym, tego p. S. nie mówi, ale repliki były. Bronił duchownych „głośny antysemita" (188), zagorzały regalista i gorący katolik, Hieronim Gostomski; bronił kardynał Maciejowski, a po nim referendarz Kryski, który, oburzony mową Stadnickiego i Gorajskiego, ponowił w imieniu sześciu województw protest przeciw konfederacyi „o której nie chcą już nic wiedzieć" (191).

Po tych replikach nie wyszła od tronu żadna enucyacya. Posłom kazano wrócić do izby, gdzie mieli przystąpić do wyboru komisyi dla odprawienia poselstw zagranicznych. Zamiast tego opozycya uderzyła na „pobożnych Mazurów" zato, że stanęli po stronie duchowieństwa. „Musiały się teraz — jak pisze p. S. — dziać w izbie gwałtowne sceny. Słychać o pojedynkach między posłami. Słyszymy, że stronnicy dworu musieli się bronić i wołać: „Nie targajcie się na religię i nie strójcie tumultów" (194) — ale o tem wszystkiem p. Sobieski całkiem źle słyszał i całkiem nie do rzeczy cytuje na dowód tych okropności słowa Kazanowskiego, który wprawdzie mówił o „minacyach regalistów", ale o minacyach po skończonym sejmie: „skoro po sejmie" (Remb. 469), kiedy to „posły nasze na pojedynki snadź wywabiano" — ale o dojściu do pojedynków nie mówi, notuje tylko pogłoskę „snadź, że też kogoś w sadno ruszono", co, o ile wiadomo, przy honorowym pojedynku byłoby wykluczone. Także owe zaklęcia: nie targajcie się na religię etc. nie

mają nic wspólnego z dniem 14. kwietnia, bo kładzie je Kazanowski w usta „łaskawych posłów", którzy przez 18 lat nie upominali się o pakta konwenta i „ledwo praw starych nie znoszą", a gdy im się to wytyka, oni mówią: „nie targajcie się itd." (Remb. 464).

Nie było więc 14. kwietnia pojedynków, ani krwi rozlewu i temu zapewne przypisać należy, że według p. Sob. dzień ten miał się zakończyć wyznaczeniem komisyi mieszanej i to do roztrząśnięcia „procesu na konfederacyę"?? odrzuconego właśnie przez cały senat, — a jeszcze dziwniejsza, że według informacyi p. S. „nawet po większej części porozumiano się i ugodzono"!! (str. 195).

Mimo tej rzekomej zgody dzień następny t. j. 15. kwietnia, zapisał się w historyi sejmu gwałtowną, obstrukcyjną mową Gorajskiego, która widocznie cały ów dzień zajęła, skoro o niczem innem pod tą datą Dyaryusz gdański, a za nim p. S. nie wspomina. Mowa musiała być istotnie niezmiernie długa, skoro według jednych relacyi „Gorajski królowi 14 periuria zadał" (200) według innych 30, a inni nawet 36 periuriów naliczyli. (197). Periuria te miały według p. S. stanowić „długi poczet znanych nam już poprzednio urazów" (198), a chociaż czytelnik nie miał sposobności z tym długim pocztem się zapoznać, p. S. niemi się nie zajmuje, wspomina tylko o żalach Gorajskiego na mandaty i dekrety przeciw wyznaniu augsburskiemu w Prusiech, o żalach za burzenie zborów, o żalach na kaznodziejów, obrażających dysydentów i na pomijanie różnowierców przy rozdawaniu dóbr i urzędów „aby nas wyniszczyć i do szczętu wygubić" (199).

Jakie było wrażenie tej historycznej mowy, tego p. S. nie chce rozstrzygać, podaje tylko notatkę dysydencką, że króla „najmniej to nie obeszło" i dworaka francuskiego, iż „króla tak traktowano ostro, że mu aż łzy w oczach stanęły" (201). W każdym razie odpowiedź kanclerza na te periuria była bardzo łagodna. Oświadczył, że gdyby nie było „dziś już późno(??) to nie omieszkałoby się odpowiedzieć i możliwie wszystkiemu zadość uczynić" i dlatego to król porozumie się nazajutrz z sena-

torami „w sprawie pewnych kwestyj“ i da posłom odpowiedź (200) Jakoż nazajutrz t. j. w niedzielę 16. kwietnia, gdy posłowie odpoczywali, zebrała się tajna rada z królem i rzekomo „nad sprawą różnowierczą obradowała od rana aż do wieczora“ (202); poczem postanowiła wznowić „konstytucyę o tumultach religijnych“ z zastrzeżeniem, że duchownych miały sądzić duchowne sądy, a apelacya miała iść do Rzymu.

Na tej tajnej radzie od rana aż do wieczora omawiano jednakże, jak to zapowiedział kanclerz, także inne „pewne kwestye“ i dlatego w poniedziałek 17. kwietnia miało się odbyć wspólne posiedzenie senatorów i posłów bez obecności króla dla zbadania wszystkich grawaminów przeciw paktom i artykułom henrykowskim.

Mimo skarg na króla, zaraz na początku tego posiedzenia o nacisk na izbę przez ściągnięcie wojsk do Warszawy, sprawa miała pójść gładko, a sesya była jakby niemą, bo według p. S. po odczytaniu każdego artykułu nietylko nie podnoszono „periuriów“, ale „cisza zwykle zalegała salę“ (205). Dopiero, gdy przyszło do artykułu o konfederacyi, „ozwał się stan duchowny“ z protestem i odpowiednio do uchwał na tajnej radzie z 10. kwietnia u OO. Bernardynów z nuncyuszem Rangonim zajął takie samo stanowisko, jak trzy dni przedtem t. j. 14. kwietnia, gdy skrypt duchownych odczytywano.

Duchownych poparli i tym razem Mazurzy, oświadczając, że ważniejszą jest sprawa obrony Rzeczypospolitej, aniżeli konfederacya i dlatego wszystkich sił użyją, żeby uchwalić podatki nawet w razie uporu „niektórych“ posłów (206), co oczywiście oznaczało, że w tym wypadku godzą się na instrukcyę królewską o konkludowaniu sejmu bez zgody „niektórych“. Takie samo stanowisko zajął imieniem Litwy Lew Sapieha, podkreślając, że Litwini mimo uraz chcą uchwały o „obronie“, bo zagraża im Szwecya i Moskwa i miał nawet zaznaczyć, że Litwa, nie widząc korzyści z unii wskutek zrywania sejmów, będzie zmuszona sama o sobie myśleć.

Tą grozą miał tak przerazić opozycyę poselską, że „lojalniejsi“ posłowie podnieśli krzyki, aby nie dawać przyczyny do

zerwania unii (206). Dysydenci mimo to mieli się domagać, żeby im zaraz — jak pisze p. Sobieski — „przynajmniej proces na konfederacyę“ przyznać, które to „przynajmniej“ żadnego sensu nie ma, bo proces na konfederacyę był najdalej idącym postulatem dysydentów, a stawiali go tylko w celach obstrukcyjnych, bo „wiadomem było — jak zaraz na następnej stronicy zaznacza słusznie sam p. Sobieski — że proces na konfederacyę szedł zbyt daleko i absolutnie nań duchowieństwo nie pozwoli“ (207).

Wskutek stanowczego oporu duchowieństwa przeciw konfederacyi i jej procesowi zaproponowali niektórzy senatorzy, żeby przestać na konstytucyi o tumultach tak, jak to senat dzień przedtem proponował. Na tej też podstawie ułożono jakiś kompromisowy projekt konstytucyi, zapewniający dysydentom pokój pax quaedam et concordia generalis, jak podaje Wielewicki (X. 116). Jak ten projekt w szczegółach wyglądał, nie wiemy, bo tekst jego nie jest znany. To wszakże jest całkiem pewne, że zupełnie fałszywe jest zdanie p. Sob., jakoby „istotnie za obopólną zgodą ułożono ostatecznie konstytucyę, obostrzoną przeciw tumultom“. (Nienawiść 119), bo bardzo ważne a drażliwe kwestye, związane z tą konstytucyą, jak kwestya, kto ma sądzić duchownych, posądzonych o tumulty, czy sąd świecki, czy duchowny, czy mieszany i do kogo ma iść apelacya, czy do króla, czy do prymasa, czy do papieża, pozostały nierozstrzygnięte i musiano je do następnego dnia odłożyć (Pam. Sejm. 208).

Zatem część tylko projektowanej konstytucyi udało się zgodnie ułożyć w przedostatnim dniu sejmu. P. Sob. domyśla się, że pax i concordia generalis Wielewickiego zapewniała wolność nabożeństw dysydentom w całym kraju, że za gwałty miała być karana i szlachta i plebeje, których miały sądzić zwykłe sądy.

„Obostrzenie“ zaś tej konstytucyi o tumultach „zapewne polegało — według p. S. — na wyraźnem zaznaczeniu, że się odnosi do zaburzeń tylko religijnych i w zaznaczeniu energiczniejszego postępowania przeciw tumultuantom lub czemś podobnem“ (207).

Otóż z takich pewników i z „czegoś podobnego“ wnioskuje p. Sob., „że spisano tedy tę obostrzoną konstytucyę o tumultach, a jak była ona umiarkowaną, świadczy to, że nawet już biskupi nic przeciw niej nie mieli, nic w niej grzesznego się nie dopatrując“, — przyczem ma odwagę powołać się bez żadnej żenady na Wielewickiego, który wyraźnie zaznacza, że w skrypcie wyznaniowym były rzeczy grzeszne: plura concedebantur quam *conscientia integra* concedi posset, sed ita occulte, ut ne ecclesiastici quidem, qui senatui intererant, id *satis initio adverterent* — co znaczy dosłownie, że w projekcie jakiegoś pokoju i zgody powszechnej „więcej przyznawano, aniżeli z czystem sumieniem przyznać było można, ale tak skrycie, że nawet duchowni, którzy byli w senacie, tego zrazu dostatecznie nie spostrzegli“.

Stanowisko posłów litewskich, mazowieckich i ruskich, życzących sobie uchwalenia podatków na obronę zagrożonej Rzeczypospolitej, napełniło regalistów nadzieją, że ostatecznie także dysydenci ustąpią, a sejm przynajmniej na pobór podatków przyzwoli, tak, jak było na sejmie krakowskim w roku 1603, zwłaszcza, że dotychczas nie odrzucono a limine projektu instrukcyi królewskiej, „aby jedni bez drugich sejmy zawierać mogli“, co nawet tegoż dnia akcentowali posłowie lojalni, oświadczając się z gotowością „dostarczyć wszelkiej pomocy i ratunku, aby protestujących posłów zwalczyć“ (206).

Podkreślał takie usposobienie i uniwersał królewski, wydany w cztery dni po sejmie, podnosząc zasługi senatorów, którzy namawiali się z posłami o urazy i „ukazowali dowodnie, że mało już nie wszystkim rzeczom, od nich proponowanym, dosyć się stało. Drugie także za naznaczeniem pewnego czasu wykonać się od nas skutecznie miały i już tylko między stanami naszymi w innych wszystkich punktach natenczas się ukontentowawszy nieco różności tego dnia (17. kwietnia) zostawało“.

Tymczasem, jak mówi tenże uniwersał, „gdy nazajutrz do zasiędzenia i wczorajszych rzeczy, w zgodzie zawartych, konkludowania przyszło, oneż znowu osoby, które od wszystkich zgody prawie województw rozwieli od nas, kontrowersye utarte

znowu wznawiać poczęli nie innym duchem, jedno żeby były ostatek czasu sejmu wzięli (Remb. 207).

„Oneż znowu osoby“ to oczywiście nie Skarga ani biskupi, ale ci, co od początku sejmu tamowali systematycznie obrady sejmowe, ci co jeszcze przed 20. marca przez dwa dni upierali się przy zastrzeżeniu do „urazów“ — że wypowie się królowi posłuszeństwo i poddaństwo, jeśli choćby w najdrobniejszej rzeczy wszystkim żądaniom izby nie uczynił zadość. (108).

Głową „onychże osób“ był i w ostatnim dniu sejmu Janusz Radziwiłł, a w Stężycy Zebrzydowski. Z ich to inicyatywy radykalna opozycya chciała sejm „zwątlić“, a rej między nimi wiedli posłowie krakowscy (obrobieni w styczniu przez agitatora Dymitra Buczyńskiego), na co dowód sam nawet p. Sobieski w przypisku str. 215 przytacza: „Już dzień przed skończeniem sejmu, że wszystkie urazy, bez bytności J. K. M. samiż panowie senatorowie z panami posłami ułożyli byli, przecież nazajutrz też kontrowersye i inne drugie nowe, nasiż posłowie najwięcej wznawiali“. P. Sobieski wie nawet, jakie to „nowe rzeczy“ one osoby na sejm wniosły, wie, że dysydenci domagali się takich ustępstw, o których w skrypcie wyznaniowym mowy nie było, wie nawet, że wystąpili z nowym projektem, „który przynieśli spisany na papierze“! (215), ale nie chce czy nie może wyciągnąć z tego logicznych wniosków i upiera się przy zdaniu, ogłoszonem w Nienawiści wyznaniowej, iż to Skarga właśnie był przyczyną złego rezultatu sejmu, a upiera się tak rozpaczliwie, że nawet nie waha się odesłać czytelnika aż do Hruszewskiego „Istorja Ukrainy“ w celu lepszych informacyj, co znaczy słowo „turbator“ (241).

Chociaż źródła, z jakiemi się autor zapoznał od czasu napisania „Nienawiści“ zadają oczywisty kłam tym jego zapatrywaniom, ma odwagę pisania rozdziału „Noc przełomowa“, w którym na Skargę zrzuca winę, jaką ponosi rokoszowa część opozycyi, wystawiając tem samem bardzo brzydkie świadectwo jeżeli nie swojej etyce dziejopisarskiej, to przynajmniej swojej logice historycznej.

* * *

„Noc przełomowa“ czyli „Noc Jezuitów“ opiera się na relacyi Wielewickiego, bo dotychczas żadnego innego źródła do historyi tej fatalnej nocy nie znaleziono. Wielewicki dwa razy o niej pisze, raz pod rokiem 1606 (X. 116), drugi raz w nekrologu Skargi (XIV. 79). P. Sobieski oparł się na relacyi pierwszej, przyczem fałszywie przetłumaczył tekst „ut ne ecclesiastici quidem... id satis initio adverterent“. Notatkę drugą zbył historycznem milczeniem, mimo, że nekrolog znał. (Studya 219 dopisek 2). Zignorował ją, bo uważał, że niewygodną jest dla historyi ostatniego dnia sejmu.

Obie relacye różnią się w szczegółach opisu „Nocy Jezuitów“, a bardziej jeszcze w opisie jezuickiego poranku, co się tem tłumaczy, że Wielewicki opisywał epizod Skargowski mniej więcej w 30 lat po owej historycznej chwili, a chociaż szczegółów dokładnie nie pamiętał, faktu samego nie pominął, bo dobrze przedstawiał stanowisko Skargi wobec konfederacyi warszawskiej i podnosił jego zasługi dla Kościoła.

Obydwie relacye są zgodne co do faktu, że w skrypcie wyznaniowym był ukryty podstęp heretycki, nakładający na katolików obowiązek obrony herezyi „posita erant quaedam in decreto, quibus non solum de pace haereticis servanda curabatur, sed etiam *catholici ad eos in haeresi defendendos obligabantur*“ (X) — „eo res processerat, ob fraudem haereticorum, qui scriptum quoddam ordinibus proposuerant, in quo *valde occulte defensionem haeresis involverant*“. (XIV). To było dla Skargi najważniejsze i dlatego obie relacye Wielewickiego pod tym względem są zgodne.

Niezupełnie zgodne są szczegóły mniejszej wagi. Według relacyi pierwszej król tę chytrość tylko podejrzywa: „rem suspectam habuit“, według drugiej sam podstęp spostrzega „dolum tectum advertit“.

Według relacyi pierwszej król przesyła skrypt Jezuitom do przejrzenia, ci go badają, odkrywają podstęp i dają o tem znać królowi; — według nekrologu czynny w tem wszystkiem jest sam Skarga: „statim ad P. Scargam, profunda iam nocte mittit, petens an bona conscientia illo scripto assensum dare possit

nec ne. Legens deligenter scriptum illud Scarga, facile deprehendit fraudem... Regi significat etc. (XIV). O współudziale ks. Bartcza obie relacye milczą, jest to zatem dodatek p. S. na własne conto (211).

Różnica znaczna występuje w opisie poranku jezuickiego. Według relacyi pierwszej Skarga obchodzi wczesnym rankiem kolejno biskupów w towarzystwie niektórych posłów „singulos Senatores ecclesiasticos obiens cum nonnullis nuntiis terrestribus", według nekrologu obchodzi tylko katolickich posłów, odkrywa im podstęp heretycki, a ci, gdy sprawę później wytoczono w obliczu Rzplitej, nagle zaprotestowali „Adiit summo mane varios Catholicos Nuntios et fraudem aperit efficitque, ut dum res ipsa in facie Reipublicae proponeretur, subito illi reclamarent".

Ten właśnie fakt protestu posłów katolickich na pełnym sejmie „in facie Reipublicae" był mniej wygodny dla p. Sobieskiego i został pominięty.

Pod jaką formą krył się ów podstęp heretycki, o tem z Wielewickiego dowiedzieć się nie można, bo tylko pierwsza relacya mówi ogólnie o konfederacyi „sic ratione confederationis, quam maxime haeretici promovere tentabant, nihil omnino iis est concessum' — ale z wydanego po sejmie dziełka Skargi „Diskurs na Confederacyą" można wnosić, że obowiązek obrony herezyi widział on w chęci dysydentów przemycenia procesu na konfederacyę pod pokrywką „obostrzonej" konstytucyi o tumultach, tembardziej, że różnowiercy na drugi dzień całkiem już otwarcie domagali się tego procesu na konfederacyę.

Kogo Skarga przekonywał, że właśnie dla tej racyi nie można się zgodzić na skrypt wyznaniowy, o tem na podstawie samej relacyi Wielewickiego nie można mieć pewnego sądu; ale z historyi całego sejmu i z wypadków ostatniego dnia wynika, że o wiele prawdopodobniejszą jest relacya w nekrologu, przypisująca Skardze pouczenie samych tylko posłów katolickich.

Że biskupi nie potrzebowali pouczenia, iż grzesznym byłby obowiązek obrony herezyi, to jasne ze stanowiska biskupów w czasie sejmu, zwłaszcza, że publicznie cztery dni przedtem

t. j. 14. kwietnia w „Skrypcie panów duchownych“ podkreślali, iż co innego tolerować, a co innego „spisować się i konfederować na pomaganie czego“ — i dla tej też przyczyny w przedostatnim dniu sejmu 17. kwietnia ozwał się cały stan duchowny (205) przeciw artykułowi o konfederacyi w czasie odczytywania paktów.

Skarga nie potrzebował więc przekonywać biskupów o tem, o czem sami byli głęboko przekonani, a gdyby nawet upierał się przy tym zamiarze, brakłoby mu na to czasu, jak wynika z historyi dnia 18. kwietnia i tej to zapewne okoliczności należy przypisać nową poprawkę p. Sob., który zmienia tekst Wielewskiego „summo mane“ na późną noc. „Cóż na to wszystko biskupi, których w nocy przygotował Skarga?“ (216).

Na obchodzenie kolejne wszystkich biskupów „poranek jezuicki“ nie wystarczyłby Skardze, bo w krytycznym dniu „miało bardzo rano przybyć koło poselskie do senatu“ (213), a chociaż izba się spóźniła, król z senatem czekał na nią jeszcze przed oznaczonym terminem, „zebrawszy się daleko wcześniej niż zazwyczaj“ (214).

Zazwyczaj schodzili się „między 8 a 9 na półzegarzu“ (99), jeżeli więc w ostatnim dniu zebrali się „daleko wcześniej“, to na podróż agitacyjną Skargi nie wiele czasu zostawało. Reguła zakonna nie pozwalała mu opuścić furty klasztornej przed świtem. Jako pobożny zakonnik musiał odprawić rano mszę św.; potem musiałby dobijać się do mieszkań przynajmniej tych posłów, z którymi według pierwszej relacyi Wielewickiego miał kolejno biskupów wszystkich obchodzić „singulos Senatores ecclesiasticos obiens“ i albo ich budzić, albo przynajmniej czekać na posłuchanie, dopóki mszy św. nie odprawią. Otóż na to wszystko niewiele było czasu, skoro biskupi „daleko wcześniej“ przed wybiciem godziny 8 na półzegarzu siedzieli już w senacie. Skarga jako 70-letni starzec, mimo, że był podług p. S. „rozgorączkowany żarliwością religijną“, nie miał sił do odbywania takiego obchodu w przyspieszonym tempie, bo już od dłuższego czasu zapadał na zdrowiu — przed dwoma laty (w marcu 1604) przyjął już był nawet ostatnie sakramenta (X. 54), — a w roku „Pamiętne-

go sejmu" ataki febry ponowiły się tak, że uprzedzić musiał przełożonych o ewentualnej potrzebie naznaczenia innego kaznodziei. (Listy 274).

Wobec tego zrezygnował chyba z niepotrzebnego i trudnego obchodu wszystkich biskupów, wstąpił może do jednego, drugiego, ale za to obchodził posłów katolickich, — bo ci potrzebowali bardziej uświadomienia, aniżeli biskupi, a czasu na tę robotę było więcej, skoro posłowie i do izby się spóźnili i w izbie poselskiej mieli się długo kłócić, tak, że na górę „dopiero aż po południu z marszałkiem za drugimi przyszli". (214).

Posłowie katoliccy, uświadomieni przez Skargę, zrobili swoje, bo w czasie dyskusyi wyznaniowej zaprotestowali w obliczu Rzeczypospolitej przeciw temu, na co im sumienie zgodzić się nie pozwalało „dum res ista in facie Reibublicae proponeretur, subito illi reclamarent" (XIV. 79), a wątpliwości żadnych co do podstępu heretyków mieć już nie mogli, bo ci przynieśli nowy projekt „spisany na papierze" (215), w którym bez żadnych obsłonek domagali się procesu na konfederacyę.

Na górze domagają się „panowie ewangelicy koniecznie", aby duchowni podlegali sądowi państwowemu, t. j. „aby do starościńskiej jurysdykcyi byli pociągani"; a w sprawie zniesienia apelacyi do Rzymu „chcieli, aby się o to Ojcu św. nie modliło, ale żeby się tu zaraz to kończyło na sejmie, inaczej i dalej postępować nie chcąc" (215).

„Cóż na to biskupi, których w nocy przygotował Skarga?" pyta p. Sobieski i utrzymuje, że „przedewszystkiem zostali oni zaskoczeni i zdumieni" rzekomą jednozgodnością całej izby. Oni spodziewali się, „że wskutek namów Skargi śród izby nastąpi rozłam. Tymaczasem nie!" Rozłamu według p. S. nie było, bo źródło gdańskie o rozłamie nie mówi, a na notatkę Wielewickiego „dum res ista in facie Reipublicae proponeretur, subito illi reclamarent" (XIV. 79) nie wypadało się tym razem powołać, mimo, że także i w pierwszej relacyi Wielewickiego jest mowa o proteście nie tylko biskupów, ale i tych przynajmniej posłów, których Skarga miał do biskupów prowadzić „ut tandem unanimi consensu omnes decreto reclamarent". (X. 116).

Biskupi mimo tego „zaskoczenia" zaczynają „akt, przygotowany w nocy przez Skargę" (216). Kardynał Maciejowski „śród westchnień i lamentów i ze łzami w oczach" skarży się na ataki różnowierców i samych nawet katolików, którzy nazywają duchownych „zdrajcami", chcąc wycisnąć na nich to, „co się sprzeciwia Bogu i zasadom wszystkich chrześcijan". Duchowni znoszą to cierpliwie, ale „w sprawie konfederacyi dadzą się raczej zabić, aniżeli złamać".

Dla p. Sobieskiego było tego za wiele. Zgorszenie swe zaznaczył dziwnie nieprzystojnym wnioskiem „w ten sposób biskupi, którzy poprzednich dni godzili się na konstytucyę o tumultach, teraz pobudzeni przez Skargę rozdarli zgodę całego sejmu, protestując przeciw wolności sumienia" (217).

Zgorszenie p. Sobieskiego było tak wielkie, że zapomniał odrazu o tem, co dotychczas za rzecz pewną w „Pamiętnym sejmie" podawał i przez dziwne roztargnienie pomieszał takie różne rzeczy, jak konstytucyę o tumultach, konfederacyę i wolność sumienia. Że przeciw wolności sumienia biskupi w czasie sejmu nie protestowali, o tem pisał, rozbierając skrypt wyznaniowy „Insza rzecz rozumiemy przebaczywać a insza spisować się i konfederować na pomaganie czego" (176). Przeciw konfederacyi natomiast protestowali, ile razy nadawała się okazya a głównie „poprzednich dni" t. j. 14. kwietnia w tymże skrypcie panów duchownych, który to protest poparł cały senat świecki i referendarz Kryski imieniem sześciu województw. Ponowili ten protest 16. kwietnia przy odczytywaniu paktów konwentów, a tuż przed mową kardynała Maciejowskiego i jego zapewnieniem, że w sprawie konfederacyi dadzą się „raczej zabić, aniżeli złamać", zaprotestowali także katoliccy posłowie, pouczeni przez Skargę.

Jakimże cudem można mówić, że biskupi tem samem „rozdarli zgodę całego sejmu", kiedy tej zgody na konfederacyę nigdy nie było?!

Senat duchowny zgadzał się jedynie na konstytucyę o tumultach, po owej tajnej radzie, która w niedzielę 16. kwietnia „od rana aż do wieczora" nad sprawą różnowierczą miała obra-

dować (202), ale niestety ani ta konstytucya, ani nawet jej „obostrzenie“ nie zadowoliło dysydentów, którzy, dążąc do rozbicia sejmu z nowym, o wiele dalej idącym projektem, przed mową kardynała Maciejowskiego wystąpili. Wszakżeż sam p. Sobieski zaraz na następnej stronicy (216) po owym tragicznym wniosku przytacza oczywisty dowód, że kardynał „wśród westchnień i lamentów“ nie przeciw wolności sumienia ani przeciw konstytucyi o tumultach protestował, — bo wspomina o pośredniczącej akcyi Ossolińskiego, który wzywa dysydentów, aby poprzestali „tylko na rozszerzeniu konstytucyi o tumultach, grożąc im, że inaczej oni, a nie biskupi ściągną na siebie odpowiedzialność za zerwanie sejmu“ (218). Jeżeli trzeba było im aż grozić, aby poprzestali tylko na konstytucyi o tumultach, to oczywiście, że poprzestać na niej nie chcieli, ale domagali się o wiele więcej!

A domagali się oni wówczas nie tylko ustępstw wyznaniowych. Zapytani bowiem przez Ossolińskiego, czy mają „wolę ten sejm skończyć“, jeśli duchowni zgodzą się na ich żądania wyznaniowe, odpowiedzieli: „Nie tylko nam tego trzeba do zawarcia sejmu, ale i tego, aby się temu wszystkiemu, co się na piśmie w uraziech praw i wolności naszych i powinności J. K. M. dało, w wszystkiem zaraz dosyć stało“. P. Sob. „uważa“, że to nieprawda, bo pisze o tem regalista — podczas gdy jego informator gdański podkreślał gotowość dysydentów do uchwalenia „obrony“, jeżeli otrzymają jakieś nieokreślone bliżej przez p. Sobieskiego „zapewnienie co do religii“ (218). P. S. „uważa“ to twierdzenie regalisty za fałszywe, mimo, że nieco niżej przytacza wyraźny dowód na jego prawdziwość i to w protescie Radziwiłła przeciw poborowi, — bo wódz opozycyi dlatego protestuje, „że bracia jego... pozwolili mu dopiero po uspokojeniu urazów przyzwolić na podatki“ (221).

Po takich łamańcach logicznych przytacza jeszcze jaskrawy dowód na to, że radykalni opozycyoniści istotnie „nie inszym duchem, jedno żeby ostatek sejmu wzięli“ (Remb. 207), wnosili projekty niemożliwe do przyjęcia — mianowicie ów projekt żeby sądownictwo kończyło się koniecznie w kraju, „nawet

gdyby papież sprzeciwił się temu" (219) i mimo to dziwi się, że biskupi zachowali wobec tego „wymowne milczenie", jak gdyby szło tylko o „drobiazgi".

Z milczenia biskupów korzysta skwapliwie Radziwiłł i mówi naprzód o „ucisku" dysydentów, potem powstaje przeciw unii brzeskiej, której zniesienia domagała się opozycya w „urazach" (192), składając tem dowód, jak pojmowała „wolność sumienia" i różne „zapewnienia około religii", — wreszcie powstaje gwałtownie przeciw Chodkiewiczowi, któremu jako wynagrodzenie za wydatki na wojnę szwedzką proponował Lew Sapieha przyznać „czopowe". Wszczyna się wskutek tego awantura między Radziwiłłem a Chodkiewiczem, której epilog tak autor maluje: „Śród polemiki na wielki... upór się zaniosło". Tymczasem się „na wieczór bardzo schyliło". Wszyscy byli pod wrażeniem faktu protestacyi i zerwania sejmu przez Janusza Radziwiłła (222).

Po tym ciekawym fakcie przystąpiły stany do uchwały poborowej, której domagali się głównie posłowie ruscy, prosząc króla, „żeby ich bez obrony do domu nie puszczał", podobnie jak posłowie litewscy i pruscy. W czasie odczytywania listy przez marszałka miała tak hałasować opozycya, że według źródła gdańskiego „właściwie nic nie można było usłyszeć" i dlatego to zapewne dowiedziano się później dopiero z aktów grodzkich w Bieczu, że imieniem posłów krakowskich Andrzej Męciński „in facie Reipublicae" drugi raz tenże sejm zerwał.

Po uchwale poborowej zamyka sejm podkanclerzy mową pożegnalną, dziękuje imieniem króla tym posłom, którzy na pobór zezwolili, a tych, którzy go wzięli „do braci", prosi, by braci w domu zachęcali, „aby byli jak najochotniejsi do tego, co do dobra ojczyzny może służyć" (225). Po odpowiedzi marszałka izby poselskiej, który ukazywał „roboty niektórych na rozerwanie zgody sejmowej"... posłowie razem przystąpili do ucałowania ręki królewskiej i tem zakończył się burzliwy sejm, bez spisania jakichkolwiek uchwał — jedynie uchwałą poborową, przyznaną wbrew wszelkim oczekiwaniom „quae erat praeter opinionem omnium consensu decreta", (X. 129).

Sejm został „zawarty per vim" jak mówili rokoszanie,

podnosząc to jako objaw „absoluti dominii“, żeby przeszkodzić ściąganiu podatków, ogłoszonych w „Uniwersale poborowym, uchwalonym na sejmie warszawskim 1606 r.“. Uchwały poborowej nie dało się jednakże w całości przeprowadzić, bo po zjeździe stężyckim przyszło do zjazdu rokoszowego w Lublinie, potem do zjazdu pod Sandomierzem i do wystąpienia zbrojnego przeciw królowi, którego nie stać było na energię Batorego, żeby w stanowczej chwili, gdy otoczył rokoszan pod Janowcem, przeprowadzić „per vim“ przynajmniej taką naprawę Rzeczypospolitej, jaką w instrukcyi sejmowej przedkładał.

Ks. J. Sas.

Katastrofa Bułgaryi.

(Dokończenie).

W nocy z dnia 29-go na 30-go czerwca wybuchła wojna, aczkolwiek żadna ze stron wojujących nie odwołała swych posłów. Rozpoczęcie walki bez wyraźnego wypowiedzenia wojny zdarza się niejednokrotnie. Nie jest wprost sprzeczne z prawem międzynarodowem. Znacznie rzadsze są wypadki rozpoczęcia walki bez poprzedniego odwołania posła przez stronę występującą zaczepnie. Serbowie i Grecy oskarżali Bułgarów o podstępne rozpoczęcie walk. Bułgarzy dowodzili, że ich przeciwnicy wywołali umyślnie pierwsze starcia. Milczenie bułgarskiego rządu wobec przedstawień i gróźb rumuńskich tłómaczę sobie zamiarem uniknięcia wojny z Serbią i Grecyą, trudno bowiem przypuścić, że rząd bułgarski gotów był podjąć wojnę równocześnie ze Serbią, Grecyą, Czarnogórą i Rumunią. Z tego założenia wychodząc, wydaje się prawdopodobniejszem bułgarskie przedstawienie faktycznego przebiegu wypadków, wedle którego Serbowie i Grecy, zniecierpliwieni przedłużeniem się sporu, a pewni pomocy rumuńskiej wystąpili zaczepnie. Nie brak głosów, przypisujących podjęcie ofenzywy wojskom bułgarskim samowolnie, wbrew rozkazom króla i ministerstwa. Nie jest także wykluczonem, że rząd bułgarski mija się z prawdą, zrzucając odpowiedzialność rozpoczęcia wojny na Serbów i Greków. Widząc bezskuteczność nacisku rosyjskiego na rzecz Bułgaryi w Belgradzie, kto wie, czy nie zmienił w ostatniej chwili pierwotnych zamiarów i czy nie postanowił orężnie rozstrzygnąć sporu ze Serbią i Grecyą,

w nadziei, że Rosya powstrzyma Rumunię. Zawiodły rachuby na pomoc rosyjską w Belgradzie, ale Danew nie przestał na niej polegać. A może rząd bułgarski spodziewał się w przystępie megalomanii, że jego wojska, choć liczebnie znacznie słabsze, potrafią zwyciężyć Serbów, Greków i Rumunów?

Przeceniał swoje siły. Armia bułgarska stanęła do nowego boju bardziej wyczerpana walkami z Turcyą, niż serbska i grecka. Poniosła znacznie większe straty w ludziach i zapasach wojennych, których nie zdołała odnowić w dostatecznej mierze. Jej zapał wojenny osłabł może nie tyle z powodu wrażeń, wywołanych wielką ilością zabitych i rannych, prawdopodobnie w wyższym stopniu z powodu zupełnie niewystarczającej organizacyi sanitarnej. Władze bułgarskie nie potrafiły zaopiekować się należycie rannymi. Wielu z nich zmarło, aczkolwiek można było ich uratować. Uratowani niejednokrotnie narażeni byli na cierpienia i trwałe kalectwa, których można im było oszczędzić. W czasie szybkiego pochodu z pod Kirkkilisse do Czataldży, władze bułgarskie nie zmusiły żołnierzy do przestrzegania najpierwotniejszych wymogów hygieny. Cholera, przywieziona przez tureckich rekrutów z Anatolii i dysenterya, rozgościły się w szeregach bułgarskich po bitwie pod Lule-Burgas. Były z pewnością jedną z głównych przyczyn niepowodzenia bułgarskiego ataku na Czataldżę. Nie dopisała intendantura. Bułgarzy wystawili armię olbrzymią w stosunku do liczby ludności. Jej należyte wyżywienie i zaopatrzenie, natrafiało na trudności. Przystąpili do wojny bez dostatecznej liczby ciężkich dział, czemu przypisać należy długi opór Adryanopola, tak dla nich fatalny w skutkach. Cholery nie zdołali wytępić. W ciągu ostatniej wojny zarazili nią wojska serbskie i rumuńskie. Nie mogli przeciwstawić ciężkim działom serbskim odpowiedniej artyleryi. Wojska ich przeciwników obozowały w żyznych dolinach wzdłuż linii kolejowej, biegnącej równolegle do Wardaru. Zaopatrzeć się w żywność, proch i pociski, było im daleko łatwiej, niż Bułgarom, rozporządzali bowiem dogodniejszymi środkami przewozu i większym kredytem. Kapitaliści francuscy nie bez porozumienia z rządem udzielali im pożyczek szczodrzej, niż Bułgarom.

Grekom, prawdopodobnie także Serbom, przeciwstawili wojska liczebnie słabsze. Podobne pierwotne, daleko lepsze plany strategiczne bułgarskich dowódców z powodów dyplomatycznych nie zostały wykonane. Naczelny wódz, jenerał Sawow domagał się przyspieszenia wojny. Chciał główne siły skupić w ataku na Nisz celem odcięcia armii serbskiej, rozłożonej na Owczem Polu, od Belgradu i zagrożenia stolicy nieprzyjacielskiej. Chciał przenieść wojnę w granice Serbii z przed wojny. Danew, o ile niedałoby się wojny uniknąć, chciał ją przeprowadzić w granicach Macedonii dla zaznaczenia w ten sposób, że chodzi o jej podział, a nie o zniszczenie przeciwnika. Rosya i Rumunia — tak mniemał — uczują się dotknięte jej wybuchem, jeżeli głównym terenem operacyi wojennych będą nowo zdobyte ziemie, a nie kraj macierzysty. Ostatecznie na żadnym z tych dwóch terenów operacyjnych, Bułgarzy nie rzucili na szalę wypadków całej swej siły wojskowej.

Z tych, czy z innych przyczyn dość na tem, że szczęście nie sprzyjało orężowi bułgarskiemu ani wobec Serbów, ani wobec Greków. Bułgarzy, choć nie zwyciężeni w rozstrzygającej bitwie, musieli się jednak cofnąć na stanowiska, odpowiadające mniejwięcej dawnej granicy bułgarsko-tureckiej. Mimo początkowych niepowodzeń byliby zapewne ostatecznie pobili nieprzyjaciół — część ich wojska nie brała udziału w pierwszych starciach — gdyby nie zaniechali wojny pod naciskiem szybkiego zbliżania się wielkiej armii rumuńskiej do Sofii. Gdy wojska rumuńskie przekroczyły Dunaj, kierując się wprost do stolicy bułgarskiej, nowe ministerstwo — król Ferdynand rozstał się zawcześnie z Geszowem, zapóźno z Danewem — wydało rozkaz cofania się, zaniechania wszelkiego oporu. Kto wie, czy kiedykolwiek przedtem sprawdziło się równie dosłownie adagium rzymskie: „*Veni, vidi, vici*“? Jedynym sposobem zapobieżenia wtargnięciu Rumunów do Sofii było bezwarunkowe przyjęcie ich żądań. Przedtem Bułgarzy nie chcieli rokować z Rumunami. Obecnie Rumuni odrzucili wszelkie targi. Wymogli szybkie, bezwarunkowe przyjęcie swych żądań.

Były zniszczeniem marzeń o wielkiej Bułgaryi, powołanej do

krótkotrwałego życia poraz pierwszy traktatem z San Stefano, po raz drugi w 35 lat później, umową serbsko-bułgarską o podział Macedonii i pokojem londyńskim. Przed wybuchem wojny, Bułgarzy napróżno próbowali rozerwać sojusz grecko-serbski. Napróżno chcieli skłonić Greków do odrębnych rokowań, ażeby tem silniej wystąpić przeciw odosobnionej Serbii. Niepowodzenia doznały, również spóźnione, usiłowania rozbicia współdziałania Rumunii z Grekami i Serbami.

Rumuni, gdy z dniem każdym zaostrzał się zatarg między jej bałkańskimi sąsiadami, głośno zapowiedzieli, że w razie wybuchu wojny wystąpią zbrojnie przeciw Bułgaryi, a równocześnie określili także niedwuznacznie podwójny cel swych przyszłych działań wojennych. Będą się domagać przyznania sobie jeszcze jednej części posiadłości bułgarskich, ponieważ Silistrya, którą już otrzymali, wydaje im się niedostatecznem wyrównaniem zdobyczy terytoryalnych, uzyskanych przez inne państwa bałkańskie. Chcą współdziałać w podziale Macedonii między Greków, Serbów i Bułgarów w duchu utrzymania dotychczasowej równowagi sił na półwyspie bałkańskim, która byłaby zachwiana, gdyby Bułgarom przypadła w udziale przeważna część Macedonii. Chodziło im o to samo, o co walczyli Grecy i Serbowie, nietylko o przysporzenie dla siebie zdobyczy terytoryalnych, ale nadto o uszczuplenie Bułgaryi na cudzą korzyść. Program wykonali w całej pełni. Bułgarzy odstąpili im odrazu bez żadnych zastrzeżeń przeszło 8000 km. kw., obejmujących część wybrzeży czarnomorskich, przynależnych do Bułgaryi. Pragnęli uzyskać w zamian za to ustępstwo poparcie Rumunii przeciw Grecyi i Serbii, a przynajmniej jej neutralność w dalszych rokowaniach. Rumunia obstawała przy zawarciu równocześnie jednego pokoju w Bukareszcie między Bułgaryą z jednej strony a Rumunią, Grecyą, Serbią i Czarnogórą z drugiej strony. Poparła roszczenia swych sprzymierzeńców, aczkolwiek prawdopodobnie nie była związana wyraźnemi, poprzednio zawartemi umowami. Wspólność interesów bez spisanej umowy wytworzyła łączność, która okazała się nierozerwalną w czasie układów bukareszteńskich.

Nie trwały długo. Dwukrotne rokowania w Londynie

związku bałkańskiego z Turcyą były długie, bo trudne. Sprzymierzeńcy żądali wiele, a Turcya stawiała opór, albowiem czuła się jeszcze bezpieczną przed wrogiem w Konstantynopolu. Wkroczenie do Sofii zależało w zupełności od Rumnii. Bułgarya, chcąc uniknąć tej ostateczności, musiała przyjąć warunki przez nią narzucone bez dalszego zwlekania. O pozyskaniu na rzecz Bułgaryi prawego brzegu Wardaru lub Saloniki oczywiście nie było mowy. Nawet na lewym brzegu nie mogła się ostać. Cała żyzna dolina Wardaru przypadła w udziale Grecyi i Serbii. Przy Bułgaryi pozostał górny bieg Strumy wraz z okręgami Strumica, Newrokop i Melnik, natomiast środkowy i dolny bieg Strumy w całości przypadł w udziale Grecyi. Grecya sięgnęła jeszcze dalej na wschód, jeszcze bliżej Konstantynopola. Zyskała Kawalę. Przyznano jej w Bukareszcie część ziem ongi tureckich aż po ujście rzeki Mesty wraz z jej prawym brzegiem, lewy Bułgaryi. Mimo usilnych starań Bułgarzy nie zdołali uratować miasta Kawali nad morzem Egejskiem wraz z jego dogodną przystanią.

Posiadanie Kawali było może najbardziej spornym przedmiotem rokowań bukaresztеńskich, ponieważ Rosya popierała żądania bułgarskie. Nie podobał jej się zbytni rozrost Grecyi kosztem słowiańskiej Bułgaryi, zbliżanie się Grecyi do Konstantynopola. Austrya oświadczyła się w tym samym duchu. A nawet oba państwa zastrzegły sobie rewizyę traktatu bukaresztеńskiego. Skończyło się na platonicznych objawach sympatyi dla Bułgaryi. Nie było rzeczywistej zgody między Austryą a Rosyą. Rosyi chodziło o wcielenie Kawali do Bułgaryi, na co się Austrya godziła, ale miała prócz tego zamiary dalej sięgające, wprost sprzeczne z interesami rosyjskimi. Rosya chciała przeprowadzić rewizyę układów bukaresztеńskich jedynie na szkodę Grecyi, Austrya głównie na niekorzyść Serbii. Chodziło jej o przyznanie Bułgaryi pewnych obszarów, położonych w dolinie rzeki Bregalnica, które w Bukareszcie uzyskała Serbia. Jeszcze z jednej przyczyny zastrzeżenia Austryi pozostały bezskuteczne. Rząd rumuński widział nie bez słusznych powodów w pokoju bukaresztеńskim owoc przedewszystkiem swych własnych zabiegów i korzystne zabezpieczenie rumuńskich interesów. Nie chciał dopuścić do

rewizyi układów. Zarówno Rosyi, jak Austryi zależało wiele na nienarażeniu sobie Rumunii. Oba państwa zaniechały dalszego popierania rewizyi.

Pokój w Bukareszcie nie oznacza końca upokorzeń i strat bułgarskich. Już przed podpisaniem pokoju londyńskiego, Grecya i Serbia zbroiły się do walki z Bułgaryą. Bułgarzy musieli niemal bezczynnie przypatrywać się ich przygotowaniom wojskowym, ponieważ żołnierz bułgarski czuwał na wschodzie w obozowiskach pod Czataldżą i pod Bulair, naprzeciw licznych zastępów tureckich, tworzących zorganizowaną armię, zdolną jeszcze do walki. Armia turecka już raz podjęła próbę zbrojnego odzyskania utraconych obszarów. Bułgarzy odparli jej ataki w bitwie pod Bulair, ale nie ścigali Turków, nie zdobyli ich stanowisk. Zachodziła obawa ponowienia próby, a więc konieczność wytrwania w pogotowiu wojennem. Z chwilą podpisania pokoju w Londynie, wydawało się bułgarskim mężom stanu i wodzom, że ich obrachunek z Turcyą jest skończony. Zawiedli się po raz trzeci, polegając zbytnio na prawach umownie przyznanych, zamało licząc się z rzeczywistym stosunkiem sił.

Zaraz po zawarciu pokoju z Turcyą, Bułgarzy przesunęli niemal całą swą siłę zbrojną do Macedonii. Tureccy posłańcy podpisali pokój, ale sułtan nie spieszył się z jego ratyfikacyą. Rząd turecki nie rozpuścił wojska. Gdy Rumuni wkroczyli do Bułgaryi, armia turecka zajęła Adryanopol i Kirkkilisse, nie napotykając na żaden opór. Bułgarzy wobec Turków postąpili podobnie, jak wobec Rumunów. Nie podjęli walki. W chwili wkroczenia Turków, rozporządzali w Tracyi conajwyżej kilku tysiącami żołnierzy, którzy oczywiście nie mogli stawiać czoła przeszło stutysięcznej armii tureckiej. Po zawarciu pokoju w Bukareszcie, rozpuścili wojska. Z powodu zbytniego wyczerpania żołnierzy i skarbu, nie czuli się na siłach zbrojnego wyparcia poraz drugi Turków z Adryanopola. Początkowo odrzucali propozycye tureckie podjęcia rokowań o zawarcie nowego pokoju, któryby zmienił na korzyść Turków pokój londyński. Nie chcieli prowadzić żadnych bezpośrednich rokowań z Turkami. Wielkie mocarstwa brały żywy udział w rokowaniach, poprzedzających

zawarcie pokoju londyńskiego. Doszedł do skutku za ich wiedzą i zgodą. Mocarstwa wywierały nacisk na Turcyę gwoli skłonienia jej do odstąpienia związkowi bałkańskiemu obszarów na zachód od linii Enos-Midia. Zajęcie części tych ziem przez Turcyę w dwa miesiące po podpisaniu pokoju londyńskiego jest lekceważeniem wielkich mocarstw. Bułgarzy zwrócili się do nich z prośbą o pomoc. Ambasadorowie wielkich mocarstw zażądali wycofania wojsk tureckich z Adryanopola. Turcy dali do zrozumienia, że ustąpią jedynie wobec przemocy. Do jej użycia nie doszło. Żadne z mocarstw nie chciało się podjąć egzekucyi, któraby zapewniła wykonanie postanowień londyńskich. Trójprzymierze nie wysuwało się naprzód w wywieraniu nacisku na Turcyę. Zwycięstwa związku bałkańskiego dogadzały trójporozumieniu. Klęska Turcyi wyrządziła szkody trójprzymierzu. Niemcy od dawien dawna popierały Turcyę. Uważały powrót Turków do Adryanopola za objaw korzystny dla nich. Bułgarska prośba o pomoc doznała bardziej życzliwego przyjęcia w Londynie i Petersburgu. Sir Edward Grey oświadczył, że Anglia nie weźmie Turcyi w obronę, gdy Rosya przystąpi do zbrojnej egzekucyi. Ze względu na Muzułmanów w Indyach i w Egipcie, Anglia sama nie mogła wystąpić orężnie przeciw Turcyi, ale nie chciała podjąć się ich obrony.

Bułgarya znowu zawiodła się na pomocy rosyjskiej. Rosya ograniczyła się do gróźb, ale nie poparła ich czynem. Mobilizowała przeciw Austryi w obronie Serbii, ale nie zarządziła pogotowia wojennego przeciw Turcyi w obronie Bułgaryi. Co Rosya mogła zyskać na podjęciu kosztownej wojny z Turcyą? Zwiększyłyby się bułgarskie posiadłości w Tracyi. Granice bułgarskie sięgałyby bliżej Konstantynopola, zmiana stanowiąca nie zysk, lecz stratę Rosyi. Cóżby ją mogło zrównoważyć? W pewnej mierze odnowienie związku bałkańskiego. Rosyjscy mężowie stanu stracili weń wiarę. Bułgarzy nie przestaliby marzyć o odwecie, o przyłączeniu Macedonii, zamieszkałej przez pobratymców, choć by nawet Rosya dopomogła im do odzyskania Adryanopola. Kto wie, czy wówczas nie wcieliliby prędzej marzeń w czyn, czując się silniejszymi? Niepomni pomocy rosyjskiej, z biegiem

czasu prawdopodobnie udzieliliby poparcia Austryi, w razie sprzyjających okoliczności. Rosya także i nadal z przyczyny położenia geograficznego, będzie mogła w daleko wyższym stopniu liczyć na współdziałanie z Serbią, niż z Bułgaryą. A może, popierając czynnie roszczenia bułgarskie do Adryanopola, Rosya mogłaby zawłaszczyć na własny rachunek część ziem tureckich? Jej usadowienie się w Konstantynopolu mogłoby ją łatwo doprowadzić do walki z dotychczasowymi sprzymierzeńcami, z Anglią i Francyą. Mniej byliby dotknięci opanowaniem Armenii, ale na ten wypadek Niemcy grożą wojną. Powstałyby zawikłania, które niewiadomo czy dałyby się rozwiązać pokojowo zapewnieniem odszkodowań innym państwom? W każdym razie Rosya, biorąca udział w rozbiorze Turcyi, musiałaby w Chinach pozostawić wolną rękę Japonii. Słowem Rosya doszła do przekonania, że doprowadzenie do wojny Rosyi z Turcyą o pozyskanie dla Bułgaryi Adryanopola nie rokuje dla niej korzyści, odpowiednich ofiarom, które należałoby ponieść.

Turcya nie zaniedbała dołożyć starań o pozyskanie przychylności mocarstw. Okupiła ich wstrzemięźliwość w popieraniu Bułgaryi znacznemi ustępstwami treści głównie gospodarczej, pośrednio także politycznej. Poszła im na rękę, rozdzielając hojną dłonią koncesye kolejowe i inne zgodnie z ich życzeniami. Mocarstwa w odpowiedzi na prośbę bułgarską o skłonienie Turcyi do cofnięcia swych wojsk z Adryanopola, doradziły Bułgaryi podjęcie bezpośrednich rokowań z Turcyą, do których nawiązania Turcya dążyła. Pozwoliły bezkarnie naruszyć Rumunii orzeczenie petersburskie, a Turcyi pokój londyński. Żadne z nich nie chciało się podjąć przymusowego wykonania orzeczenia i pokoju.

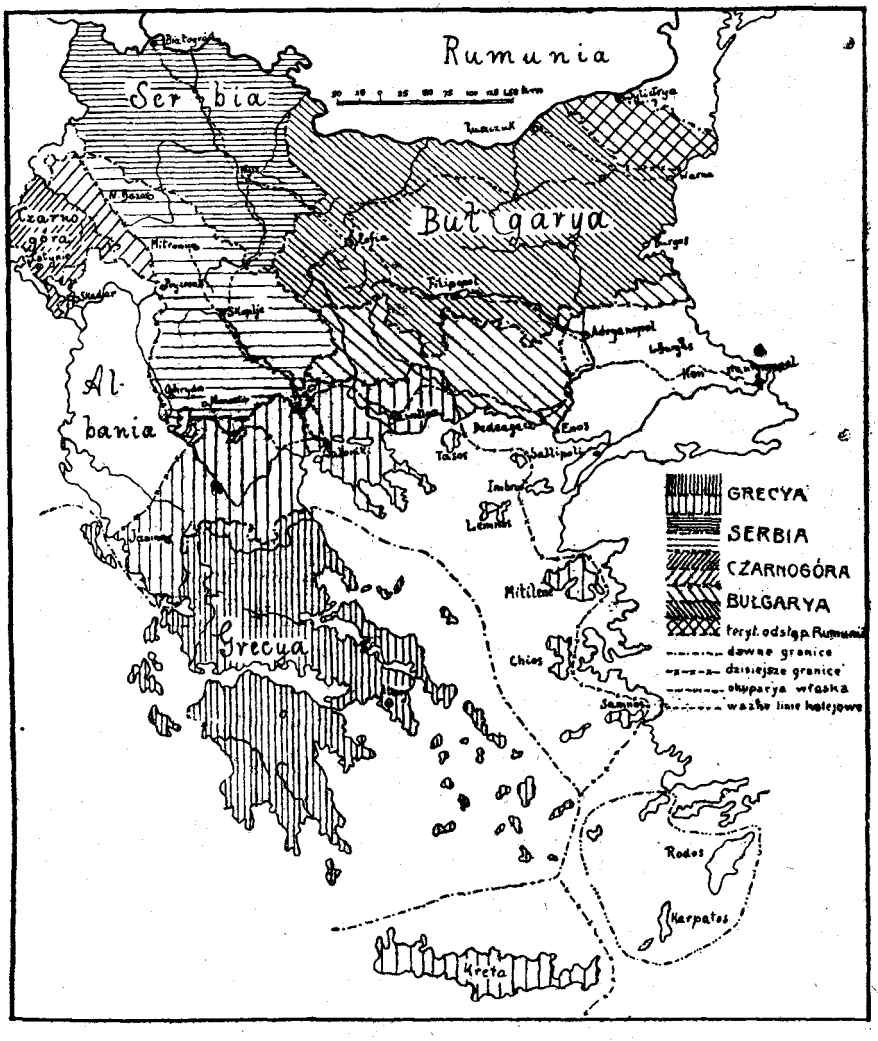
W ostatnich dniach września 1913 roku Bułgarya i Turcya zawarły nowy pokój w Konstantynopolu.

Rokowania nie trwały długo, podobnie jak bukareszteńskie i to z tych samych przyczyn. Bułgarya znalazła się w położeniu przymusowem także i w Konstantynopolu. Wojskowo była bezsilną. Mocarstwa nie poparły jej czynnie. Rząd bułgarski wreszcie zrozumiał rozmiary niebezpieczeństw, wynikających z równoczesnego narażenia się na nieprzyjaźń wszystkich sąsia-

dów. Nie przewidując rychłej poprawy stosunków z Serbią i Grecyą, pragnął pozyskać na przyszłość przyjaźń Turcyi. Turcya zręcznie wyzyskała antagonizm grecko-bułgarski. Ministerstwo sułtana prowadziło równocześnie rokowania z Bułgaryą i Grecyą o zawarcie ostatecznego pokoju. Grekom groziło porozumieniem się z Bułgarami, Bułgarom — przymierzem z Grecyą. Nic dziwnego, że Bułgarzy okazali wiele ustępliwości, chcąc sobie na przyszłość zaskarbić przyjaźń Turcyi. Rokowania wypadły dla niej korzystnie. Wzmocniły stanowisko znajdującego się u władzy stronnictwa młodo-tureckiego, zachwiane poprzedniemi licznemi niepowodzeniami w polityce zewnętrznej.

Gdyby tureckie wojska nie przekroczyły linii Enos-Midia w chwili, gdy rumuńskie wkraczały w głąb Bułgaryi, Bułgarya już po potrąceniu ziem macedońskich, odstąpionych w Bukareszcie Grecyi i Serbii, powiększyłaby swój obszar o około 38 tysięcy km. kw. kosztem Turcyi. Z tych 38 tysięcy musiała odstąpić Turcyi około 15 tysięcy km. kw. Ludny Adryanopol, Kirkkilisse, pobojowisko Lule-Burgas, widownie zwycięstw bułgarskich, stały się napowrót częścią państwa tureckiego. Bułgarom zależało wiele na posiadaniu całego prawego brzegu Maricy. I tego żądania nie zdołali w całej pełni przeprowadzić. Nowa granica bułgarsko-turecka jest przeważnie identyczna z biegiem Maricy, przyczem prawy brzeg przypadł w udziale Bułgaryi, a lewy Turcyi. Atoli stosunkowo znaczna część środkowego biegu rzeki znajduje się w całości, a więc po obu brzegach w ręku tureckim. Turkom zależało ze względów strategicznych na posiadaniu Dimotiki. Chodziło im także o to, ażeby linia kolejowa, łącząca Konstantynopol z Adryanopolem, pozostała w całości w rękach tureckich. Część tegoż samego toru jest także połączeniem kolejowem Bułgaryi z ważnym portem Dedeagacz nad morzem Egejskiem, przypadającym w udziale Bułgaryi.

Bułgarzy chcieli wejść w posiadanie całego toru, łączącego Sofię z Dedeagacz, skutkiem czego Turcy nie rozporządzaliby całą linią kolejową Konstantynopol-Adryanopol. Zwyciężył turecki punkt widzenia. Turcy zobowiązali się jedynie do dopuszczenia przewozu wojsk bułgarskich na tej linii, o ile stanowi po-



Najnowsze zmiany terytoryalne na Bałkanach.

(Rysunek zawdzięczam uprzejmości Prof. Dr. Sawickiego. Ostateczne ustalenie południowej granicy albańskiej, na razie oznaczonej tylko w przybliżeniu, jest jeszcze przedmiotem rokowań).

łączenie Sofii z Dedeagacz, czem oczywiście nie będą się czuli związani, jeżeli będzie się rozchodziło o przewóz wojska, zwrócony przeciwko nim. Bułgarzy domagali się nie kontrybucyi wojennej, ale wynagrodzenia za żywienie przez szereg miesięcy licznego zastępu więźniów tureckich. I tego nie uzyskali. Chcieli w traktacie pokojowym zastrzedz sobie prawo wystawienia na pobojowiskach pomników dla poległych rodaków. Siłą rzeczy pomniki byłyby równocześnie pomnikami zwycięstw bułgarskich. Tureccy pełnomocnicy odrzucili wniosek bułgarski.

W ciągu wojny z Turcyą Bułgarzy ponieśli wielkie straty w ludziach i w majątku. Wojna ze Serbią i Grecyą pociągnęła za sobą dalszy znaczny ubytek w ludziach, a zarazem utratę, wprawdzie nie wszystkich, ale przecie znacznej części korzyści, uzyskanych dzięki pobiciu Turków. Bułgarya nie utraciła w całości dostępu do morza egejskiego, wywalczonego w pierwszej wojnie. Po wojnie z Grekami i Serbami utraciła na ich rzecz prawie całą Macedonię. Musiała bez walki odstąpić Rumunom 8, Turkom 15 tysięcy km. kw. Grecya powiększyła swoje obszary niemal w dwójnasób. Serbia o około 75% przestrzeni posiadanej przed wybuchem wojen. Bułgarzy zyskali z górą 10%. Przed rozpoczęciem wojen powierzchnia państwa Bułgarskiego była blizko dwa razy tak wielką, jak serbskiego. Dziś Serbia posiada nie o wiele mniej kilometrów kwadratowych, niż Bułgarya. Powierzchnia Grecyi była równą mniejwięcej $^2/_3$ Bułgaryi. Dziś Grecya rozporządza większym obszarem. Grecy zajęli Salonikę, Serbowie Monastyr. Opanowali ludne, stosunkowo bogate miasta, żyzne doliny. Zepchnęli Bułgarów w góry, gdzie mało urodzajnej ziemi, dużo nieużytków, a ludność rzadko rozsiedlona i uboga. Grecy, Serbowie, Rumuni i Turcy, słowem wszystkie państwa, które wzięły udział w uszczupleniu Bułgaryi, ustalając nowe granice, zapewniły sobie znaczne korzyści strategiczne. Bułgarzy nie zajęli żadnego większego miasta. Adryanopol ustąpili Turcyi. Rumunom żyzne ziemie, stanowiące część państwa bułgarskiego od chwili jego powstania, równinę, gęsto zaludnioną przez zamożnych pobratymców. Nikt im nie zobowiązał się zapłacić kontrybucyi wojennej. Nie zdołało jej sobie zapewnić żadne z państw

wojujących. Kapitaliści francuscy, posłuszni wskazówkom rządu, prawdopodobnie nie będą się spieszyć z udzieleniem pożyczki Bułgarom po wojnie, podejrzanym o przyjaźń z trójprzymierzem. Trudno im będzie zaciągnąć znaczniejszą pożyczkę w Austryi lub w Niemczech, w krajach mało zasobnych w kapitały. Skutkiem wojen Bułgarzy stracili prawdopodobnie więcej ludzi i majątku, niż Serbowie i Grecy łącznie. W tym samym czasie nawiedziło ich kraj trzęsienie ziemi, a choroby zaraźliwe wyrządziły im szkody nieobliczalne.

Wojna Bułgaryi z Grecyą i Serbią, jest równoznaczna z rozbiciem związku bałkańskiego na długie lata. W chwili rozpoczęcia wojny z Turcyą przez państwa przymierzem związane przewidywano, że związek przetrwa wojnę, że da początek trwałemu współdziałaniu politycznemu państw, które doń przystąpiły. Ten przewidywany układ stosunków i sił politycznych w przyszłości, dał powód jednym do obaw, drudzy widzieli w nim zadatek zwycięstwa. Skutkiem wybuchu wojny między sprzymierzeńcami obawy jednych, nadzieje drugich nieco zmalały. Wynik wojny stanowił pociechę dla opłakujących rozbicie związku, rozczarowanie dla ich przeciwników, którym rozbicie dogadzało, a więc w pewnej mierze zrównoważył następstwa rozstania się dawnych sprzymierzeńców. Rozłam wśród nich wzmocnił stanowisko Austryi. Byłby dla niej znacznie korzystniejszym, gdyby Bułgarya była zwyciężyła. Pomyślny dla Serbii przebieg wypadków przysporzył jej nowe, wielkie zdobycze terytoryalne. Także i Czarnogórze. Zacieśnił związek obu państw, zamieszkałych przez ludność tego samego języka i wyznania. Serbowie i Czarnogórcy walczyli wspólnie najpierw przeciw Turkom (oblężenie Skutari). Później przeciw Bułgarom. Później wspólnemi siłami zwalczali ruchawkę albańską. Zajęcie przez Serbów północnej Macedonii aż po jezioro Ochridę, ułatwia podział zdobyczy między Serbią, a Czarnogórą. Serbia, ponieważ znacznie rozszerzyła swe panowanie w kierunku południowo-wschodnim, może okazać się wspaniałomyślną na północy i na zachodzie. Może zgodzić się na przyłączenie stosunkowo znacznych obszarów do Czarnogóry — jest się czem dzielić. Z politycznymi interesami Austryi jest sprzeczne

bezpośrednie terytoryalne zetknięcie się Serbii z Czarnogórą, ich rozrost i długie, coraz to ściślejsze współdziałanie, dziś bardziej, niż przedtem, ponieważ trudno liczyć na pomoc wyczerpanej Bułgaryi przeciw Serbii. Pierwszy związek bałkański się rozpadł, zacieśnił się serbsko-czarnogórski. W chwili przygotowań do okrojenia Bułgaryi powstał nowy, drugi z rzędu związek państw bałkańskich, do którego należały prócz Serbii i Czarnogóry, Grecya wraz z Rumunią — związek, którego trwałość byłaby dla Austryi niebezpieczeństwem daleko większem, niż pierwszego. Nie brakło usiłowań przedłużenia drugiego związku bałkańskiego. Wobec wyczerpania Bułgaryi jest przeciw niej na razie niepotrzebny. Rumunia, nie chcąc zerwać wszystkich mostów, łączących ją z trójprzymierzem, rozumiejąc korzyści wzajemnego wygrywania przeciw sobie Aústryi i Rosyi, nie przyłożyła i prawdopodobnie nie prędko przyłoży ręki do sojuszu z Serbią. Ale ma zamiar wytrwać w zbliżeniu politycznem do Petersburga i Belgradu. Austryackie usiłowania poparcia sprawy bułgarskiej zdaje się, że Bułgarom nie wiele pomogły, a zraziły Rumunów. Zmianą stosunku do Rumunii, na której pomoc w razie wojny z Rosyą, Austryá z pewnością liczyła, jest najmniej pożądanem następstwem wojny między Bułgaryą i Serbią. Pozyskanie napowrót Rumunii stanowi obecnie główną troskę dyplomacyi austro-węgierskiej.

Kto wie, czy sprawa albańska nie stanie się punktem wyjścia nowego współdziałania politycznego Austryi z Rumunią? Albańczycy dotąd dziwnie bierny brali udział w toku wypadków. Spodziewano się, że energiczniej poprą najpierw Turków, potem Bułgarów przeciw Serbii. Nie posiadając artyleryi i karabinów maszynowych, nie czuli się w możności stawiania czoła wielkim masom wojsk serbskich. Przycichnęli — okazuje się, że tylko chwilowo. Zaraz po podpisaniu pokoju w Bukareszcie, Serbowie rozpuścili znaczną część swych żołnierzy. Rząd zdawał sobie sprawę z ich silnego pragnienia powrotu do ogniska rodzinnego po dziesięciomiesięcznej kampanii. Natychmiast po znacznem zmniejszeniu załóg wojskowych w częściach Albanii i Macedonii podbitych przez Serbów, wybuchło powstanie tubylców, których tylko

drobna część jest narodowości serbskiej. W powstaniu walczyli razem Albańczycy z bułgarskimi Macedończykami. Albańczycy zamieszkali w granicach Albanii samoistnej, wytkniętych przez londyńską konferencyę ambasadorów, zdaje się, że brali bardzo słaby udział w ruchawce. Mimo tego Serbowie okazali ochotę wykorzystania tej sposobności gwoli ponownego obsadzenia pewnych obszarów, przyznanych w Londynie Albanii samoistnej. Byłoby to oczywiście sprzeczne z interesami i dotychczasową polityką Austryi, prawdopodobnie także Rumunii.

Sfery rządowe w Bukareszcie okazują wiele zainteresowania Albanią. Zdaniem bukareszteńskich dyplomatów i językoznawców, ów pobratymczy szczep Kucowołochów zamieszkuje nietylko garść wiosek macedońskich, podobno osady jego sięgają nawet w głąb samoistnej Albanii. W Bukareszcie okazują gotowość łożenia ofiar na szkolnictwo Kucowołochów i Albańczyków, wogóle na wszelaki rozwój ich kultury. Radziby osadzić na tronie albańskim krewnego królewskiej rodziny rumuńskiej. Dalsze porośnięcie Serbii w pierze kosztem Albanii nie wydaje się Rumunom pożądanem. Woleliby dopomódz do wzmożenia się samoistnej Albanii w nadziei zaszachowania tym czynnikiem Bułgaryi czy Serbii w razie potrzeby.

Powstanie albańskie nasuwa pytanie, na jak długi czas okres zawikłań bałkańskich jest zamknięty pokojem bukareszteńskim i konstantynopolitańskim, czy przypadkiem nie na bardzo krótki? Z pośród spraw bałkańskich, albańska najbliżej dotyczy Austryi. Nie stanowi jedynej trudności pokojowego rozwiązania. Chwilowo obok niej najgroźniejszym wydawał się zatarg Grecyi z Turcyą. Przeważa mniemanie, że te i inne spory będą pokojowo rozwiązane, że nie prędko wybuchnie nowa wojna. Trzeba jednak być przygotowanym na wszelkie ewentualności. Rządy, austryacki i węgierski, mają zamiar przedłożyć w najbliższym czasie parlamentom wnioski o uchwalenie nowych kredytów wojskowych. Austro-Węgry odczuwają potrzebę znacznego powiększenia swego pogotowia wojennego. Przemawia za niem szereg przyczyn: jedne wynikają raczej z austryackich stosunków, inne uzasadnione są bardziej w międzynarodowym rozwoju wypadków.

Sprawa albańska jeszcze niejednokrotnie da powód Austryi do wystąpienia w obronie swych żywotnych interesów. Rozporządzając odpowiednią siłą, będzie je można skuteczniej poprzeć. Powiększenie austryackiej potęgi wojskowej jest koniecznem gwoli zrównoważenia wzrostu Serbii i Czarnogóry. Jest koniecznem ze względu na zarządzenia wojskowe innych wielkich mocarstw. Jak zwykle w ostatnich latach, tak i teraz Niemcy wstąpiły pierwsze na drogę powiększenia zbrojeń, a ich przykład znalazł rychło gorliwych naśladowców. O wielkości niemieckich zbrojeń świadczą dobitnie niezwykłe ofiary, przed któremi nie cofnęli się Francuzi. Przed kilu laty obniżono we Francyi czas trwania powszechnej służby wojskowej z trzech na dwa lata. W pierwszej połowie 1913 roku parlament francuski uchwalił ustawę, mocą której przedłużono go z dwóch na trzy lata. Nie są od niej wolni klerycy. Nieznany jest przywilej jednorocznej służby wojskowej. Francuzi wyszli z założenia, że rozstrzyga o wyniku wojny ilość ludzi, znajdujących się pod bronią stale, a więc przed powołaniem rezerwistów. Dziś żyje na świecie Niemców przeszło półtora razy tyle, co Francuzów. Mogą więc wybierać rokrocznie daleko więcej rekrutów. Zatrzymują ich pod chorągwiami przez dwa lata. Naród francuski dostarcza rok rocznie mniej rekrutów. Jeżeli jednak trzy roczniki będą stale pełnić służbę, a nie dwa, jak w Niemczech, wówczas ilość żołnierzy francuskich stale pełniących służbę, będzie nie o wiele mniejszą, niż niemieckich. Francuscy rekruci długo odczuwać będą skutki wojny bałkańskiej. Sprzymierzeniec Francyi postanowił także przyczynić się do zrównoważenia niemieckiego wysiłku. Rosya nie szczędzi nowych ofiar na przygotowania wojskowe, zwrócone w pierwszym rzędzie przeciwko Austryi. W roku 1912 parlamenty austryacki i węgierski zgodziły się na znaczne podwyższenie rocznego kontyngentu rekruta. Okazuje się potrzeba dalszego powiększenia liczby ludzi, rokrocznie powoływanych do pełnienia służby wojskowej, pomnożenia i lepszego uzbrojenia artyleryi, uzupełnienia pogotowia wojennego i w innych kierunkach.

Pod wpływem zatargów bałkańskich, mocarstwa przystąpiły do nowych zbrojeń, ale nie odczuły potrzeby dokonania za-

sadniczych zmian w dotychczasowem współdziałaniu politycznem z innemi. Trójprzymierze i trójporozumienie pozostają nadal podstawą międzynarodowego układu sił. Włochy mają dziś może więcej powodów szukania oparcia o Niemcy i Austryę, niż dawniej. Anglia i Francya życzą sobie jaknajrychlejszego ustąpienia włoskich załóg z 12-tu wysp egejskich, przez Włochy tymczasowo obsadzonych. Włosi chcieliby tę chwilę odroczyć, zatrzynać na stałe przynajmniej część wysp (Rodos i Stampalię), resztę zaś oddać Turcyi, a nie Grecyi, do czego dąży Francya. O losie wszystkich wysp egejskich ma zadecydować londyńska konferencya ambasadorów, a więc także o losie wysp obsadzonych przez Greków. Francuzi chcieliby niemal wszystkie przyznać Grecyi, Włosi jak najwięcej Turcyi. Spór toczy się głównie o posiadanie Chios i Mitylene. Konferencya ambasadorów ma jeszcze oznaczyć południową granicę Albanii. Grecy popierani przez Francuzów, chcieliby sięgnąć jaknajdalej ku północy. Włosi zwalczają zbytnie uszczuplenie Albanii. Francuzi i Anglicy z niepokojem śledzą szybki rozwój floty włoskiej. Stosunki włosko-francuskie, są dziś mniej przyjazne. Niemcy i Austrya na razie nie mają powodu wątpić w wytrwanie Włoch w trójprzymierzu. Wojny bałkańskie nie wyszły na korzyść Niemiec i Austryi, ale wzmocniły stanowisko Włoch. W Albanii uzyskali znaczne wpływy. Przedłużające się obsadzenie wysp egejskich jest zadatkiem na przyszłość, rokującym nadzieję dalszych korzyści. Niepodoba się Anglikom, dbałym o utrzymanie swej przewagi na morzu Śródziemnem, stanowiącem część pilnie przez nich strzeżonej drogi do Indyi. Pod tym względem rozwój wypadków byłby dla nich mniej wygodny. Zresztą okazał się pomyślnym. Włochy i Anglia, niemniej Rosya, widzą słusznie w wynikach wojen bałkańskich obrót rzeczy dla nich korzystny. W znacznej mierze zawdzięczają korzyści współdziałaniu ze swymi sprzymierzeńcami. Sprawdziły w ciągu ciężkiego przesilenia zalety przymierzy. Nie odczuwają potrzeby porzucenia dotychczasowego, wypróbowanego kierunku politycznego. Wojny bałkańskie stały się źródłem powiększenia ciężarów wojskowych szczególnie dotkliwego dla Francyi. Okupiła drogo niepowodzenia Austryi

i Niemiec, do których wybitnie się przyczyniła. Niezatarte wspomnienie zaboru Alzacyi i Lotaryngii, utrzymuje ciągle jeszcze w wysokiem napięciu antagonizm francusko-niemiecki. Trudno przewidywać rychłą zmianę wytycznych linij francuskiej polityki. Francya będzie nadal pracować nad utrwaleniem trójporozumienia. Będzie starać się o pozyskanie dlań mniejszych mocarstw (zbliżenie się do trójporozumienia Hiszpanii, a nawet Turcyi i Rumunii), przyczem przewaga francuskiego kapitału wypożyczanego tylko przyjaciołom politycznym, odda jej niezawodnie znaczne usługi. Niemcy w zamiarze osłabienia trójporozumienia dołożą niewątpliwie starań o poprawę ich stosunku do Rosyi. Odczuwają potrzebę zabezpieczenia się wobec niej. Z powodu wojny na Bałkanach, Niemcy przeprowadziły szereg zarządzeń wojskowych zwróconych wprost przeciw Rosyi. W pobliżu granicy rosyjskiej budują nowe fortece, ulepszają komunikacyę w celach strategicznych, pomnażają załogi wojskowe. Widocznie nie przewidują rychłego powodzenia usiłowań, skierowanych ku polepszeniu stosunków rosyjsko-niemieckich. Siła Niemiec niepokoi Rosyę. Podejrzywają je w Rosyi o dążności zaborcze, o chęć rozszerzenia wpływów niemieckich, niebezpiecznych dla Rosyi. Odczuwają potrzebę przeciwdziałania ekspanzyi niemieckiej. Podział Turcyi azyatyckiej kto wie, czy nie jest blizkim? Rosya uważa Armenię za sferę swoich wpływów. Przygotowuje się do jej zajęcia w odpowiedniej chwili. Niemcy ze względu na poblizką kolej bagdadzką, budowaną niemieckimi kapitałami, nie życzą sobie zaboru Armenii. Niemcy zażądały i otrzymały wynagrodzenie terytoryalne, wzamian za dopuszczenie do podziału Marokka między Francyę i Hiszpanię. Dziś żądają wynagrodzenia z powodu podziału Persyi między Anglię i Rosyę. Z biegiem lat rozszerza się zakres interesów niemieckich w Azyi. Coraz to częściej stają w sprzeczności z rosyjskimi. W tym stanie rzeczy Niemcy potrzebują oparcia o monarchię Habsburgów.

Austrya, najbardziej dotknięta wypadkami bałkańskimi, ma więcej powodów, niż inne państwa rozważenia pytania, czy nie zachodzi potrzeba zmiany oryentacyi politycznej? W czasie przesilenia poparcie Niemiec okazało się niejednokrotnie zawodnem,

niedostatecznem nawet z punktu widzenia niemieckich interesów, po części z winy Austryi, co jednak niewyklucza, że Austrya ma uzasadnione powody do krytycznego rozejrzenia się w istotnej wartości przymierza z Niemcami. Uniemożliwia austryackiemu gospodartwu społecznemu korzystanie z paryskiego targu pieniężnego. Z pewnością nie braknie usiłowań wywołania chwilowo pewnego zbliżenia między Austryą i Francyą celem ułatwienia w ten sposób zaciągania pożyczek we Francyi. Zerwanie, a choć by tylko daleko sięgające rozluźnienie przymierza Austryi z Niemcami wydaje mi się mało prawdopodobnem.[1] Żywioł niemiecki jest w Austryi silny. Oświadcza się za wytrwaniem w przymierzu z Niemcami. Stanowisko Rosyi wyklucza zmianę austryackiego kierunku politycznego. Niezadowolona z polityki narodowościowej w Galicyi, pragnie nadal wyzyskać pierwszą korzystną sposobność celem zaboru Galicyi. Polskie społeczeństwo w zaborze austryackim rozumie niebezpieczeństwa, które mu grożą. Nie ustaje w przygotowywaniu obrony. Posłowie polscy z pewnością będą głosować za przedłożeniami wojskowemi rządu. Nie cofną się przed nałożeniem nowych ciężarów na społeczeństwo, ponieważ widzą w nich ochronę naszych żywotnych interesów narodowych.

Dr. Adam Krzyżanowski.

---

[1] Najnowsze wypadki są stwierdzeniem dalszego współdziałania mocarstw, związanych trójprzymierzem. Wojska serbskie po pobiciu Albańczyków na ziemiach, przyznanych Serbii, przekroczyły granice Albanii, wytknięte przez londyńską konferencyę ambasadorów i posunęły się w głąb kraju. Austrya, Niemcy i Włochy zgodnie zażądały w Belgradzie wycofania wojsk serbskich z Albanii. Wobec odmownej odpowiedzi Austrya ponowiła swe żądanie i określiła je bliżej, domagając się z pomyślnym skutkiem wycofania w ciągu dni ośmiu.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Pisma. *Bronisław Chlebowski.* Tom III., 8⁰, str. 356, tom IV. str. 362, Nakład Spółki wydawniczej warszawskiej. Warszawa 1912.

Dobiegające końca, na pięć tomów zakreślone wydawnictwo prac Bronisława Chlebowskiego, obejmuje dorobek przeszło 40-to letnich studyów zasłużonego badacza kultury polskiej, prowadzonych wśród niekorzystnych warunków na terenie wrogim rozwojowi myśli polskiej, wśród żmudnych zajęć nauczyciela i redaktora (od lat 20) „Słownika Geograficznego". Prace różnych rozmiarów, większej i mniejszej wartości, rozrzucone po czasopismach w obrębie długiego szeregu lat — doczekały się, z wielką korzyścią dla nauki polskiej, zbiorowej edycyi. Tom I., obok kilku studyów ogólnej natury („Zadanie historyi literatury polskiej" „Neoromantyzm współczesny i zależna od niego nowa krytyka") — przyniósł szereg przyczynków drobniejszych, które omawiają kwestyę w obrębie wielu epok, od XVI. stulecia począwszy, a na twórczości Wyspiańskiego kończąc. Poruszono tam zagadnienia przeważnie historyczno-literackie, ale obok nich spotkaliśmy również uwagi na temat ogólno-cywilizacyjnego rozwoju Polski („Udział niemieckiej oświaty Prus wschodnich w życiu umysłowem Polski", „Udział kobiet polskich w życiu duchowem społeczeństwa") — a wreszcie i charakterystykę Chopina.

Od drugiego tomu począwszy, układ wydawnictwa przybiera charakter bardziej systematyczny. Tom ten objął przedruk studyów nad literaturą polską XVI-tego wieku, poświęconych głównie postaciom Reja i Kochanowskiego — poczem, w tomie trzecim, zgrupowano

w chronologicznym porządku wyniki badań Chlebowskiego nad piśmiennictwem polskiem w XVII. stuleciu.

Mając zamiar zająć się bliżej treścią trzeciego i czwartego tomu pism Chlebowskiego — nie możemy uczynić tego zbyt pobieżnie. Dobiegający końca bilans pracy naukowej całego życia, prowadzonej zawsze w imię hasła nawiązywania tradycyi „między dawnemi i młodszemi laty" — tam, gdzie to nawiązanie jest tak utrudnione — wkłada na sprawozdawcę obowiązek sumiennego przeglądu tego bilansu.

* * *

Porównywując każdorazowy wynik badań, zawartych w zbiorowem wydaniu pism Chlebowskiego z dzisiejszym stanem danej kwestyi w nauce, potrzeba mieć zawsze na uwadze czas powstania poszczególnych studyów. Uzupełnienia bowiem, jakie autor w obecnym przedruku porobił, są zbyt skąpe i niewystarczające, ażeby mogły w zupełności zmodernizować niektóre sądy, już w nauce przestarzałe.

Odnosi się to w szczególności do studyów nad literaturą polską XVII-go wieku, wypełniających tom trzeci. Z wyjątkiem analizy „Pamiętników husarza" (Samuela Maszkiewicza) — wszystkie inne powstały przed laty 20-tu, 30-tu a nawet 40-tu, kiedy poziom krytyki naukowej pod żadnym względem nie dorównywał dzisiejszemu rozwojowi badań historyczno-literackich. Zwłaszcza, leżące długi czas odłogiem studya nad literaturą polską XVIII-go wieku, postąpiły ogromnie naprzód, dzięki ogłoszeniu bogatych materyałów (Brückner) i szeregu poważnych opracowań monograficznych (Turowski i i.). To też szkice Chlebowskiego z tego okresu posiadają dzisiaj przeważnie historyczną wartość, są godne wysokiego uznania jako inicyatywa, dokonana śmiało — pomimo ówczesnego ubóstwa materyałów — celem zwrócenia uwagi na niedoceniane skarby myśli polskiej w epoce reakcyi katolickiej. Z tego punktu widzenia należy patrzeć na sylwetkę Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, skreśloną przed laty z górą 40-tu na łamach „Tygodnika illustrowanego". Wobec zmienności sądów o talencie autora „Legacyi" — kolejno zbyt wysoko cenionym i zbyt znowu lekceważonym — była praca Chlebowskiego pierwszą poważną próbą wyznaczenia Twardowskiemu właściwego stanowiska w gronie poetów polskich XVII wieku. Z tego samego założenia wyszedł o dziesięć lat późniejszy szkic o sielance p. t. „Daphnis", w którym uwagi o stosunku dzieła Twardowskiego do „Jerozolimy" Tassa w przekładzie Kochanowskiego oraz o pokrewieństwach duchowych

ze Słowackim, Zaleskim i Szekspirem — choć rzucone ogólnikowo, nie straciły po dzień dzisiejszy znaczenia impulsyi dla dalszego w tym kierunku badania. Natomiast trzecie studyum, poświęcone Twardowskiemu „Nadobnej Paskwalinie", jest już dziś przestarzałe wobec stwierdzenia źródła polskiej przeróbki w pracach Pilata i Porębowicza.

Uwagi, poświęcone przed 30-tu z górą laty najznakomitszemu poecie owej doby, Wacławowi Potockiemu, dziś również w znacznej części straciły wartość aktualną. Autor „Wojny Chocimskiej" dopiero w ostatnich latach zaczyna odsłaniać nam prawdziwe swoje oblicze. Nauka polska, zająwszy się ogromną a nieznaną dotąd spuścizną rękopiśmienną tego pisarza — który, za wyjątkiem dwóch podrzędnej wartości utworów, nic w życiu swojem nie ogłosił — może śmiało powiedzieć, że „odkryła świat i odkryła człowieka", znalazła przepyszne odbicie wartkiego prądu życia w Polsce za Jana Kazimierza i Jana III. i odkryła ostro zarysowany, nieporównany w wyrazie profil twórcy tego zwierciadła. Chlebowski, o ile szuka i wskazuje w poemacie o bojach Chocimskich odbicia ówczesnych stosunków społecznych — nie myli się, wsparty o znakomitą zdolność intuicyi; o ile natomiast zabiera się do rozbioru dykcyi Potockiego, znać, że czyni to w czasie, kiedy „Ogród fraszek" spoczywał jeszcze w rękopisie.

Wiele cennych spostrzeżeń zawiera studyum o przekładzie „Jerozolimy" Tassa, pióra Piotra Kochanowskiego — praca, od wspomnianych powyżej znacznie późniejsza, bo napisana w 1890 roku. Autor zestawia sumiennie te ustępy, w których tłumacz „spolszcza" oryginał, zastępując rysy renesansowe swojskimi i zapewniając sobie w ten sposób poczytność (ogółem 9 wydań) i wpływ na poetów. Zmiany te dotyczą głównie ogólnego tła życia obozowego, niektórych epizodów rycerskich, trzech postaci niewieścich (Klorynda, Erminia, Armida), obrazów z przyrody i świata duchów. Powodują one przejaskrawienie kolorytu oraz zatarcie pewnych delikatnych półtonów oryginału na rzecz grubych upodobań polskiego czytelnika w XVII wieku.

Rozdział VI i VII pracy szkicuje ogólną liczbę wpływu przeróbki Kochanowskiego. Na linii tej stawia autor w XVII wieku: Szymona Zimorowicza, Twardowskiego, Potockiego, Gawińskiego i anonimowego twórcę „Oblężenia Jasnej Góry"; w późniejszych okresach: Stanisława Lubomirskiego, Karpińskiego, Niemcewicza, Woronicza, Mickiewicza i Słowackiego. Jak widzimy szlak ogromny, którego zarys uważam za najcenniejszą zdobycz studyum Chlebowskiego. Posiada ona znowuż przedewszystkiem wartość impulsyi. Potrzeba

zająć się dokładniej etapami tej linii, uwypuklić ją, uzupełnić, a niekiedy i sprostować. Już dziś naprzykład możemy śmiało usunąć z tego szlaku „Śpiewy historyczne" Niemcewicza, w których wstępny obraz księżycowej nocy jest ossyanicznej proweniencyi i nie ma nic wspólnego z „Jerozolimą" Piotra Kochanowskiego, jak ongiś sądził Chlebowski.

Dwa studya, poświęcone pamiętnikom Paska i Maszkiewicza — zamykają treść trzeciego tomu pism Chlebowskiego. Rozdziela je przestrzeń lat 29-u: pracę o Pasku napisał autor w 1879, o Maszkiewiczu w 1908 roku. Przyszły biograf Chlebowskiego znajdzie tu wdzięczną sposobność stwierdzenia, jak w obrębie tych lat dojrzewał talent pisarski i pogłębiała się myśl krytyczna autora. Późniejsza o tyle praca nad tematem pokrewnym, jest też o 29 lat dojrzalsza: analizuje śmiało i wyraźnie, żywo i barwnie; zwłaszcza ogólna pod koniec charakterystyka „husarza" oraz zestawienie Maszkiewicza z Paskiem jest piękne i pouczające.

Czwarty tom objął prace nietylko z dziedziny historyi literatury, ale również z zakresu geografii historycznej, przeszłości Warszawy i krytyki literackich zjawisk współczesnych. Pomimo wielkiej różnolitości poruszonych tematów — przegląd treści ułatwia znakomicie ujęcie w osobne cykle studyów natury pokrewnej. Pierwszą taką grupę utworzyły szkice, stojące w związku z prowadzeniem redakcyi „Słownika geograficznego". Przedrukowano tutaj historyę nazwy „Sarmacya", szkic o pochodzeniu wyrazu i historycznem znaczeniu Wisły, jako drogi spławnej oraz studyum nad etymologią, rozłożeniem i wewnętrzną organizacyą Wielkopolski.

Drugi cykl rozpraw p. t. „Z życia Warszawy" podaje bardzo interesującą wiązankę badań nad przeszłością oraz obecnym stanem kulturalnym ukochanego miasta. W tej to grupie przebija się najwyraźniej, że pojmowanie historyi, jako nauczycielki życia, wyszukiwanie wątków organicznych pomiędzy przeszłością a dniem dzisiejszym, bardzo żywe i intenzywne odczuwanie wartości zjawisk bieżących, jako ogniwa w łańcuchu dziejowej ewolucyi — to są zasadnicze normy i cele pracy naukowej Chlebowskiego. Chlebowski porównuje i zestawia — pośrednio lub bezpośrednio: — oto zarys rozwoju Warszawy w związku z odbiciem jej życia w literaturze i sztuce, od końca XVI wieku; oto barwna kartka z przeszłości grodu Syreniego za Władysława IV-ego; a oto znów salony i kółka literackie w połowie XIX wieku. Jakże jest w dniu dzisiejszym? Jak przedstawia

się, w porównaniu z dawnym, obecny stan pracy naukowej i kulturalnej w stolicy Wazów? Uzyskujemy na szerokiej, historycznej podstawie oparty, bardzo pouczający szkic bilansu obecnego stanu życia duchowego Warszawy. A jakkolwiek późniejszy rozwój wypadków niektóre pozycye ze stanu czynnego tego obrachunku wykreślił (rozwiązanie Macierzy, zamknięcie Tow. Kultury polskiej) — i tak jednak z poza zewnętrznych pozorów płochej i niefrasobliwej „Warszawki", wyłania się postać odmienna i woła ku nam: w górę serca!

Oba dalsze cykle zajmują się historyą literatury polskiej w XIX wieku oraz w dobie obecnej. Znakomite prace obszerniejsze Chlebowskiego z lat ostatnich, poświęcone zwłaszcza wielkim poetom romantycznym — zostały jednak wyłączone i mają utworzyć osnowę V-ego tomu pism. W tomie czwartym zaś przedrukowano drobniejszy szkic na temat genezy „Dziadów" kowieńskich, w którym autor, uwzględniając ogłoszone niedawno „Nieznane pisma Adama Mickiewicza" oraz rozprawy prof. Bruchnalskiego i Windakiewicza, przyjmuje koniec 1820 r. jako czas powstania strony obrzędowej w II-giej części „Dziadów", zaś spowiedź Gustawa przenosi na pierwszą połowę 1821 roku, odrzucając przytem hipotezę istnienia pierwotnego planu dramatu fantastycznego w czterech częściach oraz rzekome zniszczenie części I i II-ciej.

Z okazyi jubileuszu Kraszewskiego powstało studyum, autorowi „Starej baśni" poświęcone — niewątpliwie jedno z najlepszych, jakie dotąd posiadamy. Znacznie bardziej pobieżna i powierzchowna jest charakterystyka Prusa.

Szereg analogicznych „profilów" literackich obejmuje grupa, nazwana: „*Historycy literatury polskiej i krytycy*". Uszeregowani wedle chronologii kroczą tutaj: Feliks Bentkowski, Kazimierz Kaszewski i Piotr Chmielowski — poczem następuje kilka orzeczeń krótkich, zbyt lapidarnych w stosunku do omawianych dzieł (6 tom historyi literatury Tarnowskiego, literatura Pilata, monografia Tretiaka o Zaleskim). Zapatrywania autora na stan dotychczasowej pracy nad historyą literatury polskiej wobec zadań jej naukowych i społecznych, a wreszcie recenzya dzieła Pawlikowskiego o mistyce Słowackiego i „Legendy Młodej Polski" Brzozowskiego — wypełniają bogatą i różnorodną treść czwartego tomu pism Chlebowskiego.

* * *

Bronisław Chlebowski stoi w pełni rozwoju swojego talentu i niewątpliwie niejedną jeszcze cenną usługę odda nauce polskiej.

Ogólne jednak właściwości historyka, które dadzą się wyczytać ze zbioru prac, dokonanych w obrębie lat 40, nie mogą uledz zasadniczej zmianie. Jako typ umysłowy wydaje mi się Chlebowski najbliższym Chmielowskiemu — a sylwetka Chmielowskiego, skreślona w IV. tomie pism Chlebowskiego, może ujść w pewnych rysach za autoportret. Obaj „starają się zachować zawsze, przy możliwej ścisłości w faktach, jak największą oględność w sądach i wnioskach, a dla osiągnięcia najwyższej objektywności usuwają z czynników oceny swe osobiste sympatye i upodobania"; obaj „usiłują" — jednak nie zawsze im się to udaje (zob. recenzyę Chlebowskiego szóstego tomu literatury Tarnowskiego); obaj „wykładają prosto, jasno, spokojnie", z większą domieszką temperamentu u Chlebowskiego, aniżeli u Chmielowskiego. Obaj również w ocenie faktów historycznych stosują miernik utylitaryzmu — przyczem Chlebowski uwzględnia ze szczególnym naciskiem potrzeby duchowe Polski kongresowej, „nie szukając dla siebie sławy ni korzyści materyalnej". Poszukiwanie analogii możnaby posunąć jeszcze dalej: możnaby dodać, że dla obu życie było mało łaskawe, że Chmielowski dopiero w przeddzień śmierci uzyskał katedrę uniwersytecką, a sędziwy autor „Pism" jest po dzień dzisiejszy nauczycielem w prywatnych zakładach naukowych.

Porzucając jednak te podobieństwa, bardziej formalne, które jednak mimowoli same się nasuwają — spróbujmy wykazać różnice. Nie posiadając tego, co Chmielowski, wykształcenia filozoficznego, nie porywa się Chlebowski na wielkie pomysły konstrukcyjne. Rozporządzając natomiast większą wrażliwością muzyczną i wogóle wrażeniową, rozumie i odczuwa lepiej zjawiska współczesne, zaś, omawiając dawniejsze, z większym naciskiem uwydatnia organiczny pomiędzy niemi związek. Zdaje nam się, że na tej drodze dochodzi Chlebowski do zbyt jednostronnych poglądów, których podzielić z nim nie możemy. Omawiając stan dotychczasowej pracy nad historyą literatury polskiej — nawołuje Chlebowski do „nawiązywania i umocnienia tak koniecznego walczących i rwących się ciągle węzłów duchowych z przeszłością" Wezwanie, które nigdy zbyt często nie może być powtarzane. Dlaczegóż jednak ma temu stać na zawadzie metoda filozoficznego traktowania przedmiotu? Czyż wykluczenie jej lub zapoznanie jej znaczenia nie prowadzi prostą drogą do fejletonowego dyletantyzmu, tak bujnie rozplenionego w krytyce pseudo-naukowej?

Chlebowski lekceważy filologię w historyi i krytyce literackiej. Stąd wypływają niektóre zarzuty, czynione dziełu prof. Tretiaka o Za-

leskim; stąd ostry i — zdaniem naszem — niesłuszny sąd o historyi literatury prof. Pilata. Czem był wykład i seminaryum nieodżałowanej pamięci profesora lwowskiego — wiedzą i rozumieją Jego uczniowie. Wydawnictwo wykładów zmarłego nie jest historyą literatury, przeznaczoną dla sfer szerokich. Jako podręcznik dla studyum uniwersyteckich osiąga właśnie dzięki szeroko stosowanej podstawie filologicznej — cel swój w zupełności. Uczy ścisłości w myśleniu, wyrabia sumienność w badaniu, daje doskonałe oryentacye bibliograficzne.

Dopiero na takiej podstawie wsparta egzegeza ideowa, wyrównując przeciwieństwa (bardziej teoretyczne, niż rzeczywiste) pomiędzy metodą filologiczną a sferą psychologiczno-estetycznego odczuwania zjawisk — stwarza w badaniach historyczno-literackich dzieła nieprzemijającej wartości. *Maryan Szyjkowski.*

„Listy Zygmunta Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego, z autografów wydał *Józef Kallenbach*, wstępem opatrzył *Adam Żółtowski*". Tom. I. Listy z lat 1840—1847, 8⁰ str. LXIV, 286. Tom II. 8⁰ str. 432. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolf 1912.

Z pośród wielkich poetów polskich epoki romantycznej, tak chętnie i obficie uprawiających korespondencyę — najwięcej bodaj listów napisał Zygmunt Krasiński. Ogłoszono w osobnych publikacyach korespondencyę poety z Edwardem Jaroszyńskim,[1] przedrukowaną następnie w wielkim, trzytomowym zbiorze staraniem Kraszewskiego p. t. „Listy Zygmunta Krasińskiego" (Lwów 1882—3). Tom pierwszy tego wydawnictwa objął listy, pisane do Konstantego Gaszyńskiego, w tomie drugim znalazła się korespondencya z Adamem Sołtanem, tom ostatni, oprócz listów do Jaroszyńskiego, pomieścił listy do Juliusza Słowackiego, Romana Załuskiego, Bronisława Trentowskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisława Koźmiana (w wyjątkach).

Okazało się jednakże, że i ta publikacya, choć miała być całkowitą, materyału bynajmniej nie wyczerpuje. W dwa lata po niej ogłoszono drukiem 139 listów poety do Stanisława Małachowskiego,[2] w 1902 roku wydaje prof. Kallenbach w dwóch tomach francuską korespondencyę Krasińskiego z Henrykiem Reeve'm, w 1909 roku ogłasza

[1] „Listy Zyg. Krasińskiego od r. 1835—44 pisane do Edw. Jaroszyńskiego, ogłosił Marius Gorżkowski". Kraków 1871.

[2] „Listy Zyg. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego". Kraków 1885.

Leopold Wellisch z nieznanych rękopisów listy Zygmunta Krasińskiego i Ary Scheffera,[1] rok wreszcie jubileuszowy przynosi „Listy do Stanisława Koźmiana",[2] znane dotąd z urywków i korespondencyę z Augustem Cieszkowskim.

Te wydawnictwa, obejmując około 1100 listów samego poety, tworzą już same małą biblioteczkę. A jednak — i na tem jeszcze nie koniec: brak nam przedewszystkiem korespondencyi z ojcem i Delfiną Potocką, dotąd dla względów natury prywatnej nieogłoszonej, a posiadającej niewątpliwie znaczenie pierwszorzędne, jeśli się zważy, jak doniosłą rolę obie te postacie odegrały w życiu twórcy „Przedświtu".

W jednym z listów do Aug. Cieszkowskiego nazwał poeta sam siebie „wiecznym listo-pismakiem" (list z 24 września 1849). To żartobliwe określenie oznacza trafnie zdumiewająco żywą skłonność do posługiwania się formą listu; z drugiej jednak strony obfitość korespondencyi poety nie ma nic wspólnego z jałowem gadulstwem. List, który wychodzi z pod pióra lub dyktatu Krasińskiego, przestaje być zazwyczaj konwencyonalnym środkiem podawania potocznych wiadomości, a staje się ulubioną formą artystyczną, w której utrwala się cały bolesny trud tego wielkiego, a tak życiem znękanego ducha. Listy Krasińskiego składają się istotnie na „poemat, ale krwią i łzami pisany" (Kraszewski), w którym krok za krokiem śledzimy z bezpośredniej odległości każdy akt tej tragedyi, od chwili, kiedy dorastający młodzieniec, otrzymawszy u progu życia cios w samo serce, opuszcza Warszawę — aż po ostatnie niemal momenty doczesnej wędrówki.

Świeżo ogłoszona ogromna korespondencya z Cieszkowskim dostarcza pod tym względem dokumentów pierwszorzędnego znaczenia. Obejmuje ona — oprócz fragmentów, zamieszczonych na końcu obu tomów — 306 listów, jest to zatem najobfitszy zbiór z dotychczasowych, pisanych pod jednym adresem. Listy te rozpoczynają się z rokiem 1841.[3] i trwają niemal aż po sam koniec życia poety (ostatni nosi datę 9. stycznia 1859). Ciągnąc się nieprzerwanym tokiem poprzez cały „wiek męski — wiek klęski" twórcy „Psal-

[1] „Zyg. Krasiński i Ary Scheffer. Listy z nieznanych rękopisów wydał Leop. Wellisch". Warszawa 1909.

[2] „Listy do St. Koźmiana". Lwów 1912. (Ob. Przegl. pow. 1913., zeszyt 11-ty, str. 261).

[3] Nie rozumiem, dlaczego na kartce tytułowej pierwszego tomu podano 1840 rok, jako początek korespondencyi, skoro pierwszy list nosi datę: 2 kwietnia 1841 (Rzym).

mów", wypełniają znakomicie przerwę od 1848 roku w korespondencyi z Gaszyńskim, a uzupełniają się listami do Adama Sołtana, Stanisława Koźmiana i Stanisława Małachowskiego.

Znaczenie przytem tej korespondencyi podnosi osoba autora „Ojcze nasz", z którym poetę łączyły wspomnienia z dzieciństwa a trwałym węzłem przyjaźni w epoce pełnej dojrzałości władz umysłowych, spoiła wymiana myśli, utrwalona właśnie w tych listach. Dzięki temu stanął Cieszkowski w gronie najbardziej zaufanych druhów i powierników Krasińskiego, zwłaszcza kiedy od 1842 roku zabrakło „absolutnego przyjaciela", Danielewicza „Mój duch z twoim jedno chce być i będzie" — pisze poeta w lutym 1842 roku; zaś w rok później, wspominając „Przedświt", wyznaje: „Tyś jest jego ojcem pierwszym".

Połączyło te dwa piękne duchy wspólne dążenie do prawdy, wzajemne podnoszenie się w Platońską sferę idei, wyzwolenia z oków fizycznych ułomności i społecznego rozkładu, który takim bólem napełniał duszę polskiego Oresta. („Furiis agitatus" — podpisuje się Krasiński w listach do Małachowskiego i Cieszkowskiego). Bezpośrednich szczegółów, odnoszących się do literackich pomysłów i zamierzeń poety — spotykamy stosunkowo niewiele. Tu zwrócić należy uwagę zwłaszcza na te wzmianki, które dotyczą „Legendy", „Przedświtu" i „Ostatniego", pozwalając albo ustalić dokładniej czas powstania utworu, albo też lepiej rozświetlając myśl jego przewodnią.

Natomiast znacznie więcej miejsca zajmuje sfera spekulacyj filozoficznych oraz zagadnienia społeczno-polityczne, stanowiąc wspólne zasadnicze tło listów do Cieszkowskiego. Problemy tego rodzaju, tkwiące w samych podstawach organizacyi intellektualnej autora „Psalmów", zajmują wiele miejsca i w korespondencyi z innymi przyjaciółmi; poeta jednak rozumiał doskonale, że nie każdemu z nich jest dostępny wysoki poziom jego myśli, z czem w listach swoich bardzo się liczy.

W wymianie myśli z Cieszkowskim nie potrzeba było uciekać się do symplifikacyi. O dwa lata starszy autor „Ojcze nasz" był jak stworzony na kierownika i doradcę poety-myśliciela. Uczeń zaś był godnym mistrza i zbyt silną posiadał indywidualność, ażeby wskazówki nauczyciela przyjmować mechanicznie. Toteż dyskusya na tym terenie stanowi najciekawszą i najbardziej pouczającą stronę korespondencyi w latach 1841—47. Niestety, nie znamy listów Cieszkowskiego, któreby nam pozwoliły zrekonstruować w całej rozległości bieg tych dwóch

potężnych prądów myśli, które niezawsze posuwają się równolegle obok siebie. Są punkty, w których Krasiński ustępuje przed argumentami przyjaciela — ale są i takie, których broni do upadłego. „Na miłość Boga o Eschatologii pamiętaj!" — woła (28. październik 1843), przypominając tę najwyższą normę trudów swojej myśli, której przez całe życie nigdy z oczu nie spuszczał. „O będę Cię tak nudził" — pisze gdzieindziej (20. stycznia 1843) — „i męczył miłością moją! o będę cię ścigał i prześladował przywiązaniem mojem, iż powiesz mi εὕρηκα".

Chodziło tu przedewszystkiem o dwie kwestye. Pierwsza dotyczyła obrony przez poetę trwania pamięci, którą negowała teorya Cieszkowskiego, rozwinięta w traktacie „Gott und Palingenesie". Druga kwestya odnosiła się do osobowości Boga, której dowodzi Krasiński w sposób niezrównany, zbijając panteistyczne poglądy Trentowskiego, (por. zwłaszcza wspaniały wywód w liście z 29. lipca 1841 roku).

Tam gdzie chodzi o sprawy tak zasadnicze, nie waha się poeta „nudzić i męczyć" miłością swoją przyjaciela. Miłość to bowiem męska, wolna od wszelkiej ckliwej sentymentalności i mająca przedewszystkiem cele wieczne na oku. Ilekroć wchodzi w grę najwyższy imperatyw: eschatologia — zawsze Krasiński znajdzie słowo silne i energiczne, nazwie przyjaciela „kamiennym, drewnianym, nieużytym", zarzuci mu ślepe ulęganie wpływu filozofii niemieckiej (Hegla).

I naodwrót: — nie krępuje się również Cieszkowski, dotykając spraw najdrażliwszych, które stanowiły kulę u nogi twórcy „Przedświtu". „Mówisz" — pisze Krasiński 27. kwietnia 1844 roku — „żem się uwziął dążyć dysharmonijnemi drogami do Harmonii"; „nic przeciw fałszowi położenia nie pomogą ludzie". Cały list 23. stycznia 1846 poświęcony jest obrazowi tej moralnej niedoli, która srożej gnębiła poetę, aniżeli wszystkie tak ciężkie i uporczywe cierpienia cielesne.

Od 1848 roku wysuwają się w listach Krasińskiego na plan pierwszy sprawy społeczno-polityczne. Ruchy wolnościowe, zabłysnąwszy w Europie „wiosną ludów", wciągnęły w wir wypadków Cieszkowskiego, który zaciągnął się w szeregi stronnictw lewicowych. Na tym punkcie musiała nastąpić znowu rozbieżność pomiędzy obu przyjaciółmi, która znajduje swój wyraz niejednokrotnie w listach z tego czasu. Krasiński bardzo żywo śledzi działalność parlamentarną Cieszkowskiego i ocenia szczegółowo jego przemówienia.

Nas jednak interesują bardziej opinie poety o akcyi Mickiewicza, związanej zwłaszcza z formacyą legionu polskiego we Włoszech.

Napotykamy tu masę szczegółów ciekawych, ogólne jednak sądy o Mickiewiczu są jednostronne, a nawet krzywdzące. Tembardziej godzi się podkreślić wrażenie, jakie wywarła na Krasińskim wiadomość o śmierci Mickiewicza. 6-go grudnia 1855. roku pisze poeta: „Mój drogi! Arcysmutna wiadomość! Głazem grobowym przycisnęła mi serce, bom go kochał — i ducha, bo to był, choć pęknięty może, ale zawsze wielki, olbrzymi filar wśród podtrzymujących rzadkich już i pękniętych wszystkich, nasze sklepienie". Ofiarowując gotowość przyjścia z pomocą pozostałym sierotom — pisze dalej: „Iskry, co w nim żyła i z nim się rozwiała nie odnajdziem w żadnej innej piersi dziś. Pierś ta była Michałowo-aniołowa! ...nikt nie pragnął tak jak on i nie wyglądał był przez żywot cały tej obiecanej ziemi. Za życia można o błędach czyich mówić. Lecz śmierć ma dłuto nieśmiertelne i rzeźbi człowieka w posąg biały, czysty, idealny, na którego kształtach marmurowych tylko piękno ducha jego odbić się powinno! Niech więc taki posąg z niego stanie, wzniesion pamięcią plemion słowiańskich — bo to nie tylko narodu polskiego, ale wszystkich plemion słowiańskich był największy wieszcz!"

* * *

Im bliżej końca listów, tem bardziej beznadziejny wieje z nich smutek. Wzmaga się pod wpływem wypadków politycznych rozstrój wewnętrzny, wysycha źródło natchnienia, sroży się coraz więcej choroba. Listy stają się krótsze, pismo niewyraźne, coraz częściej ucieka się poeta, „aerumnarum plenus", do pomocy Gaszyńskiego, dyktując krótkie doniesienia. „Módl się o mnie" — woła w 1850 roku — „by mi choć odrobinkę natchnienia do piersi wróciło, bym tak nie był sam w sobie pustynią i morzem umarłem". „Westchnij za mną do Tego, który wszechpanem jest i gwiazd i słońc i każdego z włosów głowy naszej". Jeszcze jeden filar, podtrzymujący sklepienie polskiej myśli twórczej rysuje się i pęka; uciekają dni, które „prędsze były niż poseł, a nie widziały nic dobrego".[1]

Lektura listów do Cieszkowskiego rzuca pełne światło na obraz tej wielkiej „napowietrznej" walki ducha o eschatologię. Pozwala nam przeżyć raz jeszcze i poznać dokładniej długie, 18-to letnie pasmo

[1] Słowa z wersetu Hioba, który polecił poeta wyryć na grobie Danielewicza.

wzlotów i opadów genialnej myśli, zbliża ku nam te szczyty, na które tylko orły wzbijać się potrafią. Pod tym względem korespondencya z Cieszkowskim zajmuje pomiędzy dotąd ogłoszonymi listami Krasińskiego miejsce bodaj najważniejsze.

Wydania listów dokonał prof. Kallenbach z taką samą starannością, z jaką przed 10 laty zajął się był ogłoszeniem korespondencyi z Reeve'm. Niektóre ustępy, (dotyczące spraw finansowych oraz afery z Czarnowskim), zostały opuszczone bez szkody, jak się zdaje, dla istoty rzeczy. Nadto znalazł się pomiędzy listami do Augusta jeden list do jego ojca, Pawła Cieszkowskiego (181). — u końca zaś każdego tomu fragmenty i luźne kartki z datą domyślną. Korespondencyę poprzedził wstępem Adam Żółtowski, znawca filozofii Cieszkowskiego, zaś całość zamknął bardzo przydatny dla każdego badacza alfabetyczny wykaz nazwisk, sporządzony przez wydawcę i dra J. Kollera.

Maryan Szyjkowski.

O samodzielności kraju. *Stanisław Szczepanowski.* Pisma tom III. Lwów 1912.

O polskich tradycyach w wychowaniu. *Stanisław Szczepanowski (Piast).* Lwów 1912.

W tomie I. pod zbiorowym tytułem „Myśli o odrodzeniu narodowem", wydane zostały prace tą wspólną myślą się łączące, tom drugi zawiera znaną „Nędzę Galicyi" i inne prace, wyszłe zmyśli o rozwoju społeczeństwa, tom III. zawiera mowy i pisma z lat 1887 — 1891, łączące się z działalnością polityczną Szczepanowskiego w tym okresie czasu. Pozatem osobno wydała tutaj rodzina wyjątki z mów, odczytów i pism, traktujące o wychowaniu. Dwa te ostatnie zbiory mamy obecnie omówić.

Myśli Szczepanowskiego, w sprawie religii, zawarte są głównie w pracy „wychowanie charakteru", ogłoszonej drukiem pod tytułem „Piast". „Nieproszone odpowiedzi na zapomniane pytania". Praca ta wywołała w swoim czasie, o ile zdołałem zapamiętać, polemikę w prasie, a szczególnie myśli o religii znalazły odparcie ze strony powołanej. Myśli te wykazują blizkie pokrewieństwo z prądem modernistycznym. Poprzestawać na chrześcijaństwie Mickiewicza, Krasińskiego i Cieszkowskiego, a odrzucać na bok pismo św. Pawła, św. Augustyna, „Akwinonów, Loyolów i Ligurich", na to chyba się nie zgodzi prawdziwy katolik. I również nie świadczy o prawowierności uczuć

religijnych, jeżeli tych koryfeuszów katolicyzmu zbywa się lekceważącym giestem. To też nie radziłbym nikomu szukać w pismach Szczepanowskiego wskazań w sprawie religii.

W stosunku do państwa, w szczególności do monarchii Austryackiej zajmował Szczepanowski stanowisko przychylne, uzasadnione realnymi stosunkami. Popierając jednak praktycznie politykę delegacyi polskiej w Wiedniu, w zasadzie nie godził się na nią. Potępiał politykę rezolucyi z r. 1868, żądającą autonomii Galicyi na koszt państwa. Przeciwny był jednak zależności Galicyi od Wiednia, popierania polityki finansowej ministra Dunajewskiego, starania się tam o koncesye ekonomiczne, „prezenta" dla Galicyi.

Jego myślą było, by Galicya owszem przyczyniała się do wydatków wspólnych, tak jak Węgry, a pozatem uzyskała zupełną autonomię szczególnie pod względem finansowym. Zasadą jego było: samym się rządzić i samym koszta tego pokrywać. Krótko, wyodrębnienie Galicyi. To hasło wywołało w swoim czasie żywe dyskusye zwłaszcza, gdy je podjęło potem stronnictwo narodowo-demokratyczne i szerzyło je energicznie słowem i pismem.

Hasło to ponętne pozostało jednak tylko hasłem, w praktyce nawet, wspomniane stronnictwo w czasach największej siły nie próbowało go urzeczywistnić. Dyskusya publiczna podniosła poważne wątpliwości co do jego wartości dla naszego kraju, a konfiguracya stosunków politycznych nie sprzyja, a nawet wprost nie dopuszcza do jego zrealizowania.

Szczepanowski podnosząc tę myśl, dążył do tego, by Polacy, będąc niezależnymi pod względem ekonomicznym gospodarzami u siebie, mogli pracować nad wszechstronnem rozwinięciem pod względem narodowym i ekonomicznym. Jako podstawę tej pracy uważał wychowanie i oświatę. Oświata ma być przepojona duchem narodowym, uświadamiać i podnosić ideały narodowe. Winna wyrabiać charakter ludzi uzdolnionych do pracy wytwórczej, a nie tylko dawać dyplomy i tytuły doktorskie, tworzyć zastępy biurokracyi. Nauka powinna być gruntowna, „non multa, sed multum", dawać podstawy do późniejszej pracy samodzielnej. Za podstawę uważał gruntowne wykształcenie elementarne: w szkołach średnich winien być typ jednolity, nauka uproszczona dla ogółu uczniów z możliwością pogłębienia i rozszerzenia wiadomości dla zdolniejszych. Za przykład takiego ustroju wskazuje na klasy greckie otwarte tylko dla najzdolniejszych w szkołach angielskich. Obok szkoły średniej ogólnej,

popiera niejednokrotnie myśl tworzenia szkół średnich zawodowych.

Szczepanowski nie był pedagogiem, jak to przyznał w jednej z mów swoich, rzucał tylko myśli ogólne, nieraz w formie krytyki stanu istniejącego.

Wychowany sam na wzorach angielskich jest zwolennikiem samopomocy i samodzielności społeczeństwa.

Popieranie pracy ekonomicznej przez państwo czy kraj, nie ma w nim wielkiego zwolennika — żąda od nich tylko dobrej organizacyi polityki komunikacyjnej i taryfowej, szkolnictwa zawodowego. Popieranie bezpośrednie ograniczyćby pragnął tylko do wypadków najkonieczniejszej potrzeby. Natomiast jest zwolennikiem energicznej i patrzącej daleko polityki inwestycyjnej, jak n. p. regulacyi rzek, drenowania, budowy dróg wodnych.

Co do posługiwania się obcym kapitałem, nie sprzeciwia się temu, byleby zarząd nim był w rękach obywateli kraju.

W wielu miejscach swych prac oświadcza, że niema rzeczywistych przeciwieństw wsi a miast, że nie antagonizm, lecz wspólną pracę zaleca dobrze zrozumiany interes ekonomiczny. Demokrata uznaje tradycye przodownictwa wielkiej własności. Obok niej jednak pragnie, by miasta wybiły się na czoło narodu.

W pracy narodowej polityka nie może być celem, lecz tylko środkiem, a raczej jednym ze środków do osiągnięcia celów, przez Szczepanowskiego w jego pracach zakreślonych.

Spotykały się te idee z krytyką nieraz ostrą, może często i niesłuszną. Patrząc na nie z pewnej już odległości, przyznać musimy, że wiele tam wskaźników, które współcześni mienili ideologią, przyszłość jednak w społeczeństwie dała się zrealizować, a niejedno weszło przynajmniej do realnego programu dążeń społeczeństwa. Napewne, że w tem bogactwie idei to i owo, a może i wielka część pozostanie tylko świadectwem szlachetnego umysłu i usprawiedliwi te zarzuty niepraktycznego idealizmu, z jakim się Szczepanowski za życia spotykał. Ale to wszystko, co mówił i pisał Szczepanowski, daje świadectwo prawdzie, że on zawsze pragnął jak najlepiej, służył narodowi w najczystszych intencyach, chciał go podnieść nawet wbrew jego woli.

Dr. A. Bielecki.

Z piśmiennictw obcych.

La Colline inspirée par Maurice Barrès de l'Academie francaise. 1913, str. 424. Paris. Emile Paul frères Ed.

La Colline inspirée słynnego publicysty Maurycego Barres'a jest dziełem bardzo omawianem w prasie francuskiej. Autor-Lotaryńczyk, rozkochany w każdem wspomnieniu, w każdym gaju lub kamieniu swej biednej ojczyzny, zapatrzył się wzrokiem i myślą we wzgórza po wsze czasy uważane za święte, niegdyś poświęcone pogańskiej bogini Rosmertha a dziś zwane Syonem i noszące na jednym cyplu szczątki klasztorne i kaplicę Najśw. Panny, a na drugim ruiny zamku Vaudemont, należącego do dawnej panującej rodziny. Wzgórze to a raczej góra jest w jego mniemaniu siedliskiem duchów, jest miejscem, o którego posiadanie szatan wciąż walczy przeciw potędze aniołów. Przez długie wieki w istocie góra Syonu była strażnicą kraju: tu składano ofiary opiekuńczemu bóstwu, stąd książęta słali rycerze i wydawali ustawy, tu na zgliszczach chramu zapanowała Najśw. Panna, ukoronowana przez Księcia Karola IV. władczynią ich ziemi. Do cudownego wizerunku „czarnej Madonny" ciągnęły przez wieki długie korowody pielgrzymów. Pierwotny posąg rozrąbał barbarzyński topór barbarzyńców 1793 r., ale go znów miłujące ręce podniosły tak, iż sława cudów powstawała na nowo nawet dziś, gdy wszelka świetność już znikła. Żaden Lotaryńczyk nie wstąpił bez wzruszenia na długi szczyt wzgórza, „tu bowiem — pisze autor — jest miejsce skupienia, miejsce, kędy zapominając o swojej słabości, zapominając o sobie patrzymy w wieczność"... Zły duch negacyi nie mógłby tu szybować, gdyż tu prąd wichru złamałby mu skrzydła, a żar światłości wchłonął by go i pożarł"...

Wzgórze, wydłużone w półkole, ma na swych końcach wzniesienia: na jednym stał, jak mówiliśmy, zamek a dziś wieś Vaudemont; na drugim klasztor z kościołem i mała austerya, odwiedzana tylko w dnie pielgrzymek. W pośrodku wtulona w nizinę jest wioska Saxon. Z tego to wzgórza pochodził w początkach XIX w. człowiek, który z pomocą tylko dwóch braci zdziałał tu ogromne rzeczy, wzniósł gmachy kamienne, rozniecił wielkie religijne ognisko, porwał tysiące dusz, był przez czas dłuższy jakoby następcą książąt z Vaudemont'u. A potem zgasł: z dzieł jego nie pozostało nic na świętem wzgórzu, pamięć jego zagi-

nęła wśród ludu, a na cmentarzu kawał tablicy, walający się w trawie wskazuje ledwie miejsce jego mogiły. Człowiekiem tym był X. Leopold Baillard, zmarły w roku 1884.

Autora przyciągała ta postać, dziwnym blaskiem owiana; napróżno jednak pytał, licząc na niedawną datę zgonu. Ludzie zapomnieli i dopiero dzięki przypadkowo znalezionemu stosowi zapisków, rachunków, broszur i aktów udało mu się ułożyć szkic życiorysu który nam podaje. Jest to historya dziwnie zajmująca zwłaszcza dla nas w obecnej chwili, widać w niej bowiem istny prototyp Maryawityzmu, wyrosły na innym gruncie a stłumiony dzięki akcyi władz kościelnych i braku poparcia władz świeckich. Złożyły się nań też same żywioły: zrazu ogromny zapał religijny, gorączka czynu, dochodząca do samowoli, bunt przeciw władzy biskupiej, skrzywienie wiary, świętokradzkie praktyki, odpadnięcie od Rzymu, rozpusta, klątwa — w końcu zaś i tu przerywa się podobieństwo, odstępstwa zwolenników, upadek, nędza, osamotnienie i po długich latach śmierć spokojna w pojednaniu z Kościołem.

Trzej bracia Baillard przyszli na świat w chacie wiejskiej, w jednej z owych nabożnych rodzin włościańskich, które w czasie rewolucyi wystawiały na szwank życie i mienie, aby ratować swych duchownych pasterzy. Wyrośli w atmosferze gorejącej a wojowniczej; ta zaś przyczyniła się zapewne do ich powołania i na całem życiu wywarła swe piętno. W seminaryum najstarszy Leopold, biegły łatynista zapalał się do dyskusyi w kwestyach teologicznych; drugi Franciszek górował nad kolegami wzrostem, siłą fizyczną i wesołym humorem, najmłodszy Kwiryn drobny, chudy a spiczasty miał w sobie coś małomiasteczkowego skryby z zaciętością francuskiego żołnierza. Wszyscy trzej zaś — co M. Barres parękroć zaznacza — zachowali pod sutanną naturę wiejską i pod wielu względami nie różnili się od innych parobków swej wioski. Za każdym powrotem na wakacye rodzice przyjmowali ich z radością i dumą nie o wiele mniejszą niż gdy gościli biskupa z Nancy, który pewnego lata przy sposobności wizyty dyecezyalnej odwiedził ich chatę. Czcili godność jego ale pomni zasług, położonych przez ojca i dziada, mniemali ją być wynikiem tych czynów, co według nich stanowiło pewną równość między prałatem a nimi. Podobnie trzej bracia gotowi byli ponowić swych przodków ofiary lub też — zbierać z tychże owoce.

Wyświęcony w r. 1821 Leopold, dostał natychmiast probostwo w Flavigny — nad Mozellą, dokąd przybywszy, rzucił się od razu

w ówczesny ruch religijny, ruch odnawiający dawnego ducha wiary, dawne formy i dzieła zgniecione i wzbronione tak długo. Jednym z pierwszych jego czynów uwieńczonych powodzeniem po wielkich wysiłków było odnowienie miejscowego klasztoru Benedyktynek i zaludnienie go zakonnicami wraz z gronem uczennic... Objął też natychmiast kierownictwo Zgromadzenia, a chcąc się wyćwiczyć, w tym celu jął studyować żywoty świętych — nadewszystko żywot patrona Lotaryngii Błog. Piotra Fourrier z Mattaincour, „dobrego ojca" jak go zwano za życia. Zachwycał go w nim założyciel Kongregacyi panien, których biało-niebieskie habity po dziś dzień snują się cicho po lotaryńskich wioskach, zachwycał organizator szkół wiejskich i inicyator stowarzyszeń wzajemnej pomocy, bardziej jeszcze do serca jego przemawiał wielki patryota, stawiający czoło Kardynałowi Richelieu. Najbardziej zaś olśniły go cuda... Autor porównuje Leopolda Baillard wpatrzonego w owe przykłady z Don Kiszotem, wczytanym w opisy przygód rycerskich. Porównanie dość słuszne — Lotaryngia bowiem pozbawiona swych książąt i samoistnego życia, pozbawiona następnie podniecającego bodźca tryumfów Napoleońskich, ulegała wówczas rodzajowi marazmu. Chwała zgasła, ofiary poszły na marne — przed sobą nie widziano już nic krom poprawy materyalnego bytu. Wtedy atoli z Nancy wśród ludzi uczonych, pełnych jeszcze wspomnień XVIII w., poczęto rozmyślać nad przeszłością kraju i — jak często bywa — apoteozować chwały przeszłości, aby nią ozłocić obecną żałobę. Przypominano, że to Gottfryd de Bouillon[1] zdobył Jerozolimę, że Karol V — (zapominając o Sobieskim) uwolnił Wiedeń od Turków, że pod wodzą Guizów i księcia Antoniego Lotaryngia stanęła wałem pod naporem protestantyzmu.

„Mówili tak — pisze autor — z nienawiści do racyonalizmu, stawiającego w miejsce chrześcijańskiej sprawiedliwości bałwochwalczy kult powodzenia i siły", a Leopold przejął się i upoił ich duchem. Niebacząc na zmianę stosunków i ludzi, postanowił kraj swój rozbudzić, natchnąć go i podnieść moralnie i materyalnie. Bez zastanowienia wziął się od razu do pracy. O parę mil od Flawigny stał walący się dom Błog. Piotra Fourrier. Odkupił go, odbudował, rozszerzył i zebrawszy

[1] Gniazdem wielkiego rodu de Bouillon do którego i św. Antoni (z linii Portugalskiej) i dzielny wódz Turenne należał był Sedan. Smutnem jest i uderzającem, że miejsce, skąd wyszło chwały tyle, stało się potem pogromem i jakoby kolebką nieszczęść Francyi. Rzekłbyś, że to duch Lotaryngii mści się za swoje krzywdy!...

rozprószone grono Panien Kongreganistek Najśw. Panny Syońskiej umieścił je w nowym klasztorze. Bracia jego, siedzący na sąsiednich parafiach, pomagali mu według sił; praca zaś była nielada, bo trzeba było szukać kredytu, wielkiego kredytu na ogromne plany Leopolda. Nęciło go wzgórze Syonu, pełne wspomnień bohaterskich i świętych, bolało opuszczenie i cisza grobowa, zalegająca te szczyty. Zaczął tedy w r. 1837 za pożyczone pieniądze odkupywać grunta i budynki, należące niegdyś do kościoła Najśw. Panny. Toż to było Jej święte dominium! Praca szła gorączkowo. „Około 1840 r. stanął zakład Braci Najś. Panny Syońskiej (*Institut des Frères de Notre Dame de Sion - Vaudémont*). Wtedy już góra święta dzięki impulsowi braci Baillard'ów przedstawiała obraz roboczego ula, w którym modlitwa i prace szły wesoło jedna po drugiej. Były tam piękne klasztorne budynki, obszerne, piękne utrzymane ogrody, internat dla chłopców, wielkie warsztaty stolarskie, kowalskie, kołodziejskie, kamieniarskie, krawieckie, murarskie i rękodzielnicze wszelkiego rodzaju, pracownie dla malarzy i rzeźbiarzy, wypożyczalnia dobrych książek, a w wiosce Saxon, leżącej w zagłębieniu między dwoma szczytami folwark wzorowy (*ferme modèle*) i klasztorek żeński w cieniu sadów ukryty. Założyciele wybrali zakonnice z pośród dziewcząt wiejskich, posłali je na wyćwiczenie do Mattaincour, ale że tam używano je wyłącznie do posług, X. Leopold zabrał je stamtąd i osadził w Saxonie, skąd wysyłał je dokoła po kweście. On sam i bracia jego kwestowali także. Przebiegali Francyę, Belgię i Anglię; najmłodszy Kwiryn podążył aż do Ameryki, wynosząc pod niebiosy usługi, jakie „Zakład Braci Najśw. Panny Syońskiej" oddać ma całemu światu. Leopold dotarł do Wiednia do cesarskiego Burgu. Toż Cesarz Ferdynand był potomkiem władców Lotaryngii, wnukiem książąt Vaudémontu, w oczach patryoty lotaryńskiego prawym jego monarchą. Pokłonił się jako takiemu i uzyskał żądaną pomoc...

Wkrótce jednak góra Syonu wydała mu się zbyt ciasnem polem działania. Na szczytach, dzielących Alzacyę od Lotaryngii, wśród lasów Wogeskich, stał od wieków monaster, strzegący relikwii patronki Alzacyi Św. Odylii; X. Baillard zakupił go za 50000 franków. Wziął w posiadanie obszerny klasztor, kościół, kaplice, relikwie, dom gościnny, stajnie, rozległe grunta także i piękny bór, a nad tem magnackiem dominium postawił Kwiryna. Zaprawdę — jak słusznie mówi M. Barrès — był to zapał mistyczny, grubo podszyty naturą włościańską, żądzą nabytku, namiętną żądzą ziemi, nie znającą przeszkody ni gra-

nic. Bracia Baillard szli naprzód na oślep w autosuggestyi, że pracują tylko dla Boga. Szli niebaczni na ludzi, w których tylko możliwych ofiarodawców cenili, nie bacząc na nowoczesny ustrój świata, na krytyki poważniejszych ludzi potrząsających głową nad awanturniczością tylu rozpoczętych dzieł, niebaczni na gromadzące się nad nimi chmury.

Chmury te szły z dwóch stron: od racyonalistów, przestraszonych gorącym prądem religii, jaki od nich promieniał i — co gorsze, od strony władz duchownych. Wprawdzie za nimi stał młodszy kler parafialny, złożony przeważnie z synów włościańskich. Biskup jednak i wyższe duchowieństwo patrzało niemile na samotną gorliwość, na bezprzykładną rzutkość w sprawach pieniężnych, wreszcie na pewną niejasność, pewną nieprawidłowość w wykładach religii. Na górze Syonu nabożeństwa były wspaniałe, ściągające tłumy z daleka, tchnące jakimś pozorem cudowności, zwłaszcza od chwili, gdy jedna z zakonnic, Siostra Teresa Thiriet, przyniesiona do kościoła po długiej chorobie, nagle uleczona wstała. Owa Siostra Teresa wyższa umysłem a zwłaszcza wyobraźnią od prostych swych towarzyszek, żyła jak i one zapatrzona w Leopolda Baillard: wola jego stanowiła jedyną ich regułę, a każdy wyraz jego — artykuł wiary. Od chwili wyleczenia zaś ona sama wydała mu się rodzajem medium, za pomocą którego niebo okazywało swą wolę.

Biskup wszakże nie chciał nakazać inkwizycyi w sprawie cudu; lekarz miejscowy odmówił świadectwa. Bracia nie zwrócili na to uwagi. Cele ich były piękne ale sposoby działania nieraz wątpliwe lub wprost szpetne. Znać to z rachunków, które dostały się w ręce autora: Msze n. p., za które dawano im po 3 franki bywały odstępowane uboższym księżom po 50 centymów. Biskup coraz bardziej zaniepokojony spróbował nareszcie wmięszać się w te sprawy. Powstało oburzenie. Toż góra Syon była ich własnością, zakład ich dziełem a Najśw. Panna osobliwą ich opiekunką? — W duchu nie uznawali niczyjej zwierzchności, a Leopold, pan na tylu włościach czuł się jakoby wasalem nie mniej potężnym od swego lennodawcy. I rozpoczęła się walka, która trwała lat dziesięć. Biskup wymagał zdawania rachunków z kwest, wykazywania się z sum wypłaconych, a gdy w odpowiedzi otrzymywał wykręty i stosy obronnych broszur, postanowił wreszcie uderzyć. Zabronił kwest, co Baillardom zamknęło jedyne obecnie źródło dochodów. Wierzyciele rzucili się na majętności, kupione na kredyt. Z istotnej wielkiej wartości, do której włączono i ojcowiznę

Baillardów, licytacya przyniosła zaledwie 120.000. Równocześnie władza duchowna ogłosiła zniszczenie Zakładu Braci Syońskich, którym kazano opuścić klasztor natychmiast. Z całego latyfundyum pozostała tylko mała parafia w Saxonie oraz klasztor Sióstr, wynajęty pod innem nazwiskiem. Wszelako o poddaniu się niebyło jeszcze mowy. W nadziei zatrzymania stronników Leopold postanowił w r. 1848 swoją kandydaturę poselską. Jeźli zwycięży, potrafi stawić biskupowi czoło. Dopiero gdy ta ostatnia próba chybiła, wszyscy trzej udali się w pokorę, a biskup przebaczył, zniósł wszelkie cenzury pod warunkiem trzechmiesięcznych rekolekcyj w Bossuroile, w klasztorze Kartuzów.

Baillardowie niestety poddali się tylko sile. Wyszli z pustelni równie dumni a bardziej rozgoryczeni niż wprzódy. Ostatniej nocy po rozpaczliwej rozmowie z braćmi, Leopold położył się groźny i ponury, żądając od Boga widomego znaku opieki. Znak przyszedł — ale nie od Boga. Po dwakroć uczuł, że jakaś istota weszła do celi i zatrzymała się przy nim. Nie mógł jej dostrzedz, ni dotknąć, ni słyszeć a przecież obecności jej był pewien i cała dusza jego napełniła się strachem i bólem. Za drugim razem zebrał wszystkie siły by spytać: „Jeśliś jest od szatana — wyjdź! Jeśliś od Boga — mów, co mi Bóg rozkazuje!“ Odpowiedzi nie było, a mara zdała się rozwiać w ciemności. Że to zjawisko, czy wybryk wyobraźni nie było z pochodzenia bożego, świadczy najgorsze usposobienie, z jakiem nazajutrz Baillard opuszczał klasztor, gdzie mnich, którego pieczy był powierzony, żegnał go ze smutnem uczuciem, iż nic dla niego zdziałać nie zdołał. Co gorzej, nie domyślał się, iż kilka jego słów posiało ziarno nieszczęścia w zbuntowaną duszę. Wspomniał mianowicie o niejakimś Piotrze Vintras, o którem opowiadano cuda i o założonem przezeń Dziele Miłosierdzia (*Oevre de la Misèricorde*). Wzmianka ta wydała się Leopoldowi oczekiwaną odpowiedzią z nieba; odesłał zatem braci na swą parafię do Saxonu, a sam puścił się w drogę do Tilly w Normandyi, gdzie cudotwórca wiernych swoich gromadził.

Po drodze spotkany kanonik oświecił go, jako ów Vintras, człowiek obecnie 34-ro letni, już raz policyjnie więziony, dotychczas włóczący się po świecie jako służący lub, subjekt a wreszcie zajęty w małej introligartoni w Tilly, to równocześnie oszust i waryat, szczycący się objawieniami Archanioła Michała, otoczony zgrają suspendowanych księży, głupich dewotek, wydrwigroszy i kalek, oczekujących

cudu. „Wszystko to spekuluje, zaciąga długi, bluźni, a wieczorem gromadzi się na świętokradzkie obrzędy".

Pomimo to Baillard pojechał. Zastał indywidyum drobne, o zwiędłych licach, ognistych oczach, o rozkazującem spojrzeniu i — pozostał. Po paru tygodniach poczęły napływać listy jego pełne entuzyazmu dla powróconego na ziemię proroka Eliasza, w końcu zawezwał ich obu i Siostrę Teresę. Wyjazd ten zaciekawił i nadzieją napełnił dawnych przyjaciół. Tylekroć już Baillardowie powracali z daleka zwycięskim obciążeni łupem! To też, gdy nareszcie nadszedł dzień ich przybycia, cała wieś w świątecznych szatach wyległa na powitanie. Istotnie wracali z tryumfem; Leopold z miną conajmniej arcybiskupa łaskawego dla swych owieczek. Ciekawym jednak przyszło jeszcze czekać, bo oznajmiając, że przynosi wielkie nowiny, przyrzekł ich wyjawienie dopiero w Święto Narodzin Najśw. Panny 8-go września. Zato, gdy wieczorem otoczyło go grono wiernych zakonnic i pozostałych braci, Franciszek Baillard przemówił, odsłaniając część tajemnicy. I długo w noc ciągnęło się opowiadanie jakoby z Tysiąca i jednej nocy o niesłychanych cudownościach, przeżytych w świątyni Vintrasa, o tajemniczych głosach z nieba, o ukazujących się nagle na ołtarzu hostyach krwawych, ozdobnych godłami; o kielichach pustych samoistnie napełniających się winem, o gołąbku, siadającym przy uchu proroka, o cudnych woniach lilii, róży i fiołków napełniających nagle świątynię, o długich natchnionych mowach Vintrasa.... „Będzie dwudziestu nowych arcykapłanów przy odnowieniu świata. Z tych mój brat starszy mianowany jest Arcykapłanem Uwielbienia (*Pontife de'Adoration*), mój brat starszy Kwiryn Arcykapłanem Zakonu (*Pontife de l'Ordre*), ja Arcykapłanem mądrości, a nasza Siostra Teresa, już cudownie konsekrowana, będzie założycielką i Przełożoną nowego zakonu żeńskiego, jedynego, jaki zapewne będzie wkrótce na świecie. Będzie to Kongregacya Pań wolnych i bardzo pobożnych pod wezwaniem litościwej miłości Boskiego Serca Jezusowego. Odtąd imię jej jest: Pani Leopoldyna Marya Teresa od św. Ducha Jezusowego"...

Siostra Teresa rozegzaltowana rzekomo doznanym cudem, podróżą i doznaniem wrażeniem nie była już prostą a pobożną wiejską dziewczyną w szatach zakonnych jaką do Saxonu przybywała. Ustawicznie podniecona a rzewna wydała się Arcykapłanom jedną z prorokiń Starego Zakonu.

Nadszedł dzień 8-go września, za czasów książęcych dzień święta

narodowego i wielkiej procesyi do Matki Boskiej cudownej na górze Syonu. Procesye te za czasów świetności Baillardów odbywały się też wspaniale. Obecnie na wezwanie Leopolda przybyło ze trzysta osób, a z duchowieństwa niegdyś licznego — zaledwie paru z najbliższych parafij. Po procesyi na dworze mimo dnia słotnego Leopold rozpoczął kazanie. Z oczami, zapatrzonemi w jakąś dal tajemniczą, sypał groźby kar bożych, groźby straszliwych kataklizmów — mających pochłonąć świat cały — krom drużyny, skupionej w zbawczej arce drugiego Noego — Vintrasa. Podczas gdy mówił, księża obcy spoglądali po sobie, i niebawem oddalili się; kobiety słuchały z drżeniem, wielu nie rozumiało nic. Nareszcie lunął deszcz i rozprószył słuchaczów. Ale i Baillard zdał się nie widzieć niczego. Upojony własnemi słowy wierzył, iż dawnej „obcej" wierze zadał cios śmiertelny. Gdy zaś Kwiryn żałośnie wskazał na rozpaczliwie marny wynik kwestyi, chwycił za worek i wspiąwszy się po drabinie złożył go u stóp posągu Najśw. Panny. Worek, co prawda, nie napełnił się, ale po paru dniach zaświtała myśl wycięcia pięknych drzew z klasztornego ogrodu i zamienienia go na ogród warzywny. Koncept ten, uznany za cud, wykonano i odtąd praca na nowej roli — zajęła czas zgromadzenia. Wieczorami czytano listy Vintrasa, pełne przekleństw i uniesień mistycznych. Co niedziela przy coraz luźniejszej asysteńcyi nowe kazania budziły zdumienie i utrwalały w wierności adeptów. Mowy były zawsze ogniste: ci nawet, co nie rozumieli, dawali się olśnić i porwać, kobiety wpadały w szał entuzyazmu, całowały w zakrystyi „cudowną hostyę". Znaleźli się przecież i mniej łatwowierni. Niewiadomo, skąd zaczęto pomrukiwać o nowem zasuspendowaniu, grożącem Baillardom; zakonnice tu i ówdzie spotykały grube przykrości. Franciszek i Kwiryn atoli próbowali nowego rodzaju zarobku. W czasie rekolekcyi przestudyowali byli u Kartuzów stary jakiś traktat o poszukiwaniu źródeł i obecnie chodzili po łąkach i polach z łaseczkami, usiłując znaleść wodę pod ziemią. Leopold zaś, tonący coraz bardziej w majaczeniach mistycznych, począł myślą i sercem zbliżać się do zmarłych. I zdało mu się, że czuje ich obecność, że go otaczają zwartą falangą. Egzaltacya jego, chwilami bliska szaleństwa rosła z dniem każdym. Tym razem nie upokorzył się, gdy z końcem r. 1849 padł nań biskupi interdykt, a równocześnie niemal przybył do Saxonu nowy, zastąpić go mający proboszcz. Był nim 24-letni zakonnik Oblat O. Aubry. Już od tygodnia wrzało we wsi i w klasztorze. Z kościoła zabierano do wnętrza wszystkie aparaty, lichtarze ozdoby — wszystko, co się zedrzeć udało. Młody pro-

boszcz zastał goły ołtarz i gołe ściany, na wsi odmówiono mu mieszkania tak, iż musiał umieścić się poniżej w lichym zajeździe, skąd co dnia po błocie i śniegu trzeba mu było piąć się pod stromą górę. Zaraz w pierwszą niedzielę zaczął się konflikt. Przez całą Mszę św. O. Aubry widział w głębi kościoła trzech braci Baillard w ogromnych czarnych płaszczach, w otoczeniu męskiego i żeńskiego sztabu. Po nabożeństwie, gdy na powitanie Leopolda odwrócił się ze wstrętem, wszyscy niemal obecni stanęli po stronie dawnego proboszcza. O. Aubry był istotnie jak na wygnaniu — nie miał nawet kluczy od swego kościoła, lub od swojej dzwonnicy, a korytarz klasztorny dozwalał każdej chwili Baillardom zakłócić mu nabożeństwo. Był sam jeden, młody i obcy; za nim jednak stała powaga prawowitej władzy i cała potęga Rzymu: autor przyrównywa go do legionisty rzymskiego wśród Celtów. W noc Bożego Narodzenia w czasie Pasterki, odprawionej przy kilku świeczkach wśród garstki ludzi, mógł słyszeć głośne śpiewy, dochodzące z refektarza przekształconego w kaplicę przybraną w ozdoby zdarte z kościoła i oświetloną rzęsiście: na ołtarzu świeciły trzy pozłacane serca z krwawemi hostyami; relikwie zaś leżały na ołtarzu owinięte w wonne płótno, przez Vintrasa posłane. Po nabożeństwie Baillardowie traktowali obecnych wieczerzą i winem szampańskiem, a gdy O. Aubry wśród nocy opuszczał kościół, z rozwartych okien klasztoru towarzyszyły mu zuchwałe piosenki zakonnic.

W klasztorze nie było już ni reguły ni ładu. Każdy robił, co chciał, każdy rozkazywał. Wśród buntowniczo-mistycznych zachwytów rozbudzały się najgorsze instynkta. Na prośbę O. Aubry, mer kazał zamurować drzwi między kościołem a klasztorem, ale Siostry broniły się gwałtownie odrzucając każdy położony kamień. Nareszcie S. Teresa położyła się w progu wołając na mularzy, by na jej ciele wznieśli mur. Nad leżącą kobietą przez czas jakiś toczyła się karczemna bójka, w której klasztor wyszedł zwycięsko. Po sześciu dniach atoli przybyli z prefektury żandarmi, pod których strażą robota dokonała się szybko.

„Prorok Vintras posłyszał o niebezpieczeństwie swych dzieci i wkrótce pospieszył im z pomocą. Przybył w szacie szkarłatnej, obuty czerwono; trzej Arcykapłani oczekiwali go równie wspaniale przybrani i wprowadzili do kaplicy, dokąd za nimi wtłoczyło się mnóstwo ciekawych. Rozpoczęło się nabożeństwo a raczej serya obrzędów dziwacznych, wśród których Głos Ducha (*l'Organe*), jak Vintras kazał się nazywać — klął na Rzym, wpadał w ekstazy, przemawiał do dusz zmarłych, groził żywym, wił się, mdlał, krzyczał, uciekał przed złym

duchem, wsprawiając biednych wieśniaków w przerażenie okrutne. W nocy miał „objawienie" i widział w niebie zebraną dokoła tronu boskiego wielką radę aniołów i świętych i wszyscy przemawiali za zagładą ziemi; tylko on jeden stanął w jej obronie i głos jego uratował ziemię, a na niej tych, którzy pójdą za nimi... Tego dnia rozdano obecnym „krzyże łaski", mające od ogólnej klęski obronić — poczem odśpiewano *Requiem* nad Stolicą Św. Trzeci dzień był widownią ponownych bluźnierstw, szaleństw i majaczeń — aż dreszcz przenika na myśl, że wystawionym był Najśw. Sakrament, a oszust ten czy waryat błogosławił lud monstrancyą... Jak się można było spodziewać, konkluzyą piekielnej parady było wezwanie do zerwania w imię miłości boskiej wszelkich tam ziemskich miłości.

O północy Vintras wyjechał. W drodze wszakże bardzo po ludzku mówił z Baillardami o zapowiadającej się zmianie rządów i o niebezpieczeństwie wiszącej nad nimi klątwy. Zostawił za sobą wrażenie jakoby nie ludzkiej istoty, zostawił jad, który się objawił niebawem i rozpasaniu wszelkich namiętności. Zdało się, jakoby piekielne smoki drzemiące na wzgórzu od czasów pogańskich, rozbudziły się nagle wodprawiały sromotne gody dokoła świątyni Najśw. Panny. Byli to już nie księża, nie siostry zakonne, nie ludzie rozsądni lub prości wieśniacy ale banda bezwstydnych szaleńców.

Klątwa musiała paść i pewnej niedzieli bracia Baillard słyszeli ją, wygłoszoną w kościele. Było to hasło ich ostatecznego upadku. Lud wybiegł przerażony i odtąd każdego z nich, wychylającego się z klasztoru, witała chłodna pogarda lub drwiny. Co gorzej, wkrótce zjawił się woźny z ramienia rzeczywistej właścicielki budynku i ogrodów klasztornych. Opór był daremny, trzeba było opuścić poświęcone mury, chroniąc się w domu wdowy Sellier, jednej z nielicznego grona jawnie pozostałych „wiernych".

Od tego czasu życie wyklętych stało się długiem pasmem walki o byt przy ciągłem oczekiwaniu zapowiedzianych przez Vintrasa kataklizmów. Siostra Teresa opuściła ich chroniąc w prawdziwym klasztorze swą zdruzgotaną duszę, więc duch Leopolda jął coraz bardziej zwracać się ku zmarłym, błądząc po nocach koło murów cmentarnych a zimą ustawiając dla nich szereg krzeseł blisko ogniska, by się na noc mroźną ogrzali. Wojna 1870 r. rozbudziła go znowu; widział w niej zapowiedź spełnienia przepowiedzi Vintrasa; gdy jednak wojna ucichła, a ziemia ani nawet Francya się nie zapadła, rozczarowanie było wielkie. Miał wciąż grono adeptów i wielbicieli, ale śmierć ścieśniała

ich szeregi. Jeden z najlepszych jego przyjaciół umarł, a gdy po kilku latach wdowę jego odwiedził wnuk tejże, seminarzysta, wyrzucił go za drzwi. O. Aubry już nie był sam na górze Syonu bo straż nad cudownym wizerunkiem Najśw. Panny oddano jego Zgromadzeniu. Myśl jego wszakże nie opuszczała gniazda, w którem się kryli wyklęci, gdyż stąd zaraza mogła każdej chwili rozsiać się jeszcze dokoła. Leopolda nie było w domu, gdy doniesiono do Oblatów o ciężkiej chorobie Franciszka Baillard. O. Aubry pospieszył doń, ale jakoś czy się wziął niezręcznie do rzeczy, czy trafił na grunt płytki a zatwardziały, dość że chory odwrócił się od niego z gorzką ironią i w tej chwili stracił przytomność. Pochowano go cywilnie bez modlitwy ni krzyża. Za nim poszedł przesławny hierofanta Vintras, Kwiryn wywędrował do Ameryki i Leopold, dosięgający lat 90-ciu pozostał sam z pielęgnującemi go kobietami.

O. Aubry nie mógł sobie dać rady od śmierci Franciszka; winił się sam, przepraszał Boga i błagał o duszę Leopolda. Gdy zaś mu dano znać, iż ten tknięty został paraliżem, on sam leżał złożony chorobą. Nie mogąc się już ruszyć, zawezwał do siebie młodego O. Cleach: „Idź do Leopolda Baillard — rzekł — powiedz mu, iż życie moje ofiarowałem za niego, iż błagam Boga, aby mi dozwolił umrzeć wcześniej, by módz dlań przebaczenie wyprosić". I widocznie Bóg przyjął ofiarę bo słodka dusza O. Aubry niebawem uleciała z tej ziemi, a Leopold Baillard do głębi wzruszony uściskał ze łzami młodego oblata, wykonał spowiedź, odwołał na piśmie wszystkie swoje błędy, poczem przyjął Wiatyk i spokojnie już zamknął powieki. Z rozkazu biskupa pochowano go cicho ale z czcią, kapłanowi należną: mało hałasu a dużo modlitwy, brzmiała wola Pasterza. Za trumną poszli tylko miejscowi wieśniacy ale tych O. Cleach nie śmiał zapytać, wielu z nich na piersiach nosi jeszcze „krzyż łaski" Vintrasa...

Autor boleje nad zmarnowaniem tych gorących serc, nad zaprzepaszczeniem w błędzie ogromu tego zapału, którego tak często brak duszom, pozostającym w wierności Kościoła. I słusznie. W Leopoldzie Baillard, w takiej siostrze Teresie, był materyał na świętych, a zniszczał z szatańskim hasłem *Non serviam*. Dzieje ich opisane są ze zwykłą Barresowi barwnością i żywością stylu. Czy niekiedy nie „koloryzuje", chcąc widzieć w Baillardzie jakoby z wnętrza świętej góry wyrosły typ pierwotnych mieszkańców tej ziemi, mieszaninę lotaryńskiego chłopa, średniowiecznego rycerza i mnicha? Czy sam przejęty miłością swego kraju nie upatruje w nim zbyt wiele patryotycznego

zapału? Widocznie człowiek mu jest sympatycznym, co może chwilowo wprowadzić w błąd czytelnika — ale chwilowo tylko, bo wnet spotyka się sprawiedliwą ocenę rzeczy. Ma się wrażenie, jakoby tem samem piórem pisał kolejno poeta i chrześcijanin: jeden górno i nieco chmurno, a drugi jasno i trzeźwo. Ludzie — zwłaszcza Francuzi z pokolenia Maurycego Barresa należą do epoki przejściowej. Wnukowie romantyków, osamotnieni wśród zgiełku walk pieniężnych i politycznych, przygnieceni materyalizmem nauk przyrodniczych i matematycznych, błąkali się niby duch Don Kiszota, potrącani brutalnie przez „ludzi czynu" chronili się w głębi swojego ja, wzdychali do ascetycznej samotności mnichów, nie mając wszakże siły na ich wyżyny się dostać.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Mitologia klasyczna w dziełach Kochanowskiego. *St. Szarski.* Kraków 1913.

Ciekawym problemem mitologii, jako środka artystycznego u największego poety-humanisty polskiego — zajmuje się książka p. Szarskiego. Po krótkiem przedstawieniu roli mitologii u pisarzów średniowiecznych, przechodzi autor do źródeł wiadomości mitologicznych Kochanowskiego i niektóre z nich ustala. Właściwy rozbiór wychodzi ze słusznej zasady, że przy omawianiu mitów trzeba je grupować wedle ich symboliki a nie genealogicznego połączenia. W tego rodzaju przeprowadzeniu uwydatnia się Kochanowski jako człowiek Odrodzenia, kochający życie z jego darami (roz. IV.), mający wrodzoną odrazę do kar Hadesu i cierpienia (z wyjątkiem bólu Nioby, który rozumie jako ojciec Orszulki) (roz. VII, VIII); humanistę razi siła fizyczna i w ogóle walka, mogąca zamącić klasyczny spokój życia (roz. II, IX, XII.). Piękno natury cieszy autora „Sobótki" (roz. VI.), ale próżno szukalibyśmy głębszego odczucia samoistnego życia przyrody.

Przebijając się przez las wzmianek mitologicznych, autor przedstawia wiedzę mitologiczną Kochanowskiego i w artystycznem jej traktowaniu indywidualne rysy poety. Toteż zadanie, jakie sobie p. Szarski postawił (str. 2), zostało w zupełności dokonane.

F. B.

Ze studyów nad epoką saską. Nap. *K. M. Morawski.* Odbitka z Przeglądu Polskiego. Kraków 1913, str. 45 in 8°.

Z pewnością siebie traktuje Autor kilka postaci; a pewność ta jest naturalną i konieczną, gdy się pisze o rzeczach tych, jakim się poświęca swoje specyalne studya.

Oprócz samych królów Sasów, przesuwają się przed oczyma portrety Sułkowskiego i Fleminga. Portrety te, raczej może szkice, kreślił autor swobodnym, lekkim i właściwym już sobie pędzlem pióra, na podstawie przeważnie rękopiśmiennych zapisków same-

go Fleminga. Szkoda, że i tutaj zwykle więcej występują te linie, jakie przedstawiają czarne strony charakteru; brak jaśniejszych linij, któreby oddały postać wykończoną, zrównoważoną i więcej ludzką. Ale to już prawie nieunikniony los takich portretów, jak się słusznie żalił Łoziński w swem „*Prawem i lewem*". *K.*

Memoriale vitae sacerdotalis. *Claudio Arvisenet;* additur vademecum sacerdotum seu preces ante et post Missam. Taurini apud Marietti. Stron 548. in 16°. Cena lira 1·20.

Ze wszystkich podręczników ascetyki kapłańskiej najwięcej przekładów na obce języki i wydań doczekało się niniejsze dziełko. Porusza najważniejsze dla życia kapłańskiego tematy, omawiając je w zwięzłym, lapidarnym niemal stylu, przypominającym *Naśladowanie Chrystusa* Tomasza a Kempis. Wielce praktyczną wartość tej książki zwiększają jędrne przygotowania do Mszy św. oraz dziękczynienie po niej, rozłożone na wszystkie dni tygodnia. *S. B.*

Historya żółtej ciżemki. Powiastka z czasów panowania Kazimierza Jagiellończyka. *Antonina Domańska.* Poznań. Nakładem księgarni św. Wojciecha. 1913. Str. 337.

Gdy w r. 1867. przystąpiono do restauracyi wielkiego ołtarza w kościele N. P. Maryi w Krakowie i rozebrano ołtarz, „wtedy ruszyła się przez wieki nagromadzona ilość kurzu, znalazły się ważne odłamki, znalazł się osnuty pajęczyną trzewik średniowiecznego robotnika, zgubiony przed 400 laty...". Powiastka niniejsza wyjaśnia, skąd się tam trzewik wziął. — Jest to opowieść o życiu jednego z uczniów Wita Stwosza; przytem zapoznajemy się z osobą tego mistrza, z osobą Wielkiego Króla, jego synów, a zwłaszcza św. Kazimierza, z postaciami tej miary jak Długosz, Szymon z Lipnicy itd. Najświetniejsze czasy nasze, świętość obyczajów św. Kazimierza, św. Jana Kantego, Szymona itd. — dzieło tak wspaniałe jak ołtarz Wita Stwosza, dodają uroku niezwykłego tej miłej i zacnej opowieści. Z kartek powieści wionie duch wzniosły, sposób pisania jest bardzo zajmujący, miłusińscy więc (w latach 10—15) znajdą w książce tej prawdziwą biesiadę. *J.*

Na wieczornicy. Podręcznik dla ochroniarek. *Jadwiga Chrząszczewska — Jadwiga Warnkówna.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Część I. 1913. Str. 231.

Książka bardzo zacna i bardzo na czasie. Celem jej praca nad oświatą ludu i to praca zbożna, uczciwa. Środkami pogadanki zimowe, wieczorne. Dewiza: „wiedza nie jest sama w sobie celem, ale tylko środkiem do celu jedynego, do którego ludzkość powinna dążyć i dąży — do udoskonalenia wewnętrznego". Udoskonalenie to oparte na Bogu — moralność propagowana przez Autorki, to nie ta nowoczesna etyka bez Boga, ale ta nasza dawna, zawsze pewna i nigdy niezawodząca...

Książka powinna zachęcić tych, którzy na wsi żyją, by wolne wieczory w ten sposób dla ludu obracali. *J.*

Wydawnictwa księgarni nakładowej Feliksa Westa w Brodach.

„Katalog wydany w 50-tą rocznicę pracy zawodowej Feliksa Westa". Półwiekowa praca, pełna dorobku uczciwego i chluby... Spopularyzowanie całego szeregu arcydzieł polskich i obcych pisarzy oto kamień węgielny gmachu, którego twórcą jubilat dzisiejszy p. Feliks West: Skarga, Kochanowski, Krasicki, Brodziński, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Malczewski, Kraszewski... Szekspir, Molier, Byron,

Schiller... a każdy tomik opracowany starannie, objaśniony nie dorywczo, nie przez przygodnego czytelnika, lecz piórem fachowem. W ujęciu całego przedsięwzięcia znać i rękę wprawną i serce gorące i umysł nie pośledni. Obok tego dzieła szereg innych z dziedziny religii, historyi kościoła, narodu i historyi powszechnej, literatury polskiej i obcej. Nic więc dziwnego, że katalog wydawnictw dumą może napawać autora, choćby się pominęło milczeniem cały zespół głosów krytyki, zgodnym akordem wielbiących twórcę. Katalog ten jest niejako obrachunkiem wieczornym po znojnym dniu. Lecz — dodać musimy niestety — jest on i rachunkiem sumienia. Kto wielkich rzeczy dokonuje, nie powinien imać się nizkich. Oto bowiem czytamy:

Knendich R. ks. Czytania majowe.

„ Za Ojców naszych wiarę św.

Kochanowski: Treny — a zaraz potem: Kociubiński: W pętach szatana; albo: z dziełami tak poważnemi sąsiaduje Walewskiej „Sęp". Prawda, że zgrzytów tych nie wiele, wolelibyśmy jednak, by ich wcale nie było. *J.*

Lutnia. Piętnaście pieśni narodowych. *Kolasiński Zygmunt.* Tarnobrzeg. Nakładem księgarni Fran. Wojnara. 1911.

Rzecz drobna (str. 34) a przecież cenna i bardzo „na czasie". Szereg pieśni, każdej towarzyszy króciutkie objaśnienie i życiorys autora. W naszych czasach powinna się ta książeczka znaleźć w rękach jeśli nie wszystkich to przynajmniej w rękach młodzieży, a za nią szereg innych podobnych. Dziś śpiewać nie umiemy, a śpiewać powinniśmy choćby dla tej ożywczej siły, jaką śpiew posiada. Bis orat, qui cantat, ..a niejednokrotnie już wspomnienie nuty, dawno zapomnianej ocknęło i dźwignęło niejednego z upadku. Oby więc książeczka ta i jej siostrzyce rozbudziły śpiew na ziemiach naszych, rugując piosnki urągające treścią swą zaszczytnemu mianu piosnek!... *J.*

Julcia. Powieść dla młodzieży. Z 8-ma ilustracyami Zygmunta Badowskiego. *Bronisława Włodkówna.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 236.

Przykład zawsze więcej pociąga niż teorya najlepiej wyjaśniona. Pamiętając o tem, przedstawia autorka ideał dziewczynki Julci, która od najwcześniejszych lat jest pomocą w gospodarstwie domowem, a później, po śmierci ojca potrafi być aniołem opiekuńczym całej swej rodziny. Nie upada pod nadmiarem nieszczęść i zwycięża... Na tem tle wpaja autorka w młodocianych czytelników szereg cennych rad, wskazówek i idei.

Książeczka zasługuje ze wszech miar na polecenie jej czytelnikom do 14—16 lat. *J.*

Dżok. Przygody psa i jego pana w puszczy. *Sir Percy Fitzpatrick.* Przełożył z szóstego wydania angielskiego *Stefan Barszczewski.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 266.

Chłopcy w wieku 12—15 lat będą z zajęciem czytali opis powyższy. Miła forma opowieści pociągnie ich, a skorzystają wiele, gdyż poznają niejedną cechę charakterystyczną zwierząt, z któremi w czasie polowań walczyć musiał „Dżok i jego pan". Liczne ilustracye stosownie dobrane i starannie wykonane, pomocnemi będą w utrwaleniu niejednego momentu. Jednem słowem książeczka miła i cenna, powinna się znaleźć w każdej młodocianej biblioteczce. Książka wydana bardzo starannie, z wielu ilustracyami. *J.*

Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła w świetle nieznanej korespondencyi poety, z dwoma portretami. *Biegeleisen Henryk.* 8°, str. III, 350, War

szawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1913.

Monografię swoją, poświęconą Lenartowiczowi, oparł autor na bardzo obfitej korespondencyi poety (z górą 1000 listów) oraz na spoczywających dotąd w rękopisach utworach. Opracowanie jednak tak bogatych zasobów materyału nie odpowiada oczekiwaniu. Skutkiem jednoczesnego traktowania szczegółów bio- i bibliograficznych, przedstawienie rzeczy, obciążone licznemi powtarzaniami, wypadło chaotycznie, zaś monotonia stylu autora i banalność poszczególnych charakterystyk sprawia, że tok opowiadania wije się nudnie i ciężko. Pomimo usiłowań w części III-ciej rozprawy — nie udało się autorowi zastąpić ogólników syntezą, którąby ogarniała w sposób wystarczający istotę rzeczy. Trwałą wartość zatrzymają jedynie szczegóły bibliograficzne, wydobyte z materyałów rękopiśmiennych — a zwłaszcza końcowe, bardzo pracowite zestawienie tytułów utworów Lenartowicza, korespondencye poety, przekłady jego poezyj, pisma o życiu i dziełach autora „Lirenki", oceny jego dzieł rzeźbiarskich, wykaz illustracyj malarskich i muzycznych oraz portretów i pamiątek po Lenartowiczu.

Dr. M. Sz.

Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem Aurelego Drogoszewskiego. *Orzeszkowa Eliza*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1912, 1913. 8°, tom I—XIV.

W dwa lata po śmierci wielkiej szerzycielki światła na wschodnich kresach Rzeczypospolitej zabrano się do zbiorowego wydania dzieł niezapomnianej autorki „Nad Niemnem". Mamy w ręku czternaście początkowych tomów tego wydawnictwa, którego jeszcze pięć tomów zapowiedziano.

Cały materyał zgrupowano w trzech seryach, nierównej objętości. Serya pierwsza: *„Powieści ludowe i szlacheckie"* — mieści się w pięciu początkowych tomach. Tom pierwszy zawiera u wstępu obszerne (str. XCV), pięknie napisane studyum p. Drogoszewskiego. Trafnie uchwycono w niem centryfugalny, że tak powiem, rozwój talentu Orzeszkowej, który od pierwszych, mało jeszcze wyrazistych szkiców, przechodzi w coraz obszerniejsze sfery pomysłów, podnosząc nieraz kilkakrotnie z coraz większem pogłębieniem te same tematy i rozszerzając pierwsze rzuty do skali wielkich płócien kompozycyjnych (Nad Niemnem, Pan Graba, Pamiętnik Wacławy, Meir Ezofowicz, Cham, Bene Nati). Ta ewolucya przechodzi — zdaniem p. Drogoszewskiego — cztery okresy: wstępny (1866—74), przejściowy (1874—80), szczytowy (1880—1891) i końcowy (1891—1910), który stanowi jakoby zamknięcie tego łuku w pogłębianiu myśli twórczej i rozszerzaniu zasobu środków artystycznych.

Rozprawa p. Drogoszewskiego, napisana z wielkiem ciepłem i wniknięciem w ducha dzieł autorki „Chama", nie ma jednak zapewne pretensyi do zupełnego i wszechstronnego oświetlenia całego *„pensum vitae"* Orzeszkowej. Brak jej szerszego tła naukowego, które związałoby działalność pisarską Orzeszkowej z ogólnym obrazem prądów, panujących w poezyi polskiej i europejskiej w epoce poromantycznej. Również bardzo niedostatecznie przedstawiają się szczupłe uwagi o ostatnich dwudziestu latach twórczości autorki „Ad astra", głównie skutkiem niemal zupełnego braku materyału biograficznego.

Wogóle zbyt jeszcze świeża darń pokrywa mogiłę samotnicy grodzieńskiej, zbyt jeszcze trudno spojrzeć nam na nią pod kątem historycznej perspektywy, ażeby można było porywać

się na wyczerpującą naukową monografię. Zanim nie zgromadzimy znaczniejszych zasobów biograficznych i nie uzyskamy zupełniejszej, niż dotąd, oryentacyi ogólnej co do rozwoju powieści polskiej w okresie pozytywizmu — poprzestać musimy na szkicach fejletonowych, które, o ile kreślone są w ten sposób, jak rozprawa pana Drogoszewskiego, zadanie swoje wobec czytającego ogółu spełniają sumiennie.

Oprócz wstępnej rozprawy dopełnia treści pierwszego tomu wydawnictwa szereg drobnych utworów powieściowych z różnych czasów, a mianowicie: Obrazek z lat głodowych, Za doliną róż, Echo, Niziny, Tadeusz, Cień i w Zimowy wieczór. Tuż po tych szkicach wydrukowano w tomie drugim i trzecim jedno z arcydzieł Orzeszkowej: Nad Niemnem. Treść tomu czwartego wypełnili „Cham“ i „Dziurdziowie“, w tomie piątym znalazła się „Anastazya“ i „Bene Nati“. Tom szósty do dziewiątego zgrupował jako seryę drugą *„powieści żydowskie“*: „Eli Makowera“ (tom VI. i VII.), „Meira Ezofowicza“ (tom VIII), dwie rozprawy i kilka nowel (tom IX).

Serya trzecia, najobszerniejsza, to *„powieści kobiece i rodzinne“*. (Początek powieści: „Rozstajne drogi“, „Syn stolarza“, „Ostatnia miłość“, w tomie X.; „Na prowincyi“ w tomie XI.; „W klatce“, „Z życia realisty“, w tomie XII.; „Pan Graba“, w tomie XIII. i XIX.).

Wydanie powyższe nie nosi charakteru edycyi krytycznej. Przedewszystkiem sam układ mechaniczny, wciskający w ramy trzech nierównomiernych schematów twory ducha, musimy oznaczyć jako wadliwy. Układać w gabilotki pomysły artystyczne — znaczy przerywać łączną nić rozwojową, która spaja je wszystkie w jeden czyn twórczy. Bardziej krytyczny czytelnik, wziąwszy do ręki najnowsze wydanie pism Orzeszkowej, żadną miarą nie potrafi wyrobić sobie ogólnego poglądu na rozwój talentu autorki, na myślową i artystyczną ewolucyę jej wyobraźni. Po bardzo nieudolnych szkicach weźmie do ręki odrazu dzieło z okresu pełnej dojrzałości twórczej, ażeby rozczarować się znowu lekturą utworów znacznie słabszych. Należałoby ze względów pedagogicznych bodaj na końcu wydawnictwa sporządzić bibliografię wydrukowanych powieści, ażeby choć w części osłabić to chaotyczne wrażenie, jakie sprowadza wygodny skądinąd podział na serye.

Nie wiem wreszcie, jak należy rozumieć tytuł: Pisma, wydanie zbiorowe z u p e ł n e. Zawartość wydrukowanych dotąd tomów stwierdza, że wydanie to do określenia „zupełne“ prawa mieć nie może. Nie wspominając o wierszach i przekładach Orzeszkowej, które bądź co bądź w edycyi kompletnej powinny znaleźć miejsce — nie widzimy wśród „Pism“ przeważnej części nowel autorki „Melancholików“, które w taniem wydaniu warszawskiem (Lewentala) zajęły pięć tomów, nie widzimy i całych powieści, o pierwszorzędnej wartości, jak: Pieśń przerwana, Dwa bieguny, Bracia (zob. II. tom pism Orzeszkowej, wydanie warszawskie z 1899 r.), Australczyk, Mirtala, Argonauci i i.

Przypuszczamy, że wchodzą tu w grę prawa własności. W takim razie jednak po co wprowadzać w błąd publiczność i ogłaszać wydanie, jako „zbiorowe z u p e ł n e“?

Dr. M. Sz.

Wiązanka Majowa na cześć Matki Bożej. *Zofii Hartingh.* Warszawa 1912 u Szczepkowskiego. Str. 167 in 16°.

Pod powyższym tytułem wydane jakby „salonowe czytania na maj„ mogą się podobać elegancyą stylu i wcale nie przesadnym wyższym po-

lotem. Przemawia z nich prawdziwe, szczere nabożeństwo ku Bogarodzicy; myśli poczciwych dużo, ale niema głównej, przewodniej, którąby je w jakiś system łączyła... Nadewszystko zaś zupełny brak przykładów, które całej osnowie nadałyby odpowiednią siłę a serca czytelników napełniłyby większą ku Maryi ufnością. *X. Bt.*

Seelenschmuck zum göttlichen Gastmahl von *M. Meschler S. J.* 2-te Auflage bei Herder im Breisgau. Stron 246 in 24°. Cena opr. 1 Kor. 60 hal.

Książeczka ta ułatwia i pogłębia przygotowanie duszy na przyjęcie eucharystycznego Jezusa. Jest napisana dla tych zwłaszcza, którzy częściej do Stołu Pańskiego przystępują. Zaradza temu, co w przygotowywaniu się do Komunii św. trąci rutyną i szablonem i sprowadza na duszę oziębłość.

W 31 głęboko obmyślanych i pięknie wykończonych rozdziałach rozwodzi się autor nad tem, czem N. Sakrament jest sam w sobie i jakie skutki wywiera na dusze. Rozmyślania te, wydane w formacie małej książeczki do nabożeństwa, poprzedza sposób słuchania Mszy św. dla tych, którzy podczas niej mają komunikować się razem z kapłanem. Dziełko jest zatem najodpowiedniejszem „Vade mecum" do Stołu Pańskiego. *S. B.*

Przyjdź, o Jezu przyjdź! Przygotowanie do 1-szej Komunii św opracował *ks. Aleksander Fajęcki.* Warszawa 1913. Stron 278 in 16°. Cena 4 złote.

W książce tej znać pióro praktycznego katechety, który nie poprzestaje na teoretycznem wyuczeniu dzieci tego, co im o Komunii św. wiedzieć należy, ale podaje zarazem sposób, jak duszę na ten najważniejszy dzień w życiu przygotować. Stąd też oprócz obfitych wzorów modlitw i nabożnych praktyk odpowiednich dla wieku dziecięcego, znajdujemy tu bardzo odpowiedne czytanki, budzące coraz to większe zainteresowanie się uroczystością Komunii św. Książeczkę tę uważamy za najodpowiedniejszą nagrodę pilności dla tych dzieci, które niebawem mają po raz pierwszy przystąpić do Stołu Pańskiego. *S. B.*

Die dogmatischen Schriften des hl. Hieronymus, eine literarhistorische Untersuchung von *Dr. T. Trzciński.* gr. 8° (XV+413). Posen 1912. Drukarnia św. Wojciecha. M. 6.

Autor rozbiera po kolei: Dyalog prawowiernego z Lucyferyaninem, polemiczne pisma przeciw Helwidyuszowi, Jowinianowi, Janowi, biskupowi Jerozolimy, Rufinowi, Wigiliancyuszowi i dyalog przeciw Pelagianom. Objaśnia te pisma na tle stosunków historycznych, streszcza je i wykazuje ich wartość dogmatyczną. Krytyczny rozbiór tej wartości prowadzi Dr. Trzcińskiego do wniosku, że św. Hieronim nigdy nie popadł w otwartą sprzeczność z tradycyą i nauką Kościoła, aczkolwiek, unieśiony zapałem lub gniewem, używa nieraz wyrazów nie całkiem odpowiednich. Z punktu widzenia dogmatycznego należy, zdaniem autora, tego Ojca zaliczyć do tych teologów, co mozolną a szeroko przeprowadzoną pracą, przygotowują pozytywny grunt pod rozwój dogmatu, nie zaś do tych, co swojem genialnem ujęciem znanych prawd lub głęboką ich analizą przyczyniają się wprost do rozwoju dogmatu.

Pod koniec swego dzieła podaje Dr. Trzciński zagadnienia i zadania, czekające jeszcze na rozwiązanie. Ponieważ nie posiadamy ani krytycznego wydania wszystkich dzieł św. Hieronima ani jego biografii krytycznej, więc trudno na razie usunąć wszystkie wątpliwości i wyświetlić rozwój psychologiczny tego Ojca Kościoła. *J.*

Y a-t-il un Dieu? Y a-t-il survie de l'âme après la mort? Par *Henri Hugon*. In 12 (VII+207). Paris, P. Téqui, Libraire-Éditeur. 1912.

Czy istnieje Bóg? Czy jest jakie życie pozagrobowe? Odpowiedzi na te dwa pytania niewątpliwie i dziś jeszcze, owszem dzisiaj przedewszystkiem nader doniosłej zarówno dla jednostek jak dla społeczeństwa, szuka autor, nie w twierdzeniach lub wywodach jakiegoś podręcznika ani w oderwanych od rzeczywistości dociekaniach, lecz szuka jej w przekonaniach ogółu ludzkości. Człowiek przedhistoryczny był najprawdopodobniej religijny, a z pewnością prawie twierdzić można, że wierzył w życie pozagrobowe, starożytne ludy kulturalne, współczesne nam ludy niecywilizowane miały, względnie mają wiarę w istnienie bóstwa i w życie duszy po śmierci człowieka. Dzisiejsza Europa z wyjątkiem Francyi jest przynajmniej oficyalnie religijną, jak tego dowodzą między innemi hymny narodowe; a nawet urzędowo religijna Francya liczy prawie 95% obywateli, o których przynajmniej można powiedzieć, że nie są ateuszami; — ludzie uczeni, głośni pisarze, genialni organizatorzy nie tylko starej ale i nowej daty a bardzo postępowi, wyraźnie uznają istnienie Boga i wierzą w życie duszy pozagrobowe — co więc sądzić o tem powszechnem przekonaniu ludzkości? Czy ono ma jakie racye za sobą, i jakie mogą być, jakie są te racye? Czy te racye wystarczą, by przekonać człowieka rozumnego o istnieniu Boga i życiu duszy po śmierci? Lecz jeżeli Bóg istnieje, Bóg dobry, święty, wszechmocny, jakże może dopuścić tyle zła, tyle nieszczęścia? Skąd ta różnica i różnorodność wyznań i przekonań religijnych? Oto treść i postęp myśli tego popularnego dziełka apologetycznego, opracowanego z wielką starannością i z dużym nakładem samodzielnej pracy. Popularne to dziełko, więc nie dziw, że nie wchodzi w niektóre subtelności naukowe. Do konferencyi apologetycznych dla t. zw. inteligencyi można tu znaleźć mnóstwo szczegółów i momentów bardzo trafnych i przekonywujących. *B. W.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wybory we Włoszech. Z wielkiem zaciekawieniem a jeszcze większem zaniepokojeniem oczekiwano we Włoszech wyborów do parlamentu. Miały to być pierwsze wybory po uchwaleniu reformy wyborczej, którą przeprowadził gabinet Giolittiego. Po nieudałych próbach swych poprzedników, których projekty, choć względnie umiarkowane, natrafiały na stanowczy opór, on przeprowadził ją odrazu. Projekt jego o wiele radykalniejszy znalazł uznanie i przeszedł bez trudności, zwiększając liczbę wyborców niemal trzykrotnie. Do urny wyborczej powołano niecałe półszosta miliona nowych obywateli, tak, że z 3,319 207 podniosła się liczba wyborców do 8,672.249. W ten sposób dochodził do głosu czynnik nowy, a wielki i mało znany, czynnik z którym liczyć się należało, bo miał ogromnie zaważyć na losach stronnictw i prac parlamentu.

Nas przedewszystkiem obchodzi stanowisko katolików włoskich przy wyborach. Wiadomo bowiem, że we Włoszech obowiązuje katolików *Non expedit*, zakaz czynnego udziału w życiu politycznem zjednoczonego państwa, zakaz, który istnieje jako stanowczy protest przeciw zaborowi państwa kościelnego i niegodnemu położeniu Stolicy św., w jakiem ją postawiły wypadki z 1870 r. Wprawdzie nie na całem terytoryum Królestwa Włoskiego jednakowo obowiązuje — owszem w licznych dzielnicach przypuszcza on nawet znaczne różnice w swem zastosowaniu

zależnie od stosunku, w jakim pozostawały owe dzielnice do państwa kościelnego — jednakowoż na ogół jest taki, że nie pozwala katolikom wziąść czynniejszego udziału w życiu politycznem, tylko od czasu do czasu z jakichś bardzo ważnych powodów zakaz ten doznaje chwilowego zwolnienia, tak, że katolicy mogą wystąpić czynnie. W takich razach są oni czynnikiem rozstrzygającym, który przechyla języczek u wagi. I chwila wyborów była wypadkiem obecnie tak ważnym, że okazała się potrzeba uchylenia *Non expedit*. Reforma wyborcza rozszerzyła prawo wyborcze niemal trzykrotnie. Dawała ona je zapewne mnogim zastępom ludności katolickiej, ale dawała też i rozmaitym warstwom, które podminowane agitacyą socyalistów, republikanów i innych partyj radykalnych, mogłyby wysłać do parlamentu przedstawicieli samych partyj wywrotowych. Chwila więc była bardzo poważną. Od stanowiska katolików zawisł skład parlamentu, czy dostaną się do niego żywioły umiarkowane, czy też zdecydowani nieprzyjaciele Kościoła, którzy w razie zwycięstwa ułatwionego usunięciem się wyborców katolickich, bez wątpienia wszczęliby eksterminacyjną walkę z Kościołem. Pobudkę do niej gra już nie od teraz masonerya włoska w swej prasie.

Powagę chwili i decydującą rolę katolików rozumiano w całych Włoszech. Prasa włoska dała tego wyraz, zajmując się ustawicznie tym problemem; oczywiście oświetlając go z punktów widzenia poszczególnych stronnictw. Odczuwali je też przedewszystkiem katolicy, którzy swem zachowaniem się mieli sobie zgotować przyszły swój los, ale patrzyli w przyszłość z otuchą. Przygotowali się do tej chwili już naprzód tak, że ich nie zastała nieprzygotowanych. Prezydent katolickiego Związku wyborczego hr. Gentiloni już zeszłego roku objeżdżał rozmaite dzielnice w kraju, badając stosunki wyborcze — usposobienie ludności i wpływy partyjne — i jakie są widoki przyszłych wyborów. Na podstawie tych szczegółowych, na miejscu zebranych informacyj, Stolica św. postanowiła zawiesić *Non expedit*, ale nie ogólnie, tylko decyzyę o tem oddała w ręce miej-

scowych biskupów. Katolicy w znacznej części mogli się wypowiedzieć w wyborach.

Nie chodziło o to, żeby tworzyć polityczną partyję katolicką w parlamencie włoskim. Takiej partyi Watykan sobie nie życzył i nie życzy i ma do tego ważne powody. Łatwo bowiem można przewidzieć, że taka partya, która wskutek zrozumiałej łączności ze Stolicą świętą wystawioną byłaby na nieufność i ustawiczne podejrzenia całej Izby, nie byłaby zdolną do żadnego ważniejszego czynu, a z drugiej strony każdem swem wystąpieniem — a nawet wystąpieniem osobistem któregoś ze swych członków ustawicznie dawałaby okazyę do ataków i obelżywych napaści na Watykan i Kościół. W rezultacie przyniosłaby o wiele więcej szkody niż pożytku. Dla tych i innych racyj i dawniej i teraz niema mowy o tworzeniu jakiejś politycznej partyi katolickiej w parlamencie włoskim.

Wszystko, ku czemu kierowały się zabiegi i udział katolików w wyborach, było to, żeby nie dopuścić do utworzenia antykatolickiej większości w parlamencie. W tym celu trzymano się tej metody. Ponieważ z góry i zasadniczo nie można było wejść w układy z żadną z partyj, ani z liberalną, ani socyalistyczną, ani radykalną, ani myśleć o tworzeniu własnej partyi, przeto postanowiono wejść w porozumienie z kandydatami, z każdym z osobna i tego popierać, który przystanie i podpisze się na warunki przedłożone. Warunki te były tak skromne, tak zredukowane do minimum, a zarazem tak sformułowane, żeby je mógł podpisać nawet i liberał, stojący na najściślejszem stanowisku konstytucyi włoskiej. Chodziło głównie o niedopuszczenie do prawa rozwodu, do zniesienia zakonów i do usunięcia religii ze szkół.

Sformułowane w 7 punktach, powoływały się one na konstytucyę, domagając się tego, co konstytucya gwarantowała: wolności wyznania, wolności stowarzyszania się, obrony związków rodzinnych oraz reform społecznych. Oczywiście nie znaczy to, żeby usiłowano jedynie jednać sobie kandydatów liberalnych, a unikać katolickich — owszem stawiano i kandydatów własnych tak, że ich wyszło z urny 33 — większość jednak stano-

wili kandydaci o przekonaniach liberalnych, którzy zobowiązywali się na podane im warunki.

Wyborami kierował komitet centralny, na którego czele stał hr. Gentiloni, prezydent związku wyborczego. Ten w porozumieniu z komitetem miejscowym decydował o stanowisku, jakie w danym wypadku należy zająć, zaś biskup zawieszał, względnie zatrzymywał w swej mocy *Non expedit.* Stąd poszło, że w niektórych okręgach katolicy szli do urny, w innych zaś wstrzymywali się zupełnie. To ostatnie miało miejsce w tych okręgach, gdzie wybór kandydata radykalnego nie ulegał wątpliwości. Czy więc walka toczyła się między dwoma kandydatami z lewicowych partyj, czy też między radykalnym i rządowym, który nie przystawał na podane warunki — wówczas decydowano się na usunięcie od bezcelowego głosowania. Tam, gdzie była nadzieja przeprowadzenia własnego kandydata — głosowano na niego przeciw wszystkim innym; — gdzie tej nadziei nie było, popierano liberałów umiarkowanych, którzy przyjmowali zobowiązania względem swych wyborców katolickich.

Taka była w głównych zarysach taktyka, której się trzymał komitet wyborczy, a rezultatem jej było, że poparciu katolickiemu zawdzięcza swój wybór 230 posłów (według *Osservatore Romano* 228) między nimi — jak wyżej wspomnieliśmy — 33 katolików.

Rezultat więc odpowiedział przewidywaniom. Wpływ katolików przy wyborach był wprost olbrzymi, tak, że zadecydował o ich wyniku. Rząd obecny zawdzięcza utrzymanie się na stanowisku głosom katolickim. Gdyby nie poparcie katolików, partya rządowa znalazłaby się w mniejszości, a partye radykalne, które w tak zwiększonej liczbie wchodzą do izby, wzięłyby górę tak, że gabinet Giolitte'ego byłby wywrócony, a całe Włochy znalazłyby się w mocy partyj wywrotowych.

Taki jest stan faktyczny, którego zaprzeczyć nie podobna. Zapewne nie może on być miły partyom rządowym i liberalnym, ale liczyć się z nim muszą. Już przed wyborami jak i po wyborach nietylko prasa radykalna wszelkich odcieni pełna jest

niezawistnych artykułów przeciw katolikom — ale również i liberalne dzienniki i pisma nie mogą tego przeboleć i ciągle wracają do tego tematu, strasząc widmem zawojowania Włoch przez Watykan. Nieraz aż do śmieszności dochodzą te refleksye liberalne pod wpływem świadomości o zależności rządu od poparcia katolickiego. Tak komiczną w tej sytuacyi musi się wydać troska dzienników liberalnych o godność Stolicy św., która według ich zdania nie powinna się zniżać do roli politycznych macherów — albo troska o sumienie katolickie, które w razie wejścia katolików do parlamentu nie mogłoby pogodzić przysięgi konstytucyjnej ze stanowiskiem polityki watykańskiej. Tę ostatnią troskę o prawość sumienia katolickiego zdejmuje liberałom ze serca *Osservatore Romano* i tłómaczy, że kwestya niezależności papieskiej zupełnie przy wyborach nie wchodzi w rachubę, a i przysięga na konstytucyę z tego samego powodu nie podlega żadnej kwestyi, zwłaszcza, że i stolica św. w sprawach polityki we Włoszech nie wypowiedziała ostatniego słowa.

Największej jednak wrzawy narobił w całej prasie włoskiej wywiad u hr. Gentiloni, jaki po ukończeniu wyborów opublikował *Giornale d' Italia*.

Prezes związku wyborczego, który kierował całą akcyą katolików na mocy własnego stanowiska, był najbardziej powołany do dania autentycznego obrazu wyborów. Posiadał najlepsze informacye i mógł najlepiej poinformować o całym ich przebiegu. Nie zataił on prawdy: „W 330 okręgach było zniesione *Non expedit* — powiedział krótko hrabia — w 178 zaś zachowaliśmy je jak najsumienniej. Zostaliśmy pobici w 100 wypadkach". Podał do tego charakterystyczne szczegóły, które też wykazują taktykę, jakiej się trzymano. We Florencyi senator Manzoni, ufny w pomoc rządu, odrzucał przedłożone mu przez katolików warunki z uwagą, że liberali nie znoszą swędu świec zakrystyjnych — katolicy wstrzymali się od głosowania, a nie znoszący swędu zakrystyjnych świec liberał, przy całem poparciu rządowem sromotnie przepadł. W Neapolu katolicy postawili swego kandydata, katolika Rodino. Rząd okazał się

mu przeciwny i począł go zwalczać, ale daremnie. Przeciw woli i usiłowaniom rządu wychodzi on z urny zwycięsko. We Fano partya, popierająca kandydata liberalnego, dopuściła się była nie tak dawno zniewagi procesyi katolickiej. Katolicy zapamiętali sobie ten objaw liberalizmu i odpowiedzieli nań przy wyborach, puszczając kandydata liberalnego z pustym kwitkiem. Głosy katolików sprawiły, że przepadł osławiony demagog, apostata Romulo Murri; w Genui liberał Macaggi, który intrygował u rządu przeciw Msgr. Caron'owi; w Semigallii kandydat, który ubliżył pamięci Piusa IX. W ten sposób dawali katolicy dotkliwą naukę, że coś znaczą i nie pozwolą bezkarnie lekceważyć swoich przekonań i ubliżać swoim świętościom. W Rzymie samym mieli nakaz wstrzymania się od głosu przy pierwszem głosowaniu; przy wyborach ściślejszych zakaz zniesiono i znów dwóch dotychczasowych posłów, socyalista Campanozzi i demokrata Gaetani, utraciło swe mandaty.

Co do stosunku swego do rządu oświadczył hr. Gentiloni to, co przebijało już z przytoczonych faktów: Gdzieniegdzie kandydaci rządowi doznali poparcia od katolików, bo zgodzili się na przedłożone warunki, w innych rząd walczył zacięcie przeciw katolikom, którzy ze swej strony starali się przeprowadzić swego kandydata własnemi siłami. W parlamencie nie będą tworzyli katolicy osobnej grupy, bo z ich ramienia do parlamentu wchodzą tylko posłowie konstytucyjni, którzy mniej lub więcej skutecznie będą bronić interesów religijnych większości włoskiego ludu tak, jak im podyktuje ich własne sumienie i duch religijny.

Wywiad hr. Gentiloni, jak go umieścił *Giornale d' Italia*, zawierał w sobie akcenty pewnej dumy po świeżo odniesionem zwycięstwie. Przytaczał on same fakta prawdziwe, dające się skonstatować, ale nie umiał dostatecznie powściągnąć, by nie wyjawić swych zresztą zrozumiałych uczuć. Chwalił karność zorganizowanych szeregów katolickich, które umiały według polecenia iść śmiało pod gradem szyderstw, drwin i pogróżek do urny wyborczej — i zdala się od walki wstrzymać, gdy hasło do niej nie padło. Wreszcie ze zebranych doświadczeń wysnuwał

entuzyastyczne widoki na przyszłość: „Proszę mi wierzyć — mówił — bo mówię z najgłębszego przekonania, że zbyteczną jest rzeczą przepowiadać przyszłość. Jesteśmy tylko narzędziem w rękach Opatrzności. Ona to sama porusza umysły i serca. Chcecie przykładu? Kto mógłby był powiedzieć przed miesiącem — patrząc na dzikie napady, jakie urządzał szał antyklerykalny na gimnastyków katolickich, plamiąc imię gościnnego Rzymu, ktoby mógł powiedzieć, że tak prędko, bezpośrednio przyjdzie reakcya w usposobieniu społeczeństwa? Kto mógłby przepowiedzieć masoneryi dzień zemsty, nim upłynie czterdzieści dni *adhuc quadraginta dies* proroka Jonasza? My musimy tylko robić poważnie przygotowania, a resztę zostawić Opatrzności".

Po opublikowaniu tego wywiadu w prasie dopiero zawrzało. Przed oczyma stanęły nietylko przypuszczenia, ale cyfry i fakty autentyczne a wymowne. Nadto wspomnienie o pomście Bożej. Burzą nienawiści, złości porwało wszystkich. Wszystkie dzienniki przepełnione są artykułami na temat „paktu Gentiloni'ego". Posypały się różne insynuacye, między innemi i ta, że cały wywiad ten został opublikowany za zgodą Watykanu, ba! nawet redakcya jego była przedłożoną i aprobowaną przez władze kościelne! Kategoryczne zaprzeczenie w *Corriere d' Italia* w imieniu hr. Gentiloni położyło koniec legendzie. Ale nie położyło końca dalej szalejącej burzy. Świeżo przez masoneryę założony tygodnik *Idea democratica* (w opozycyi do tygodnika *Idea nationale*) zajmuje się niemal wyłącznie tym tematem. Przyszło mu na myśl ustalić listę tych posłów, którzy zawarli „pakt Gentiloniego". Skonstruował więc ją naprędce i podał do wiadomości; przedrukował zaś *Messagero*, podając ją jako autentyczną kopię. Ale niemiła spotkała redaktorów niespodzianka, bo nie minęło 24 godzin, a oto w dziennikach protesty pojawiły się ze strony figurujących na liście zarówno posłów i niewybranych kandydatów, że takiego paktu nie podpisywali, że ich fałszywie umieszczono na liście — słowem wypierają się wszelkiej łączności z katolikami. Trudno obecnie sprawdzać, kto podpisywał zgodę na podane warunki, kto nie.

Zresztą jest to dla nas zbyteczne, ale fakt sam umywania rąk jest bardzo znamienny.

Zapewne cała sprawa paktu Gentiloniego wejdzie na porządek dzienny obrad Izby, zwłaszcza, że gazety masońskie i socyalistyczne usiłują jej nadać charakter antykonstytucyjny, a nawet nawołują władze sądowe, by nań zwróciły uwagę. Oczywiście wszystkie te zarzuty są dalekie od prawdy, bo program przedkładany przez katolików do podpisania kandydatom, jakby w przewidywaniu przyszłej burzy, wyraźnie domaga się od nich obrony interesów religii i sumienia katolickiego w zakresie zagwarantowanym konstytucyą — a innego „paktu tajemniczego", o jakim się rozwodzą, nie było, jak chyba w chorobliwej wyobraźni antyklerykalnej. Organ socyalistyczny *Avanti* daje to do zrozumienia w swych artykułach o pakcie Gentiloniego. „Myśleliśmy — pisze w jednym z nich — że możemy już bez żadnych osłon przejść do ofenzywy socyalistycznej. Niestety wypadki zmusiły nas jeszcze tracić czas na obronę przeciw naporowi klerykalizmu". W innym artykule z refleksyami powyborczymi — omawiając upadek partyi republikańskiej, bez żalu powiada: pokój jej duszy, bo była tylko zawadą w jedynym celu skutecznego zwalczania monarchii.

„Ale — pyta dalej — czy przez to samo monarchia włoska ma być pozostawiona w spokoju, dopóki rewolucya socyalistyczna nie wyrzuci jej jak stare żelazo do rumowiska historyi? Jest to problem, który partya socyalistyczna powinna dobrze zbadać i rozwiązać". Rozwiązuje dość jaskrawo i namacalnie. W artykule o nowych obowiązkach socyalistów po wyborach umieszcza znaczącą karykaturę. Na tronie królewskim siedzi mała osóbka, która kurczowo trzyma się poręczy i patrzy przerażona w górę, bo baldachim nad nią się wali, przytłoczony paką z napisem: *Un milione di voti socialisti.*

Tak! karykatura ta mówi prawdę. Mimo wszystko liczba posłów socyalistycznych, wybranych do parlamentu wzrosła znacznie — a jeszcze bardziej wzrosła ilość głosów oddanych na socyalistycznych kandydatów. Wszystko to wskazuje, że tron silnie zagrożony; że już obecnie niema większości radykal-

nej w parlamencie, to zawdzięcza rząd katolikom. Do uzupełnienia karykatury dodaćby należało jeszcze to jedno, że dziś katolicy okrzyczani za antykonstytucyjnych, w rzeczywistości przywiązują i umacniają jeszcze walący się tron królewski.

Czy i jakie to następstwa pociągnie w stosunkach włoskich czy i jak ułożą się stosunki między Stolicą Apostolską a władzą świecką, przewidywać trudno, ale wobec groźnego niebezpieczeństwa ze strony żywiołów wywrotowych — życzyćby sobie należało, żeby się ułożyły jak najprędzej.

X. L. Rudnicki.

Zjazd polski w Holandyi.

Z chwilą, gdy państwo „bojaźni Bożej" wprowadziło w życie ustawę o stowarzyszeniach — czyli tak zwane prawo kagańcowe, uniemożliwiło równocześnie wychodźctwu Westfalii i Nadrenii porozumiewanie się co do łącznej i jednolitej pracy w kierunku utrzymania swej narodowej odrębności. Trzeba było znaleźć jednak punkt wyjścia — i rzeczywiście zorganizowano zjazd w Winterswyck, na granicy holenderskiej.

Powiedzmy odrazu: zjazd był imponujący liczbą, powagą, rezultatem doraźnym. Oczywiście wykonanie, przeprowadzenie rezolucyi należy do przyszłości, ale wolno spodziewać się, że miejsce gorącego zapału, który musi minąć z chwilą, zajmie głębia rozumienia i żelazna praca.

Niejednokrotnie wiadomości przeciętnego inteligenta galicyjskiego o naszem wychodźctwie do Niemiec równają się zeru. Zaczepieni w tej kwestyi, zbywamy ją zupełną obojętnością lub frazesem, że „emigracya to nauka, należąca do fachowców". Tymczasem powinno być inaczej: Polaka powinno zajmować wszystko, co tyczy się drugiego Polaka, tak jak bratu nie może być obcym los brata. Nie idzie już o rzeczywiście na wiedzy oparte badanie przyczyn i zjawisk, ale o pospolite zapoznanie się z faktami, z życiem, z pracą, nie po to oczywiście nawet, aby wyciągnąć z tego konsekwencye dalsze i w tym kierunku działać, ale po to, by nie czuć się obcym w żadnej dziedzinie polskiej pracy, obejmować wszystkie jej horyzonty.

By ducha krzepić zwycięstwami, albo z apatyi i bezmyślności

budzić się nieustannym szczękiem walki o wiarę i ukochania, o tradycyę i o przyszłość.

Bowiem żywie duch — i jak dotąd potężnieje — i jak dotąd rośnie jeszcze ojczyzna na obczyźnie; ale troska o młodzież, o dzieci potrzebuje serc i rąk całego narodu.

Przeszło 240.000 Polaków rozsypanych po Westfalii i Nadrenii w tem 51.000 dzieci w wieku szkolnym — oto cyfry, które mówią same za siebie. Warunki materyalne dobre, zarobki wysokie, praca 8-mio godzinna, zbytek wolnego czasu u kobiet i dziewcząt. Warunki rozwoju duchowego jak najgorsze: prześladowania za narodowość, giermanizowanie na każdym kroku, demoralizacya za pomocą pieniędzy (szpiegostwo), zanik etyki wobec utrudnień ze strony duchowieństwa, działającego zbyt często w duchu rządu.

Pozostaje praca w towarzystwach, to znaczy jak najintenzywniejsze zrzeszanie się w organizacyach. Jest ich dziś sporo: około 720 różnego typu stowarzyszeń, gromadzących około 150 członków, każde daje mniej więcej 259.200 ludzi, zjednoczonych wspólnymi celami i ideałami, a choćbyśmy przypuścili, iż każdy należy do 8-miu towarzystw, t. j. do organizacyi zawodowej i oświatowej, odliczywszy dzieci i słabiej zorganizowane kobiety, otrzymamy nieliczną tylko resztę tych, którzy w żadnej pracy społecznej nie biorą udziału.

Każde towarzystwo ma cel jasno wytknięty: komitety wyborcze pracują nieustannie nad uświadomieniem ludu. „Straż“ pragnie stać się niejako szkołą dla referentów i kierowników towarzystw; koła śpiewackie pielęgnują pieśń polską, narodową i kościelną; sokoli czuwają nad rozwojem fizycznym młodzieży; abstynenci walczą z jedną z najprzykrzejszych wad polskich i towarzystwa kobiece „Wanda“ chcą w domy nieść pomoc moralną i materyalną.

A na dowód, ile zdziałać może jednostka z gorącem sercem i mocną wolą, opowiem, że znany mi osobiście sokół, młody człowiek, potrafił zorganizować dzieci jednej miejscowości w ten sposób, że same zawiązują się w kółka po 12, jedno jest przewodnikiem, wszyscy znów przewodnicy składają zarząd całości, którego prezesem jest założyciel. Kółka te (pod nazwą Dzieciątka Jezus) zbierają się w niedzielę, śpiewają, gimnastykują się, deklamują wiersze — i dziś już matki same szukają owego założyciela, by dzieci swe mu polecić. Kółek takich założył on już 14.

Bractw kobiecych istnieje cały legion; jednak działalność ich, jeżeli chodzi o pomnożenie polskości, może być tylko bardzo nikłą

lub żadną wobec nieproszonej opieki księży-germanizatorów. Jaskrawo oświetla sprawę fakt, że zdarzyło się księdzu za warunek rozgrzeszenia postawić żądanie, by penitentka z towarzystwa polskiego wystąpiła — i drugi, gdzie ksiądz, jako patron bractwa, kazał na zebraniach czytywać ewangelię po niemiecku. Rezolucye zjazdu w Holandyi dotyczyły tego właśnie najważniejszego momentu — i postanowiły iść po sprawiedliwość jaknajdalej.

Niemałą rolę — i zaszczytną — spełnia w Westfalii prasa polska. Rzeczywiście trudnoby spotkać w kraju u nas podobną ofiarność, nieliczenie się z czasem, poświęcenie — jako trud osobisty. Tak redaktorzy i cały skład redakcyi są równocześnie prelegentami, referentami, kierownikami towarzystw i w konsekwencyi nie mają, nie mogą mieć czasu dla siebie. Niedziele i święta są *eo ipso* przeznaczone na odczyty i referaty, których czasem wypada po trzy na jednego w różnych miejscowościach, przyczem chyba zawodowa praca nie ustaje, ale raczej się wzmaga. Ilustracya? Oto, gdym po zjeździe w Wintersvyck zdecydowała się odwiedzić kilka miast Westfalii i być na zwołanych *ad hoc* posiedzeniach różnych towarzystw, redakcya „Narodowca" natychmiast rozpoczęła druk zaproszeń, roznosicielki gazety rozniosły je wraz z gazetą — i gdy we wtorek przyjechałam z kolei do Herne, miałam na sali 1400 słuchaczy. Nie chciałabym czynić porównań — ale nasuwają się mimowoli... i smutne.[1]

— A zatem — powie kto — jest duch, jest działalność towarzystw, jest prasa, więc nie trzeba nic więcej. O — nie! tam jest jeszcze ogrom zadań do spełnienia. Najpierw brak inteligencyi; tych niewielu, co są, są przepracowani i nie mogą już robić więcej; np. kobiet wykształconych i przygotowanych do pracy społecznej niema wcale — a tu hygiena w domach zaniedbana, odżywianie dzieci nędzne, uświadomienie kobiet pod względem narodowym wątłe, zasada „swój do swego" nie przestrzegana, gospodarstwo domowe często opuszczone, — a etyczny poziom żon i córek daje powód do obmowy cnoty Polek

[1] Dla uniknięcia fałszywej interpretacyi, muszę przecież dodać, że gotowość i ofiarność „Narodowca" czy jego redakcyi nie dają mu jeszcze patentu na... nieomylność. Zdarza się np. pomieszanie pojęcia „Ksiądz" — i to w tym sensie, że zarzuty słuszne, skierowane przeciw jednostce, jako wrogowi polskości, nabierają znaczenia ogólnika, piętnującego Kościół. Czego należy unikać, choćby w imię tej polskości, której „Narodowiec" służy tak gorliwie. Wiara święta jest ostoją ducha narodowego — a najsilniejszą jego dźwignią wśród ludu; niechże zostanie mocną i czystą dla miłości Boga, dla miłości Polski.

wogóle. A dopiero dzieci! Jeden sokół zorganizował ich 170, ale ile ich jest wogóle bez ochronek, bez szkół własnych, bez dostatecznego kierunku i nauki! Samo np. urządzenie wakacyj, unaradawiających w jakiejkolwiek formie — czy to sprowadzenie nauczycieli do Hollandyi i założenie tam kolonii dla westfalskich dzieci, czy wysyłanie dzieci starszych partyami do kraju, pod opieką — to wymaga pracy i energii w zbieraniu funduszu i zorganizowaniu całości. A praca po domach, nad gospodynią, nad żoną i matką, by zrozumiała, że co innego wiara a narodowość, że każda w nas dźwiga w duszy cząstkę polskiego honoru, że grzech, spełniony wśród obcych, staje się grzechem podwójnym: przeciw Bogu i przeciw Ojczyźnie.

Powtarzam: ogrom pracy leży przed tym, któryby jako pracownik chciał iść między robotników Westfalii i Nadrenii; ale równocześnie leży przed nim także radosne żniwo.

I gdy wróci, przywiezie do kraju duszę odmłodzoną w źródle wiary, iż — świta i będzie pracował ochotniej, kochał goręcej i znajdzie odwagę żyć do rana. *Marya Ruszczyńska.*

Ze świata nauk i wynalazków.

Zgon wielkiego przyrodnika. — Z biologii okapii. — Płochliwość zwierząt. — Wojna przeciwko musze domowej. — Badania naukowe nad konserwowaniem jaj kurzych.

Z zastępu mężów genialnych, których cały szereg na różnych polach zrodził wiek dziewiętnasty, ustąpił ostatni. Dr. Russel Alfred Wallace, jeden z największych przyrodników, jakich wogóle ludzkość posiadała, osobisty przyjaciel, lecz pod wielu względami i przeciwnik Darwina, myśliciel głęboki i socyolog, przeszedł siódmego listopada b. r. w ten świat duchów, o którego istnieniu zawsze tak głęboko był przekonany. Wallace urodził się na początku minionego wieku, w r. 1823, był więc nieledwie, że stuletnim starcem. Ale jego bogata i przepotężna natura niedozwoliła mu popaść nigdy w zgrzybiałość. Przed trzema jeszcze niespełna laty wydał dzieło p. t. „Świat życia“ („World of Life“), w którem po mistrzowsku wypowiada się o teoryach i najważniejszych zagadkach przyrodniczych a między niemi o pochodzeniu życia. Dowodzi tam, że zawiłość budowy istot żywych wymaga koniecznie istnienia siły stwórczej i kierującego umysłu, a więc jak dawniej, tak do końca swego staje w sprzeczności z tymi przy-

rodnikami, którzy zagadkę życia tłómaczą w sposób mechaniczny. I nie dość na tem. Jeszcze na parę tygodni przed zgonem wielkiego tego uczonego opuściły prasę jeszcze duże napisane przez niego książki („Social Environment and Moral Progress“ i „The Revolt of Democracy“).

Sława i rozgłos, jaką otoczono Darwina, przyćmiła blask i zasługi Wallaca, ale może potomność dalsza, gdy ucichną już zupełnie echa walki i polemik, postawi sobie jeszcze pytanie, kto naprawdę był większy, Darwin czy Wallace. Już teraz jednak powiedzieć trzeba, że obaj byli to mężowie genialni i nauce prawdziwie oddani. Wallace jednak, żyjąc znacznie od Darwina dłużej i idąc nadto za popędem wrodzonym, niepozwalającym mu zamknąć się w ramach jednej specyalności, objął umysłem swym niezmiernie szerokie kręgi, szersze bezsprzecznie niż Darwin. Bo nietylko, że w naukach przyrodniczych rzucał się na najogólniejsze problemy, nietylko że wyszedł nawet za nie i zajął się socyologią, ale nadto przedarł się niejako poza materyę i jej zjawiska, i pragnął niespokojnym a genialnym swym umysłem zbadać zagadki świata duchowego, niemateryalnego, którego rzeczywistość była dlań pewnikiem naukowym. Wallace w każdym razie jest postacią tak wielką i psychologicznie tak interesującą, że zbadanie jej albo raczej jej dokładniejsze rozpatrzenie jest rzeczą prawie konieczną dla każdego, kto pragnie sobie zdać sprawę i uzyskać pogląd na ten zdumiewający ruch umysłowy, jakiego świadkiem był wiek dziewiętnasty. Dlatego też „Przegląd Powszechny“ poda wkrótce więcej wyczerpującą biografię tego wielkiego męża.

* * *

Z pewnym odcieniem upokorzenia i rozczarowania świat naukowy powtarzał sobie lat temu dwanaście senzacyjną wiadomość, że w środkowej Afryce odkryto nieznane dotychczas zwierzęsące, wielkie, lądowe, które krajowcy tamtejsi nazywają Okapi. Jakkolwiek dla nauki była to zdobycz nielada, to jednak upokorzenie i rozczarowanie mięszało się do uczuć radości dlatego, że nieprzypuszczano już możliwości, by przed okiem tych nieprzeliczonych zastępów poszukiwaczy, rozbiegłych po całej kuli ziemskiej,zdołało się ukryć zwierzę tak pokaźne i wybitne w swych cechach. Trzeba się było jednak z faktem pogodzić i zabrać do wszechstronnego zbadania nowego przybysza.

Wyczerpujące poznanie zwierzęcia składać się zawsze musi z dwóch części, z których jedna zajmie się anatomią, budową wewnętrzną

i zewnętrzną ciała, a druga biologią, czyli sposobem życia osobnika i jego stosunkiem do otoczenia. Część pierwsza u okapii nie przedstawia zbyt wielkich trudności. Pierwszą całą skórę i czaszkę okapii, zabitej przez szwedzkiego oficera Eriksona, nadesłał do Europy angielski gubernator Ugandy Sir Harry Johnston w r. 1901 i zwierzę wypchane stanowiło czas dłuższy jedną z największych ozdób British Muzeum. Dziś ujrzeć tam można w oszklonej wielkiej szafie, na balkonie pierwszego piętra, kilka pięknych wypchanych okazów i szkielet całkowity okapii, a nadto znachodzą się egzemplarze po innych wielkich muzeach jak n. p. w paryskich Galeries de Zoologie w Jardin des Plantes. Jest to zwierze bardzo piękne, około półtora metra wysokie, podobne nieco do żyrafy, lecz o wiele kształtniejsze, bo o krótszych niż tamta nogach i szyi. Smukłe ciało okapii pokrywa sierść gładka, maści czerwonawej z wyjątkiem na udach, gdzie widać białe i czarne poprzeczne pręgi. Płeć słabsza nie bodzie, gdyż pozbawiona rogów zupełnie, natomiast samiec ma ich parę, lecz małych i przykrytych z wyjątkiem końców, włochatą skórą. Zoologowie godzili się wkrótce na to, że okapia należy do familii żyraf i jest formą pośrednią pomiędzy żyjącą żyrafą (*Camelopardalis*) a wygasłem już zwierzęciem, zwanem przez paleozologów *Palaeotragus* albo *Aamotherium*, którego szczątki znachodzą się w warstwie geologicznej plyoceńskiej w południowej Europie i gdzieindziej. Z cech anatomicznych sądzą zoologowie, że okapia i palaeotragus są przodkami, z których powstał gatunek dzisiejszych żyraf, a więc że okapia jest zwierzęciem znacznie od żyrafy dawniejszem.

Obecną, bardzo ścieśnioną ojczyznę okapii, stanowią bezludne okolice Afryki środkowej w okolicy Medge, w pobliżu źródeł rzeki Gago i w lesistych wzgórzach Waliséi zwierzę to bardzo już jest rzadkie. Ma ono bowiem szczęście należeć do grupy zwierząt „pożytecznych dla człowieka", jak nasz jeleń, zając i inne, których mięso jest chętnie widzianym smakołykiem. Toteż i krajowcy tamtejsi, chciwie na okapie polują. W ten sposób tropione zwierzę usuwa się oczywiście do miejsc niedostępnych i żeruje prawie wyłącznie w nocy. Dlatego też druga część zadania zoologa, to jest zbadanie sposobu życia okapii, przedstawia ogromne trudności.

Dotychczas o życiu okapii wiedziano wogóle bardzo mało, tyle prawie wyłącznie, ile dało się wyłowić z opisów krajowców. Dopiero sprawozdanie podróżnika Wilmeta, który świeżo przez dłuższy czas przebywał w okolicach zamieszkałych przez okapię, złożone Aka-

demii Umiejętności francuskiej na posiedzeniu 30 czerwca b. r., podało cały szereg bardzo zajmujących a dotychczas nieznanych szczegółów o sposobie życia i cechach charakteru okapii.

Przedewszystkiem, jak już wspomnieliśmy, zwierzę to jest bardzo płochliwe i unika starannie miejsc, zamieszkałych przez swych największych przyjaciół i wrogów zarazem, ludzi, chroniąc się w gęstych, górskich lasach. Mimo to dba ono wiele o swój piękny strój i biegając zwinnie, uważa starannie, by białych i czarnych pręgów na nogach nie powalać błotem. Czyści też często całą swą skórę, ližąc ją, jak kot, swym niebieskim i długim językiem. Okapia nie jest zwierzęciem towarzyskiem, nie żyje nigdy gromadnie, co najwyżej spotkać razem można rodzinę złożoną z samca, samicy i młodego potomka. Okapia bowiem, podobnie jak nasze krowy, ma tylko jedno młode na rok, które już po miesiącu ma przeszło metr wysokości. Podczas pory suchej, gdzie warunki bytowania trudniejsze, stadło rozchodzi się i każde stara się o siebie, by się znowu zejść razem za nastaniem pierwszych już deszczów. Zresztą sposobem zachowania się i ruchami przypomina okapia bardzo żyrafę. Pijąc, rozstawiać musi szeroko nogi przednie, by dostać do ziemi swemi czarnemi wargami, nie żyje też trawą, lecz skubie liście na drzewach, przyczem największym dla niej przysmakiem są młode gałązki drzewa mango. Żeruje nocą, w dzień zaś śpi i to zwyczajnie stojąc, a gdy się czasami kładzie do snu, opiera głowę o jaką poduszkę, którą stanowi gruba gałąź, przewrócony pień drzewa lub wielki kamień. Z miejsca na miejsce przenosi się bądź wolnym krokiem, bądź w galopie, uciekając szybko za lada szmerem, tak, że prawie niepodobna do niej zbliżyć się więcej nad jakie dwadzieścia kroków.

Próby obłaskawienia okapii spełzły na niczem. Wilmet opowiada o młodem zwierzęciu, które krajowcy schwytali i umieścili w wygodnem ogrodzeniu w lesie. Dbano o nie bardzo troskliwie, karmiono mlekiem koziem, skondenzowanem mlekiem krowiem i ryżem, dostarczano obficie łakoci w postaci gałązek drzewa mangowego. W tak pomyślnych warunkach młode stworzenie rozwijało się pomyślnie i zaczęło się nawet obłaskawiać, gdy w tem, bez żadnej widocznej przyczyny, w dwudziestym czwartym dniu niewoli, posmutniało, odmówiło zupełnie przyjmowania pokarmu i trzeciego dnia skonało, przekazując swój szkielet i skórę belgijskiemu muzeum kolonialnemu w Tervueren pod Brukselą.

Obecnie rządy cywilizowane zajęły się bliżej losem okapii i zakazano surowo tępienia i polowania na to piękne a tak starożytne zwierzę. Jeżeli więc gatunek okapii nie utracił wewnętrznej żywotności, lasy Afryki środkowej znowu się zaroją od tego zwierzęcia. Zapewne też ustąpi wkrótce i bojaźliwość nadzwyczajna zwierzęcia biednego, na którego życie tak zajadle czyhano.

* * *

Trzeba bowiem pamiętać, że u wielu bardzo zwierząt bojaźliwość jest wynikiem stosunków zewnętrznych. Miałem o tem sposobność przekonać się naocznie niedawno, bo w pierwszych dniach sierpnia. Przechadzając się z książką po parku prywatnym w St. Beuno'os na zachodniem wybrzeżu Anglii, zauważyłem ze zdziwieniem, że ptaszki, których tam było bardzo wiele, zamiast płoszyć się na mój widok, zlatywały się naokoło, jakby umyślnie starając się zwrócić na siebie uwagę. Zagadnięty przezemnie o to dziwne zjawisko jeden z mieszkańców wyjaśnił je łatwo. Pokruszywszy kawałek sera, największy przysmak tamtejszego ptactwa, rozpostarł go na dłoni, a wkrótce ptaszki poczęły się zlatywać, biorąc spokojnie kawałeczki sera z ręki. Nic dziwnego, nauczyło je bowiem doświadczenie, że tam nikt im żadnej krzywdy nie czyni, ani nawet nie płoszy. Podobnie pełne pewności i spokoju zachowanie uderza u mew, w miejscach portowych i wybrzeżach morskich tam, gdzie istnieje surowy zakaz zabijania i płoszenia tych ptaków, spełniających niezmiernie ważną rolę sanitarnej policyi.

Ale pominąwszy względy utylitarne, samo poczucie wyższej godności ludzkiej powinno nam zabraniać płoszyć niepotrzebnie zwierzęta, bo przecież sprawia im to przykrość i życie bardzo utrudnia, zmuszając do ciągłej czujności i ciągłego napięcia nerwów. A przecież człowiek dobry powinien wystrzegać się pilnie, by żadnej istocie żywej bez koniecznej potrzeby nieprzymnażać strachu i cierpienia, których i bez tego na świecie wiele.

* * *

Jak wszędzie jednak, tak i tutaj, w stosunku do zwierząt wystrzegać się należy niezdrowego sentymentalizmu, boć człowiek bądź co bądź jest panem stworzenia i gdy tylko słuszną ma do tego przyczynę,

może niem rozporządzać do woli. A tembardziej wolno i należy występować energicznie wobec tych zwierząt, które, choć oczywiście bez winy, bo do takiej zwierzęta niezdolne, — swym sposobem życia zagrażają pod jakimkolwiek względem człowiekowi. Walka o byt, rozgrywająca się bezustannie w całym świecie żywym, wrze i wrzała zawsze także między światem zwierzęcym i człowiekiem.

Żeby tę walkę człowieka z żywą przyrodą skierować w należyte tory, nie wystarcza uszlachetnić jego uczucia i przejąć współczuciem dla każdej żywej istoty, trzeba nadto wskazać dowodnie, gdzie wróg, którego trzeba tępić, a gdzie pożyteczny przyjaciel. Tragizm życia polega przecież głównie na tem, że nie umiemy albo nie chcemy odróżniać przyjaciół od nieprzyjaciół. Tego w stosunku do zwierząt nauczyć mogła dopiero biologia. I rzeczywiście w ostatnich dziesiątkach lat widzimy, choć nie chcemy uznać nieraz, jak wiele korzyści w walce o byt przynoszą ludzkości nauki biologiczne. Wykazały one wiele razy, że człowiek w ocenianiu wartości zwierząt często błądził, tępił pożyteczne, a wrogom najszkodliwszym folgował.

Jednym z takich ukrytych nieprzyjaciół zwierzęcych, z którymi człowiek zżył się od wieków i które co najwięcej uważał tylko za natrętne, to mucha domowa, przeciw której obecnie biologowie zwracają coraz to cięższe oskarżenie, przestrzegając ludzi przed tym niebezpiecznym, bo domowym wrogiem. Kampania przeciw musze jest obecnie tak energiczną, że British Museum urządziło osobną wystawę, wykazującą na wielkich modelach rozwój i szkodliwość muchy, a nadto wydało w tym celu swym nakładem broszurę, napisaną przez znanego przyrodnika-biologa, Ernesta Austena, członka naukowego personalu tegoż muzeum.

Mucha domowa, *Musca domestica* przez zoologów zwana, należy do owadów, mianowicie do grupy dwuskrzydlnych. Główną cechą charakterystyczną tej grupy jest brak skrzydeł przykrywowych, i tylnej pary skrzydeł, przekształconej zwykle w pałeczkowate wyrostki. Owady tu należące, mają więc jedną tylko parę skrzydeł, które są błoniaste, zwykle przeźroczyste, często jednak upstrzone w barwne punkty lub plamki. Warga, przekształcona w sawkę, *proboscis*, służy u niektórych gatunków do ssania, u innych do kłócia lub lizania. Dwuskrzydłe, zwane także potocznie muchami, stanowią dział zwierząt, który zdaniem zoologów, jest ze wszystkich grup najbardziej rozpowszechniony po całej kuli ziemskiej tak, że nie

brak ich nigdy w zbiorach okazów owadów, jakie przywożą ze sobą badacze okolic podbiegunowych, a kraje równikowe od nich się roją. Rozpowszechnienie to zawdzięczają przedewszystkiem swej niesłychanie wielkiej zdolności zastosowania się do najróżnorodniejszych warunków klimatycznych, a dalej tej okoliczności, że, czepiając się zwierząt większych, szczególnie ptaków i ludzi, podróżują łatwo w najdalsze strony ziemi.

Wszędobytność ta jednak dwuskrzydłych wcale nie jest pożądaną dla ludzi i zwierząt, bo wogóle muchy należą do zwierząt natrętnych, a wiele z nich do bardzo szkodliwych. I chociaż bezstronność każe przyznać, że muchy przyczyniają się nieco do zdrowotności atmosfery, pożerając gnijące organizmy i organiczne odpadki, to jednak ich zasługi bynajmniej nie są tak wielkie, by zrównoważyły wyrządzane przez siebie szkody. Jedne z nich, jak znana ste-tse i niektóre komary, zaszczepiają wprost pierwiastki chorobotwórcze, inne, chociaż bezpośrednio nieszkodliwe, przyczyniają się jednak, włócząc się po nieczystych, zakażonych podłożach, do roznoszenia zarazków. Do tych właśnie należy mucha domowa, o szkodliwości której nie wątpi już dzisiaj żaden biolog; to też zachęcają oni do wydania temu stworzeniu jaknajzaciętszej walki eksterminacyjnej. Ażeby przyznać im zupełną szłuszność, wystarczy przyjrzeć się nieco biologii muchy, jak ją do ostatnich czasów zbadać zdołano.

Mucha domowa lęgnie się z jaj białych, na milimetr długich, które składa samica w liczbie 120 do 150 naraz na jakiemś gnijącem podłożu organicznem, najchętniej na gnoju końskim, lub innym, na śmieciach, w których znachodzą się odpadki kuchenne, w naczyniach i dołach, zawierających rozmaitego rodzaju nieczystości. Z jaj tych po jednym już dniu wylęgają się białe, beznogie pędraki, które żywią się podłożem, na którem się znajdują i rosną do wielkości jednego mniejwięcej centymetra. Trudno sobie wyobrazić widok obrzydliwszy od tego jaki przedstawia gniazdo pędraków muchy, rojących się wśród wstrętnej, cuchnącej masy. Przyszłe te muchy, mieszkanki kiedyś naszych salonów i nawet z jednej miski z nami jadać mające, mało sobie jednak robią z naszych wstrętów i żywią się zdrowo i ochoczo tem, na czem mieszkają, aż dojdą do stanu poczwarki. Poczwarka muchy przedstawia się na zewnątrz jako centymetrowy, brunatno czerwonawy skórzany worek, z którego po pewnym czasie odsuwa się przykrywka na jednym końcu, by wypuścić na świat nową, zwinną a żarłoczną muchę. Oczywiście mucha taka ma odrazu wzrost

pełny, muchy bowiem nie rosną. Napotykamy wprawdzie po naszych mieszkaniach nieraz muchy znacznie od zwykłych mniejsze, i wtedy niejeden mniema błędnie, że są to młode, niedorośnięte jeszcze muchy. Tymczasem nie są to zwykłe muchy, *muscae domesticae*, lecz pewien inny gatunek much zwany, *homalomyia canicularis*; czasem jednak mamy tu do czynienia z muchami domowemi, lecz skarłowaciałemi z powodu braku należytego pokarmu w młodocianych okresach rozwojowych.

Czas całego cyklu rozwojowego muchy domowej, od chwili złożenia przez samicę jaja, aż do czasu, kiedy rozwinięta z niego mucha młoda znosi jaja, może być rozmaity, zależnie od temperatury i rodzaju obfitości pożywienia. Dokładne badania wykazały, że w umiarkowanym klimacie Europy środkowej, przy obfitem pożywieniu i wśród gorącego lata, cykl ten trwa około trzech tygodni. Ponieważ zaś jedna samica w ciągu swego życia około pięć razy składa jaja, więc daje początek przeszło pół tysiąca nowym muszym jestestwom. Łatwo sobie tedy wytłumaczyć, dlaczego owady te, pomimo, że giną masami, stając się pastwą innych zwierząt, mogą występować w miesiącach skwarnych w takich ilościach, że już samą swą liczbą stają się nieznośną plagą.

Chociaż muchę znamy wszyscy i z pewnością rozróżnić ją umiemy na pierwszy rzut oka od innych owadów, to jednak zapewne mało któremu z czytelników przyszło na myśl, by jej budowie bliżej nieco się przypatrzyć. Mucha jest zjawiskiem zbyt powszedniem, by na nie szczególną zwracać uwagę. Ktoby jednak to uczynił, stwierdzi z łatwością, że mucha ma dwoje błoniastych skrzydeł, przykrywających szary kadłub i odwłok, u samicy na wierzchu ciemny, a od spodu bladożółty, u samca zaś przeciwnie. Na kadłubie widać cztery ciemne, podłużne prążki, a na głowie parę wielkich, złożonych oczu, które u samca są blizko siebie położone, podczas gdy u samicy rozstawione są stosunkowo bardzo szeroko. Gdybyśmy więc do much chcieli zastosować prawidło, podane przez Sienkiewicza w jednej z powieści, że im szersze rozstawienie oczu człowieka, tem większa inteligencya, jakiś antyfeminista wysnuć mógłby wniosek, że rodzaj: *musca domestica*, znajduje się już w dalszym stosunkowo stanie rozwojowym, niż rodzaj *homo sapiens*, bo u nich płeć żeńska góruje inteligencyą nad płcią męską. Zjawisko to zresztą, mówiąc nawiasem, u owadów nie rzadkie, że tylko przypomnimy sobie przykład pszczoły, gdzie samce, zwane trutniami, niesłychanie podrzędną odgrywają rolę i od innych

pszczół inteligencyą znacznie są wyższe. Zbadanie pod tym względem psychologii muchy byłoby rzeczą bardzo interesującą. Lecz zwróćmy się dalej do anatomii muchy.

Na głowie oprócz oczu dostrzedz można jako cechę charakterystyczną muchy sawkę, wysuwającą się ustawicznie jak trąba słonia i chowającą w przeznaczone do tego zagłębienie głowy. Sawka opatrzona jest na końcu zgrubiałością rowkowaną, której celem jest rozprowadzenie w możliwie cienkiej warstewce śliny, jaką mucha pokrywa pokarm, który pragnie spożyć. Bo sawka ta nie ma narządu do kłócia, mucha nasza domowa „nie kąsze", a to nieznośne swędzenie, które sprawia na naszej skórze, pochodzi z tej właściwości ciekawej naszego smysłu skóry, że podrażnienia bardzo lekkie, jak naprzykład musknięcie piórkiem po włosach skóry, wywołują w nas wrażenie bezporównania silniejsze, niż nawet znaczne uciśnienie powierzchni skóry. Wreszcie do architektury muchy należą trzy pary nóg długich a cienkich, które pozwalają musze biegać bardzo zwinnie i nadto utrzymać się i chodzić po powierzchni takiej, jak gładkie szkło i to pionowo lub nawet nogami do góry. Przymiot ten zawdzięcza mucha pulchnym, poduszeczkowatym narośłom, znajdującym się na końcach jej nóg, a pokrytych gęstym, drobnym włosem. Poduszeczki zwilżone wydzieliną skóry, przylegają na mocy przyczepności szczelnie do podłoża, na którem się opierają, tak, że z łatwością utrzymują ciężar nawet zwieszającego pionowo ku dołowi ciała muchy. Nogi służą zarazem musze do pielęgnowania całego ciała, niemi usuwa ona starannie i często każdy proszek lub resztki nieczystości, które na niej osiędą, strzepując je nieraz na nasze potrawy.

Wydaje wprawdzie mucha tony znane, nieznośne zwłaszcza w nocy brzęczenie, lecz organu do tego osobnego nie posiada, a brzęczenie to wywołuje podczas lotu przez uderzanie bardzo szybkie skrzydłami o powietrze. Jest to zjawisko to samo, jakie dostrzegamy podczas lotu aeroplanu, którego śmigi podobnie, chociaż bez porównania silniej, brzęczą, a i każdy z nas, gdyby równie szybko, jak muchy skrzydłami, zdołał wywijać ramionami, stałby się źródłem niesłychanego brzęczenia; szczęściem ruch tak szybki jest dla naszych rąk niemożliwy i historya ludzkości nie wspomina nigdy o wypadku, by jakikolwiek akrobata doszedł do takiej zwinności w ruchach, by brzęczenie wywołać. Prócz muzyki skrzydeł umie nadto mucha wydobyć ze siebie inne jeszcze tony, jak o tem łatwo przekonać się, trzymając ją za skrzydła. Tony te pochodzą z powietrza, wydechane-

go gwałtownie na zewnątrz z przetchlinek, jakgdyby ciężkie westchnienia i gniewne sapanie uciemiężanej przez trzymającego istoty.

Jak powyższy opis wskazuje, nie posiada mucha nic takiego, czemby w sposób szczególny zasługiwała na gniew i prześladowanie pana stworzenia, człowieka. A mimo to biologowie i hygieniści najnowsi coraz to silniej nawołują do wydania jej walki na śmierć i życie i do zupełnego wyniszczenia, tępienia, o ile to być może, tego gatunku. Powodem ich słusznego gniewu jest sposób żerowania muchy. Siada ona bez żadnego wyboru na wszystko i zaraz sawką swą próbuje, czy tam czego dla siebie do spożycia nie znajdzie. A gdy znajdzie, wypuszcza obficie ślinę i rozpuszcza pokarm — żywi się ona bowiem wyłącznie płynnym pokarmem, nieposiadając uzębienia, — wciągając następnie tę mięszaninę chciwie do siebie, bez względu na to, czy to są rzeczy czyste, czy też jakieś ekskrementa chorych na zakaźną słabość, lub cuchnące i gnijące odpadki. Następnie zrywa się ztamtąd i bez ceremoni zajada z jednej z nami misy, dotyka zakażonemi gdzieindziej nogami i sawką pokarmów naszych, które także zwilża i rozpuszcza śliną i w ten sposób spożywa. Poufałość tę niejedna mucha przypłaca życiem co prawda, ginąc w nurtach talerza lub filiżanki, lecz śmiercią swą niczego nie naprawi, owszem sprawia jeszcze więcej złego.

Wobec takiego sposobu życia i tej okoliczności, że mucha potrafi, jak wykazały najnowsze i bardzo liczne doświadczenia, lecieć na własnych skrzydłach na półtora blizko kilometra od swego miejsca pobytu, nic dziwnego, że staje się ona jednym z najdzielniejszych i najtrudniejszych zarazem do ustrzeżenia się roznosicieli zaraźliwych chorób. Obecnie udowodniono jej już niezbicie, że w ten sposób rozszerza cholerę, tyfus, dyzenteryę dziecięcią, a co do suchot i innych chorób zakaźnych silne na nią pądają poszlaki. Obowiązkiem więc każdego uczciwego a myślącego człowieka jest przyczyniać się, o ile może, do wytępienia much i wypędzenia ich przynajmniej daleko poza miejsca pobytu istot ludzkich. Do tego zaś służą rozmaite sposoby.

Pierwszym, najpospolitszym i najszlachetniejszym lecz zarazem najmniej skutecznym, to prowadzenie walki z muchą środkami mechanicznemi, zabijanie ich sposobem Wojskiego. Jakże to ciężka jednak praca i ile wymaga zwinności, by doścignąć i zgnieść chociażby 50 much, to znaczy trzecią zaledwie część tego, ile odrazu lęgnie się z jednej tylko samicy! To też zwrócić się ludzkość musiała do innego środka, wypróbowanego zresztą już dawniej w wojnach ludów cywilizowanych z dzikimi krajowcami, mianowicie do trucizny. Środek ten zna-

cznie energiczniejszy, jest jednak o tyle niewygodny, że czasami bywa niebezpieczny i dla ludzi. Bo najpierw, jak to już nieraz się zdarzało, nietrudno o pomyłkę, u dzieci zwłaszcza i zamiast muchy struje się człowiek. Nadto trzeba pamiętać, że mucha niezawsze ginie odrazu, lecz dotknąwszy trucizny, niesie ją na nasze pokarmy, co łatwo może zdrowiu naszemu w sposób nie odrazu dostrzegalny, lecz mimo to dotkliwy szkodzić. Praktyczny środek trucia much, bardzo skuteczny, zupełnie bezpieczny dla zdrowia ludzkiego, podaje wspomniany wyżej przyrodnik Austen w następującym przepisie.

Do szklanki wody należy wlać łyżeczkę formaliny, następnie osłodzić cukrem i dolać nieco mleka, poczem mięszaninę tę wylać na talerz i postawić na noc na stole. Konieczną wszakże jest rzeczą, by usunąć z tego pokoju starannie wszelki inny płyn. Rano wczas muchy spragnione po śnie, nieznajdując żadnego innego płynu, pociągnione zapachem owej mięszaniny, zbiegną się tłumnie i napoją nią obficie, nieprzeczuwając okropnej zdrady. Wstawszy rano, możemy masami zmiatać obok talerza rozrzucone trupy uczestniczek tych zatrutych godów.

Najpewniejszy jednak i zarazem najkonieczniejszy sposób pozbycia się much, to ochędóstwo w mieszkaniach. Na wsi, gdzie w bliskości mieszkań są stajnie dla koni i obornik, obecność much jest prawie nieunikniona, chociaż i tu energicznem tępieniem tych owadów wiele zdziałać można. Trzeba tam więc używać codziennie prawie opisanego dopiero co płynu, a nadto przykrywać troskliwie siatkami drucianemi wszelkie pokarmy, by ustrzedz je od zakażenia przez muchy, które może dopiero co przyleciały z obornika lub kału i teraz godują na potrawach, za chwilę mających się dostać do naszego żołądka. Ale w mieście, zwłaszcza tam, gdzie przeprowadzono należycie kanalizacyę, much wcaleby być nie powinno, gdyby należycie po domach dbano o czystość, przykrywano i usuwano czemprędzej wszelkie odpadki, naczynia z popiołem i śmieci, pokarmy. Nieraz przecież widzieć można, jak gotowanego mięsa kawałek, schowany w skwarnym lecie przez zapobiegliwą gospodynię do spiżarni, drugiego dnia przykryty już jest gromadą białych kresek; są to oczywiście jaja muchy, które samica złożyła tutaj na cuchnącem podłożu.

Zdarza się wprawdzie czasami, że mimo największej ostrożności, nagle, niewiadomo z jakiej przyczyny, pewne miejscowości nawiedza plaga much, występujących w niebywałych masach. Są to zjawiska przyrody, które zapewne usuwają się z pod kontroli człowie-

ka; jednak w normalnych warunkach muchy w mieszkaniu zawsze rzucają światło niekorzystne na schludność mieszkańców, która bynajmniej nie zależy na pięknym salonie i bawialni, lecz przestrzegać jej przedewszystkiem należy w kuchni i miejscach ustępowych, tak jak hygiena ciała nie tyle zależy na modnych i bogatych sukniach, ile na czystości skóry i świeżej bieliźnie.

Na zimę wszystkie prawie muchy giną, wyniszczone grzybkiem pasożytniczym, który je zabija i trupy ich przylepia masami do szyb okien. Do wiosny pozostają nieliczne tylko osobniki, które przyroda uratowała od zguby celem zachowania gatunku. Gdy więc ich jaja nie znajdą podłoża stosownego, gatunek muszy z mieszkania ustąpić musi, a z nim zniknie także niebezpieczeństwo zawleczenia wielu zakaźnych chorób. Wszelkie zarządzenia sanitarne, mające na celu uchronienie od chorób zaraźliwych, muszą wobec wielkiej liczby much po domach być uważane za bezskuteczne. Nie wystarczy bowiem izolować chorego, gdy jego ekskrementami karmiona mucha, ponieść może zarazki na potrawy ludzkie o kilometr odległe. A dodać do tego trzeba, że ta walka z muchami przyczyni się ogromnie do wprowadzenia ochędóstwa do mieszkań.

* * *

Przechowywanie przez czas dłuższy jaj kurzych, tego artykułu pożywienia tak niezbędnego dzisiaj, jest sprawą bardzo ważną, zarówno w gospodarstwie domowem, jak zwłaszcza w zaprowiantowaniu olbrzymich i coraz rosnących zbiorowisk ludzkich, jakiemi są wielkie miasta i centra fabryczne. W celu konserwacyi, mrozi się jaja, lub przechowuje się je w wodzie wapiennej, albo też w słabym roztworze krzemianu sodowego czyli rozpuszczonego wodnego szkła. Środek ten ostatni, znany od lat piętnastu, jest bardzo zalecany, konserwuje on bowiem istotnie jaja znakomicie, jak to wykazały niezbicie bardzo ścisłe doświadczenia, czynione w sławnym i dla rolnictwa tyle zasłużonym departamencie rolniczym Stanów Zjednoczonych i w innych stacyach doświadczalnych amerykańskich. Powstał jednak bardzo poważny zarzut przeciw krzemianowi sodowemu z innej strony. Utrzymywano mianowicie, że jaja wchłaniają w siebie krzemian, w którym je przechowujemy i przez to stają się dla organizmu ludzkiego szkodliwe.

By rozświecić niezmiernie ważną tę wątpliwość, czynił świeżo Bartlett wyczerpujące doświadczenia, przechowując przez kilkanaście

miesięcy jaja w roztworze krzemianu sodowego a następnie poddając je bardzo ścisłej i sumiennej analizie chemicznej. Pokazało się, że wartość konserwująca krzemianu sodowego zależy od należytego przygotowania płynu. Najpierw niepowinien on zawierać zupełnie swobodnego sodu, gdyż ten ulegnie niechybnie pochłonieniu przez jajo i zetnie białko na galaretę. Nadto roztwór musi być chemicznie czysty, dziesięcioprocentowy, to znaczy na litr wody ma przypaść 10 deka krzemianu sodowego. Doświadczenia Barletta udowodniły, że jaja przechowywane w takim płynie przez jedenaście miesięcy, nie różniły się swym składem wewnętrznym od jaj świeżych. Zawartość wilgoci nie zmalała, a jajo po jedenastu miesiącach ważyło tyleż, co na początku, gdy było świeże; nadto analiza chemiczna ilościowa zawartości jaja wykazała, że ilość krzemianu i popiołów jest tam zupełnie taka sama, jak bywa w jajach świeżych.

Wnosić więc można z tych sumiennych badań, że powyższy sposób przechowywania jaj w dziesięcioprocentowym roztworze wodnym krzemianu sodowego jest najdoskonalszym ze znanych dotychczas i że jajami tak konserwowanemi zastąpić można bezpiecznie jaja świeże. Tak w tym wypadku jednak, jak i w innych, pamiętać trzeba, że pokarm świeży jest zawsze najpewniejszy i jeżeli go tylko dostać można, trzeba mu stanowczo oddać pierwszeństwo nad wszelkiego rodzaju konserwami. A zwłaszcza gdy chodzi o substancye chemicznym swym składem tak niezmiernie skomplikowane i tak mało zbadane, jak białko i żółtko jaja.

Ks. F. Hortyński.

Druk ukończono 5-go grudnia 1913 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Compendium Theologiae dogm. T. Pesch T. J., nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. VIII. + 303 in 8-vo.

Auf Gottes Saatfeld, (Homilien) nap. Dr. Karl Riedrer, nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. X. + 421 in 8-o.

Alban Stolz u. Kordula Wähler, nap. Mayer, nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. VII + 510, in 8-o.

Kalwarya, nap. Levroy Ludwik, nakł. West. Brody 1914. Str. 166 in 8-o.

Einleitung in die Hlge Schrift, nap. Franz Kaulen, nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. X. + 300, in 8-o.

Das Kirchenjahr. Predigten, nap. Ehrler, nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. VII. + 775 in 8-o.

Der Ahnen Wert, nap. Seb. von Aer., nakł. Herder, Freiburg, 1913. Str. VIII. + 186 in 8-o.

Biblia król. Zofii, nap. Paulisz Zyg., nakł. Akad. Umiej. Kraków 1913. Str. 42 in 8-o.

Ciernie, (dramat) nap. Raczyńska, nakł. Teatru włość., Lwów 1914. Str. 151, in 8-o.

Straż Polska VII 9. (Ks. Józef Poniatowski), nakł. West., Brody 1913. Str. 18 in folio.

D. Monismus, nap. Klimke T. J. nakł. Herder, Freiburg,1911. Str. XXIII, 620 in 8-o.

Początki kwestye apologetyczne, nap. Guibert, nakł. Zawadzki, Wilno 1913. Str. 432, in 8-o.

Kościół a nowoczesny ruch przeciwalkoholowy, (Głosy na czasie 36). nap. Cieszyński ks. Nikod., nakł. św. Wojciecha, Poznań 1914. Str. 121, in 16-o.

Wesele wiejskie, sztuka ludowa (teatr ludowy 20) nap. Bolek ks. nakł. św. Wojciech, Poznań 1914. Str. 62 + 15, in 16-o.

Św. Wojciech, nap. Ziemba Zygm., nakł. św. Wojciech, Poznań 1913. Str. 78, in 16-o.

Zaczarowany młyn, komedya, (teatr lud. 22) nakł św. Wojciech, Poznań, 1914. Str. 20 in 16-o.

Chorał gregoryańsko-watykański, nap. Kowalski ks. Dr. Nakł. Trepte i Sp. Warszawa 1913. Str. 75 in 8-o.

Bitwa pod Raszynem, nap. Przyborowski W. Nakł. Gebethner i Sp. Warszawa 1913. Str. 99 in 12-mo.

Nemezis, powieść, nap. Hoesick Ferd. Gebethner i Sp. Warszawa 1913. Str. 313 in 8-o.

Słowianie ich rozsiedlenie i liczba. (Bibl. Słow. tom 2) nap. Wasilewski Leon, nakł. Tow. Słow. Kraków 1913. Str. 38 in 8-o.

W noc sylwestrową, poemat sceniczny, Ekar, nakł. Gebethner i Spka, Kraków, Str. 61 in 8-vo.

Bohdan Zaleski na tułactwie, cz. I, nap. Tretiak Józef, nakł. Akad. Um. Kraków 1913. Str. 323 in 8-vo.

Sonety, nap. Shakespeary (tłóm. Mus), nakł. Gebethner, Kraków 1913. Str. 168, in 16-o.

Skorzystaj z jubileuszu, nap. Około-Kułak X. Ant., nakł. Księgarnia kat. Petersburg 1913, Str. 27 in 32-o.

Dzieło rosyjskie o X. P. Skardze, nap. Grabowski Dr. St. Tadeusz, nakł. gimn. św. Jacka, Kraków 1913. Str. 80 in 8-o.

In illo tempore, nap. Rollę M., nakł. West. Brody 1914. Str. 274 in 8-o.

Unsere liebe Frau, nap. Meschler M. T. J. nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. 184 in 12-o.

D. Gottesmutter, nap. Albert Justinn O. S. B., nakł. Herder, Freiburg 1913, Str. 156, in 12-o,

Dieu, Existence et cognoscibilité, nap. S. Belmond, nakł. Beauchesne, Paris 1913. Str. 362 in 8-o.

Samaria et Peräa bei Flavius Josephus, nap. Dr. Leo Hefeli, nakł. Herder, Freiburg 1913. Str. X. + 120, in 8-o.

Wit Stwosz. Napisał Szydłowski dr. Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 113 in 8-vo.

Wiek XIX sto lat myśli polskiej, tom VIII. Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 385. in 8-vo.

Król Lir. Napisał Szekspir W. (Bibl. U. L. 174). Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 110 in 12-mo.

Uświadomiony, powieść. Napisał Olechowski G. Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 259 in 8-vo.

Święty gaj, powieść. Napisał Przybyszewski St. Nakładem Gebethnerai Sp. 1913. Str. 348 in 8-vo.

Dusze współczesne, powieść. Napisała Walewska Cecylia. Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 330 in 8-vo.

Wojna na Bałkanach. Napisał Lipkowski J. Nakł. Gebethner i Sp. 1913. Str. 172 in 8-vo.

Słownik polskiego i niemieckiego języka. Ułożył prof. Callier O. Nakł. Holtza. Lipsk 1913. Str. 511 + 474 in 32-do. Cena (opr.) 4.25 Mk.

Predigten von Alban Stube I Bd. Herausg. v. prof. dr. Mayer Jul. II u. III Aufl. Herdersche Verlagshandlung 1913. Str. 456 in 8-vo.

Le P. Paul Ginhac 5). Lettres de direction, avec documents, recuellis par le P. Calvet, t. I. Impr. de Meester, Roulers, 1913. Str. 391 in 8-vo.

List ojca do syna o szkodliwości palenia tytoniu. Napisał dr. Breyer S. Wydawn. popularne lekarskie. Kraków 1913. Str. 18 in 8-vo. Cena 40 hal.

Królowa Korony Polskiej. Napisał X. Lachmann A. T. J. Nakł. Chyrowskiego Koła im. P. Skargi. Nr. 10. West Brody. 1913. Str. 58 in 32-do. Cena 40 hal.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Kongres w Metzu. Przez *ks. L. Rudnickiego. T. J.*	1
Z okazyi kursu katechetycznego w Krakowie. Przez *ks. E. Matzla T. J.*	12 192
O Skardze »największym wichrzycielu Rzeczypospolitej«. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.*	28 228 380
Biblia i nieomylność Sykstusa 5-go w świetle źródeł najnowszych. (Dokończ.). Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	47
Ozanam jako teoretyk i działacz społeczny. W setną rocznicę urodzin. (Dokończ.). Przez *ks. Antoniego Szymańskiego*	62
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe“ Wyrok Heroda. Przez *Maryę Czeską*	74
Prądy słowianofilskie wśród Emigracyi Wielkiej 1830—1863. (Dok.). Przez *Edmunda Kołodziejczyka*	85
Katastrofa Bułgaryi. Przez *dra Adama Krzyżanowskiego*	159 409
Program szkół kmiecych. Przez *H. Wielowieyskiego*	177
Edykt Kalikста. Przez *Adhémara d' Alès T. J.*	202
Wizya ks. Skargi. Nowela. Przez *Maryę Czeską*	220
Poglądy i teorye najnowszej fizyki. Przez *ks. Feliksa Hortyńskiego T. J*	245
Ruch skautowy. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—12*
Nad Elsterą. 1813—1913. Przez *ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.*	13*—16*
Katolickie wychowanie dziewcząt. Książka M. Stuart. Przez *T. Wodzicką*	325
Tydzień etnologiczny w Lowanium. Przez *ks. M. Skibniewskiego T. J.*	343
Listy ze wsi. (List II.). Przez *Jana Mańkowskiego*	358
Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe“. Na egipskiej ziemi. Przez *Maryę Czeską*	366

Strona

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Słowianoznawstwo a Słowianofilstwo. Dr. Feliks Koneczny. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 108
»Dwie kultury«. Władysław Jabłonowski. *(Helena Skolimowska)* 111
»Domy dziecięce«. Dr. Marya Montessori. *(Helena Skolimowska)* 113
Żywoty świętych polskich. Ks. Dr. Zygmunt Skarżyński. *(Ks. Teofil Bzowski)* 115
Peru. Wspomnienia z podróży. Jan Stolcman. *(Stanisław Sołtys Kozaryn)* 116
Listy Krasińskiego do Koźmiana. *(Mikołaj Mazanowski)* 261
Pomysły filozoficzne w hymnach Rig-Wedy. Dr. Wojciech Marceli Gielecki. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 276
Pisma Zygmunta Krasińskiego, wyd. Jan Czubek. *(Dr. M. Szyjkowski)* . 279
Pisma. Bronisław Chlebowski. *(Maryan Szyjkowski)*. 427
Listy Zygmunta Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego. Wydał Józef Kallenbach, wstępem opatrzył Adam Żółtowski. *(Maryan Szyjkowski)*. 433
O samodzielności kraju. Stanisław Szczepanowski. O polskich tradycyach w wychowaniu. Stanisław Szczepanowski (Piast). *(Dr. A. Bielecki)* . 438

Z piśmiennictw obcych.

Die Mysterien des Christentums. Dr. Math. Joseph Scheeben. *(Ks. B. Wolnik T. J.)* 120
The Catholic Encyclopedia. New York. *(T. Wodzicka)* 121
Die Oratorien von Johann Adolf Hasse. Lucian Kamieński. *(Ks. Dr. Surzyński)* 281
Lebens- und Gewissensfragen der Gegenwart Albert Maria Weiss. *(O. R.)* 284
La Colline inspirée. Maurice Barrès. *(T. Wodzicka)* 441

Zapiski bibliograficzne.

»Wolna myśl« i »Wolna szkoła«. Maurycy Michał Paciorkiewicz. *(E. M.)* 128
Wspomnienia młodości. Charles Sainte-Foi. *(Zet)* 128
Wakacye pod namiotami. Bolesław Błażek. *(Zet)* 129
Wolna myśl. Ks. Dr. Adam Kopyciński. *(E. M.)* 130
Zakon OO. Dominikanów w Kijowie. Fr. Rawita-Gawroński. *(Zet)* . . . 130
Podręcznik w sprawach opieki nad wychodźcami sezonowymi. Konstanty Kościński. *(J.)* 131
W sprawie żydowskiej. Antoni Chołoniewski. *(J.)*. 131
Bohater Carlyle'a i nadczłowiek Nietzsche. Aleksander Mohl. *(E. M.)* 132
Inkwizycya kościelna w świetle rozumu i historyi. Aleksander Mohl. *(E. M.)* 132
Wszelka moralność jest moralną. Dr. A. Ski. *(E. M.)* 132
Działalność społeczna św. Franciszka z Assyżu. Ks. St. Krzeszkiewicz. *(E. M.)* 132
»Na co się to przyda« czyli Znaczenie Sakramentów św. dla kwestyi socyalnej. Ks. Biskup Dr. M. Faulhaber. *(E. M.)*. 133
Wybór hymnów kościelnych. Ks. Witalis Grzeliński. *(T. K.)* 133
Chrystus. Kosiński Kazimierz. Tomasz a Kempis. Tenże. *(M. Sz.)* . . . 286
Trudy życia. Zubczewski Julian. *(M. Sz.)* 287
Książę Józef Poniatowski, obrońca honoru Polaków. Michalina Mossoczowa. *(—)* 287

Strona

Ostatnie dni świata. S. Bielskij. *(S. P.)* 288
Książka do nabożeństwa. L. W. S. *(S. P.)* 288
Das Beichtsiegel. P. Bertrand Kurtscheid. *(B. W.)* 288
La contemplation. R. P. E. Lamballe. *(B. W.)* 289
Słownik polskiego i niemieckiego języka. Prof. Callier Oskar. *(Ch.)* . . 289
Summarium Theologiae moralis. Nicolaus Sebastiani. *(L. K.)* 290
Kwiaty rodzinne. Narcyza Żmichowska. *(Sg.)* 291
Psalterium Davidis. Bellarmini. *(S. B.)* 291
Martyrologium Romanum *(S. B.)* 291
Mitologia klasyczna w dziełach Kochanowskiego. St. Szarski. *(F. B.)*. 452
Ze studyów nad epoką saską K. M. Morawski. *(K.)*. 452
Memoriale vitae sacerdotalis. Claudio Arvisenet. *(S. B.)*. 453
Historya żółtej ciżemki. Antonina Domańska. *(J.)*. 453
Na wieczornicy. Jadwiga Chrząszczewska — Jadwiga Warnkówna. *(J.)*. . . 453
Wydawnictwa Feliksa Westa. *(J.)*. 453
Lutnia. Kolasiński Zygmunt. *(J.)*. 454
Julcia. Bronisława Włodkówna. *(J.)*. 454
Dżok. Przeł. z angielsk. Stefan Barszczewski. *(J.)*. 454
Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła w świetle nieznanej korespondencyi poety. Biegeleisen Henryk. *(Dr. M. Sz.)* 454
Pisma. Eliza Orzeszkowa. *(Dr. M. Sz.)*. 455
Wiązanka Majowa na cześć Matki Bożej Zofia Hartingh. *(X. Bt.)*. . . 456
Seelenschmuck zum göttlichen Gästmahl M. Meschler S. J. *(S. B.)*. . 457
Die dogmatischen Schriften des hl. Hieronymus. Dr. T. Trzciński *(J.)*. 457
Y a-t-il un Dieu? Henri Hugon. *(B. W.)*. 458

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Ludowcy a Duchowieństwo. Ruch ku unii w Bułgaryi. Bandytyzm w Rzymie. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 134
Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub. (Ciąg dalszy). Przez *Dra Stanisława Zdziarskiego*. 147
Dom dla młodzieży rękodzielniczej im. Piotra Skargi w Krakowie . 155

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Setna rocznica urodzin Kaysiewicza. Sprawa szkolna w Belgii. Sprawa mordu rytualnego. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* . . 292
Listy z Warszawy: Bojkot żydowski. Zdeprawowanie. Asymilatorzy w 63 roku. Sprawa Bejlisa i mord rytualny. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* . . 303
Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub. Przez *Dra Stanisława Zdziarskiego* 312
Konkurs Tow. Warszawskiego 322

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Wybory we Włoszech. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 459
Zjazd polski w Holandyi. Przez *Maryę Ruszczyńską* 467
Ze świata nauk i wynalazków. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* . . . 470